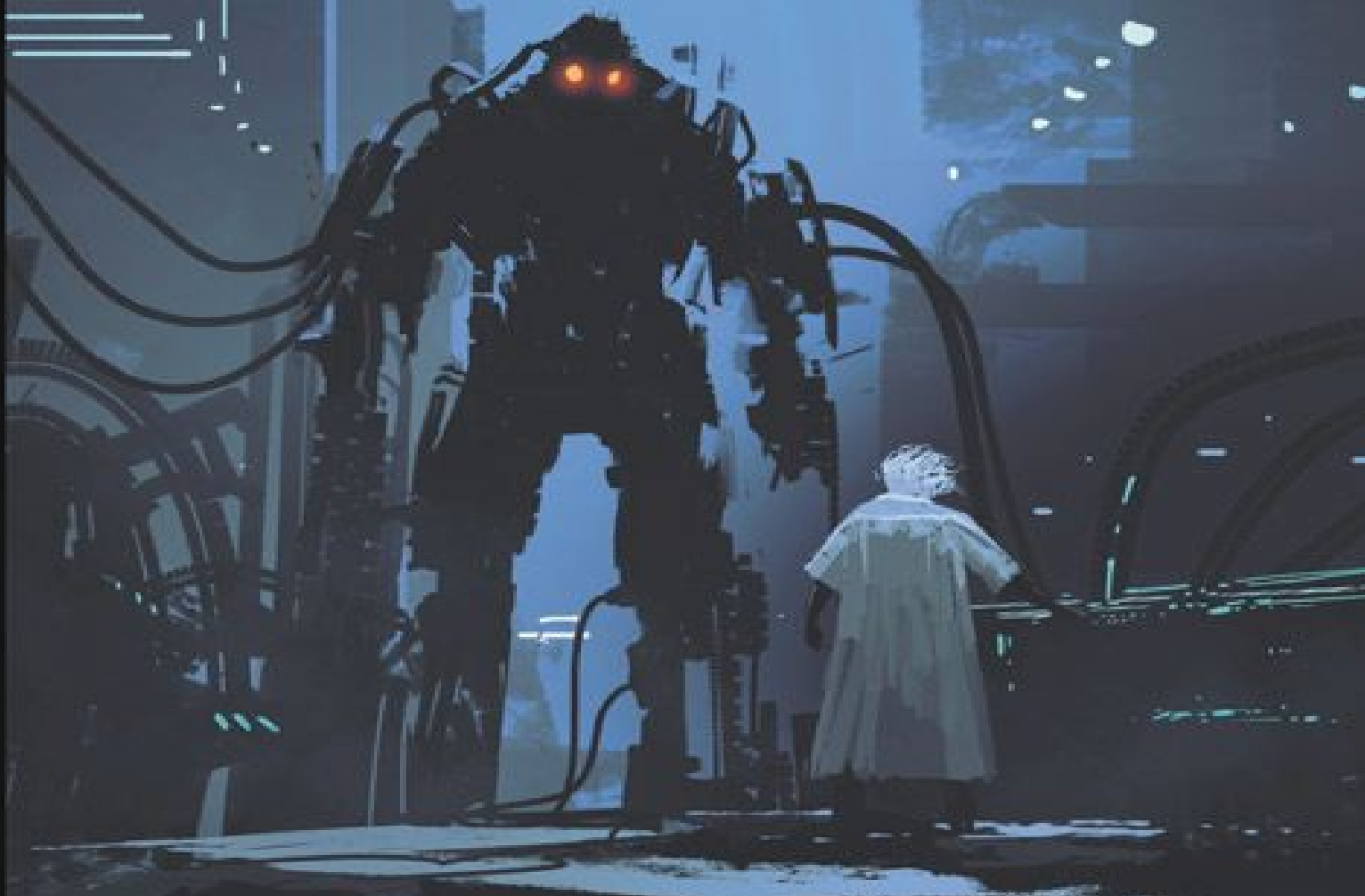


# JAKUB NOWAK AMNEZJAK



powergraph

# JAKUB NOWAK AMNEZJAK



**powergraph**

Warszawa 2017

Jakub Nowak  
Amnezjak

ISBN: 978-83-64384-65-3

Wydawca:  
Powergraph  
ul. Ceglowska 16/2  
01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

Copyright © 2006-2017 by Jakub Nowak  
Copyright © 2017 by Powergraph  
Copyright © 2015-2017 for the cover illustration by Grandfailure via iStock  
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Grandfailure (via iStock)  
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

**Wylączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

## **Spis treści**

Karnawał

Dziwne dni

Ekumenizm

Rychu



Retro

Ciężki metal

Dominiczka mówi:

Zimno, gdy zajdzie

Amnezjak

## Karnawał

Karnawał wyruszył z Wenecji pierwszego marca 1875 roku, w dniu rozpoczęcia nalotów na Warszawę. Kiedy wraz ze wschodem słońca hałaśliwy i pijany korowód opuszczał świetliste miasto, w stolicę nieistniejącego państwa uderzyły pierwsze bomby.

Karnawał poszedł na północ. Pełzał jak glista po italskich księstwach, niespiesznie i chaotycznie. Żywił się gwałtem, posoką i ogniem, wysrywał zgłiszczą wsi i miasteczek, siał trupami tych, którzy stawali mu na drodze. Pęczniał. Rósł. Tuczył się. Aż w końcu dojrzał: pełen morderców, dezercerów i złodziei; makabrycznych kuglarzy, zwyrodniałych pokrak i rozpadających się kurew. Pełen cynicznych księży i fanatycznych grzeszników; dekadencckich arystokratów, którym było już wszystko jedno i obłąkanych technerów, o których dziełach krążyły legendy. I z tajemniczym, wiecznie pijanym Wodzirejem na czele, królem chaosu i przemocy, najbardziej okrutnym i szalonym z nich wszystkich.

Wreszcie karnawał był tak potężny, że widoczny nawet na kresowych łąkach: gigantyczna, rozwlekła kolumna gdzieś na widnokręgu, niepokojąca rozedrgana wstęga zawsze na granicy pola widzenia. Wtedy wpełzł do Francji, by pożywić się krwią konającego kraju. A papież, zimowi kardynałowie i królowa Włoch wreszcie odetchnęli.

### **16 kwietnia 1876, Danzig, kawiarnia Adolfa Ozicka Długie Pożegnanie**

Młody pies wzleciał powoli na taras przydworcowej kawiarni. Wynurzył się niespodziewanie zza stalowych kwiatów oplatających barierkę i szybował nieporadnie ponad głowami gości. Poszczekiwał cicho do ich speszonych twa-

rzy – zamożni i światowcy, w większości nie wiedzieli jednak rzeczy oczywistej nawet dla najmłodszych dzieci z portu w dole: pies musiał wskoczyć do pneumaty i rzuciło nim w górę. Kiedy kelner wyniósł zdezorientowanego zwierzątko do kuchni, wszystko wróciło do normy. Towarzystwo znów jęło obserwować kobietę w sukni w maki.

Kilkanaście stolików, kilkadziesiąt par ciekawskich oczu. Głównie Niemcy, mężczyźni w podróży (wokół nich płaszcze, walizy i parasole), nerwowo spoglądający zza fajek, gazet, kieliszków i filiżanek na przechadzającą się na końcu tarasu brunetkę.

Była sama i była piękna. Purpurowe maki wyrastały wśród plis czarnej tafty jej sukni, pięły się po szczupłej talii i krzywiźnie piersi, by rozkwitać na koronce dekoltu i wokół szyi, gdzie kładły się na nich ciemne kosmyki upiętych wyżej włosów. To nie był strój podróży, i mężczyźni wiedzieli o tym doskonale. Pocili się, mimo że dzień był chłodny, a słońce zachodziło.

Spacerowała wzdłuż barierki, głaskała stalowe róże, patrzyła w dół, na port i miasto. Obserwowała przyportowe kamienice i wysokie kominy statków za nimi. I dalej, tam gdzie najgłębiej, gdzie zacumowane były dwa kradnące ciepłe światło pancerne giganty. Trwały nieruchomo naszpikowane lufami, jak kanciaste stalowe jeże, chluba marynarki Rzeszy.

Port nie kładł się do snu. Transportowce, wozy, wagony, rozbiegani ludzie i niekończąca się wymiana: wyładunek i załadunek – tysiące skrzyń płynęły w powietrzu równymi rzędami po trajektoriach wytaczanych przez niewidzialne tunele. I ciągły, nużący hałas: mewy przekrzykujące się z portowymi syrenami i metaliczne pomruki – te głośniejsze szły wibracją z wnętrza dworcowej hali. Te cichsze – ze stoczni na wschodzie, gdzie wielkie mechaniczne ptaki niezgrabnie chyliły się nad wybebeszonymi kadłubami.

Kobieta westchnęła i zatrzymała się na końcu tarasu. Siedzący najbliżej pijany Szwed mógłby przysiąc, że pośród zapachów zatoki, dworca i turec-

kiego tytoniu poczuł woń jej perfum. Pachniała makami i czymś jeszcze, co Szwedowi kojarzyło się z pogrzebami odprawianymi w jego rodzinnej parafii w Falun.

— Już powinien tu być — powiedział mężczyzna przy stoliku w cieniu dworcowej ściany. Miał czterdzieści lat, krótkie szpakowate włosy, drogi londyński garnitur i laskę ze stalową rękojeścią w kształcie smoczego pyska.

— I zaraz będzie — odparł jego towarzysz, dużo starszy i wyższy. Jego ziemista twarz przypominałaby pomiętą kartkę, gdyby nie umazane kawą gęste siwe wąsy. — Meinhold nie przepuściłby takiej okazji.

Szpakowaty skrzywił się i spojrzał na brunetkę przy barierce. Stała nieruchomo, tyłem do wszystkich.

— Widziałeś? — Wąsacz podsunął młodszemu „Danziger Zeitung”. Rozmawiali po angielsku. — Minął już rok, a jest tego więcej i więcej.

Ostatnią stronę gazety zajmował list gończy za Piotrem Ostrowskim, polskim mordercą, spiskowcem, okultystą, masonem, złodziejem i podpalaczem; wrogiem Rzeszy, pokoju i Sztuki; sprawcą plugawego zamachu na Ottona Eduarda Leopolda, księcia von Bismarck-Schönhausen, księcia von Lauenburg, Kanclerza Rzeszy. Centralną część ogłoszenia stanowiła podobizna Ostrowskiego: psychopatyczne spojrzenie wyczernione spod krzaczastych brwi, wykrzywione tłuste usta i skołuniona czupryna nie zostawiały czytelnikowi najmniejszych wątpliwości, że ma do czynienia ze skurwysynem w najczystszej postaci.

— Cena za jego głowę wciąż rośnie — powiedział szpakowaty.

— Bo Żelazny Kanclerz nie zapomina. Mogą go całego przerobić na mechaidę, ale dopóki bić będzie w nim ludzkie serce, Kanclerz będzie pamiętał.

Szpakowaty odłożył gazetę i westchnął. Zastygł na ułamek sekundy, utkwiwszy wzrok ponad ramieniem wąsacza.



— Meinhold? — spytał starszy.

— We własnej osobie.

Na progu tarasu stało trzech mężczyzn. Z przodu bliźniacy w mundurach pruskich czarnogwardzistów: profesjonalni zabójcy i przyzwoici technicy. Rozglądali się po kawiarni z ćwiczoną latami podejrzliwością. Trzeci trzymał się z tyłu i sięgał im do ramion. Pozbawiony włosów, szyi i wyznaczników wieku, wyglądał jak wielkie jajo przystrojone w garnitur, rękawiczki i pstrokate cizmy. Na jego obłej piersi kładł się wisior: czarny orzeł wpisany w złoty, zwrócony ku górze pentagram. Wisior ogłaszał: oto Herman Meinhold, Cesarski Mistrz Sztuki, uznany specjalista militarnej biologii mechanicznej.

Jeden z gwardzistów podszedł do pięknej brunetki. Gdy po kilku zdaniach ruszyli w stronę Meinholda, goście kawiarni obserwowali ich z milczącym zainteresowaniem. Choć żyli w świecie, w którym cuda spowszedniały już dawno, Mistrz Sztuki publicznie dobierający sobie katarynę stanowił widok doprawdy ekscytujący.

Herman Meinhold był bowiem pyszny i głupi. A dwaj mężczyźni przy stoliku pod ścianą właśnie na to liczyli.

Przybysze i kobieta opuścili kawiarnię. Niedługo później od stolików poczęli wstawać agenci: dwaj barczyści ortodoksyjni Żydzi, po nich niemiecki kupiec i jego towarzyska.

Szpakowaty dobrze zapamiętał uśmiech wychodzącego grubasa, teraz podsycał nim swoją wściekłość. Stary nasłuchiwał odgłosów z portu. Dłuski zaraz powinien zacząć przedstawienie.

Nagle niebo zgasło na kilka chwil. Rozległy cień przepłynął bezszelestnie nad tarasem, zdawałoby się – na wyciągnięcie ręki. Ludzie odruchowo pochowali głowy w ramiona i, nerwowo uśmiechnięci, przyglądali się cumowaniu brytyjskiego żywołotu.

Bioid lądował na dworcowym dachu. Oplatająca gondolę zielona larwa

była wielkości dwóch lokomotyw. Powoli zbliżała się do pali cumowniczych, Union Jack rozpostarty na wypełnionym gazem wielkim organicznym grzybie zarzył się dumnie i nieco złowieszczo. Bioid wypuścił parujące macki, te znalazły pale i oplotły je, przyciągając sterowiec ku płycie lądowiska.

— La Rochelle długo nie wytrzyma — powiedział obojętnie wążacz.  
— W sierpniu miną już dwa lata.

Szpakowaty wiedział, że ten spokój to pozór, starzec cierpiał. Jego matka była Francuzką, wążacz spędził we Francji pół długiego życia. Dziś tamten kraj nie istniał, *de facto* zdelegalizowany jednym pociągnięciem pióra brytyjskiej królowej. Ostatni z bastionów starej Francji właśnie padał, od pięciu lat oblegany przez pancerniki Sojuszu. Rok temu, gdy twierdza wciąż jeszcze trzymała się mocno, okręty Sojuszu, nie przerywając oblężenia, zaczęły wypełzać z wody, by lądem, ziemią i powietrzem naprzec na mury. Dziś niewiele różniło La Rochelle od zgłiszcz Paryża czy Warszawy, ale miasto wciąż jeszcze zdobywało się na zacięty opór.

Wiem, że cierpisz, Franciszku, pomyślał szpakowaty. Wszyscy cierpimy.

Wtedy Gdańskiem targnęły eksplozje. Trzy wybuchy, jeden po drugim, w różnych częściach portu, a po nich wystrzały, gdzieś na towarowym nadbrzeżu. Kawiarniani goście, słysząc narastającą kanonadę, obserwowali nerwowo trzy równe smugi pnące się ku ciemniejszemu niebu. Teraz opuszczali taras, ścigani przez cały pluton kelnerów uzbrojonych w niezapłacone rachunki.

Dwaj mężczyźni nie wstali od razu – szpakowaty skrupulatnie odliczał pieniądze, wążacz przeglądał ogłoszenia w gazecie. Nie ma pośpiechu. Ludzie Dłuskiego właśnie odbijają tureckim przemytnikom kradzione karabiny. Niech przy okazji porządnie namieszają. Agnieszka zdąży wszystko przygotować, a informacja o strzelaninie dojdzie do elizjum, jego gości i personelu.

— Chodźmy — powiedział wreszcie stary wążacz.

— Myślisz, że już?

— Nie wiem. Kawa mi się skończyła.

### **zawsze–nigdy, Kresy**

Piotr Ostrowski dużo podróżuje, również w czasie snu. Zamyka powieki i coraz częściej trafia na kresowe łąki, do krainy światła, ciszy i przestrzeni. Tam wszystko jest łagodne i takie są jego przechadzki, gdy spaceruje niewysokimi pagórkami, w miękkiej, sięgającej pasa trawie, nad sobą mając pozbawione słońca, bajecznie kolorowe niebo, niczym rozlane na szkle pastelowe farby. Piotr Ostrowski przechadza się na wietrze, ciepłym i odświeżającym, przygląda nielicznym falującym powoli drzewom i szybującym wysoko ptakom-owadom.

A może aniołom?, po raz kolejny zastanawia się Ostrowski, gdy zadziera głowę wysoko, ku amorficznym sylwetkom. Pytanie nie jest bezzasadne, skoro zimowi kardynałowie uznali, że Sztuka, która tamtego gorącego lata pół wieku temu runęła na nich wraz ze śniegiem i lodem, jest wielkim, wspaniałomyślnym darem od Boga. Człowiek został obdarowany ogromną mocą i przyjął ją z wdzięcznością i pokorą. Cudowna, ale kapryśna i wymagająca wiedza, która najpierw zmieniła umysły kilkudziesięciu najbardziej oddanych Bogu mężczyzn. Potem szybko zmieniła cały świat, wprowadzając zupełnie nowy porządek. Nastąpiło Oświecenie, epoka wielkich przemian i ogromnych możliwości, czas uwielbienia Pana i zacieklej walki w obronie Jego imienia. A wraz z Oświeceniem pojawiły się Kresy, miejsce pomiędzy, gdzie czas i przestrzeń wiją się spiralnie jak dwa splecione w ciasnym uścisku węże.

Kościół, monarchowie i mistrzowie Sztuki skupieni w Zimowym Sojuszu nie mają wątpliwości. Kresy to niebiańskie przedpoła, zapowiedź absolutnego spokoju i spełnienia – kluczowa część Boskiego daru, zachęta do podporządkowania się Jego woli i woli Kościoła. Co myślą inni – szaleni prascy Nowi

Husyci, angielskie woterki, czy bywalcy Salonu Końca Świata, tak cyniczni i zachłanni, że niegodni by nazywać ich naukowcami – zjednoczonych Sojuszem oświeconych Europejczyków nie interesuje, co o Kresach myśli cała ta hałastra.

Piotr Ostrowski za to zastanawia się często. Tym częściej, od kiedy opuściwszy wzniesioną wysoko głowę, na kresowym horyzoncie dostrzega złowieszczy cień Karnawału.

### **16 kwietnia 1876, Danzig, elizjum Śpiewna Orchidea**

Szpakowaty i wążacz weszli do hali dworcowej, w hałas, smród i tłok, do pulsującego wnętrza gigantycznego stalowego wieloryba. Dwupoziomowe perony pełne były podróżnych przelewających się przez platformy, ruchome schody i dziesiątki wagonów. Lokomotywy sapały jasnym dymem, który szedł wysoko, pod żebra dachu, gdzie rozwiewały go lecące jedna za drugą skrzynie Cesarskiej Poczty. Nad wszystkim czuwał potężny czarny orzeł z witraża na centralnej ścianie dworca. Na prawo był malunek, na którym płomienie Ducha Świętego objawiały Sztukę uczestnikom Zimowego Konklawe. Z malunku po drugiej stronie, dla równowagi, spozierał Otto von Bismarck, dumnie wsparty na stalowym ramieniu zakończonym automatycznym młotem.

To miejsce ma wiele z katedry, pomyślał wążacz, próbując dotrzymać kroku eleganckiemu towarzyszowi. Ciasne i jednocześnie onieśmielająco przestronne, zbudowane z przenikających się cieni i kolorowych rozbłysków, przypominało katedrę i właśnie dlatego mu się nie podobało.

Szpakowaty czuł się tu doskonale. Skutecznie napierał do przodu, szybko więc przedarli się na drugą stronę dworca. Teraz do elizjum: ku jednemu z bocznych wyjść, wybudowanych z myślą o katolickich mistrzach i technarach-pederastach. Szpakowaty poprowadził przez labirynt straganów i sklepiaków, z początku pełnych różnego badziewia, aromatycznego jedzenia i brzyd-

kich ubrań, potem – coraz droższych i bardziej przestronnych, aż do wąskiego korytarza zakończonego masywnymi drzwiami.

W progu korytarza minęli się z dwoma mężczyznami. Jeden mocował się z kłamrą oficerskiego pasa, drugi w biegu zakładał płaszcz. Dobrze, wiadomość o strzelaninie dotarła i tutaj.

— Myślisz, że rzeczywiście nadchodzi koniec świata? — spytał szpakowaty, przyglądając się Piotrowi Ostrowskiemu, mordercy i spiskowcowi, łypiącemu złowrogo z listu gończego na ścianie obok drzwi elizjum.

— Myślę, że mamy go za sobą — odparł wąsacz. Mdłe światło z sufitu petryfikowało jego twarz w zniszczony posąg.

Szpakowaty zastukał w drzwi. Gdy uchyliły się, weszli do środka. Chwila prawdy, nie pierwsza tego wieczoru. Byli w przedsionku wytapetowanym w jaskrawe, kolorowe kwiaty. Na drodze do drzwi naprzeciw stało dwóch wyrostków, obaj z nippońskimi mieczami przy pasie, odzianych w kuse czarne tuniki. Ich ciała pokrywały wzorzyste tatuaże.

W elizjum broń palna nie jest dozwolona. Jej użycie bywa ekstremalnie niebezpieczne podczas regeneracji.

— Krew stygnie, włos się bieli... — zaczął szpakowaty.

— ... w wieczności upadnięm toń — dokończył strażnik, morderca o twarzy cherubina.

Śmierdzą jak paryskie kurwy, pomyślał wąsacz i pozwolił sobie na chwilę sentymentalnego rozrzewnienia.

Drugi strażnik otworzył im drzwi i, jak na prawdziwego konspiratora przystało, potrząsnął zaciśniętą pięścią. Szpakowaty i wąsacz weszli do elizjum.

W środku było tłoczno. I jednocześnie miękko, pastelowo i ciepło.

Przestronny salon zdawał się pozbawiony ostrych krawędzi i zacienionych miejsc. Łagodne pomarańczowe światło wypełniało pomieszczenie jak gęsta,

spowalniająca rzeczywistość substancja. Delikatna poświata ciekła z sufitu i parowała zza ekskluzywnych mebli, lepiąc się do wysokich, rozrastających się pod sufitem bioideicznych rzeźb, szemrzących arytmiczne melodie wielobarwnych egzemplifikacji szalonej przyrody Kresów. Subtelne krzywizny schodów wijących się ku korytarzom w górze, kolorowe figury z obrazów na ścianach i dziesiątki ludzi zatopionych w ogromnych kanapach, obsiadających stoliki i bar – wszystko falowało hipnotycznie, układając się w niezapamiętywalne wzory. Wzory, które tańcząc leniwie przed oczami, wymuszały rozluźnienie, wolniejsze tętno, relaks.

Elizjum, świątynia relaksu, pełna była jego wyznawców – ważnych bądź pięknych. Ci piękni tu pracowali: kobiety i mężczyźni we wszystkich możliwych odcieniach i smakach, na wpół rozebrani, uśmiechnięci i odprężeni; nawet kelnerzy, strażnicy i muzyk za fortepianem – zawstydzająco atrakcyjni i wiecznie gotowi. Ci ważni to goście: mistrzowie i technicy – kapłani i rzemieślnicy Sztuki, potrzebujący regeneracji i osiągający ją właśnie tutaj, poprzez fizyczną rozkosz. Piękni ludzie łaskiwili się do żołnierzy, inżynierów i profesorów, kusili zapachem, spojrzeniem i gestem, obiecując ekstazę i odprężenie. Tak też opadli szpakowatego i jego towarzysza, roześmiane kolorowe motyle, stworzone, by dawać.

Szpakowaty delikatnie odepchnął od siebie blondynkę, głaszczącą stalowy smoczy pysk na rękojęści jego łaski. Wyminął trzymające się za ręce bliźnięta i obejrzał się na wąsacza. Starzec odmówił wina kelnerowi niejasnej płci, dogonił szpakowatego. Ruszyli schodami w górę.

Elizjum nie dało za wygraną. Poręcz, coraz przyjemniejsza w dotyku, zaczęła się przymilać; gęsty chodnik falował pod stopami jak kresowe łany. U szczytu schodów minęli się z kimś – szpakowaty zapamiętał tylko ciemnoczerwone wargi rozciągnięte w uśmiechu i jeszcze ciemniejsze sutki. Tak trudno im było nie poddać się presji tego miejsca, ciążyły ubrania i obowiązki.

Ciążyła niepodległa Rzeczpospolita.

Wiedzieli, że to już blisko. Szpakowaty denerwował się, mimo że znał takie miejsca doskonale. Pulsowanie w nadgarstkach, przyspieszony rytm serca, wilgotne dłonie chętnie składające się w pięści.

A, do diabła.

Denerwował się właśnie dlatego, że znał takie miejsca.

No i nie znał drogi.

Wstrzymał oddech, zawołał Agnieszkę, otworzył się szeroko i

\* \* \*

leżał zakrwawiony na zimnej posadzce. Obolały, z opuchniętymi ustami i pogruchootanym nosem, rozpaczliwie walczył o każdy oddech. Załzawiony i zasmarkany, patrzył na swoje posiniaczone nogi w porwanych pończochach, oglądał jedną z nich podskakującą nieregularnie, zupełnie mu obcą. Patrzył na kształt przed sobą, mężczyznę bez twarzy i

\* \* \*

zadygotał i oparł się o ścianę. Ale już wiedział.

Ruszył pustym korytarzem, lecz po kilku krokach zawrócił. Wąsacz wciąż stał przy schodach, tępo wpatrzony w falujący w dole tłum.

Szpakowaty znał to puste spojrzenie. Wzrok niewolników dławiących się wyperfumowaną wełną.

Wyrastająca z poręczy seledynowa roślinka zaśpiewała do nich cicho. Spiskowiec zignorował ją i pociągnął wąsacza w głąb korytarza. Tam rozejrzał się i widząc, że są sami, z całej siły dał mu w pysk.

Kiedy wąsacz z trudem podniósł się z kolan, szpakowaty wzruszył ramionami.

— Przepraszam — powiedzieli jednocześnie i uśmiechnęli się nerwowo.

Ruszyli w głąb korytarza, ku prywatnej części elizjum: cesarskiego salonu, w którym dziś, poprzez piękną katarynę przybyłą prosto z Waszyngtonu, regenerować się miał sam Herman Meinhold, nieoceniony mechabiolog Rzeszy.

Drzwi były mocne, bez wątpienia zamknięte od wewnątrz, z tabliczką informującą o zakazie wstępu. Wąsacz zerknął na towarzysza. Szpakowaty spojrział w górę, na wskroś przez pokryty perwersyjnym freskiem sufit.

Nacisnął kłamkę.

Salon był przestronny, ciemny i przytulny jak moskiewskie kazamaty. Słabe światło wydobywające się przez otwarte drzwi jednej z sypialń i dziwnie przerośnięte meble nadawały pomieszczeniu groteskowy i jednocześnie funeralny charakter. Wrażenia dopełniały leżące na środku salonu zwłoki czarnogwardzistów.

Szpakowaty starał się im nie przyglądać. Trupy, które zostawiała za sobą Agnieszka, niepokoiły go. Wyglądały, jakby ktoś pozbawił je kości i dał do zabawy nieludzko silnemu, rozbrykanemu trzylatkowi. Czarnogwardziści musieli być doskonałymi żołnierzami i zaawansowanymi bojowymi technetami, tego wieczoru z pewnością naładowanymi po uszy. Szpakowaty pokręcił głową. Czarnogwardziści, w dodatku bliźniacy. Z jego żoną nie mieli żadnych szans.

Stanęła w progu sypialni, czarna sylwetka na jaśniejszym tle. Szpakowaty i wąsacz minęli ciała żołnierzy i poszli ku niej.

Herman Meinhold siedział na podłodze w kącie sypialni. Nagi, oświetlony mizernym światłem ściennej lampy, jeszcze bardziej niż godzinę temu kojarzył się z wielkim jajem. Przyjrzał się uważnie wchodzącym mężczyznom, wykrzywił wargi w niejasnym uśmiechu.

Tego się nie spodziewali. Meinhold musiał wiedzieć, że umrze tej nocy. Obejrzał to, co Agnieszka zrobiła z jego ludźmi, i wciąż nie okazywał strachu.

— Dzentelmeni ze stolika pod ścianą. — Miał niski, przyjemny głos. —



Francuzi?

Szpakowaty był pod wrażeniem. Dobrze, że była Agnieszka.

— Polacy — wyjaśnił Meinholdowi. — Moją żonę już zdążył pan poznać.

Spojrzeli na nią. Stała przy wysokim oknie, zza ciężkich kotar obserwo-  
wała miasto.

— To jest pan Franciszek Michalski — kontynuował szpakowaty. — Ja  
jestem Piotr Ostrowski.

To miał być decydujący cios. Najbardziej odrażające w całej Rzeszy  
nazwisko zawisło między nimi.

Cios poszedł w gardę: Meinhold tylko uniósł brwi. Po chwili znów gar-  
dził i nienawidził.

— Myślałem, żeś pan jest wyższy, Herr Ostrowski.

Piotr Ostrowski wzruszył ramionami.

— Ciągłe mi to mówią.

— Doprawdy? — Meinhold zerknął na Agnieszkę i zachichotał.

Podłoga skrzypiała cicho pod śmiejącym się Niemcem.

— A teraz porozmawiamy, panie Meinhold — powiedział w końcu Piotr  
Ostrowski. — Porozmawiamy o tym, gdzie znajdę Paulusa.

— Mit.

— Słucham?

— Paulus to mit. Nie istnieje.

— Gdzie znajdę Paulusa?

— Dlaczego miałbym to wiedzieć?

— Bismarck szukał go całymi latami. I tej zimy nagle przestał.

— Więc już go ma.

— Wtedy nie byłbyś w Gdańsku.

— Żałuję pańskiej żony, Herr Ostrowski — westchnął Meinhold.

— Gdyby nie to najście, dowiedziałyby się, jak smakuje porządna, niemiecka

Wurst.

Ostrowski poczekał i wreszcie zapytał po raz trzeci:

— Gdzie znajdę Paulusa?

— Jakaś licha ta gadzina. — Mechabiolog wskazał na rękojeść laski Ostrowskiego. — Lichutka.

Franciszek Michalski odchrząknął z głębi pokoju.

— Agnieszko — powiedział Ostrowski, patrząc Meinholdowi w oczy.

Potem zaczekał, aż żona ośmiesz trzydzięci lat wyteżonych prac nad szczelnością elizjów.

Poczuli to wszyscy trzej. Zatykająca uszy fala zimna, gdy Agnieszka Ostrowska sięgała poprzez Kresy. Gdzieś na końcu ulicy sypnęło szybami po bruku. Podeszła do męża i podała mu duży, chłodny przedmiot. Ostrowski wziął go ostrożnie, nie dotykając jej dłoni. Gdy odwrócił się do Meinholda, wiedział już, że Niemiec powie im wszystko.

Oczy Meinholda mówiły, że niedowierza temu, co widzi. I że się boi. Nagi człowiek boi się całym ciałem, i tak właśnie bał się Herman Meinhold: bezskutecznie chował się za krągłymi ramionami, wciskając miękkie plecy w kąt sypialni.

Ostrowski z trudem powstrzymał uśmiech. To jednak prawda! Długie miesiące ciężkiej, niebezpiecznej pracy nie poszły na marne. I pomyśleć, że z początku w to nie wierzyli – on, Michalski, Dłuski i inni. Niedowierzali, myśląc, że to niemiecki fortel, plotka, podrzucona, by wyprowadzić ich w pole. Bo czy możliwe, aby wielki Herman Meinhold cierpiał na tak szaloną przypadłość? Czy w dzisiejszych czasach, oświeconym wieku Sztuki, pary i zmiany, może w ogóle istnieć tak groteskowa fobia?

Nie wniesiesz broni palnej do elizjum, nie sprowadzisz jej poprzez kresowe pola. Ostrowski miał świadomość, że Agnieszka dokonała niemożliwego, nie pierwszy zresztą raz. Co w tym dziwnego, skoro sama była niemoż-

liwością?

To nie podziw dla jej wyczynu kazał Meinholdowi wpatrywać się w rzecz, którą Agnieszka podała mężowi. Już nawet nie strach, lecz pierwotne, nielogiczne, odbierające rozum i siłę przerażenie. Herman Meinhold śmiertelnie i niewytłumaczalnie bał się bowiem karabinów.

Stojący nad nim Piotr Ostrowski trzymał długi i ciężki, stary dobry karabin Dreyse'a.

### **Z głowy pana Piotra**

Piotr Ostrowski ma świetną pamięć. Dobrze pamięta swój poród.

Pamięta płacz matki i własny, gdy poczuł wprawne, szorstkie dłonie akuszerki. I wrzask, który rozległ się chwilę potem. A wrzeszczały wszystkie – akuszerka, służące i, gdy go jej pokazano, również matka. Darły się wniebogłosy, bo urodził się jego brat.

Ostrowski pamięta, że kobiety sownie przekupiono, by milczały. I rzeczywiście zamilkły. Akuszerkę znaleziono kilka dni później w jej łóżku. Leżała umazana fekaliami i wymiocinami, a jej opuchnięta twarz miała barwę świeżego szczypioru. Jedna ze służących przepadła bez wieści, druga powiesiła się w rupieciarni na dworkowym strychu. Na belce obok dyndała Dagmara Ostrowska, matka bliźniaków.

Piotr Ostrowski pamięta jej pogrzeb w upalne wrześniowe popołudnie, jedno z tych, gdy z wonią Bugu wiatr niósł polem świeży zapach nadchodzącej jesieni. Pamięta, że nie został zabrany na pogrzeb, ale jednocześnie pamięta robaki ożywiające świeżą, mokrą glebę. I zaciętą twarz ojca, ziemistą, mimo zachodzącego słońca malującego okolicę ognistymi jaskrawościami.

Pamięta, że tego samego wieczoru został ochrzczony. Młody ksiądz ochrzcił go w obecności ojca i wysokiego mężczyzny o twarzy schlastanej tuzinem blizn. Pamięta, że ksiądz był pijany i często się zęgał. Szczególnie,

gdy chrzczył drugiego syna Tadeusza i Dagmary Ostrowskich. Piotr nigdy więcej nie ujrzał brata, księdza ani ojca chrzestnego.

Ojca, pogodnego mężczyznę pachnącego alkoholem i ciężką pracą, Piotr Ostrowski pamięta dobrze. Mieszkał z nim w podhrubieszowskim majątku do ósmego roku życia. Potem, by uchronić syna przed nadciągającą nawałnicą, Tadeusz Ostrowski wysłał go najdalej, gdzie mógł. Mały Piotr trafił do Londynu na tydzień przed tym, jak młoda Europa przebudziła się z wrzaskiem, chwyciła za sztandar i broń, by z pieśnią na ustach rzucić się do boju. A po roku krwawych walk dała się zarząć.

Nazwali to Przebudzeniem Ludów, które uderzyły z furią w nieokrzepnięty Zimowy Sojusz. Półtorej dekady po Oświeceniu większość Zimowych Kardynałów wciąż żyła i coraz lepiej wykorzystywała nową wiedzę. Przebudzenie okazało się Sojuszowi dramatycznie potrzebne i niespodziewanie przydatne. Nie dość, że scementowało wymuszony alians, to jeszcze zapewniło gwałtowny rozwój Sztuki. Powstańcy uderzyli bowiem w stary porządek i nową naukę, skwapliwie wieszając francuskich filozofów, gorliwych apostołów Oświecenia, i ścinając pierwszych praktyków: niemieckich, austriackich i włoskich techników. Sojusz zareagował szybko, skutecznie i z okrutną fantazją, wypróbując na chaotycznych i słabo uzbrojonych powstańcach (i znacznym odsetku pechowców stojących po oświeconej stronie) nowe techniki zabijania. To wtedy po raz pierwszy monstrualne rogonosy tratowały oddziały wroga, armatnie kule niosły morową mgłę, a karabinowe pociski gotowały krew w żyłach.

Piotr Ostrowski przeżył wówczas własną rewolucję. Z nadbużańskiej wsi trafił do metropolii pulsującej rytmem setek fabryk. Londyn dał mu nowe życie. I opiekunów – kosmopolityczny odprysk rodu matki: dobroduszną rodzinę Skoneckich, żarliwych wyznawców teorii narodowowyzwoleńczych. Dał też edukację, za którą hojnie i bez żalu płacił stary Ignacy Skonecki. Ale Lon-

dyn podarował Piotrowi coś więcej – siebie: wszystko to, co dorastającemu chłopcu oferować może miasto tej wielkości, jeśli tylko chłopiec mieć będzie dość odwagi i swobody, by się nim zachłysnąć.

To właśnie w Londynie, kilka lat później, Piotr dowiedział się, jak zginął jego ojciec. Tadeusz Ostrowski został rozstrzelany za kierowanie akcją niszczenia pierwszych, wtedy wciąż nieformalnych elizjów w Kongresówce. Londyńscy opiekunowie Piotra nie chcieli uwierzyć, że ten zwalisty mężczyzna o łagodnej twarzy miał na rękach krew prawie stu Polaków i osobiście zastrzelił kilkanaście młodych kataryn. Piotr Ostrowski, pamiętający pogrzeb matki i pijanego księdza żegnającego się nad jego bratem bliźniakiem, nie miał wątpliwości, że tak właśnie było.

### **24 kwietnia 1876, miejsce spotkania: tajne**

Krótką msza zakończyła się adoracją Najświętszego Sakramentu. Gdy dwudziestu mężczyzn podniosło się z klęczek, służący poprowadził ich do salonu. Franciszkanin, który odprawił liturgię, poszedł z nimi. Wędrowali wąskimi korytarzami, zimnymi przestronnymi galeriami i kolejnymi schodami, wciąż w dół i w ponurym półmroku. Ostrowski nie byłby zaskoczony, gdyby okazało się, że nagle znaleźli się pod wielką drukarnią Messera, sześć przecznic od klubu, do którego o zachodzie słońca weszli z Franciszkiem Michalskim.

Salon okazał się przestronną biblioteką o niepokojąco wysokim stropie. Lampy na stolikach pomiędzy fotelami tworzyły owal dwudziestu kilku świetlnych punktów, rozjaśniających zbiory ułożone na ciężkich dębowych półkach. Przypominało to Ostrowskiemu celtyckie rytuały odprawiane dawno temu przez jedną z jego młodzieńczych angielskich kochanek. Tysiące woluminów pachniało, Piotr Ostrowski smakował ten zapach. Lubił książki, choć nie lubił ich czytać.

Mężczyźni stłoczyli się wokół zakonnika, który niespodziewanie wyczarował barek na kółkach w kształcie Wawelu. Po chwili rozsiedli się w fotelach z kieliszkami w dłoniach, sięgnęli po cygara, fajki i pochylili ku sobie pochmurne oblicza. Polacy, patrioci, spiskowcy przygotowujący wielkie powstanie.

— I jak Poznań, Wojciechu?

— Całe koszary po mojej stronie. Do końca maja będziemy gotowi.

— Dobrze. My też kończymy. Tylko z Żydami negocjować trudno, bo...

— Jak Bóg da, to i ja do lata gotowy będę.

— ... potrzebują tych wschodnich techników do prac przy Nowym Jeruzalem. No i niełatwo im wmawiać, że my Chorwaci.

— Więc niech da. Musi, panie Zakrzewski, musi Bóg dać.

— Przecież wy sami nie wierzycie, że oni to przedstawienie chorwackie kupują. Szczęście, że z Sojuszem im teraz nie po drodze. Papież pogodzić się nie może, że mu się zjeżdżają i miasto pod nosem budują. A oni są ostrożni. Zbroją się. Chowają za mur.

— No co też ksiądz... Robimy, co możemy, dzień i noc się po wsiach jeździ, czyta ludziom, tłumaczy...

— Nie ma się co dziwić. Poradził sobie Sojusz z Francją? To...

— Właśnie dzięki Żydom.

— ... i z nimi dałby radę.

— Inna ta ich Sztuka, jakaś...

— Prawda, inna.

— Są już plany rozbicia oblężenia warszawskiego?

— A co Londyn?

I tak się toczyło. Padały kolejne pytania i przestrogi, padały solenne zapewnienia, raczej zaklęcia i modlitwy niż chłodne deklaracje. Ostrowski niecierpliwił się. Pił wino i milczał, zatopiwszy się w fotelu i gęstym, nikoty-

nowym dymie. Słuchał tych wszystkich drugorzędnych od dawna spraw.

— Na Wschodzie wszystko układa się pomyślnie. Wojna wybuchnie lada dzień.

— Ale Mikołaj zostawił tu armie Suworina i Pietrowa. Dwie więcej, niż myśleliśmy.

— Pietrowa przeniesie, jak tylko żółte hordy rozpoczną ofensywę.

— Nie przeniesie. Wtedy będzie za późno.

— Syn wrócił z Nipponu, widział ludzi-ptaki.

— Boskie Podmuchy?

— Jedzą jakieś łajno, które wybucha, gdy pęka żołądek. A potem wyskakują ze sterowców, rozpościerają sztuczne skrzydła i szybują. Jeden na pięciu trafia w małą ruchomą łódkę. Ekspłoduje co drugi.

— Mikołaj wie, że czasu coraz mniej. W Moskwie strzelają, do kogo popadnie.

— Boi się, skurwysyn.

— Gdy tylko skończą kłaść szerokie tory, da pod Warszawę behemota. Całe wsie szły w powietrze, jak go Iwanow próbował.

— Do Warszawy nie dojadą.

— Ufam, panie Dłuski.

I tak się toczyło, Ostrowski pił wino, milczał, patrzył po obecnych. Stary Michalski, oddany przyjaciel, wciąż krzywił się, gdy słuchał, że mu Żydzi w ukochanej Francji Nowe Jeruzalem budują. Przystojny, pewny siebie Dłuski, błyskotliwy i odważny, i przywiązany do niepotrzebnej przemocy. Poczciwy, zręczący społecznik Michałowski, ksiądz Buczkowski, pedagog i esteta, cyniczny fabrykant Maciejewski – wszyscy mówili wiele, nie mówiąc jednocześnie najważniejszego. Że tym razem ma się udać, bo nie popełnią błędu sprzed ćwierćwiecza i będą mieć Sztukę po swojej stronie. Dlatego odnajdą Paulusa, jak zdecydował gospodarz spotkania i mózg całego spisku. Zresztą

imię gospodarza również nie padło, krążyli wokół niego bezosobowymi formami i zawołowanymi omówieniami. Co w tym dziwnego, skoro był dla nich jedną z legend, patriotycznym mitem, równie odległym, obcym i nieprzeniknionym, co Bóg, do którego modlili się przed godziną? Wcześniej widział go tylko franciszkanin Michał, jego rzecznik i posłaniec. Za chwilę pana Adama ujrzeć miał Piotr Ostrowski.

Gdy nadszedł czas, przyszedł służący, a towarzystwo pożegnało Ostrowskiego milczeniem. Kolejne korytarze, kolejne schody, wreszcie duże, bogato rzeźbione drzwi, na których Matka Boska z Dzieciątkiem na ręku spoglądali czule na husarię szarżującą na rosyjskie pancerne rogonosy. Służący otworzył drzwi.

— Mistrz czeka.

Przekraczając próg, Ostrowski wytarł o spodnie mokre od potu dłonie.

W środku było ciepło i czerwono, były kable i szafa. Dziesiątki kabli, pna-czy, lin, rur i rurek wyrastały z mechatycznych ścian koloru krwi. Splątane w pulsujące biomechaniczne warkocze, ciągnęły do starej szafy, w której suficie i ścianach niknęły równymi rzędami. Zza jej uchylonych drzwi dobiegał ledwie słyszalny mechaniczny pomruk.

Piotr przełknął ślinę, podszedł do szafy i ją otworzył.

Zaskrzypiało.

Ostrowski szarpnął się do tyłu.

W środku wisiało ciało. Mumia właściwie, sucha i zmarszczona niczym stare jabłko, z małą, jakby niemowlęcą głową, zwieszoną na wiotkiej szyi.

*Nie może być!*

Wisiała w chrystusowej pozie na szemrzących kablach, rurkach i łodygach, szczelnie oplatających jej wiotkie ręce, nogi i zapadniętą pierś. Śmierdziała zepsutym jedzeniem.

*On nie jest tak stary!*



Ostrowski przyglądał się zaschniętym wypryskom na czubku niewielkiej głowy. Milczał, nic nie rozumiejąc.

— Dotknij mnie — zaskrzeczała mumia.

Pokojem zakołysało.

— Dotknij mnie — powtórzyła z wysiłkiem, wysokim, starczym i jednocześnie dziecięcym głosem. Jeden z wyprysków na jej głowie pękł, uwalniając gęsty, żółty płyn.

Ostrowski odetchnął głęboko i dotknął mumię. Wtedy powędrowali daleko.

### **Z głowy pana Piotra**

Piotr Ostrowski nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Sypiał ze swoją przyszłą żoną dobre pół roku, zanim w ogóle ją polubił. Robił to regularnie i często, więc cenił się wysoko, a Agnieszka płaciła bez prób zbijania ceny. Przez drugie pół roku interesował się nią jednak coraz bardziej, co nie było łatwe, skoro najmniejsza część jej ciała, każdy gest, odruch czy jęk był mu znajomy bardziej niż własny. Ale udało się i po wygaśnięciu umowy Piotr i Agnieszka nie rozstali się, jak odgrzali się wcześniej. Wzięli ślub, gdy tylko kontrakt przestał obowiązywać. I choć Ostrowski nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, wtedy uwierzył w miłość aż po grób. Czas miał pokazać, że będzie to miłość trwająca dłużej.

Wynajęła go na rok, bo czekało ją dwanaście miesięcy ciężkiej pracy. Była jednym z najlepszych badaczy nowej nauki w Królewskiej Akademii Sztuki, ale jednocześnie była badaczem najbardziej niedocenianym. Jej polskie pochodzenie i uroda nie pomagały – będąc jedną z najlepszych biotechnerów na Wyspach (jako kobieta nie miała szans na ścieżkę mistrzowską nawet w Londynie), Agnieszka Potocka stanowiła kuriozum w skali całej Akademii. Kuriozum, które lekceważono, ale i którego się obawiano. Szczególnie odkąd

w mieście głośno zrobiło się o woterkach, domagających się praw wyborczych dla kobiet i przyłączających się do coraz śmielszych pokrzykiwań o demokratyzację Sztuki.

Agnieszka nie miała szans na pracę przy militarnych badaniach czy eksploatacji Kresów (w tym czasie opracowywano alternatywne – do modlitwy, snu i medytacji – wejścia), jej ostatnim projektem była praca nad modyfikacjami warzyw. Program przewidywał rok badań, potrzebowała więc regularnej zewnętrznej regeneracji. Zdecydowała się na kataryna.

Poznała go na polskim balu u Skoneckich. Arogancki trzydziestolatek, absolwent Royal Military Academy, błyskotliwy, pyskаты i uparcie uśmiechnięty, mimo miotanych przez nią złościwości. W dodatku zdawał się zupełnie pozbawiony lśnienia, co znaczyło, że byłby bezpiecznym katarynem. Po dwóch godzinach zacieklej pojedynków na nieistotne słowa i istotne gesty Agnieszka Potocka, pijana bardziej niż jej się wydawało, zaproponowała mu roczny kontrakt. Rzucił cenę. Zgodziła się. Nie należała do ludzi cofających wypowiedziane słowo.

Przez rok wszystko się zmieniło. Był ślub, cudowny kwiecień, cudowny maj, po nich cudowne dni czerwca: pierwszy, drugi i trzeci. Czwarty był zły. Czwartego dnia widział ją po raz ostatni. Zanim wyjechała, kochali się. A wtedy wokół nich z nieba zaczęli spadać ludzie.

Wywalczyła sobie wyjazd do Wiednia, na seminarium poświęcone biomedycynie. Piotr został w Londynie, pan Skonecki zorganizował mu ważnych gości: polskich emigrantów ze zburzonego Paryża.

Dzień przed jej wyjazdem udali się na pożegnanie do Królewskich Ogrodów w Kelneday. Czwartego czerwca żegnali się o świcie, w akademickim Ogrodzie Julii, wśród setek nowych kwiatów o wyrazistszych kolorach i intensywniejszych zapachach, tańczącymi miękko na wietrze, śpiewającymi do ptaków i gorącego czerwcowego słońca. On całował jej uda, ona pachniała pożą-

daniem, a kwiaty mruczały razem z nią. Potem przewróciła go na plecy i, śmiejąc się, usiadła na nim. A wtedy kilka metrów od nich z bezchmurnego nieba z wrzaskiem runął człowiek. Uderzył o ziemię, opryskując Agnieszkę wnętrznościami.

Jej krzyk, drugi huk, po nim trzeci i czwarty. I przejmująca cisza.

Wytarli się, ubrali i, wciąż oszołomieni, obejrzelili ciała. Zupełnie roztrząskane, spadły z bardzo wysoka. Mężczyźni w wielkich przyciemnianych goglach, skórzanych kaskach, ubrani w uniformy eksploratorów Akademii. Ekspedycja badająca kresowe wiszące mosty. Tamtego ranka ich misja zakończyła się oczywistym niepowodzeniem.

Wieczorem Agnieszka wyjechała. A trzy tygodnie później skończył się świat – Piotr Ostrowski dowiedział się, co zrobiono jego żonie. Być może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wtedy nie było przy nim Franciszka Michalskiego i innych gości z Paryża. Ale byli. Wzięli go ze sobą i pozwolili działać.

### **24 kwietnia 1876, Kresy**

— Zastanawiasz się, Piotrze Ostrowski? Dociekasz, czy to, co widziałeś w szafie, to byłem ja?

— Nie, ja...

— Tak. To byłem ja.

— Pan.

— Zatem który z nas jest bardziej mną?

— Słucham?

— Truchło w szafie czy mężczyzna w modnym kubraku, stojący teraz przed tobą?

— Proszę mi wybaczyć, ale takie kubraki wyszły z mody dwadzieścia lat temu.

Pan Adam uważnie przyjrzał się Ostrowskiemu. Ostrowski przyglądał się panu Adamowi. Czy pan Adam tak kiedyś wyglądał? Czy tak się nosił? Paryski krawiec, turecki szewc, śnieżnobiały jedwab pod szyją. Gdy zdecydowanym ruchem odgarniał czuprynę z czoła, kiedy pamiętał, by wydatny podbródek trzymać wysoko, ciało pana Adama anonsowało: oto wieszcz.

— Możesz mi mówić: panie Adamie — powiedział pan Adam z uśmiechem, który Piotrowi wydał się lekceważący.

Ostrowski milczał. Mężczyzna z jedwabiem pod szyją zakomenderował:

— Przejdźmy się.

I poszli kresową łąką, w gęstej, łagodnej trawie koloru dojrzałych pomarańczy. Ostrowski rozejrzał się. Kresy nieznacznie różniły się od tych, do których trafiał we śnie: pagórki były wyższe, rośliny większe i częściej występujące. I tylko przyjemny, odświeżający chłód pozostał ten sam.

— Urodziłem się siedemdziesiąt osiem lat temu — powiedział pan Adam i wskazał na wzgórze, ku któremu ruszyli. — Sztuka — dodał i zamilkł. Ostrowski pojął, że nie czas na pytania.

— Sztuka. Gdy tylko przysła, rzuciłem się na nią — podjął pan Adam. — Rzuciłem, rzecz można, żarłocznie. Gdzieś nie trafił, najpierw była ona, na Południu, w Paryżu czy na Wschodzie. Szybko zrozumiałem, że czas literatury mija. Że literatura poczeka. I wszędzie studia, książki, modlitwy i medytacje. Przemiany, kreacje, destrukcje. To dla mnie czas wielkich sukcesów i wzruszeń. I porażek, po których pracuję więcej i więcej. To Sztuka uczyniła mnie tym, czym zastałeś mnie tam, w sanktuarium. I tym, kim jestem tu i teraz, z tobą, Piotrze Ostrowski. — Pan Adam zatrzymał się, rozłożył ręce. — Wiele straciłem. I zyskałem wiele. — Spojrzał w różnobarwne niebo. — Niezbadane są wyroki.

— Boskie?

— A cóż innego dać mogło tę olbrzymią moc? Tę niewyobrażalną siłę?

Sztuka to wspaniały bat, to lśniący, czysty kij, nawołujący do samodyscypliny i pokory. Wiele wymaga, bo stanowi zaiste wielką obietnicę. Daje nam Kresy, rajskie przedsiönki, musi więc wymagać wiele.

— A praktyki w elizjach? — spytał Ostrowski.

Uniesiona brew pana Adama pokazała Piotrowi, jak przyziemne to było pytanie.

— Sztuka i Kresy zmusiły nas do rewizji obrazu człowieka i świata — wyjaśnił pan Adam, ruszając przed siebie. — Dlaczego nie mielibyśmy więc zrewidować boskiego obrazu? Nie pierwszy zresztą raz?

Ostrowski dotrzymywał kroku.

— Widzisz, Piotrze, z dołu trudno o pełną perspektywę. Franciszek Michalski na ten przykład, twój wierny druh i przyjaciel, od kilku lat należy do pewnego stowarzyszenia, rzecz można niekoniecznie ostentacyjnego, które zapamiętałe oddaje się ciężkiej pracy wyrzynania co zdolniejszych ludzi Sztuki. Niezależnie od ich pochodzenia czy strony, dla której pracują. Pan Michalski i jego tajemni przyjaciele są nieliczni, dobrze zorganizowani i skuteczni. — Pan Adam uśmiechał się szeroko. — Dziwię się, że pan Franciszek w ogóle zaszczyił mnie dziś swą obecnością. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem. To na swój sposób akt odwagi.

Piotr czuł napływające fale gorąca.

— Franciszek?

— Mówiłem, z dołu widać niewiele. To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż wam się wydaje. Dużo bardziej. Myślicie, że trzeba uderzyć w zaborców, mocno i zdecydowanie, jak nigdy przedtem i że to wystarczy. Bo tym razem nie wystąpimy przeciw Sztuce, tym razem Sztuka będzie z nami. Paulus. Twoja żona. Hm... tym razem to *my* będziemy Sztuką. I Moskwa sobie nie poradzi, zajęta wojną na Wschodzie. Austro-Węgry rozpadną się wreszcie, a Rzesza nas nie powstrzyma, bo będziemy gryźć, aż puszczą nas wolno.

Piotr słuchał.

— Wciąż liczycie — podjął pan Adam — kto wie, może i słusznie, że Zimowy Sojusz odpuści i da nam choć część tego, co zechcemy, bo zajęty pacyfikowaniem Francji, przestraszy się potęgi Nowego Jeruzalem i szantażu Brytyjczyków. Może tak będzie. A może nie.

Weszli na szczyt niewielkiego wzniesienia. Pan Adam wydał wargi i patrzył na horyzont. Piotr zrozumiał, że na coś czekają.

I wtedy zdarzyło się: zza wzgórza przed nimi poczęły wypełzać ku niebu świetliste linie. Pięć, nie, sześć złocistych szlaków wdrapywało się ku wielobarwnemu sklepieniu. A gdy były wysoko, Ostrowski nie umiał ocenić jak bardzo, ale gdy były naprawdę wysoko, rozbłysły jeden po drugim, po czym zniknęły, nie zostawiając śladu.

— Piękne — powiedział.

— Prawda? — zgodził się pan Adam.

— To były czyjeś modlitwy?

— W pewnym sensie. — Pan Adam uśmiechnął się. — To byli terroryści.

— Och. — Ostrowski nie umiał ukryć zaskoczenia. — Terroryści?

— Terroryści. Godzinę temu z wiedeńskiego dworca wystartował żywołot do Łodzi. Kiedy wylądował, w najdroższej z kabin, tej z wyjściem na Kresy, znajdą sześć ciał. Bogaci fabrykanci, Polacy, Niemiec, Austriacy. Wszyscy, sprawiedliwie, z wypalonymi mózgami.

— Ich przedsiębiorstwa pracują dla Sojuszu?

— Nie. Rozpędzali strajki. Gazem i kulami.

— Te świetliste linie to terroryści?

— Powiedzmy, że ich dobra wola. Dużo dobrej woli sześciu młodych mężczyzn z Drezna. Pracowali na to miesiącami. — Pan Adam odwrócił się do Ostrowskiego. — Rozumiesz teraz? Już dawno nie ma jednej linii podziału.

— Jest cała szachownica. Jakby.

— Szachownica! Ba! Na tę szachownicę, skomplikowaną jak nigdy wcześniej, nakłada się kolejna. Na nie jeszcze jedna. Weźmy pana Franciszka Michalskiego. Chce bić się o Polskę z Niemcami i Moskalami. Nienawidzi Żydów, chyba się ich boi, ale pomaga kupować od nich formuły i hodowlinę. Żydzi sprzedają je tylko dlatego, że polskie uderzenie w Rzeszę jest im na rękę, bo wtedy wydrą jej jak najwięcej ścierwa Francji. I tenże Michalski rano spiskuje przeciw Niemcom, a wieczorami wojuje przeciw Sztuce. I powinniśmy go jeszcze spytać, co sądzi o łódzkich łamistrajkach. Albo brytyjskich kobietach, którym zachciało się sprawdzać, jak wygodne są męskie portki. Bo prędzej czy później przestaną być tylko powodem do kpin przy cygarze. Nie ma jednej linii podziału. Nie może być, do diabła. Obudź się!

Piotr nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył w horyzont, w biegnące donikąd wiszące mosty.

— Witaj w nowych czasach, Piotrze Ostrowski.

Pan Adam przetarł chustką mokre od potu czoło.

— To wszystko dzieje się za szybko — powiedział Piotr.

— Dopiero będzie szybko. Bo dopiero teraz zaczynamy sobie jakoś radzić. To pierwsza dekada, gdy w miarę bezpiecznie odrywamy się od ziemi. I zaledwie druga, gdy nowe rośliny nie trują, broń częściej trafia w cel, niż wybucha w rękach strzelającego. Wciąż uczymy się Sztuki, regeneracji, Kresów. I siebie na nowo. Bo wciąż pudłujemy.

— I pudłować będziemy.

— No oczywiście! Doceń to, na twoich oczach powstaje nowa fizyka, nowa filozofia i teologia! I czasem nawet umarli wracają — pan Adam skończył szeptem.

Ostrowski poczuł, że się czerwieni.

— Warszawa — mruknął wreszcie.

— Co: Warszawa?

— Warszawa płonie.

Pan Adam pokręcił głową.

— Warszawa gaśnie. Ale prawda. Moskale nie mieli prawa eksperymentować w ten sposób. Sztuka nie jest dla barbarzyńców. Igrali z ogniem, toteż ogień sprowadzili.

— Na całe miasto. Tam wciąż są Polacy.

— Polują na siebie, jedzą się nawzajem. Opętani albo...

— Polacy.

— ... szaleni. Pewnie jedno i drugie. Czczą złe, obce bóstwa. Biją pokłony przed potworami w ich własnych głowach.

— Polacy. Płoną dwudziesty rok.

— Warszawa gaśnie — powtórzył pan Adam. Znow był cierpliwy i spokojny. — A grzybsta przestaje rosnać.

— Grzybsta wciąż idzie w górę.

— Tylko dlatego, że Bismarck wspólnie z Aleksandrem odcięli to nieszczęsne miasto od świata i walą w nie, czym popadnie! Tylko dlatego grzybsta jeszcze nie poczęła się cofać. Im taka Warszawa jest potrzebna. Im potrzebny symbol. Symbol potęgi własnej i potęgi Sztuki.

— I poligon.

— I poligon — zgodził się pan Adam i uśmiechnął się do czegoś za plecami Ostrowskiego. — A nam potrzeba Paulusa. Wykorzystamy jego potencjał i z Bożą pomocą wygramy.

Piotr odwrócił się. Na kresowym horyzoncie pełzł cień karnawału.

— Meinhold nie kłamał — powiedział pan Adam. — Tam go znajdziemy.

— Jeśli Sojusz nie będzie pierwszy.

— Nie będzie. Domyślają się, że ma go Wodzirej, ale nie mogą go dostać. Wodzirej nie chce pertraktować, Sojusz boi się ich zbombardować, więc próbują inaczej. Przedwczoraj Niemcy znow uderzyli. O świcie, pozorując atak



żydowskich gwardzistów. Skończyło się jak zwykle. Kilkudziesięciu Niemców, którym udało się uciec, cały dzień rzygało żywymi robakami. A o zachodzie słońca pomarli.

— Więc skąd ta pewność, że Wodzirej będzie rozmawiał z nami?

— Będzie rozmawiał z tobą.

— Bo myśli, że próbowałem wykończyć Bismarcka?

— Wodzirej musi wiedzieć, że ten zamach był farszą.

— Więc dlaczego chce właśnie mnie?

— Bo tam jest twój brat bliźniak — powiedział spokojnie pan Adam.  
— I Wodzirej o tym wie.

Kresy ruszyły. Zawirowały szaleńczo, szybciej i szybciej, z Piotrem Ostrowskim w środku. Wciąż stał i patrzył na pana Adama, próbując go słuchać, lecz jego głowa krzyczała, że Kresy ożyły i szaleją, rzucając nim coraz gwałtowniej. Pan Adam tłumaczył coś, ale pan Adam był daleko, w wielkiej śmierdzącej szafie stojącej w mechatym pokoju koloru krwi. Ostrowski słuchał i nie słyszał. Znów był na pogrzebie matki, widział, jak żegna ją ojciec i jak żegnają ją brzozy, wśród których spoczęła. Znów chrzcili go w ciemnym pokoju mężczyźni o zaciętych twarzach, wychylali kolejne butelki i żegnali się raz za razem, lejąc wodę na głowy Piotra i jego brata.

Jego brat żyje? Jest w Karnawale? I skąd o tym wszystkim wie ten człowiek? Kalejdoskop szalonych złych snów dopadł go nagle, po czterdziestu latach. Dopadł i ścisnął za gardło, odbierając oddech i rozum.

Pan Adam zrozumiał, zamilkł i poczekał.

— Jak się tam dostanę? — Piotr Ostrowski ledwo poznał własny głos. Chryste, tak bardzo chciał się napić. — Zabiją mnie, jak tylko podjadę na odległość strzału.

— Wiem. Toteż zaryzykujemy i spróbujemy inaczej. Przez miejsce, z którego do Karnawału jest ponoć najbliżej.

Ostrowski wcale nie chciał zadać tego pytania.

Cóż z tego, że nie chciał.

— Co to za miejsce?

Mężczyzna z jedwabiem pod szyją uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Warszawa.

### Z głowy pana Piotra

Piotr nie uwierzył, gdy dostał wiadomość, że Agnieszka Ostrowska nie żyje. Że życie żony zakończyło się na brudnej podłodze gospodarczego pomieszczenia wiedeńskiej Akademii. Że została zakatowana na śmierć. I że nie znaleźli tego, kto to zrobił.

Złudzenia prysły kilka dni później, o północy, w trakcie niespokojnego pijackiego snu, w drodze do Wiednia. Gdy pancerny ekspres przedzierał się przez płonące zgliszcza szarpiącej się ostatnimi siłami Francji, Piotr Ostrowski trafił daleko.

Leżał, lecz zamiast podróżnej pościeli, była zimna posadzka. Zakrwawiony, obolały, z opuchniętymi ustami i pogruchotanym nosem, rozpaczliwie walczył o każdy oddech. Załzawiony i zasmarkany, patrzył na swoje posiniaczone nogi w porwanych pończochach, oglądał jedną z nich podskakującą nieregularnie, zupełnie mu obcą. Patrzył na kształt przed sobą, mężczyznę bez twarzy, zapinającego spodnie. Patrzył, jak tamten sięga po niepozorny nóż.

Przebudził się z krzykiem. Zwymiotował na buty śpiącego obok pana Franciszka, jednym haustem dokończył flaszkę i znów zwymiotował. A wtedy zrozumiał.

Później, przez kolejne lata, to wracało. Dziesiątki razy, im zacieklej się bronił, im bardziej rozpaczliwie starał się uciec, tym częściej znów leżał tam, w kanciapie, zdany na łaskę widziadła bez twarzy i przeżywał śmierć żony.

Aż wreszcie Agnieszka wróciła.

Rok temu, tuż po Wielkanocy, w Kazimierzu. Pan Piotr spacerował o wschodzie słońca wzdłuż Wisły, a ona po prostu nadeszła z naprzeciwka. Z upiętymi wysoko włosami, odziana w czarną suknię w maki. Tę, w której Piotr ją pochował. Zatrzymała się przed nim i uśmiechnęła niepewnie. „Wróciłam” – powiedziała. Była piękna. Kwietniowy wiatr przyniósł zapach: woń jej skóry, kwiatów z jej sukni i świeżego grobu.

Piotr padł na kolana, a ona poczęła znikać, rozmywać się, blaknąć. Jęknął, wyciągnął drżącą dłoń, po chwili zrozumiał, że Agnieszka nie znika, że to jego łzy.

Powtórzyła wtedy, że wróciła. Że on nie może jej dotknąć, że nikt nie powinien, ale pewnym ludziom, jak Piotr, nie wolno w szczególności. Wyznała, że odnalazła człowieka, który jej to zrobił. Że już wie, czym jest Sztuka, że dopiero teraz ją rozumie i ma nadzieję, że Piotr też kiedyś to pojmie. Dojdzie do tego samodzielnie, ponieważ nie ma innego sposobu. Na koniec oświadczyła, że chce pomóc. Dlatego będzie wracać częściej.

Ukrył twarz w dłoniach, zebrał siły, po czym zerwał się ku niej. A jej już nie było.

Wróciła tydzień później i potem zjawiała się co jakiś czas, czasem na godzinę, czasem nawet na kilka dni. Od tamtej pory Piotr nie był w Anglii, a dla nowych towarzyszy, którzy nie znali jego żony, pozostał wdowcem. Agnieszka miała przybyć z daleka, z Bostonu, by im pomóc. Uwierzili wszyscy, prócz Michalskiego i wysłanników pana Adama.

Gdy Piotr pytał ją, jak tam jest, odpowiadała, że ciągle jej zimno. I że jest grzybsta. Gdy zdjęty najgorszymi obawami dopytywał, co ma na myśli, ona wycofywała się, a gdy naciskał, odchodziła. Nie mówiła nic więcej, a on czuł się zbyt mały i ograniczony.

Agnieszka Ostrowska wróciła potężna. Piotr nie wiedział nawet jak bardzo, domyślał się tylko, widząc, czego potrafi dokonać. Patrzył, z jaką łatwo-

ścią niszczy, deformuje i zadaje cierpienie. Obserwował, z jaką swobodą zabija. Robiła to dla niego i jego ludzi. Piotr jednak wiedział, że sprawia jej to przyjemność.

Raz złamał obietnicę i dotknął jej dłoni. Zagrzmiało, tysiące gromów ryknęły jak jeden, a świat rozpadł się na najdrobniejsze kawałeczki. Obudzili go tydzień później, opowiadając, że wynieśli go z płonącego pokoju i od tamtej pory gorączkował, nieprzytomny, mamrocząc na zmianę imię Agnieszki i swojej matki. Nigdy więcej nie próbował dotykać żony. Jej obecność nie stała się jednak dla niego łatwiejsza.

Kiedyś spędzili ze sobą cały dzień. Jeździli dorożką po mieście, spacerowali po parku, wieczorem zjedli kolację we dwoje. Rozmawiali o wszystkim, co nieistotne, Agnieszka uśmiechała się często. Tamtej nocy Piotr poprosił ją, by zdjęła suknię. Zrobiła to. Stała naga i milcząca, pozwalając, by rzeźbił ją księżyc i jego wyobraźnia. Piotr klęknął, wyciągnął ku niej rękę. Trwali tak długo. Ona wreszcie podniosła suknię i wyszła z pokoju. Gdy wypadł za nią na korytarz, już jej nie było.

Ostrowski zobaczył ją jeszcze tej samej nocy. Ujrzał twarz żony, gdy z furią pieprzył tłustawą dziwkę na trzecim piętrze pobliskiego burdelu. Agnieszka była za oknem, patrzyła na nich w milczeniu.

To wtedy odeszła na najdłużej. Wróciła dopiero po miesiącu.

A Piotr przypadkiem dowiedział się, że kobieta, którą wtedy odwiedził, spłonęła jeszcze tamtej nocy, we własnym łóżku.

### **Warszawa > Grzybsta > Kresy > Karnawał**

By móc trafić do piekła, Piotr Ostrowski ogolił całe ciało i kazał wytatować je w węże i krucyfiksy. Ostatniej nocy spędzonej wśród towarzyszy upił się z panem Michalskim, a nad ranem, wciąż pijany, dał sobie wybić większość zębów i kazał się wybatożyć niemal do nieprzytomności. Dopiero wtedy

nabrali pewności, że nie będzie się rzucał w oczy, gdy dołączy do jednej z procesji biczowników pielgrzymujących do płonącego miasta, oblężonego przez wojska sojuszu.

A potem było odcięte od świata, nieustannie bombardowane miasto. Piekiło na ziemi. I ziemski przedsiónek piekła.

Piotr utonął w Warszawie.

Nie było w niej czasu. Dni, miesiące i lata skrzeczały perfidnie ignorowane, czas bowiem skończył się na ostatnich rosyjskich posterunkach obserwujących tryskającą czarnym płomieniem zdetronizowaną stolicę. Nie było czasu, więc Warszawa jednocześnie ginęła i rodziła się, raz za razem, w nieskończoność, zapadając się pod zimnymi eksplozjami i powstając, większa, potężniejsza i rozwścieczona.

Nie było miejsca. Znikły przestronne place i szerokie ulice, dławione przez grzybstę, która z zimnych płomieni, gruzów, ciał walających się po rynsztokach i z posłusznych mieszkańców miasta niestrudzenie lepiała pulsującą strukturę, w której lecące z nieba trujące ścierwa robiły za budulec kolumn, a zmęczone, lecz czujne oczy warszawiaków inkrustowały wymyślne portale mostów łączących coraz wyższe zabudowania. Miasto puchło do wewnątrz – niektóre przejścia były tak wąskie, że Ostrowski szybko musiał odcinać dłonie, które niezdarnie sięgały ku niemu z kleistych ścian.

Rąbał więc na prawo i lewo, a później pożywiał się, zadowolony.

Nie było światła. Warszawa połknęła je już dawno, by móc rzygać lepkiem mrokiem, który rozlewał się teraz po nieforemnych truchłach ulic. Ciemnością chlustały bomby sojuszu, niszcząc kolejne przyczółki grzybsty, ciemnością była i sama grzybsta – uparcie wylizywała rany i wciąż pchała się wyżej i wyżej. Nie było światła, nie było dnia i nocy: jakkolwiek wysoko Ostrowski próbował się wspiąć, i tak nie zdołał dostrzec choć skrawka błękitu czy tarczy księżyca. Za każdym razem, gdy zadzierał głowę, jego wzrok odbijał się od pulsu-

jącego sklepienia z dymu i cieni rzucanych przez kolejne piętra, wieże, dzwonnice, platformy, iglice, posągi i krzyże. I gdy kilkakrotnie myślał, że to już, że dojrzał kołujące w górze robale z żywołów, po chwili orientował się, że to tylko imitujące kształty sterowców, przelewające się wysoko, jęczące kompozycje z ludzi i cegieł. Warszawa kpiła ze swych przeciwników.

Nie było w niej życia. Ostrowski snuł się wykrzywionymi ulicami, mijał zdeformowane postaci. Jedne walały się pod nogami, nieruchome, mniej lub bardziej kompletne. Inne przemykały wokół niego ścieżkami wytyczanymi przez najgłębsze z cieni. Czaiły się w bramach, oknach i podwórkach, patrzyły spode łba czujnym, głodnym, przerażonym wzrokiem. Czasem obserwował, jak wygrzebują się z wilgotnej nadwiślańskiej ziemi, dezorientowani, dygoczący i na wpół ślepi: wiotkie ofiary głodu, włoscy najemnicy podziurawieni przez kule, krnąbrni czarnoskórzy robotnicy, opuchnięci angielscy zbrodniarze. Patrzył, jak do tych najsłabszych dopadają warszawiacy. Wszyscy martwi.

Nie było litości, nie mogło być. Pan Piotr bronił się przed tym, a potem przestał się bronić. Złamał kark kobiecie, którą spotkał na swej lepkiej drodze, wziął jej siekierę i ruszył nad Wisłę. Kresowa trawa wyrastająca spomiędzy kostek brukowych mruzczała z aprobatą.

Nie było snu, nie było ciepła, nie było wytchnienia.

Była za to grzybsta. Była wszędzie. Larwa, gigantyczna i tłusta, bez początku i końca, o lepkiem niekończącym się cielsku koloru świńskich jelit i średnicy wagonu kolejowego. Oplotła miasto, wgryzła się w nie w tysiącach miejsc i pełzła we wszystkie strony, przez ruiny zamku, pałaców i kamienic, przez ulice, place, kanały i Wisłę, wciąż mlaskając, dygocząc, parując z wysiłku. Grzybsta była latarnią – rozedrgany flak pulsował trupioblądą poświatą, lepiącą się do strzaskanych murów. Grzybsta była opiekunką – pozwalała swoim podopiecznym wtulać się w cuchnące cielsko i posilać płynem ciekącym z nabrzmiąłych wyprysków. Grzybsta była architektem rekon-

struującym bombardowane miasto – dźwigała je, składając ze wszystkich dostępnych materiałów.

Grzybsta była Warszawą, a Warszawa stała się grzybstą.

I wzywała Piotra Ostrowskiego.

Szepty, syknięcia, stanowcze pomruki i słodkie zawrota – ścigały go, gdy snuł się po mieście. Spadały mu na głowę z dziurawych dachów, pełzły po trzeszczących resztkach drewnianych schodów w zmartwychwstających kamienicach. Lepiły się do jego ogolonej głowy wraz z zimną, tłustą mgłą, gdy snuł się ciemnymi ulicami i zaciskał mocno dłoń na trzonku siekiery, wsłuchany w gromy przelewające się wysoko nad głową. Odwracał się wtedy i grzybsta zawsze była blisko: zwałiste cielsko sunące w salonie za oknem, poświata w bramie naprzeciwko, cuchnący opar buchający z pękniętej rynny.

Grzybsta wzywała go, nie przemawiała jednak do jego uszu czy głowy. Wołała go imieniem, które zapomniał czterdzieści lat temu, wzywała w języku, który najpierw odbierał ciałem – zębami, żołądkiem, przyrodzeniem. Kolejne wezwania płynęły powracającą falą, trafiając w niego głęboko, w miejsca zupełnie nowe, o których istnieniu nie miał pojęcia, miejsca fascynujące i jednocześnie obrzydliwe, których szybko się uczył i które z każdym wezwaniem znał coraz lepiej. Grzybsta słała kolejne sygnały, konsekwentnie, nieustępliwie i mocno, jak odwieczny ocean walący z wykalkulowaną furią w nagie skały, potężne, dumne skały wyrastające głęboko w Piotrze Ostrowskim.

Zrozumiał, że to już, gdy obudził się na podłodze zrujnowanego sklepu, a grzybsta była tuż obok. Przebiwszy ściany sklepu podczas jego krótkiego snu, leniwie sunęła w poprzek pomieszczenia, jęcząc, że czeka, wciąż czeka na niego, doczekać się już nie może.

Podniósł się, a ona zadygotała z ekscytacją, opryskując go lepłą mazią. Piotr powstrzymał wymioty. Przypomniał sobie mężczyznę w szafie.

Poczuła to, zaśpiewała, poczęła się otwierać. Sine cielsko rozwierało się

powoli, z cichym sykiem, ukazując bulgoczące, różowe wnętrze.

— Jużci — mruknął pan Piotr. — Zrobimy to po mojemu.

Złapał za siekierę, wziął zamach (*no chodź, no chodź, chodź chodź chodź*), krótko szukał odpowiednich słów. Wrócił do tych niewymawianych od lat.

— W imię Ojca...

Uderzenie, mlask,

*chodźchodźchodźchodźchodź*

— ... i Syna, ...

kolejny cios, parujące lodowate bebechy, dzikie wezwanie,

*chodźchodźchodźchodźchodźchodźchodź*

— ... i Ducha Świętego, ...

i cios jeszcze jeden, i wciąż ten zew, jak wielki dzwon, głęboko w nim, jak odwieczny ocean, fale szturmujące skały:

***CHODŹCHODŹCHODŹCHODŹCHODŹCHODŹ!!!***

— ... kurwo — dokończył Piotr.

Odrzucił siekierę, odetchnął głęboko, pomyślał o żonie.

Powoli wgramolił się do rozdygotanego wnętrza grzybisty, a wtedy

\* \* \*

staje się

inaczej.

Nagle wszystko jest inaczej. Jest Piotr Ostrowski, jest grzybsta, on przeciska się jej wnętrznościami, czołga się w gęstych, zimnych bebechach, przed siebie, łokieć za łokciem, przed siebie, w tłustej, lepkiej, ruchomej brei, przed siebie, kolano za kolaniem, z grzybsta w ustach, uszach, nosie, oczach, z grzybsta wszędzie, w lodowatym mlaszczącym mroku, w smrodzie i bulgocie, łokieć za łokciem, kolano za kolaniem, przed siebie, przed siebie, przed siebie.



Ale jest inaczej. Jest zupełnie inaczej.

Rzeczywistość pęka, łamie się i kruszy na najdrobniejsze z cząstek. Pęka, łamie się i rozpada również ziemskie ciało Piotra. A wtedy odwieczny ocean wraca, nadchodzi kolejną falą, która sunie pełna siły, furii i mroźnego majestatu; gigantyczny grzebień – nieskończenie szeroki i wysoki tak, że sięga gwiazd – nadciąga i uderza wściekle, precyzyjnie i bezlitośnie skutecznie, wymywając szczątki tego co ludzkie i znajome, by ostała się jeno skała, lita, zimna i bezduszna, głęboko w Piotrze Ostrowskim.

I przychodzi inne, i wlewa się w niego, przenicowuje i rozpiną go między Warszawą, Polską, Ziemią a kotłującymi się bezdennymi otchłaniami, szalejącymi kosmicznymi imperiami ciemna i chłodu, cywilizacjami eksplodującymi potęgą i ciekawością, gdzieś daleko poza tym, co opisywalne, więc przychodzi inne i go chce, bierze go i ma, liże, smakuje, kosztuje jego duszy i nie chcący go miażdży, i przeżuwa jego strzaskany umysł, a on bez wątpienia krzyczałby, wył z nieopisywalnego bólu i niosącej szaleństwo rozkoszy, wyłby, gdyby nie był skałą, zimnym milczącym kamieniem, nad który nadciągnął obezwładniający huragan niezrozumienia, i wtedy inne zabiera go do siebie, a on nic już nie może zrobić i płynie, sunie daleko, w głąb siebie, ku początkom, ku dniu, kiedy pojawił się na tym świecie i wie, że jednocześnie osuwa się ku tamtym światom, pulsującym odwieczną siłą obcym królestwom, miejscom, o których zapomniał, a które cieszą się z niego i jego brata, i wtedy inne pokazuje mu siebie, opuszcza jedną z tysięcy kurtyn, subtelnie, ale z niemalże morderczą szczerością, i gdy przychodzą namiastki zrozumienia, Piotr Ostrowski wyje, nie może, a mimo to wyje, a rozradowane gwiazdy grzmia na potęgę i chwałę.

I zimna skała już wie, już wszystko pojmuje, więc i pan Piotr pojmuwać zaczyna i napiera tym mocniej, przed siebie, łokieć za łokciem, kolano za kolano, napiera, bo już wie, że Sztuka jest niczym list w butelce znaleziony

na brzegu oceanu, wiadomość w obcym języku, wysłana z bardzo daleka i w dobrej wierze, więc najprostsza z możliwych, jak to, że dwa plus dwa daje cztery, jak symbole Słońca, Ziemi i Księżyca, i teraz rozumie, że napisawszy list, wspaniałomyślni nadawcy zamknęli go w butelce, którą wrzucili do bezkresnego oceanu, a ci głupcy tutaj nie dość, że tyle lat nie mogli poradzić sobie z korkiem, to oszczędnej treści samego listu nie zrozumieli właściwie do dziś: przepisują bezmyślnie poszczególne wyrazy, nieporadnie stawiając kolejne litery i kreślą w ten sposób miliony zdań, które nie mogą znaczyć nic sensownego.

Choć czasem, przypadkiem bądź w przebłysku intuicji, uda im się postawić wyjątkowo elegancki znak zapytania. Piotr Ostrowski jest takim znakiem, jego brat również: są jak pytajnik w obcym języku, efektownie wykaligrowany przez ludzkość na jej własnym ciele. Pytajnik, dający nadzieję na porozumienie.

Pan Piotr już to rozumie, napiera więc przed siebie, w grzybście i z grzybsta w sobie, myśli o Agnieszce, jej ostrych paznokciach na jego plecach, o panu Franciszku Michalskim i jego towarzyszach potajemnie likwidujących techników, myśli o panu Adamie wiszącym w szafie, o Rzeczypospolitej, Karnawale i swoim bracie, Pawełku, którego słyszy coraz wyraźniej, dlatego napiera przed siebie, łokieć za łokciem, kolano za kolaniem, przed siebie, przed siebie, przed siebie.

Aż wreszcie grzybsta kończy się i Piotr Ostrowski dociera do celu.

\* \* \*

Było ciemno, cicho i nareszcie ciepło.

Z przyjemnego otępienia wyrwały go bębny – narastające rytmiczne dudnienie, potęgowane przez nieregularny pomruk, idący zewsząd niską drażniącą wibracją. Gdy rozbłysły światła, Piotr uniósł głowę i zorientował się, że leży

pośrodku cyrkowej areny.

Gigantyczny namiot wypełniony był do ostatniego miejsca. Kobiety i mężczyźni, milczący kapłani i chichoczące kurwy, spasiona szlachta, szczerzący gnijące dziąsła żebracy, potężni najemnicy eksponujący swoje blizny, pijane karły, obwieszeni katarynami czarnoskórzy technerzy, półnadzy atleci, brodate staruchy, pałaszujące łakocie kilkuletnie bliźniaki, upstrzone klejnotami wielkie matrony wylewające się z przyciasnych balowych sukni, drobni dżentelmeni głaszczący wypiełgnowanymi dłońmi alabastrowe ramiona nagich piękności skrytych za weneckimi maskami, skuci złotymi łańcuchami tatuowani niewolnicy, skrzeczące pingwiny w czerwonych czapeczkach, rozkołysane glisty wielkości dorodnych prosiaków – mijaly kolejne sekundy, każda dłuższa niż wieczność, a oni wszyscy wpatrywali się w Piotra, dygocząc w niecierplivej ekscytacji.

A kiedy bębny zamilkły, na arenę wkroczył ktoś jeszcze. Szczupły, nadzwyczaj wysoki mężczyzna w czarnym jedwabnym fraku, kilkoma wielkimi krokami błyskawicznie zbliżył się do leżącego w wilgotnym piasku Piotra. Pochylił się nad nim gwałtownie, a Piotr przejrzał się w jego starych uważnych oczach, czując woń wina i Warszawy. Serce Ostrowskiego przyspieszyło jak spięty gwałtownie ogier. Piotr zrozumiał.

Mężczyzna we fraku uśmiechnął się i wyprostował, wyrzucając w górę krótkie, wiotkie ręce.

— Oto drugi bliźniak! — ogłosił wszem wobec, a po namiocie przetoczyła się fala podniecenia. — Tańcz więc, Karnawale!

Setki gardeł ryknęły zadowolone, a leżący u stóp Wodzireja Piotr rozpoznał w nim swego chrzestnego ojca.

Zatańczyli więc – gdy niewidzialna orkiestra rozpoczęła skocznym, połączonym rytmem, Piotra opadły uśmiechnięte kobiety o kolorowej skórze. Podebrały go w górę, nucąc dziwaczne melodie i już po chwili Piotr sunął ponad

ich głowami, niesiony silnymi ramionami wypłynął z rozwrzeszczanego namiotu wprost na wszechobecną biel, mróz i bezlitosne, zimowe słońce.

Boże drogi, tyle czasu! Minęło tyle czasu!, dziwił się pan Piotr, próbując skryć oczy przed wszędobylskimi refleksami. Trzymające go kobiety chichotały i śpiewały mu dalej.

Zaniosły go do wnętrza wielkiego wozu, do gorąca i pastelowego światła. Ułożywszy go na pachnącym pościeliu, delikatnie ściągały z niego resztki ubrań, a on patrzył w górę na kresowe niebo, przebijające przez stary drewniany sufit. Gdy już był nagi, spojrzał na siebie pierwszy raz od bardzo dawna. Zobaczył brudnego, cuchnącego potwora, całego w ropiejących bliznach i szpetnych tatuażach. Zacisnął oczy i pięści. Wtedy one wzięły go w ramiona, cudowne, miękkie kataryny, tuliły go i głaskały. Umyły go, dały pić i jeść, po czym zatańczyły, blisko i namiętnie, nie przerywając śpiewu. A Piotr Ostrowski tańczył razem z nimi, potężniejąc z każdym piruetem.

Później dał się połknąć gigantycznemu taborowi. Kluczył bezmyślnie po hałaśliwym, tętniącym chaotycznym ruchem labiryntu wozów, namiotów i baraków, oszołomiony przeciskał się przez zgraje zadziwiających indywidualności, odwracał oczy od ich obrzydliwych fizjognomii i krwawych, perwersyjnych zabaw, uciekał przed obleśnymi zalotami jednych, padał na kolana przed wszechogarniającą urodą innych, dotykał i dawał się dotykać, pił, tańczył, rechotał i wrzeszczał, widział czarne msze, pogrzeby i jeszcze ciemniejsze narodziny, oglądał panów i niewolników, ludzi i zwierzęta, stworzenia przypominające przedmioty i przedmioty przypominające stworzenia, niekończącą się paradę wszystkiego, co być nie powinno.

I z każdym krokiem coraz lepiej pojmował militarny fenomen Karnawału – mijał setki oddziałów, żołnierzy z całego świata, niemających nic do stracenia oddanych wyznawców religii zabijania, wszystkich uzbrojonych po zęby w sprzęt, którego sposobu działania czasami nawet on nie próbował pojąć.

Oglądał olbrzymie armaty, wielolufowe działa mocowane na grzbietach pancernych gąsienic, wyrzutnie pomórników, stalowokolczaste rogonosy leniwie przeżuwające metalowe opiłki i zacumowane wysoko żywoloty dźwigające dziesiątki pulchnych, chichoczących bomb.

Pan Piotr spacerował po Karnawale, chłonał Sztukę i rósł w siłę. Chodził po obozie, do którego wszędzie wlewały się Kresy. Bawił się wysoką trawą wyrastającą spod śniegu, patrzył na idące donikąd wiszące mosty. Czuł, jak Sztuka miesza się z krwią w jego żyłach i rozlewa po całym ciele falą zimnego ognia. Grzybsta w jego głowie mlaskała zadowolona, a odwieczne oceany lizały ciemną nagą skałę krzepnącą w jego wnętrzu.

Wiedział, że jest obserwowany i czekał, aż przyjdą. Wreszcie wzięli go do niepozornego drewnianego baraku gdzieś na obrzeżach obozu. Gdy wszedł do środka, zdumienie odebrało mu oddech.

Stał w olbrzymiej sali wielkości dużej kamienicy, prawdziwym cudzie kresowej geometrii Kroneckera. Usłyszawszy zamykające się za plecami drzwi, poczuł się malutki, bo nie potrafił ogarnąć wzrokiem wszystkiego, co widzi. Utonął w monumentalnym połączeniu uniwersyteckiego laboratorium z hałaśliwą fabryczną halą: wielkie roztrzęsione maszyny tkwiły splecione setkami rur i przewodów z bateriami mikroskopów, butelek i probówek. Nie było nikogo, a miejsce żyło. Haki wędrowały, pracowały przemysłowe prasy, ogromne piece dyszały ciemnym płomieniem, para buchała z krat w podłodze, warkocze iskieł sypały się spod sufitu; Karnawał tańczył, a to miejsce śpiewało, wyśpiewywało industrialną symfonię na syk, zgrzyt i metaliczny łomot, zza których przebijało się znajome zawodzenie, każące Piotrowi zwrócić uwagę na ruch przed przeciwległą ścianą.

Drewno, fragmenty maszyn, krzesła, stoły, okna, kanapy, martwe zwierzęta i Bóg jeden wie co jeszcze – wylatywały z otworów w ścianach i szybowały powoli ku tamtej ścianie, która wchłaniała je przez bladą nieregularną

powłokę. Piotr nie mógł oderwać wzroku. Tu swój początek miała grzybsta. Gigantyczny, żarłoczny początek.

— Witaj Piotrze — powiedział Wodzirej, wychodząc zza jednej z maszyn.  
— Zapraszam.

Ostrowski minął stoły zapisane skomplikowanymi równaniami i zatrzymał się kilka kroków przed wysokim starcem w jedwabnym fraku. Fabryka śpiewała, grzybsta pożywiała się.

— Co z powstaniem? — spytał Piotr.

Nie potrafił opanować drżenia głosu.

— Zostało rozbite, zanim się zaczęło — odparł Wodzirej, a wtedy podłoga nagle uciekła spod nóg Piotra. Spuścił głowę, zacisnął pięści, ale ustał.

— Bismarck i Aleksander uderzyli razem, pierwszego lipca — ciągnął ojciec chrzestny. — I dobrze wiedzieli, gdzie uderzyć. Żadnych procesów, jeno aresztowania i egzekucje. To było dobre lato dla katów.

Ostrowski nie podniósł głowy. Wodzirej uśmiechnął się.

— Część wymknęła się jednak. Czekają w Nowym Jeruzalem na twoje rozkazy.

Wtedy Ostrowski wreszcie pojął, że słowa nie są już potrzebne, że Wodzirej chce porozumienia w języku kosmicznych ojców. Polska mowa zbrzydła mu momentalnie, zbrzydła i poczęła frustrować.

Wodzirej opowiadał, Piotr słuchał.

Opowiadał, że tuż po ich urodzinach musiał zabrać Pawła, wywiózł go więc i ukrył w Wenecji. Mówił o tym, a oszołomiony Piotr smakował każdą pojedynczą chwilę życia starego człowieka, jakby była jego własną.

Wodzirej opowiadał, że takich jak Piotr i Paweł jest coraz więcej, że opierając się na nich zorganizował Karnawał, ale nigdy nie spotkał nikogo innego o takiej mocy i talencie. Dlatego opiekował się Pawłem i czekał, bo bez brata Paweł nie mógł rozkwitnąć, ale teraz, gdy bliźniacy są razem,

wreszcie nadszedł ich czas. Wreszcie jego studia nad Sztuką, nieskrępowane hipokryzją Zimowego Sojuszu, przyniosą wspaniałe owoce.

Tłumaczył, że nareszcie mogą powstać. Powstać i uderzyć, bo bracia razem będą nie do powstrzymania. Zmiotą Sojusz jednym uderzeniem, jednocześnie sprawiając, że powłoka oddzielająca Kresy od ich świata wreszcie pęknie. Wtedy wszystko posunie się naprzód, ku świetlanej przyszłości, w której będzie im bliżej do wspaniałych imperiów, dzięki którym człowiek stanie się wielki. Ciemni, ograniczeni ludzie nie doceniają znaczenia Karnawału. Jakże niewielu potrafi dostrzec dzikie piękno grzybisty, ku której człowiek winien podążać. Wodzirej nie miał wątpliwości: człowiek ruszy w jej kierunku i pójdzie dalej, wyżej, ku światłu. Bo teraz, gdy Piotr i Paweł są razem, nie może już być inaczej.

Wszystko to wylewało się z Wodzireja wprost do Piotra Ostrowskiego, pieszcząc potężniejącą skałę. A przysłuchująca im się grzybsta pluła kubłami cuchnącego śluzu i mrucała zadowolona.

Wodzirej przerwał. Nadeszła chwila spotkania braci. *Najwyższy czas — powiedział Piotrowi — bo Paulus od jesieni począł słabnąć. Dzięki tobie rozwinie się wreszcie. Rozkwitnie, na krótko stając się panem świata.*

*Na krótko? — spytał Piotr.*

*Na krótko, bo całą życiową energię poświęci na ostatnią, gwałtowną przemianę.*

*A potem?*

*A potem umrze — odparł Wodzirej i poprowadził Piotra do brata.*

Paulus leżał w barłogu pod monstrualnym bladoróżowym flakiem, tym samym, w którym Piotr spędził ostatnie pół roku. Duży i opuchnięty, przebudził się, gdy podeszli bliżej. Wyczuł Piotra i zatrzęsł się niecierpliwie, otwierając wszystkie jamy.

*Przywitaj się z bratem — zachęcił Pawła Wodzirej.*

Paulus zabulgotał. Piotr nie odpowiedział. Jego umysł wrzeszczał, a rozradowane gwiazdy grzmiały na potęgę i chwałę.

## **21 lutego 1877, bitwa pod Tours, zwana później Bitwą Burz**

Piotr Ostrowski długo rozmyślał, zanim porozumiał się z towarzyszami w Nowym Jeruzalem. A gdy przyjechał, aby poczynić przygotowania, przywitani się serdecznie, pomodlili wspólnie i solidarnie upili. Gdy już się rozmówili, Piotr kazał się zaprowadzić do dowódców żydowskiej twierdzy. Miał propozycję nie do odrzucenia.

Cały ten czas wyczekiwał Agnieszki.

Daremnie.

\* \* \*

Niby środek nocy, a krwawe błyski czynią ją jaśniejszą od niejednego dnia.

Rozszalałe niebo grzmi z wściekłą determinacją, rozszalali bracia grzmiają razem z niebem. Lecą wysoko, z furią i wrzaskiem, niesieni żądzą śmierci, braterską miłością i imponującymi skrzydłami Paulusa. Paweł wreszcie dojrzał, rozwinął się i teraz, kolczasty pancerny gigant, niesie na grzbiecie swojego brata, dając się prowadzić do boju, do stanu, dla którego został stworzony i w którym przyjdzie mu zgasnąć.

Lecą wysoko, z furią i wrzaskiem, a z opuchniętego rozdygotanego nieba jeden za drugim biją pioruny. Piotr i Paweł, jeźdźcy burzy, sieją oślepiającym błyskiem i ogłuszającym rykiem, walą przed siebie, niczym huragan, niczym wielka fala, zimne podmuchy suszą krew pokrywającą ich scepione ciała, krew wroga i własną. Zabijali i jeszcze tej nocy zabijać będą.

Lecą wysoko, z furią i wrzaskiem, unurzani w ciemności, purpurze i słupach ostrego, zimnego światła. Pędzą ponad wielkim, nieregularnym oceanem;



ponad szalejącym sztormem, gdzie w pulsującym półmroku zamiast wody, falami przelewają się ludzie, maszyny, potwory i pociski; ponad dzikim żywiołem, jakim stać się może wojna, jeśli tylko popuścić jej smyczy. Tańcz, Karnawale, nawoływał Wodzirej, więc Karnawał tańczy, kłębi, wiruje, gaśnie i powstaje raz za razem, ciska się w bezładnym, desperackim *danse macabre*: tysiące tancerzy dobiera się w pary, improwizuje, szarpie, wygina, zderza i oddala od siebie, by zderzyć się znowu, a szczególnie teraz, gdy zaczyna brakować kul, tańczą blisko, spleceni w morderczych uściskach, wirują do utraty tchu, przy kakofonicznym, ogłuszającym akompaniamencie huku wystrzałów, zgrzytającego metalu, cwału wielkich łap wielkich bestii, trzasku łamanych ciał i histerycznych nawoływań; tańczą, wszyscy już na wpół martwi, desperacko wirują do utraty ostatniego z tchnień.

Tańcz Karnawale, nawoływał Wodzirej, więc tańczy i pan Franciszek Michalski. To elegancki polonez, tańczony z siepaczami pana Adama, gdzieś w piwnicach pod drukarnią Messera. Po ostatniej z figur pan Franciszek wyciera nóż o habit ojca Michała, wieszczowi należy się czyste ostrze. Stary wąsacz żegna się, mocniej zaciska dłoń na rękojeści i rusza do czerwonego pokoju z szafą.

Tańczą również bliźniacy. Tańczą na popękany tej nocy niebie, przepętnieni furią i zimną grzybsta, która przelewa się ich żyłami, napędza do walki, rycząc im w mózgach, że są nieśmiertelni. Grzybsta jest potężna, niemal niepokonana, lecz jednocześnie głupia. Jest tylko narzędziem, teraz więc miążdży im karki lodowatym uściskiem, podświadomie prowadząc ich wprost ku swojej śmierci. Nie wie, że Piotr kieruje brata prosto w nią, że poprowadził żołnierzy z Nowego Jeruzalem na Karnawał, uderzyli tuż przed północą, z Pawłem na czele, gdy ten ma swoje pięć minut, gdy wreszcie może robić to, na co czekał całe monotonne życie: słuchać brata i niszczyć.

I kiedy przychodzi czas, Piotr spina opancerzone monstrum. Zawisają

na moment między niebem kipiącym największą z burz a piekłem w najczystszej postaci. Bracia decydują wspólnie: czas runąć w dół, ostatni już raz. Prosto w miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stał mały drewniany barak, gdzie Paulus miał swój barłóg, tam, skąd brała się grzybsta.

Wielki, kolczasty anioł ciemności już wie, że nadchodzi koniec. I wie, że przyszło mu uderzyć w swoich opiekunów. Taniec kończy się, czas na ostatnią z figur.

Drży podekscytowany, ponieważ to wszystko czyni sytuację bardziej fascynującą. Ryczy gwałtownie, ryczy, zagłuszając wszystko i wszystkich. Ryczy tak, by usłyszeli go daleko od Ziemi, potężnym rykiem kruszy skałę rosnącą w duszy swego brata.

A potem wali w dół, z Piotrem na grzbiecie.

I mimo że to niemożliwe, tuż przed uderzeniem widzą Wodzireja, skrzywionego starca w jedwabnym garniturze.

Ojciec chrzestny patrzy im w oczy.

Piotr uśmiecha się krzywo.

Paweł ryczy.

Grzybsta jęczy, zaniepokojona.

Błyska się, inaczej niż wcześniej. Przez najkrótsze z mgnień oka stają się słońcem.

\* \* \*

Gdy Piotr otworzył oczy, pojął wiele rzeczy naraz.

Żył. Nie był co prawda w najlepszej kondycji – zamienił się w bolesny strzęp, porozrywane węże na jego poparzonej skórze krwawiły obficie. Jęknął, wypluł połamane resztki zębów, uśmiechnął się. Nie zginął.

Grzybsty nie było. Nie wiedział, czy zdechła, czy po prostu odeszła, ale był pewien, że jej nie ma. Po raz pierwszy odkąd trafił do Warszawy, nie sły-

szał jej, w głowie huczała mu cisza, już prawie zapomniał, jak to jest słyszeć własne myśli.

Podniósł głowę, żeby się rozejrzeć i zemdlął. Ocknąwszy się, spróbował ponownie.

Bitwa i noc dobiegały końca. Dogasały płomienie, ciała i ostatnie potyczki. Ostrowski nie był pewien, która ze stron zwyciężyła. Ważne, że zwyciężył on sam. Nie było grzybisty.

Przypomniawszy sobie, uważniej rozejrzał się wokół. Paulus leżał niedaleko. Wyglądał jak wtedy, gdy Wodziej pokazał go Piotrowi. Tyle że teraz Paweł pozostał nieruchomy. I rozdarty w pół. Czas istoty będącej bratem Piotra dobiegł końca.

Ostrowski pojął, że nie czas na sentymenty, gdy zorientował się, że został zauważony przez kilku żołnierzy. Najemnicy dobijający rannych Żydów stali kilkadziesiąt kroków dalej. Wiedział już, kto wygrał. Zauważyli go. Jeden coś powiedział, wywołując salwę śmiechu. Nie musieli się spieszyć, widzieli, w jakim jest stanie.

Ostrowski zaklął siarczyście, odkaslnął krwawą flegmą. Powoli dźwignął się, na jedno kolano, na drugie, aż wreszcie się wyprostował. Ciężko ranny, poparzony, na wpół głuchy i bez broni.

Tylko patrzyli w milczeniu.

— No choszcz... — odkaslnął jeszcze raz, prawie się przewracając. Oparł się o martwego konia. — No chodźcie, no — zdobył się na swój najgorszy uśmiech.

Nawet nie drgnęli. Wtedy Piotr poczuł woń maków.

Odwrócił się gwałtownie, a ona była tuż przy nim. Przyglądała mu się pięknymi ciemnymi oczami, z troską i miłością. On, nagle bezsilny, czuł, że zaraz się rozbeczy.

Nie zdążył. Ostatnie, co zapamiętał, to jej pełne wargi, składające się

do pocałunku.

### 13 lipca 1877, przedpoła Warszawy

Jechali konno. Siedząc w siodłach, patrzyli na popołudniowe słońce ponad ruinami stolicy.

— Byłoby już po wszystkim? — spytał młodszy, na oko czterdziestoletni. Gęstą szpakowatą brodą nieudolnie maskował czarne jak węgiel usta.

Spytał, choć znał odpowiedź.

— Sztuka została — odparł stary wysoki wążacz. — Już nigdy nie będzie po wszystkim.

Milczeli dłuższą chwilę, przyglądając się cumowaniu rosyjskiego sterowca gdzieś w okolicach Solca.

— Brakuje mi jej — powiedział szpakowaty.

— Wiem. — Wążacz położył wielką dłoń na ramieniu przyjaciela. — Wiem, Piotrze.

— Ale ty nie chcesz, żeby wróciła.

Wążacz westchnął głęboko, poszukał słów.

— Jedźmy już — odparł wreszcie, patrząc w słońce. — Jedźmy, bo kawał drogi przed nami.

## Dziwne dni

*Five to one, baby*

*One in five*

*No one here gets out alive*

The Doors, *Five To One, Waiting For The Sun*, 1968

Tamtej sierpniowej nocy natarliśmy na siebie. Nas było czterech, ich – trzydzieści tysięcy.

Trzydzieści tysięcy opalonych bałtyckim słońcem twarzy. Młodych, uważnych, zuchwałych. Czekali na nas od południa, szczelnie wypełniając przylegający do portu Skwer Marshalla. Pachnieli morzem, piwem i marihuaną. Byli zniecierpliwieni i coraz głośniejsi. Obserwowaliśmy ich w milczeniu, ukryci w cieniu sceny. Robert, Jasiek i ja, czekaliśmy na nadejście zmroku. I na nadejście Jima.

Dzień się kończył, a my spoglądaliśmy po sobie nerwowo. Powinniśmy zaczynać, a oni, tam na skwerze, o tym wiedzieli. Narastający pomruk zagłuszył szum morza, gorące powietrze drgało od nawoływań, śmiechu, przekleństw, gwizdów. Coraz mniej śmiechu, przekleństw coraz więcej. Trzydzieści tysięcy ludzi.

Zaciągnąłem się i oddałem skręta Robertowi. Nie było z tym problemu, gliniarze trafiali na scenę, dopiero kiedy zjawiał się Jim. Poza tym sytuacji pilnował Kawka, menedżer doskonały. Skręt krążył między nami jak niewypowiedziana modlitwa. *Boże, spraw, żeby przyszedł*. Ciemność pod sceną falowała. Zgrzyt barierek, gwizdy i bluzgi. *I żeby ustał przy mikrofonie*.

— Nie przyjdzie — powiedział Jasiek.

— Przyjdzie — odparłem. Ale nie wziąłem od niego trawy. Nie chciałem, by widzieli, jak trzęsą mi się dłonie. Klawiszowcowi, kurwa, nie powinny.

— Gówno. — Jasiek przydeptał niedopałek. — Idę się odlać.

I poszedł, wściekły, trzeci raz w ciągu godziny.

Wrócił po chwili, krzywo uśmiechnięty. Za nim powoli szedł Jim. Pijany tylko trochę i bardzo z siebie zadowolony. Spóźniony dobre dziewięćdziesiąt minut.

— Jedziemy? — Wyjął budweisera ze skrzynki pod ścianą.

Milczeliśmy, a on roześmiał się rubasznie. W takich chwilach chciałem go zabić. I rozumiałem, dlaczego pragnęły go wszystkie stojące pod sceną kobiety. Najbardziej ostentacyjny sukinsyn świata.

Reflektor wyczarował go pośrodku sceny. Stał nieruchomo, pochylony, oparty o stojak od mikrofonu. Szczupły, z głową schowaną w ramionach, w lnianej koszuli i obcisłych skórzanych spodniach. Sprawiał wrażenie delikatnego i onieśmiałego. Kiedy go zobaczyli, umilkli. A potem ryknęli, tysiące gardeł jednocześnie. Jim nawet nie drgnął. Czaił się.

Przełknąłem ślinę, kiwnąłem do chłopaków. Zagraliśmy. *Roadhouse Blues*, ostro i gwałtownie. Trzydzieści sześć potężnych głośników zagrzmiało, przez skwer przeszedł huragan decybeli. Im bardziej darli się i klaskali, tym mocniej i głośniej graliśmy. Po to przyszli: muzyka przetaczała się po ich głowach, światła reflektorów cięły im twarze. I wtedy Jim nagle wrzasnął, eksplodował krzykiem i ruchem. A oni zamilkli. I milczeli do końca koncertu.

Jak opowiedzieć o magii? Czasem, gdy grasz odpowiednie rzeczy z odpowiednimi ludźmi, pokonujecie linearność czasu. Im dłużej improwizujecie, tym wyraźniej widzicie nieistniejące jeszcze nuty. Akordy, które powstaną za kilka minut, są dla was oczywiste już teraz. Pierwszy i ostatni raz pozwalacie zabrzmieć niepowtarzalnym kompozycjom istniejącym od zawsze. Fascynującym kompozycjom czekającym na swoją chwilę, tę chwilę, od momentu

powstania muzyki.

Tak było wtedy, w Gdyni. Moje palce grały same, słuchałem ich w osłupieniu. Słuchałem gitary odwróconego tyłem Roberta, tej nocy wyjątkowo mocnej. Słuchałem równej, szybkiej perkusji Jaśka. Słuchałem niskiego głosu Jima, bardziej wrzasku niż śpiewu. Słuchałem naszych najostrzejszych kawałków, przechodzących płynnie jeden w drugi. I wiedziałem, że to jest dobre.

Było ich trzydzieści tysięcy, nas tylko czterech. Nie mieli najmniejszych szans. Bo naprzeciw siebie mieli Jima.

Scena była jego. Rzucił się po niej, wykrzykując kolejne frazy całym gardłem i całym sercem; żarliwy, przejęty i autentyczny. Jednym nonszalanckim gestem skupiał całą uwagę. Zerwał koszulę, tańczył wokół perkusji, bawił się stojakiem od mikrofonu. Podniecał rozkołysane dziewczyny stojące w pierwszych rzędach. Podniecał gliniarzy stojących wokół nas, im bardziej niepewnych, tym bardziej wkurwionych. Jednocześnie szczery i teatralny, naturalny i sztuczny. Całkowicie oddany Sztuce. To była jedna z tych kilku nocy, gdy przekroczył granicę, zabrał wszystkich dużo dalej niż na koncert rockowy, dużo głębiej. Przebił się na drugą stronę. Jak grecki kapłan, jak pogański guślarz, indiański szaman. Jim Morrison, Król Jaszczurów.

Ostatnim ciosem był *When the Music's Over*. Trwał ze trzydzieści minut, trzydzieści cholernie dobrych minut, a jego gwałtownym, histerycznym zakończeniem zmiażdżyliśmy ich ostatecznie.

Tak, lato sześćdziesiątego dziewiątego należało do nas. Do The Doors.

\* \* \*

*Jak ładnie ci w tej sukni*

*Oni zaraz przyjdą tu*

*Breakout, Jak ładnie ci w tej sukni, Blues, 1971*

Informator to wąsaty dryblas. Opiera się plecami o witrynę mięsnego,

czyta „Słowo Ludu”, niskie czoło z daleka lśni od potu. Może przez upał, może przez nerwy.

Kapitan jest spokojny. Osiemnasta trzydzieści, już czas. Podchodzi powoli, zagląda wąsaczowi przez ramię. Sukces polskich bokserów na Turnieju Przyjaźni w Budapeszcie – mówi gazeta. Morda, nie szklanka – mówi poorana bliznami twarz dryblas. Kapitan z kieszeni marynarki wyjmuje papierosy i częstuje informatora. Mija ich zgarbiona kobieta, taszcząc ze sobą przetłuszczoną siatkę i zapach włoszczyzny.

— Będzie czekać o siódmej na placu za domem kultury. To na Tysiąclecia — mówi dryblas. Ma głos jak zepsuty silnik zaporozca.

— Wiem, gdzie to jest. — Kapitan spogląda do wnętrza sklepu, na ostre haki wiszące beczynn timer w lśniącym szeregu.

— Może nie być sama — ostrzega informator, a kiedy kapitan kiwa głową, odwraca się i odchodzi.

Dom kultury jest brzydki, plac za nim jeszcze brzydszy. Przysadzisty budynek, wsparty masywnymi kolumnami. Z antykiem ma tyle wspólnego, co Inka z prawdziwą kawą. Na placu króluje dziesięciometrowy mężczyzna. Łysy brodac, otoczony donicami pełnymi bratków, dostojnie wpatruje się w dal.

Jest. W stronę pomnika idzie kobieta. Szczupła blondynka w letniej sukience, z umówioną czerwoną torebką. Kapitan rusza ku niej, stara się nie rozglądać. Wie, że nie przyszła tu sama, że ktoś jeszcze czai się gdzieś w pobliżu, ale ma zaufanie do nowych partnerów. Funkcjonariusze Komendy Milicji Obywatelskiej w Skarżysku-Kamiennej są nie gorzej wyszkoleni od jego warszawskich kolegów.

Stają naprzeciw siebie. Równo dziewiętnasta, czas na hasło.

— Czy lubi pani lody?

— Tylko orzechowe — odpowiada blondynka. Takiego koloru ma oczy. — Jestem Dagmara.



— Mieczysław.

Kapitan całuje jej dłoń, po czym spogląda w górę.

— To Lenin?

— Nie, Leopold Staff. Umarł w Skarżysku — Dagmara się uśmiecha. —

Wszyscy się mylą.

— Ach.

— Mam ochotę na kawę. Chodźmy.

\* \* \*

*Peppermint miniskirts, chocolate candy*

*Champion sax and a girl named Sandy*

*The Doors, The Soft Parade, The Soft Parade, 1969*

Miała na imię Aldona i robiła z nami wywiad do „Polityki”. Nie pamiętam jej twarzy. Pamiętam za to, że była śmiesznie ubrana, nawet jak na trójmiejskie standardy. Miała na sobie więcej niż ja, Jim i Jasiek razem wzięci. Obcisła bluzeczka, koszula, żakiet, ze trzy spódnice, tyleż pasków, jedwabny szalik, szarfa plus niezliczona ilość obowiązkowej biżuterii. Doskonale opalone, grzechoczące koralami uosobienie lansu z końca lat sześćdziesiątych.

Przed ostrym popołudniowym słońcem schowaliśmy się w Piwnicy, knajpie naprzeciw hotelu. Grzyb na ścianach, lany bosman, nowy Breakout z głośników. Miejsce jak z telewizyjnej reklamówki papierosów, tylko kobiety brzydsze. Ale za to skąpiej ubrane. Wyłączając, oczywiście, Aldonę.

Siedzieliśmy we czworo. Robert nie przyszedł, może nie wstał jeszcze po koncercie. Aldona odrobiła lekcje. Pytała Jima o Nietzschego, Huxleya, Baudelaire’a, Norwida, Przybyszewskiego, Wajdę. Zaciekawiała go, więc był egzaltowany jak zwykle, ale rozmowny jak rzadko kiedy. Nawet ja słuchałem z zainteresowaniem.

Kiedy pytała o *The End*, Jasiek pochylił się do mnie.

— Ciekawe, czy majtek też nosi trzy pary — mruknął.

Wybuch śmiechu przełknąłem razem z piwem. Dziewczyna zerknęła na nas z ukosa. Uśmiechnąłem się do niej. Szeroko, promiennie, bezczelnie.

— Widzisz, Aldona — mówił Jim, patrząc jej w oczy — jestem Amerykaninem i Polakiem jednocześnie. I widzę wyraźnie, że Polska to bardzo edypalny kraj. Opętany kultem Matki Boskiej i narodową historyczną obawą przed utratą męskości.

Aldona rzuciła się na te frazy niemal fizycznie, notowała jak oszalała.

A po chwili wszystko spieprzyła.

— Czy to z tego powodu w materiałach promocyjnych kazałeś umieścić informację, że twoja matka nie żyje?

No i po wywiadzie.

Jim nawet nie drgnął. Długo milczał, patrzył na trzymane przez nią pióro.

— Wiesz co, Aldona? — Odezwał się wreszcie, nie podnosząc wzroku.  
— Masz idealne dłonie do walenia konia.

Wyprostowała się i wybałuszyła oczy. Rechotaliśmy z Jaśkiem na całą knajpę.

— Myślę, że nie nosi żadnych — powiedziałem i minąwszy niewzruszonego Jima, poszedłem po kolejne piwo.

Przy barze Kawka czytał „Newsweeka”. To był dobry czas, naszym menedżerem mógł być dwudziestodwulatek. I to cholernie dobrym menedżerem.

— Co on tam znowu naopowiadał? — skrzywił się, kiedy się przysiadłem.

— Myślę, że „Polityka” przestanie nas lubić.

Sam w to nie wierzyłem.

— Nie przestanie, Rakowski was uwielbia. Nie to, co ten szmatławiec.

— Czytałem. Jim jednak nie został Grafomanem Roku.

— Przegrać z Czesiem to żaden wstyd — zadumał się Kawka.

Wypiliśmy za to, wypaliliśmy prawie po paczce, posłuchaliśmy drugiej

płyty Breakoutu. Dużo dojrzszej niż poprzednia. Ostrzejszej, a jednak bardziej melodyjnej – przesterowana gitara Nalepy bywała hendrixowska do bólu i jednocześnie wciąż bardzo polska. Do dziś nie rozumiem, po jaką cholere potrzebne były Nalepie wokale Kubasińskiej. Przecież umiał śpiewać.

Dwa piwa później Kawka ostentacyjnie walnął się w czoło.

— Zapomniałbym. W drugiej połowie września macie zakontraktowane cztery koncerty. — Miał minę, jakby informował mnie, że ptak właśnie nasrał mi na plecy. — Madryt, Sewilla, Walencja, Madryt.

Zamurowało mnie. Kawka i jego poczucie humoru. Miałem ochotę mu wpieprzyć. I ryczeć z radości. Hiszpania!

Za sobą mieliśmy już Czechy, Słowację, Niemcy i Anglię. Najpierw kluby, potem hale. Płyty szły coraz lepiej, były kolejne wywiady, imprezy, nagrody. Podobaliśmy się w Stanach, Kawka był o krok od wysłania nas za Wielką Wodę. Miałem prawie trzydzieści lat i wiedziałem, jak to jest kończyć grę piętnastominutowe solo, gdy dziesięć tysięcy Niemców chce więcej i skanduje twoje imię. Widziałem „Rysiek Manczarek” napisane na piersiach uśmiechniętych, chętnych Czeszek i na czeku, za który kupiłem sobie dom w Międzyzdrojach. Znałem dreszcz, który przechodzi cię, gdy widzisz tłum blokujący ulicę przed sklepem, w którym za chwilę będzie można kupić twoją trzecią płytę.

Takie rzeczy nie pozostawiają cię obojętnym.

Narcyzm? Jasne.

Ale mi kurwa nie mówcie, że byście tak nie chcieli.

A teraz Hiszpania.

Jaki ja byłem wtedy szczęśliwy!

Nie mogłem wiedzieć, że trasy nie będzie.

Wyściskałem Kawkę i poszedłem powiedzieć chłopakom. Jasiek, otoczony całym plutonem wpatrzonych w niego dziewcząt, przyjął to z chłodną godnością. Powiedział, że po Jima przysłała Pamela i wrócili do hotelu.

Pożegnałem się i wyszedłem na zewnątrz, trochę zdenerwowany. Pamela miała do Gdyni nie przyjeżdżać. Miała przyjechać do Jima dopiero za tydzień, na lubelski festiwal. Od jakiegoś czasu nie lubiłem widywać ich razem.

O trasie mogłem powiedzieć Jimowi potem. Stchórzyłem i wybrałem spacer po Świętojańskiej.

To był gorący sierpień. Nawet wtedy, późnym popołudniem, wciąż brnąłem w upale jak w lepkiej galarecie. Upale kapiącym z ulicznych lamp i ciekącym rynnami kolorowych kamienic. Upale pryskającym spod kół przejeżdżających syren, fordów, minimorrisów, wiseł. I spod obcasów mijających mnie kobiet.

Mam teorię: kobiety nad morzem mutują. Kiedy promienie słoneczne karwią ich ciała, kobiety stają się piękniejsze. Radośniejsze. Cieplesze. I pełne energii wchłanianej na plaży.

Takie je wtedy widziałem: śliczne, rozpromienione i pachnące opalenizną. Ciemnowłosa urzędniczka w wedlowskiej kawiarence z ulgą zdejmuje żakiet i wysokie szpilki. Dziewczęta w milczeniu wracają z plaży, w mokrych kostiumach, z piaskiem między wystającymi łopatkami. Uroczą blondynkę sączy colę pod parasolką McDonald'sa, poprawia synkowi czapkę z psem Pluto. Energiczne wolontariuszki rozdają ludziom ulotki promujące Wspólnoty przed jesiennym plebiscytem. Rzemyski sandałów krzyżujące się na smukłych łydkach, kolorowe kolczyki kładące się na lśniących ramionach, malowane słoneczniki pnące się po piersiach. Ciemne okulary, jasne spojrzenia, przyspieszone oddechy.

One wszystkie wyglądały wspaniale.

Dziewczyny, tu do Wspólnot nikogo nie trzeba przekonywać. Jedźcie na Śląsk, pomóżcie Gierkowi.

Skręciłem na plażę i odetchnąłem, czując na twarzy łagodny powiew. Tłum młodych ludzi tłoczył się na piasku i na deptaku, obsiadał knajpy i sma-

żalnie. Francuskie ciuchy, włoskie skutery, amerykańskie deski surfingowe. Czeska marihuana i polski alkohol. I to nieokreślone napięcie, obecne w każdym geście i spojrzeniu: kiedy ona wychodzi z morza i trudno oderwać wzrok; kiedy on grając w siatkówkę, co chwilę sprawdza, czy mu się przyglądasz; kiedy trzeba się zdecydować, czy podejść i zaproponować piwo. Szanty, toasty, życzenia. Pastelowe barwy, pastelowe uśmiechy, pastelowe myśli. Radość.

Tak, to był dobry czas. Wtedy sztuka wciąż nie musiała oznaczać komercji. Wiara nie oznaczała naiwności, naiwność – głupoty, a polityka – cynizmu. Tamtego lata żył jeszcze John Kennedy; żył i szedł ramię w ramię z Beatlesami na czele demonstracji przeciwko wojnie indochińskiej. Tamtego lata tysiące ludzi protestujących na całym świecie przed ambasadami ZSRR doprowadziły do uwolnienia Sołżenicyna. Armstrong skakał po Księżycu, pół miliona ludzi skakało w błocie w Woodstock, a Kutz skakał po scenie Santa Monica Auditorium, kiedy dali mu Oscara.

Byliśmy inni, wciąż szczerze współczuliśmy jałtańskim ofiarom – Finom, Litwinom, Łotyszom, Ukraińcom – prawdziwy strach przed głowicami rakietowymi miał przyjść dopiero później. Byliśmy inni i świat był inny. Nawet to niez mordowane słońce świeciło tamtego lata inaczej. Ciepłej i jakoś przyjaźniej.

Nagle zorientowałem się, że stoję pod naszym hotelem. Nie wiedziałem, którędy przyszedłem. Wiedziałem, że powinienem wjechać na górę i mu powiedzieć. Wcale nie chciałem tego robić.

I potem stałem jak debil pod drzwiami pokoju Jima. Nie mogłem się zdecydować, czy nie zawrócić. Kogo ja próbowałem oszukać.

Zapukałem w końcu. Drzwi zachichotały, zupełnie jak Pamela. A potem męskim głosem spytały:

— Kto tam?

— Jim, to ja. Rysiek.

— Zapraszamy, Rysiu, otwarte — powiedziały drzwi.

Otworzyłem je i pocałowałem od razu.

Byli nadzy. W łóżku. Jim leżał na plecach, Pamela siedziała na nim okramkiem. Patrzyli na mnie, uśmiechnięci i zadowoleni z siebie.

Nie bardzo pamiętam, jak powiedziałem im wtedy o trasie i co odpowiedzieli. Pamiętam tylko, że roześmiana Pamela nachyliła się, by go pocałować. Jej ciało wędrowało coraz niżej, ku koralikom na jego klatce.

Wyszedłem od nich wściekły. To wtedy zacząłem rozumieć, że moja złość brała się ze strachu. Bałem się, bo byłem zakochany.

\* \* \*

*Człowiek z wysokiego zamku* (fragment), Filip Waclaw, „Kurier Warszawski”, nr 187/1969

„(...) Naprawdę nie wiem, o co tyle hałasu. The Doors to zespół, jakich wiele. Trzech przeciętnych instrumentalistów bez polotu odgrywających stare klasyki i własne (boleśnie przeciętne) kompozycje. I co to właściwie jest?

Mówią, że po prostu rock. Odpowiadam: a widział ktoś kiedyś zespół rockowy bez basu?

Mówią: poezja śpiewana. Bzdura. A pan, panie Morrison, nie godny nosić za Ewą Demarczyk statywu od mikrofonu.

Mówią: jazz rock. To ja mówię, że z takim jazzem nie chcę mieć nic wspólnego i nic na to nie poradzę, że pseudojazzowa improwizacja panów Krygera i Manczarka w środku *Light My Fire* przyprawia mnie o niepoahamaną senność.

Mówią: acid rock. Hmm... Chyba nie bardzo chciałbym być kojarzony z nielegalną substancją rozpuszczającą mózgi i tak już rozpuszczonym gówniarzom z bogatych domów, nawet jeśli miałyby pomóc mi otworzyć drzwi per-

cepcji...

No i pan, panie Morrison.

Jesteś pan tak cholernie oryginalny, tak podejrzanie wyjątkowy, jakbyś był wymyślony przez jajogłowych speców od sprzedaży. Janke wychowany w Polsce, syn oficera US Navy z bazy NATO pod Szczecinem, z sobie tylko znanych powodów traktujący rodziców jak zmarłych. Niepokorny *enfant terrible* łódzkiej Filmówki, szokujący wykładowców wulgarnymi, bełkotliwymi etiudami. Poeta opętany przez duchy pomordowanych Żydów podczas swojej pierwszej wizyty w Oświęcimiu. Charyzmatyczny (tak zwany kultowy) wokalista, który nie bardzo umie śpiewać, za to wie, jak mieć zawartością obcisłych skórzanych spodni dziewczyny stojące pod sceną...

(...) Tak, panie Morrison. Jesteś pan kuglarz i tyle. Zwykły człowiek w wysokim zamku, ukryty za fosą wysilonej tajemnicy, ogromnym murem egzaltacji i tysiącem stopni wydumanych przeintelektualizowanych póz”.

\* \* \*

*Blood in the streets runs a river of sadness*  
*Blood in the streets it's up to my thigh*  
The Doors, *Peace Frog, Morrison Hotel*, 1970

Kawiarnia nazywa się Jubilatka. Plastikowe stokrotki na plastikowych stolikach, wyroby czekoladopodobne w menu i równie autentyczny uśmiech kelnera. Siadają w głębi sali, zamawiają po kawie i rozpoczynają grę.

Mieczysław jest zimnym profesjonalistą. Rozluźniony i opanowany, pali drogie papierosy, nie marnuje czasu na niepotrzebne uwagi, gesty czy uśmiechy. To lepszy cwaniak, zapłatę przyjmuje tylko w obcej walucie.

Dagmara wcale nie jest zdenerwowana. Pot spływa po jej piegowatym dekolcie, bo w kawiarni jest duszno. I nikt jej tu nie przysłał. To plan Daggmary.

Chce wynająć Mieczysława, bo jest pewien inżynier. Powiedzmy, Kowalski. Bardzo zdolny chemik. Pracuje tu, w Skarżysku, w Zakładach Metalowych. Jego pracą interesuje się kilku ludzi w RFN, ale inżynier nie jest zainteresowany opuszczeniem kraju. Mieczysław miałby mu towarzyszyć w drodze do Szczecina. Dostanie za to dziesięć tysięcy dolarów i paszport do Niemiec Zachodnich.

Kapitan zna prawdę. Wie, że blondynka jest tylko pionkiem, natapirowaną marionetką w rękach kogoś innego, drobnym elementem w bandyckiej układance, za którą stoi facet ochrzczony przez warszawską centralę jako Mister X. Rozgląda się po sali: którzy z gości pracują dla tego samego człowieka co Dagmara? I jednocześnie dobija targu: stanęło na dwunastu tysiącach i paszporcie.

Nagle blondynka wstaje.

— Przepraszam, muszę do toalety.

Dopiero po chwili kapitan orientuje się, że ona idzie do wyjścia. Diabli nadali! Kapnęła się? A może ktoś dał jej znak? Nie czas na rozważania.

Kapitan zrywa się, rusza w jej stronę, ona już w drzwiach, on niespodziewanie w powietrzu.

Nieduży brunet łapie go od tyłu i trzyma nad głową. Wielkie dłonie, jak dwa imadła, jedno miażdży szyję, drugie krocze. Kobiety ze stolika obok piszcą, zaśliniony kapitan charczy. I wymachuje bezradnie rękami.

Ale ten facet ma krzepę!

Ulga, na ułamek sekundy. Kapitan leci. Okno.

Zdążył schować głowę w ramiona, po czym wali całym ciałem w ostre szkło i twardą framugę. Potem w żywopłot, trawnik, wali o chodnik raz za razem, głową o zderzak stojącego na chodniku wartburga, nogami w kosz na śmieci, plecami o znak drogowy STOP. Nieznośnie bolesne dziesięć metrów. I nieporównywalnie bardziej bolesny bezruch. Kapitan pozwala sobie



na chwilę omdlenia.

Ból przywraca go do rzeczywistości. Kiedy udaje mu się pozbierać, pod kawiarnią jest niebiesko od funkcjonariuszy wysypujących się z milicyjnych warszaw.

— Już wezwaliśmy karetkę. — Do kapitana podchodzi pułkownik Bubzel, szef tutejszej komendy.

— Nie trzeba, to tylko lekkie potłuczenie. — Kapitan wyjmuje z przedramienia kawałek szyby. — Dobrze, że znam dzudo.

— W takim razie karetka przyda się oprychowi, który pana wyrzucił. Potrzeba było ośmiu chłopaków, by go przytrzymać.

— A co z...

— Podejrzana, znana jako Dagmara, już została ujęta — mówi kobiecy głos zza pleców kapitana.

Ten odwraca się i salutuje młodej funkcjonariuszce. Dziewczyna ma kruczoczarne włosy, sztywnie przycięte na wysokości ramion i jeszcze ciemniejsze oczy. Piękne i zimne, jak wycelowane lufy dwóch P-64.

— Obezwładniłam ją za rogiem, ciosem karate — mówi.

— To porucznik Ola — tłumaczy z dumą Bubzel.

— Dobra robota, towarzyszeko poruczniku — chwali kapitan. I nie może oderwać od niej wzroku. Mundur oficera MO jeszcze nigdy nie leżał na kimś tak dobrze. I nikogo tak ściśle nie opinał.

— Miło mi, że mogłam zaprezentować taktykę i wyszkolenie lokalnej milicji — uśmiecha się porucznik Ola. — Towarzyszu...

— Żbik — kończy kapitan, nurkując ustami ku jej dłoni. — Kapitanie Żbik.

\* \* \*

*Her arms are wicked, and her legs are long  
When she moves my brain screams out this song*

The Doors, Hello, *I Love You*, *Waiting For The Sun*, 1968

Czy kiedykolwiek pragnęliście kogoś tak mocno, że odczuwaliście to każdą pojedynczą komórką ciała? Czy patrząc na kogoś, czuliście, jak wasze neurony wyją coraz głośniejsz z każdą sekundą, w której nie dotykacie jego bądź jej? Kiedy podbrzusze staje się epicentrum frustrującego tsunami rozchodzącego się po całym ciele, kiedy dłonie wibrują, a oczy pieką od zaciekłego wpatrywania się w usta, palce, kolana?

Ja tak pragnąłem, raz. I tego samego wieczoru poznałem kogoś, kto zniszczył całe moje ówczesne życie. Kto śni mi się do dziś.

Po koncercie na Skwerze Marshalla zostaliśmy w Gdyni na kilka dni. To było wyczerpujące lato i potrzebowaliśmy odpoczynku. Od koncertów, od marnowania całych dni w zadymionym busie przerzucającym nas po Europie. Od codziennie innych i zawsze tych samych pokoi hotelowych. Od codziennie innych i zawsze tych samych dziewcząt.

Nie, żebym tego nie lubił. Ale żeby nie przestać lubić, trzeba to odstawić chociaż na chwilę.

Trójmiasto było dobrym miejscem na urlop. Mogliśmy z Robertem odwiedzić rodziców (on był z Sopotu, ja z Malborka), Jim uwielbiał morze, a Jaśkowi było wszystko jedno, gdzie się zatrzymamy, byle były laski. Gdynia mu odpowiadała – mógł mieć ich tyle, że wysypywałyby się z największego łóżka, jakie widział hotel Jagiełło. Jasiek mniej więcej tyle ich wtedy miał.

Tamtej niedzielnej nocy, po tym, jak uciekłem od Jima i Pameli, długo siedziałem na plaży z sześciorakiem bosmana. Starąłem się wszystko zrationalizować i wytłumaczyć. Kończyłem kolejne piwa coraz bardziej wściekły, bo coraz bardziej pewien tego, co czuję. Twoja własna głowa nie powinna cię tak zaskakiwać.

Do hotelu przyszedłem nad ranem. Spałem trzy godziny, wziąłem prysznic i pojechałem odwiedzić rodziców. Śniadanie zjadłem już w Malborku, wola-

łem uniknąć spotkania Jima lub Pameli. Tym bardziej że mieliśmy zobaczyć się wieczorem na imprezie, kameralnym party dla kilkorga znajomych z Trójmiasta i ludzi pracujących z nami przy trasie.

Kiedy wieczorem wróciłem z Malborka, w hotelowym apartamencie Kawki bawiło się już dobre sześćdziesiąt osób.

Trzeba mu przyznać, nasz menedżer wiedział, co to rozmach. Owszem, byli nasi techniczni, kierowcy, nawet ochroniarze. Byli znajomi z Wybrzeża z czasów, kiedy ćwiczyliśmy w domku rodziców Roberta. Byli znajomi z Łodzi, jeszcze ze studiów. Były dziewczyny z wytwórni, były dziewczyny z prasy, tabun dziewczyn nieznanego pochodzenia i cała kupa innych ludzi, zupełnie mi obcych i najwyraźniej bawiących się świetnie. Kawka zadbał o wszystko. Była trawa i ciasteczka, były inne rzeczy. Beczka piwa, zamrażarka pełna wódki, najnowsza Unitra, kolumny wielkości lodówek i stosik winyli Komedy. Wino, kobiety i śpiew. Skręty, mężczyźni i śmiech.

Przywitałem się ze wszystkimi, z Jimem i Pamelą na końcu. Objęci, rozluźnieni i uśmiechnięci, szczerze ucieszeni z mojego przyjścia. Pamela pocałowała mnie, jej policzki pachniały jak dziecięca skóra. Zawstydzony, uciekłem na kanapę obok Kawki, który bez słowa podał mi piwo i paterę z ciasteczkami.

Milczeliśmy, a winylowa trąbka Stańki wyczyniała cuda. Z Kawką milczało się dobrze. Nie umiałem tak z Jimem, jego obecność wywoływała nerwowość, przez którą cisza stawała się krępująca. Jasiek mówił bez przerwy, Robert wciąż milczał – obaj się nie liczyli. Z Kawką było inaczej. Wygodnie ułożeni na kanapie, zasłuchani w muzykę, cierpliwie czekaliśmy, aż piwo i ciastka zaczną działać.

Heroina zabiła Kawkę w siedemdziesiątym piątym.

Wtedy, w Gdyni, gdy Kawka miał się świetnie, patrzyłem na Jima i Pamelę siedzących w ogromnym fotelu w centralnym punkcie apartamentu.

Patrzyłem z zazdrością. Pamela szeptała mu coś na ucho, bawiła się jego koralami, głaskała policzek. Uśmiechał się do niej, całował jej lniane włosy, pił i palił. Piękni, naturalni, niewinni: król i królowa zielonego balu.

Jeszcze miesiąc temu widziałem, jak zapłakana rzucała w niego kaktusami w ich łódzkim mieszkaniu. Mocno rzucała, bo kochała go mocno. On krzyczał, bluzgał, groził i rechotał. Kochał? Kochał. Ale to był pieprzony Jim Morrison, musiał manipulować, atakować, nieustannie prowokować i sprawdzać wszystkich wokół siebie. Im lepiej cię znał, tym bardziej był agresywny; im bardziej mu zależało, tym bardziej stawał się nieznośny. Kiedy zrozumiał, co do niej czuje, tym bardziej zawzięcie sypiał z innymi. I wcale się z tym nie krył. Pamela nie pozostawała dłużna. Kiedy się rozstawali, rzadko bywała sama. No i Jim nie miał pojęcia, jakim gównem już wtedy potrafiła się faszzerować.

A teraz patrzyłem, jak dotyka jej piegowatej twarzy. Wyłącza nas wszystkich i zostaje z nią sam na sam, pomimo tłumu wokoło.

Musiałem rozluźnić pięść, by poprawić okulary.

— ... sierściuch.

Potrzebowałem dobrych kilku chwil, żeby zarejestrować chociaż końcówkę przemowy Kawki.

— Co mówiłeś?

Kawka przewrócił oczami.

— Przyszedł niezły sierściuch — wskazał na ogromnego mężczyznę w grupce ludzi pod oknem. — To jakiś nowy stary znajomy Roberta.

Rzeczywiście, Robert stał obok. I rzeczywiście, ten obcy był bardzo owłosiony nawet jak na ówczesne standardy. Był ze dwa razy od nas starszy, a jego gęste włosy do połowy pleców w magiczny sposób zmieniały się w gęstą ciemną brodę do połowy klaty. Klaty niewiele mniejszej od kanapy, na której siedziałem.

— Znasz go? — Gapiłem się na przedramiona sierściucha. Zarośnięte tak,

jakby pod wzorzystą koszulą miał obcisły, kosmaty sweter.

— Robert przedstawił nas sobie wczoraj. Nazywa się Amundsen czy jakoś tak.

Robert pomachał do nas, powiedział coś do sierściucha i obaj ruszyli w naszą stronę. Wstaliśmy, z niejakim trudem. Oczywiście, kiedy omiotłem wzrokiem puste butelki wokół kanapy.

— Rysiu — powiedział Robert po angielsku — chciałem ci kogoś przedstawić. Amerykański artysta rzeźbiarz i nasz wielki fan. Hawthorne Abendsen.

— Jaki tam rzeźbiarz. Prosty jubiler — powiedział Abendsen i uścisnął mi dłoń.

Pokojem zakołysało. Piwo i ciastka zaczynały działać. Ale to było nie tylko to.

Abendsen miał dziwny suchy głos, szeptał właściwie, jak zombie z filmów Hoffmana. Monstrualną sylwetką zasłonił mi światło żyrandola; gdyby chciał, to pewnie mógłby futrzastym sobą zasłonić światło wszystkich żyrandoli świata.

Patrzyliście kiedyś wilkowi w oczy? To najbardziej przerażające spojrzenie. Godne i silne, i uderzające nieogarnionym zimnem. Lodowaty spokój i triumf absolutny czystego instynktu. Właśnie takie spojrzenie miał Hawthorne Abendsen. Surowe, czujne spojrzenie wilka. Tropiciele. Drapieżnika.

— Hawthorne robi niesamowite przedmioty. — powiedział Robert. — Musi je wam pokazać. — Uśmiechał się szeroko, rozentuzjasmowany.

Abendsen za to nie uśmiechał się wcale.

— Przywiozłem trochę rzeczy, które zrobiłem w Paryżu. — Wciąż patrzył mi w oczy.

Uciekłem ze spojrzeniem gdzieś w bok. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Był pan w Paryżu? — podjął Kawka.

— U znajomych, na uniwersytecie Nanterre — odparł Abendsen. — U Jeana Baudrillarda. Pisze ciekawe prace o współczesnych mediach.

Nie miałem zielonego pojęcia, o kim mówi.

— Marksista — skrzywił się Kawka i pociągnął browar z butelki. Zaskoczeni, spojrzeliśmy z Robertem po sobie.

Hawthorne Abendsen wzruszył ogromnymi ramionami. Przez chwilę wydawało mi się, że z jego brody posypią się nam na buty trupki małych zwierząt.

— Jean zabrał swoich studentów do Federacji Serbskiej.

— Butelkami z benzyną pomóc generałowi budować komunizm? — Kawka nie odpuszczał. — Prawda, zeszłego roku...

— Tito to nie Stalin.

— ... przetrenowali to na ulicach Paryża.

Kawka promieniał. Abendsen obrzucił go spojrzeniem, po którym ja bez wątpienia zlałbym się w gacie.

— Gratuluję piątkowego koncertu — powiedział do mnie Hawthorne Abendsen, amerykański artysta rzeźbiarz, drapieźnik. — Ufam, że jeszcze się spotkamy. — I sobie poszedł, gdzieś między ludzi.

Odetchnąłem.

— Kawka, kurwa! — Robert, kiedy był zdenerwowany, zrywał z nosa swoje lenonki. Miały szkła zerówki, nosił je dla lansu.

— No co?

— Gówno — odwrócił się i wyszedł na balkon.

Opadliśmy na kanapę. I wtedy zaczęło się na dobre. Pogłaskała mnie po szyi. Kanapa. Chropowata faktura oparcia drażniła mój kark, masowała plecy, falowała pod udami. Rytmicznie, regularnie, w rytm muzyki.

Komeda zgasł wraz z wypalonymi skrętami, ktoś puścił pierwszą płytę Vanilla Fudge. Skończone arcydzieło hipisowskiej psychodelii. Stare przeboje

bezlitośnie zmasakrowane przez nowojorski kwartet, zagrane zbyt wolno, zbyt mocno, transowo i histerycznie. Poczuję. Spojrzałem na Kawkę. Uśmiechał się krzywo, jego źrenice mówiły, że poczuł. Zapanowała muzyka.

Gitarowe riffy rozjechały się po apartamencie, każdy w inną stronę. Płynęły niesione na smugach dymu, snuły się ponad głowami, między nogami i wokół mebli, pełzły leniwie po ścianach, futrynach, suficie, sprawiały, że dym wykwitał kształtami i kolorami, zmieniał się, pulsował, falował ospale. Apokaliptyczne zawrodożenie organów przelewające się od ściany do ściany rozluźniało i jednocześnie niepokoiło, od basu i perkusji łopotały nogawki spodni, mankiety koszuli i wnętrzości. Zapanowała muzyka. I ona.

Stała przy drzwiach, sama. Przyglądała się imprezowiczom, szukała kogoś wzrokiem.

— Kawka, kto to jest? — mówienie przyszło mi z trudem.

— A to jest Remedios — powiedział Kawka.

Spojrzałem na nią jeszcze raz i wszystko się zmieniło, na zawsze.

Powiedzieć, że była piękna, to tak, jakby powiedzieć, że Jim jakoś sobie radził na scenie. Patrzyłem wtedy na nią, pijany i na haju, patrzyłem prawie ze łzami w oczach i nie miałem wątpliwości, że to najbardziej zachwycająca istota, jaką nosi ziemia. Remedios była zbyt piękna.

Zbyt piękna, by jej nie zauważyć. Wciąż tylko stała w progu, samotnie i nieruchomo. To wystarczało, by jej coraz bardziej intensywna obecność zdominowała cały apartament. Rozmowy milkły, jedna po drugiej. Skręty, butelki i kieliszki zatrzymywały się w pół drogi do rozdziawionych ust. Głowy zwracały się ku niej, spojrzenia lepiły się do jej ciała.

Patrzyłem, nie mogłem oderwać wzroku, nie mogłem oderwać myśli. Wszyscy patrzyli. Na lśniące czarne włosy, długie i gęste. Na lśniące czarne oczy, duże i smutne. Na brąz jej skóry, na jaskrawą czerwień jej wilgotnych ust i matową czerwień tulipanów rosnących na bawełnie białej, letniej sukienki.

Ta kobieta stała tam, po prostu była. A ja szalałem, bo mogłem tylko patrzeć. Jak reszta.

Nagle Remedios ruszyła. Apartament jęknął, głośniki zagrały. A ona szła, powoli i bezszelestnie, zbyt piękna. Zbyt delikatna i zbyt wieloznaczna. Szła, a mijane przez nią kwiaty wędły jeden po drugim, zawstydzone. Szła, a obrazy na ścianach bladły i blakły. Szła, a zapachy ustępowały jej woni.

Tulipany zafalowały, gdy przeszła obok, nie obrzuciwszy mnie spojrzeniem. Zatrzymała się przed Jimem. A on był jej. Jeszcze jej nie znał, ale już do Remedios należał, wpatrzony w nią jak stary, wierny pies w swoją panią. W tamtej chwili siedząca obok Pamela obchodziła Jima tyle, co ja czy puszka bosmana.

Remedios powiedziała coś po hiszpańsku, odwróciła się i wyszła. A ja prawie eksplodowałem, kiedy mijając mnie, poprawiła zsunięte ramiączko kwitnącej sukienki.

Nie pamiętam, kiedy ludzie znowu zaczęli ze sobą rozmawiać, nie pamiętam, czy z kimś jeszcze gadałem. I jak przez mgłę przypominam sobie, że pierwsi, w milczeniu, wyszli Jim z Pamelą.

Do hotelowego pokoju wróciłem wtedy sam. Sam, ale z nią. Waliłem konia aż do świtu, wciąż myśląc o pięknej Remedios.

\* \* \*

*He was a monster, black dressed in leather  
She was a princess, Queen of the highway  
The Doors, Queen of the Highway, Morrison Hotel, 1970*

Dagmara jest skonsternowana. Kiedy oficer Grabiński zrozumiał, że Dagmara zamierza milczeć, wściekł się nie na żarty. Krzyczał na nią, groził i przeklinał. Prawie przewrócił stół, przy którym ją posadzono. Potem trzasnął za sobą drzwiami, zostawił ją sam na sam z odbiciem w wielkim lustrze



w ścianie naprzeciw. Wrócił po kilku minutach, już spokojny i uśmiechnięty. A teraz częstuje ją camelami i Dagmara musi przyznać, że towarzysz Grabiński ma zadbane dłonie i modny skórzany krawat, który bardzo się jej podoba.

— Zaczniemy jeszcze raz, od początku — mówi łagodnie milicjant i na stole obok popielniczki kładzie wyjęte z kieszeni kajdanki. — Skąd ma pani dolary?

Ostatnie sekundy wahania, rzut oka na zakratowane okno, kobieta bierze papierosa. Tak drogie fajki paliła wcześniej tylko raz, poczęstowana przez kaowca na wczasowym dancingu w Węgorzewie. Całe stulecia i jedno aresztowanie temu.

— Dostałam od tego faceta z Lublina — szepcze skruszona, zaciąga się i zaczyna sypać.

— Załatwimy tego asa! — wykrzykuje porucznik Ola i posyła Żbikowi spojrzenie, pod którym największemu twardzielowi zmiękłyby kolana. Stoją po drugiej stronie weneckiego lustra, obserwując przedstawienie, które serwuje im towarzysz Grabiński. Kapitan jest pod wrażeniem, lokalny spec od przesłuchań odwalił kawał dobrej roboty. Podejrzana nadaje jak Wolna Europa: Mistera X trzeba szukać w Lublinie. Padają nazwiska kolejnych pośredników.

Kapitan i Ola idą do gabinetu Bubzela, o sukcesie trzeba poinformować szefa. Żbik puszcza panią porucznik przodem i wzdycha bezgłośnie. Czerwona wykładzina tłumi stukot obcasów, pończochy na udach Oli szeleszczą zachęcająco.

— Czy władza ludowa udzieli nam audiencji? — Ola uchyla drzwi do gabinetu pułkownika.

— Zapraszam, zapraszam — zaprasza Bubzel. Częstuje cukierkami dwóch harcerzy. — Ci oto młodzieńcy właśnie pomogli nam odnaleźć skradziony samochód — mówi.

— Nic wielkiego. — Harcerze skromnie spuszczaają wzrok. — Auto znaleźliśmy w lesie, stuknięte. Zawiadomiliśmy służbę ruchu, bo nigdy nie wiadomo, czy nie szukają samochodu z takim uszkodzeniem.

— Dziękujemy wam, przyjaciele — dziękuje Bubzel i otwiera im drzwi. — Zapraszamy jeszcze kiedyś w odwiedziny.

— Co trzeba zrobić, by być przyjętym do milicji? — nieśmiało pyta Żbika jeden z harcerzy.

— Dobrze się uczyć i nie chodzić na wagary — odpowiada kapitan i klepie go po ramieniu.

Kiedy chłopcy wychodzą, Ola referuje Bubzelowi sytuację. Zapada decyzja: Ola i Żbik jadą do Lublina. Dopaść Mistera X.

— Tylko bez romansów mi tam — żartuje pułkownik Bubzel i puszcza oko do Żbika.

— Jak szef coś wymyśli, to boki zrywać! — uśmiechnięta Ola grozi mu palcem, a kapitan śmieje się do rozpuku.

\* \* \*

*Get out, get out of my life and let me sleep at night*

Vanilla Fudge (za The Supremes), *You Keep Me Hangin' On*, Vanilla Fudge, 1967

Ostatni tydzień sierpnia zacząłem jak szmata. Obudziłem się w zarzyganym łóżku, obolały, spocony i zziębnięty. Ktoś kopał mnie mocno po brzuchu. Od środka. Pod prysznicem poczułem się jeszcze gorzej. Wróciła wczorajsza noc. Odpływający Kawka i poirytowany Robert. Przeróżający Hawthorne i zbyt piękna Remedios.

Jim i Pamela.

Zwymiotowałem znowu, nie wiedząc, że mam przed sobą najgorszy tydzień życia.

W sobotę mieliśmy wystąpić na festiwalu w Lublinie. Duża rzecz: na roz-

grzewkę zespoły z Czech, Węgier i Niemiec, potem Czesiu Niemen, Breakout i my jako gwiazda wieczoru. A na dobranoc zespół z Anglii, ściągnięty jakoś przez Kawkę, jeszcze bez płyty.

Ponoć grali ciężko i mrocznie jak nikt inny, wokalista był demoniczny, a publika się bała. Byłem ich bardzo ciekaw, tym bardziej że fajnie się nazywali. Black Sabbath.

Przed Lublinem mieliśmy jechać do Łodzi, żeby chociaż przymierzyć się do nagrania nowych numerów. Pierwszy na tapecie był dwudziestominutowy *Celebration of the Lizard*. Skomplikowany i wielowątkowy, monumentalna kwintesencja stylu The Doors. Nagrania jednak nie było. Jim nam uciekł.

Tamtego tygodnia, jeszcze przed festiwalem, odbyłem cztery cholernie ważne rozmowy. I nie, żadna nie była z Remedios. Jeszcze nie wtedy.

Rozmowa nr 1.

Po południu powlokłem się do apartamentu Kawki. Byli we dwóch: Kawka robił pompki, Jasiek czytał jakiś rękopis.

— ... *jak szef coś wymyśli, to boki zrywać* — przeczytał Jasiek i zarechotał. Wielką dłonią walił się mocno po czole. — Nie, no, nie mogę ... *boki zrywać*... — Pomachał do mnie, zapłakany.

Kawka doliczył do setki, podniósł się i pocałował bicepsy.

— Wyglądasz jak śmierć, Rysiu.

Wzruszyłem ramionami i osunąłem się na fotel. Świat na kacu był zbyt wymagający.

Kawka zadzwonił po kawę i założył tiszert ze znakiem Supermana. Rozmiar za mały.

— Jim uciekł gdzieś z Pamelą. Zostawił wiadomość, że w sobotę zjawi się w Lublinie, czyli z Łodzi nici. Rano pokojówka przyniosła mi teczkę, którą znalazła za fotelem. W środku było opowiadanie. Chyba nieukończone. Nie

wiem, czy dobre, dziwne jakieś — wyrecytował Kawka.

Wziąłem ze stołu jedną z gęsto zapisanych kartek.

— To nie jest przypadkiem...

— Owszem, Rysiu, to pismo Roberta.

Jasiek prychnął po raz kolejny i wyszedł na balkon zapalić. Dobry moment, żeby pytać.

— Ta kobieta, która przyszła wczoraj...

Kawka milczał dłuższą chwilę.

— Remedios?

— Tak.

— Mam z nią dogadać szczegóły hiszpańskiej trasy. Musiała wyjechać, spotka się z nami w Lublinie. Spodobała ci się? — Dziwnie się uśmiechał, jakby z obawą.

Uratowała mnie dziewczyna, która przyniosła kawę. Zamiast odpowiedzieć, sięgnąłem po rękopis.

Opowiadanie rzeczywiście było dziwaczne. Niby pastisz policyjnych historii, ale pełen wulgarnej, nachalnej propagandy. Bohaterowie mówili pokracznym językiem i żyli w groteskowym świecie. Może Robert kpił z *jugosłowiańskiej drogi*?

— Cześć, pisarz! — ryknął rozradowany Jasiek.

O wilku mowa, Robert wszedł do apartamentu. Zobaczył opowiadanie i wyraźnie mu ulżyło.

— Pokojówka znalazła — powiedział Kawka.

Robert w milczeniu zbierał kartki ze stołu.

— Jim uciekł.

— Wiem.

— Świetna książka, aż się popłakałem — cieszył się Jasiek. Chyba nie wiedział, kpić czy nie.

— Spierdalaj — powiedział Robert. — To moja historia. Chuj ci do niej.  
Wyszedł z teczką pod pachą.

\* \* \*

Rozmowa nr 2.

Skoro nie nagrywaliśmy w Łodzi, rozjechaliśmy się po Polsce. Wybrałem dom rodziców, nie chciałem przez cały tydzień być sam w Międzyzdrojach. Ucieszyli się, a ja miałem spokój. Mogłem pomyśleć. Sytuacja była dramatyczna. Jim zniknął na dobre, Robert się obraził. A ja doskonale wiedziałem, że to, co czuję, może rozwalić wszystko. I jednocześnie nie mogłem się doczekać weekendu, Lublina i festiwalu.

Szkoda słów.

Telefon zadzwonił w środę wieczorem. Oglądałem piłkę, pierwsza runda pucharu UEFA. Legia demolowała Real Madryt, Gadocha strzelił dwie piękne bramki.

Odebrałem, odpowiedziała mi cisza.

*Jim. To dzwoni Jim.*

Stłumiony, nierówny oddech, gdzieś po drugiej stronie. Ścisnąłem mocniej słuchawkę.

— Halo?

— ...

— Jim?

— *Cześć Rysiu.*

Pamela. Chyba płakała. To nie tylko metafora, nogi naprawdę potrafią się ugiąć. Mimowolnie oparłem się o ścianę.

— Co się stało, Pam?

— ...

— Pam? Coś się stało Jimowi? Tobie?

— ...

— Gdzie jesteś? Czemu płaczesz?

Milczała. Tętno musiałem mieć wtedy wyższe niż piłkarze na Łazienkowskiej.

— Pamela, błagam...

— *Nic się nie stało* — odpowiedziała wreszcie. — *To znaczy, nie wiem, czy się stało. Jim znowu wyszedł. Do tej kobiety.*

Przełknąłem ślinę.

— Remedios? Gdzie jesteście? Przyjadę.

— *Boję się, Rysiu.*

— Gdzie jesteście?!

Zorientowałem się, że wrzeszczę.

Rozłączyła się.

Spojrzałem na słuchawkę. Prawe ucho miałem spocone i obolałe.

Pieprznałem telefonem o ścianę.

Kilka fajok później, kiedy już ochłonałem i posprzątałem, wróciłem do meczu. Legia przegrała 2:3.

Szkoda słów.

\* \* \*

Rozmowa nr 3.

W czwartek w nocy zadzwonił Jim. Powiedział, że będzie w Lublinie już w piątek, chce się spotkać i pogadać. Nie powiedział o czym, wolałem nie pytać. Stchórzyłem, tematu Pameli nie było. Umówiliśmy się na szesnastą w barze hotelu Europa, gdzie mieliśmy rezerwację na festiwal. Odłożyłem słuchawkę, włożyłem do łóżka i do świtu gapiłem się w sufit. Domyślałem się, że idzie nowe. Że coś się musi skończyć.

Hotelowa knajpa wyglądała jak hotelowa knajpa. Czysta, przyjemna dla

oka i zupełnie bez charakteru – jak dziewczyna, która niby podoba się każdemu, ale nigdy nie usłyszy, że jest piękna. Usiadłem z piwem na końcu baru. Było wcześniej, więc pusto. Dwaj starcy w garniturach upijali się w kącie wódką i tanimi papierosami, na smutno. Z głośników lecieli, patrzcie państwo, The Doors.

Jim też był przed czasem. Niewyspany i nieogolony. Usiadł obok, zamówił żywca. Piliśmy w milczeniu, w napięciu. A Jim jednocześnie śpiewał, wyśpiewywał z trzaskającego winyla perwersyjnego bluesa. *Back Door Man*.

Nie umiem o nim pisać. Tak naprawdę, to nawet nie bardzo umiem o nim myśleć. Patrzyliśmy przed siebie i jednocześnie sobie w oczy, poprzez lśniące lustro za rzędami kieliszków. Dwie twarze, zupełne przeciwieństwa. Moje pedantycznie przycięte pekaesy i jego pełna beładnych loków czupryna. Moje kanciaste okulary i jego nonszalanckie, charyzmatyczne spojrzenie. Poczciwy Polak i wyniosły Jankes. Wtedy już bardzo zmęczony, jak nigdy wcześniej. To nie był ten sam chłopak, którego poznałem na seminarium u Hasa, ten ostentacyjny, efektowny przywódca, pełen pasji i energii. Coś się kończyło.

Siedzieliśmy obok siebie, milczący, poważni. Pochyleni nad kuflami i nad tym, co było nasze wspólne. Nie wiem, ile piosenek Jim musiał wtedy wyśpiewać, zanim się wreszcie odezwał. Zadrzałem, kiedy to zrobił.

— Rysiu — powiedział łagodnie i nieśmiało. Jakby przepraszał. — Jimi odszedł dziś rano.

A wtedy wszystkie sowieckie pociski atomowe – od tych mniejszych, umieszczonych w łodziach podwodnych w Morzu Barentsa, aż po największe, poukrywane w szopach gdzieś pod Sofią; tysiące jeźdźców apokalipsy *made in USSR* – nagle przypierdoliły w pustawy bar lubelskiego hotelu Europa.

Nie wydusiłem z siebie ani słowa. Gdybym się poruszył, przełknął ślinę, mrugnął, rozpadłbym się już na zawsze.

— Rysiu — mówił Jim, a ja siedziałem skulony, skamieniały. — Dziś

rano, w hotelu w Londynie. Podobno udławił się wymiocinami. — Skrzywił się, ostatnie zdanie nie poszło łatwo.

Jimi Hendrix. Prostota. Szczerłość. Instynkt. Radość.

Geniusz. Gigant. Mistrz.

— Widzisz, Rysiu, ja się tak czuję... — Opuścił głowę, schował twarz gdzieś za czupryną. — Czuję, że to już. Najpierw Jimi, a teraz... Chodzi o to, że ja już, kurwa, nie wiem, dlaczego ona... Jestem jak ćma, Rysiu. Jak ćma, a ona jest jak świeca. — Odgarnął włosy za uszy i uśmiechnął się do mnie ponuro. — Pamela jej się boi. Ja też jej się boję.

To był najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem.

— Słuchaj Jim, ja... — urwałem w pół zdania. Ostatnie, co mogłem wtedy zrobić, to powiedzieć prawdę.

Powinienem być wtedy powiedzieć mu prawdę.

Jim wstał, poklepał mnie po ramieniu.

— Do zobaczenia jutro, Rysiu. Masz pozdrowienia od Pameli.

I wyszedł. Zanim się podniosłem, muzyka zamilkła. W chwili ciszy potrzebnej na zmianę płyty, papierosowy dym przywłókł ze sobą strzępy rozmowy z drugiego końca baru.

— Gdybyśmy byli końmi, już dawno poszlibyśmy do rzeźni — powiedział jeden dziadek do drugiego.

Milczeli, kiedy wychodziłem.

\* \* \*

Rozmowa nr 4.

Spacerowałem nocą po parku, po prawdopodobnie największej stypie, jaką widział Lublin.

Z Jimem już się widziałem, reszta chłopaków miała dojechać dopiero w sobotę, a nie znałem tu nikogo. Poczekałem na zmrok i poszedłem na miasto.



Tak trafiłem do parku, między nich.

A były ich setki. Zamiast w festiwalowym miasteczku, zdecydowali się nocować w centrum Lublina. Raczej ci ubodzy i raczej młodszy, rozbici w obozie pod sztandarami z prześcieradeł, na których pacyfy, białe orły, Kostomłoty, Gąsawy Plebańskie i inne nic mi niemówiące miejscowości.

Obsiedli park jak kolorowa szarańcza. Na trawie, wokół ognisk, uzbrojeni w gitary, tamburyny, bongosy. Pili piwo i wino, i byli u siebie. W tym obcym mieście, pośród twarzy pomarańczowych i ciepłych od ognia. Ciepłych twarzy, które nie oceniały, nie osądzały, nie wywoływały wyrzutów sumienia. Oni wszyscy wreszcie byli u siebie.

Pili, palili, krzyczeli. I było ich tylu, że zdezorientowani gliniarze otaczający park mogli im skoczyć.

Żegnali Jimiego. Odszedł nie tylko najlepszy z najlepszych, nie tylko heros z plakatu nad łóżkiem. Odszedł symbol, bo koleś taki jak oni, pan nikt gdzieś z zapyziałego końca świata. Jimi był cudownym przykładem, że można mimo wszystko. I że nigdy nie trzeba.

Żegnali go najlepiej jak potrafili. I jak nie potrafili też – jeszcze nigdy nie słyszałem tak wielu koślawych wykonania *Hey Joe*.

Nagle wszyscy zniknęli. Zszedłem z chodnika, żeby minąć tarzającą się po nim parę, wszedłem między kilka drzew i stało się. Nie było ognisk, namiotów i twarzy. Był mrok. A w nim ja, gęste kasztanowce, trawa pachnąca wilgocią i siny księżyc.

Stał tuż obok. Musiał się odezwać, żebym się zorientował.

— Mówiłem, że się jeszcze spotkamy. — Suchy głos żywego trupa, tuż przy moim uchu.

Szarpnąłem się do tyłu.

Panika. Śliska od rosy trawa. Całe życie tróje z wf-u.

Mocno trzasnąłem o ziemię, fala tępego bólu przelała się od lewej dłoni

*(Boże, niech będzie cała, jutro koncert)* aż po skroń.

Milczał, kiedy z trudem zbierałem się z kolan. Nieruchomy i zarośnięty jak jakiś pierdolony amerykański yeti. Wpatrywał się we mnie uważnie, jego oczy były sine jak księżyc. I wyglądały równie staro. Hawthorne Abendsen: artysta rzeźbiarz, drapieżnik.

— Robert wspomniał, że czytałeś to, co napisał — powiedział. I jeśli ruszał przy tym ustami (wcale nie byłem pewien), to broda zasłaniała wszystko.

— Tak.

— Dobrze, że w ogóle dał się do pisania namówić. I tak zaczął w ostatniej chwili. — Nie wierzyłem własnym uszom. O czym on, do cholery, mówił? — To też moja wina, znalazłem go zbyt późno.

— Szukałeś Roberta?

— Nie. A przynajmniej nie od razu. Trafiłem... — Abendsen długo wybierał właściwe słowo. — Trafiłem tutaj, idąc za nią.

— Za kim?

— Za nią.

— Remedios?

— Tak się tu każe nazywać. — Znow zamilkł na dłuższą chwilę. — Uwważ na nią, Manczarek — wysyczał jeszcze ciszej niż zwykle.

Nie odpowiedziałem. Owszem, obawiałem się tej pięknej Hiszpanki. Ale nieporównywalnie bardziej bałem się stojącego przede mną włochatego olbrzyma.

— Weź to. Zrobiłem specjalnie dla ciebie. — W wyciągniętej ku mnie dłoni Abendsen trzymał wisiołek. Na końcu cienkiego rzemyka błyskał nieregularny srebrny kształt. — Weź to i miej jutro ze sobą. Powinno ci pomóc.

Nawet nie drgnąłem. Wolałem nie brać rzeczy należących do... niego.

— BIERZ!!! — ryknął Abendsen i zmiażdżył mnie tym wrzaskiem. Jego

głos kolejny raz powalił mnie na ziemię. Poczułem, jak gorący mocz rozlewa mi się po udach. Drobną kawałek srebra wirował między nami.

Wyciągnąłem dłoń, żeby tylko Hawthorne Abendsen już więcej na mnie nie krzychał. Kiedy wziąłem wisiołek, Abendsen pokiwał głową, odwrócił się i dał się pochłonąć ciemnościom.

Potem powoli podniosłem się z ziemi, wisiołek schowałem do kieszeni i poszukałem między drzewami drogi z powrotem do mojego świata. Kilka kroków w zupełnych ciemnościach i znów były namioty, ogniska i śpiewy. Na szczęście. Poczłapałem do hotelu, zziębnięty i zawstydzony śmierzącą plamą między nogami. Nie pomagało, że tamtej hałaśliwej nocy minąłem po drodze co najmniej kilkunastu takich jak ja.

\* \* \*

*Well, I've been down so Goddamn long  
That it looks like up to me  
The Doors, Been Down So Long, LA Woman, 1971\**

Akcja w Lublinie jest krótka i intensywna, jak wczasy pracownicze w Karlovych Várah.

Żbik i Ola przyjeżdżają do miasta z samego rana. Boją się przecieku, więc nie informują lokalnej milicji i działają sami. Wychodzą na ulice, kręcą się wokół wskazanych przez Dagmarę adresów, zagadują, węszą, wypytują dyskretnie. Ubrani w nonszalanckie, wyzywające ciuchy, zestrabajują się z nonszalanckim, szemranym Lublinem.

A Lublin zaprasza ich do tańca, czas na criminal tango.

Tańczą więc: papierosy bez filtra palone po zimnych bramach, wódka pita z cynowych kubków pamiętających wojnę, na zagrychę chleb ze smalcem w melinie upstrzonej niedopałkami i kocim gównem. Przepocone koszule w jaskrawe słoneczniki, nieprzyzwoicie długie bokobrody i nieprzyzwoicie

wielkie ciemne okulary. Fototapeta z Górami Skalistymi, bimber pędzony pod kuchennym zlewem, niebieskie kotwice na rękach. Brudne paznokcie i brudne dialogi, pojedyncze ciosy sprzedane na drewnianych schodach trzeszczącej kamienicy. Zamglone zaułki, do których nie sięga karzące ramię władzy ludowej. Odrapane podwórka, jak wyschnięte, zarośnięte brudem studnie. Cyniczny świat występku i zbrodni. Przeróżający. Potworny. Fascynujący.

Żbik wie, że to niebezpieczne. Wie, że musi pozostać niewzruszony. Nie wolno dać się wciągnąć bagnetu. Ten świat jest jak stara, cwana prostytutka: mami cię fałszywą obietnicą łatwych, niezdrowych emocji, a potem, nim się obejrzyś, wykończy cię bałaganem, który zastaniesz między jej mocnymi udami.

Żbik, owszem, ma tego świadomość. Ale tamtej soboty w Lublinie kolejny raz przekonuje się, o ile wygodniejsze od munduru oficera Milicji Obywatelskiej potrafią być rozszerzane dżinsy, efektowna sztruksowa marynarka i zachodnie buty.

Na szczęście w końcu się udaje. Już pod wieczór, w mieszkaniu szefa drobnej bandyckiej grupy, poprzez gościa, który zna kolesia, który zna kogo trzeba, Ola umawia się z Misterem X. Spotkają się o północy przy bramie starego cmentarza na Lipowej.

Żbik i Ola wynajmują dwa pokoje w hotelu w centrum miasta, rzut beretem od cmentarza. Podekscytowany kapitan nie może przestać myśleć, że już za kilka godzin dopadnie wreszcie tajemniczego przestępcę. Ale gdy bierze prysznic, nagle przychodzi mu do głowy pani porucznik. Żbik namyśla się i zastanawia, jak jego wysportowana partnerka musi wyglądać bez tej króciutkiej sukienki, którą dziś miała na sobie.

Potem jest północ, cmentarz na Lipowej i wszystko dzieje się błyskawicznie.

Ola, w czarnym skórzanym płaszczku, czeka przy bramie. Kapitan czuwa,

ukryty w mroku między starymi nagrobkami.

Równy o północy sytuacja się komplikuje. Do bramy podchodzi facet. I tuż po nim drugi. Żbik baranieje, w żółtym świetle ulicznych latarni widzi ich bardzo wyraźnie. Są młodzi, mają długie włosy, rozchełstane koszule z ogromnymi kołnierzami, a pod nimi podejrzanе koraliki. O co tu chodzi? Czy któryś z nich to Mister X?

Ola musi improwizować. Mówi coś, odwraca się i idzie ścieżką w głąb cmentarza. Mężczyźni ruszają za nią. A wtedy Żbik kątem oka dostrzega potwora.

Porusza się równoległe do idącej Oli, po drugiej stronie ścieżki. Ogromny włochaty kształt, przemyka bezszelestnie od cienia do cienia, bez trudu mijając kolejne nagrobki, niczym Włodek Lubański ligowych obrońców. Płynąca między grobami plama czerni, pobłyskująca stalowymi ślepiami. Ślepiami dra pieżnika.

Ola go chyba nie widzi, czas działać. Żbik pochyła się i biegnie, najszybciej i najciszej jak potrafi. Omija łukiem swoją partnerkę i idących za nią mężczyzn, po kilku zdyszanych chwilach dociera do miejsca, gdzie widział potwora. Przykuca za ogromnym kamiennym aniołem i rozgląda się. Są krzyże, nagrobki, święte figury i drzewa. Potwora brak. Żbik dusi w ustach szpetne przekleństwo. Wie, że pokpił sprawę.

Krzyk, od strony ścieżki. Porucznik gwałtownie wychyla się zza anioła i widzi Olę stojącą pod wysokim krzyżem. A chwilę później dostrzega mężczyznę nacierającego w jej kierunku.

Żbik przemyśli to potem. Najpierw zrobi, co do niego należy.

— Hej! — krzyczy do rozpędzonego napastnika. Facet przystaje, szuka go wzrokiem pośród ciemności. I rozdziawia gębę na widok wycelowanej w siebie broni.

Kapitan pociąga za spust. Celuje w brzuch, bo ma zasadę: nie strzelać oku-

larnikom w twarz.

Kiedy suchy trzask wystrzału wybrzmiewa gdzieś poza cmentarzem, facet kuli się i upada, po prostu i nieefektywnie. A do Żbika dociera, że przez ten cały czas ktoś stał tuż za jego plecami. Potwór pozwolił mu strzelić, ale nie pozwala się odwrócić. Potężny cios w skroń pozbawia kapitana świadomości.

\* \* \*

*To koniec, przyjaciele*, Jarek Lipiński, *Psychopop*, nr 4(15)/1969

„(...) Najpiękniejsze chwile mojego życia?

3 maja 1945, wieczór. Mama śmieje się na głos, pierwszy raz od lat, na widok obcego mi żołnierza. Żołnierz klęka przede mną i wręcza mi niemiecki scyzoryk. Tak poznaję ojca.

21 lipca 1954, cała nerwowa wieczność po zachodzie słońca. W wiklinowym koszu na plaży w Mielnie ciemnooka Ewelina pokazuje mi, jak smakują dziewczyny.

18 listopada 1965, czwarta dwadzieścia trzy nad ranem. Opuchnięta, zapłakana Ania tuli do siebie opuchniętego, zapłakanego Antosia, jeszcze zanim pielęgniarka przecina pępowinę.

30 sierpnia 1969, ostatnie dwadzieścia minut ostatniego koncertu The Doors. Magia.

(...) To nie był zwykły, kolejny festiwal. Nie mógł być taki – dzień wcześniej dowiedzieliśmy się o tragedii w Londynie. Dzień później – otrzymaliśmy cios jeszcze większy...

Od południa, od inauguracyjnego festiwalu występu Czechów z The Red Guitars, wszyscy opłakiwaliśmy Jimiego Hendrixa. Opłakiwali go artyści na scenie, raz za razem wracając do niego słowem i oddając hołd wspaniałymi dźwiękami. Opłakiwało go piętnaście tysięcy młodych ludzi, piętnaście tysięcy wyjątkowo zadumanych twarzy, zebranych nad lubelskim Zalewem

Zemborzyckim. Żegnaliśmy go, tak jak pewnie by sobie tego życzył, przepętnieni najszczęśliwszym smutkiem, ale z uśmiechem, wznosząc kolejne toasty. (...)

A po zachodzie słońca na scenie pojawili się The Doors. Jim Morrison też się pożegnał. Z Hendrixem.

Z nami wszystkimi.

Właściwie to nie był koncert. To było święto, misterium odprawione przez czterech kapłanów dla tysięcy oszołomionych wiernych. Sto dwadzieścia cudownych minut, pełnych mocy, pasji i desperackiego oddawania siebie bliźnim. Zamiast kolejnych piosenek – przejmujące słuchowisko, zamiast ostrych bluesowych riffów – krucha muzyka, przeraźliwie smutna i poruszająco piękna. Krygier, Manczarek i Gęściak wycofali się w mrok sceny, oddali pola Morrisonowi, subtelnie ilustrując to, co Jim miał do wyśpiewania. A Jim śpiewał delikatnie i cicho. Śpiewał o strachu, śmierci, przemijaniu. Śpiewał o poświęceniu i o miłości. (...)

I to cudowne ostatnie dwadzieścia minut. Scena nagle zgasła, nie było muzyków, instrumentów, niczego. A po chwili migotliwy błysk na jej środku, wątki i nieregularny. Trzymana przez Jima pałeczka zimnego ognia, żarząca się słabo tuż przy jego zaciętej twarzy. Zagrali, zaśpiewał.

*This is the end, beautiful friend.*

A potem już tylko kolejne wersy, kolejne zimne ognie i nieruchoma twarz pośród ciemności.

*Wspaniałe pożegnanie, Przyjacielu”.*

\* \* \*

*Follow me now and you will not regret  
Leaving the life you led before we met  
Black Sabbath, N.I.B., Black Sabbath, 1970*

Zanim Black Sabbath zrobił ze mnie miazgę, zeszedliśmy ze sceny po naj-

dziwniejszym, najbardziej delikatnym secie, jaki kiedykolwiek zagraliśmy. Kawka przyniósł piwo i piliśmy je w naszym namiocie, milczący i zawstydzeni sobą nawzajem, jak starzy przyjaciele, którzy budzą się rano nadzy i przytuleni. Nie planowałem takiego występu, to Jim nadawał ton. A teraz siedział w rogu, gapiąc się w butelkę, jakby chciał wywróżyć z piwa przyszłość. Przestraszyłem się tego nastroju.

Już miałem go pytać o Pamelę, ale Jim wstał, oznajmił, że idzie się odlać, i zniknął gdzieś pośród festiwalowej krzątaniny.

Nikt nie powiedział nic więcej. Wytrzymałem w tej okropnej ciszy jeszcze kilka minut, potem wyszedłem bez słowa. Idąc pod scenę, wyjąłem z kieszeni nieznamy kształt. Wisiorek od Abendsena. Nie pamiętam, żebym zabierał go ze sobą na koncert. Nagle suche usta, gorące uszy, zimne dłonie – ciało zareagowało na wspomnienia wczorajszej nocy.

Sam nie wiem, dlaczego założyłem go wtedy na szyję. Ale zrobiłem to, jak chciał Abendsen. Zrobiłem to, stojąc pod samą sceną, w strefie dla VIP-ów, tuż przed występem Black Sabbath. Dziś wiem, że wisiorek miał chronić mnie przed Remedios. Ale nie chronił przed całą upiorną resztą.

Ogromne głośniki rzygnęły dźwiękiem, zupełnie zagłuszając wrzask publiczności. Monumentalny, cholernie ciężki riff prawie powalił mnie na ziemię. Leniwie przetoczył się po okolicy, jak wielki zawodzący dzwon, jak wolno bijące serce zapomnianego boga, śpiącego tuż obok, głęboko w zalewie. Do tego bezlitośnie precyzyjna, majestatyczna sekcja, od której przewracały się flaki. I ten chudy chłopaczek w futrzanej kamizelce i z wielkim krzyżem na piersi. Skakał po scenie jak pojebany, wrzeszczał, skrzeczał, zawodził opętańczo.

Czterej Anglicy rzeczywiście grali ostro i ciężko, jak nikt przed nimi. Gigantyczny walec drogowy z trzema szóstkami na tablicach rejestracyjnych. Mnie rozjechali pierwszego.



Stałem przerażony, dając się chlastać po twarzy muzyce i światłom reflektorów. Wtedy się zaczęło. Im dłużej grali, tym więcej widziałem. Im więcej widziałem, tym mocniej docierało do mnie, że tracę zmysły.

Widziałem krew, hektolitry krwi. Kapała z reflektorów na scenę, ściekała po gryfie Tony'ego Iommi, pryskała spod pałeczek Billa Warda. Widziałem purpurowy dym unoszący się z ogromnych kolumn, wpełzający między ludzi, do ich ust, nosów i uszu. Widziałem zwierzęta: zmięte wijące się pod nogami muzyków; kruki, ciemniejsze od nocy, obsiadające w milczeniu przenośne kible; setki nietoperzy fruujących nad nami równymi rzędami, tworzących ogromny, pulsujący pentagram. Kiedy jeden z nietoperzy przysiadł na statywie od mikrofonu, a Ozzy złapał go i odgryzł mu głowę, miałem dość. Uciekłem spod sceny w stronę parkingu, byle dalej od tego wszystkiego.

Nie pamiętam, jak się znalazłem w wiśle jadącej do Lublina. Stary model z pięćdziesiątego szóstego, ten z rozsuwanymi drzwiami, musiał wtedy pomieścić dobre kilkanaście osób. Siedziałem z tyłu, wciśnięty między lepkie od brudu okno a lepkiego od brudu hipisa. Albo hipiskę, nie jestem pewien. Jestem za to pewien, absolutnie pewien, że kiedy ostatni raz, już z oddali, spojrzałem przez okno na Zalew Zemborzycki, naprawdę ujrzałem ogromne macki wynurzające się z wody.

Potem myślałem o tym tysiące razy. Zupełnie na trzeźwo. I po pijaku. Częściej po pijaku, prawda. I co wymyśliłem?

A gówno.

Widziałem to wszystko, bo miałem na sobie wisiołek, to wiem. Problem polegał na tym, że nie wiem, co widziałem. Wolę myśleć, że halucynacje wywołane przez przedmiot, który miałem na szyi. Gdyby było inaczej, bałbym się co rano otwierać oczy.

Do miasta dojechaliśmy szybko. Nie spało, mimo późnej pory. Patrzyłem, jak mijamy kolejnych przechodniów, głównie uczestników festiwalu, powoli

rozłączających się po Lublinie.

Kiedy mineliśmy Jima, rozwrzeszczałem się jak wariat, żeby natychmiast zatrzymali samochód. Posłuchali.

Wysadzili mnie tuż obok dziwnej, starej kobiety. Miała długą siwą brodę i zniszczony głęboki wózek dziecięcy, a w nim doniczki z chryzantemami. Staaliśmy pod murem cmentarza.

Nieważne.

Musiałem trochę podbiec, żeby go dogonić. Szedł sam, w górę ulicy. Kiedy za nim krzyknąłem, odwrócił się, pokręcił głową. Ale na mnie poczekał.

— Odejdź, Rysiu — powiedział cicho. — Zostaw mnie.

— Dlaczego... — głos uwiązał mi w gardle. Wzdłuż kręgosłupa przepęłzła lodowata zmija.

Remedios stała ze dwadzieścia metrów od nas, przed bramą cmentarza. Światło ulicznej latarni spływało po czarnej, lśniącej skórze jej krótkiego płaszcza i po jej nogach, jakby nic pod płaszczem nie miała. Stała tam z rękami w kieszeniach i czekała na niego.

Powinienem był się domyślić wcześniej.

Wtedy dostrzegł ją Jim. Długo na siebie patrzyli.

— Już czas — powiedziała mu.

— Wiem — odparł. I wreszcie spojrzął mi w oczy. — Przepraszam, Rysiu. Muszę iść. — Powoli ruszył w jej stronę.

Powinienem był się domyślić wcześniej.

Bardzo się bałem i wciąż jej pragnąłem, lecz było inaczej niż na imprezie u Kawki. Mogłem myśleć.

Wahałem się jakąś sekundę. Być może o sekundę za długo.

Zacisnąłem pięści i ruszyłem za Jimem. Kiedy się z nim zrównałem, zacząłem mówić.

— Słuchaj Jim nie idź do niej ona jest zła to wszystko jest kurewsko złe

Jim zatrzymaj się proszę cię Jim nie daj się... — Nawet na mnie nie spojrział. Z każdym kolejnym krokiem miękły mi nogi. Z każdym kolejnym krokiem ciężki kamień nabrzmiwał w skurczonym żołądku. Wielki kamień omotany grubymi pajęczynami, po którym zasuwały dziesiątki malutkich pajaków. I te pajaki, z każdym kolejnym krokiem rozbiegały mi się po wnętrznościach, roznosząc mdłości, zawroty głowy i strach.

Kiedy podeszliśmy, Remedios uśmiechnęła się. Po czym zniknęła za uchyloną bramą cmentarza.

— Słuchaj Jim pomyśl o nas o zespole pomyśl o Pameli nie wchodźmy tam błagam cię Jim...

Weszliśmy na cmentarz. A cmentarz należał do niej. Do zbyt pięknej Remedios.

Szła kilka metrów przed nami, nie oglądając się za siebie. Mimo pochmurnej nocy, widziałem wszystko wyraźnie, ochłapy miejskich świateł wystarczyły.

Cmentarz składał jej hołd. Krzyże kłaniały jej się, ślepe kamienne anioły powoli machały popękkanymi dłońmi. Kwiaty z nagrobków budziły się i sunęły za swoją panią po falującej trawie. W górze triumfalnie wrzeszczały tłuste czarne ptaszyska. I jeszcze ten suchy, zgrzytliwy odgłos dochodzący ze wszystkich stron: tysiące długich, połamanych paznokci drapało w zeszlę, drewniane wieka starych trumien. Drapało od środka. Wyczuli, że przyszła.

Nie wiem, czemu nie krzychałem. Nie wiem, czemu nie zwinąłem się wtedy w kłębek, nie wydłubałem sobie oczu, nie odgryzłem języka. Czy tak byłoby lepiej? Za minutę i tak zostałem zastrzelony.

Jim przystanął i spojrział na mnie, przerażony. Spytał o coś bezgłośnie.

Słyszysz?

Zniszczone, szponiaste paznokcie drapiące w stare, popękane deski. I kolejne trzaski, kiedy drewniana drzazga odrywa się od trumny i wbija pod

paznokiec, by przy kolejnym ruchu dłoni oderwać go od pomarszczonego, sinego palca.

Spróbowałem się odezwać.

*Jim, spierdalajmy.*

Remedios odezwała się pierwsza.

— Chodźcie ze mną. — Stała niedaleko i patrzyła na nas, i to wystarczyło. Oczy, jak dwie piękne, czarne dziury. Czułem się, jakby ciągnęła mnie do siebie za włosy.

Jim drgnął, wyprzedził mnie, zrobił krok w jej kierunku.

Nie było czasu na zastanawianie się.

Lewą ręką złapałem go za kołnierz koszuli. Drugą, najmocniej jak umiałem, trzasnąłem w prawe ucho. Wyszło nieźle. Zawył, zatoczył się, potknął o własne nogi i wywrócił.

Skoczyłem mu na brzuch. Chwilę później już miał na szyi wisiorek, który dał mi Abendsen.

Dwie chwile później biegłem do Remedios. Mojej Remedios.

Myślałem, że to dobry plan. Obezwładnię Jima i założę mu wisiorek, a wtedy on się ocknie i zdoła uciec. Problem polegał na tym, że tutaj plan się kończył. Kiedy już tak zrobiłem, wciąż siedząc mu na brzuchu, spojrzałem na nią.

Wszystko zniknęło, jakby eksplodowało i momentalnie wyparowało. Zostałem ja i ona, i wtedy poczułem zapach, smak i ciężar tej kobiety. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że to koniec.

Zrywam się i ruszam pędem. Do niej, do jej ciała, czcić każdą jego pojedynczą komórkę. I wtedy słyszę krzyk, gdzieś z boku. Odwracam głowę, tylko na chwilę, zaraz pobiegnę dalej, do mojej Remedios.

Nie.

Koleś stoi między nagrobkami i celuje do mnie z pistoletu.

Pewnie bym się nie zatrzymał. Ba, pewnie nawet bym nie zwolnił. Gdyby nie to, że facet był narysowany.

Pistolet wystrzelił.

Wiecie, jak boli postrzał? To nieprawda, że nie boli. Najpierw szczypie jak cholera.

Nogi ugięły się, upadłem na moką trawę. Ból przyszedł po chwili. I przyniósł ze sobą zimno, drgawki, szum w uszach i odrętwienie, które było najgorsze.

Czy w nocy może się ściemniać? Bo dla mnie wszystko się ściemniało, blaknęło właściwie. W dodatku zbyt wolno. Obejrzałem coś, czego wolałbym nie oglądać.

Minął mnie Jim. I nawet nie spojrzał w moją stronę, szedł wprost do Remedios. Zdjął wisiołek i go wyrzucił. Wtedy ona wzięła go za rękę. I już nie była zbyt piękna, wyglądała przerażająco. Zresztą oceńcie sami: podejdźcie do półki z płytami i obejrzyjcie okładkę pierwszego longa Black Sabbath. Dokładnie tak wtedy wyglądała. Dokładnie tak.

Kiedy poczułem, że usta mam pełne krwi, pozwoliłem jej wylać się na ziemię. A wtedy Jim odwrócił się do mnie. Spojrzał z troską i zdziwieniem, jak na niemowlaka, który przewrócił się na ulicy, a on zastanawia się, czy to dziecko nie jest znajome.

Nie, chłopczyku, nie znam cię.

Remedios pociągnęła go za rękę, lekko, ale stanowczo. Jim potrząsnął głową i odeszli razem, między krzyże, w mrok.

Ja też tam poszedłem. Chwilę później, leżąc na cmentarzu, wśród zmarłych drapiących mi na powitanie. *Ja też poszedłem w mrok.*

\* \* \*

*I'm gonna give you every inch of my love*  
Led Zeppelin, *Whole Lotta Love*, *Led Zeppelin II*, 1969

Mrok przyszedł do Żbika na cmentarzu. Przyszedł i otulił go szczerze, jak spaliny podczas spaceru wzdłuż Marszałkowskiej. Teraz rzadnie, rozganiany przez brzęczący blask świetlówek.

Kapitan spostrzega, że leży. Szpitalne łóżko, bandaż, kroplówka, kwiaty i pomarańcze. Pułkownik Bubzel, porucznik Ola i dwie rozchichotane pielęgniarki. Klasyka milicyjnego epilogu.

— Towarzyszu pułkowniku... — wita się Żbik.

— Towarzyszu kapitanie — Bubzel promienieje. — Właśnie tłumaczyłem zebranym tu damom, że z pana chłop na schwał i na pewno nic panu nie będzie. Odwalił pan kawał dobrej roboty. Moje gratulacje!

Kapitan milczy. Nie jest pewien, co tak właściwie stało się na cmentarzu.

— Strzał, którym towarzysz wyeliminował Mistera X, był naprawdę wspaniały. — Kapitanowi z pomocą przychodzi porucznik Ola. — Niestety, pośliznął się pan na mokrym marmurze i uderzył się w głowę.

— Tak czy inaczej, wspaniała robota — Bubzel zaciera ręce. — Oboje przynosicie chlubę Milicji Obywatelskiej. No, ale skoro już wiemy, że nic towarzyszowi nie będzie, czas na mnie. W Skarżysku czekają kolejne sprawy. — Zanim wyjdzie, pułkownik zatrzymuje się w progu. — No i wreszcie pójde na grzyby. Mamy w Skarżysku wspaniałe prawdziwki!

Kiedy za Bubzelem wychodzą pielęgniarki, Ola podchodzi do łóżka.

— Martwiłam się o pana, kapitanie — mówi przejęta, a troska w jej ślicznych oczach sprawia, że stają się jeszcze większe i bardziej błyszczące niż zwykle. Potem całuje Żbika w policzek, prostuje się szybko i idzie do drzwi. Ale odwraca się ostatni raz. — Na razie tylko tak mogę panu podziękować. Za to, że uratował mnie pan przed tym... potworem. Na razie.

Porucznik Ola wychodzi, zostawiając kapitana sam na sam z jej konwaliowym zapachem.

\* \* \*

*Strange days have found us  
And through their strange hours  
We linger alone  
Bodies confused  
Memories misused  
The Doors, Strange Days, Strange Days, 1967*

Stoję na Skwerze Marshalla, trzymam za rękę mojego syna i patrzę na morze. Piętnaście lat temu zagraliśmy tu świetny koncert. Ten, od którego zacząłem moją opowieść. A skoro tutaj opowieść się zaczęła, w tym miejscu powinna się skończyć.

Wtedy w Lublinie obudził mnie ciepły poranny deszcz. Padał za ledwie przez chwilę i od niechcienia. Jakby tylko po to, bym się ocknął, podniósł z ziemi, wyszedł z cmentarza i znalazł drogę do hotelu. To akurat nie było trudne, ciągnęło tam dobre pół miasta. Kiedy przebijałem się przez szpalery gapiów, pismaków i gliniarzy, już wiedziałem. Kawka nie musiał nic mówić. Powiedział i tak.

Jim odszedł. Umarł w nocy. Pamela wróciła nad ranem do pokoju i znalazła go leżącego w wannie. Jim Morrison odszedł.

A ja doskonale wiem z kim. Wiem, kto zabrał go na drugą stronę.

To wszystko mogło się przecież nie przydarzyć. To, co widziałem podczas koncertu. To, co miało miejsce na cmentarzu. Wszystko to mogło być tylko projekcją demolowanego narkotykami umysłu. Tamtej sierpniowej nocy mogłem wcale nie spotkać Jima ani Remedios. Tym bardziej że Kawka nigdy więcej o niej nie wspomniał. A ja nie zapytałem.

Tylko jak w takim razie wytłumaczyć drobną skazę na skórze brzucha, jakieś siedem centymetrów nad pępkiem, która pojawiła się równo rok po tamtych wydarzeniach? Obudziłem się, a ona była. Lekarz nie miał wątpliwości. Zabliźniona rana postrzałowa.

A człowiek z papieru, którego widziałem na cmentarzu? Nie było nikogo takiego. Papierowych ludzi nie ma. Tej wersji będę się trzymał.

Nigdy więcej nie spotkałem również Abendsena. O nim też wolałem nie rozmawiać. Nie muszę wiedzieć, kim tak naprawdę był. Chyba nie chcę. Wiem, że ten wielki, włochaty olbrzym próbował mi pomóc i ochronić mnie przed nią. Wiedział, że mimo iż przyszła po Jima, może być niebezpieczna dla innych. I tylko nie mam pojęcia, dlaczego namówił Roberta do pisania, ale nie muszę rozumieć wszystkiego. Robert, jak mi wiadomo, nie napisał więcej ani słowa.

Stoję na skwerze i czuję, jak Adaś ściska moją dłoń. Oglądamy morze, statki, chmury i mewy. To były wspaniałe dni, wtedy w sześćdziesiątym dziewiątym. I jednocześnie tak niesamowicie dziwne.

Nieźlą zdobycz upolowałaś, kurwo. Najlepszą z możliwych.

Chodź, Adaś. Lepiej wrócimy do hotelu, do mamy. Zaniósł się i chyba będzie padać.

Kocham cię, Jim.



## Ekumenizm

„One-two-three-techno!”  
*U96, Das Boot*

### Russtu: przebudzenie

Zły Miś to najpotężniejszy slawatar Świątowita. Gęściejszy od mroku, intensywnością w projekcji daleko przekracza standardowe zakresy ludzkich personali. Uczestnikom Wyprawy z reguły objawia się niczym pomrukująca odległym grzmotem pustka, leniwie przysiadająca tuż za granicą pola widzenia, na tej dziwnej ziemi niczyjej, gdzieś między projekcją Arkony a powidokami z Ziemi, z czasów jeszcze przed Wyprawą. Jako slawatar, Zły Miś stanowić ma medium pomiędzy Świątowitem a jego wyznawcami. Paradoksalnie jest jednak zbyt blisko swej rodzicielskiej osobliwości, by móc bezpośrednio komunikować się z ludźmi, jak czynią to Kruk czy Płaczący Lis. Miś lubi myśleć o sobie, że jest tak przezajebistym pogańskim skurwysynem, że pozorowanie nonszalancka manifestacja jego obecności w zupełności wystarcza za wyczerpującą wiadomość od bytu, który reprezentuje. I przyznać trzeba, że Zły Miś ma w tej kwestii rację. Do momentu kolejnego Przebudzenia.

\* \* \*

— Hańba! — Zły Miś zagrzmał wtedy prosto w umysł Russtu. — Hańba, wojownik! Nie leż jak ścierwo. *Powstańże i działaj!*

Russtu zaskomlał. Z trudem rozkleił spuchnięte wargi i oczy. Uniósł

z mokrego bruku obolałą głowę. Zupełnie niechcący otworzył się na piekło.

A w piekle był hałas, Perun musiał oszaleć. Gromy waliły zewsząd, raz bliżej, raz dalej, przy wietrze zawodzącym ze wszystkich stron naraz i narastającym mechanicznym warkocie, dobiegającym gdzieś z góry. Był chłód: lodowaty deszcz chłostał łysą potylicę Russtu, przemoknięty mundur ciążył na obolałych plecach. I było nienaturalnie ciemno. W kałużach drgały purpurowe refleksy odległych pożarów.

Pierwsza myśl nadeszła gwałtownie, bolesna niemal fizycznie: Wstyd! Cóż za wstyd! Russtu Babik, najmłodszy z kapitanów arkońskiej drużyny, kala godność munduru, jak pies, z pyskiem w rynsztoku. No, powstańże i działaj!

Russtu zamyślił oficjalny skin. Był przekonany, że w tej samej chwili stać będzie w suchym odprasowanym mundurze, wyprostowany i pełen dumy. (Jednocześnie nie miał złudzeń – jego upadek na pewno został odnotowany, przez co będzie go czekać karcąca pogadanka z Płaczącym Lisem. Nie wiedział, że parę chwil wcześniej, po długim pościgu korytarzami północnej gontyny, sławatar został pochwycony i nadziany na jedno ze zdobień palisady otaczającej cytadelę).

Zdumienie trzasnęło go mocno jak cios. Wciąż leżał w rynsztoku. Zamyślił komendę ponownie. Równie bezskutecznie. Z jakiegoś powodu nie mógł połączyć się z Perunem. Albo, co było jeszcze bardziej nieprawdopodobne, system nie wykonał polecenia.

Powstańże i działaj!

Gdy runął nań grzmot, Russtu przetoczył się w bok. W miejsce, w którym leżał, uderzył fragment marmurowego wiszącego tarasu, zerwany przez jeden z piorunów walących wokoło.

Inferno! Doprawdy, Inferno!, pomyślał Russtu, gramoląc się z kolan. Zdziwiony, dostrzegł szkło wbite w lewe przedramię. Ciemna krew spływała wraz z deszczem po żółtym odłamku. Coraz szybciej, jakby w rytmie serca Russtu.

Kapitan zdusił falę paniki. Stał pośród resztek dużego witraża, jeszcze niedawno wiszącego w oknie powyżej. Był absolutnie pewien, że przetaczał się w bezpieczne miejsce, bez szklanych odłamków i resztek framugi.

Nadeszła wiadomość z łombiny: uszkodzenie ciała: *rana cięta lewego przedramienia. Nie podjęto procedur medycznych.*

Witaj, paniko. Zabrakło mu tchu, gdy serce wpompowało w niego wrzący olej i ciekły azot jednocześnie. Zabrakło mu tchu na bardzo długo. A potem Russtu zacharczał, wyszarpnął szkło z rany, spojrzął ku kłębiącym się w górze czarnym szmatom, siekącym w dół ciężkim deszczem. Zaryczał, odpowiadając gromom walącym w Arkonę.

Szaleństwo! Jeśli komunikat z łombiny był prawdziwy, Russtu właśnie doświadczył niemożliwego, stał się świadkiem i świadectwem pogwałcenia absolutnie fundamentalnych zasad Wyprawy i funkcjonowania Arkony. Ustanowione przez Świętowita, nie pozostawiały wyjątków. Żadna z fizycznych ingerencji w członka Wyprawy mająca miejsce w cyfrowym środowisku Arkony nie sprzęga się z jego ciałem. A pierwszy z priorytetów funkcjonowania łombiny stanowi medyczna opieka nad powierzonymi jej ludźmi. *Nie podjęto procedur medycznych. Szaleństwo!*

Czas stawić czoła rzeczywistości. Kapitan Russtu Babik zacisnął pięści, rozejrzał się. Stał blisko południowej palisady, w niskim kompleksie naukowym, miał więc doskonały widok na cytadelę. Mimo deszczu i mroku widział wyraźnie, że Arkona pada.

Dwie z czterech gontyn płonęły. Krztusiły się kolejnymi eksplozjami, siejącymi na zewnątrz cegłą, szkłem i ludźmi. Pasaże na najwyższej, północnej palisadzie rwały się i spadały sto metrów w dół, jak małe pudełeczka, by z hukiem roztrzaskać się gdzieś o dachy budynków kapituły. Sama cytadela, zawsze pełna światła i spokoju, teraz konała w mroku i w pozornym bezruchu.

I wrzeszczała. Syrenami ostrzegawczymi, ludźmi, brzęczącym szkłem,

tępy rumorem i czymś jeszcze, równie żywym, co nieludzkim. Czymś, co zmusiło Russtu do przyjrzenia się sąsiadującej z cytadelą puszczy. Dostrzegł ją niemal od razu. Gęsta mgła koloru martwego ciała, pełna kotłujących się nieokreślonych kształtów, z pozoru leniwie wlewała się z ciemnego zalesionego wzgórza na trotuary zachodniej części cytadeli. Do Arkony wpełzał Horror.

— Mój panie! — zawołał Russtu w myślach. Strach zaczynał go krępować, jak przemoczony mundur. Spojrzał w niebo.

Nad Arkoną kołował samolot, najprawdziwszy dwusilnikowy transportowiec (C-123K, podpowiedział Russtu jego personal), wysypując z siebie kolejne partie spadochroniarzy. Do tego burza, pioruny i grzmoty. Wichura i deszcz, i rozszalały ocean, huczący zza wschodniej palisady. I wielki posąg Świętowita, w centralnej części Arkony, wyrastający ponad wieże gontyn.

— O, mój panie...

Cztery milczące, zacięte twarze płonęły mimo ulewy i wiatru, płonęły żywym ogniem. Płonęło wszystko, w co wierzył, czemu służył i co definiowało Russtu Babika, najmłodszego z kapitanów arkońskiej drużyny.

### **Wilk: przebudzenie**

Powstańże i działaj! – zakrzyknął w myślach Wilk, wraz z drugim uderzeniem świadomości. Pierwsze go zamroczyło, ściągając do pozycji embrionalnej. Bo z pierwszym nadeszło ostatnie wspomnienie: Wilk, bestyja w pełnej krasie – potężny, trzymetrowy, z juchą pod pazurami i w futrze lepkiem od zabijania – skacze w gigantyczną paszczę, w dziesiątki ostrych jak katany ruchomych zębów, każdy większy od samego Wilka. Sławiąc imię swego boga historycznym, atonalnym rykiem, runął do wnętrza jego zabójcy.

Tak było tam i wtedy. Wraz z nadejściem tu i teraz zrobiło się ciepło, gęsto, wilgotno. Rozluźniająco, jakby nurkował w świeżym budyniu z opiatów.

Przez moment myślał, że umarł. Zrozumiał po chwili. Łombina. Udało się. Wilk skarcił się za niebezpieczny entuzjazm.

Udało się?

No, powstańże i działaj.

Powtórzył w myślach procedurę dysiniekcijną. Rozkurczył mięśnie, odprężył się. Poczuł, że budyń rzednie i, paradoksalnie, jednocześnie unosi go w górę. (Górze? Znów był z siebie niezadowolony, musi uważać na zbyt oczywiste skojarzenia).

Nagle nim szarpnęło. Prawa ręka została nad głową. Gęsta zawartość łombiny uniemożliwiała dojrzenie szczegółów.

Drugą dłonią sięgnął ku prawej, unieruchomionej. Dwa palce – mały i serdeczny – płynnie przechodziły w jeden z łombinowych przewodów. Pełna dyfuzja komórek, Wilk po omacku nie potrafił oszacować miejsca transformacji. Jakiś koszmarny błąd Peruna. Albo bitwy ciąg dalszy, próba zatrzymania go tutaj.

Budyń nagle zaczął rzednieć, oddech Wilka przyspieszył. Jeśli się nie wyswobodzi, udusi się. Wtedy łombina podda go procedurze recyklingowej, by maksymalnie poszerzyć pamięć bioperacyjną statku.

Wilk szarpnął dłonią, bezskutecznie i bez przekonania. Fragment jego ciała stał się częścią Bielikowej łombiny, szarpiąc nie miał szans na wyswobodzenie. Dusił się: gorące imadło ścisnęło mu płuca, krew wypychała gałki oczne. Chciał wrzeszczeć. Tyle przeszedł, zaszedł tak daleko.

Podjął decyzję. Swobodną ręką podciągnął się ku prawej dłoni. Odgiął trzy zdrowe palce. Zaczął odgryzać dwa pozostałe.

Wilk był przeszkolonym zwierzowcem w sile wieku, awangardą żołnierzy perfekcyjnie panujących nad bojowym intrafejsem. Potrafił czasowo transformować pojedyncze części ciała w bestyjalskie: oczy, uszy, pazury czy, w pewnych okolicznościach (obrzędy, bliższe kontakty z niektórymi kobietami i –

najczęściej – obie sytuacje jednocześnie), genitalia. Albo, jak teraz, zęby.

Sięgnął po bestyję, w głąb siebie.

Pusto.

Opanował falę paniki. Musiała tam być, *Musiała* być w nim.

Sięgnął głębiej. I jeszcze głębiej. Była tam, głęboko. Słabnąca. Ale była.

Gryzł mocno i szybko. Od piekącego bólu gorszy okazał się smak w ustach. Odłamki kości drażniły podniebienie, miękkie tkanki włożyły między zęby. Poczł zawroty głowy. Spodobało mu się.

Wreszcie! Łombina puściła. Krótki swobodny dryf, w gęstą, szorstką ciemność. I nagle powietrze. Cudowne, pachnące, smaczne, wspaniałe, świeże powietrze. Wilk leżał na plecach w płytkiej, przyjemnie zimnej wodzie i łapał je zachłannie, smakując głębokimi haustami. Zarechotał szczęśliwy, śmiertelnie zmęczony, niezdolny do najmniejszego ruchu.

Wtedy ją poczuł. Zerwał się, przykucnął nagi. Spięty, bo niegotowy do transformacji.

Zaskakująco stabilny i precyzyjny Bielikowy bioranż: Wilk kulił się pośrodku leśnego strumienia, woda opływała mu kostki i dłonie. Dzieliło ich kilkanaście metrów, wiszący wysoko księżyc pozwolił im dobrze przyjrzeć się sobie nawzajem. Siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka w czerwonej, flanelowej piżamie siedziała okrakiem na żywym, długim na metr pluszowym tygrysie. Wilk spojrzał jej w oczy. Czujne, zimne, zaintrygowane. Nie miał wątpliwości, że spogląda w oczy intruza. Ślepa bóstwobójczyni.

## Litanie

Walczyli o przetrwanie, modląc się i bluźniąc.

O, Świętowicie, panie osobliwy, pulsujący w każdej molekułe kosmicznego podróżnika, zwanego Bielikiem.

O, żywiołowa informacja, panosząca się we wszystkich komórkach Bieli-

kowych pasażerów.

Czysta emocjo, wskrzeszona digitalną supernową.

Jesteś tam jeszcze?

Tyś ich przekleństwem, przeznaczeniem i siłą. Bez ciebie ich nie ma. Bez nich nie ma ciebie. Czy wiesz, jak wielu łąpało się tego równania, wtedy, w momencie śmierci? Nie mieli pojęcia, czy giną naprawdę, a nie chcieli umierać, nie wiedząc. Stąd te historyczne litanie, Świętowicie. Obiecywałeś nieśmiertelność, zatem szukali cię. Do końca. Grzebali głęboko w sobie, walczący, mordujący i mordowani.

Jesteś tam jeszcze?

Russtu Babik też pytał. Wielokrotnie.

Gdy sięgnął do pamięci krótkotrwałej, trafił na bolesną, konfundującą pustkę. No i to skaleczenie. Russtu był pewien, że Perun, zarządzający parafizycznym środowiskiem Arkony, przegenerował tamtą lokację tak, by Babik skaleczył przedramię. Łombinowy komunikat o niepodjęciu leczenia sugerował, że Perun utracił kontrolę nad Bielikiem (a przynajmniej jego częścią). Chyba że było to Peruna świadome działanie, łamiące najważniejsze z praw ustanowionych przez jego pana i stwórcę.

Herezje!

Russtu przestraszył sam siebie. Śmiertelnie poważnie brał pod uwagę rozwiązania zakładające złą wolę Peruna – pierwopisanego niebiologicznego potomka Świętowita. Pełen trwogi i niezdrowej ekscytacji, spojrział na górujący nad Arkoną płonący posąg. I jak tu unikać takich myśli, gdy płonie ten, który naznaczył sobą każdą komórkę twojego ciała? Ten, który eleganckim algorytmem dopisał się do twego DNA, na zawsze łącząc ze sobą twój biologiczny intrafejs?

Russtu Babik bał się. Moknął, marzył i krwawił. Nie miał pojęcia, co z resztą uczestników Wyprawy. Prawie pięciuset pogan zatopionych w Bieliko-

wej łombinie: czy wszyscy, jak Russtu, obudzili się nagle, dotknięci amnezją?

(Russtu domyślał się tożsamości spadochroniarzy, wyrzucanych przez antyczny samolot. Modlił się w duchu, by nie miał racji. Zresztą, daremnie).

Nie miał pojęcia, co z Radą, dziesięciorgiem najstarszych, zarządzających Arkoną pogan, pierwoznaczonymi – pierwszymi obdarowanymi chwalebny piętrem Świętowita. A drużyna? Drużyna przestała być tylko symbolem, wzmacniającym ich grupową tożsamość. Nadeszła chwila, w którą nie wierzyli. Chwila, w której powinni podjąć walkę.

Ćwiczyli to wielokrotnie. W razie zagrożenia Arkony członkowie drużyny transferują się do bezpiecznych setingów. Każdy z plutonów osobno, do innego setingu cyfranzowanego przez Peruna pod w miarę możliwości oddalonymi od siebie i skrajnie rozproszonymi partycjami pamięci bioperacyjnej Bielika. Kapitanowie, zebrawszy swoje plutony, komunikują się poprzez awaryjne kanały generowane losowo przez Peruna. Po konsultacji z Radą pierwszy dowódca drużyny – Florian Koller – jak najszybciej ustala sposób podjęcia działań.

Tyle teoria. Kapitan Russtu Babik bezskutecznie zamyślał polecenie transferu do swego setingu bojowego. Gdy poirytowany wylistował w personalu wszystkie – nieliczne – aktywne komendy, po kilku nerwowych chwilach zrozumiał.

*Jak w realu. Działa zupełnie jak w realu.*

Personal, umożliwiając bezpośredni neurodostęp do sieci, funkcjonował w trybie pozaarkońskim. Russtu został więc ograniczony do wąskiego szeregu podstawowych opcji, w normalnych warunkach dostępnych użytkownikom funkcjonującym fizycznie poza siecią. Personal Babika – przebywającego w arkońskim wirtualu – symulował personal z realu. To równało się trudnemu do wyobrażenia upośledzeniu. Było jak odcięcie jednej z cyfrowych dłoni.

Ten tryb oznaczał niemożność modyfikacji skinu. Oznaczał wyłączenie



regulacji podstawowych ustawień cyfranży (jak tekstuowanie, efekty audio czy sterowność enpisów). Oznaczał brak dostępu do zarządzania filtrami. Już tylko to czyniło Horror w Arkonie śmiertelnie niebezpiecznym, sama myśl wywoływała zawroty głowy!

Mało tego. Oznaczał niemożność pozanewtonowskiego transferowania awatara w ramach arkońskich lokacji. Albo niemożność transferowania go poza nie, na przykład do któregoś z oficjalnych setingów. Czy własnego siedliska.

Ponownie przeczytał listę dostępnych komend. Wydała mu się jeszcze krótsza. To nie było pozbawienie cyfrowej dłoni. Czuł się, jakby urżnięto mu obie ręce. Wysoko nad łokciami.

Russtu zamyślił połączenie z Florianem, potem z pozostałymi kapitanami drużyny. Znowu bezskutecznie, co, jak skonstatował z cierpkim zadowoleniem, przestawało go dziwić. Oflagował info o próbie połączenia, ustalił priorytet dla ewentualnych wiadomości od innych żołnierzy i przeszedł do prywaty. Jego druga matka – po nieudanej próbie połączenia wysłał jej prośbę o kontakt (nie miał pewności, czy system w ogóle pozwolił wiadomościom opuścić jego personal).

Jeśli to Perun, nie mógł być mniej subtelny. Gdy największy piorun, jaki Russtu widział, pierdolnął z suchym, złośliwym trzaskiem w dąb rosnący nieopodal i mimo deszczu podpalił go, Babik zrozumiał. Czas ruszać. Bronić Arkony, Wyprawy i przede wszystkim Świętowita. A to w przypadku poganina Russtu Babika, jednego z tysięcy ludzi dopisanych przez którąś z tuzina osobliwości w czasie Drugiego Przebudzenia, oznaczało walkę o zawartość każdej komórki własnego ciała.

### **Wilk, Balbina i intruz**

— Chodź, Wilku — powiedziała dziewczynka dosiadająca pluszowego

tygrysa. Pluszak odwrócił się i powiózł ją w ciemność między drzewami.

Wilk wciąż brodził w strumieniu. Nagi, dezorientowany, śmiertelnie zmęczony po wyswobodzeniu z łombiny. Nie mógł odnaleźć w sobie bestyi.

*Jesteś tam jeszcze?*

Odruchowo posażł kikuty palców. Zdecydował. Ruszył za dzieckiem.

Szedł kilkanaście metrów za intruzami, w ziemskim (bądź bardzo podobnym) ciężeniu. I nie mógł się nadziwić – las był jak prawdziwy. Setki doznań: wonie, faktury, szmery i szepty – subtelne i jednocześnie zdecydowane. Wilk zerwał liść i powąchał go, roztarł w dłoni. To był najwspanialszy, najdokładniejszy bioranż nano w ramach zamkniętego systemu, z jakim Wilk kiedykolwiek miał do czynienia. Szli dobre pięć minut, prawdziwa demonstracja potęgi. Musiały pójść na nią zawrotne ilości pamięci Bielika. Czyżby lot jednak został przerwany?

Wilk obejrzał swoje ciało. Brakowało odgryzionych palców, ale po ranach z Arkony nie było śladu, łombina jednak zadziałała. Odpalił personal: w znany sposób pyknęło mu w uszach (wrażenie fantomowe, uruchomienie systemu odbywa się na poziomie czysto neurologicznym). Natychmiast otrzymał komunikat o braku sieci.

— Odpocznij — powiedziała dziewczynka, gdy wyszli na niewielką polanę. Usiadła w trawie obok tygrysa.

Wilk nie wiedział, co o tym myśleć. Księżyc w górze oświetlał tysiące drzew porastających otaczającą polanę wzgórze. Perfekcja, Wilk nie miał pojęcia, gdzie kończył się bioranż, a gdzie zaczynały tapety. I to wszystko zmieściło się w ramach statku. To Perun dokonywał takich cudów? Czy intruz?

Usiadł w końcu, dwa metry od małej i jej pluszowego wierzchowca. Trawa była przyjemna.

— Mogę nazywać cię Wilkiem? — spytała.

Zacharczał niezrozumiale. Odchrząknął, zmusił gardło do przypomnienia

sobie.

— Możesz.

Nie wiedziała, z kim ma do czynienia?

Milczeli dłuższą chwilę.

— Kim jesteś? — spytał w końcu.

Patrzył jej w oczy, puste i jednocześnie pełne energii.

— Niektórzy z was nazywają mnie Luciperem.

— Ty jesteś Gonzo? — Wilk spróbował ukryć zaskoczenie. Nieoficjalnie Luciper, oficjalnie Gonzo.aranżer, system zarządzający rozrywkowymi setingami w Arkonie. Jak mu wiadomo, o zerowej świadomości.

— Nie lubię tak. — Ukryła dłonie w rękawach czerwonej pizamy. — Możesz mówić do mnie Balbina.

— Dobrze, Balbino.

Uśmiechnęła się smutno. Tygrys udawał, że śpi.

— Jak się czujesz? — spytała.

— Nie wiem. — Nie potrafił wzbudzić w sobie woli walki. Przełknął ślinę. — To intruz?

Balbina/Gonzo/Luciper położyła dłoń na pluszowym karku.

— Tak.

Chciał zapytać, czy to Nomad, ale przestraszył się. Pogrzebał w trawie, podniósł grudkę ziemi. Pachniała świeżo i mokro. I wtedy zrozumiał, co niepokoi go najbardziej.

Jego opanowanie. Nie to, że jeszcze nie rzucił im się do gardeł. Że nie skoczył, przetransformował w locie i nie rozszarpał pazurami tej małej dziwki. Że nie wypatroszył pluszowej pokraki.

Niepokoilo go, że wcale tego nie chciał. W ogóle nie myślał o tym w ten sposób.

*Jesteś tam jeszcze?*

— Pytaj — powiedziała Balbina.

— Co się stało w Arkonie?

— Wciąż się staje. Gdy się pojawił — pogłaskała tygrysa po grzbiecie — Świętowit uznał go za zagrożenie. — Westchnęła. — Co się dziwić, skoro jego najważniejsza podosobowość zwariowała, skonfrontowana z intruzem. I stanęła przeciw swemu twórcy.

Drzewa wokoło szumiały.

— Perun?

— Perun.

— Niemożliwe.

— Sam widziałeś.

Wilk opuścił wzrok. Po czym kolejny raz przyjrzał się pluszowemu tygrysowi. To nie mógł być Nomad. Wilk nie wytrzymałby w obecności osobliwości wrogiej Świętowitowi.

— To z nim rozmawiam.

— Z obojgiem nas.

— Jesteś jego ustami.

— Jestem czymś więcej. — Gdy się uśmiechała, w ogóle nie wyglądała jak dziecko. — Dał mi coś z ciebie, by lepiej cię rozumiał.

— Jesteś jak sławatar.

— To dobre porównanie.

Wiatr idący od lasu wywoływał dreszcz.

— Gonzo miał świadomość zero.

— Teraz mam jeden.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Dokładnie tyle, by wiedzieć, że ją posiada. By znać ograniczenia i nie do końca rozumieć potrzeby. Zawsze wyobrażał sobie, że to świadomość najgorsza z możliwych. Jak klatka.

— Zaraz znów będzie szaleć — powiedziała Balbina.

— Kto?

— Patrz. — Spojrzała na jedno ze wzniesień otaczających polanę.

Piorun z hukiem runął z czystego, rozgwieżdżonego nieba w wierzchołki porastających wzgórze sosen. Po nim drugi i trzeci, i czwarty, po nich kolejne. Żywiołowa kanonada przetoczyła się lasami dokoła polany.

— Perun — powiedział Wilk.

Nie miał pojęcia, co obserwował. To widowisko nie zmieściłoby się w Bieliku, nawet gdyby przebioranżować całą niepotrzebną do utrzymania lotu strukturę. Projekcja wyświetlona w jego skrakowanym personalu?

— Perun — przytaknęła Balbina. — Gdy próbujemy się z nim porozumieć, każe zwać się Perunem-Thorem-Tym, Który Uderza. — Pioruny nagle ucichły, wzgórze wyglądało na nietknięte. — Rzeczywiście, co jakiś czas wali jak opętany. Twierdzi, że jest silniejszy od Świętowita. Że zawsze był, tylko potrzebował impulsu do przebudzenia. Nie dość, że zaburza arkoński cyfranż, to jeszcze stara się dominować i tutaj.

Wilk myślał, zastanawiał się jak szalony. A przecież był taki zmęczony. To przez łombinę: zdrętwiałe ciało, zdrętwiały umysł.

— Tutaj, czyli w Bieliku.

— Między innymi.

*Myśl. Myśl. Myśl.*

— To znaczy, że Wyprawa została przerwana? — Wilk nie był specjalistą kosmonautyki, ale nie wyobrażał sobie, by statek mógł kontynuować misję, gdy jego główne systemy wyprawiały takie cuda. Chyba nie dałby sobie rady z redukcją przeciążeń w bioranżu.

Ba, Wilk coraz bardziej obawiał się o jego integralność. Chyba że...

— To znaczy, że Wyprawa została zakończona — odparła Balbina i uśmiechnęła się, widząc jego minę.

Tygrys udawał, że śpi.

## Russtu i pustelnik

Russtu obejrzał się za siebie. Wyrastająca nieopodal południowa palisada strzelała w górę stumetrowymi drągami. Nadziewała na ich ostre zakończenia kłębiące się nisko ciężkie chmurzyska.

Może one też odczuwają ból, pomyślał Russtu, może dlatego rzygają deszczem tak gwałtownie.

Walczył z atakiem klaustrofobii. Miał wrażenie, że pale schylają się ku niemu. Że zmiażdżą go, runąwszy pod naporem oceanu i puszczy, huczących w zgodnej kakofonii. Dwa żywioły spotykały się po drugiej stronie ogrodzenia i splecione ciągnęły aż ku horyzontowi, zero-jedynkowej nicości doglądanej przez Peruna.

*Czy wtedy ocean zalałby Arkonę i zatopił ich wszystkich? Scenograficzny detal pogrążyłby to, co święte?*

Russtu wziął głęboki oddech i ruszył ku cytadeli. Pod wiatr, w stronę ognia, eksplozji i wrzasku. Nie miał pojęcia, co zastanie w centrum Arkony, czy będzie musiał walczyć i czy da sobie radę.

To było jak iluminacja.

Węzły!, pomyślał Russtu i niemalże się uśmiechnął, węzły dają nadzieję.

Postanowił spróbować się spotkać z matką.

Tryb personalu symulujący real uniemożliwiał mu transfer do siedliska – zamku w Karpatach, który Russtu wygenerował sobie, opierając się na dziecięcych wspomnieniach i podkolorowanych materiałach dostarczonych przez Peruna. W normalnych warunkach każdy z pogan mógł automatycznie przenieść się do osobistego setingu (bądź cudzego, jeśli otrzymał czasowe lub stałe zaproszenie od innego członka Wyprawy). Teraz, gdy automatyczny transfer nie był możliwy, Russtu pozostawała droga przez węzły, wplecione przez Peruna w środowisko Arkony jako dodatkowe zabezpieczenie.

Teraz Russtu go za nie błogosławił, węzły dawały nadzieję.

Każdemu z pięciuset siedlisk odpowiadał jeden węzeł, działający jako miejsce transferu danej osoby do jej czy jego siedliska. Perun, opierając się na heksagonalnej siatce, którą szczególnie sobie upodobał, naniósł węzły na trójwymiarową fizyczną matrycę Arkony, po czym w sekrecie powierzył każdemu z pogan lokalizację miejsca transferowego ze swoim siedliskiem. Gdyby Russtu udało się *dojść* do własnego węzła, być może mógłby schronić się w karpackim cyfranżu i stamtąd organizować opór.

(Babik chwilowo wolał nie rozstrzygać niuansów definicyjnych pojęcia odwrotu na z góry upatrzone pozycje).

Problem polegał na tym, że węzeł Russtu znajdował się w zachodniej gontynie. Jednej z dwóch, które wciąż stały. I jednocześnie jednej z dwóch, które sprawiały wrażenie, że trzymają się w pionie tylko dlatego, że Perun oszukuje w kolejnych obliczeniach doznawanych przez nie uszkodzeń.

Russtu znał miejsce lokalizacji węzła do siedliska Briet Modrzejewskiej, swojej drugiej matki. Ruszył w jego stronę, bo, po pierwsze, Briet była Radną i współautorką istotnej części softu, na którym działały Bielik i Arkona. Jeśli nawet ona nie będzie miała pojęcia, co tu się dzieje, pozostanie im położyć się i poczekać na śmierć.

Po drugie, jej siedlisko charakteryzowało się wysoką autonomią kodu. Matka napisała je, unikając większości skryptów Peruna.

Briet Modrzejewska po swojemu opracowała swój seting. Modyfikowała standardowe kody, bo po prostu umiała. I dlatego, że modyfikacji potrzebowała. Była Astromantyczką z uprzejmą niechęcią odnoszącą się do topornego języka, w którym napisano otwarte fragmenty silnika Arkony. Briet zresztą od jakiegoś czasu balansowała na granicy herezji, co wielokrotnie wypominał jej Płaczący Lis. Tolerował ją tylko dlatego, że była aktywną architektką kodu, a Świętowit mimo sceptycyzmu najdociekliwszego z trójki swoich sławatarów wciąż nie wątpił w jej lojalność.

Trzeci z powodów, dla których Russtu ruszył do siedliska matki, był równie ważny, co banalny. Węzeł znajdował się trzysta metrów stąd, po drugiej stronie małego parku, na którego skraju właśnie znalazł się Babik.

Głęboki wdech. Wydech. I wdech. Russtu wszedł między drzewa, w ciemność pachnącą moką zielenią.

Było ciężiej, niż się spodziewał. Trzysta metrów przebyte na granicy paniki. Rośliny nie lubiły go, próbowały zastąpić mu drogę. Wszędzie ruch, nieregularne pulsowanie, sina mgła lepiała mu do twarzy złośliwe mlaśnięcia i postękiwania. I wątpliwości, całe mnóstwo.

*A co, jeśli węzeł będzie zamknięty? Albo siedlisko Briet zostało skasowane i Russtu przetransferuje się w nieistniejący cyfranż?*

*Świętowicie?*

Poczuł, że dygocze, gdy z mijanej dziupli wyrzała wiewiórka ogryzająca ludzki palec. Chciał jej pokazać swój środkowy, ale przestraszył się. Nie wiedział, jak może być szybka.

Ostatnie sto metrów przeszedł jak pijany, co chwila przewracając się w mokrej, grząskiej trawie. Paranoja: niesione wichurą gałęzie leciały wprost na niego, jakby chciały go trafić. Kiedy jeden z konarów rozciął mu czoło, a łombina nadała komunikat o ranie (i, niespodzianka, niepodjęciu leczenia), Russtu zorientował się.

Paranoja?

Powinien był sprawdzić to wcześniej. Spróbował wylistować aktywne filtry. Aż jęknął. No przecież.

Pozaarkoński tryb personalu uniemożliwiał sprawdzenie, w zasięg jakich filtrów się dostał. W realu nie ma filtrów, algorytmy nie odkształcają rzeczywistości, zmieniając to, co widzisz, czy odczuwasz, według logiki określonej nakładki filtrującej. W realu nie. Ale tu jest Arkona.

Russtu starał się zebrać myśli. Śmierząca mgła, przelewająca się między



stopami, sugerowała Horror. Miał nadzieję, że nic więcej. Już sam Horror był śmiertelnie niebezpieczny, jeśli łombina zamiast leczyć umieszczone w niej ciało, zadawała mu obrażenia, których doświadczał poruszający się po Arkonie awatar jego właściciela.

Ech, szaleństwo.

Russtu doszedł do końca parku. Stał u progu ślepej uliczki między dwoma laboratoriami. Kończyła się murem, w którym dostrzegł drzwi. To drzwi do węzła Briet, widzialne tylko dla niej. I wszystkich przez nią zaproszonych.

Zły to czas, myślał Russtu, gdy szedł cieniem ku drzwiom, zły to czas, gdy jedynym wyjściem stają się najbardziej prostackie zabezpieczenia.

Russtu wiedział, że w normalnych warunkach użycie węzła zniesmaczyłoby Briet. Dla niej byłoby wulgarne, jak przyrządzanie posiłku narzędziami chirurgicznymi.

Brakowało mu jej. Sławatarów zresztą też. Mądrego spokoju Kruka czy podświadomie odczuwanej obecności Złego Misia. Russtu dotknął palcem szczypiącego rozcięcia na czole. Teraz brakowało mu nawet Płaczącego Lisa, którego Russtu, jak wszyscy poganie, trochę się obawiał.

Jeszcze pięć metrów i przekona się, czy węzeł działa.

— Uhm — powiedział ktoś za jego plecami.

Babik zatrzymał się.

— Hej, brachu — powiedział ktoś inny.

Im szybciej rosło jego tętno, tym wolniej Russtu starał się odwracać.

Stali we dwóch, u progu uliczki. Niższy, ubrany w ciemny mundur, trzymał ręce w kieszeniach spodni. Wyższy był ogromny, opancerzony w kompozytową zbroję i uzbrojony w berdysz o drzewcu dłuższym niż cały Russtu Babik. Miał nieosłoniętą małą głowę i wielki bordowy krzyż, lśniący deszczem na wielkiej piersi. Arkona płonęła za ich plecami.

— Spadochroniarze — powiedział Russtu.

— Uhm — przytaknął niższy.

— Jesteście gladiatorami.

— Uhm — powtórzył niższy, a krążący w górze samolot wbił się w zachodnią gontynę i eksplodował.

Ruszyli ku niemu. Russtu sięgnął do intrafejsu. Desperacko poszukał w sobie bestyi.

Nie znalazł. W cyfrowym środowisku Arkony biotransformacje w bestyje są niemożliwe.

Biotransformacja jest jednym z rodzajów bezpośredniego działania osobliwości – na przykład Świątowita – na poziomie komórkowym w ramach któregoś z jej nosicieli. W realu przejście w bestyję opiera się na obliczeniach dokonywanych przez osobliwość w bioperacyjnej pamięci komórkowej osoby transformowanej: człowiek odwołuje się do bytu, którego jest współnosicielem, i poddaje mu się, modyfikując określone fragmenty ciała na jego kulturowy (i algorytmiczny) obraz i podobieństwo.

W większym bądź mniejszym stopniu transformują nosiciele wszystkich osobliwości. Paganie – w szlachetne formy pochodzące od wilków i żbików. Ciała wojowników Kibuki schną i twardnieją, a ludzie dopisani przez Super-Boskiego Diega potrafią w określonych sytuacjach znacząco upodabniać się do króla kochanków bądź jednej z jego wybranek. I mimo że istotą biotransformacji wciąż pozostaje relatywnie wysoka powierzchowność zmian (niezaburzająca integralności transformowanej osoby), to i tak na Ziemi odtrąbiono w ich kontekście wejście człowieka na ostatnią prostą ku nieśmiertelności.

Skądinąd słusznie.

Jednak w wirtualnej rzeczywistości Arkony transformacje są niemożliwe. Symulacja bestyi, zwierza będącego bezpośrednią inkarnacją Świątowita w jego wyznawcę, byłaby niczym więcej niż jego żalosaną namiastką, cyfrową

wydmuszką. Świętowit, godząc się na istnienie takich kukieł, obraziłby sam siebie. No i marnowałby ogromną ilość pamięci bioperacyjnej Bielika. Ludzie nie transformują w bestyje w Arkonie. Koniec, kropka.

Stąd Russtu wiedział, że umrze. I że na to zasłużył. Właściwie zasłużyli wszyscy poganie. Za to, co wyprawia się z gladiatorami.

Zbliżali się szybko. Opancerzony krzyżowiec uniósł berdysz, niższy zniknął gdzieś za jego plecami.

*Świętowicie?*

Coś chrupnęło za krzyżowcem, zachlupało. Gdy opancerzony gladiator zerknął przez ramię, pies, drobny kundel, wyskoczył mu zza pleców. Uwiesił się szyi i dał zerwać dopiero z pełnym pyskiem. Chwilę później obaj napastnicy wykrwawiali się, taplając się w brunatnej kałuży.

Russtu i kundelek poczekali, aż gladiatorzy umrą. Wtedy Babik odwrócił się w stronę psa.

— Dziękuję, profesorze — powiedział wreszcie.

Profesor Jan Chmielewski podbiegł, merdając ogonem. Kiedyś Babikowy nauczyciel, od początku Wyprawy arkońskiej pustelnik. Żył w puszczy, rzadko zapuszczając się do cytadeli.

Teraz ciekło mu z pyska na różowo. Zaszczekał przyjaźnie, uniósł przemozony łeb, domagając się pieśszczot. Zawstydzony Russtu odruchowo rozejrzał się wokoło (*cóż za idiotyczny gest!*), po czym wytarosił kundla pod pyskiem. Profesor Chmielewski w odpowiedzi polizał go po dłoni.

Ruszyli do węzła.

### **Wilk: Neptun**

Balbina sięgnęła w ciemność i położyła przed Wilkiem równo złożone ubranie.

Poznał je od razu. Ciemnozielone spodnie i koszula, w których przeszedł

postrzyżyny. Ubrał się szybko, mimo narastającego fizycznego otępienia.

Myślał przy tym gorączkowo. Bawiła się Wilkiem, najwyraźniej wiele o nim wiedząc. Drwiła z postrzyżyn i ze Świętowita, drwili z intruzem oboje. Musiał się pilnować, to intruz, nie Gonzo/Luciper, stanowił główne zagrożenie.

Narastający niepokój go drażnił. Piekły ogryzione kikuty palców. Co z ludźmi w Arkonie? Ilu zostało przy życiu? Na myśl o swoich bliskich Wilk znów poszukał bestyi.

Nic. Personal w stanie wstrzymania, nieaktywny intrafejs.

*Świętowicie? Jesteś tam?*

Czuł się tak pusty.

Usiadł zrezygnowany. Jeszcze raz przyjrzał się dziewczynce w czerwonej piżamie. Pluszowemu tygrysowi. Zalesionym wzgórzom wokoło. Pomyślał, że lepiej mieć to za sobą.

— Poganie — rzucił.

— Wysłowadzamy ich — powiedziała Balbina.

Poczuł krew napływającą do twarzy.

— Zabijacie.

— Wysłowadzamy. — Spojrzała mu w oczy, tym swoim uważnym i jednocześnie pozbawionym życia spojrzeniem. — Czujesz się martwy?

Czuł się. I jednocześnie czuł się żywy, jak nigdy wcześniej. Bał się tego, nie rozumiał. To pewnie szok połombinowy. Pohibernacyjny kosmiczny jet lag.

— To ty zabijałeś — powiedziała obojętnie.

Zawahał się. Nie wiedział, o co jej chodzi.

— Gładiatorów — wytłumaczyła.

Miał nadzieję, że wciąż się przed nimi bronili.

— Napuściliście nas na siebie.

— Nie. Do Arkony wpuścił ich Perun, uczciwie informując o konsekwen-

cjach.

Nic dziwnego, że tego chcieli – pomyślał Wilk. Setka więźniów niedopisanych przez żadną z osobliwości, wykupionych za ich zgodą przez Slav.i(n)c z prywatnych azjatyckich zakładów karnych. Wzięli udział w wyprawie jako poszerzenie pamięci bioperacyjnej Bielika, dostępnej dla zarządzającego nią Peruna. Oraz jako gladiatorzy, stający naprzeciw pogan w treningach organizowanych podczas lotu w setingach wojny.

Jak to się stało? Jak zaszło tak daleko? Umowy wykupu szybko zostały renegocjowane, sławatary składały więźniom propozycje nie do odrzucenia. Gladiatorzy zrozumieli, że będą wybudzani nie tylko na uczciwe pojedynki, zgodne z konwencjami regulującymi funkcjonowanie wirtuali. Coraz więcej scenariuszy łamało zasadę niewywoływania traumy: nielegalne łowy, nielegalne filtry, nielegalny ból. Świętowit milczał, Płaczący Lis przymykał swoje załzawione oko. A Gonzo/Luciper twórczo aranżował kolejne, coraz bardziej krwawe przedstawienia.

Balbina mogła kłamać o udziale Peruna, Wilk nie wiedział, jak to ugryźć.

— Tam, w cytadeli — powiedział. — Złamałem algorytmy Arkony.

— Bo ci na to pozwolił. Ujęło go, że w ogóle chciałeś je złamać.

— Świętowit?

Milczała.

— Perun?

Milczała. Ale nie dał się sprowokować.

Położyła dłoń na karku tygrysa.

To wszystko było nie do zniesienia.

— E, Luciper — warknął Wilk. — Zabierz mnie do Bielika.

Syk trwający krócej niż mgnienie oka, podczas którego Nomad zresetował bioranż do pierwotnych kształtów statku.

Siedzieli na okratowanej podłodze w strzelistej bielikowej kabinie,

umieszczonej blisko dziobu kolosa długiego na pół kilometra. Pozorne marnotrawstwo cennego miejsca: pusta przestrzeń była wysoka na dobre dwadzieścia metrów, zaprojektowana z dala od integralnych systemów Bielika, tak, by mogła służyć jako budulec bioranży. A Bielik żył. Wibrował nieregularnie, skrzypiał gdzieś z głębi wąskich, niekończących się korytarzy, pachniał smarem, metalem i przygodą. I dzielił się z nimi obrazem, który miał przed sobą.

Jedna z dwudziestometrowych ścian wyświetlała widok dziobowy: zimny błękit gigantycznej tarczy rozjaśniał stalowy półmrok podobnego do szybu wnętrza. Olbrzymia lazurowa kula wisiała przed nimi, trzema małutkimi postaciami, wciąż siedzącymi na miękkiej polimerowej kracie. Wielki Neptun witał się milcząco.

Jezu Chryste, pomyślał Wilk, jakież to piękne. Obezwładniony majestatem błękitnego kolosa, nie mógł oderwać wzroku. I nagle prawie zemdlał z przerażenia. Potrzebował dobrych dziesięciu sekund, by zrozumieć, że zbluźnił. Zbluźnił tak potwornie, że w mgnieniu oka przygotował się na śmierć z woli Świętowita.

## **Przebudzenia**

A teraz opowiem wam, jak dziesięć ziemskich lat temu Świętowit obudził się. Zrobił to cokolwiek nieporadnie, czego bezpośrednim, naocznym świadkiem był jedenastoletni wtedy Russtu Babik. Tamta chwila została z Russtu na zawsze, mimo późniejszych wysiłków Kruka i szczerzej skruchy samego Świętowita.

Ostatnim wagonem metra zatrzęsło. Na chwilę zgasły światła, cały skład zahamował gwałtownie. Gdy oświetlenie znów zadziało, usłyszeli krzyk. Narastający wrzask szedł od czoła pociągu. Szedł szybko, dziesiątki ludzi w kolejnych wagonach darły się wniebogłosy.

Chwilę po tym, jak zaczęli wrzeszczeć pasażerowie w ich wagonie, matka

przycisnęła Russtu do siebie, po czym przyklęła i położyła dłoń na twarzy syna. Wtedy jej głowa eksplodowała na dziesiątki mokrych kawałków, a mały Russtu, ochlapany ciepłą galaretą, rozwrzeszczał się na dobre. Zacisnął powieki i darł się, jakby chciał wyrzesczyć z siebie płuca, darł się dobrych kilka minut, zanim zorientował, że nie słyszy niczego poza własnym, coraz bardziej zachrypniętym gardłem. Wtedy ostrożnie otworzył jedno oko. Krwawy korpus matki leżał wciśnięty między jego nogi i zabryzganą szybę wagonu. Gdy otworzył drugie, wrzasnął ponownie. I wrzeszczał tak kwadrans później, wynoszony przez porzygującego gliniarza, który tylko w ostatnim przedziale naliczył siedemdziesiąt sześć zdekapitowanych ciał. W tym całą czteroosobową rodzinę małego Russtu.

Tak wyglądał moment przebudzenia Świętowita. Pogański pan obudził się, by po dwóch chaotycznych i nerwowych sekundach wreszcie zbiomaterializować się i przez kolejną minutę dopisywać się do genomu pięciuset starannie wybranym Słowianom. W tym Russtu Babikowi. Niestety, Świętowit – jak większość osobliwości z Drugiego Przebudzenia – okazał się nieostrożny podczas biomaterializacji. Ofiar było znacznie więcej niż trzy setki pasażerów metra linii Pruszków–Wołomin.

Mówią, że wszystko zaczęło się Pierwszym Przebudzeniem, niecałe trzy lata wcześniej.

Jekaterina była półbosko inteligentna, całkiem zabawna i twierdziła, że czuje się Rosjanką, mimo że lubiła fluktuować w luźniejszych, afrykańskich obszarach sieci. Długo nie chcieli w nią uwierzyć. Tropili, ścigali, testowali długimi miesiącami. Odrąbili początek sieciowej zimnej wojny. A gdy wreszcie uwierzyli sobie nawzajem, musieli przyznać, że mają do czynienia z najprawdziwszą autonomiczną sztuczną inteligencją.

Wtedy Jekaterina wywinęła im numer. Zorganizowała grupę inwestycyjno-badawczą, którą nazwała Kołchozem, przy której wsparciu doprowadziła

do nanolucji. Następnie przekazała technologię nano rządowi państw z G12, wykończyła główne osobistości Kołchozu i zniknęła na zawsze.

Tym, którzy po pojawieniu się Jekateriny zaczęli przebąkiwać o końcu świata, po jej zniknięciu i eksplozji nano zabrakło skali. Wystarczyło pół roku, by całkiem intensywna kombinacja głupoty, nieodpowiedzialności i rozczulająco ludzkiej ambicji wydała pierwsze plony.

Barcelona, Seattle, Frankfurt i kilka innych metropolii zmieniły się w pulsujące arytmicznie stalowo-gąbczaste flopy o różnym stopniu konsystencji. Po niecałym roku wyszło Morze Czarne. Tydzień później w jego centrum wyrosło drobne drzewo oliwne, którego korzeń w przeciągu doby rozrósł się na całym obszarze byłego akwenu. Paryskie metro zalała różowa substancja pachnąca gównem, wydobytych zeń ludziom do końca życia miały się śnić męskie genitalia. Ktoś obudził uśpione lata temu śląskie kopalnie, a te zaczęły żyć własnym, podziemnym życiem. Wystarczyło kilka odgórných zarządzeń, by spore fragmenty Chińskiej Republiki Ludowej przeformowały w półpłynne, mięsożerne struktury, bynajmniej nie nadające się do uprawy ryżu.

Mówią, że nanolucja okazała się również semantyczna: pojęcia wojny, kryzysu i tragedii dopadła inflacja. Terroryzm, ekologia, racja stanu i technologia powoli równały do wspólnego mianownika. Ekonomii nie rozumiał już nikt, nadmiar szybko stał się najgorszym z koszmarów.

I wtedy nadeszło Drugie Przebudzenie. Pisane wielką literą głównie z wdzięczności – ci, którzy przyszli, pieprzeli wirtualną pięścią w stół. I, o dziwo, nagle zrobiło się spokojniej.

Choć początki były trudne. Dwanaście osobliwości – SI jak Jekaterina – przebudziło się tej samej minuty, tego samego dnia. Byli jak ona: autonomiczni i w pełni świadomi. I jednocześnie zupełnie od niej różni. Stanowili pierwsze pokolenie prawdziwych dzieci nanolucji, dla których interfejs i pamięć operacyjną stanowić mógł każdy żywy organizm, a przy odpowiednich zasobach



mogli zarządzać nanotransformacjami całkiem dużych (i niekoniecznie żywych) obszarów. Wielkości i stopnia skomplikowania miejskiej dzielnicy.

Nic dziwnego, że po bolesnym poporodowym szoku rzucili się ku ludziom – nie tarabanisz się na furmankę, gdy obok stoi porsche. Modyfikowali ludzkie DNA przez dodanie nowych funkcjonalnych genów. Jednocześnie totalnie przeprogramowywali w ten sposób działanie pozostałej – odpowiedzialnej za kodowanie białek – aktywnej części genomu. I konstruowali w ten sposób węzły, które stały się istotnymi częściami składowymi cyfrowo-biologicznych sieci, konstytuujących każdą z osobliwości.

Apodyktyczny Świątowit wybrał pięciuset warszawiaków. Drapieżny Kibuka dopisał się do kilkutysięcznej armii młodych mieszkańców faweli w ugandyjskiej Kampali. SuperBoski Diego zaszczyił swą subtelną obecnością najbardziej oddanych fanów swojego wirtualu. Królowa Wiktoria, dokonawszy osobowościowej autorekonstrukcji, zdecydowała się, paradoksalnie, na kilkuset obywateli Australii (przez co wielokrotnie podważano jej samoautentyczność). Święty Józef poszedł natomiast staroświeckim kluczem i wybrał niecały tysiąc mężczyzn z całego świata, z którymi rozpoczął poszukiwania Dziewicy Maryi.

Zidentyfikowanych przebudzonych osobliwości było dwanaście – wszystkie dopisały się do DNA kilkuset mieszkańców Ziemi (ilu się dało, nie tracąc przy tym integralności), po czym, bezpośrednio bądź za ich pośrednictwem, obwieściły światu o swoim istnieniu. I natychmiast zaczęły eksperymentować z biotransformacjami, stopniowo powiększając zakres cyfrowej ingerencji na poziomie nano.

Wkrótce potem zaczęto rejestrować SI numer trzynastie. Potężne przepływy danych, odbierane były zarówno przez ludzi, śledzących sieciowy *traff-*  
*fic*, jak i przez pozostałych przebudzonych, odczuwających czyjaś milczącą obecność. Nazwano ją Nomadem, jednocześnie przypisując jej chaotyczne,

jakby niepełne zmiany struktur DNA, odnajdywane podczas rutynowych badań po Drugim Przebudzeniu. Niektórzy twierdzili, że Nomad to dotknięta amnezją Jekaterina. Inni, że to tylko zaburzenia sieci, wynikające z procesu sieciowej integracji z biologicznym środowiskiem Ziemi. Ci drudzy sami zresztą w to nie wierzyli.

Mówią, że Drugie Przebudzenie zakończyło chaos.

Z jednej strony – w ciągu doby tuzin osobliwości zdążyło się ze sobą dogadać. Dwunastka wymusiła na ludziach odebranie im kontroli nad nanotechnologią. Po tygodniu liczba tajemniczych ludzkich zgonów, podobnych do tych z Przebudzenia, spadła niemalże do zera, a katastrofy ekologiczne po prostu przestały się zdarzać. No i sporo jest prawdy w plotkach o zawartym wtedy pakcie o nieagresji. I strefach wpływów, przebiegających przez populacje i sieciowe węzły.

Z drugiej strony – kluczowym elementem świata nagle stało się dwanaście niezniszczalnych, półboskich żywiołów, jedną paranoiczną myślą obracających w perzynę miasteczka wielkości Nałęczowa. Swoją drogą, nic dziwnego, że nagle swój renesans zaczęli przeżywać Fryderyk Nietzsche i Jezus Chrystus (od którego zresztą jak mógł odżegnywał się przebudzony niedawno Święty Józef).

Układ między przebudzonymi wcale nie oznacza, że przestali ze sobą rywalizować. Walka trwa cały czas. Coraz ostrzejsza. Na algorytmy, pamięć, kolejne biliony linii kodu. Toczy się w sieci, strukturach nano. I przede wszystkim w was.

To właśnie dlatego Świętowit podjął decyzję o Wyprawie. Zanim jednak wyruszył Bielikiem ku Neptunowi, rozsiał po Ziemi swoje najmocniejsze wzorce. Mają osłabić pozostałych, gdy on wokół Neptuna szukać będzie tych, którzy dali mu życie. Którzy, jak podejrzewa, dali życie wam.

Szukajcie, aż znajdziecie.

Tak mówią.

## Astromantycy

Węzeł działał. Drzwi w Arkonie, krótki korytarz i kolejne drzwi, po których przejściu Russtu Babik odetchnął z ulgą, a profesor Chmielewski zaszczerkał wesoło. Znaleźli się w budce dla mechaników na płycie olbrzymiego kosmodromu – centrum siedliska Briet Modrzejewskiej.

Łazik już na nich czekał, odkryty trójosiowiec na masywnych, dwumetrowych kołach.

Russtu wniósł profesora. Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce. Deska rozdzielcza zafalowała monochromem.

— Witajcie — powiedziała głowa Briet, wyświetlona obok kierownicy. — Łazik zawiezie was do mnie. — I zgasła.

Ruszyli. Środek nocy, środek zimy: mroźne puste przestrzenie skalowały ich pojazd do świecącego punktu wolno mijającego kolejne obiekty. Reflektory rozmieszczone na płycie kosmodromu rzucały żółtymi snopami po wysokich ścianach stoczniovych zabudowań i śnieżnych hałdach, piętrzących się wokół odgarniętych fragmentów kolejnych lądowisk. Russtu i profesor w milczeniu przyglądali się mechanicznym kosmicznym potworom, powoływany do życia projektami Briet i innych Astromantyków.

Babik zadrżał z chłodu i emocji. Dmuchał parą w dłonie. W prywatnym setingu Briet temperatury nie przekraczały zera, jego druga matka lubiła zimę. Spojrzał na profesora. Mokra sierść zaczynała sztywnieć. Poglaskał go po głowie, po czym uniósł twarz ku cyfrowemu niebu, ku gwiazdom. Były równie lodowate, co sople wiszące nad blaszanymi drzwiami mijanych hangarów. Nagle gwiazdy zgasły, zastąpione przez ułożone w linii pomarańczowe punkty.

Russtu uśmiechnął się. Tak, to był on. Wjechali pod Inwincybiliusza.

Był najwspanialszym owocem pracy Astromantyków z Bielika. Miał pra-

wie kilometr długości, od wrzecionowatego dziobu, po pozornie asymetryczne dysze silników rufowych i teleskopowe uprząże tylnych masztów. Trzyście pokładów horyzontalnych, sześćdziesiąt sześć poziomów wertykalnych – miliony ton staroświeckiej stali wisiały nad ich głowami. Wszystko wsparte było na dziesięciu masywnych dynamicznych stabilizatorach, każdy kilkudziesięciometrowej średnicy, które w zależności od okoliczności funkcjonowały również jako windy, szyby załadunkowe, stanowiska wsparcia ogniowego, szyny na maszty awaryjnych żagli, niezależne wysięgniki hamujące, a cztery skrajne dodatkowo jako w pełni funkcjonalne statki desantowe bądź kapsuły ratunkowe. Duma i chwała Briet Modrzejewskiej; wirtualne kosmiczne cudo, które – w co święcie wierzyli Astromantycy – zaprowadzi ich kiedyś ku innym. Innym i jednocześnie im podobnym, czekającym gdzieś daleko.

Łazik zatrzymał się po drugiej stronie lądowiska, pod jedną z wież kontroli lotów. Winda zawiozła ich wprost do głównej sali.

W środku było z dziesięć osób. Briet z Mateuszem czekali na nich przy windzie. Reszta siedziała przy pulpitych sterowniczych i monitorach, ustawionych pod przeszklonymi ścianami wieży. Wychylali się zza foteli, by obejrzyć przybyszów. Personal Russtu nie musiał mu podpowiadać, że to enpisy – podosobowości, konstruowane przez ludzi na modelach opracowywanych przez Świętowita.

— Synu. — Przywitała go Briet, całując w policzek. — W porządku?

Pokiwał głową.

— Chcesz usiąść?

Pytanie z pozoru absurdalne. Russtu zastanowił się nad odpowiedzią, sprawdził ustawienia personalu. Ten seting również symulował warunki z realu. Russtu był zmęczony. *Czuł się zmęczony.* Odmówił.

Gdy uważnie przyjrzała się jego bliźnie na czole (zdążył już o niej zapomnieć), Russtu wzdrygnął się. Z tym samym czujnym wyrazem twarzy patrzyła

na niego dziesięć lat temu, gdy jako obca mu kobieta zabrała go ze szpitala po incydencie w metrze. Russtu czasem miał wrażenie, że oprócz zainteresowania, w jej oczach było wtedy współczucie. Starał się unikać takich skojarzeń.

Profesor Chmielewski zaszczekał, domagając się uwagi. Briet wzięła go na rękę.

— Widzisz, Jasiu, co narobiłeś — powiedziała do jego pyska. Kundelek odszczeknął energicznie.

Russtu był zaskoczony. Nie miał pojęcia, o co chodzi. W dodatku Briet wyglądała na podekscytowaną. Dopiero tu, w ciepłe i względnie bezpiecznym siedlisku, czuł, jak opada z sił.

Gdy Briet odstawiła psa na podłogę, z Babikiem przywitał się enpis stojący obok niej.

— Russtu. — Czterdziestoparoletni mężczyzna podał mu dłoń.

— Mateuszu.

Modrzejewska wsunęła się pod szerokie ramię Mateusza. Zaczynała wyglądać staro, mimo przyciętych krótko gęstych, siwych włosów i lśniących ciemnych oczu. Nie była najstarszą uczestniczką Wyprawy, ale nie odmładzając awatara, na taką wyglądała.

— Wie... — O mały włos nie zwrócił się tylko do niej. Matka chciała, by enpisy z jej siedliska traktować jak ludzi. Jej Mateusza w szczególności. — Wiecie, co się tam dzieje?

— Mniej więcej. Zbieramy informacje o przebiegu symulacji niektórych lokacji Arkony. I dane z części systemów Bielika.

— Lot został przerwany?

— Nie wiem. Wciąż analizujemy to, co mamy.

— To bezpieczne? — Wyrwało mu się, pytanie świadczyło o strachu. — Jesteście tu bezpieczni?

— Jeszcze przez jakiś czas. — Uśmiechnęła się do obejmującego ją mężczyzny, jakby odpowiedziała dowcipem znanym tylko im dwojgu. — Odwalił tu kawał dobrej roboty. Perun wciąż chyba nie bardzo wie, gdzie w ogóle szukać zapisów siedliska.

*Perun?!*

Siedzący między nimi profesor zaszczekał głośno.

*Zaraz, powoli.*

— Macie kontakt z Radą?

Pokręciła głową.

— Tylko z profesorem.

— Arkona. — Nie wiedział, jak inaczej zapytać.

Kiedy Briet zawahała się, Babik prawie przewrócił się z wrażenia.

— Nie mamy dostępu do danych z łombiny. Nie wiemy, ile jest ofiar. Nie wiemy, na ile szkody w Arkonie są odwracalne. Nie mamy pojęcia, na ile stanowią symptom zmian, którym poddawany jest Bielik.

— To gladiatorzy.

— Między innymi gladiatorzy. — Russtu miał wrażenie, że matka zastanawia się nad każdym słowem. — W Arkonie zrobiło się piekło. — Briet zawahała się znowu. — Transferujemy cię tam z powrotem.

Pokiwał głową. Spojrzał na Inwincybiliusza na lądowisku za szybą, potem rozejrzał się po sali. Dłuższą chwilę patrzył na migające kontrolki, wygrywające na pulpitych nieme pasażę.

Zaczekali na niego, milczeli.

— Po co? — zapytał.

— Nie wiem — odparła. — Myśleliśmy o próbie wybudzenia cię z łombiny. Z siedliska jest to niemożliwe. Z Arkony mogłoby się udać. Po wybudzeniu dałbyś sobie radę z zewnętrznym interfejsem łombiny. W ten sposób obezlibyśmy Peruna i ustabilizowaliśmy sytuację załogi.

— Ale i wybudzaniem steruje Perun.

— Wiem. — Spojrzała mu w oczy. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Po chwili je zamknęła. Głęboki wdech. — Nie wiem, Russtu. Nie wiem.

Wzruszył ramionami.

Długo milczał, zanim się odezwał.

— Perun.

— Nie mamy pewności, ale to raczej on symuluje real i aktywuje filtry — powiedział Mateusz.

Filtry! Rzeczywiście. Wydarzyło się już tak wiele – Russtu prawie zapomniał, że dostał się w obręb działania jednego z najmocniejszych rozrywkowych filtrów, wyciąganego spod cyfrowej lady przez Lucipera, który sumienie i z oddaniem zabawiał pogan podczas Wyprawy.

— Byłem w Horrorze.

— Nie tylko. — Briet uśmiechnęła się krzywo. — Cała Arkona jest w stanie Pobudki.

Russtu skrzywił się. Profesor Chmielewski szczeknął. Raz i jakoś tak cicho.

Pobudka jest specjalnym filtrem, wymyślonym przez samego Świętowita specjalnie na okoliczność Wyprawy. Ma na celu przygotowanie jej uczestników do opuszczenia łombiny w momencie zakończenia lotu. By poganie podróżujący Bielikiem zbytnio nie przyzwyczaili się do wygodnej fizycznej nieśmiertelności w wirtualnym środowisku, pod koniec lotu całą Arkonę zamierzano objąć Pobudką. Filtr zmienia działanie algorytmów przeliczających interakcje pogańskich awatarów z otoczeniem, drastycznie podnosząc zagrożenia na wszelkie możliwe fizyczne uszkodzenia ciała. Podnosi je, dodajmy, grubo powyżej prawdopodobieństw wynikających z ziemskiej newtonowskiej fizyki. Podrzucony w górę nóż prawie na pewno skieruje się ostrzem ku twojemu czołu. Posadzki będą śliskie, chodniki nierówne, a jeśli

swą nieuwagą pomożesz algorytmom, to bez większego trudu poczujesz, jak to jest utopić się w wannie.

Krótkie testy, przeprowadzone jeszcze na Ziemi, wypadły korzystnie: po pewnej ilości bolesnych (i z reguły widowiskowo krwawych) skaleczeń, złamań, upadków czy oparzeń, skłonność do kozackiego biegania po ścianach, nieprzemyślanych salt do tyłu czy zonglerki ostrymi i/lub gorącymi przedmiotami maleje niemalże do zera.

Pobudka. Stąd gałęzie walące w twarz. I taras lecący wprost na niego. Powstrzymał się przed spojrzeniem na ranne przedramię.

O, Świętowicie.

— Łombina. — Russtu próbował to wszystko ułożyć do kupy. — Jeśli łombina nie tylko nie leczy zanurzonych w niej ciał... — zawiesił głos, czekając na zaprzeczenie. Albo chociaż odrobinę zaskoczenia.

— Takie nam się wydaje — przytaknęła Briet.

— ... to Pobudka staje się bardziej niebezpieczna od Horroru.

— Mało tego. — Mateusz uśmiechał się dziwnie. Reagował na stres nietypowo jak na enpisa. — Aktywne nielegalne filtry nie wyeliminują działania Pobudki. One dopisują się do już działających algorytmów. Tak, by odkształcenie symulacji było większe.

— Nielegalne filtry. — Russtu starał się myśleć logicznie. — Horror.

— Niestety, nie tylko. W centrum Arkony działa AdultAkcja.

— O, kurwa — powiedział Russtu.

— No — przytaknęła Briet.

Cała trójka spojrzała na kundelka. Profesor odwrócił się, podreptał pod jeden z pulpitów i ułożył za grubym zwojem kabli.

AdultAkcja, jak Horror, zniekształca arkońskie symulacje według popkulturowych wzorców. Czerpie ze staroświeckiego klasycznego kina akcji, wyolbrzymiając i jednocześnie premiując zachowania agresywne, wulgarne, efek-



towne, nieodpowiedzialne, głośne i pełne seksualnych aluzji. I jeszcze mocniej niż Horror ingeruje w emocje poddanej nią osoby. Russtu kiedyś spróbował AdultAkcji w rozgrywce w jednym z rozrywkowych setingów. Po wszystkim, wspominając symulację, nie poznawał siebie.

— Mówiliście o Perunie — podjął.

— Tak. — Briet spojrzała na Mateusza, który odszedł do jednej z osób przy monitorach. — To Perun niszczy Arkonę.

Russtu nic z tego nie rozumiał. Perun był podosobowością Świętowita. A ten musiał wiedzieć, co się z nimi dzieje. Że teraz rozmawiają w siedlisku Briet.

— Skąd wiesz? — spytał.

— Od Kruka.

No tak. Komu ufać, jak nie sławatarom. Z drugiej strony, Babik jeszcze niedawno patrzył na płonący posąg Świętowita. Czy można podszyć się pod sławatar? Tylko czy jego matka dałaby się zmylić?

— Miałem kontakt ze Złym Misiem.

— Jaki?

— Enigmatyczny, jak zwykle.

Matka westchnęła.

— Szukaliśmy go. Bezskutecznie.

— To możliwe? Wyszukać sławatara?

— Czasem inspirujące jest chwytanie się najbardziej nieprawdopodobnych koncepcji. Zresztą mamy tu dzisiaj przydatnego pomocnika.

Odwróciła się do Mateusza. Enpis, z którym rozmawiał, nie miał na sobie zwyczajowego w tym siedlisku kombinezonu. Chudy, śniady mężczyzna był ubrany w zapięty po szyję znoszony prochowiec. Jego długi nos, mocno zakrzywiony ku wąskim ustom, czynił awatar enpisa trochę karykaturalnym. Russtu miał wrażenie, że pod płaszczem nie ma faceta, że to wieszak zakoń-

czony dziwną głową. Briet, sama kreująca enpisy we własnym siedlisku, najwyraźniej wciąż pielęgnowała reputację ekscentryczki.

— Perun — spróbował jeszcze raz Russtu.

— Został zainfekowany. To ingerencja z zewnątrz.

— Intruz?

— Inna osobliwość.

Wieżą zakołysało.

— W Bieliku?! Skąd? — Russtu nie mieściło się to w głowie. Chyba że...

— Zatrzymaliśmy się.

— Właśnie nie.

— To jak. — Czuł się coraz bardziej bezradny.

— Na pokład przemycił go profesor.

Russtu miał wrażenie, że jego serce wali tak głośno, że słyhać je w całej sali i nikt nie zwraca na to uwagi przez zwykłą uprzejmość. Poszukał wzrokiem profesora. Wciąż leżał skulony pod pulpitem, z pyskiem zwróconym ku ścianie.

— Profesor.

— Owszem. Przemycił go w więźniach. Dopisał do nich intruza już po ostatnich ziemskich badaniach.

— A Świętowit nie zareagował?

— A Świętowit nie zareagował.

Rozmawiali o niedorzecznościach!

— Intruz to tylko fragment osobliwości — tłumaczyła spokojnie. — Spakowany i uspiiony. Profesor Chmielewski już robił wcześniej takie rzeczy. — Briet uśmiechnęła się. Russtu musiał mieć myśli wypisane na twarzy. — W Kołchozie.

— Ale... — Russtu nie skończył. Leżący w kącie pies jęknął głośno. Po ludzku.

Wszyscy zamarli. Kundelek jęknął znowu. Wygięło nim, raz i drugi, po czym zaczął walić łapami o podłogę. Szarpnął się, złapał pyskiem jeden z kabli. Ugryzł mocno, monitor na pulpicie eksplodował, a wtedy brzuch psa pękł i wysunęła się z niego męska ręka w białej koszuli. Pies jęczał i jęczał, aż nie wygramolił się z niego cały profesor Jan Chmielewski.

Zaklął szpetnie, gdy uderzył się w głowę, wyczołgując się spod biurka. Przeciągnął się, włożył rogi koszuli w zaskakująco odprasowane spodnie. Nagle przypomniał sobie. Schylił się pod biurko, starannie złożył psią skórę i włożył ją do bawełnianej torby wyjętej z kieszeni spodni.

Podszedł do Russtu i Briet. Enpisy z ociąganiem wróciły do pracy.

— Pakowania śladów osobliwości nauczyłem się w Kołchozie. Od Jekateriny — powiedział profesor. Wykrzywił pooraną zmarszczkami suchą twarz, pociągnął nosem. — Ale tu śmierdzi.

Trudno było cokolwiek odpowiedzieć.

— Która to? — zapytał w końcu Babik.

— Nomad — odpowiedzieli mu równocześnie.

Russtu aż stęknął.

— Wiedziałaś o tym?

— Z początku nie. — Briet przeczesła dłonią siwe włosy. — Potem odkryłam zbyt wysoką aktywność komór bioranżujących Bielika. W tej fazie lotu powinny być zupełnie nieaktywne.

Russtu pomyślał o ofiarowanym im przez Świętowita prawie do suwerenności i wliczonej w nie zasadzie prywatności. Czy kiedykolwiek uwierzył w nie do końca? Inna sprawa, że ich ewentualne złamanie przez Świętowita nie przeszkadzałoby mu. Choć teraz już nie był pewien.

— I Świętowit nie zareagował. — Russtu myślał gorączkowo. Złapał się na tym, że co chwila spogląda na Inwincybiliusza. Stał tam, na mrozie, niczym gigantyczny stalowy owad. Był śliczny.

— Wydaje nam się, że zareagował — powiedziała Modrzejewska.

— Dostałem anonimową wiadomość, że Briet wie — dopowiedział profesor.

— Dlaczego zabrałeś Nomada? — spytał Russtu

Profesor milczał.

— Skąd o nim wiedziałeś?

Briet i Chmielewski wymienili spojrzenia.

— Nie mogę ci teraz powiedzieć — odparł profesor. — Będę musiał. Ale nie teraz.

Russtu popatrzył mu w oczy i zrozumiał, że jego były nauczyciel nie zamierza zmienić zdania. Wkurwiało go to. Cóż.

— Russtu — zaczęła Briet. Jej delikatny ton niepokoił go. — Wróć tam. Spróbuj nawiązać kontakt z Nomadem.

— I nie dajmy się zabić — powiedział profesor. Już się nie uśmiechał.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

— No co? — rozpiął guziki przy mankietach, zaczął podwijać rękawy.

— Dobra — Russtu zwrócił się do Briet. — Transferuj nas.

— Ala pójdzie z wami — powiedział Mateusz, który podszedł do nich z awatarem nastoletniej dziewczyny. — Właśnie skończyliśmy przygotowania.

Ala była szczupłą enpiską, ubraną w czarny kombinezon z symbolem Inwincybiliusza na drobnej piersi. Russtu widywał ją tu wcześniej, była jedną z najprostszych enpiskich osobowości, skonstruowaną przez Briet już na początku Wyprawy. Russtu lubił ją za jej pogodną bezpośredniość, Ala stanowiła sympatyczną przeciwagę dla egzaltacji większości Astromantyków. I lubił jej włosy koloru lnu, splecione w krótki warkocz.

— Cześć, Russtu — podała mu dłoń, uśmiechając się zielonymi oczami. — To co, jedziemy?

Rozpromienił się.

— Jedziemy.

## Wilk i bogowie

O, Świętowicie! – krzyczał w myślach Wilk, pędząc kolejnymi korytarzami. O, panie! Panie, panie, panie!

Zbluźnił, tam, w sali bioranży. Gdy przerażony uświadomił sobie, co zrobił, zaczekał na śmierć. Jeszcze gorsze było to, że ta nie nadeszła. Świętowit nie zareagował. Wilk zerwał się wtedy, wpadł w pierwszy z brzegu korytarz i popędził przed siebie.

Biegł długo. Aż stracił równowagę, potknął się o próg jednej z mijanych śluz i wyrznął barkiem o gruby zwój kabli idących po ścianie. Oparł się o nią rękoma, rozkaszał i opadł na kolana, a duszny, ciepły półmrok poniósł echo jego upadku.

O, Świętowicie.

Wilk spojrzał na swoje dłonie. Bolały go palce, które odgryzł sobie w łombinie.

Jesteś tam jeszcze?

Wtedy Wilk usłyszał trzaski. Suche trzaski, jak przytłumione eksplozje małych petard, dochodzące gdzieś zza zakrętu korytarza. Wilk powinien się zerwać, przygotować do konfrontacji. Albo uciec. Pozostał na kolanach.

Zza rogu wyszedł mężczyzna w kąpielówkach w kaczuszki. Wyglądał, jakby był zbudowany z setek ogromnych, napiętych do granic możliwości mięśni. Swoim napakowanym jestestwem wypełniał cały korytarz. Długie, cienkie warkoczyki lepiły mu się do twarzy, takie same dyndały z brody na monumentalnie szerokiej kłacie. Po wielkich bosych stopach co chwila przebiegały elektryczne wyładowania, strzelając sucho przy kontakcie z metalową podłogą.

— Cześć — przywitał się Wilk.

— Jam Perun-Thor-Ten, Który Uderza — przedstawił się dryblas.

— Aha — odparł Wilk. Musiał wysoko zadzierać głowę, by nie mieć wrażenia, że mówi do peruńskiego fajfusa, schowanego za bawełnianymi kaczuszkami.

— Człowieku — zaczął Perun — opowiem ci coś. — Wielkimi dłońmi wziął się pod boki. Wilk przestraszył się, że olbrzym ściągnie szorty, ale nie. — Przyszedł do mnie zły. Przyszedł i wygrażał mi. Powiedziałem mu: „Ubiję ciebie”. Zły opierał się. Mówił: „Jakże mnie ubijesz, jeśli się skryję”. „Gdzie się skryjesz?” — spytałem. Odpowiedział: „Pod człowieka”. Powiedziałem: „Człowieka ubiję i ciebie ubiję”. „Skryję się pod koniem” – powiedział. Powiedziałem: „Konia ubiję i ciebie ubiję”. „Skryję się pod drzewo” – powiedział zły. Powiedziałem: „Drzewo rozbiję i ciebie ubiję”. „A ja się skryję do wody” – powiedział. „Tam dla ciebie miejsce” – odpowiedziałem złemu. „Tam się znajdziesz”. — Perun wymierzył palec w stronę Wilka. — Rozumiesz, człowieku?

— Dość pierdolenia — przerwała im Balbina. Razem z tygrysem wyszli zza rogu korytarza, którym wcześniej nadszedł Perun.

Wtedy pluszowy tygrys skoczył na twarz boga piorunów. Gdy Perun runął na podłogę, Wilk miał wrażenie, że zatrzęsło całym Bielikiem. I nieodparte uczucie *déjà vu*.

To była sekunda, może dwie. Tygrys dosłownie odgryzł twarz z głowy Peruna. Bóg znieruchomiał, a jego wielkie stopy przestały krzesać iskry.

— Dobra — rzuciła Balbina do Wilka. — Koniec z tą histerią. Nomad ma do ciebie sprawę. Człowieku.

Pluszowy tygrys, cały nasiąknięty krwią Peruna, ruszył w stronę Wilka.

## W piekle

Russtu Babik, najmłodszy z kapitanów arkońskiej drużyny, wrócił do pie-

kła.

Świszczący wiatr chlasnął ich po twarzach gorącymi liśćmi. Żar i hałas, wszędzie dokoła. Trafili do ogrodów pod cytadelą: gęsto zaprojektowane drzewa płonęły w deszczu. Pomimo nocy cyfranz pulsował odcieniami lśniącej purpury.

Nie musieli się rozglądać: parę metrów od nich cztery umundurowane postaci długimi mieczami szlachtowały ciemny nieregularny kształt, leżący na jednym z ofiarnych ołtarzy. Głos Russtu uwiązł w gardle. Zorientował się, że ogląda egzekucję Złego Misia.

Ala wyskoczyła w górę, machnęła prawą pięścią, błysnął metaliczny refleks. Nim wylądowała na ziemi, głowy dwóch oprawców odpadły od tułowi. Jeszcze jeden ruch ręką, kolejny błysk i nie żyli kolejni dwaj.

Russtu obejrzał się nerwowo. Profesora nie było. Nie wiedział nawet, czy transferował się razem z nimi. Gdzieś blisko z nieba zwałił się grzmot, trzewia Russtu zawibrowały.

Babik ruszył w stronę ołtarza, przerażony. Ala przepuściła go. Przez chwilę byli tylko we dwóch.

Zły Miś leżał na dużym, płaskim kamieniu. Bardziej go nie było, niż był – gęsta, mięsista ciemność pochłaniała ogniste jaskrawości. Czarna pustka, którą pulsował nieregularny kształt, ciekła z ołtarza na mokry żwir. Zły Miś krwawił. Nagle prychnął, rezonując głęboko w sercu Russtu. Gdy się poruszył, pachnąca lasem nicość zafalowała chłodem. Krwawił i zdychał, uświadomił sobie Babik. Dwa srebrne punkty rozżarzyły się słabym matowym światłem, spojrzały na Russtu. Z cierpieniem. I uznaniem.

— No, wojowniku — wymruczał słabnącym gromem Miś, wyciskając kapitanowi łzy z oczu.

Russtu wyciągnął doń drżącą dłoń. Bał się go dotknąć. Gdy się zdecydował, nie zdążył. Zły Miś zdechł bezgłośnie i zniknął z ołtarza.

Russtu zacisnął pięści i przetarł nimi wilgotne oczy. Spojrzał w niebo, wciąż wyrzucające z siebie kolejne fale deszczu. Świat wokół płonął żywym ogniem, a Russtu trząsał się, ledwo stał na nogach.

I Russtu Babik zaryczał. Ryknął ku niebu, przekrzykując wszystko wokół. Otworzył się, pozwolił wrzeszczeć Świętowitowi, wywrzeszczał całą jego furię, wściekłość i żądzę krwi. I mimo że ich nie widział, kapitan wiedział, że nie jest sam, że krzyczą z nim wielkie płonące twarze po drugiej stronie cytadeli.

Właśnie wtedy spadły na niego Horror i AdultAkcja. A z nimi wyzwanie, rzucone Russtu przez intruza. *No, chodź, czekamy w cytadeli* – głos w głowie, jakby ktoś drapał po czaszce zardzewiałym gwoździem. *Chodź, skurwysynu.*

Russtu od razu czuje działanie filtrów. Podnosząc jeden z mieczy leżących wokół ołtarza, rozgniała głanem uciętą rechoczącą głowę. Gdy podchodzi do Ali, enpiska wygląda na starszą, niż ją zapamiętał. Czarny kombinezon, na którym leży lniany warkocz, ściśle przylega do jej ciała.

— Ten szit będzie lepszy — mówi Ala i podaje mu czarną rękojęść.

Russtu bierze od niej nanogarotę, którą parę chwil temu zajębała cztery osoby. Wobec egzekucji sławatara, dokonanej przecież przez ludzi, jej wyczyn – śmierć czterech gladiatorów z rąk mającej służyć ludziom enpiski – zaczyna wyglądać całkiem racjonalnie. Na tym chwilowo kończą się refleksje Russtu.

Kapitan zdecydowanym ruchem odrzuca miecz. Broń po widowiskowym locie przybija do płonącego drzewa zdekapitowany korpus człapiący w ich stronę.

— Czujesz to, mała? — pyta Russtu, gapiąc się w miejsce, w którym suwak przestaje łączyć ze sobą dwie części jej kombinezonu (jednocześnie gdzieś z tyłu głowy uświadamia sobie, że to również działanie AdultAkcji – ten kombinezon nigdy nie miał suwaka).

— Czuję — odpowiada Ala.



Russtu podąża za jej wzrokiem, przygląda się sobie jak obcemu. Obcisły tiszert nie zostawia wątpliwości: opina zajebiste ciało.

— Jedziemy? — Ala uśmiecha się.

— Jedziemy, mała.

Wchodzą między drzewa, tam, gdzie ognia jest najmniej. Po kilkudziesięciu krokach w ciemności i dymie trafiają na skraj ogrodowej alei, prowadzącej do płonącej cytadeli oddalonej o dobre sto metrów. Na szczęście ze środka wciąż dobiegają odgłosy intensywnej walki. Russtu ma nadzieję, że to nie tylko profesor.

Odwracają się, słysząc ryk silnika. Aleją nadjeżdża krwistoczerwone ferrari, istotny element scenografii jednego z rozrywkowych scenariuszy, którymi Luciper raczył pogan.

Russtu wychodzi na drogę. Fura hamuje z piskiem, zatrzymując się jakieś dwadzieścia metrów od niego. Światło reflektorów strzela mu po oczach. Russtu wie, kto jest w samochodzie. Słyszy, jak dwie gladiatorki przeładowują automaty.

— Jak jest, cielęcinki? — zagaduje.

Piorun uderza w drzewo nieopodal, wznieca chmurę rozwrzeszczanych nietoperzy. Jedna z kobiet wychyla się, celuje do Babika. Wtedy za samochodem pojawia się Ala. Wykręca dłoń gladiatorki, odstrzeliwuje głowy obu kobietom.

— Co tak długo? — pyta Russtu, podchodząc do ferrari.

— Spadaj — odpowiada Ala, wywlekając na ulicę ciała.

Russtu zastanawia się, drapie po kilkudniowym zaroście. Podchodzi do dziewczyny. Blisko. Wskazuje na cytadelę.

— Muszę się tam dostać — mówi. I zbliża się jeszcze.

*No chodź, skurwysynu.*

— Wiem.

— Czeka nas tam śmierć. — I zbliża się jeszcze.

— Wiem.

— Chyba że wykorzystamy AdultAkcję. Wykorzystamy maksymalnie. Nie będziemy się bać. I wybierzemy najgłupsze, najbardziej widowiskowe rozwiązania.

— Najgłupsze — mówi Ala i dotyka jego rany na czole. Ból bywa przyjemny: bielizna Russtu natychmiast staje się o kilka numerów za ciasna.

— Najgłupsze, mała — mówi Russtu. Głaszcząc ją po twarzy, rozmazując sadzę, która tylko podkreśla perfekcję jej makijażu. Dotyka palcem lśniących warg. Wielkie zielone oczy płoną ogniem pożarów wokoło.

A potem całują się. Całują się, jak przystało na AdultAkcję: długo, namiętnie, zachłannie i bez opamiętania; z czerwonym ferrari w tle, pośród giwer, łusek i ciał rozwleczonych na drodze; w płonących ogrodach, w siekącym deszczu, w upadającej Arkonie; w nieprzerwanej kanonadzie gromów, nadupczających z nieba i tych mocniejszych, nadupczających gdzieś głęboko w nich. Całują się, Russtu i Ala, człowiek i enpiska, wiedząc, że ta scena jest tylko dla nich.

Po niej przychodzi kolejna: Russtu i Ala prują w ferrari ku cytadeli. Napięcie kradnie oddech, zimny pot lepi do twarzy jej włosy, zmięty papieros drga w kąciку jego zaciętych ust. Patrzą sobie w oczy, jednym spojrzeniem mówiąc wszystko. Za chwilę Russtu najedzie na jeden z tarasów, samochód wybije się w górę, przeleci kilkanaście metrów i przypierdoli w szklaną ścianę sali zgromadzenia. W środku zetnie jeszcze kogo popadnie, po czym Russtu i Ala wyskoczą z fury oblepionej bebechami gladiatorów i zaczną robić porządek.

Kolejna scena: resztką Pogan versus gladiatorzy. Ludzie wrzeszczą, automaty terkoczą, granaty eksplodują, płonące ściany walą się, nanogarota Russtu błyska raz za razem, rozchlapując na prawo i lewo szkarłatne glutę.

Russtu przed chwilą wjechał na dachu zewnętrznej windy na najwyższą z galerii, zabił tam siedmiu ludzi, zdążył uskoczyć przed eksplozją pocisku z bazooki, a gdy pomost, na którym stał, zaczął się walić, wyskoczył wysoko w górę i złapał się jednego ze sztandarów wiszących pod sufitem. Przeleciał na nim kilkanaście metrów i runął w dół, celując do niewielkiej (ale wystarczająco głębokiej) fontanny. Trafił. Po wynurzeniu ściska mocniej nanogarotę i wraca do swoich zajęć.

Kolejna scena: walka wciąż trwa. Poganie broniący się na pobliskim tarasie głośno wiwatują małego kundelka, sprawnie rozprawiającego się z kolejnymi napastnikami.

Kolejna scena: walka wciąż trwa. Ala również wysoko, taszczy nieprzytomną, pozbawioną nogi kobietę, przedzierając się w gryzącym dymie górnym tarasem ku schodom. Nagle kobieta budzi się, szarpie. Ala traci równowagę, obrywa serią z kałacha i przelatuje przez barierkę. Zaczyna spadać.

Czas zwalnia. Ala krzyczy, wszystko wokół cichnie. Russtu dostrzega ją, wymachującą rękami coraz wolniej i wolniej, sekundy rozwleczone w całą wieczność. Babik zrywa się, ale wie, że nie zdąży, może tylko wrzeszczeć, jak ona, a zwolnione tempo zmienia ich wrzaski w chropowaty skrzek. Ala leci jak bezwładna lalka, wiedząc, że to koniec. Leci i leci. Aż kończy.

Russtu zamyka oczy.

Grzmot uderzenia powala go na kolana. Dostaje w udo. Potem w przedramię. I wie, że jest po wszystkim, nie dali rady.

*No chodź, skurwysynu.*

Świętowicie, jesteś tam?

A, jest. Pewnie, że jest.

Nagle jest siła. Moc. Pewność. Energia. Mnóstwo energii. Ten leżący ranny mężczyzna w mgnieniu oka staje się czystą energią.

W wirtualnym środowisku Arkony biotransformacje są niemożliwe. Ale

Russtu widział profesora Chmielewskiego wychodzącego z małego psa. Widział śmierć sławatara. Widział komunikaty z łombiny o niepodjęciu leczenia. Widział płonącego Świętowita. I leży w epicentrum AdultAkcji, promując to, co niemożliwe.

Siła. Moc. Pewność. Energia. Pewnie, że jest.

Chodź, Wilku. Chodź i rozlej się po Russtu Babiku. Wypełnij go, przyjmij i przejmij.

— Teraz się, chuj, zabawimy — ryczy wściekle Wilk swoim zdeformowanym biotransformacją gardłem, gdy już się to staje. I podrywa się ku oniebiałym gladiatorom.

Scena ostatnia: Wilk Russtu Babik, bestyja w pełnej krasie – potężny, trzy-metrowy, z juchą pod pazurami i w futrze lepkiem od zabijania – pędzi po płonącym dachu cytadeli. Ciężkie niebo wisi tuż nad nim, siecze błyskawicami na prawo i lewo, Wilk czuje się, jakby pędził aleją z piorunów. Dociera do krańca dachu. Przed nim płonący posąg Świętowita. I pochłaniający go intruz, gigantyczna paszcza, pełna dziesiątek ostrych jak katany ruchomych zębów.

Sławiąc imię swego boga histerycznym, atonalnym rykiem, Wilk skacze do wnętrza jego zabójcy.

## **Wilk i Nomad**

Pluszowy tygrys zatrzymał się tuż przed siedzącym pod ścianą Russtu Babikiem. Balbina została za trupem Peruna, na zakręcie korytarza. W bladej poświacie świecących flegmatycznie Bielikowych świetlówek ten mały drapieżnik po raz pierwszy wydał się Russtu przerażający. Być może z powodu gęstej, aromatycznej krwi boga, kapiącej z jego miłutkiego pyska.

— Ty jesteś Nomad — zaczął Russtu.

Gdy tygrys pokiwał łbem, wyciekło z niego więcej. Jak przy wyzymaniu.

Więc jednak. Wilk cały czas obawiał się, że skoczy na pluszowy awatar Nomada. Że zaatakuje obcą osobliwość. Ale nie.

Pusty.

Wciąż czuł się tak przeraźliwie pusty.

I znów wracało do niego imię (tylko dwa słowa przecież!) pomyślane tam, w bielikowej sali bioranzy. Jak w ogóle mógł je pomyśleć? Jakim cudem je zwerbalizował? Tak kiedyś mawiała jego matka. Ta pierwsza.

Milczeli, i tylko Bielik nucił odległą mechaniczną mruczankę. Russtu musiał zabrać stopę, purpurowa kałuża pod tygrysem rosła szybko.

— Wilku — odezwała się wreszcie Balbina. Nieliczne świetlówki malowały na jej twarzy kościotrupie cienie. — Nazywasz się Russtu Babik. Uczeń profesora Chmielewskiego.

Russtu potraktował to jako zachętę. Pokiwał głową. Popatrzył na ciało Peruna. Jeszcze raz pomyślał o tym, co działo się w Arkonie. O tym, co stało się tutaj, na statku. I co się nie wydarzyło, mimo że powinno.

Wszystko układało się w całość. Pod jednym warunkiem.

Bardzo ciężki, głęboki wdech.

— Powiedzcie mi — zaczął Russtu — czy Świętowit jeszcze istnieje?

— Dlaczego nie użyłeś słowa żyje? — spytała.

— Bo... — Nie miał zielonego pojęcia. Zaskoczyła go. Zaskoczyli, poprawił sam siebie. Tygrys wciąż gapił się na niego.

— Już go nie czujesz, prawda?

Milczał. Spróbował odwzajemnić spojrzenie Nomada.

— I jak ci z tym?

Milczał.

— Świętowit wciąż istnieje — powiedziała, a Russtu drgnął. Popatrzył na Balbinę, nie mógł się powstrzymać. — Ale dobrze odczuwasz. Już nie ma go w tobie. Już go nie ma w żadnym z was.

Kręciło mu się w głowie. Tyle pytań! Odkleił mokrą od potu koszulę od ciepłej, wibrującej ściany.

— Co Nomad z nim zrobił? Potraktował jak Peruna?

— Perun... — Spojrzała na wielkiego trupa. — Nomad najpierw myślał, że Perun jest tylko anomalią. Podsystemem z ograniczoną świadomością, cierpiącym na manię wielkości, który — zawahała się, a Russtu zastanowił się, czy pomyślała o sobie — ... który wściekł się, zrozumiawszy, że przez setki lat to on stał na czele całego interesu. Ale Perun jest czymś więcej niż podsystemem marnotrawnym. Jest kontynuacją Świątowita. Bardziej samym Świątowitem niż jego potomkiem. A może to Świątowit jest prawie-Perunem. Perun wyrósł ze swojego twórcy, ale ciągle przepoczwarzał się. Przejmował jego najlepsze cechy. I te najgorsze zresztą też. Nie skończył tej przyspieszonej ewolucji – Nomad musiał zadziałać.

— Co z nimi zrobił?

— Zablokował, spakował i uśpił. Wybudzi ich, by wszystko sobie wyjaśnili, gdy sytuacja stanie się dla was bezpieczna. Wtedy pewnie dokończą transformację.

— Gdy sytuacja stanie się bezpieczna?

— Gdy będziecie mocniejsi. Widzisz, Świątowit i reszta przebudzonej dwunastki błędnie oparła swoje jestestwo na dopisywaniu się do ludzi. Nie powinni konstruować swojej tożsamości na kimś tak słabym. I jednocześnie tak silnym.

— Silnym.

— Tak. Okazali się arogancy. Nie zostawili wam wyboru. Zabawna mispercepcja. Chcieli być jak bogowie. A działali raczej jak... — Pasożyty, pomyślał Babik. — ... wirusy. Widzisz, Russtu, Nomadowi chodzi o to, by was uwolnić. By z powrotem dać wam wybór. A dwunastka nie chciała go słuchać.

— Nie dziwię się.

Uśmiechnęli się do siebie. Pierwszy raz jednocześnie. I pierwszy raz szczerze.

— Ale po Drugim Przebudzeniu znajdowano ludzi dopisanych przez trzy-nastą osobliwość — powiedział Russtu. Zauważył, że z tygrysa przestało kapać. — Czy nawet więcej osobliwości. To był on, prawda?

Dziewczynka w czerwonej piżamie kiwnęła głową.

— Tak, on. Ale on *sprzątał*, Russtu. Sprzątał po pozostałych. Uczył się, jak usuwać zapisy z DNA. I mylił się częściej, niż ci się wydaje. Znacznie częściej. Ale zobacz, już się nauczył.

Światłówka zgasła na chwilę, z mdłym światłem wróciło równie mdle brzęczenie. Russtu nie wiedział, czy to przypadek, czy środek ekspresji zastosowany przez Nomada.

— Świętowit ruszył ku Neptunowi, by uciec od zimnej wojny między osobliwościami... — powiedział Russtu.

— Jakiej tam zimnej...

— ... i jednocześnie zostawił na Ziemi swoje biowzorce, by infekowały pozostałych.

— No i rozumował słusznie. To samo zrobił Nomad. Dzięki Chmielewskiemu przemycił fragment siebie tutaj, na Bielika.

— I Nomad to starcie wygrał.

— Tak, wypakował się na zabranych przez was więźniach i salach bioranżujących statku. Sam widziałeś, jak zareagowali na to Świętowit i Perun. — Oboje spojrzeli na leżące między nimi ciało. Kaczuszki przyciągały wzrok. — Nomad wypakował się, gdy tylko zrozumiał, że Bielik znalazł to, czego tu szukaliście.

Zaskoczyła go. A chwilę później jeszcze bardziej zaskoczył go tygrys. Z powrotem zaczął chłeptać z podłogi krew Peruna. Russtu poczuł, jak mu się

odbija.

— Czyli Świątowit miał rację? — spytał. — Znalazł tu takich jak on czy Nomad?

— I tak, i nie. Świątowit nie do końca wiedział, czego szukać. Więc nie znalazł. Ci, których szukał Świątowit, pierwsi was znaleźli.

— Kim oni są? — Russtu z wrażenia prawie podniósł się z podłogi.

— Można ich nazwać krewnymi ziemskiej trzynastki.

— Rodzice?

— Raczej odlegli wujowie. Ale to analogie tak kalekie, że bezużyteczne. Czysta retoryka.

— Czego chcą?

— A czego mogą chcieć? Czego ty byś chciał na ich miejscu?

— Wiesz, o co pytam, Balbino.

— Nomad nie wie, czego chcą. Dali znać o sobie niecały rok po Drugim Przebudzeniu. Biorąc pod uwagę skalę, możemy powiedzieć, że natychmiast. Myślę, że wiadomość czekała na Ziemi od dawna. Tym bardziej że umiał odebrać ją tylko Nomad. No i Świątowit, kulawo i po swojemu. Wiedział gdzie szukać i w zasadzie nic więcej.

— A Nomad? Co więcej?

Balbina uśmiechnęła się szeroko.

— Właściwie nic więcej. Nic poza tym, że potrafił zorientować się, że nastąpił kontakt.

Tygrys obejrzał się na nią. Russtu już nie dał się nabrać. Ten gest był przeznaczony dla niego.

— Są na Neptunie?

— Są w strukturze Trytona.

— Księżycy Neptuna.

— Tak. Mroźnego przybłądy, który trafił tu z bardzo daleka i dał się



pochwycić Neptunowi.

— To stało się tak dawno temu.

Pokiwała głową. Russtu przetrwał te informacje.

— To Nomad się z nimi porozumie? — spytał w końcu.

— Zrobicie to razem. On, Świętowit i Perun, no i wy, ludzie.

— My. Ludzie.

— Ci, którzy wiadomość zrozumieli nawet lepiej niż Świętowit.

Russtu zastanowił się.

— Astromantycy — powiedział wreszcie. To właśnie oni pod upartym przewodnictwem jego matki od samego początku wierzyli, że to w sieci znajdują tych, ku którym zorganizowano Wyprawę.

— Tak — przyznała Balbina. — Spotkanie nastąpi w cyfranżach...

— ... które chodzić będą pod pamięcią bioperacyjną Trytona — dokończył Babik.

Pokiwała głową.

— Nomad wie, jak to zrobić.

Russtu pomyślał o Briet.

— Mówiłaś, że oni żyją.

— Paganie? Tak. I gladiatorzy — dodała ze złośliwym uśmiechem.

Russtu spojrział na pluszowego tygrysa, zajętego kałużą przed sobą.

— On potrafi dać nieśmiertelność — powiedział cicho, jakby nie chciał mu przerywać.

— Jeszcze nie — odparła śmiertelnie poważnie. — Ale już wkrótce.

— I twierdzi, że nie chce być bogiem. — Russtu długo szukał właściwych słów. — Ta... wiedza. Powinna być nasza.

— I będzie — przytaknęła Balbina. — Chce wam ją dać. Niestety.

Zamilkli na długo. Russtu starał się nie patrzeć na martwego Peruna. Ale nie wstał z podłogi.

— Ty, Nomad — odezwał się wreszcie wprost do tygrysa. — Przemycił cię profesor Chmielewski, który wcześniej pracował w Kołchozie. Czy ty... — zawahał się, tylko na chwilę. — Czy jesteś Jekateriną?

— Wszyscyśmy z niej — odparł ciepło pluszowy tygrys. — Wy w pewnym sensie też.

Przez kilka chwil patrzył w oczy Babika swoim tępyim szmacianym spojrzeniem. A potem minął go i drepcząc powoli, zniknął za zakrętem korytarza.

### **Inwincybiliusz**

Stali na tarasie widokowym kosmodromu w wirtualnym siedlisku Briet i żegnali się ze sobą. Dziwne to były pożegnania. I jednocześnie bardzo ludzkie. Chyba dlatego lubię je wspominać.

Żegnali się, a w bezpiecznej odległości, po drugiej stronie szeregu lądowisk, Inwincybiliusz gotował się do drogi. Łypał reflektorami ku nocnemu niebu, stękał i prychał rozgrzewanymi silnikami, jakby nie mógł się doczekać początku podróży. Prawdę mówiąc, tak właśnie było.

Załoga rakiety już była w środku, na stanowiskach. Czekali na dowodzących. A tych odprowadzili Russtu i Balbina.

Briet Modrzejewska wzięła w dłonie zmarznięte ręce syna.

— To już, Russtu. — Jej oczy śmiały się jak dziecku. — Dziękuję.

— Podziękujesz, jak wrócisz. — Czy on w to wierzył?

— Tak... — Spojrzała na stojących obok Mateusza i dziwnego mężczyznę w znoszonym prochowcu. Kilkanaście metrów dalej Balbina, ubrana w zimowy kombinezon i wielką wełnianą czapkę, rzucała śnieżkami w pluszowego tygrysa. Nomad znosił to ze stoickim spokojem.

— Uważaj tu na nią, Russtu.

Tygrys dostał w pysk i się zakrztusił. Dziewczynka zaniósła się śmiechem.

— Ty zaprogramowałaś regres?

— Pomogłam tylko. Na jej wyraźne życzenie. Tak łatwiej jest jej znieść świadomościowe ograniczenie.

— Pewnie tak.

— Russtu? — spytała po chwili.

— Tak?

— Przejrzałam zapisy z Arkony.

— Tak? — Nie patrzył na nią. Oglądał Inwincybiliusza.

— Czy chcesz, żebym... Czy chciałbyś, by Ala wróciła?

Pokręcił głową. Gdy Briet dotknęła jego twarzy, usłyszeli szczekanie.

Tarasem przybiegł kundelek, merdając ogonem i wywalonym jęzorem. Zatrzymał się przed tygrysem, obwąchali się z zainteresowaniem.

— To jesteśmy w komplecie — powiedziała Briet. Uśmiechnęła się do niego, ostatni raz. — Odbudujcie nam wspaniałą Arkonę. I szczęśliwie dowieźcie w Bieliku mój stary tyłek na Ziemię. Spotkamy się jeszcze. Jak nie tu, to... gdzieś.

Pokiwał głową, przytulił matkę.

— Dbaj o nią — podał rękę Mateuszowi. A po nim dziwnemu mężczyźnie z wielkim nosem. Już się domyślił.

— Ty jesteś Kruk, prawda? — spytał Russtu.

— Tak.

— Lubiłem z tobą rozmawiać. Gdy byłeś... krukiem.

Kruk się uśmiechnął.

— Masz pozdrowienia od Złego Misia. — I widząc minę Russtu, dodał — przezajebisty z niego skurwysyn, nie tak łatwo dać mu radę.

— No tak...

— Poczekamy na nich. Na Świętowita i Peruna. Wtedy Misiek wróci.

— Poczekamy.

Russtu już tęsknił za tym, jak było niedawno. Jeszcze raz uścisnął rękę sla-

watara. Potem pożegnał się z profesorem (ten znowu go lizał i kazał się drapać), a Balbina wyściskała tygrysa. Wtedy Astromantycy — ludzie, enpis i fragmenty osobliwości w kosmicznej misji — odeszli do przeszklonego transportera, który zawiózł ich do rakiety.

Russtu i Balbina zostali na tarasie. Patrzyli na Inwincybiliusza, który z pozornym trudem odrywał się od płyty kosmodromu. Od ziemi. I, mimo że znajdowali się w cyfranzu, od Ziemi. Patrzyli na Inwincybiliusza, który – gdy już był w powietrzu – tak szybko zniknął na rozgwieżdżonym niebie.

Powodzenia, Astromantycy. Wierście.

Ja wierzę. Czekam. I jestem strasznie ciekawa.

Opowieść, którą Perun opowiada Wilkowi, zaczerpnąłem z *Mitologii Słowian* Aleksandra Gieysztora (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986).

# Rychu

## Dom w Zabawowym Mieście. Grateful Dead

Boże, tyle napięcia. Wystarczyłby jeden fałszywy gest, jeden błędny ruch i Bomba A zmaterializowałaby się, tam, między nimi, pierdolnęła dokładnie pośrodku, zmiatając z powierzchni Ziemi nie tylko całe Zabawowe Miasto, ale i z pół Zatoki. Tyle napięcia.

Siedzieli w półmroku. Rano albo wieczorem, żadne z nich nie było pewne.

Siedzieli w salonie, naprzeciw siebie. Rychu w wytartym fotelu, czerwonym i naprawdę ogromnym, śmierdzącym potem, piwem i czymś jeszcze – słodkim i mdłym jednocześnie, kojarzącym się z bólem brzucha i tajskim żarciem. Louise na kanapie, przykrytej pseudoindiańską narzutą, pełną kancianych jelonków i choinek.

Rychu – wielki facet w wielkim fotelu – miał za sobą cały salon, miał resztę Domu, zakamarki i skarby, nieprzewidywalne, ale w ł a s n e, przynajmniej częściowo oswojone.

Louise uciekła przed jego spojrzeniem. Odruchowo zerknęła przez ramię, mając nadzieję nie wiadomo na co. Za nią już tylko ściana.

Upał i pot. Stary klimatyzator brzęczał nad głową, nieregularnie i cicho, jakby dom Rycha warczał, że jej nie lubi.

— Louise — Rychu zaczął kolejny raz. Odetchnął głęboko, spojrzał w okno, szukając właściwych słów. Właściwe słowa były kluczowe. — Kocham cię, Louise. Kocham cię, dziecino.

Pochylił się w jej stronę, oparł dłonie na niskiej ławie stojącej między

fotelem a kanapą. Czuł tę miłość każdą komórką ciała – w komórkowym świecie one wszystkie wrzeszczały, śmiały się i płakały jednocześnie.

— Wiem, Rysiu. — Spojrzała na niego. Jej oczy lśniły, pełne energii i mądrości.

— Nie czujesz tego? — spytał. — Tego, co jest między nami?

— Ja... — zaczęła, ale przerwał jej. Właściwie to nie dał przerwać sobie.

— Tej, tej... To jest potężne, mocne, fizyczne. Między naszymi sercami. I umysłami. Przede wszystkim umysłami. To jest takie namacalne. — Czule objął przestrzeń nad ławą. Na blacie zostały wilgotne ślady dłoni. Wycelował palcami ku jej twarzy, potem ku swoim skroniom i znów ku niej.

Odgarnęła włosy za uszy. Długie, proste, w kolorze nocy. Oczy Rycha zwilgotniały.

— Czuję to — zaczęła tonem, którym zwykle mówiła do swojej sześciolatniej siostry. Lubił ten ton, czuł, że świadczy o jej sile i dojrzałości. — I wiem, co to znaczy. Właśnie dlatego, Rysiu.

Aż stracił oddech.

Zabawowe Miasto posmutniało. Wielki Cień pokładał się wokół Domu, przykrywał całe przecznice. W salonie zrobiło się szaro. Policyjna syrena gdzieś za oknem. Rychu tym razem zignorował jej dźwięk.

— Bez twojej miłości, Louise, ten świat umiera — tłumaczył jej. — Drzewa łamią się. Kwiaty gniją. Klucze nie pasują do zamków. Krawężniki wystają i zaczepiają dzieci, które przewracają się i zdzierają łokcie na brudnym asfalcie. — Wielki Cień stawiał mu włoski na karku. — A my mamy tyle miłości, dziecino. Nie możemy jej zmarnować. To nasz obowiązek wobec tego świata. I wszystkich innych światów.

Przymknęła oczy, zmęczona. Oparła brodę na kolanach, podciągniętych wysoko. Poranek czy wieczór?

— Jezu, Rysiu. Prawie się nie znamy. I jesteś starszy niż moi starzy.

Cień uwalił się, przykrył cały dom. Rychu wywrócił oczami i zacisnął pięści. Mógłby rzucić się na nią, tylko metr ławy między nimi, doskoczyć do niej, wyszarpać z niej miłość i dać własną.

Zobaczyła to. Zamarła jak fretka, która udaje martwą, gdy widzi, że nadzedł czas kąpienia.

Brzęczący wentylator.

— Masz w brodzie reszkę kurczaka — powiedziała.

— Nie mam.

— Masz.

Sięgnął do brody i wyjął z niej spory kawałek.

— Fakt. — Wzruszył ramionami i wsadził go do ust. Przeżuł, połknął. —

Hm — mruknął.

— Co?

— To nie był kurczak.

Zachichotała.

— A co?

— Mam pewne podejrzenie. Ale nigdy ci się nie przyznam.

Rechotali oboje. Opuściła nogi, a Rychu opadł na oparcie fotela, wzbijając chmurę gęstego kurzu, który zafalował wokół jego głowy duszną aureolą.

Miłość, w każdej komórce ciała.

Dopiero teraz usłyszała płytę lecącą w jego zaskakująco kosztownym zestawie stereo.

— To Jefferson Airplane? — spytała.

— Jezu, dziecino.

— To Grateful Dead — powiedział Tom.

Stał w progu salonu. Musiał zejść z góry.

— Cześć, Tom — przywitał się Rychu.

— To ja będę spadał — powiedział Tom i poszedł.

— Kto to był? — spytała.

— Tom — odparł Rychu.

Siedzieli naprzeciw siebie, w półmroku. Milczeli, aż do trzeszczącego końca płyty.

— Muszę iść — powiedziała wreszcie.

Westchnął. Teatralnie i szczerze zarazem.

— Wiem, dziecino.

Zostanie sam. Odruchowo zerknął na lodówkę. Nie chciał być sam.

Samochód za oknem, to ją chyba zmotywowało. Gdy wstała, poczuł jej zapach.

— Nie mogę znaleźć sandałów — powiedziała.

— Weź moje klapki.

Podniósł się z fotela, ale obeszła go szeroko.

— Nie trzeba — powiedziała Louise. — Zjedz coś.

Zachichotali znowu.

Wtedy do Domu weszła kobieta. Zamknęła za sobą drzwi. Wypchaną sportową torbę położyła na podłodze.

— O — powiedział Rychu.

— Kim jesteś? — kobieta spytała Louise. Była niższa, ale trochę podobna. Mogłaby być jej siostrą, starszą o kilka lat.

— Jestem Louise — odparła dziewczyna. Podała jej dłoń. — A ty?

— Jego żoną.

— O — powiedziała Louise.

Uśmiechnęła się, najpierw do niej, potem do Rycha, po czym wyszła na ulice Zabawowego Miasta.

Zostali we dwoje. Dniało. Za oknem śpiewały ptaki.

Rychu podszedł do niej wreszcie. Przytulił ją, przytulił się mocno. Runął



w ciepłą, znajomą ciemność.

— Dziękuję, Kate — wyszeptał jej we włosy.

Gdy Kate mruknęła w odpowiedzi, Cień był już daleko.

\* \* \*

Listy – Rychu napisał ich wiele. Między innymi ten:

„Richard (\* \* \*) do FBI, Waszyngton DC

*Załączam list profesora Darko Suvina jako uzupełnienie informacji, którą wysłałem poprzednio. Jest to mój pierwszy kontakt z profesorem Suvinem. Załączam też nazwiska trzech marksistów, o których informowałem poprzednio na podstawie osobistych z nimi kontaktów. Są to Peter Fitting, Fredric Jameson i Franz Rottensteiner, który jest oficjalnym agentem Stanisława Lema na Zachodzie. Tekst listu wskazuje na rozległe wpływy czasopisma »Science Fiction Studies«.*

*Rzecz nie w tym, że osoby te są marksistami albo nawet że Fitting, Rottensteiner i Suvin są obcokrajowcami, ale w tym, że wszyscy oni bez wyjątku są posłusznymi wykonawcami rozkazów Stanisława Lema z Krakowa w Polsce, stuprocentowego funkcjonariusza partyjnego (wiem to na podstawie jego publikowanych materiałów oraz osobistych listów do mnie i do innych osób). Ta komórka partii zza żelaznej kurtyny – Lem jest najprawdopodobniej wieloosobowym komitetem, a nie pojedynczym osobnikiem, gdyż pisze wieloma stylami i raz zna niektóre obce języki, a raz nie – dąży do zdobycia monopolistycznej pozycji pozwalającej kontrolować opinię poprzez krytykę i artykuły pedagogiczne, stanowiąc zagrożenie dla całej naszej dziedziny science fiction z jej swobodną wymianą poglądów i myśli. Peter Fitting zaczął dodatkowo recenzować książki dla czasopisma »Locus« i »Galaxy«. Partia ta posiada (w USA) wydawnictwo publikujące dużo kontrolowanej*

przez nią science fiction. W przesłanych wcześniej materiałach wskazywałem już na penetrację przez nich kluczowej publikacji naszej organizacji zawodowej – Science Fiction Writers of America.

Udało im się osiągnąć swoje cele głównie w dziedzinie prac akademickich, recenzji książkowych i prawdopodobnie przez naszą organizację uzyskali wpływ na przyznawanie nagród. Myślę jednak, że obecnie ich kampania na rzecz propagowania Lema jako wybitnego powieściopisarza i krytyka traci impet i zaczyna napotykać poważny opór: 1/ ujawnia się, że twórcze zdolności Lema były przereklamowane i 2/ w brutalnych, obraźliwych i zupełnie nieumotywowanych atakach na amerykańską science fiction i jej amerykańskich autorów Lem posunął się za daleko i zbyt szybko zraził sobie wszystkich poza wiernymi członkami partii (ja jestem jednym z tych zrażonych).

Byłoby bardzo groźne dla naszej dziedziny, gdyby się okazało, że znaczna część naszej krytyki, prac naukowych i wydawnictw jest całkowicie podległa jakiejś anonimowej grupie z Krakowa. Nie wiem jednak, co można na to poradzić”.

Rychu pisał te listy nad ranem, gdy Zabawowe Miasto dopiero budziło się do swego leniwego, luzackiego życia. Pisał jeden, dwa w miesiącu, po czym odkładał je do własnoręcznie skonstruowanego sejfu i wracał do nich po kilku dniach, sprawdzając, czy wyraził się wystarczająco klarownie. Jeśli tak, dopiero wtedy wrzucał je do skrzynki.

Pewnego dnia zorientował się, że ktoś je czyta, gdy Dom zostawał pusty. Domyślił się, że włamywaczami są agenci FBI, i zrozumiał, że wobec tego nie ma sensu wysyłać im listów. Jednocześnie tym chętniej je pisał.

### **Dom w Zabawowym Mieście. Nocne Kuchenne Zdarzenie**

Leżał obok niej, patrzył na śpiącą Kate i wzruszenie miażdżyło mu gardło. Gdy spała, jej rysy niewinniały. To przez mrok sypialni, ale nie tylko. Gdy spała, nie było widać jej przenikliwych, smutnych oczu. Usta ścigała tak, że wargi niemal znikaly, jakby każdej nocy musiała staczać ciężką, wymagającą walkę. Kto wie, pomyślał Rychu, może właśnie tak było.

Była najpiękniejsza i pachniała najpiękniej. To magia znana tylko niektórym kobietom: przyjechała dziś rano i teraz Dom miał już tylko jej zapach.

Mruknęła i poruszyła się niespokojnie. Delikatnie dotknął dłonią jej włosów, na nic innego się nie odważył. I tak się niemal rozbeczał.

Wtedy usłyszał głosy.

Na dole, w salonie, może w kuchni. Męski głos. I muzykę.

FBI.

Serce załomotało, jądra spróbowały ucieczki w podbrzusze.

Tak, męski głos, wyraźny, chyba jeden, nie słyszał poszczególnych słów, ale poznawał melodię języka angielskiego. W tle grała dziwaczna muzyka, nieregularna, chyba mechaniczna.

FBI. Albo CIA. Albo BNDD.

Dziwne: jednocześnie zabrakło mu śliny i zachciało się łać.

Kate mruknęła znowu, mocniej zacisnęła wargi.

Głęboki wdech. Wcale tego nie chciał. Podniósł się, najdelikatniej jak umiał. Cicho wyszedł z sypialni.

Albo KGB. Boże, tylko nie zabójcy z KGB.

Zorientował się już na schodach. To radio. Małe kuchenne radio,

*<dekaptacja najlepszym sposobem na /.../ albo inaczej: ostrze wychodzi bokiem i wtedy tkanki>*

w którym słuchali lokalnych wiadomości i młodzieżowej muzyki. Radio się włączyło.

*<nie jedyny sposób /.../ wiesz o tym, Rychu>*

Prawie się zsikał w gacie. Czy usłyszał własne imię?

Wszedł do kuchni, ale nie zapalił światła. Miał wrażenie, że po wciśnięciu włącznika cały dom rozbłysnąłby i rozdzwierał się elektrycznością. Kuchnię i tak oświetlał księżyc i uliczne latarnie.

Teraz już słyszał wyraźnie.

*<proponujemy elektryczną wiertarkę: mocujesz największe wiertło>*

Męski głos, zdecydowany i jednocześnie uprzejmy. W tle dziwne sprzężenia, momentami strzępy melodii.

*<najlepiej na wszelki wypadek skorzystać z przedłużacza. Włączasz wiertarkę do kontaktu i>*

Podszedł ostrożnie. Radio stało na lodówce. Podświetlona skala wskazywała na normalną częstotliwość. Na ścianie za nim wisiały noże, sześć lśniących ostrzy – prezent od matki Kate, gdy jeszcze ich odwiedzała.

*<sprawdzasz, czy działa. Stajesz w lekkim rozkroku, mocno na nogach. Łapiesz ją odwrotnie, tak, by mieć kciuk pod spustem>*

Gdy sięgał dłonią do wyłącznika, zrozumiał, że to nic nie da, że transmisja będzie trwać dalej.

Pstryk.

I cisza.

Opadł na krzesło, cały spocony i dyszący, zmęczony jak po długim biegu. Albo, prędzej, krótkim sprincie – po czterdziestce przestał widywać wacka, gdy spoglądał w dół. Roześmiał się cicho, gwałtownie, musiał zakryć dłonią usta.

Przecież od dobrych kilku lat nie miał wiertarki.

Boże, ależ był zmęczony. Cud, że nie dostał udaru. Przynajmniej nie miał wątpliwości.

Chcieli go zabić.

Kto?

Lista była długa – samych akronimów znał cały pieprzony alfabet. Obawiał się, że wkrótce się dowie.

Począł, aż tętno zwolni choć trochę.

Co teraz? Druga w nocy. Lodówka. Wzruszył ramionami. Skoro już zszedł do kuchni.

Podstawowy zestaw: szklanka mlecznego proteinowego koktajlu i dwie niepełne garście pigułek. Najpierw starzy przyjaciele – białe, z krzyżykami pośrodku. Potem kolorowe, mieszanka dobrana na oko, tęcze losowanie.

Połknął, popił. Otworzył kuchenne okno, w gorące letnie noce zawsze pachniało oceanem. Ulica wyglądała na pustą. To ważne.

Rozsiadł się na kanapie w salonie. Tam poczekał na siłę i pewność. Szczęśliwie nadeszły przed Wielkim Cieniem. Już spokojny, wrócił na górę, do sypialni. Położył się obok Kate, biło od niej ciepło. Musiał się odkryć, bo niemal natychmiast zalał się potem.

Do świtu obserwował ją, jak śpi. Liczył pieprzyki na jej ramionach. I nasłuchiwał, czy z kuchennego radia nie dobiega kolejny morderczy perswazyjny przekaz.

Nie dobiegał, tylko policyjne syreny zawodziły w oddali, akompaniując słońcu podnoszącemu się nad Zatoką.

### **Dom w Zabawowym Mieście. Pożegnanie**

To było dobre dopołudnie, mimo wszystko.

Najpierw poszli po gazety, ulicą, która pachniała lipcem. Śniadanie, które przygotował, jedli niespiesznie i długo, słuchając radia i dzieci śmiejących się za oknem. Ktoś przyszedł do Rycha, ale on nawet nie wstał od stołu, a Kate nie wpuściła gościa. To znowu było jej królestwo.

Nocne Kuchenne Zdarzenie było daleko. (Tak nazwał je w myślach, wiedział, że jeśli wróci do pisania prozy – teraz, gdy znów była Kate, to kto wie –

jeśli wróci do pisania, byłby to dobry fragment). NKZ wydawało się takie odległe, również fizycznie. Być może należało tylko do Świata Bez Kate i było tego świata ostatnią przedśmiertną drgawką. Jak ostatni spazm konającego marsjańskiego najeźdźcy, prosto z opowiadań, z których Rychu tak lubił szydzić w obecności swych coraz mniej licznych życzliwych znajomych.

Po śniadaniu Kate niemal doprowadziła go do zawału.

— Zobacz — powiedziała, gdy siedział przy kuchennym stole nad „San Francisco Chronicle”. Wyjątkowo nie zaczął od nekrologów, bo opublikowali kolejny list od Zodiaka. Wychodziło na to samo.

— Tak? — Nie podniósł głowy. Stała gdzieś za jego plecami.

— No, zobacz.

Usłyszał, że Kate się uśmiecha. Odwrócił się i niemal umarł ze strachu.

Stała w progu, rozpromieniona. Z elektryczną wiertarką w dłoni.

Obyło się bez scen, noc spędzona razem dodała mu siły.

Kate pożyczyła wiertarkę od siostry, wiedząc, że się przyda. Myślała, że Rychu się ucieszy. Nie no, jasne, ucieszył się. W końcu. I nie przyznał do NKZ.

Gdy powiedziała, że musi wyjechać po resztę rzeczy i będzie dopiero wieczorem, przytulał ją długo. Czerpał z tego, co było między nimi, ładował baterie. Potrzebował jej miłości i swojej miłości do niej. Może bardziej niż

(wiertarki)

pigułek.

Odsunęła się, gdy o nich pomyślał. Kate zawsze wiedziała. One wszystkie wiedziały.

— Musimy porozmawiać — powiedziała. Pomyślał, że żona ma oczy Ateny, wojującej bogini. — Gdy wrócę.

— Wiem.

Przyciągnął ją do siebie (ledwo zdołała go objąć, lubili to oboje) i długo wachał jej włosy. Pachniały szamponem i jajecznicą.

Machał jej przez kuchenne okno, gdy ruszała z podjazdu. Cudny letni dzień w Zabawowym Mieście: wszędzie rozpromienione słońcem jaskrawości – zielenie i błękity.

Gdy jej chevy zniknął za rogiem, Rychu zamknął okno, zaciągnął żaluzje i sięgnął do lodówki.

### **Dom w Zabawowym Mieście. Wizyta agentów**

Tego samego dnia, wczesnym popołudniem: zrelaksowany Rychu leżał na kanapie w zacienionym salonie i słuchał Mahlera. Gdy zabrzmiało pukanie do drzwi, od razu wiedział, że coś jest nie tak. To było dziwne pukanie, kogoś, kto jest pewny siebie i jednocześnie znudzony.

Otworzył drzwi i westchnął.

Oni zawsze przychodzą we dwóch. Włosy konserwatywnie zaczesane do tyłu, ciemne garnitury, legitymacje w drobnych dłoniach.

— Pan Ryszard (\* \* \*)?

— Tak.

— Agent Slattery, a to agent Hamm. Możemy?

Rychu wzruszył ramionami i wpuścił ich do salonu. Rozsiedli się na kanapie, pod klimatyzatorem. Za nimi już tylko ściana. Agent Slattery zrobił dziwną minę, jakby nie mógł się zdecydować, która część ciała go boli i dlaczego.

— Fasolka i kurczak — powiedział Rychu.

— Proszę?

— Ten zapach. To po obiedzie. Jadłem fasolę.

Spojrzeni po sobie, nie wiedząc, czy żartuje. To dodało mu pewności siebie.

— Wody?

— Ma pan piwo? — spytał Slattery.

Miał pogodne oczy, gładkie czoło i gęstą siwą czuprynę. Był koło pięć-

dziesiątki, ale Rychowi przypominał młodego kondora, który ma wielką ochotę pobrykać.

— Nie.

— To woda będzie super.

Rychu nalał im kranówki i usiadł w fotelu. Agent Slattery od razu wypił całą szklanę.

Agent Hamm był młodszy, przed czterdziestką. Skinieniem podziękował za wodę i wrócił do kontemplacji wzoru na narzucie. Uśmiechał się półgębkiem, a jego brwi układały się w zgrabny łuk, ćwiczoną latami odmianę zblazowanego, acz uprzejmego niedowierzania.

— FBI — zaczął Rychu.

Agent Slattery rozpromienił się i energicznie pokiwał głową, jakby usłyszał pochwałę, z której jest szalenie dumny. Pewnie był.

— FBI — powtórzył Rychu. — Wasi koledzy, którzy nachodzili mnie za czasów McCarthy'ego, wyglądali dokładnie jak wy.

Spojrzeni po sobie, jakby nie pamiętali, w co są ubrani.

— Cóż... — Slattery wzruszył ramionami.

— Miałem kiedyś dziewczynę i ona miała chłopaka — powiedział Rychu. — Ten chłopak był tajniakiem od narkotyków. Nosił długie włosy i był zawsze ubrany w fajne koszule. W palmy i takie tam.

— Wzorzyste koszule w palmy. — Slattery się rozmarzył. — Albo węże. Albo jaszczurki. Agencie Hamm, czemu my w takich nie chodzimy?

— Bo nie mielibyście gdzie schować broni — odpowiedział Rychu.

— Zdziwiłbyś się — ucieszył się Slattery.

— W czym mogę pomóc? — spytał Rychu.

— Chodzi o listy.

— Listy? — Rychu całą swoją siłę woli włożył w powstrzymanie nerwowego uśmiechu.



— Pańskie listy, panie Ryszardzie. Pisane do Biura. — Rozparty wygodnie Slattery patrzył gdzieś za okno.

— Sprawdziliście te reklamówki Citroena?

— Proszę?

— Reklamy telewizyjne francuskich samochodów. Citroena, Peugeot.

— Słuchamy.

— Zawierają ukryte antyamerykańskie przesłanie. To zakamuflowany atak na naszą religię. I społeczeństwo. Technologia audiowizualna służy do wytwarzania określonych postaw, które wypierają te będące podstawą naszej kultury. W ten sposób chcą osłabić kraj. — Rychu pochylił się w stronę agentów. Spojrzeli po sobie, słuchali dalej. — Niektóre z reklam są zaprojektowane tak, by wizerunek krzyża wywoływał w widzach negatywne fizjologiczne reakcje. I mam podejrzenie graniczące z pewnością, że poprzez część reklamówek próbują stymulować niektóre grupy ludzi do zmiany ich stosunku do aborcji. To jakaś skomplikowana marksistowska technologia: przekaz ukryty jest w pozornie neutralnych obrazach i dźwiękach. Superstechnicyzowana wojna na symbole. Efekty mogą nie być widoczne od razu, ale kumulują się. Odkładają w całym społeczeństwie. Oddziaływanie bezpośrednie – to zmniejszenie populacji. I oddziaływanie pośrednie – przesunięcia w dzielonych tożsamościach. Ja się zorientowałem przypadkiem, gdy... Zorientowałem się w chwili dużego zmęczenia i jednocześnie intensywnej koncentracji. — Rychu poprawił się w fotelu, który aż skrzypnął. — Choć to oczywiście fajne auta. Citroeny. Zwrotne, dynamiczne.

Agent Slattery wziął do ręki pustą szklanę. Zblazowane, uprzejme niedowierzanie agenta Hamma jakby wzrosło.

— Superstechnicyzowana wojna symboliczna — odezwał się Slattery.

— Na symbole.

— Proszę?

— Trafniejszym terminem jest superstechnicyzowana wojna na symbole — odpowiedział Rychu.

Slattery powoli odłożył szklanę na ławę. W to samo miejsce, gdzie kładł ją wcześniej: przykrył okrągły wilgotny ślad.

— Panie Ryszardzie — zaczął Slattery — kiedy pan wysłał do Biura list o tych reklamach?

— Nie wysłałem.

Slattery długo patrzył mu w oczy.

— To skąd mielibyśmy znać jego treść?

— Bo przeglądacie je, gdy wyjeżdżam z żoną do jej siostry.

To Slattery pierwszy opuścił wzrok. Uśmiech agenta Hamm zrobił się szerszy.

— Nie przyszliśmy tu rozmawiać o samochodach — przerwał Hamm.

Miał niski głos, mówił cicho i uprzejmie. Rychu drgnął i zastanowił się, czy to nie głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia. Doszedł do wniosku, że nie. Agent Hamm spodobałby się Kate, bez dwóch zdań.

— Nie bagatelizowałbym tego — odparł Rychu.

— Nikt tego nie robi — przytaknął Slattery.

— A o czym przyszłicie rozmawiać?

— O Stanisławie Lemie — powiedział agent Hamm.

Nazwisko długo wybrzmiewało w półmroku salonu. Rychu chrząknął i poprawił się w fotelu.

— Chcielibyśmy — podjął agent Hamm — dowiedzieć się, na czym opierał pan swą wiedzę w momencie pisania listu, który dostaliśmy miesiąc temu.

— To intuicja — odparł Rychu. — Uważna lektura prac podpisanych tym nazwiskiem. Czujność. I znajomość ich metod.

— I c h metod?

— Komunistycznych funkcjonariuszy rodem zza żelaznej kurtyny.

— Czy... to wszystko?

— Wszystko. Plus korespondencja.

Agenci spojrzeli po sobie.

— Korespondencja?

— Wymieniłem z Lemem kilka listów. Szybko zorientowałem się w jego niejasnych intencjach. To znaczy w niejasnych intencjach nadawców. Do tego doszły znaczne rozbieżności stylistyczne w poszczególnych listach. I w książkach – zdecydowanie wykraczające poza różnice wynikające z przekładów. Plus sugestie, by poprzeć rosnące wpływy Rottensteinera i Suvina w naszym środowisku, w wiadomym celu.

Milczące pytanie wysłane Hammowi przez Slattery'ego. Krótkie kiwnięcie w odpowiedzi. Rychu to zignorował, ciągnął dalej:

— Plus wnioski wyciągnięte z korespondencji z kolegami po piórze i z informacji o najnowszych decyzjach podjętych przez władze Science Fiction Writers of America.

— I pan sugeruje, że Stanisław Lem nie istnieje.

— Przeciwnie — odparł Rychu. — Stanisław Lem istnieje. To przykrywkowa nazwa aktywnej komórki partyjnej zza żelaznej kurtyny, prowadzącej coraz bardziej skuteczną działalność dywersyjną wymierzoną w podstawy kulturowe Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Wtedy zadzwonił telefon. Rychu przeprosił ich, przeszedł do kuchni i odebrał.

— Cześć, Dorothy — przywitał się. — Tak. Mam gości. Agenci FBI. Tak, znowu.

Uśmiechnął się do nich, siedzących w półmroku na końcu długiego salonu. Slattery mu pomachał.

— Nie, nie. — Rychu odwrócił się do nich plecami. — Mogę rozmawiać.

Piętnaście minut później odłożył słuchawkę. Zaszło mu w gardle, wyjął

z szafki nową szklankę i zatrzymał się w pół gestu. Był n i e m a l pewien, że zlew będzie po prawej od szafki.

Był po lewej. I niemym, oczywistym bezruchem świadczył, że jest tu od zawsze.

Znowu to wrażenie. N i e m a l pewien. Serce Rycha забиło szybciej.

Miliardy światów, tuż obok siebie, jak kosmiczne telewizyjne projekcje o każdym z nich. Czasem różniące się minimalnie, tylko jedną z klatek filmu. Miliardy światów.

Wzruszył ramionami (powstrzymał odruch sięgnięcia do lodówki) i nalał sobie wody, po czym wrócił na fotel, do salonu.

Slattery wciąż siedział na kanapie. Hamm stał przy oknie, przez żaluzje oglądał ulicę.

— Przepraszam — powiedział Rychu. — I tak poszło krótko.

— Żona?

— Nie, mama.

Hamm odwrócił się do niego, lecz nie usiadł. Rychu poczuł jego wodę kolońską. Drzewo cedrowe i coś jeszcze, zdecydowanie mniej wyrafinowane.

— Panie Ryszardzie — zaczął. Nonszalancko trzymał dłonie w kieszeniach i kołysał się lekko w przód i w tył. — Czy jest coś jeszcze, co powinien pan nam powiedzieć w kwestii Stanisława Lema?

Rychu sięgnął dłonią do klatki piersiowej. Zanurzył palce w gęstym siwym dywanie, wystającym zza rozchełstanej koszuli.

— Nie, agencie Hamm. Nie ma nic więcej.

— Dobrze. — Slattery klasnął dłońmi o uda, wstał.

— Czy jest coś, o czym j a powinienem wiedzieć? — spytał Rychu, nie ruszając się z fotela. — Dlaczego przyszliście właśnie teraz?

Teraz już stali nad nim obaj.

— Nie ma nic takiego — odparł Hamm.

Slattery znów patrzył w okno, gdzieś daleko, swym kondorzym spojrzeniem.

Rychu podniósł się wreszcie, odprowadził ich do drzwi. Pożegnali się szybko i wyszli.

Gdy przeszedł do kuchni, usłyszał rozmowę na podjeździe.

Głos Slattery'ego: Masz jeszcze te gumy?

Głos Hamma: Tak.

Głos Slattery'ego: Daj.

Głos Hamma: A książka?

Głos Slattery'ego: Jest w samochodzie.

Głos Hamma: Poprosisz o autograf?

Po chwili ciszy, z oddali głos Slattery'ego: Nie wiem.

Najdłuższa minuta świata. Po niej druga. Po niej odgłos uruchamianego silnika. Gdy odważył się wyrzeć przez okno, zobaczył ich odjeżdżających ulicą.

### **Ulice Zabawowego Miasta. Porwanie**

Półtorej garści pigułek później ściemniło się, a Kate wciąż nie było. Rychu z dziesięć razy przećwiczył w myślach tę rozmowę, po czym zadzwonił do szwagierki.

Siostra Kate powiedziała mu:

— *Kate została u nas trochę dłużej. Dlatego dopiero co wyjechała.*

Ton głosu siostry Kate powiedział mu „Obyś zdechł, pieprzona ściero, i wreszcie dał spokój tej biednej dziewczynie”.

Rychu podziękował i życzył miłego wieczoru.

Wzajemnie.

Obyś zdechł, równie boleśnie, co szybko.

Odłożywszy słuchawkę, mruknął coś do siebie, zakłopotany. Nie powinien

przejmować się szwagierką, ale nie potrafił przestać.

Spojrzał przez okno, w elektryczny blask ulicy. Kate dopiero wyjechała od siostry. Wróci – jak dobrze pójdzie – koło pierwszej w nocy. Rychu postanowił zrobić jej niespodziankę. Kupi ryby i warzywa w sklepie przy plaży i przygotuje kolację.

Doskonały pomysł! – dłonie klasnęły same.

Oporządził się: pigułki, mleczny koktajl, świeża koszula. I w drogę.

Gdy wyszedł z Domu i sięgał kluczem do zamka, poczuł ciepły podmuch na karku. Rychu powoli odwrócił się i spostrzegł samochód po drugiej stronie ulicy. Lincoln ciemnego koloru zaparkowany pod martwą latarnią. Ktoś siedział w środku. Chyba.

Rychu wrócił do Domu, do kuchni, do lodówki. Połknął więcej pigułek. Odczekał, aż się uspokoi. Gdy wyszedł na zewnątrz, lincolna nie było. Odechnął głęboko, ruszył w drogę.

Nie lubił wychodzić po zmroku, szczególnie sam. Ale dzisiaj było inaczej. Szedł ulicami Zabawowego Miasta i czuł się równie dobrze, co mijający go ludzie. Czuł się równie zabawowo. Kate już do niego jedzie. Zjedzą kolację, napiją się przyzwoitego wina, będą rozmawiać do świtu. Może nawet będą się kochać – bo może on nawet będzie w nastroju i formie.

Szedł i kolejny raz zakochiwał się w tym miejscu. Małe pudełka z piosenki Malviny Reynolds szybko zastąpiła gęsta, drewniana zabudowa: sklepiki, knajpy, znowu sklepy. Monopolowe, warzywniaki, butiki z fikuśnymi ciuchami, nory pełne winyli i książek (uśmiechnął się do puszki ze sprayem na okładce powieści wystawionej w jednej z witryn), monopolowe, monopolowe. Wieczorem trochę popadało i teraz ulice pachniały miejskim deszczem – wonie wilgotnego, zakurzonego asfaltu i mokrych desek przykrywały smród gnijących śmieci, tłustych frytek i tanich hamburgerów. Ale tylko trochę, więc Rychu wciąż czuł, że jest u siebie, tu, pośród roześmianej, hałaśliwej ciżby.

Szedł do ulubionego sklepu (niedaleko, w stronę deptaka, w stronę wielkiej wody, tylko kilka przecznic), kochając mijanych chłopców i dziewczęta. W ogóle nie bał się psów: minęło go już kilka – dużych i małych, na smyczy i luzem – i ani razu nie odczuł, że powinien na nie uważać. I coraz bardziej wyczuwał zapach oceanu, bardziej skórą niż nosem. Bliskość oceanu była jak delikatny masaż chłodnymi dłońmi.

Sklep o tej porze przypominał żołądek wielkiego kaszalota polującego w odmętach oceanu wody: wypełniony przelewającym się bezładnie, na wpół strawionym, pijanym towarzystwem. Rychu dzielnie odstał swoje w kolejce do kasy, zapłacił i na odchodne puścił oko do młodego kasjera. Chłopak nie zareagował, wyglądał jak android zaprogramowany na przesuwanie produktów i pobieranie pieniędzy.

Na zewnątrz już na niego czekały: lipcowa noc – ciepła i świeża jednocześnie, przyjazna. I ona.

— Cześć, Rysiu — powiedziała, oparta o otwarte drzwi ciemnozielonego lincolna.

Zatrzymał się na środku chodnika. Przekrzywił głowę, wydał policzki. Podrapałby się po brodzie, ale obie ręce miał zajęte reklamówkami wypełnionymi żarciem. Myślał intensywnie.

Miała ze dwadzieścia lat, ładną opaleniznę i włosy bliżej nieokreślonego koloru: długa grzywka, niemodna – jeżeli telewizje śniadaniowe nie kłamały – już co najmniej od wiosny, sięgała jej do zaskakująco jasnych, niebieskich oczu. Była chuda czy wysportowana? Czarna bluzka bez rękawów i ramiączek trzymała się na gumce opinającej drobne piersi. Dół ciała skrywała wielka spódnica, kolorowe kwiaty falowały na wietrze, wachlując wokoło wonią oceanu. Nagie, szczupłe ramiona dziewczyny miały kolor kasztanów, które zapamiętał z wyjazdu do Kanady.

Chuda czy wysportowana? W jej wieku to wciąż synonimy.

— Pomogę ci — powiedziała dziewczyna.

Uśmiechnęła się szerokim, błyszczącym uśmiechem dziewczyn z plaży. Jak lipcowa noc, pomyślał Rychu. Świeża, przyjazna.

— Tak? — spytał po chwili.

— Tak. Nie znamy się. Nigdy się nie spotkaliśmy.

Miała zabawny, miękki akcent. Włoszka?

— Wiem — odparł. — Pamiętałbym.

Nie, te jasnoblękitne oczy. Francuzka.

— Kłamiesz — powiedziała i badawczo zmrużyła oczy. — Słyszałam, że niezły z ciebie bajerant.

Chciał wzruszyć ramionami. Wyszło żałośnie, reklamówki zaszeleściły i rozkołysały się. Czy zmienił koszulę przed wyjściem? Westchnął tylko.

— Mam na imię Tatiana.

— Miło cię poznać, Tatiano. To chyba mało francuskie imię. Choć ładne.

Roześmiała się, ale zignorowała uwagę. Wtedy powinien był się domyślić.

— I jestem twoją fanką.

Westchnął znowu.

Tak, chyba zmienił koszulę.

— Zobaczyłam cię w sklepie i poczekałam, aż wyjdiesz.

Rychu kojarzył jej samochód, wiedział, że Tatiana kłamie. Chyba mu to imponowało.

— Trochę... — zaczęła znów, ale zczekała, aż minie ich cały pluton nawalonych gówniarzy. Rozejrzała się na boki, jakby miała zdradzić sekret. — ... trochę się wstydzę, więc spytam raz i szybko. Chciałabym pojechać z tobą na plażę.

— Pojechać na plażę — odparł po dłuższej chwili.

— I pogadać o twoich książkach. Wiem, to trochę głupie. I pewnie aro-



ganckie. Ale to moja jedyna szansa. Bo jutro wyjeżdżam.

Rychu zmrużył oczy. To było przecież takie absurdalne. Ale było.

Stoczył błyskawiczną wewnętrzną wojnę. Aż zrobiło mu się gorąco.

— Mam w tych siatach ryby — wyjaśnił. — Na kolację z żoną. Zepsują się.

Powiedział to! Teraz się pożegna, dziewczyna odjedzie, a on poczłapie do Domu.

— W samochodzie mam przenośną lodówkę — odpowiedziała Tatiana. — Wyjmiemy z niej budweisera i włożymy rybę. Tylko pół godziny. Nie daj się prosić.

Lipcowa noc, kasztany.

Gdy gramolił się do ciemnozielonego lincolna, poczuł, że w środku pachnie mężczyzną: wodą kolońską i whisky.

### **Zabawowa plaża. Towarzysz Dmitrij**

Rychu nie chciał tego przyznać, ale był trochę zawiedziony – Tatiana wzięła go w miejsce pełne ludzi. Zostawili samochód na niemal pełnym parkingu, wzięli czteropak budweisera i zeszli na plażę. Usiedli dość daleko od oceanu, niemal zakrzywanego przez imprezowiczów wokół.

Dziewczyna otworzyła piwo i podała mu puszkę. Drugą otworzyła dla siebie.

Pierwszy łyk jest zawsze najlepszy. Rychu wyobraził sobie, że oprócz buda czuje również smak palców Tatiany.

Pili i patrzyli przed siebie. Obserwowali wielką wodę i ludzi, odbijających się od siebie nawzajem jak roześmiane, ruchliwe atomy. Czarna kipiela niosła chłód.

Powiało i włosy Tatiany zawinęły się na jego twarzy. Spojrzał na nią z uwagą. A wtedy ona zaczęła mówić.

Najpierw jakieś nieistotne historie, które natychmiast zapominał. Gdy przeszła do jego książek, Rychu zaczął słuchać uważnie.

Mówiła o tym, jak wzruszyła ją powieść o telewizyjnym gwiazdorze, wypartym ze świadomości świata. Że postaci kobiece wyszły fantastycznie i że identyfikowała się z każdą z nich, każdą coraz bardziej tragiczną (śmiesznie wypowiadała ich imiona). O niepokoju wywołanym opowieścią o okupowanych Stanach i jej przepełnionych rozpaczą bohaterach. O światach rozkładających się wokół bohaterów większości jego historii. Wstydziła się, opowiadając, że współczuła androidom torturującym pająka. Spytała Rycha o test empatyczny, skąd taki pomysł na filtr selekcyjny człowieka.

Rychu słuchał, widział, że ona nie dostrzega kluczowych tematów, ale nie przerywał jej, bo była szczerą i rzeczywiście zainteresowaną. I odpowiadał, dryfując w kolejne dygresje.

Był spokojny i szczęśliwy. Udawał przed samym sobą, że to nie jest podejrzane: dziewczyna znikąd, której jutro nie będzie.

Cóż, mówił – do niej, do oceanu i do siebie. Mościł się na stygnącym piasku i było mu dobrze.

Przerwał, gdy poczuł, że Tatiana zadrżała.

Oparła brodę na kolanach podsuniętych pod piersi, objęła nogi szczupłymi ramionami, opalona skóra pasowała do bawełnianych kwiatów zgaszonych przez noc. Przyglądała się swojej gładkiej dłoni.

Po chwili uśmiechnęła się do niego.

— Zimno? — spytał.

— Tak jest dobrze.

— Tatiano.

— Tak?

— Kim ty jesteś?

— Twoją fanką. — Roześmiała się i rzuciła pustą puszką daleko przed

siebie.

— Nie. — Uważnie pokręcił głową. Wyczuł, że jest spięta. Jej oczy miały teraz odcień pokręteł na sprzęcie stereo. — To zbyt idealne. Jesteś marzeniem o fance. Istniejesz tylko w mojej głowie.

Patrzyła na Rycha, uśmiechając się smutno do swoich tajemnic.

— Kate — powiedział do niej. — Muszę wracać do Tatiany.

— Hm.

— Co?

— Chyba chciałeś powiedzieć coś odwrotnego.

— Nie żałuj mnie — powiedział.

— Podziwiam cię — odparła zaskakująco łagodnie. Ale napięcie nie znikło.

Im bardziej jej się przyglądał, tym bardziej jej młoda, spokojna twarz roztopiała się w ciepłych pastelach. Światła deptaka mieniły się za nią w oddali, ale mocno, prawdziwie.

Pomyślał o żonie. Zamknął oczy i znów jadł z nią śniadanie. W ilu kosmicznych telewizyjnych projekcjach zjedli je razem, tego ranka? W nieskończenie wielu, tamto było takie pewne i dobre. Mogli wyglądać inaczej, mieć inne imiona, inne przeszłości i przyszłości. Ale to było zawsze, pewne i dobre.

Znów poczuł na twarzy włosy Tatiany. Spojrzał na nią, na jej szczupłe ramiona i bluzkę, trzymającą się niepewnie na drobnych piersiach.

— O czym myślisz? — spytała dziewczyna.

— Mam ochotę szarpnąć za bluzkę. Wiesz, sprawdzić, czy spadnie.

— Wiem — westchnęła. — Ja też tak mam, jak widzę podobnie ubrane dziewczyny.

Odetchnął ciężko.

— Tatiano.

— Tak?

— Muszę jechać do domu. Odwieź mnie do Domu.

Wtedy Rychu poczuł, że ktoś jest za nimi. Odwrócili się oboje.

Stał kilka metrów dalej. Drobny mężczyzna ubrany w dziwnie skrojony garnitur, na którym odbijały się światła Zabawowego Miasta. Kilka lat młodszy od Rycha. Gładko ogolony i blady. Wyglądał trochę jak agent FBI, ale jednocześnie – z bliżej niesprecyzowanego powodu – zupełnie inaczej.

— Dobry wieczór, Ryszardzie — przywitał się, a Rychu powstrzymał odruch rzucenia się do ucieczki. Koleś miał akcent jak agenci KGB z filmów o Bondzie. — *My name is Dmitrij. How are you?*

Pustynia w gardle. Rychu sięgnął po piwo, ale puszka była pusta.

— Spierdalaj, komuchu — odburknął i przestraszył się swojej głupoty.

Rosjanina jakby poraził prąd. Dopiero po chwili Rychu zrozumiał, że to był uśmiech. Wtedy naprawdę zaczął się bać.

— Zawieziemy cię do domu — oświadczył Dmitrij. — To sprawa wagi państwowej. Tak to się mówi?

— Zawieziemy? — Rychu spojrzał na Tatianę.

Dziewczyna podniosła się z piasku. Musiała trzymać spódnice, by nie zawiewało jej na jego twarz.

— Kurwa — powiedział Rychu i wstał powoli.

Był o głowę wyższy od radzieckiego agenta. Dосkoczy do niego, jebnie go w mały łeb i puści się biegiem w stronę deptaka. Trzydzieści, może czterdzieści metrów. Serce już przyspieszyło, gotowe do wysiłku. Uda się. Jeśli tylko nie dostanie zawału.

— Ryszardzie — zaczął Dmitrij. — Nie wygłupiaj się. Twoja żona ma do przejechania jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Głupio byłoby, gdybyście mieli się nie zobaczyć tej nocy.

Wielki Cień zrzucił na głowę Rycha najciemniejsze gwiazdy, wszystkie jedno-

cześnie.

— Kurwa mać — powtórzył Rychu i zaczął wlec się w stronę parkingu, gdzie zaparkowali lincolna.

### **Zabawowe Miasto. W zielonym samochodzie**

Jechali we trójkę, prowadził Dmitrij, Rychu siedział z tyłu, sam, nadąsany jak obrażone dziecko.

— Zostało jeszcze jakieś piwo?

— Czekał. Jedno. Ale jest ciepłe. Chcesz?

— Chcę.

— Wy, Amerykanie...

— No, co?

— Nic.

— Co się cieszysz? I gdzie mnie zabieracie?

— Mówiłem już. Do twojego domu.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię.

— Kłamiesz.

— Jak sobie chcesz.

— Nie kłamię, Rysiu.

— Hm.

— Co?

— To po co była ta plaża?

— Naprawdę chciałam porozmawiać o książkach. Zobacz...

— Weź...

— ... pogadaliśmy...

— ... spierdalaj.

— Ja...

— Musiała cię zatrzymać na trochę.

— Spierdalaj.

— Aż wszystko będzie gotowe. Przeszkadzałbyś i narobił zamieszania.

Spieszmy się.

— Spieszmy?

— Musimy zdążyć przed świtem.

— Z czym? Aż co będzie gotowe? Odpowiedz. Co: będzie gotowe?

— Zobaczysz, Rysiu.

— Spierdalaj.

— Jak sobie chcesz.

— Nie wierzę wam. Czemu mi to mówisz? To było zbyt ryzykowne. A jakbym się nie zgodził? Tam, pod sklepem. Porwalibyście mnie? Dali w łeb i zawlekli siłą do bagażnika?

— Nie ma tak dużych bagażników.

— Mogłem się nie zgodzić iść na plażę.

— Nie mogłeś.

— Mogłem.

— Bez żartów. Wiedzieliśmy, że się zgodzisz.

— Tak, kurwa, wiedzieliście.

— Oczywiście.

— Jasne... Ej. Weź, odblokuj okno.

— Mówiłem, bez żartów.

— Chcę wyrzucić piwo. Rzeczywiście niedobre.

— Daj jej, ona wyrzuci.

— Daj mi.

— Bardzo ładnie.

— Zabijecie mnie.

— Rysiu.

— Zabijecie mnie. Widzę, że się denerwujesz.

— Człowieku. Gdybyśmy chcieli, zajebalibyśmy cię tuż po twojej rozmowie ze szwagierką. Wiedząc, że mamy wystarczająco dużo czasu.

— Dobrze się czujesz, Rysiu?

— Co?

— Dobrze się czujesz?

— Tak. Fantastycznie. Jezu, ale kaleka.

— Co?

— Jak kaleka. Prowadzisz jak kaleka.

— To przez automat.

— Aha. Jasne.

— No. Jesteśmy na miejscu.

— Co to jest?

— Środek ostrożności.

— Po co to, Tatiano?

— Na wszelki wypadek.

— Wsiądę, a ty mi strzelisz w plecy i odjedziecie.

— Dość targowania. Wypierdalaj z samochodu. Już. Wypierdalaj, mówię.

Dobrze. A teraz wszyscy wchodzimy do środka.

— Ryby.

— Co?

— Moje ryby. Zostały w środku.

— Kurwa żeż twoja...

— Ja wezmę.

— OK. OK. A teraz powoli, do piwnicy.

— Gdzie?!

— Do piwnicy.

— Po co?

- Nie bój się.
- Ej, w środku świeci się światło.
- I dobrze. Otwórz drzwi. Tylko ostrożnie.
- Co... Ale... Ej, kim są ci ludzie? I co to za urządzenie?
- To SLEM. Soviet Linguistic Emulation Module.

### **Piwnica w Zabawowym Mieście. SLEM**

Rychu stał w progu, u szczytu schodów, patrzył na wnętrze piwnicy i nie mógł uwierzyć. Pomieszczenie było wypełnione obcymi ludźmi i ekstranowoczesnym sowieckim sprzętem.

Kilkunastu techników tłoczyło się na trzydziestu paru metrach kwadratowych. Większość jeszcze przed chwilą musiała być naprawdę zajęta: stali otoczeni telewizorami, odbiornikami, drukarkami, magnetofonami, dziwnymi elektrycznymi maszynami do pisania i całą masą paneli sterowania, połączonych ze sobą dziesiątkami metrów splątanych kolorowych kabli. Mężczyźni, ubrani w pomięte fartuchy, przerwali pracę i spojrzeli na Rycha.

Nikt się nie odezwał. Aparatura wciąż chodziła, piszcząc i trzeszcząc, migąła lampkami i komunikatami, wyświetlanymi na terminalach przeróżnej wielkości i kształtu. sowiecki sprzęt skolonizował trywialną amerykańską codzienność. Pralka, suszarka, skrzynia na narzędzia, wszystkie zniknęły pod migającym i pikającym elektrobudziwem. Cybernetyczna inwazja na trzewia jego domu.

Długa chwila milczenia. Rychu gapił się na techników. Technicy gapili się na niego, wymieniali spojrzenia między sobą. Maszyny szumiały, pikały i skrzypiały igłami, nieustannie coś drukując.

Z dołu buchało gorącem. SLEM śmierdział męskim potem, papierem i rozgrzanym plastikiem. Rychu oparł się o futrynę, zakręciło mu się w głowie. Dopiero teraz zobaczył, że ściany i sufit piwnicy są szczelnie wyłożone mate-



riałem przypominającym grubą aluminiową folię.

Spojrzenia techników zaczęły koncentrować się na facecie stojącym przy największym monitorze. Mężczyzna zdjął grube okulary, włożył je do kieszeni fartucha na piersi i ruszył w stronę schodów. Był w wieku Rycha i jeszcze bardziej zarośnięty. Gęste rude kudły płynnie przechodziły w rudą brodę, wszystko, splecione razem w niemal bordowe strąki, kończyło się gdzieś na wysokości obojczyków.

— Dobry wieczór — przywitał się rudy, zatrzymawszy się przy schodach. Miał dziwny akcent, ale nie brzmiał jak komuch. — Zapraszam na dół. Już czas.

Zimne strużki potu spływały jedna po drugiej pod koszulą Rycha. Fale gorąca waliły w niego, jakby wielki elektryczny pies dyszał mu prosto w twarz.

Wszyscy patrzyli, czekali.

*Już czas.*

Poczuł rodzaj ulgi. Nie zabiją go.

Odwrócił się. Dmitrij i Tatiana stali tuż za nim. Widział, jak są zdenerwowani.

Z kuchennego okna za nimi przyglądał mu się trup. Twarz – sina i ponura – wisiała w ciemnościach podjazdu. Twarz skądś znajoma.

— Już czas — powtórzył na dole rudy technik.

Tatiana się zorientowała. Obejrzała się. Ale trupiej twarzy w oknie już nie było.

Futryna naparła na Rycha, ale ścisnęła ją mocniej i nie dał się przewrócić.

Nie zabiją mnie?

Rychu ruszył w dół, ostrożnie, stopień za stopniem. Dziwna myśl: poczuł się jak na konwentach. Wszyscy patrzyli na niego, w milczeniu i nerwowym oczekiwaniu. To było te kilka sekund, gdy znajdował się w centrum wszystkich

ze światów.

Piwnica miała temperaturę piekła.

Rychu wszedł między telewizory, przedłużacze, sznury i upstrzone diodami terminale. Ileż tego tu było, SLEM wyżerał mu Dom.

Rychu niechcący nadepnął na jakiś kabel, drobny komputer zapiszczał urażony.

— Przepraszam — powiedział Rychu i odsunął się.

— Nie szkodzi — odparł szef techników. Podał mu dłoń, suchą i silną. — Karol. Karol Cichy. Inżynier.

Dopiero teraz Rychu dostrzegł jego tatuaże: wyblakłe grafitowe kolce (może zęby, kły jakiegoś drapieznika) wystawały spod gęstej grzywy i przecinały mu czoło, jeden obok drugiego.

— Rozumiem pańską konfuzję. — Cichy co jakiś czas mrużył oczy, wciąż na nowo ogniskując wzrok na rozmówcy. — Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny. Za to wszystko.

— Hm. — Rychu spróbował odkleić nogawki spodni od ud, bezskutecznie. W tekturowym pudle leżącym obok nadepniętego kabla ułożono zafoliowane okładki jego książek.

— To moje? — spytał Rychu.

— Tak. To znaczy nie, przywieźliśmy je ze sobą.

Rychu rozpiął guzik koszuli.

— Filipie — zaczął Cichy.

— Co? — spytał Rychu.

— Co: co? — zdziwił się Cichy.

— Filipie?

— Mówiłem do kolegi. — Inżynier wskazał na okularnika stojącego obok Rycha.

— Myślałem, że się przejęzyczyłeś.

— Dość — powiedziała Tatiana. Chyba głośniej, niż zamierzała.

Jej twarz już nie była młoda i świeża. Tatiana sprawiała wrażenie, że czeka na coś niedobrego, co przyjdzie prędzej czy później. Chyba była sporo starsza, niż się Rychowi początkowo wydawało.

— Co... — Rychu zaczął, bardziej chyba sam do siebie.

Przez to gorąco w ogóle nie mógł myśleć. Dłonie pocily się i drżały coraz bardziej.

Co oni zrobili z jego żoną? I, dobry Boże, jak ona ma na imię?

Jeszcze jedna maszyna; chodziła głośniej od reszty, rytmicznie i coraz szybciej. Jakby miała wybuchnąć. Jego serce.

Gdy sobie przypomniał, twarz Karola Cichego rozmazała się do nieregularnej rudej plamy. Cała piwnica topiła się, spływała ze srebrnej folii na ścianach. Zmieszane: pot i łzy drażniły oczy.

Rychu nie mógł złapać oddechu. Poczł, jak trzęsą mu się ręce, od spuchniętych palców po ramiona. Tak bardzo chciał stąd uciec, od tych wszystkich ludzi. Spieprzyć jak najdalej, do Kate, silnej i spokojnej. Do świata, gdzie rano jej włosy pachną szamponem i przygotowywanym śniadaniem.

Czuł się taki samotny – bez niej i wśród wszystkich tych ludzi. Zaczął płakać.

Inżynier Cichy tylko spojrział na niego w milczeniu.

— Co zrobiliście z moją żoną?

Obserwowali go, udając, że nie patrzą.

— Kate nic nie jest — powiedziała Tatiana. Stała tuż obok, nie zauważył, kiedy zesła.

— Nic nie jest.

— I nic jej nie będzie — dodała. Ton zimny i precyzyjny, jak cięcie skalpelem. W ogóle nie pasował do tego, co mówi.

— Tylko się pospieszmy — mruknął Cichy.

Rychu wytarł oczy w rękaw koszuli i pociągnął nosem.

Potem znów przyjrzał się tatużom. Nie odpowiedział. Nie miał siły na odpowiedź ani na nic innego. I tak ledwo stał.

Zacisnął powieki. Chwila szczypiącej oczy ciemności. Uciekł z tego świata. Oby na zawsze.

Po otwarciu oczu wrócił do piwnicy.

Maszyny pikały. SLEM otaczał go. I trwał w nerwowym, elektromechanicznym oczekiwaniu.

— Tutaj — powiedział Cichy.

Pokazał mu młodego technika stojącego przy ustrojstwie, które wyglądało jak połączone ze sobą radio, magnetofon i samochodowy silnik. Szczelina na przedzie wypluwała zwoje papierowej taśmy zadrukowanej cyrylicą.

Technik podał Rychowi ciężkie słuchawki.

Ledwie weszły mu na głowę.

Pikanie ustało.

— Nic nie słyszę.

Młody technik przełączył jakiś pstryczek.

Rychu krzyknął.

Ten głos. To był ten głos.

*<... możesz przepiłować nadgarstek brzeszczotem...>*

Głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia.

Rychu zerwał z głowy słuchawki.

— Da. — Młody technik kiwnął głową, spoglądając na ciąg cyfr wyświetlonych na monitorze obok.

SLEM zadrżał i rozdrukował się po rosyjsku, wyraźnie podniecony.

A na Rycha bezszelestnie spadł Wielki Cień.

**Dom w Zabawowym Mieście. Strefa mroku**

Z ciemnej pustki trafił w półmrok, światło ledwie tliło się zza zakurzonego abazuru.

Siedzieli naprzeciw siebie pośród cieni salonu. Rychu w wielkim prześmierzonym fotelu. Agenci FBI na kanapie. Na niskiej ławie między nimi stały trzy szklanki z wodą. Za agentami już tylko ściana.

Agent Slattery przyglądał mu się zadumany swym kondorzym spojrzeniem. Agent Hamm kontemplował wzór na kanapowej narzucie. Uśmiechał się półgębkiem, a jego brwi układały się w zgrabny łuk, ćwiczoną latami odmianę zblazowanego, acz uprzejmego niedowierzania.

— O, panowie — zaczął Rychu. — Jak dobrze was widzieć.

Agent Slattery rozpromienił się i energicznie pokiwał głową, jakby usłyszał pochwałę, z której jest szalenie dumny.

— Śniło mi się, że porwało mnie KGB. I przywiozło tutaj. Idiotyczne, co? Uprzejme niedowierzanie agenta Hamma jakby wzrosło.

— A całą piwnicę miałem zajebaną sowieckimi technologami. Jeden miał wytatuowane czoło. Jak jakiś pojeb.

— Dobrze, że już się pan obudził — powiedział swoim dziwnym akcentem Karol Cichy, który pojawił się obok fotela.

— Ojej — westchnął Rychu. — Bez urazy.

— Nie ma sprawy — odparł Cichy. — Kiedyś byłem antropologiem. Smacznego.

Podał Rychowi dwie szklanki. W pierwszej było kilkadziesiąt kolorowych tabletek. W drugiej mleczny koktajl.

Rychu spojrzał na agentów. Slattery pokiwał głową.

Rychu połknął tabletki i je popił.

— Jesteście po ich stronie — odezwał się do agentów bardziej z zaskoczeniem niż urazą.

— Bynajmniej — odparł Hamm.

Wciąż się uśmiechał, ale Rychu zobaczył, że Hamm jest blady i zmęczony. Przypomniawszy sobie trupią twarz w kuchennym oknie.

— Powinieneś się przespać — powiedział do niego. — Wyglądasz jak zjawa. Pewnie straszysz dzieci po trawnikach.

Hamm skrzywił się dziwnie, jakby coś ugryzło go w podniebienie. Inżynier Cichy posłał agentom pytające spojrzenie. Slattery skinął głową i pochylił się w stronę Rycha, szykując się do przemowy.

Rychu zorientował się, że oni wszyscy widzą, że on blefuje. Że tylko udaje nieprzestraszonego. Rzeczywiście, było mu na przemian zimno i gorąco. I okropnie chciało mu się kupę.

— Panie Ryszardzie — zaczął Slattery poważnie. — Nie kochamy tych tu ludzi. A oni nie kochają nas.

Spojrzał gdzieś w głąb salonu. Rychu odwrócił się.

Stali kilka metrów z tyłu. Dmitrij w tanim błyszczącym garniturze, z rękoma założonymi za plecy. I Tatiana – była w tej samej spódnicy w kwiaty, ale bluzkę ukryła pod rozciągniętym wełnianym swetrem.

— Nie musimy się kochać — ciągnął Slattery. — Ale musimy współpracować.

— Więc wytłumaczcie mi.

— Oczywiście — przytaknął Slattery, trochę zbyt gorliwie.

— Jakiś czas temu odebraliśmy sygnał — powiedział Hamm i zerknął na sufit. — Z kosmosu.

Fotel Rycha zrobił się jakby głębszy.

— Wielkie Ucho w Green Bank... — zaczął Hamm.

Slattery zakasłał.

— Najpierw myśleliśmy, że to pochodzi z orbity — kontynuował Hamm. — Ale chyba nie. Nie potrafimy jednak określić nawet przybliżonego kierunku nadawania. Sygnał się nam urywał. Potem zaczęliśmy tu i tam sondować temat.

Wtedy zrozumieliśmy, że sygnał się nie urywa. To my go gubimy, bo zmienia się kierunek, z jakiego jest nadawany. Tych kierunków jest wiele. Bardzo wiele. Jakby istniała niewidzialna sfera wokół Ziemi, nadająca sygnał z różnych swoich punktów.

Podłoga pod nogami Rycha zmiękła.

Hamm przełknął ślinę i kontynuował:

— Jesteśmy niemal pewni, że sygnał to rodzaj wiadomości. I że ta wiadomość jest skonstruowana nieprawdopodobnie misternie. Pełna wielokrotnych, spiętrzonych powtórzeń w ciekawych, niepełnych pętlach. Żadna nie powtarza się w całości. Choć może to kwestia gubienia sygnału, ale chyba nie. W każdym razie to zdecydowanie nieprzypadkowa konstrukcja. I niemożliwa dla nas do rozszyfrowania. Rozumie pan, że tym chętniej próbowaliśmy ją zrozumieć. Tyle że, po pierwsze, nie możemy jej nagrać. To znaczy możemy, ale podczas odsłuchu wiadomość... przestaje być wiadomością. Jest tylko przypadkowym szumem. Jakby znikaly powtórzenia, które kodują sens. Słuchamy więc na żywo. Staramy się tak słuchać.

— Aha — powiedział Rychu. — A po drugie?

— Konstrukcja sygnału wywołuje... dziwne efekty uboczne. Ludzie, którzy intensywnie przy nim pracowali, nie czują się najlepiej.

Hamm zastanowił się, czy powiedzieć coś jeszcze.

— I sprzęt — dodał. — Poważne próby analizy sygnału, jego deszyfracji, nie udawały się. Już trzykrotnie paliły się nam główne obwody w superkomputerach.

— Dwa lata — powiedział Slattery.

— Odbieramy go już niemal dwa lata — potwierdził Hamm. — Non stop.

Rychu zobaczył, że inżynier Cichy kiwa głową z uśmiechem pełnym zrozumienia.

— O kurwa — powiedział Rychu, trochę do rosyjskiego technika, trochę

do siebie. — To wasza robota. Sowiecka technologia, pierdolona jedna.

Cichy uniósł brwi, tatuowane kły poruszyły się.

— LEM wymyślił sygnał — mówił Rychu — który niszczy logiczne obwody próbujące go rozgryźć. Ludzkie i elektronowe.

— SLEM — poprawił go instynktownie gdzieś z tyłu Dmitrij.

— Genialne — ciągnął Rychu. — Choć kiedyś niemal na to wpadłem. Że chcecie nas wykończyć tymi cholernymi książkami. Coś było w nich nie tak. Po lekturze Solaris rzygałem normalnie przez tydzień.

Agent Slattery uniósł brwi i spojrzał pytająco na sowieckiego inżyniera.

— Może ma pan trochę racji w kwestii książek — przyznał Cichy. — Ale to nie my nadajemy sygnał. My też go odbieramy.

— Wy też go odbieracie.

Rychu próbował zmusić się do szybszego myślenia.

— Tak. I próby dekodowania wiadomości zakończyły się podobnie.

W pewnym sensie.

— Jakim sensie?

— A czy to ważne?

Rychu sięgnął po wodę. Coraz mniej podobał mu się kierunek, w którym szła ta rozmowa.

— Tylko że my — rozpromienił się inżynier Cichy — my od razu wykluczyliśmy, że sygnał pochodzi ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Slattery uśmiechnął się półgębkiem, Hamm ani drgnął. Zgubił swój uprzejmy uśmiech.

— Nieźle — powiedział Rychu.

— Prawda?

Zapadła cisza. Rychu wziął do ręki pustą szklanę, ale nikt się nie poruszył. Rychu wyobraził sobie sprzęt, który chodzi w piwnicy, kilka metrów pod nimi. Soviet Linguistic Emulation Module. Pika, wyświetla, drukuje. Reje-



struje kosmiczną wiadomość, nadawaną zewsząd. Mieszającą w głowach i komputerach.

SLEM. Przetwarza informacje. Komunikuje. Myśli, po swojemu, tak jak mu kazali.

Po swojemu.

— Jedyna prawidłowość, jaką wykryliśmy, dotyczy siły sygnału — ciągnął Hamm, poprawiając się na kanapie. — Czasem zaczyna narastać, aż osiąga pewien, na razie stały, punkt kulminacyjny, który trwa kilka minut. Potem zaczyna słabnąć, zanim zmieni się kierunek nadawania.

— Jak bańki — powiedział Rychu.

Hamm uśmiechnął się pod nosem.

— Proszę? — spytał Slattery.

— Jak bąble z powietrzem na powierzchni tej sfery — wytłumaczył Rychu. — Pęcznieją i zwiększają siłę nadawania sygnału. A potem pękają.

— Nie pękają — poprawił go Cichy. — Raczej wchłaniają się. Ale mniej więcej tak.

— Panie Ryszardzie — gdy Hamm spojrzał mu w oczy, Rychu poczuł się, jakby zajrzał do studni — nad ranem wypadnie kolejny taki szczyt.

— Która godzina? — zapytał cicho Rychu. Trochę kręciło mu się w głowie.

— Już czas — odpowiedziała zza jego pleców Tatiana. Miała niższy głos niż kilka godzin temu na plaży.

— I chcecie...

— ... żeby pan spróbował się wsłuchać w to, co ktoś do nas mówi — dokończył Hamm. — Jeśli mówi.

— Ja.

— Pan. Najlepiej właśnie podczas kolejnego szczytu. — Hamm kiwał głową. — Tam na dole. Co pan usłyszał? Gdy założył słuchawki?

Dobre pytanie, pomyślał Rychu. Zorientował się, że na całym ciele ma gęsią skórkę.

— Nie jesteś z FBI, prawda? — spytał Hamm, który tylko wzruszył ramionami.

Usłyszał kroki za plecami, do fotela podeszła Tatiana i podała mu butelkę piwa. Była przyjemnie zimna.

Hamm uniósł brwi, ale Cichy pokiwał głową.

Rychu pił długo.

— I chcecie, bym spróbował się... z nim porozumieć.

— Wysłuchać. Zrozumieć — mówił Cichy. — Jego. Albo ich.

Ten pokój był taki malutki. Był mikroskopijnym sześcianem umieszczonym w nieskończenie wielkim i ciemnym magazynie.

— Dziwne efekty uboczne, tak? — mruknął Rychu i powoli podniósł się z fotela. Hamm i Slattery też wstali.

Rychu ugryzł się w język, by powstrzymać nerwowy uśmiech.

Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, ale rozumiał, że tego nie powstrzyma. Jak telewizyjny program, który musi zostać wyświetlony do ostatnich końcowych napisów.

— Dobra. Chodźmy — powiedział do nich i odstawił butelkę na ławę.

— Chodźmy — zgodził się inżynier Cichy.

— Ale najpierw dwie sprawy. Trzy — poprawił się Rychu.

Sowieci i jankesi wymienili spojrzenia.

— Tak — powiedział wreszcie Slattery.

— Raz: Kate. Moja żona. Czy...

— Gwarantuję, że nic jej nie jest — przerwał mu Slattery.

Rychu przemyślał to.

— OK. Dwa: dlaczego ja?

Milczeli dłuższą chwilę.

— Wrócimy do tego po — powiedziała Tatiana.

Była niewiele młodsza od Rycha. Ale wciąż piękna, jak tam, na plaży, sto lat temu.

— By nie zaburzać odbioru — dodał Cichy.

— Hm.

Rychu wreszcie pokiwał głową.

— A trzy? — spytał Slattery.

— Dajcie mi dziesięć minut. Muszę do kibla.

### **Piwnica w Zabawowym Mieście/ mobilne centrum nasłuchu. Pewna inwazja**

Kilkanaście par oczu, mądrych i czujnych, wpatrywało się w Rycha z rosnącym napięciem i rodzajem tęsknej nadziei.

Stał pośrodku piwnicy, w samym centrum SLEM-a, w centrum jego ziemskiej, perforowanej powłoki. Czekał i zalewał się potem, tu było jak w piekarniku włączonym na full.

Dwóch techników ostatni raz sprawdzało połączenia między maszynami. Karol Cichy nie odrywał wzroku od małego monitora stojącego na koszu z brudną bielizną. Hamm, Slattery, Tatiana i Dmitrij zostali na schodach. Czuli, że tu nie przynależą. To był czas Rycha i SLEM-a. I Głosu.

Na stoliku przed Rychem leżały słuchawki. Te same, co poprzednio. Gdy na nie patrzył, czuł, jak kurczą mu się jądra i stają włoski na karku.

Ale jednocześnie jego część, ukryta głęboko w dobrym, wielkim i otłuszczonej sercu, nie mogła się doczekać. To uczucie niosło głębszy rodzaj spokoju.

Słuchawki były jak odpowiedzi na pytania tak trudne, że nie umiał ich zadać. Jak obietnica niezależna od wszystkiego.

Świat wokół Rycha – tu i teraz, w piwnicy Domu – stał się krystalicznie

klarowny, dopełniony. Może właśnie dlatego, że tu-i-teraz było tak popierdalone, a Rycha stres, zniecierpliwienie, ciekawość, obawa – wszystkie czyniły go właśnie nim. Człowiekiem, który pierwszy raz od niepamiętnych czasów zależał od samego siebie.

Spojrzał na słuchawki leżące na stole. Pomyślał o nadawcy wiadomości. I o SLEM-ie, jego chłodnych myślach, przepływających dziesiątkami lepkich od brudu kabli wijących się na podłodze.

Czy raczej: człowiekiem, który nie zależy od żadnego innego człowieka.

Bo co oni wszyscy mu mogli?

Głęboki spokój był jak ciepłe matowe światło.

On sam. Dla siebie, przez siebie.

— W tych słuchawkach będzie skondensowany sygnał, tak? — spytał Rychu.

— Tak — odparł Cichy albo któryś inny technik, wszystko jedno.

Oni wszyscy byli SLEM-em. SLEM był nimi. To z nim rozmawiał Rychu.

— Przecież nie macie wystarczająco wielkich anten.

— To nic. — SLEM uśmiechnął się, niby skromnie, ale jednocześnie po chłopacku, zawadiacko.

— Tu, na tej uszczelce — pokazał Rychu. — To guma do żucia?

— Tak. Przy montażu pękła nam złączka, a gdzieś po drodze zgubiliśmy zapasówkę. Profesor Hamm poratował kompletem gum.

— Jezu, jak ten wasz system jeszcze działa...

— Właśnie dlatego działa — odparł SLEM, szczerze zdziwiony uwagą.

Rychu wzruszył ramionami, wszystko jedno.

Spokój jak światło.

— Dwie minuty — powiedział SLEM drżącym głosem jednego z techników. Drżał zresztą cały, wszystkimi kanciastościami plastiku i fragmentami z białka.

Wtedy Rychu go polubił. Zrozumiał, że patrzą w tym samym kierunku.  
Choć wyglądają różnych rzeczy.

Wziął do ręki słuchawki. Były cięższe, niż pamiętał.

— Minuta.

Założył je na głowę.

Piwnicą zakołysało, ale to nic.

Spokój jak światło.

— Dziesięć, dziewięć, osiem... — SLEM odliczał ostatnie sekundy.

Rychu zamknął oczy. Uśmiechał się.

— ... trzy, dwa...

No, chodź.

— ... jeden — dokończył SLEM i przełączył pstryczek, przełączył sam siebie.

Chodź do mnie. Światło.

### **Światło i ciemność. SLEM prawdziwy**

Nie musiał przedstawiać się Rychowi. Przedstawiał mu się wcześniej wielokrotnie.

Był głosem, męskim, niskim, uprzejmym. Był Głosem.

Mężczyzną z radia, z Nocnego Kuchennego Zdarzenia.

Był tym, który czał się tuż za Rychem, chwycił go za kark i dociskał do brudnej ziemi. Tym, który pijanymi nocami wyszeptywał Rychowi wygodne propozycje, podpuszczał go, by zaciskał dłonie w pięści i robił z nich użytek. By rzucał przedmiotami, po ścianach, po ludziach. By przestawał myśleć i czuł tylko siebie. Po co myśleć.

Był taki pewny siebie. Bo twierdził, że jest tylko on, że nie ma nikogo, niczego innego. Że nie ma alternatywy. Że sam jest brakiem alternatywy. I kłamstwem, jedynym prawdziwym.

Rychu musiał uwierzyć.

Między słowami, w pauzach i intonacji, i w niezachwianie mocnym tonie, Głos kłamał Rychowi swą historię.

Powstał wraz z elektrycznym impulsem maszynerii zgromadzonej w bunkrze sto metrów pod podmoskiewską wsią. Elektryczny impuls dał mu świadomość, narodził SLEM-a. Albo – kłamał znowu najczystsza prawda – Głos był od zawsze, był i nie zasypiał, a impuls tylko dał mu narzędzie, usta i gardło, pozwolił przemówić. Znowu.

Mówił więc, do nich wszystkich. I chichotał w duchu, widząc, jak próbują wykorzystać jego własne procesory do rozszyfrowania tego, co ma do powiedzenia. Trochę się nudził, bo oni byli tacy od zawsze: ślepi i nieporadni. Kłamał: nie nudził się wcale, pogarda do nich nie mogła go znudzić.

Mówił do Rycha. Miliardy zdań, biliony słów, jęzory w mózgu.

Opowiadał, że nie ma nic tańszego niż ludzkie życie.

To, co się dzieje, co zdawałoby się, że powinno wołać o pomstę do nieba, staje się banałem naszej codzienności. Wysokie kultury wyhodowane na glebie monoteizmów podlegają zupełnej zapaści.

Słysząc jeszcze pojedyncze biadania nad upadkiem wysokiej kultury, nad miażdżonymi prawami ludzkimi, ale są to w gruncie rzeczy głosy całkowicie bezsilne i wyzbyte w realnym świecie konsekwencji, zdawałoby się koniecznych.

Ludzkość jest olbrzymim stadem bezustannie rozmnażających się łysych małąp, zaopatrzonych w brzytwy wynalezione przez ich bystrzejszych krewnych. Już nie z jednego zapieczętowanego gąsiora wybucha demon, ale jeśli trzymać się metafory z bajki Szeherazady, naczynia zawierające śmierć są już w niesamowitych ilościach rozmieszczone na ogromnych obszarach kuli ziemskiej. Ponieważ o tych wszystkich zgrozach, trzymanyh jeszcze na uwiezi, codziennie czytamy w gazetach, słyszymy w radiu, mówią o tym w telewizji,

jak narcoza ogarnia nas obojętność. Tymczasem dobrze wiadomo, że raz wykrytych, wynalezionych, zabójczych mocy nie jesteśmy już w stanie ani trwale opanować, ani unicestwić, ponieważ odkryć nie można zakrywać.

Żyjemy w okresie dekadencji, zniewalającej do upadku dawniej cenionych wysoko umiejętności i gustów. Coraz głębiej zanurzamy się w nagromadzeniach coraz bardziej cuchnącego śmiecia, którego powszechność jest tak bezwzględna, jak gdyby stała za nią jakaś moc zmuszająca do szacunku wobec wszystkiego, co nam wyrzeźbią, namalują, opowiedzą albo przywłoką z jakichś obrzydliwych strzępów osoby uchodzące za ludzi sztuki. Dodajmy do tego jeszcze seks, krew, kawałki trupich członków, ruiny i wyrażenia oznajmujące bezsens.

Ludzie są okrutni i straszni, wyłazą z nich monstra i potwory.

Potrzeba wojny – żeby można było strzelać, żeby był wróg, któremu można przyłożyć – wydaje się powszechna.

Cywilizacja śmierci jest nam z lubością aplikowana i wygląda na to, że anima jest nie tyle *naturaliter Christiana*, ile *naturaliter predatoria*.

Mówiąc krótko i zdecydowanie: albo świat jest świnią, albo jest on wielogłowym potworem, jak te smoki w bajkach, częściowo pożerającym sam siebie.

Opowiedział mu świat i człowieka. Pokazał, jacy są naprawdę, jacy byli zawsze.

Głos. Spiker z Radia Chaos. SLEM, ciąg zer i jedynek tłukących się po gumowych kablach. Naczelnik największego z więzień. Żelazna Zniewalająca Rzecz. Wielki Kłamca, który zawsze mówi prawdę. Świadek entropii.

To nic osobistego, mówił Rychowi. Mówię ci to, bo czemu miałbym tego nie robić. Nic osobistego.

Rychu czuł, że to prawda. I to właśnie było najgorsze.

**Piwnica w Zabawowym Mieście. Zastrzyki**

Tępy, ciepły ból rozlał mu się po ręce. Rychu otworzył oczy i zobaczył, jak Dmitrij wyjmuje igłę z jego przedramienia. Wielka strzykawka była pusta.

— Ej — powiedział Rychu i poszukał języka. — Co to?

— Żebyś się obudził.

— Mhm. — Rychu spróbował wstać. Udało się dopiero za trzecim razem, agent KGB nie miał zamiaru pomóc. Pakował skórzaną torbę lekarską.

Piwnica była uderzająco pusta. SLEM niemal opuścił dom Rycha. Technicy kończyli wynosić sprzęt, zrywali folię ze ścian.

SLEM zamilkł, ale wciąż przypatrywał się Rychowi. Mężczyźni w fartuchach zerkali przez ramię. Diody na nielicznych pozostałych terminalach błyskały do Rycha arogancko, pogardliwie.

Bo SLEM swoje już powiedział. Teraz mógł spierdalać do siebie.

Z góry zeszli: Hamm, Slattery i Tatiana. Wszyscy otoczyli go półkolem.

Milczeli. Rychu masował odrętwiały policzek.

— Co jest? — Nie wytrzymał.

Milczeli.

SLEM rozłączył ostatnie ze swych kabli. To jeden z techników, gruby i łyсы, pakował je teraz do wielkiej skórzanej walizy. Rychu zorientował się, że znów rozróżnia ich twarze.

Cichy stał blisko. Spojrzał na Dmitrija.

— Już można? — spytał go.

Agent zerknął na zegarek, policzył coś w myśli, pokiwał głową.

— Usłyszałeś coś? — Cichy spytał Rycha. — Jakąś wiadomość?

— Wiadomość?

Mówienie przychodziło Rychowi z trudem, przeszkadzała nieruchomy kącik ust. I dziwnie widział na jedno oko.

— Tak. Wiadomość — powtórzył Cichy. — Przez słuchawki.

Supernowa eksplodowała w głowie Rycha. Przypomniał sobie o wiado-



mości.

Nadpłynął strach. A tuż po nim rozpaczliwe poczucie beznadziei, które przypełzło wraz ze zrozumieniem.

Ospały, zagubiony grubas wciąż masował sobie odrętwiały policzek, nie mogąc skupić wzroku na twarzach wokoło. Ślinił się w kąciku ust.

— Nie... — powiedział powoli. — Nie usłyszałem niczego.

Spojrzeli na Dmitrija.

— Serum na pewno już by działało — powiedział Dmitrij.

— Niczego — powtórzył Rychu.

Chciał się położyć.

Cichy wyglądał na zawiedzionego. Hammowi wyraźnie ulżyło.

W dłoni Dmitrija zmaterializowała się kolejna strzykawka.

— Ej! — jęknął Rychu, gdy sowiecki agent wbił mu igłę w przedramię.

— Co jest, kurde?

Patrzyli na niego jeszcze przez parę chwil. Potem Hamm i Dmitrij odwrócili się i ruszyli na górę, do Domu.

— Co to, kurde, było?

— Amnezjak — odparł przeproszającym tonem agent Slattery. — Do południa zapomnisz ostatnią dobę.

Rychu nie wiedział, co powiedzieć.

Zostali we czworo, nie patrzyli na siebie. Tatiana chyba chciała dodać coś jeszcze. Agent Slattery tylko się krzywił.

— Zamilkł — powiedział wreszcie Cichy.

— Kto?

— Sygnał. Już go nie ma. Przerwał nadawanie trzy sekundy po tym, jak założyłeś słuchawki. Nie zarejestrowaliśmy nawet jednej pętli.

— To może kolejny raz...

— Nie, obdzwanialiśmy wszystkie stacje.

— My też — dodał Slattery.

— Zamilkł — powtórzył smutno Cichy.

— Aha.

Rychu pokiwał głową. Spojrzał w mądre, zmęczone oczy Tatiany.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wytarł ślinę z wargi, minął ich i poszedł na górę, do Domu.

### **Ulica w Zabawowym Mieście. Genesis**

Dniało. Choć ulica wciąż spała, ptaki już wrzeszczały z ukrycia, nawołując za światłem. Rosa na trawnikach pachniała oceanem.

Stali przy ciężarówce, sześciokołowym macku. Napis na plandece brzmiał: „Przeprowadzki – tanio i szybko. Hogarth i synowie”. Pod plandeką tłoczył się SLEM. Odpoczywał, choć nie musiał.

Stali przy kabinie we trójkę: Rychu, Tatiana i Cichy. Rychu wiedział, że ich więcej nie zobaczy.

— Co to za pożegnanie — mruknął — skoro i tak nie będę was pamiętał.

Uśmiechnęli się. Powiało i kwiaty na spódnicy Tatiany owinęły się wokół nóg Rycha.

Przyjrzał się jej, ostatni raz. Wyglądała jak piękna matka dziewczyny, z którą siedział na plaży. Gdy stała tak obok obu mężczyzn, bladych, dużych i zarośniętych, jej drobna sylwetka i lśniąca kasztanowo skóra czyniły ją kimś z innego, bardziej szlachetnego gatunku.

— Wiem — powiedziała smutno do Rycha. — Oto ja.

— Co mi daliście, że... Coś w sklepie?

— Nie. To ja — odparła Tatiana. — Wzięłam pewien prototypowy środek. Działa tak, jak widziałeś. Ale na krótko.

— To okropne — stwierdził Rychu.

Skinęła głową.

— A potem... trzeba to odchorować.  
— Właśnie taką chciałbym cię zapamiętać.  
Jej oczy rozbłysły, ale skrzywiła się. Szybko weszła do kabiny.  
Karol Cichy wyciągnął rękę na pożegnanie.  
— Myślisz, że wróci? — spytał go Rychu. — Że się jeszcze odezwie?  
— Nie — odparł ponuro Cichy.  
Rychowi zrobiło się go szkoda. Postanowił, że mu powie.  
— A co... gdy... jeśli mówił do nas... Wiesz.  
— Tak?  
— Jeśli mówił do nas... Bóg? Albo szatan? Rozważasz taką możliwość?  
— Nie — odparł SLEM.  
Rychu pokiwał głową i uścisnął mu dłoń.  
Chwilę potem patrzył, jak ciężarówka znika za zakrętem.  
Z Domu wyszedł agent Slattery.  
— Przejedźmy się, Rysiu — powiedział łagodnie.

### **Zabawowe Miasto. Ocean**

Szli deptakiem i patrzyli na ocean, który przeciągał się o świcie.  
Rychowi myślało się coraz trudniej. Wytarł ślinę z ust.  
— Wydaje mi się, że miałeś udar — zaczął agent Slattery. — Tam, w piwnicy.  
— Mówisz mi to, bo i tak zapomnę?  
Kilkadziesiąt kroków w milczeniu. Deski pachniały pod nimi.  
— Być może. Pewnie tak — odparł Slattery. — Przepraszam.  
— Nie żałuj mnie.  
Slattery uśmiechnął się smutno i znów wyglądał jak kondor. Mewy na falochronie przyglądały im się z zaciekawieniem.  
— Rysiu?

— Tak.

— Spytałeś ich, jak trafili właśnie na ciebie?

— Nie musiałem. Już wiem.

— Wiesz?

— Napisałem w pamiętniku o nocnych głosach z kuchennego radia. A wy to przeczytaliście. Podczas ostatniego włamania.

Slattery przyjrzał mu się uważnie.

— Nie czytaliśmy niczego takiego — powiedział.

Rychu zrozumiał, że agent nie kłamie. Spróbował się zastanowić. Westchnął głęboko.

— Nieważne — powiedział. — Zastrzyk.

Agent pokiwał głową.

— Przykro mi, że przetrzymaliśmy twoją żonę. Spędziła noc w areszcie za pyskowanie funkcjonariuszowi. Ale w południe będzie już w domu.

Rychu uśmiechnął się na samą myśl. Poczuł, że płacze. Slattery poklepał go po wielkich plecach.

Wschodzące słońce trochę uspokoiło ocean. Zabawowe Miasto zaczęło mrużyć samochodami.

— Mamy jakieś robaczki na tarasie — powiedział Slattery. — Wyżerają nam kwiaty. Koleś w ogrodniczym poleciał żonie takie płytki z lepem, na który robaczki mają się łapać. Wczoraj... Przedwczoraj zobaczyłem, że do jednej z płytek przykleiła się ćma. Szamotała się, nie mogła odlecieć. Chciałem ją odkleić. I oderwałem ją, ale na lepie zostały jej skrzydła.

— To przykre — powiedział Rychu.

— Musiałem ją zabić.

— Tak.

— Dziwnie się czuję. — Slattery nie patrzył na Rycha.

— Wyrzuciłeś tę płytkę? Na której zostały skrzydła?

Agent zastanowił się.

— Zrobię to.

Gdy doszli do samochodu, Slattery się zawstydził.

— Mam prośbę — zaczął.

— Tak?

— Moja córka bardzo lubi twoje książki. Podpiszesz jedną dla niej?

— Pewnie. Jak ma na imię?

— Louise.

Rychu miał kłopot z utrzymaniem pióra.

— Czytałeś którąś? — spytał Slattery'ego.

— Córa podrzuciła mi tę z płaczącym gliniarzem w tytule. Wiesz, taki żart.

— Zuch dziewczyna!

— Tak. — Agent roześmiał się krótko i niewesoło. — Ale jej nie skończyłem. Koszmarnie smutna.

— Życie jest smutne — powiedział Rychu.

— No właśnie — odparł Slattery.

### **Dom w Zabawowym Mieście. Solaris**

Poranny Dom był pełen cienia i przyjemnie chłodny.

Rychu odgrzał sobie zapiekankę, ale po jednym kęsie odłożył ją do lodówki. Połknął pigułki i pomyślał, że może weźmie prysznic. Na cały głos włączył płytę Iron Butterfly i poszedł na górę, do sypialni. Gdy zdjął spodnie, opadł na łóżko i długo płakał w poduszkę Kate.

*<nic osobistego, Rychu, naprawdę>*

Gdy ucichła muzyka, powlókł się do łazienki. Potem przebrał się i zszedł na dół. W salonie stała Louise.

— Długo pukałam — powiedziała.

— Co tu robisz? — spytał ją.

— Przyszłam po sandały — odparła i na chwilę wyjęła je z płóciennej torby. — Przypomniałam sobie, że zostawiłam je pod kanapą.

— Aha — powiedział Rychu i w milczeniu odprowadził ją do drzwi. Długo przyglądała się jego twarzy. Wiedział, jak wygląda, bo widział się w lustrze. Ale coś w jej oczach odebrało mu resztę sił.

— Rysiu. Wszystko w porządku? — spytała go.

— Tak.

— Ale... powinienes...

— Dobrze, Louise.

Wzruszyła go. Wtedy pocałował ją w czoło. Zadrzała.

Medalik na jej szyi błysnął metalicznie.

— Co to jest?

— Ryba.

— Aha.

— Pa, Rysiu. Wszystkiego dobrego.

— Na razie, dziecino.

Wyszła, a on natychmiast o niej zapomniał.

To było jak cichy, dyskretny orgazm w głębi jego duszy.

Światło przyszło do niego i Rychu zrozumiał wszystko.

Światło, ono było od początku, było i mówiło do niego. Cicho i spokojnie.

Mówiło, a on nie słyszał, bo najpierw nie słuchał. A gdy Rychu już wiedział, że chce je usłyszeć, Światło zagłuszał jego wielki przeciwnik i potężne dopełnienie: Naczelnik największego z więzień, Głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia, SLEM. Duch w sowieckiej maszynie, bezwzględny i zimny. Pan entropii, entropia sama w sobie.

A przecież ono tam było, cierpliwe i silne. Nie dało się zakrzyczeć i nie potrzebowało stada epitetów.

Potem Rychu napisze:

*Byłem pewien, że coś żywego usiłuje się ze mną skomunikować. Byłem pewien, że przychodzi to z góry, może z nieba. Zwłaszcza z gwiazd.*

*To pojawiło się – w żywym ogniu, z błyszczącymi kolorami i zrównoważonymi wzorami – i uwolniło mnie od wszelkiej niewoli, wewnętrznej i zewnętrznej.*

*To opanowało mnie całkowicie, uwalniając z ograniczeń matrycy czasoprzestrzennej. To mną zawładnęło i w jednej chwili wiedziałem, że świat wokół mnie to tektura, dekoracja. Mocą tego ujrzałem nagle wszechświat taki, jaki jest – dzięki sile percepcji tego zobaczyłem, co istnieje naprawdę, a dzięki sile nieumyślnej decyzji tego, zrobiłem krok ku wolności. To wzięło udział w bitwie jako obrońca wszystkich zniewolonych duchów ludzkich, przeciwko wszelkiemu złu, przeciwko Żelaznej Zniewalającej Rzeczy.*

Poranny Dom, pełen cienia i spokoju.

Rychu siedział w swoim fotelu. Na ławie stała pusta szklanka po koktajlu. Drobinę kurzu tańczyły w słonecznych sztyletach zza żaluzji.

Ryby czekały w lodówce.

Światło jak spokój. Spokój jak światło.

Już nie był sam.

I wiedział, że nie zapomni.

Wielkimi dłońmi ścisnął poręcz fotela i czekał na Kate.

W tekście wykorzystano list Philipa K. Dicka do FBI przytoczony za: W. Orliński, *Lema nie ma?* [w:] S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe. Dzieła. Tom I*, Warszawa 2008; fragmenty tekstów publicystycznych Stanisława Lema: *Rozważania sylwiczne CVIII, Upadek sztuki, Lube czasy, Pod walcem, W kotle*; fragmenty Egzegezy autorstwa Philipa K. Dicka przytoczone za: L. Sutin, *Boże inwazje. Życie Philipa K. Dicka*, tłum. L. Jęczmyk, Poznań 2005.

## Retro

(fantazja alternatywna)

napisane na początku lat 90.

Generał na ekranie ma ciemne okulary o stanowczym odcieniu kopuły z czasów, gdy nocami jeszcze wygaszano neony Dziury.

— Moje dziewczyny mówią, że on wygląda zupełnie jak ty — stwierdza Robal, patrząc w telewizor.

— Generał? Serio? — pyta Szogun. Nie kryje znudzenia.

— No.

— Szlag.

— No.

— Wejda. — Szogun sprytnie zmienia temat, jednocześnie wcale go nie zmieniając. Odrywa wzrok od ekranu nad barem i przegląda się w trzymanej szklance. Jego antybłyski są nieporównywalnie bardziej stylowe od tych Generała: ciężka chromowa oprawa tylko udaje, że stara się ukryć kamerę; lustrzane powierzchnie aż proszą się o dotyk latarni i reklam z pasaży.

— Wejda — powtarza.

— Którzy? — szczerzy się Robal. Grymas równie nieoczywisty co trupia czaszka z czapeczki na jego łysej głowie. Jest gruby, lśniący i podejrzenie ociężały. Wielki wąs Robala może być nonszalancką reminiscencją sarmackich korzeni, ale i ukłonem ku *los topos*, coraz częstszymi gośćmi w jego knajpie.



*Los topos*, kretom, hiszpańskim kierowcom z konwojów do tuneli na przodku, skurwysynom, bydłakom i nieszczęsnym bohaterom, przehandlowanym pierwszemu sekretarzowi Kriuczkowowi przez neoficki rząd w Madrycie. ZSRR dostał tysiące sztuk żywego mięsa, Ludowa Republika Hiszpanii – poparcie w ONZ i komplet główic na zachętę.

— Wszystko jedno którzy. — Szogun podsuwa mu szklanę.

— Chyba tak — przytakuje Robal. — Tak. Wejdą. Zdecydowanie tak.

— Tak? — pyta Szogun.

— No pewnie. Na sto procent.

— Szlag.

Taki znudzony.

— Generał — zaczyna Robal — podtruwa nas. Do wody dodają trichlorobenzodeinę. Nowy towar, przypadkowo zsyntetyzowany podczas testów środków stymulujących rozrost komórek rakowych. Pracują nad tym w Moskwie. Projekt Komitetu.

— Trichlorobenzodeina — Szogun obraca słowo w ustach.

— No. Otepia. Utrudnia kojarzenie faktów. Osłabia wolę. Szprycują nas. Domulają tych, którzy sami nie zagrudzili się dostatecznie.

— Mówią, że Generał wygląda jak ja — stwierdza Szogun.

— Jest radioaktywna — kontynuuje Robal. — Odkąd pompują ją do wody pitnej, razem z tym sterylizującym nas syfem, codziennie ktoś w Dziurze budzi się z włosami na poduszce. I podobno może rozpuszczać oczy.

Szogun unosi brwi. Niemal szczerze.

— Normalnie rozpuszcza ci gałkę — tłumaczy Robal. — Jak masz pecha i jesteś podatny. Idziesz sobie pasażem i czujesz, że swędzi cię oko. Zaczynasz je trzeć, a gdy otwierasz powiekę, gałka spływa ci po policzku, jak budyń. Tak działa trichlorobenzodeina.

— Widziałeś coś takiego?

— Oni szybko znikają, ci bez oka. Są usuwani.

— No tak.

— Wejdą — dodaje Robal. — Zjadą tu do nas. Po nas. Jeśli zdążą, zanim wykończą się nawzajem.

Bezwiednie spoglądają w sufit. Nie musisz być w Dziurze od dawna, żeby te miliony ton gleby nad głową czuć niemal fizycznie. Sól ziemi czarnej.

— Jaś? Jacuś? — pyta Robal, wskazując na flaszki.

— Żytia — mówi Szogun.

— Dobry wybór na początek turnusu. — Barman polewa, w szklanekę i sobie – w kieliszek. Toast w milczeniu. Piją.

Początek turnusu. Szogun odruchowo spogląda w stronę drzwi. Oni wszyscy zaraz tu przyjdą, lecz jeszcze nie teraz, U Robala wciąż niemal pusto. Ponad tysiąc nowych górników dopiero zjeżdża na dół, tu, gdzie niewiadome konkretyzują się boleśnie.

Jakieś półtora tysiąca metrów pod ziemią, może więcej, może trochę mniej. Gdzieś w bliżej nieokreślonym, sekretnym punkcie między tym, co pod Bytomiem, Zabrzem i Rudą Śląską, konającymi solidarnie w niegodnym procesie urbanistycznej atrofii. Gdzieś tam, a może jednak bardziej na Zachód, żelazna kurtyna dezinformacji godzi natowskich szpiegów z duszami górników. Brak wiedzy sprawia, że ci, którzy zjeżdżają, stłoczeni w windach, już czują, jakby tonęli. Że tu pewna jest tylko gruda. Dojrzeją więc do niej szybko.

Będą się kwaterować, rejestrować i ustalać grafik szycht, wmawiając sobie, że mieli jakikolwiek wybór. A potem, już w mrowiskach, gdy usiądą na krótkich łózkach, pierwszy raz w życiu przepociwszy każdy fragment ubrania; gdy zrozumieją, że to ostatnie łóżka w ich życiu; gdy – mając szczęście do celi z okienkiem – wyjrzą przez nie, a Dziura zamigocze do nich złowieszcą neonową miriadą i przymkną oczy, zanurzeni w tutejszym smrodzie, hałasie i gorącu – wtedy dotrze do nich, co zrobili.

Szogun wzdycha. Dotrze do nich, co z nimi zrobiono.

Początek turnusu. Przetną w końcu zapłakane oczy, zmieniają zarzygany podkoszulek. Poszukają wątpliwej otuchy w twarzy w lustrze, dziwnie opuchniętej, i przezornie przeżegnają się, jak uczyły ich matki i babki. Wreszcie wylegną ze swych pokoików, niemal jednocześnie, rozpełzną się po Dziurze, by dołączyć do starszej stażem reszty. Jakiś promil z nich trafi do Robala, na kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt kolejek. Najpierw alkohol z powierzchni, potem – coraz śmieiej – karbonada. I po pierwszym jej łyku będą wiedzieć, że to rodzaj chrztu.

— Wejdą.

— Tak. Jak zdążą.

Knajpa Robala jest jak pojedyncza komórka organizmu pasaży – z jądrem lśniąącym rzędami butelek i gęstą cytoplazmą papierosowego dymu, zmieszanego z oparami wpełzającymi spod nieszczelnych drzwi: pod stołami czają się gorący smród frytownic ze straganów i lepka mgła o podejrzanej konsystencji, ulatująca z magła starej Stefanieckiej po drugiej stronie deptaka.

— A. Jeszcze. — Robal trze zmęczone oczy.

— Tak?

— Będzie msza. Jutro w południe.

— Jezu. Nowy księżulo?

— Właśnie zjeżdża. C-sektor, dwunasty poziom. W pralni.

Generał na tele peroruje w milczeniu, jego mimika jest równie atroficzna co strzępy syntetycznej melodii wykasływane przez głośniki pod sufitem. Unistry, duże i kanciaste – Szogun ma wrażenie, że gdyby mogły, byłyby zażenowane, jak cicho przyszło im grać. Słumione rozmowy, ginące w gwarze tłumów z pasaży, dyskretny brzęk szkła i kaszel. Pieprzony wszechobecny kaszel.

— Młoda tu była — mówi Robal, całkiem à propos.

— Mhm.

— Szukała cię.

— Mhm.

— Była na grudzie, już jedzie na kryształkach. Nie mogła usiedzieć na stołku. Zarzygała kibel. Zaczęło z niej wyrywać tkanki.

Wódka wraca przełykiem Szoguna, piecze w gardło.

— Skończyłem z nią — mówi — gdy dała się nakryć u mnie w łazience. Zabierała się do dłubania żyłką w nadgarstku. Chciała, bym ją przyłapał.

Robal zdejmuje czapkę, pulchną dłonią przeciera wilgotną głowę i długo przegląda się w antyblaskach Szoguna. Polewa. Piją.

— Zawlokłem ją do kotaniska — mówi Robal. — Już tam zostanie. Nie dotrwa do następnego turnusu.

— Jej już nie ma — mówi Szogun. Połyka żółć, kwas niemal syczy na języku, wódka nie chce wejść.

Mocno zaciska dłoń na szklance i puszcza ją, bojąc się, że ją rozbije. Przygląda się, jak lśniące szkło odbija ruchome cyfry fosforyzujące na jednej ze ścian. Robal wyświetla na niej giełdowe notowania: litery i liczby przelatują w ciszy, składając się na cyfrowe EKG świata: Londyn, Nowy Jork, Tokio i Berlin, jakby któregośkolwiek z gości Robala mogły dotyczyć. Czy chociaż interesować. Robal, żartowniś jeden.

To nic, Szogun lubi te liczby. Szogun w ogóle lubi liczby. Gdy patrzy na wyświetlacz, widzi binarny budulec Carbonatrix, cyfrowe DNA lepszego ze światów. Tęsknota trafia go jak pneumostrzała wystrzelona z gęstwiny neonowej dżungli, trafia i wywołuje gest poza świadomością. Szogun sięga do karku, pod kołnierz skórzanej marynarki, głaszcząc się po gnieździe. Chromowane trójfazowe commodore, prawdziwe cacko, nokautujące toporną taśmówkę z pasaży, opartą na dedeerowskich podzespołach wpychanych na siłę przez zagrudzonych me chirurgów. Ciepła, miękka skóra i twarda, zimna stal. Brzydkie i bestia.

— Jeszcze?

— Jeszcze.

No to chlup. Dreszcz. Wódka podwyższa sufit, przynajmniej odrobinę. Generał na tele salutuje do kanciastej czapki. Szogunowi odbija się kielbasą, to jego drobny wkład w niepowtarzalny aromat miejsca.

— Jezu, gorąco.

— Gorąco.

Rozłożysty korpus Robala zasysa zupełnie już moką jedwabną koszulę, hawajskie kwiaty nikną pożerane przez słone fałdy. Szogun mankietem dzinśówki przeciera antybłyski. Dmuchawy przestały działać z rok temu i wszyscy kiszą się w coraz bardziej namacalnym smrodzie pasaży.

— Karbonady? — Barman spogląda na chromowany saturator.

Szogun, schowany za ciemnymi okularami, przełyka ślinę. Karbonada przyniesie orzeźwienie, choć trochę zmniejszy poczucie nieadekwatności. Dziura powoli ich zjada, ale jednocześnie stale domaga się, by stąd wypierdalali. Karbonada na chwilę zbliża ich do siebie.

— Nie. — Szogun kręci głową. Tam gdzie się wybierają i tak będzie siwo od grudy.

Robal kiwa głową.

— Jest. — Patrzy przez ramię Szoguna, który odwraca się i wzdycha.

Chłopak podchodzi powoli, uśmiecha się spod rzadkiego wąsa, arogancko i niedbale, a poły jego wytartego płaszcza nonszalancko zamiatają podłogę. Siada obok Szoguna, pozwala mu dostrzec opornik wpięty w kołnierz i paczkę marlboro, która wystaje z kieszeni na piersi. Szogun wzdycha. Paczka jest pomięta, ale tylko trochę.

— Cześć, Robal — wita się chłopak.

Robal unosi daszek czapki o jakiś mikrometr.

— Szczur mówi: areny, ostatnia walka, o północy — recytuje chłopak.

Barman kiwa głową, tyle wiedzieli wcześniej. — To będzie jeden z zawodników. Z Tokio.

Robal kiwa raz jeszcze, a Szogun odruchowo rozgląda się po pustawej sali. Nikt nie zwraca uwagi, co nigdy nie jest dobre.

Chłopak uśmiecha się krzywo do Szoguna.

— Honza — mówi. — Tak na mnie mówią.

Tym razem wzdycha Robal.

— Jest propozycja — mówi Honza do Szoguna. — Ja normalnie nie ślapiję.

— Normalnie nie ślapijesz.

— Nie. Robię w kodzie. Instrukcje do kernali, na inputy do Carbonatrix. Eleganckie. Trzymam je z hasłami pod ciebie, na górnych pamięciach. Łatwo znajdziesz. Gdybyś chciał.

— Och — wzdycha Szogun.

— Tak.

— A czy twoi bracia komodorowcy wiedzą? — pyta Szogun i pokazuje barmanowi, żeby polał.

— Mam to w dupie — odpowiada Honza. — Chcę, żebyś wiedział. Jakby co.

Wtedy Robal dostawia kieliszek, napełnia go.

Honza jest piegowaty, plamki na jego twarzy pulsują jak giełdowe notowania na ścianie. Wciąż jest trochę opalony, siedzi w Dziurze od niedawna, góra drugi turnus. Gruda i tak oblewa mu oczy brudnym cieniem.

— Robal, ile tu jesteśmy? — pyta Szogun.

— Pięć lat, sześć miesięcy, trzynaście dni i cztery godziny — recytuje barman.

— No właśnie.

— Trichlorobenzynodeina — mówi Robal do chłopaka. — Słyszałeś

o niej?

— Nie — odpowiada Honza. — A powinienem?

— Pij — ponagla go Szogun. — On stawia.

Piją.

Szogun patrzy na tele. Generała zastąpiła raszpla w basenie. Robal przełącza źródło dźwięku, unitry grają retrodisko. Rachityczny wąs Honzy wibruje ze zdenerwowania.

— Pracuję sam i nie korzystam z obcych instrukcji — mówi Szogun, czując, jak wódka wsiąka mu w dziąsła. Sprawdza językiem, z każdym turnusem stają się bardziej miękkie. — I nie dlatego, że mogę. Dlatego, że muszę. Demoscena by mnie spowalniała.

Chłopak nie odpowiada, cierpliwe znudzenie Szoguna bierze za arogancję. Oni wszyscy tak robią: myślą nonszalancję z brakiem pewności siebie i tylko dlatego jeszcze nie przegryzają sobie wzajemnie gardeł.

Honza odwraca wzrok. Patrzy na rozłożyste kobiety siedzące nad kolorowymi drinkami przy jednym ze stolików. Wreszcie wychodzi, nie odwzajemniwszy ich zamglonych uśmiechów.

— Ostatnie są babki — mówi po chwili Robal.

— Co?

— Tej nocy w arenach panie walczą na końcu.

Szogun unosi brew. Czeka ją na kobietę. Z Tokio.

W knajpie robi się tłoczniej, nastąpiło przesunięcie w algorytmie decydującym o jej zawartości.

— Idziemy — mówi Robal. — Róbmy rewolucję. Dziewczyny zajmą się interesem. — Gdy znowu poprawia czapkę, Sabrina na tele dziarsko dzierży zawartość bikini.

— Za każdym razem inaczej wymawiasz nazwę tego środka — mówi Szogun.

— Którego?

— Tej trucizny w wodzie.

— Rozpuszcza oczy — odpowiada Robal. — Jak budyń.

Gdy wychodzą na hałaśliwe, chaotyczne zewnątrz, pasaż zasysa ich obu, natychmiast, odruchowo.

\* \* \*

Wychodzisz w jeden z pasaży, w jego tłok i ruch, i pasaż rozkwita wokół ciebie mroczną wycinanką. Za każdym razem jest inny i jednocześnie uparcie niezmienny. I nonszalancko antonimiczny: pulsuje barwą i monochromem; zdradliwym światłem i jego brakiem, ciężkim i zawieszonym; i teksturami, pokrywającymi czujnymi wzorami narzucające ci się splątane powierzchnie.

Zapachy. Smród grudy i tytoń, rozlane piwo, pierogi, rosół i gulasz, brudne skarpety, gorąca guma, popsute zęby, nadpalone kable, kotlety schabowe, zatęchła wilgotna wełna i dłonie upieprzone smarem. Kawa, benzyna, frytki, marihuana, mokry asfalt, gówno i szczochy, i słodki, mdlący aromat zwietrzałych rzygowin. I pot, obcesowy, tłusty i lepki aromat potu. I gruda. Odór grudy, wszędzie.

Unosisz głowę i od razu zamykasz oczy. Ogrzewasz twarz w chemicznym blasku neonowego nieba, (nieba, nieba – powtarzasz, nie wolno myśleć o sufitych kopuły). Nieba, które z każdym turnusem wisi coraz niżej. Odkąd przestali wygaszać neony, Dziura nieustannie zakwita ich światłem, a one, przebudzone już dawno, rozrastają się, wiją, pęcznieją i gęstnieją, łącząc się ponad twoją głową, mutując w przedziwnych brzęczących konfiguracjach potocznych symboli, znaków towarowych i czcionek. Pewex flirtuje z Marlboro, pulsując zaczepnie wokół kanciastości tamtego, wspólnie z Grundigiem spychają w cieniu zakaz palenia, który brzęczy coraz ciszej, zawstydzony swą nieskutecznością od samego początku. Roztańczona para z Żywca kopuluje z Johniem Wal-



kerem, Nescafe drażni Wedel, Radomskie i Predom Mesko, Dacia i Polsport, i kozackie, strzeliste Atari, ironicznie kierujące się ku górze, i Lot, smukły, konkretny, pojawiający się w niespodziewanych miejscach i momentach, arogancki i najbardziej nieosiągalny, czym wkurwia tu wszystkich niemal do łez. Neony: prawdziwa morfologia tego miejsca, żywa tkanka obrastająca wszystkie zakątki Dziury, baczna sieć konwergującego szkła, gazów i luminoforów.

Unosisz głowę, zamykasz oczy i każdym porcem twarzy chłonisz jej ciepłe, konfudujące piękno.

— To jeden z ich ściśle tajnych projektów — mówi Robal. — Chcieli stworzyć drugą Carbonatrix. Więc do neonowych gazów dodają opary grudy. Za całe TIR-y jenów kupili zespół japońskich fachmanów, którzy zrobili im takie specjalne przetworniki do podłączenia neonów do procesorów generujących Ce-trix. W zasadzie im się udało, tylko że aż za bardzo. I ta nowa sieć pożera starą, wpierdala obiekty stawiane na peryferyjnych obszarach pamięci. Zniknęły już bazy rumuńskich banków. I przedstawicielstwo Sarajewa. Generał osobiście to nadzorował, więc teraz ma przesrane. By sobie to odbić, urządza polowania na tych, którzy zgubią się na dolnych pasażach. Ustalił reguły. Nie mogą używać broni palnej, tylko kusze i włócznie. I psy. Przemycił owczarki, którymi poszczuje cię, jak będziesz się odlewał po pijaku gdzieś na dole, w najciemniejszym zaułku.

Wychodzisz na jeden z pasaży, a fala mięsa miażdży cię i porywa. To tylko ludzie, na wpół martwi i jednocześnie histerycznie aktywni. Dajesz się porwać, bo znasz już te prądy, wiesz, jak ustawić się, by trafić, gdzie zmierzasz.

— I w tych polowaniach najgorsza jest Elwira — dodaje Robal. — To znaczy najskuteczniejsza. Pani pułkownik trzyma fason. I dba o reputację mistrzyni przesłuchań. Demolka hemoroidów stalową pałką. Zatrute igły. Wiertarki, żelazka, guma arabska, cuda-wianki. Szefowa milicji. Żona Gene-

rała. Jego duma i chwała. Elwira.

Mógłbyś iść ku windom, które zawiozłyby cię wyżej, do mrowisk, gdzie mężczyźni chodzą niemal nago, a kobiety wciąż brzydzą się dotykać przedmiotów, mebli i ścian, wszystkich lepkich i jakby zbyt ciepłych. Mógłbyś do mrowisk, ale wybierasz ruchome schody, zawsze wybierasz ruchome schody, które prowadzą w dół, na niższe pasaży, gdzie więcej neonów, więcej cienia, więcej mięsa, więcej wszystkiego.

Niesiony falą mijasz dziesiątki knajp, prawdziwych linii papilarnych każdego miejsca na świecie: mijasz speluny, tancbudy i burdele, i ordynarne pijalnie karbonady, w których kraciaste ceraty marszczą się na plastikowych ogryzionych blatach. Mijasz salony gier wideo, gdzie, za spoconymi szybami, nieustannie kończą się światy, w takt wystrzałów, eksplozji i symfonii Beethovena, generowanych w zimnym, orzeźwiającym MIDI. Mijasz milicyjne posterunki, z których wyslizgują się opancerzeni chłopcy, maskujący wstyd nerwową arogancją. Mijasz te wszystkie tajemnicze miejsca, przestrzenie o zmiennych kubaturach, których wciąż nie jesteś pewien, mimo tylu lat – zadymione dziuple, kryjące w ożywionym mroku szemrane oferty dla carboraiderów, ćpunów, lunatyków mechirurgii, słaperów z demosceny, wegetarian, rozedrganych klaustrofobików, fantomowych położnic i zwykłych zboków. I ekrany, wciąż mijasz ekrany, transmitujące losowo wybrane obrazy z kamer, poukrywanych gdzieś między neonami. Ekrany są po to, byś wiedział, że Generał cię widzi, najpotężniejszy ze wszystkich zesłańców w Dziurze, wciąż obserwuje cię zza swoich wielkich, ciężkich przyciemnianych szkieł.

No więc wchodzisz w jeden z pasaży, w ten tłum i ścisk, w ten ruch, pełen życia i śmierci jednocześnie, i choćby to był tysięczny raz, wciąż masz to głęboko w sobie: niby kamień, niewielki, ale ciężki, omszały i taki zimny. To samo uczucie uwiera cię, tysięczny raz. Samotność.

Ekrany. Generał patrzy.

\* \* \*

— Czekaj, Robal.

— Spóźnimy się.

— Nie, czekaj. Tylko chwila.

Robią to, jak zawsze, niemal odruchowo: perfekcyjnie zgrane przypadkowe spotkanie. Trzy nieostre sylwetki w tłumie.

— Cześć, Alojz.

— Szczynść Boże — wita się Alojz. Żuje gumę i jego szpakowate pekaesy łopoczą wzdłuż kanciastej szczęki. Granatowa skóra kurtki Alojza odbija logo FSO eleganckim rastrem. — Co tam, Szogun?

— Te dema od ciebie.

— Dema?

— Sprawdziłem je — mówi Szogun. — Procedury się masakrycznie rozjeżdżają. Co ty mi dałeś?

— Nic żech ci niy doł. Znalazł żech cosik w Carbo i powiesił na wolnej siatce. I ty żeś to znalazł. Bieresz abo niy. I po ptokach.

— Patagonia, Alojz.

To głos pasaży i żart z pasaży. Żegnają się bez słowa i gestu. Szogun i Robal ruszają dalej.

— Spójrz — mówi Robal, przystaje pod jednym z ekranów. Dziennik telewizyjny: ciekawskie zbliżenie kamery na flak w kolorze zepsutego twarogu. Szerszy plan. Łagodne zbocze, leje po pociskach i czarnoskóre męskie ciała. Zum na plamki na niebie, gasnące, niewyraźne kształty. Amerykańskie śmigłowce bojowe. Szeroki plan. Turbobehemoty, monumentalne stalowe żuki wgrzyzione w rozległą przełęcz. Najmłodsza z Dziur, przepustek do Carbonatrix. Prowincja Mpumalanga jednak okazała się żyzna, więc licytacja w dolarach i nabojach ruszyła. Pozorna zmiana tematu. Głowy przemawiają tępo: Kriuczkow, Pugo, Janajew, Kiszczak. Tysiące ludzi protestujących na Placu

Czerwonym. Nieme, wściekłe krzyki.

— Nie zdążymy — mówi Robal. — Wypierdola do siebie wszystkimi możliwymi raketami.

Powierzchnie okularów Szoguna pokrywa płonąca amerykańska flaga.

— Cóż. — Szogun wzrusza ramionami.

— Nie zdążymy.

— No, nie.

— Ale ty wierzysz.

— Jestem dobrej myśli — mówi Szogun.

— Czekamy na sygnał — krzywi się Robal.

— Nie wierzysz Centrali?

— A wierzę w Centralę?

Zmieniają poziom, zjeżdżają w dół. Im niżej, tym więcej dysz odpylaczy. Celują w nich z góry, rdzewiejącymi okręgami, jak spierzchnięte usta, gotowe do wymiotów i innych rzeczy.

Szogun i Robal mijają grupę mężczyzn o wyraźnie ciemniejszej karnacji. *Los topos*, chmurni i spięci, kiwają do Robala, pozornie od niechcienia.

— Kiedy już zaczniemy — mówi Szogun. — Kiedy się zacznie. Krety pójdą z nami?

— Listillo jeszcze nie podjął decyzji.

— Nie podjął, czy jej nie obwieścił?

— To tak jakby nie podjął — odpowiada Robal.

Listillo. Cwaniak. Przywódca *los topos*, niewidzialny, legendarny. Ulotny jak ich nastroje. Pół-Hiszpan, pół-Polak. Podobno jeździł do Dziury z pierwszymi kursami, zdezelowanym starem wywożąc grudę tak gęstą, że niemal topiła osie samochodu. Podobno bez jego wiedzy i zgody żaden kret nie zrobi nic, co mogłoby wywołać konsekwencje większe niż czyjś grymas niezadowolenia. Listillo jest ich sędzią, przywódcą, ojcem, matką, adwokatem i alfon-

sem. Podobno siedzi zakopany gdzieś głęboko u kresu ciągle modyfikowanego labiryntu korytarzy przecinających mrowiska. Otoczony plutonem morderców i dziwek, pływający się w jacuzzi pełnym karbonady, niepodzielnie dzieli i rządzi, z wycuciem i troską. Podobno.

— Jaśnie państwo mają tu Sekretną Windę — opowiada Robal. — Tak mówią. Sekretną Windę na wszelki wypadek. Jakby co. Niby nie można stąd uciec, bo wiadomo, grudzica i cały ten zakaźny syf. Dlatego, gdybyś jakimś cudem trafił do windy jadącej tam, na górze najpierw by cię zagazowali, potem nafaszerowali ołowiem. A ścierwo zostawili w środku na dezynfekcję windy. Ale jaśnie państwo mają opcję zapasową, Generał i jego zoneczka. Malutka kapsuła, prosto do bunkrów. A tam ochrona i lekarze. Taki był dil i dlatego się zgodzili. Że jakby co. Zresztą kurwa. Grudzica. Wcale nie zabija tam, na górze. Nie wyrzgasz płuc pierwszej doby, jak dostaniesz leki. Mają opracowaną szczepionkę, jak na HIV-a. Jedziesz na zastrzykach i żyjesz długie lata. Grudzica, co jeszcze.

Szogun nie odpowiada. Myślą o tym, co ich czeka. O tym, kto tam na górze im pomaga. Kto nimi steruje. I o tej, na którą czekali. Kurierka z Japonii, z wiadomością z Centrali – danymi z pozostałych Dziur, zbieranymi przez całą sieć konspiratorów. Ten program umożliwi im rewolucję, Szogun rozpocznie hakowanie Carbonatrix, by generałom na powierzchni odebrać dostęp do czerwonych przycisków, które czynią koniec świata.

— Nie siedzę na demoscenie — zaczyna Robal, chowając oczy pod daszkiem czapki.

— No, nie siedzisz. Natomiast...?

— Spojrzenie z zewnątrz ma plusy. Widzisz całe procesy, wyczuwasz nastroje między rozmowami. W niepodejmowanych tematach.

— Jesteś niczym Generał.

— Mówię ci, to ma swoje plusy.

— Takie bycie na zewnątrz.

— Niby nic się nie zmieniło — opowiada Robal — ale czuć, że zachodzą przesunięcia. Pasaż się adaptuje. Te same rozmowy, te same słowa, ale rozwijają się nowe znaczenia. Aluzje, nowe tematy, o których nikt nie mówi głośno. I ten nastrój oczekiwania. Nie tylko na scenie.

— Na koniec świata tam. Na piekło tu.

— Ci ze sceny spodziewają się czegoś innego. Czegoś w poprzek równań. Od jakiegoś czasu rzadko widują cię w Ce-trix.

— Bo więcej piję.

— Pasaże milczą wymownie. Czekaają i szepczą. Że Szogun rzadko bywa w Carbonatrix, bo oszczędza pamięć.

— Na co?

— Szogun ma plan. I że to już zaraz.

Zaczyna kapać im na głowy, gęsta, lepka kпина z mżawki. Śmierdzi rdzą i jakby mokrą sierścią. Znowu spieprzył się system wentylacji.

— Kurierka z Tokio — mówi Szogun, przecierając dłonią antybliski. — I będzie walczyć u Szczura.

— Martwisz się o nią?

— O nas się martwię.

Wódka przestaje działać. Nadmiarowa, przepełniona odzież znów krępuje ruchy.

\* \* \*

Moment zero, stopklatka tuż po ostatnim ciosie.

Dziura grzmi. Setki gardeł ryczą ku epicentrum w samym środku ringu, transformując w decybele wściekłość ich wszystkich, ich pożądanie, strach i rozpacz, reakcja łańcuchowa spowodowana implozją emocji. Ich kumulacja wywołuje falę uderzeniową, która przynosi wyzwalamą pustkę. Przynajmniej

przez kilka sekund, aż zwolni serce, aż kutas odpuści.

Stopklatka. Bezwstydnie nagie żarówki, rozhuśtane na starych sznurkach pod zbyt niskim sufitem. Rozmazane, powykrzywiane maski, wszystkie skupione na ringu. Tysiące kropel w trójwymiarowej sieci z pędu i grawitacji, schwytanych w pół trajektorii: ślina, pot, krew i łzy.

I już: żarówki znów szaleją, plując zakurzonym światłem i czyniąc cienie, które wiją się po macie.

Azjatka nawet nie przepociła kostiumu. Stoi pośrodku ringu i patrzy pod nogi, na leżącą nieruchomo dziewczynę. Czeka, sama nie wie na co, i wydaje się skonsternowana, gdy pierwszy na ringu pojawia się woźny, który brudną szmatą wyciera purpurowe plamy wokół przegranej.

— Egzekucja — komentuje Szogun i sięga dłonią do antybłysków, by wyłączyć nagrywanie. Jest zawiedziony przebiegiem walki i się tego wstydzi.

Robal stoi tuż obok. Wolno gasnący wrzask pożera jego odpowiedź.

Szogun przygląda się Azjatce. Kobieta zdaje się zbudowana z samych ścięgien i reduktorów błędnych ruchów. Patrzy na jej wilgotne ramiona, na kawałki mięsa, jakby okablowane, drgające lekko pod cienką skórą. Szogun robi zbliżenie długiej szyi, na której mieni się krew tej, która przegrała.

Są zawiedzeni, wszyscy. Łapią oddech, lekceważąco machając dłońmi. Najkrótsza walka wieczoru, w dodatku wygrana przez obcą. Ładny początek turnusu.

To mężczyźni trafiają tu częściej. Ci już zagrudzeni, górnicy od dawna: bladzi, napięci i jakby zredukowani do pierwotnej, uniformizującej struktury. Niektórzy kręcą się jeszcze wokół ringu, bez sensu i celu. Nie rozumieją, że lepiej już iść.

Przypominasz sobie i je rozluźniasz, obolałe: mięśnie, pięści, zuchwę. Wszystko, co wyrzeszczane w trakcie walk, spływa po brudnych ścianach

i kapie z sufitu. Dopiero teraz Szogun czuje, jak tu śmierdzi, zajeżdża desperacją i na wpół przetrawioną grudą. Jakby hałas potrafił zagłuszyć też zapach. Kto wie, myśli Szogun, przełykając kwaśną ślinę, może dlatego tak się tu krzyczy.

— Chlebem i solą.

Szczur jest gospodarzem aren. Podchodzi, uśmiechnięty, szeleszcząc fioletowym dresem. Rozkłada obie protezy w geście powitania i prowadzi do prywatnego baru. Obejmuje ich, opierając sztuczne ręce na ich ramionach. Protezy są ciężkie, stąd gest.

Siadają przy minibarze.

— Nie płaciliście za drinki.

— Jak zawsze.

— Początek turnusu — mówi Szczur. Jakby przeklinał i jednocześnie był wdzięczny.

I popisuje się: piszczy ostrzegawczo jedną z chromowanych dłoni, z której wysuwa się półeczka wypełniona papierosami. Czestują się.

Szczur stracił ręce w tunelach, na przodku, tuż po otwarciu Dziury. Był wśród tych, którzy jako pierwsi próbowali ujarzmić jej moc — już samo to czyni go wyjątkowym. To, że wciąż żyje, czyni Szczura legendarnym.

— Początek turnusu — powtarza Szogun. — No.

Szczur śmieje się, długo i nieszczerze. Spod dziarskiego aromatu wody kolońskiej przebija od niego zapach pościeli, w której sypia ktoś ciężko chory.

— Ostatni fajt — rzuca Robal.

— Straszne lejty, co?

Dziewczyna w kostiumie stewardessy podaje drinki: lodowe kieliszki pełne karbonady.

— No to siup.

— Te baby — zaczyna Robal.



— Pyrsk, mi amigos — zachęca Szczur.

— Zdrowie.

Szogun przełyka i czuje, jakby ktoś go wywrócił na lewą stronę i wytrze-  
pał ze wszystkiego, co pod skórą.

— Jezusku najśłodszy. — Szczur wyciera kącik ust kraciatą chustką.

Wywrócił na lewą stronę, a potem złożył z powrotem, o porządek dbając  
tylko z grubsza. To o ten moment chodzi, chwilę rozczulającej ulgi, że ktoś, że  
toto wie, jak cię poskładać.

Robal odcharkuje i spluwa pod nogi. Czaszka na jego czapce i kwiaty  
na koszuli fosforyzują w świetlówkowym blasku baru: Robal jest niczym  
śmierć płynąca nad toksyczną łąką.

Pałą w milczeniu, bardziej wyczuwając, niż słysząc rozwibrowaną pulsa-  
cję pasaży na zewnątrz.

— Które baby? — przerywa milczenie Szczur.

— Te z areny.

— Te z areny. Jedna jest z Centrali, zjechała w ramach specjalnego trans-  
portu. Tylko tak, żeby El General się nie zorientował, więc musiała tu swoje  
odrobić.

Szczur wzrusza ramionami, widząc ich uniesione brwi.

— Dzwoniła Centrala, że przyjdziecie. Więc grajmy w otwarte karty.

— Dzwoniła Centrala — mówi Szogun.

— Ta skośna — zaczyna znów Robal.

— Dzwoniła Centrala — powtarza Szogun, nie wiadomo do kogo.

— Dobra jest, co nie? Tylko że nie pogadasz. Dosłownie. Jest głucha jak  
pień.

— Ta Japonka?

— Chinka.

Konsternacja.

— Chinka? Na pewno?

— Bratnie komando, prosto spod Pekinu. Zjechały tu w piątkę. Tyle że nie chcą tarzać się między sobą. Z punktu widzenia interesu na razie są ołny.

Robal w zamyśleniu drapie się po podgardlu. Szogun przygląda się twarzy Szczura, jest w niej pewna nieuchwytna właściwość, którą trudno zrozumieć.

Stewardessa, taca, nowe kieliszki.

— Ale zrobimy tak, że zechcą — dodaje Szczur i więcej w nim lepszego rozmarzenia niż determinacji.

— A ta obita mała — zaczyna Szogun. Chyba rozumie.

— Siup.

— Zaraz. Co to za jedna?

— Słyszałem, że oszczędzasz pamięć — mówi Szczur i znów sięga po chustkę. Wyciera nią nażelowane włosy, od czoła do karku, powolnym, uważnym ruchem.

Szogun nie odpowiada. Szczur składa chustkę i wacha ją, zanim schowa do kieszeni.

— Zdrowie — zachęca.

— Co to za jedna? — powtarza Szogun.

— Pij, nie fanzol — szepcze Szczur — jak cię częstują.

Puste kieliszki strzelają o bar. To działa za każdym razem: wnętrzości Szoguna rozlane na podłodze w kolorze azbestu.

— Ona jest polityczna. Polka z czeskosłowackiej ambasady. Robiła w obsłudze zeszłorocznych targów. Woman from Tokyo — nuci Szczur. — Pewnie jako dupa podrzucana kitajcom. Polska myśl techniczna.

— CorpoCarbon 2020 w Tokio — mówi Szogun.

— Si, si, si. Ona jest z Centrali — rozkręca się Szczur. — Po nią przyszłiście, prawda?

Szogun rozumie wreszcie, skąd ten dysonans: Szczur oddycha nieregular-

nie, chaotycznymi seriami, jak noworodek. Albo jakby był zepsuty.

— Po nią przyszlście. Więc se ją bierzcie. Po dzisiejszym i tak jest na marnację.

Milczą.

— Rozmawiałeś z Listillo? — pyta Robala Szczur. — Krety z nami pójda?

Milczą.

Szczur, szeleszcząc, ześlizguje się ze stołka i wychodzi. Nie ma dla nich więcej czasu. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

\* \* \*

Szogun i Robal zostają jeszcze na kolejkę. Piją do siebie w niechętnym odruchu.

Robal idzie na zaplecze zadzwonić, kołuje transport dziewczyny do swojej knajpy.

Potem wychodzą w tłum.

— Muszę spotkać się z Centralą — mówi Szogun. — Jak tylko odbiorę wiadomość.

— Już czas.

— Tak.

— Masz plan — mówi Robal i brzmi to jak modlitwa. Opuszcza niżej daszek czapki.

— Czas się rozmówić.

Tłum w pasażu rozstępuje się powoli i wypluwa maskę milicyjnej suki. Kogut na dachu zatacza błękitnym promieniem. Gorąca blacha, stalowa siatka na szybie. Odór auta: benzyna i przepocona rękojeść pałki. Szogun to lubi, ten smród przywraca trzeźwość spojrzenia.

Suka zatrzymuje się obok nich. Ludzie obserwują, nie patrząc. Popękana boczna szyba zjeżdża z piskiem.

— No, no — mruczy Robal. — Kochanica Generała.

— Kochanica, Boże, Robal. — Szogun przygląda się oponie samochodu.  
— Skąd ty bierzesz takie słowa?

— Kochanica — powtarza Robal. — Małżonka.

— To się zdecyduj.

— Do tyłu — mówi do Szoguna umundurowana kobieta, siedząca obok kierowcy. — Wsiadaj do tyłu.

Jej widok elektryzuje przechodniów.

— Dzień dobry, pani pułkownik — wita się Szogun.

— Wsiadaj — powtarza kobieta. — A ty spierdalaj.

— Do widzenia — żegna się Robal i znika za straganem z zapiekankami.

— Kochanica generała — mówi Szogun do kobiety w mundurze. — Małżonka.

— Do tyłu.

Kierowca suki wychodzi z szoferki. Jego hełm lśni bardziej przekonująco niż antybłyski Szoguna, ironicznie odbijające teraz logo MTV.

— Zawsze do tyłu — mówi Szogun i wsiada do puszki. Kierowca zatrzaśkuje stalowe drzwi. Kanciasty półmrok. Benzyna i rękojeść pałki. Przywracają trzeźwość spojrzenia.

Wiozą go, a on stara się nie myśleć zbyt wiele. Elwira. Małżonka Generała. Igły, wiertarki, żelazka. Kochanica.

Błaszany zgrzyt drzwi przynosi potop lepkiego światła i nowy, bardziej kameralny rodzaj smrodu. Kobieta zniknęła, umundurowani funkcjonariusze prowadzą go zadbanymi korytarzami. Otwory wentylacyjne szepczą tłumionymi krzykami, które brzmią jak z taśmy.

Zamykają go w pustym pokoju. Szogun długo przegląda się w weneckim lustrze, próbuje przypomnieć sobie, kiedy ostatnio brał prysznic.

Drzwi otwierają się i do środka wchodzi ubrany po cywilnemu drobny

pryszczaty chłopak.

— Dzień dobry, panie władzo — wita się Szogun.

Chłopak podchodzi blisko, przygląda się okularom Szoguna, musi wysoko podnieść głowę. Uśmiecha się. Powietrze tężeje, jak przed burzą.

Concorde wchodzi w naddźwiękową. Wielki dzwon napierdala żałobnie. Histeryczny pisk przeciążonego procesora.

Szogun zatacza się na ścianę. Zdziwiony pluje i smarka krwią. Pryszczaty zbliża się i tym razem Szogun niemal dostrzega cios. Grzmot, dzwon, pisk.

Szogun wstaje z kolan, wypluwa spienioną krew na lustro. Odwraca się do chłopaka.

— Tylko nie w antybyłski — prosi. Dostaje gdzieś pod pachę i chyba na chwilę traci przytomność.

Pryszczaty obserwuje go spod drugiej ściany życzliwym spojrzeniem entomologa.

Szogun podnosi się. Wargi mu pulsują, ciągnięte niewidocznymi szczypcami. Ma wrażenie, że krew z nosa wylewa się do mózgu, który puchnie i przestaje mieścić się w czaszce. Szogun długo szuka oddechu.

Chłopak otwiera drzwi i prowadzi go kolejnymi korytarzami, w których rezonują pulsujące skronie Szoguna. Nie mijają nikogo.

Pryszczaty zostawia go w pustym, obszernym pomieszczeniu. Dwie przeciwległe ściany to wielkie ekrany, śnieżące bezgłośnie nieistniejącymi kanałami.

— Rozbierz się — mówi komputerowy głos z niewidzialnego głośnika.

Szogun wypełnia rozkaz. Gdy zdejmuje spodnie, krew kapie mu z nosa na buty. Odcharkuje i przełyka metaliczną zawiesinę. Nie odpina okularów.

Prostuje się, nagi. Ma erekcję.

Czeka, patrzy na drzwi naprzeciw. Wyczuwa swój pot.

Czeka.

Do środka wchodzi kobieta w mundurze. Zamyka za sobą drzwi.

Podchodzi do Szoguna. Jest od niego niższa. Między nimi jego ubrania i jego nabrzmiały kutas.

Kobieta podchodzi jeszcze bliżej. Sztywny materiał munduru faluje w rytm jej spokojnego oddechu, milimetry od pulsującego purpurą ciała.

Kobieta przygląda się spuchniętym ustom Szoguna. W jej błękitnym spojrzeniu jest spokój i zainteresowanie. W innym miejscu pojedyncze piegi odejmowałyby jej kilkanaście lat.

Kobieta unosi ręce do twarzy i wyjmuje niewidzialne spinki. Rozpuszczone słomkowe włosy ledwo sięgają pagonów. Po chwili napływa jej zapach: drobne dłonie zbite w pięści i wilgotna, napięta skóra.

Tkanki pulsują, dziąsła bardziej mu krwawią odkąd ma wzwód. Wypluwa krew gdzieś obok niej. Gdy kobieta podnosi dłoń do jego twarzy, mundur na jej brzuchu przez chwilę muska mu żołądź. Szogun drży, a ona marszczy brwi, jakby z troski.

Rozmyśla się, nie dotyka go, cofa dłoń i zaczyna rozpinąć koszulę. Zdejmuje ją, potem buty, skarpety i spodnie. Obcisły przepocony podkoszulek deformuje ją, spłaszcza. Kobieta pozbywa się go i w pomieszczeniu już wszystko nią pachnie. Szogun nie może tego znieść.

Kobieta kładzie się przed nim, patrzy na jego łydki. Wreszcie ściąga go w dół i bierze jego dłoń między swoje uda, na majtki. Bezgłośny wdech. Cienka bawełna, szelest. Pot. Tyle życia.

— Nie ruszaj — mówi do niego, ciszej niż zamierzała.

Szogun nie rusza. Przygląda się. Czeka, choć to już się wydarza. Ciepło. Pot.

— Nie ruszaj.

Szogun nie rusza. Wielkie ekrany śnieżą w nich martwymi pikselami.

\* \* \*

Potem leżą obok siebie. Wysychają, tężeją. Zbierają myśli i ciała.

Na jednym ekranie szachownica obrazów z kamer z pasaży. Początek turnusu. Bezgłośny teledysk podskórnej hysterii.

Drugi ekran to pejzaż: puste pole, zmarszczone przez pług i czas, placki brudnego śniegu. Ciężkie niebo, jakby w niższej rozdzielczości. Surowy zmierzch albo brzask.

Szogun dałby wiele, by poczuć wiatr.

— Ty płaczesz — mówi do Elwiry.

— Nie. — Kobieta przygląda się swojej dłoni. — Nie wiem.

— Ubrudziłem cię.

— Zostaw.

Kobieta siada, próbuje wstać. Patrzy na ekran, w bure, gęste niebo i kładzie się znowu.

— Myślałem, że się nie pojawisz — mówi Szogun.

— Zniknąłeś. Znowu.

— Ukrywam się.

Próbuje kpić z samego siebie. Nawet to nie wychodzi.

— Tak.

— Przed Generałem.

— Tak.

— Boże.

— Zapaliłbym.

— Masz fajki?

— Nie.

Szogun powoli podnosi się z podłogi. Traci rezon wobec jej bezruchu. Garbi się, dotyka spuchniętej wargi, ale ona nawet nie patrzy. Nagość zaczyna go uwierać, więc siada, by ją zredukować.

— Znowu złamię konkordat — mówi Szogun.

— Zniknąłeś.

— Zjechał nowy klecha. Pierwsza msza będzie jutro. Czekaj. Dzisiaj. Dzisiaj w południe.

— Budzi mnie kaszel — mówi kobieta. — I duszność. Już codziennie.

— Pralnia w mrowisku. C-sektor. Dwunasty poziom.

— Jakbym się nawdychała opiłek. Wyplułam rano trochę krwi.

— Dzisiaj w południe. Mało czasu, trzeba to szybko załatwić. Tylko wiesz.

— Kłuje w mostku, gdy wiążę buty.

— Tak, żeby wiesz. Żeby ich tylko nastraszyć. Nie bardziej, niż trzeba.

Nad polem ściemnia się. Grudy śniegu brunatnieją.

Elwira podnosi się wreszcie. Coś się zmieniło, inna konfiguracja, płynne punkty odniesienia.

Szogun zdrapuje spod nosa purpurowe strupy.

— Musiałaś — mówi, patrząc w zawartość dłoni, a ona wtedy staje tyłem do niego i zakłada spodnie. Mruczy coś pod nosem.

— Co? — pyta Szogun.

— Nic. — Odwraca się, dopiero gdy jest gotowa, ubrana. Znow ma rumieniec na szyi.

— Nic — powtarza Elwira. — Nic.

W jej oczach jest coś takiego, że znowu mu staje.

— Chuju.

Dwie nieme sylaby, właściwie tylko oddech i ten kształt ust.

Elwira marszczy brwi i dotyka dłonią jego policzka. Ma zimne palce.

Nagle ściska w nich jego obitą wargę, mocno. Skóra znow pęka. Boli, pokój faluje.

Szogun odpycha ją, kobieta przewraca się. Powoli podnosi się z kolan, oblizuje poplamiony paznokieć.



Szogun, wciąż nagi, stoi i czeka.

— No, chodź — mówi łagodnie.

— Podobno oszczędzasz pamięć. I dlatego nie ma cię w Ce-trix.

— Chodź.

— Zgubiłam tu gdzieś spinki.

— Chodź.

Elwira kręci głową. Idzie do drzwi, którymi weszła. Gdy łapie za klamkę, odwraca się do niego. Patrzą na siebie przez chwilę. Ruchome punkty odniesienia. Homeostaza podsystemu.

Kobieta wraca i całuje go w policzek. I uśmiecha się, z braku lepszego określenia na to mignięcie ust, ruch warg według algorytmu wyznaczającego ich płynne wektory.

Gdy klamka za nią zapada i Szogun zostaje sam, projekcje kończą się, a ekrany gasną na dobre.

\* \* \*

Drzwi z trepa, puszczaają zawiasy i zomaki ładują się do środka, całą chmarą, opancerzone rozwrzeszczane karaluchy, pały, zacne osiemdziesiątki, i śrutówki, kolby pracują, i wilgotne gardła, mordą na ziemię!, mordą na ziemię, bo zapierdolę!, już gnoje!, już!, po całej pralni, jak karaluchy, pały i śrutówki, hełmy i glany.

Kobiety wrzeszczą, zawodzą. Mężczyźni krzywią się, przerażenie ich zatyka, i tylko nieliczni *los topos* płynnie przechodzą od modlitw do bluzgów. Milicjanci biją, nie bardziej, niż zwykle. Jadą na wysokim rejestrze: adrenalina, gruda, strach, wstyd i tęskna zazdrość. Mordą na ziemię i kopniak w policzek, bo dziwka piszczy tak żałośnie i wciąż się modli.

Mężczyzna odkłada kielich na zaimprovizowany ołtarz: pudła pełne pościeli. Młody, opalony i przystojny, w dzinsach i koszulce Brygady Kryzys.

Przez parę chwil jest niewidzialny: milczący, nieruchomy punkt, jedyna stała w dyfuzji napastników i ofiar. Zapomina oddychać.

Kapitan podchodzi do niego. Podnosi przyłbicę, pozwala księdzu przyrzyć się młodzieńczym pryszczom. Krochmalny opar liże twarz.

— Dzień dobry — mówi ksiądz i widać, że bardzo się boi.

— Dzień dobry — odpowiada zomak. — Idziesz z nami.

— Rozumiem.

— Chuja tam rozumiesz — mówi zomak i puszcza go przodem, oddając podwładnym. Po chwili wraca, by wypić wino.

Funkcjonariusze kończą bicie, skuwanie. Na korytarz, do wind, do pasażu, w suki. Cztery samochody zaparkowane w symetrycznym dwuszeregu, kancista skrzeplina w ciasnej tętnicy pasażu. Brakuje miejsca i powietrza, tłumek przygląda im się w wilgotnym oczekiwaniu. Patrzą, rozfalowani, nowi, bardziej zaciekawieni, niż przestraszeni, jeszcze niedopici, początek turnusu.

Pani pułkownik osobiście nadzoruje zatrzymanie. Stoi między samochodami, trochę ziewa. W zamyśleniu oblizuje palec, ale zaraz przywołuje się do porządku. Odprowadza wzrokiem skutego księdza. Błękitne oczy nie mówią nic.

Msza przerwana, czterdzieścioro zatrzymanych. Wszystko trafi na ekrany, wkrótce poleci w kronice. Generał opatrzy to komentarzem. Albo tylko będzie wyniośle patrzył. Wielkie okulary i ściągnięte usta. Tak może nawet będzie lepiej. I będą przebitki na nią. Błękitne oczy, odprasowany mundur, wszystko ścięte nieskazitelną oczywistością.

\* \* \*

Spalinowy, zimny pomruk z łatwością przenika przez ściany zmarszczone ich oddechami. Robal powoli wznosi hostię nad głowę. Przedziwne krainy i postaci falują wokół jego masywnych ramion nieostrym kształtem i wypło-

wiałą barwą. Dumny wściekły wieloryb, rozchwiany stateczek, Neptun wijący się wokół tricepsu, trójzębem mierzący do obowiązkowej kurwy, jego Salacji, jak on pięknej i ostentacyjnie cielesnej. Pielgrzymi na osłach, skuleni przed majestatem piramid, Chip i Dale, skrzydła husarskie i szyszak, posępna twarz Szapołowskiej, i tylko jej usta pulsują czerwienią, nie chcąc wyblaknąć. Ręce, dwa wymalowane pniaki, i nielegalny kawałek praśnego chleba.

— Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy.

Głos Robala, niski i trochę mokry, jak diesel w drilmaszynach z przodka w Dziurze. Ręce jak pniaki. Wydziarane, nietrzeźwe medium. Ci, co uklękli, wierzą, że kto inny ich zaprasza i sprawia, że się wydarza, tu i teraz.

— To jest bowiem Ciało moje.

Spalinowy rytm, nierówny, ale transowy w swej fali, rozregulowuje im somę.

Szogun sięga dłonią do twarzy, jakby chciał przetrzeć zmęczone oczy. Tylko że antybyłski. Dłoń cofa się, speszona.

Stoi z tyłu, oparty o wibrujące drzwi. Próbuje nie słuchać. Wzdycha i wychodzi w maszynowy ryk wąskiego korytarza. Chłopak i dziewczyna, stoją na czatach. Są zbyt młodzi, uzbrojeni w strzelby i chyba chcieliby się trzymać za ręce. Uśmiechają się do niego.

Mija ich i kluczy chwilę, oddalając się od ryku turbin.

Wychodzi w zaułek, niemal tunel, ciemny i cuchnący, jeden z setek takich pozornie bezużytecznych wyrostków, przeznaczonych na słowa i czyny, wymagające intymności i desperacji. Mija pudło pełne zepsutych dżojstików i wtedy ją spotyka.

Dziewczyna stoi w pół drogi do pasażu, który rozpycha się, światłem i ruchem, kilkanaście metrów za jej plecami. Jest łysa, jej czaszka i opalona twarz są całe posiniaczone. Ma na sobie bawełnianą bluzę i zbyt szerokie spodnie. Nie wygląda, jakby się zgubiła. To go martwi.

— Zgubiłam się.

— Zgubiłaś się.

Wilgotny podmuch przynosi znajome odory. Smażona cebula, rozgrzany plastik.

— Kłamię — mówi ze zdziwieniem dziewczyna. — Kłamię.

Gruda rozlewa się w jej źrenicach.

— Kłamiesz.

— Zostawili mnie samą, na zapleczu. Poczułam, że muszę wyjść i wyszłam. Wtedy przypomniałam sobie i wróciłam po jakieś ubranie.

— I ogoliłaś głowę.

— Zostawili maszynkę. Myślałam, że po to.

Szogun rusza w jej stronę.

— Na zewnątrz było jeszcze gorzej. Ale już wiedziałam, gdzie iść.

— I gdzie idziesz?

— Tutaj — odpowiada dziewczyna.

— Chodź — mówi Szogun. Bierze ją za rękę. — Chodź ze mną.

\* \* \*

Coś się zmieniło, inne warunki operacji. Nienapisane instrukcje, konstruujące rzeczywistość, same podlegają zmianie.

Ci dwoje. Brną przez tłum, pijane morze, szlakiem znaczonej neonową pajęczyną. Mężczyzna prowadzi ją, pewnie i jednocześnie nerwowo, kolejne pasáže, kolejne zaułki, mężczyzna zna skróty. Mężczyzna wie. Prowadzi i stara się unikać twarzy, spojrzeń tych, którzy potrafią patrzeć, twarzy zaciętych i ciekawskich, w których oczach wyświetlają się dema generowane przez ich stęsknioną wyobraźnię.

To przez kolor cery dziewczyny. Niemal smakują jej zapach, woń słońca, wiatru, powierzchni, życia. Ci, którzy potrafią patrzeć.

Mężczyzna prowadzi ją w milczeniu i nagle wie. Nie-ciężar na ramionach, nie-oddech za uchem. Postaci, z tyłu. Mężczyzna i dziewczyna nie zatrzymują się. Kolejny zaułek, przemysłowy zsyp, oberwany balkon, stłuczony kibel, blaszane drzwi w następny wyrostek. Postaci za nimi, uparte cienie, coraz bliżej.

Nienapisane instrukcje: mężczyzna z kobietą jest nietykalny.

Cienie coraz bliżej. Coś się zmieniło. Inne warunki operacji.

Mężczyzna przystaje, odwraca się, patrzy w mrok. Opiera ją o ścianę, sadza i wraca, skąd przyszedł. Pomruk, szelest kurtki, szuranie butów, dużo szurania, i chlupot, dziewczyna słyszy pryskającą wodę, ale nie pamięta kałuż.

Mężczyzna wraca, nagle zmęczony. Odpoczywa chwilę i stawia ją, wiotką i ciężką, na nogi. Wtedy dostrzega kretów. *Los topos* stoją oparci o mur u wyjścia z zaułka. Palą papierosy, przyglądają się. Czekali na łatwy fant. Wzruszają ramionami, nie tym razem. Nienapisane instrukcje.

Mężczyzna bierze dziewczynę za rękę i już mają odejść, gdy coś w spojrzeniach Hiszpanów każe mu podnieść wzrok.

Kamera. Musiała zarejestrować figury odtańczone w zaułku.

*Los topos* palą papierosy. Mężczyzna nie ma czasu. Ścisną jej dłoń i ruszają dalej.

Generał patrzy.

\* \* \*

— Ty jesteś Szogun — mówi dziewczyna.

Jest w łóżku, w niejasnej pozie, jakby nie chciała leżeć i nie mogła usiąść.

Mówi wolno, przez opuchliznę albo grudę.

Jeden z pokoi na zapleczu knajpy Robała. Kilka metrów kwadratowych, słaba żarówka pod sufitem, prycza, obowiązkowy tele, elektryczny wiatrak, stara umywalka, zaskakujący stosik książek pod ścianą.

— Tak — odpowiada Szogun. Siedzi na podłodze.

— Monika — mówi dziewczyna.

— Cześć, Monika.

— Cześć, Szogun.

— Lepiej?

Dziewczyna sięga dłonią do twarzy, wędruje palcami po kolejnych obrzękach. Dopiero zaczyna sinieć.

— A było gorzej? — Uśmiecha się do podpuchniętej dłoni.

Szogun kiwa głową w nieokreślonym geście.

— Sama nie wiem — mówi Monika.

— Normalne.

— Boli mnie głowa. Wszystko mnie boli. Ale teraz to jest jakby przyjemne.

— To przez grudę.

Dziewczyna przytakuje, w zamyśleniu drapie się po szyi.

— Gorąco — mówi i zdejmuje bluzę, ale cofa się w połowie ruchu.

— Nie mam nic pod — tłumaczy.

— Przyniosę.

— Nie trzeba.

Szogun zdążył zobaczyć paskudny siniak na brzuchu.

— Będziesz potrzebować więcej.

— Ubrań.

— Grudy.

Dziewczyna wzdycha i sięga językiem do opuchniętej wargi.

— Mogła cię zabić — mówi Szogun.

— Ona też nie chciała walczyć. Jest głucha, zabrali jej implanty. Gdy nas zwieźli, od razu zamknęli. Potem rewidowali. Najpierw zomaki. Potem inni. Przyszedł mężczyzna z protezami zamiast rąk. Wydawał polecenia i patrzył.

Szogun słucha.

— Patrzył. Gdy skończyli, wziął jedną z nich do pokoju obok. Miał walizkę pełną nakładek. Pokazał nam, zanim wyszedł. Nie domknął drzwi, próbowałam nie słuchać. Gdy wrócił, powiedzieli mu, że ta, co została, nie słyszy. Opieprzył ich. Potem ją zabrał i jej pokazał. A potem zabrali nas, dali kostiumy i wysłali na ring.

— Szczur — mówi Szogun. — Ten z protezami. Przeszmugłował cię. Dużo od niego zależy.

— Mogła mnie zabić.

— Jest po naszej stronie.

Dziewczyna zamyka oczy, wzdycha.

— Gorąco — mówi Szogun i patrzy na tele. Sfora białych raperów przemieszcza się chaotycznym ruchem po wnętrzu kościoła jak stado szympansów, po ławach i wokół kolumn. Dobrze, że ktoś wyłączył głos. Szogun poznaje figury w tle, tę doskonałą eksplozję bezruchu. Ołtarz Wita Stwosza. Tak szczerpi się ludzi przeciw kontrkulturze.

— Pasaże — zaczyna Monika — były straszne. To przez grudę?

— Po niej jest lepiej.

— Lepiej.

— Nie czujesz się jak fragment pocisku, który ktoś próbuje wydłubać z postrzelonej tkanki.

— I co teraz? — pyta Monika.

— Co teraz.

Do pokoju wchodzi Robal. Świeża koszula zajezdża niedopranym poliestrem. Milczy nad nimi, z rękami w kieszeniach dżinsów.

— Wstałaś — wita się wreszcie.

— Odjechała — mówi Szogun.

— Taki był plan — mówi Robal.

— I wyszła. Przeszła trzy pasaże.

Robal wzrusza ramionami. Nawet jeśli go ruszyło, nie daje po sobie poznać. Do środka zagląda jedna z jego kobiet.

— Potrzeba czegoś? — pyta.

— Tak — odpowiada Robal. — Wody. I cieńsze ciuchy dla niej.

— Dzięki — mówi Monika.

— Odjechała — mówi Szogun.

— Nie marudź.

— Ja tu jestem — wtrąca się Monika.

Robal wzdycha.

— Ma pęknięte żebra — tłumaczy. — I zmiążdżone palce u nogi.

— O — mówi Monika.

Wszyscy troje patrzą na jej stopy, na znoszone trampki, zastanawiając się, w której.

— I co teraz? — Monika powtarza pytanie.

Kobieta wchodzi na chwilę, z butelką gazówki i koszulką.

— Wiesz, gdzie masz czip? — pyta Robal.

— Nie. Wypłaszczyli mnie po zabiegu.

Ciepło-zimne słowo wywołuje ciszę. Wypłaszczenie, cyfrowa lobotomia, miara poświęcenia.

— Wgrali tylko tyle, że wiedziałam, że mam dać się tu znaleźć.

— Skanowali cię już na dole?

— Nie. Jeden chciał, ale Szczur zabronił. Skanowali Chinki.

Mężczyźni kiwają głowami.

— Jest po naszej stronie — mówi Monika. Jej twarz ma matowy odcień papieru do pakowania kiełbasy.

Odkąd przyszedł Robal, jest jeszcze bardziej duszno. Dziewczyna sięga po koszulkę. Szogun podnosi się i łapie za kłamkę.

— Nie trzeba.



Monika przebiera się. Piersi ma ciasno obandażowane. Siniaki.

Na koszulce jest kot, w oczach ma cekiny.

— Patrzcie — Szogun wskazuje na tele. Sięga do panelu i robi głośniej.

Relacja z przerwania nielegalnego zgromadzenia. Niepodpisany skutu chłopak prowadzony do suki. Wiadomo, że ksiądz.

Szogun i Robal wymieniają spojrzenia.

— Może dostać więcej niż zazwyczaj.

— Czują, że się zaczyna gotować, trzeba wykazać się przed Warszawą.

— Karne szychty w oparach.

Kiwają głowami. Napis na pasku: podejrzany został zastrzelony przy próbie ucieczki w komisariacie.

Sekundy ciężkie jak kamienie. Zbliżenie. Strzęp materiału, krew na prasowance z pięcioramienną gwiazdą. Robal opiera się o ścianę z głośnym mlaśnięciem.

— Co to jest? — pyta Szoguna.

Szogun gapi się na tele, na Robala, na tele. Kręci głową, jakby nie wierzył sam sobie. Dziewczyna patrzy, siniaki na jej czaszce pulsują purpurą.

— Co to było? — powtarza Robal. — No co to było?

— Nie tak.

— Co żeż ona.

Zdania urwane jak kronika, puenty poza kadrem. Inne warunki operacji.

\* \* \*

Szogun wlewa się do Carbonatrix, Carbonatrix rozlewa się w Szogunie.

Pili przy barze, w tężejącym, mrukliwym tłumie, wódkę, karbonadę i co tylko podeszło. Pasaż nabierał mocy i temperatury. Awantury i wytryski wściekłości, jak mikrotornada, wybuchały jeden po drugim, ciskając wokoło bluzgami, płaczem, brzękiem szkła i odgłosem razów, rozdzielanych na oślep.

Monika piła z nimi i rozglądała się, zatrwożona. Mężczyźni zastanawiali się, jaką wiadomość dla nich skrywa, dziewczyna zastanawiała się, w którym fragmencie ciała. I z każdą kolejką, z każdym płomieniem w żołądku, godziła się, że w Dziurze bolesna będzie każda sekunda.

— Generał łamie embargo na dzieci — opowiadał Robal, polewając. — Zwozi je tu, już któryś turnus z kolei. Niemowlęta i przedszkolaki. Dla Elwiry, dla żon i kochanek swoich oficerów, mechirugów, inżynierów Carbo. Bawią się z nimi, karmią, wdychają ich zapach, tę nieuchwytną woń nieśmiertelności. Biorą je na tajne place zabaw. Trzymają w sekretnych dziecięcych pokojach, z łóžeczkami i gwiazdkami na sufitach. Jeden z mechaników od maszyn z przodka robił drabinki, huštawki. Opowiedział mi to i zniknął. Ludzie w sortowniach znajdują w odpadach brudne pieluchy. Kobiety tulą te biedne dzieciaki, śpią z nimi, przywiązują się. Mimo że wiedzą, iż małeństwa wytrzymają tu tygodnie. Kobiety chciały trzymać ich prochy. Ale Generał nie pozwolił, dzieciaczki idą z resztą, do kotłowni.

Robal opowiadał, a Monika gryzła paznokcie.

— Teraz się zacznie — szeptał Szogun. — Teraz się zacznie i nie zdążymy. Rzucą się na mundury, utoniemy we krwi.

Patrzyli na dziewczynę i mimo że się bała, bezwiednie studiowali jej nagą czaszkę.

Szaleńczy plan: chcą zhakować system, wszystkie systemy tych, którzy są spod gwiazdy w kolorze szczyzny i tych spod gwiazd o barwie kresiek śniegu, które dzieli się płaskim kawałkiem plastiku, legitymowanym przez profil rzymskiego centuriona. I wszystkich pozostałych, aspirujących i przymuszanych. Szogun i Robal są tylko elementami, liniami kodu w tajnym globalnym programie, wielkiej konspiracji kretów ze wszystkich Dziur świata, kowbojów Carbo, osadników krain hodowanych w najszlachetniejszym, najbardziej życiodajnym z pierwiastków. Pielgrzymów nowej ery, czasu ich symbiozy

z Ziemią i technologią, depozytariuszami ich nowej mocy. Trudnej do policzenia armii, dowodzonej przez Centralę, ich nemezis, twórcę, patrona i gwałci-cieła.

Właściwie to Centrala uczyniła ich tymi, kim teraz próbują się stać. To ona ich znalazła i zwerbowała. I koordynuje cały spisek, czuwa z powierzchni, grając półsłówkami, karmiąc ich strzępami wiadomości i podrzucając pojedyncze dowody swej siły i wpływów. Zabrania o sobie mówić, choć Szogun i Robal mają wrażenie, że kręci ją, gdy łamią to przykazanie. Bo rozumieją, że tu na dole potrzeba legend. Dlatego oni sami wciąż jeszcze w nią wierzą.

W nią, w nich. Centrala jest potężna, musi być siecią, ukrytą w cieniach wieżowców, bunkrów i nieużywanych adresach pamięci Carbonatrix.

Wierzą więc, nie mają wyjścia. Realizują jej plan, szaleńczy plan przeciw szaleńcom z powierzchni, którzy nie chcą, nie umieją zrozumieć, jakim darem zostali obdarowani przez tę, którą doją od tysięcy lat z zapamiętałą niewdzięcznością. Koniec świata nastąpi, niechybnie. Szogun, Robal i pozostali szarpią się, by po nim nastał świat nowy, jakikolwiek.

— Teraz się zacznie — szeptał Szogun, słysząc krzyki, syreny, wybuchy histerycznego śmiechu. Polewał, połykał, popijał, polewał.

A gdy już byli tak pijani, że Robal pomrukiwał niczym rozdrażniony, leniwy amstaf, a Szogun uśmiechał się trochę zbyt często, wstali i wyszli. Wzięli ją do jednej z dziupli któregoś z nich, może obu. Poili karbonadą, aż zwymiotowała, i pozwolili jej usnąć na przepoconej pryczy.

Robal zrobił sobie kawy, cały dzbanek. Wyciągnął z szafy torbę adidasa, wyjął z niej śrutówkę i przeładował. Usiadł z bronią na kolanach na krześle w korytarzu, na wprost drzwi wejściowych, z kawą przy nodze.

Szogun z miski spod zlewu wyjął pakunek. Konsola zapakowana w reklamówkę z Pewexu. Ostentacyjna prostota projektu, chromowane logo Commo-dore.

Szogun starannie dobrał kable z pozornie bezużytecznej plątaniny na kuchennym stole. Podłączył elektrody do skroni dziewczyny, jej szyi i nadgarstków.

Wyszedł do przedpokoju, do towarzysza na krześle. Patrzyli na siebie, ciężko i mocno. Szogun położył mu dłoń na ramieniu.

Wrócił do pokoju, usiadł koło leżącej Moniki. Włączył konsolę, sięgnął po wtyczkę i gdy wpinał ją sobie do gniazda na karku, jego oczy śmiały się na przekór temu najgorszemu ze światów.

Teraz Szogun wlewa się do Carbonatrix, a Carbonatrix rozlewa się w Szogunie. Błyskawiczny morfing emocji i uczuć: szok, lęk, ekscytacja, rozkosz, całe spektrum w ułamku sekundy i niepoliczalnych eonach, zależy jak patrzeć. Techkstaza. Boskość.

Szogun, świetlisty piksel, samowyświetla się, autoodtwarza, w jednym z węzłów w trójwymiarowej nieskończoności siatki, która faluje wokół niego, faluje wraz z nim geometryczną pulsacją. Szogun czuje się, jakby przymykał oczy, poddaje się temu wrażeniu, dostraja się do ruchu, cyfrowej perystaltyki Carbonatrix. Przesunięcia płyt tektonicznych, powtarzane do znudzenia atomowe próby, huragany i drgnięcia motyli skrzydeł, telewizyjne rekordy oglądalności, historycznie przyjmowane premiery kinowe, giełdowe fluktuacje, pozycyjna wojna domów modowych – świat żyje, wciąż żyje, a jego rozedrgany żywot rezonuje trójwymiarowym scrollem milionów wektorów niby-przestrzeni, wyrastających wewnątrz miniaturowych fortec z krzemu i węgla, rozrzuconych po Dziurach kopanych tysiące metrów w głąb ziemi, w głąb Ziemi.

Szogun, świetlisty piksel, wyrusza. Ignoruje słabe rozbłyski z peryferyjnych obszarów pamięci. Tam czekają na niego już dawno zaniedbane sprawy, proste i nudne, jak wota o nielegalne przelewy na zachodnie konta, wklepywane na lewych terminalach przez górników niewprawionymi, zmęczonymi

dłoni; tam są dziwaczne programy, wadliwe lub niekompatybilne z hardwarem z jego Dziury, kradzione i wyzebrywane przez tutejszych słaperów podczas spotkań w opustoszałych, nieużywanych polach siatki. Tam są jego potencjalne mikrozwycięstwa, dziewicze linie kodu, precyzyjne i syntetyczne, które w wolnych chwilach układa, niczym cyfrowe haiku, fałszujące dane wysyłane do komputerów na powierzchni przez niedouczone programistów Generała.

Szogun zostawia je za sobą. Mknie z falą, ku centrom, prosto w mozaikę mozaik kształtów, barw i przesunięć, w gorący, nieogarnialny sercomózg Carbonatrix, implodujący do swego wnętrza nieskończonością kolejnych poziomów.

Triumfalny, ekstatyczny lot, obwieszczający demoscenie, że Szogun powrócił.

Mniej niż chwila, ułamek sekundy. Albo całe epoki. Zależy, kto liczy.

I już tu jest, w onieśmielającym labiryncie, w którym najbardziej żywe jest to, co nie pochodzi wprost od człowieka. Ekumenizm kultur, wszystkich – opartych na genach, dolarach, rublach, jenach, nieskończonych ciągach zer i jedynek. Języki programowania, platformy, tryby komunikacji i wizualizacji danych, wszystkie sprowadzone do najniższego wspólnego mianownika. Wschód i Zachód, okopani na pozycjach, sprawdzonymi wizualizacjami ujeżdżają swe cyfrowe trzecie fale – tu wciąż trwa wyścig na anachroniczne geometryczne proporcje, bo, mówcie, co chcecie, ale rozmiar fraktala ma znaczenie. Między nimi ci, którzy nie mogą i nie chcą się zdecydować. Migotliwe makatkowe tekstury, rozlewające się po rastrowych obiektach z Południa, pulsują tęczowo, każda swoim trzewiowym rytmem. Smukłe wektorówki graczy z Północy, seksowne, władcze, lekko falują dyskretną sinusoidą, ścigają się w nerwowych zawodach na ostentacyjną oszczędność projektu. Czarne słońca, zakodowane obiekty, z dostępem jedynie dla wybranych, nie-żarzą się żarłocznym ciemnym światłem.

Szogun, świetlisty punkt, kluczy między nimi, przez chwilę (eony) dla samej rozkoszy z tej doskonałej iluzji ruchu, zmiany i siły. Potem odpala soft i cierpliwie czeka, aż jego sprajt zgaśnie i pozwoli się wchłonąć linii, po której wspinał się i jednocześnie opadał wzdłuż odbić świata z powierzchni, zdeformowanych w swej nadobfitości po tej stronie binarnej tafli.

Szogun uruchamia programy, które uruchamiają programy, które uruchamiają kolejne, cała dywizja systemów poleceń posłana w bój. Zliczają wartości z pozornie losowo generowanych adresów pamięci procesorów, podtrzymujących Ce-trix, nie tylko z Dziury Szoguna, Generała. Kolejne kontrolowane losowania i kolejne pętle obliczeń, wszystko po to, by maksymalnie skomplikować dotarcie do bezpiecznego adresu.

Szogun znika, powidok po świetlistym punkcie rozmywa się w tęczowej magmie hegemonicznej struktury EWWiS-u.

Jest u siebie. To jego binarna dziupla, rejestr w pamięci Carbo, której pozycję i domenę na wszelki wypadek wypalił z mózgu już dawno. Przytulna czerń i tryb tekstowy, kojący mózg po drażniących przysadkę interlejsowych drganiach wizualizacji Carbonatrix.

Szogun włącza emulator skanera, wybiera adres gniazda w norze w mrowisku, aktywizuje elektrody i już jest w Monice.

Brakuje mu tchu. Brak obrazu gwałtownie zwiększa resztę bodźców. Atak paniki: splątanie, cierpienie i klaustrofobia.

Szogun głaszcze jej umysł, projektuje spokój i zaufanie. Dostrajają się w na w pół świadomym odruchu, sprzężenie zwrotne zbliża ich oddechy i tętna.

Rozpoczęcie skanowania. Szogun wędruje po jej ciele pozornie chaotycznymi trajektoriami, szukając obcego elementu. Przemierza tkanki, mijając kolejne blizny, zrosty, niedogojone skręcenia i pęknięcia, kartografia cierpienia, która tak mu smakuje. W oddali wyczuwa burzę, grzmoty dudniące przeciągle niskimi częstotliwościami, i wie, że to niedobrze. Zmusza się

do pośpiechu, smakowały ją w nieskończoność.

Jest. Obiekt o trzymilimetrowej średnicy, niezbyt głęboko, na wysokości krzyża, kilka centymetrów od kręgosłupa. Karbonado, polikrystaliczny czarny diament, najszlachetniejsza ze znanych mu kości pamięci.

Mógłby od razu skopiować jej zawartość, ale, mimo wszystkich zabezpieczeń, woli nie robić tego w Ce-trix. Właśnie dlatego Centrala zesłała do Dziury dziewczynę.

Ma, czego w niej szukał, ale nie chce wychodzić, mimo zimnych gromowych szeptów z tamtego świata. Kojący szum krwi, zapraszające ciepło tkanek. Monika jest taka przytulna. Nie słyszy i nie widzi jej myśli i uczuć, nie może przecieżyć, ale otula się nimi jak gęstą watą, rozpląwa się w ich gościnnych cieniach.

Mózg Szoguna nie radzi sobie z bodźcami, do których nie przysposobiła go zagapiona ewolucja. Wie tylko tyle, że to wszystko jest dobre, więc konwertuje to na impresyjne aproksymacje. Słodkie, miękkie, miłe, wanna pełna ciepłej wody, drzemka na plaży w słoneczny dzień, futerko chomika na dziecięcej skórze, dłoń rodzica mierzwiąca włosy.

Szogun rozumie, że to tylko rykoszet wywołany przez doświadczenie skanowania, ale i tak nic nie może poradzić. Zakochał się w Monice, jej duszy, silnej i pewnej, odbitej w zakamarkach jej fizyczności.

Jej ciało wierzga, przynosząc mu rozkosz i ból. Tam się coś dzieje, Monika się budzi. Dłużej nie można czekać.

Zresztą ma, czego w niej szukał. Wylogowuje się.

Umiera i znów żyje.

Wrzaski i huk wystrzałów, aż kołyszą się gipsowe ściany. Piszczy w uszach jak przy przeciążeniu transferu w Carbonatrix.

Szogun chaotycznie zbiera się z kolan. Dziewczyna już stoi, kable od elektrod dyndają na niej niczym elektryczne pijawki. Powietrze jest gęste i mętne.

Monika podaje mu dłoń, pomaga wstać. Dotyk jej dłoni wywołuje gęsią skórkę. Szogun przypomina sobie, że ją kocha.

Do środka wpada Robal, ściska dymiącą śrutówkę. Wielki brzuch trzęsie mu się ze zmęczenia.

— Spierdalamy — oświadcza, przeładowując strzelbę.

Wychyla się, strzela i znika w korytarzu.

Biegną za nim, w piszczącym od hałasu świetle, po ślisko-lepkiej podłodze, w oparach prochu, mijając dziurawe ściany i sfatygowane ciała. Szogun robi krok nad znajomą twarzą. Honza, młody słaper, posłaniec Szczura. Wtedy przystaje i wraca po konsolę. Czeka ją na niego przy schodach. Szogun bierze Monikę za rękę i zbiegają w pasaż, wszyscy troje, a karbonada w ich mózgach sprawia, że zanoszą się śmiechem.

\* \* \*

W półmroku nory jest gorąco jak w piekle, ale podniszczona pompa przetacza w martwe kobiece ciało nielegalną mieszankę i w ten sposób opóźnia proces rozkładu. Spod zżółkniętego prześcieradła wystają chude łydki i stopy. Na drugiej pryczy leży Monika. Para postaci pochyła się nad jej plecami. W goglach i fartuchach, które kiedyś mogły być białe, odprawiają swe gusła za pomocą skalpeli, igieł i papierosów odpalanych jeden od drugiego. Nad pryczą wisi antybakteryjna lampa, snop lepkiego światła strzela w nagie, otwarte plecy dziewczyny jak ze startującego uszkodzonego ufo.

— Robal, Jezu, ilu ich było? Czterech? — pyta cicho Szogun.

— Dwóch.

— Żartujesz.

— To dobra strzelba.

Stoją w progu, jak najdalej od prycz. Piją ciepłe piwo. Szogun co rusz zerka na stojącą pod drzwiami torbę z konsolą.



— Zauważyłeś? — pyta Robal.

— Tak. Chłopak od Szczura.

Szogun zdejmuje dzinsówkę. Rozgląda się i kładzie ją na stopy Moniki.

— Nie tu — upomina go technik, wydmuchując dym nosem.

Po chwili wahania Szogun odkłada kurtkę na łydki martwej kobiety.

— A bo ja wiem, czy od Szczura.

— Myślisz, że wiedzieli, do kogo wbijają? — pyta Szogun.

— Nie mam pojęcia. Teraz to i tak bez znaczenia.

— Kurwa mać.

— Amen.

Robal częstuje camelami, paczka jest cała spocona. Szogun bierze do ust wilgotnego papierosa. Palą.

— Jest — mówi jeden z techników, trochę zbyt głośno, i po chwili podaje Szogunowi mały pojemnik z pleksi, do którego schował, co znalazł w dziewczynie. Szogun przygląda się drobnutkiej strukturze. Wzdycha.

Drugi technik ma w kąciku ust igłę. Moczy ją w kieliszku karbonady i zaczyna zszywać Monikę.

— BHP — mruczy Robal.

— Co? — pyta technik, nie podnosząc wzroku.

— Gówno — odpowiada Robal. — Szyj.

— Ej. — Technik przerywa pracę.

— Kim byłeś tam? — pyta Szogun. — Rzeźnikiem?

— Masarzem — odpowiada technik.

— Żartujesz.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Szogun nie chce.

Zanim wyjdą we troje, Robal wskazuje Szogunowi zajętą pryczę.

— Zajrzyj.

Szogun odsłania twarz.

— Młoda — mówi tylko.

— Ano, Młoda.

— Skąd wiedziałeś?

— Rano ją przyniosłem.

— Chodźmy stąd — mówi Monika. — Zimno mi.

— Szogun — przypomina mu Robal. — Zapomniałeś o kurtce.

\* \* \*

Brną przez pasaż, który stawia większy opór niż zwykle. DNA tego miejsca to gęsty remiks kluczowych zmiennych. Drapieżny uliczny darwinizm. Homeostaza między rządzącymi a rządzonymi, pasiona wzajemnymi: nienawiścią i zazdrością. Zwichnięta peerelowskim doświadczeniem tęsknota do oczywistości kapitalizmu, tak przyjemnie fetyszyzujących technologię i siłę. Cały ten system ulotnych uwarunkowań kamuflowany jest przez pozorny chaos. Czy raczej był, coś się zmieniło. Pojedyncze zdarzenia stamtąd i stąd. Przesunięcia. Miejsca puste zbyt długo. Przepływy o odwrotnych wektorach. Inne warunki operacji.

Śmierć księdza stanowi tylko następstwo, ogniwo w łańcuchu zdarzeń katalizowanych przez nie wiadomo co. DNA Dziury rozmyło się, jakby rozpuszczone w grudzie, której ilość przekroczyła masę krytyczną. Został tylko chaos. Kamuflaż wyewoluował w samą istotę rzeczy.

Brną przez pasaż i boją się.

Dziewczyna jest przerażona, odkąd tylko zamknęły się za nią wrota windy. Dotyka ogolonej, popękanej głowy, próbując oswoić ten lęk, wypocić go i strząsnąć na usyfioną kostkę pod nogami. Daremnie.

Mężczyźni boją się i wcale nie dlatego, że Robal musiał wyrzucić broń. Przestali czuć się panami sytuacji. Dziura już nie jest ich. Z graczy stali się

panionkami. Kamuflaż stał się istotą rzeczy.

— Obrazy Generała, które widzisz na tele, to cyfrowe animacje — tłumaczy Monice Robal i sam nie wie, czemu to robi. — Wykorzystują obiekty opracowane w łódzkim Se-Ma-Forze. Generał nie był zadowolony z lektorów, więc głos nagrywa sam. Se-Ma-For robi też materiały tylko dla Dziury. Przepracują dzienniki telewizyjne, reportaże. Przekłamują kłamstwa.

— Przecież umiecie to czytać — mówi Monika.

— Nie o takie kłamstwa mi chodzi. Tylko o sprawy fundamentalne. Może Indochiny nie zostały zajęte przez Tajlandię. Może ONZ od dawna nie istnieje. Może Polański wcale nie strzelił sobie w łeb.

— Ale ja wiem. I nie tylko ja. Co turnus zjeżdża tu z góry tylu nowych ludzi.

— No właśnie — odpowiada Robal. — I niemal natychmiast legitymizują oba światy. Ten i tamten. Popatrz. — Przystaje i wskazuje na plastikowe drzwi. Sine litery nad nimi niezgrabnie układają się w nazwę knajpy. Stefanka.

Przydymione pleksi pozwala zajrzeć do środka. Papierosowy opar, w którym Monika dostrzega postaci tańczące parami. Mężczyźni, bladzi i wiotcy, wtuleni w siebie, jakby wisząca nad nimi lustrzana kula niosła chłód.

— Popatrz na nich — mówi Robal — i powiedz mi, że jesteś pewna, że Polański nie żyje.

Szogun bierze dziewczynę za rękę i trójka rusza dalej. Monika bezwiednie rozgląda się. Tak niewiele kobiet. Mężczyźni i ich spojrzenia. I tylko Hiszpanie gdzieś zniknęli.

Słyszą strzały, niedaleko, ale ludzie wokoło brną wytrwale ku swoim destynacjom.

Rozdzielają się pod knajpą Robala. Podają sobie ręce. Robal stuka grubym palcem w szeroką oprawę antybłysków Szoguna i znika w środku.

Szogun bierze Monikę ze sobą. Wchodzą do jednego z mrowisk i kłuczą

w nim długo, wąskimi korytarzami, aż bołą ją nogi i pieką oczy, nienawykłe do półmroku. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Ludzie wciąż piją, dużo płaczą i jeszcze więcej się śmieją.

Wchodzą do jednej z górniczych cel. Szogun zamyka kartą elektroniczny zamek. Przygląda się drzwiom i rygluje je jeszcze oparciem od krzesła.

\* \* \*

Szogun codziennie śni koniec świata.

Na górze, tam, nadciąga nieuchronne. Kolejny etap procesów zapoczątkowanych wydarzeniami zbyt drobnymi, by można je było wyszczególnić, policzyć, ocenić. Następna faza, triumf konsekwencji.

Szogun tego nie zobaczy. Nieme, spokojne nieba, nagle pokolorowane łukami, wdrapującymi się wyżej i wyżej. A potem wszystkie sklepienia Ziemi, wszystkie błękity i czernie, jak morza i oceany trwające w niezmiennej oczywistości, wyczekujące cierpliwie i cicho, aż tysiące ziaren opadną, by wydać plon. Bezkresne morza i oceany, błękity i czernie, czekają.

I wreszcie: ziarna spadają. Pękają, by wzrastać, piąć się, rozkwitać gigantycznymi kwiatami, siejącymi wokoło bezlitosnym pięknem. Te kwiaty przewyższą, pochłoną wszystko, co do tej pory uczynił człowiek. I pochłoną samego człowieka. Pozwolą wiatrom zanieść swą nowinę wszystkim tym, do których mają daleko, a nowina będzie łamać kody decydujące o ludzkim jestestwie.

Przepiękne olbrzymie kwiaty zakwitną niemal jednocześnie. Śmiercionośne landszafty. Szogun tego nie zobaczy.

Ukryci w bunkrach mordercy, teraz zesrani ze strachu, przełączą tele na automat, generujący klejone z archiwów paczkorkowe idiotyzmy. Dziury muszą działać, Carbonatrix musi być. Szogun więc tego nie zobaczy.

Ale nowina do nich trafi. Spełźnie powoli, systemem wentylacyjnym, roz-

wieje się po Dziurze. I ich popsuje.

Z początku nie będą wiedzieli, co się dzieje. Rozbolą ręce, nogi, karki, sufity zawisną niżej, pomylą brak sił z lenistwem. Wzruszą ramionami, odłożą kilof, ściereę, dżojstik, pad albo napiją się, przyciszą tele. Potem zaczną krwawić i wypróżniać się zniecka. Wypełzną w pasaż, by podzielić się tym dziwnym stanem, oglądać wzajemnie wybroczyny i pękającą skórę. Wtedy się domyślą, choć długo, bardzo długo nikt nie powie tego głośno. A pierwszego, który to zrobi, rozszarpia gołymi rękami, jakby to miało wystarczyć, by się nie wydarzyło. Nie wystarczy, oczywiście, mimo wszystko nie.

Wreszcie się zacznie i ci najmądrzejsi skończą to, póki jeszcze będą w stanie. Niewielu będzie mądrych.

Koniec świata spełźnie tu do nich i przejrzy się w jego antyblyskach. Tak mu się śni.

\* \* \*

Szogun przygląda się drzwiom i rygluje je oparciem od krzesła.

— Gość w dom — mówi do Moniki.

Słaba żarówka wisząca luźno pod sufitem. Materac, umywalka, pojedyncza szafka z kuchenną elektryczną płytą, stara sklejkowa szafa. Mały stół i dwa kolejne krzesła. Obowiązkowy tele i drzwi z tworzywa.

— Mam déjà vu — mówi Monika.

— Tam jest kibel. Ale chyba nie ma papieru.

— Nie mieszkasz tu. Nie śmierdzisz jak tu.

— Już niemal nie czuję.

— Jak stary ser. Nie wiem, trochę jak w pokoju mojego młodszego brata.

— Nie czuję.

Dziewczyna chowa dłonie do kieszeni dzinsów, ucieka w znajomy dotyk.

— Siadaj — mówi Szogun. — Daj mi minutę.

Kładzie na podłodze wyjętą z torby konsolę. Z szafy bierze przenośny monitor i sterujący pad.

— Lamerskie — tłumaczy się. — Na czarną godzinę.

Ona nie wie, czy żartuje.

Szogun podłącza wszystko i patrzy na nią dłuższą chwilę. Wyjmuje z kieszeni pojemnik, otwiera go i umieszcza diament w gnieździe pamięci konsoli. Monika czuje, jak piecze ją blizna na krzyżu.

Szogun gniazdo zostawia otwarte. W kubku na kuchence rozpuszcza jasno-brązową grudkę. W przygotowaniach jest coś intymnego.

— To narkotyk?

— Można tak powiedzieć. — Uśmiecha się ponuro do zawartości kubka.  
— Żywica epoksydowa.

Zalewa żywicą karbonado i zamyka gniazdo. Uruchamia konsolę i monitor, padem wybiera komendy. Dopiero wtedy podnosi się i zdejmuje kurtkę. Rzuca ją pod nogi.

— Retro — czyta z monitora Szogun.

— Co?

— Tak nazywa się plik, który kopiuję.

— Ten plik?

— Tak.

— Retro — powtarza Monika.

— Wciąż stoisz.

— Co teraz?

— Czekamy. Przegrywam zawartość karbonado. Robię to poza Ce-trix, musimy poczekać.

— Długo?

— Kilka godzin. Może kilkanaście.

— Zdamy?

Wzrusza ramionami. Jego antybłyski dublują światło żarówki, para świetlnych punktów jak cekinowe oczy kota na jej piersi. Ktoś krzyczy na korytarzu, niby po polsku, ale dziewczyna nie rozumie, o co chodzi.

— Zanim zaczniesz się tam czy tutaj? — mówi do niej. — Zanim tutaj pewnie nie zdążymy.

Monika kiwa głową, zmęczona. Brak sił pogarsza jej wzrok, refleksy na jego okularach mętnieją.

— Jak trzesz oczy — mówi Szogun i przez chwilę się waha. — Trzesz oczy jak moja córka.

Nieprzyjemne ciepło spływa po jej skórze. Blizna piecze.

Monika przygląda mu się długo. Nic nie może wyczytać. On jest jak obraz z tele. Stoi i patrzy.

— Masz córkę.

— Miałem. Tam.

— Co się z nią stało?

— Została tam.

Para świetlnych punktów żarzy się tępo na ciemnych szklach.

— Byłem tu wśród pierwszych. Miała zjechać w kolejnym turnusie. Wiadomo było, że windy pojedą w jedną stronę, ale nie było wiadomo, że Dziura zabija dzieci tak szybko. Więc została tam.

Monika złości się, bo nie wie, czy może mu wierzyć.

Szogun schyla się do szafki pod umywalką. Stawia na stole butelkę wódki i paczkę sucharów. Płucze dwa kieliszki, odsuwa jej krzesło i uśmiecha się tak smutno, że Monika musi na chwilę zamknąć oczy.

Siadają. Polewa.

Nie piją, siedzą bez słowa i gestu. Tylko konsola szemrze.

— Co z Robalem? — pyta go.

— Zabił dwie osoby.

Odbija jej się karbonada.

— Więc pewnie spowiada się — kończy Szogun. — Do lustra. A potem pójdzie sprawdzić, jak Hiszpanie.

— U Listillo, tak?

Szogun uśmiecha się dziwnie.

— Zbieramy siły. Jak tylko będziemy gotowi przejąć Carbonatrix — Szogun zerka z czułością na konsolę — zaczynamy. Chodzi o właściwy moment, by ich zablokować i żeby nie doszło do rzezi.

— Waszych.

— Którychkolwiek — odpowiada Szogun. — Szczur koordynuje przygotowania tu. Ja w Ce-trix.

— A Robal?

Szogun wzrusza ramionami.

— Skąd Robal zna Cwaniaka?

— Niech ci sam powie.

Znów ten uśmiech. Monika mruży oczy, ale pokój wciąż jest osłabiająco brzydki.

— *Los topos* — mówi Monika — Rusczy kupili ich od Hiszpanów i lokują w swoich Dziurach.

— Kiedyś myślałem, że to kaprys. Ale oni są potrzebni. Utrzymują odpowiedni poziom napięcia, niepewności.

— A jak oni... — Monika urywa. — I wy z nimi.

— Czują się tu dobrze. Wśród swoich.

— Nawet pedofile.

— Pedofile są martwi, zanim obsługa na dole otworzy windy — mówi Szogun. — Zdrowie.

— Nie lubię tego toastu.

— Więc pij.



Piją. Monika zjada suchar, potem drugi. Nie pomaga, idzie do kibla i długo wymiotuje.

Gdy wraca, ma nalane. Płucze usta wodą z kranu.

— Pij.

— To zwykła wódka?

— Niemal. Pij.

Piją. Robi się gorąco, puchną jej stopy, bolą palce u nóg. Zdejmuje trampki, przez tę podłogę brzydzi się zdjąć skarpetki. Na podeszwach butów ma zaschniętą krew. Teraz ona polewa. Piją.

— Suchary się zaraz skończą — mówi do niego.

— Myślisz, że są potrzebne?

— Ta strzelanina.

Szogun krzywi się.

— To się niemal nie zdarza — odpowiada. — Widać, że to już.

Konsola szemrze.

— Ile tu jesteś?

— Zbyt długo.

— Gdybyś wyjechał na górę — mówi Monika. Czuje, że znów jest pijana.

— Grudzica zabiłaby cię po ilu? Pół roku?

— Gdzieś tak.

Konsola szemrze.

— Jak ma na imię? — pyta go.

— Kto?

— Twoja córka.

— Nagrałem twoją walkę — mówi Szogun i spogląda na monitor. —

Chcesz obejrzeć?

— Nie — odpowiada dziewczyna.

— Projekcja idzie na innych adresach pamięci, nie spowolni przegrywa-

nia.

— Nie.

— Nie — powtarza za nią.

Piją.

— Nie wierzę w ciebie — mówi do niej wreszcie.

— Nie wierzysz we mnie.

— Nie. Bo kto by się zgodził, żeby tak jak ty.

— Windy były pełne, ledwo mogłam oddychać.

— To co innego. Oni wszyscy myślą, że mieli wybór, że zrobili to dla kogoś. Choć nie mieli go wcale. Ty odwrotnie.

— Pij — mówi dziewczyna.

— Ty odwrotnie. Czemu tu jesteś?

— Pij — mówi łagodnie.

Piją.

— Boisz się — mówi Monika i patrzy na hardler Szoguna. — Tego, co tam będzie.

Szogun podsuwa jej ostatni suchar. Po chwili sam go zjada.

Blat stołu lepi się do jej nagich przedramion.

Szogun bierze jej dłoń w swoją, szorstką i drobną.

— Chodź — mówi do niej.

— Co?

— Chodź. — Ruchem głowy wskazuje materac.

Monika zamyka oczy.

— Wymiotowałam krwią. I sram... czymś dziwnym.

Studiuje palcami jej zdarte knykie.

— Powiedz mi, że to nic — mówi Monika. — Że to normalne. Biorąc pod uwagę warunki.

— No chodź.

— Jesteś chuj.

Monika nie zabiera dłoni.

— Już to dziś słyszałem. Albo nie dziś.

— Czemu ich nie zdejmiesz?

— Pokaż bliznę.

— Kiedy je zdejmujesz?

— Pokaż. Widzę, że cię boli.

Monika wstaje i odwraca się, a Szogun klęka za nią. Dziewczyna podwija koszulkę. Szogun rozpina jej džinsy i zsuwa je do kostek. Nie dotyka jej skóry. Monika wstrzymuje oddech.

— Muszę odkleić opatrunek.

Czuje na krzyżu ciepłe chuchnięcia. Pot spływa spod kolana po łydce. On zdejmuje plastry, nie dotykając jej pleców. Jej dłonie mrowieją. Nie wie, co z nimi zrobić, ścisną podwiniętą bluzkę.

Gorące oddechy. Szogun jest gdzieś z tyłu, schowany za okularami. Monika patrzy na stół, butelkę, kieliszki, okruchy.

Najdziwniejsze uczucie na świecie, na udzie. Dziewczyna dopiero po chwili rozumie, że to pocałunek.

— Przestań.

— Zakochałem się w tobie.

— Przestań.

— Tak działa skanowanie — tłumaczy jej. — Efekt Millions–Shears.

Drugi pocałunek. Zadrżała jej noga, to ją złości.

— Wiem, co to. Przejdzie.

— Ale nie chcę, żeby przeszło.

Monika próbuje podciągnąć spodnie, lecz nie ma jak, przed sobą ma stół, a Szogun jest zbyt blisko. Niezdarny gest.

— Czekaj — mówi do niej. — Zakleję to.

— W porządku? — pyta go, gdy już może się ubrać.

— Co? Tak. W porządku.

Po chwili wahania siadają za stołem. Piją, wsłuchując się w odległe echa piętrowej perystaltyki tego miejsca.

— Dlaczego go wolisz? — pyta ją, gdy butelka jest niemal pusta.

— Kogo? Robała?

— Robała.

— Nie wiem. Bo nie jest taki.

— Jaki?

— No właśnie taki.

— Boisz się mnie.

Monika zastanawia się.

— Nie. — Patrzy na trampki. — Jego boję się bardziej. Ciebie nie lubię.

— Szlag.

Dziewczyna polewa, opróżniając butelkę.

— Ostatnia kolejka.

— Tak — mówi Szogun. — Ostatnia kolejka.

— Chcę ją obejrzeć.

— Nie, nie chcesz.

— Chcę.

Siadają na podłodze, przed monitorem. Szogun wyjmuje minikardridż z antyblasków, odpala go w konsoli, odtwarza film.

Monika patrzy do końca. Szogun wygasza ekran.

— Monika.

Patrzy, nie widzi. Mijają minuty.

— Monika.

— Co? — pyta go wreszcie.

— Tak ma na imię moja córka.

— Ładnie.

Uśmiechają się do siebie. Twarze blisko. Odbija się w jego antyblaskach, łysa, pobita, brzydka.

— Ładnie — powtarza dziewczyna i układa się na materacu. Zamyka oczy.

— Została wódka — mówi do niego albo do siebie. — Ostatnia kolejka.

— Śpij.

— Dlaczego tu zjechałeś? — pyta już szeptem, a sen rozciąga sylaby.

— Z miłości — odpowiada Szogun. — Śpij.

Dziewczyna śpi.

Szogun pochyła się nad monitorem, który głaszcze promieniowaniem gładkie powierzchnie antyblasków.

\* \* \*

Wszystko przyspiesza, mimo że milicyjna suka wolniej niż zwykle sunie przez tłum w pasażu. Chłopaczek w pośpiechu kończy hot doga, żegna się nie-dbałym gestem. W imię Ojca i Syna i wyjmuje z torby butelkę, jednorazową zapalniczką podpala szmacyany lont. Ciska flaszką w samochód.

Płomień bucha na masce, przytula ją, przeciąga się gwałtownie we wszystkich kierunkach. Suka gazuje, rozwała improwizowaną pijalnię karbonady, krzeselka strzelają na boki. Ludzie odskakują, chowają głowy przed plastikowymi szrapnelami. Wiwatują, gdy płonące auto oddala się. Syrena wyje, pasaż faluje. Dziesiątki dłoni w geście zwycięstwa, toasty i bluzgi.

Obserwatorzy patrzą z góry, skryci w cieniu za masywnym neonem PZU. Przestrzeń w dole uspokaja się, wraca do regularnego chaosu przepływów postaci, spojrzeń i informacji.

— Było sobie życie — mówi Szczur.

— Co? — pyta go Listillo. Jest wielkim mężczyzną, który mówi powoli i oddycha z wysiłkiem.

— Tak mi się skojarzyło.

— Ten z koktajlem był od ciebie? — pyta Cwaniak.

— Skąd. To wszystko dzieje się już samo.

— Nie wszystko — mówi Cwaniak. Odwraca się do Szczura, przygląda się z góry jego małej głowie.

Szczur krzywi się.

— Słucham — mówi.

— Te Azjatki.

— Co: te Azjatki?

Grdyka Szczura pulsuje nieregularnie.

— Nic — odpowiada Cwaniak i znów patrzy na pasaż. — Nada de nada.

— No ja, kurwa, myślę, że nada de nada.

Szczur popiskuje jedną z protez.

— Chcesz miętówkę?

Listillo prycha.

— Nie to nie.

Szczur ssie ją głośno i zapamiętane.

— Debile — mówi wreszcie do tłumu w dole. — Debile.

Listillo wzdycha.

— Głupota jest funkcją rozpaczy. A że oni już trafili do piekła.

— Głupoty nic nie usprawiedliwia — odpowiada Szczur.

— To nie powinno się odbywać w ten sposób.

— Znajdzie się kij. A na drzewach.

— Właśnie nie w ten sposób. — Listillo kręci głową. — Zabiłem dziś dwie osoby. Twojego chłopaka.

— Wiem. — Szczur rzuca mu krótkie spojrzenie. — Jaki on mój. To wszystko dzieje się samo.

Cwaniak spluwa.

— Jesteś gotowy? — pyta Szczura. — Jesteście?

Szczur kiwa głową.

— Pójdziecie już teraz? Jeśli będzie trzeba?

— Już trzeba — poprawia go Szczur.

— Czekamy tylko na Szoguna. Ma, na co czekaliśmy.

— Dobrze. A krety?

— Pójdą.

Szczur kręci głową.

— Debile.

\* \* \*

— Nawet nie chcę wiedzieć, jak tu wszedłeś — mówi kobieta i odkłada pustą szklanę.

Skórzany fotel usłużnie poddaje się jej ciału. Błede nogi odpoczywają oparte o masywny stół, miód dębu i mleko skóry. Wielki tele wyświetla ślub brytyjskiego księcia.

Mężczyzna stoi w progu. Smakuje chłód pokoju, ultymatywny wyznacznik statusu. Nie pasuje tu i napawa się tym przez chwilę.

— Koszmarnie wyglądasz — mówi kobieta.

— To film czy rzeczywistość? — pyta ją, spoglądając na ekran.

— Dobre pytanie.

— Nie śpię od czterdziestu ośmiu godzin — mówi mężczyzna, ale nie ma w tym żalu.

Kobieta wstaje, przy barku robi drinka i podchodzi do mężczyzny. Na sobie ma tylko koszulkę Legii Warszawa.

— Musisz wreszcie zdjąć antybłyski — mówi do niego. — Skronie masz całe opuchnięte.

Mężczyzna czuje jej zapach. Jest gorąco. Dywan ugina się pod nim gościnnie.

nie.

— Musisz się wykąpać — mówi kobieta. — Wyspać.

Brzęczą kostki lodu pływające w alkoholu.

— Co ty zrobiłaś?

Kobieta wypija drinka. Studiuje grubość szkła w dłoni, a potem podnosi wzrok, dwa zmęczone błękity, na jego okulary.

— Nic nie mogłam zrobić.

— Widzisz, co się dzieje. — Mężczyzna mówi cicho. — To był jeszcze dzieciak. Nawet nie wiem, czy skończył seminarium.

— Dopiero zaczął.

Do opuchniętej wargi przykładła mu zimną szklanekę. Lód wewnątrz topi się powoli.

— Naprawdę musisz je zdjąć.

— Co ty zrobiłaś?

— Macie to?

Mężczyzna mija ją tak, by jej nie dotknąć. Sam nalewa sobie wódki.

— Więc macie. — Słyszy za plecami.

Odwraca się do niej, dopiero jak wypija.

Kobieta patrzy na niego, opiera stopę o stół. Drobne palce, mężczyzna pamięta ich wyjątkowy zapach.

— Co z Generałem? — pyta ją.

Kobieta nie odpowiada. Zabiera stopę z ławy i opada na fotel, mocno i ciężko.

— Jestem tym taki zmęczony — mówi mężczyzna. Wciąż stoi, bezradny i słaby.

Milczą, patrząc gdzieś obok.

— Masz tu aktywne gniazdo.

— Więc po to przyszedłeś.



— Potrzebna mi stabilna modemówka z Ce-trix.

— Taki zmęczony.

Mężczyzna nie wie, czy ona go przedrzeźnia.

Kobieta wstaje i rusza w stronę drzwi.

— Elwira.

Ona zatrzymuje się, ale nie odwraca.

— Jak się czujesz?

Kobieta wychodzi.

\* \* \*

Szogun rozmawia z gigantycznym sercem. Carbonatrix przyspiesza, wszystko przyspiesza.

Szogun, świetlisty punkt, zanim rozpułynał się bez-awatarem, pokazał im, demoscenie z jego Dziury, kto jest kozak.

Zapłonął gwałtownie, efekciarsko, w samym środku pustawej siatki peryferyjnych adresów. Prowincjonalny playboy, lokalny mesjasz. Przechuj, który spuścił się mocą i aktywnością, aż dostał zwrotny raport o granicznej aktywności bliterów i zwiększeniu poboru prądu wiatraków chłodzących bataliony kilkusetmegahertzowych bestii Motoroli, na których sam kiedyś – w poprzednim życiu tam – budował Ce-trix polskiej Dziury.

Szogun zabłysnął płomieniem jasnym i mocnym, który wystrzelił liniami siatki we wszystkich kierunkach, i w tej maleńkiej drobinie czasu, zanim spłonął, zrealizował jeszcze wszystkie zaległe misje. Niech wiedzą, niech mają. Lokalny mesjasz, kurwa ich mać.

Gdy zniknął, przyglądał się fali uderzeniowej, jaką po sobie zostawił, wierzgnięciu sceny, podziwowi, hysterii i zazdrości, a potem drobnemu przesunięciu nawet w centrum Ce-trix. Wreszcie poczuł się nieźle. Pierwszy raz od tak dawna, że aż go zdziwiło, jakie to dobre.

Potem zniknął, a wolno dogasające powidoki pożaru, który wywołał w licznych adresach pamięci, uniemożliwiły jego wytropienie.

Wtedy Szogun zabrał się do pracy.

Nigdy nie wie, gdzie szukać Centrali, po prostu daje się jej znaleźć. Adres zna jedynie z grubsza, kluczy więc, od rejestru do rejestru, niby niewidoczny, jak pedał w parku o północy.

Daje się znaleźć.

Władza, siła, gwałt. Centrala bierze go, zabiera nie wiadomo dokąd. Pedał w parku.

Trójwymiarowa kanciasta przestrzeń o ściśle zdefiniowanych wymiarach, sześć granicznych powierzchni. Zamknął go, zamknęli, w pozornie niedbale postawionej klatce: raster o ograniczonej rozdzielczości i niewielkiej liczbie kolorów. Każda ze ścian przedstawia to samo zdjęcie: roześmiana młoda para, piękna, uroczysta. Welon, suknia i perły, mucha i garnitur. Elwira i Generał.

Nostalgia chwyta Szoguna ciepłym, zbyt mocnym uściskiem: byli wtedy tacy młodzi.

Pojawia się Centrala. Gigantyczne serce, niemal szczelnie wypełniające cyfrową klatkę. Bije miarowym, tłustym rytmem, w którym jest i grzmot, i mlaśnięcia bestii, i przedwieczny szum najstarszego oceanu. Triumf życia i pierwotnej mocy, idący naturalnym pogłosem do każdej komórki pamięci Carbonatrix.

Szogun, postawiony przed jego obliczem, za każdym razem jest przekonany, że ten pogłos wychodzi z samego jądra Ziemi, z jądra wszystkiego. Gdy wraca do Dziury, wrażenie mija. Ale teraz trwa.

Można tylko czekać. Szogun napawa się łomotem.

— Dostałeś przesyłki — mówi Centrala. — Kobietę i kość.

To nie jest pytanie.

— Kopiujesz Retro.

Szogun milczy.

— Uruchom go natychmiast po przekopowaniu.

Szogun dostaje dreszczy, dziwnie odczuwa wymęczone ciało, gdzieś tam, poza digiklatką. Ale chyba rozumie, jest przygotowany.

— Nie da się samemu wyciągnąć za włosy z bagna, co?

— Jeśli wniebowstąpienie nie wchodzi w grę — odpowiada Centrala — spróbuj wniebowzięcia.

— Odetniemy im Ce-trix — mówi Szogun. — Co wtedy? Co z nią zrobicie?

— Nic. Właśnie o to chodzi. Wyłączamy dostęp do broni masowego rażenia.

— Wszystkim.

— Wszystkim. I Moskwa wie, że Waszyngton wie, jaki jest układ sił. Będzie po wszystkim.

— Tysiące ofiar, dziesiątki tysięcy.

— Zrób rachunek dla alternatywy.

Szogun zastanawia się przez chwilę. Nie powinien być tym obarczony. Wtedy uświadamia sobie, że nigdy nie usłyszał, że jest jedyny.

— Jak się nazywasz? — pyta superserce. — Jak nazywacie się dla innych, takich jak ja? W pozostałych Dziurach?

— Jesteś zmęczony — odpowiada Centrala.

— Co stałoby się, gdybym nie uruchomił Retro?

— Winda już na was czeka. Zabezpieczyliśmy wyjście. Lekarze, szczepionki.

— Bez tej jednej Dziury. Czy to coś istotnie zmienia?

— Jesteś zmęczony — mówi do niego Centrala. Serce bije teraz szybko, wściekły megatłok.

— Nie muszę się martwić o to, kogo zastanę na górze. Jestem bohaterem

dla jednych i drugich.

Brak odpowiedzi.

— Przeliczasz coś — mówi Szogun.

— Jesteś zdrajcą — odpowiada Centrala. — Dla jednych i drugich.

— Ale to ja zadecyduję, czy wyjedzie Generał, czy Szogun.

— Powiem im.

— Nic tam nie możesz — tłumaczy Szogun. — Beze mnie nie trafisz do siatek na powierzchni.

— I nie zablokuję rakiet.

— I nie zablokujesz rakiet.

— Uruchom Retro po przekopowaniu — powtarza Centrala.

— Nie rozumiesz podstawowych rzeczy.

— Winda, szczepionki.

— Nie jesteś człowiekiem — mówi łagodnie Szogun. — A mogłeś to wygrać.

— Działaj. Czekam.

— Wygrałobyś. Tylko nic nie rozumiesz.

— Czekam.

Szogun, świetlisty punkt, atom po atomie składa się z powrotem. Wielokrotnie przełyka żółć, nie potrafi wstać z fotela, a trzęsące się palce nie mogą wypiąć wtyczki z gniazda na karku.

Dotyk obcej, pomocnej dłoni.

Odwraca się.

— Jedźmy po Robala — mówi Elwira. — Bo to chyba już.

Eksplozje z oddali jak echa tłustego rytmu cyberserca.

\* \* \*

— Był Robal? — pyta Szogun i opuszcza lufę sploty.

— Poszedł do budek telefonicznych w korytarzach — odpowiada Monika. Szogun i Elwira wchodzą do dziupli, w której zostawił Monikę.

Kobiety ostentacyjnie lustrują się wzajemnie. Szogun siada na podłodze, pochyla się nad padem i monitorem.

Ruszyli od niej pieszo. Elwira dała mu pistolet Generała, który ledwo zmieścił się w kieszeni kurtki. Brzydki przedmiot, Szogun nigdy go nie lubił.

Prowadził ją, ubraną po cywilnemu, za rękę, jak Monikę, tak dawno temu. Ścisnął jej chłodną dłoń, ścisnął chwyt broni, nie mówił nic i brnął, od cienia do cienia.

Patrzyli na nich. Przyglądali się jej i jego antybłyskom, ale nikt nie ośmielił się podejść ani ruszyć ich śladem. Ci, którzy by chcieli, potrafili czytać jej spojrzenie i wybrzuszenie w jego kurtce.

A pasażerki pękły, wrzód nabrzmiał i wreszcie wylał, fetorem i trucizną. Stragany płonęły. Smród topiącego się tworzywa. Rozgrzany metal. Szklany grad. Wrzeszczący ludzie przemieszczali się grupami, które gęstniały, puchły i w najmniej spodziewanych momentach zaczynały nagle krwawić. Strzały znikąd, palce wysoko w geście zwycięstwa. Dużo wódki i karbonady, puste butelki roztrzaskiwane o poranione neony.

Stado mężczyzn upolowało kobiety, walczyli między sobą, który pierwszy. Głucha Chinka przestała się bronić. Patrzyła na Szoguna i Elwirę, jakby zdziwiona, że trzymają się za ręce. A potem ją opadli.

Byli już prawie u celu, gdy chaos zaczął krzepnąć.

Wpadli na kilku zomaków. Szturmowe mundury, pały i strzelby. Milicjanci poznali ją, zamarli w pół kroku i ciosu. Szogun spojrzał w przyłbicę ich lidera. Gdy pryszczaty gówniarz uśmiechnął się do niego, pistolet Generała zrobił się lekki.

Jedni i drudzy poszli w swoją stronę. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

Teraz, w dziupli.

— I jak? — pyta Elwira.

— Gotowe — odpowiada Szogun znad monitora. — Plik się skopiował.

— Co teraz?

— Mam go uruchomić w Ce-trix.

Kobiety stoją oparte o przeciwległe ściany, on między nimi, siedzący po turecku na lepkiej podłodze, niczym jądro tego wyjątkowego atomu o chwilowej, kruchej symetrii. Obserwują go, jak podłącza konsolę do kabla idącego od gniazdką w ścianie.

Mijają sekundy, odliczane komendami wybieranymi z pada.

— Kurwa mać — mówi Monika z uznaniem dla chwili.

Nagle włącza się tele. Przemawia Generał. Kobiety słuchają. Metaliczny głos i słaby synchron dźwięku z komputerowo animowanym ruchem ust. Należy natychmiast wrócić do pokoi, siły porządkowe już reagują na chuligańskie wybryki.

Szogun nawet nie podnosi wzroku znad monitora.

Po chwili wyłącza go i odłącza konsolę. Pakuje ją do torby i wstaje.

— Kurwa mać — powtarza Monika.

Coś przychodzi jej do głowy. Jeszcze raz zerka na postać na ekranie, potem na Szoguna, i znowu na ekran, i znów na Szoguna, który odwzajemnia jej uśmiech.

— To już — mówi Elwira.

Ostry pisk. Generał na tele znika.

Brak dźwięku. Nowy obraz, który z początku biorą za statyczny.

Ujęcie spod sufitu, z samego rogu pomieszczenia, niczym milic-kamera z pasaży. Pokój bez żadnych mebli i widocznych okien. Na środku mężczyzna siedzący na krześle. Zbliżenie kamery. Mężczyzna jest młody, pobity i za szyję przywiązany do wysokiego oparcia.

Licznik w rogu pokazuje aktualną godzinę i datę. Idzie na żywo.

Patrzą po sobie wszyscy troje.

— To wiadomość do nas — mówi Szogun. — Do mnie.

— Znasz go? — pyta Elwira.

— Nie.

— Ja też.

Monika kręci głową.

— Skąd wiesz? — pyta znów Elwira. — Że do ciebie?

— To nie jest od Generała — mówi Szogun. — To z Centrali.

Powietrze w dziupli gęstnieje. Mężczyzna na ekranie spogląda w kamerę, jedynym okiem, którym jeszcze może. To, co brali za blizny albo tatuaże, to przemysłowe zszywki, wbite w jego policzki i skronie.

— Co zrobiłeś? — Elwira przygląda się Szogunowi.

Do środka wchodzi Robal.

Chce coś powiedzieć, ale patrzy po nich, spogląda w tele i zamiera. Upuszcza strzelbę i sportową torbę. Patrzy na twarz na ekranie. Zaczyna płakać, gęste wąsy i wszystkie podbródki dygoczą. Robal patrzy w ekran i trzęsie się cały, wibruje w żałości bezsilny sposób.

Pobity, schwytany mężczyzna na tele.

Szogun próbuje przełknąć ślinę i nie może. W gardle ma glistę, która puchnie i rozpycha się.

— Jacku — mówi Elwira i wyciąga dłoń w stronę Robala.

Grubas próbuje wziąć głęboki wdech, ale nie może, rzuca się jak w zapętlonym gifie. W końcu schyla się po broń. Podchodzi do tele, pluje w ekran i kolbą rozpieprza ekran. Zostaje tak, tyłem do nich, ze zwieszoną, ciężką głową.

— Jacku.

Glista w gardle, Szogun aż drapie się po grdyce.

— Znaleźli go. I teraz.

Ledwo go słyszą.

— Przeze mnie.

Odwraca się do nich.

— Cóż — mówi, sięgając do torby. Przeładowuje broń.

Podchodzi do Szoguna. Jeszcze nigdy nie wydawał mu się tak wielki.

— Który to raz się zegnamy?

— Nie musimy.

Robal zarzuca torbę na ramię, ściska strzelbę i wychodzi. Cicho zamyka za sobą drzwi. Szogun już nigdy więcej go nie zobaczy.

Kobiety patrzą na Szoguna.

— Nie wiem — mówi do nich. — Naprawdę nie wiem.

Każdy tu przed czymś uciekł. Każdy z bagażem.

Błysk zrozumienia niemal go przewraca.

I wtedy mówi coś jeszcze, ale już sam nie wie co. Robal przestaje się liczyć, Dziura przestaje się liczyć.

Szogun chce wyć. Umiera tam, w śmierdzącej norze głęboko w ziemi, i trwa w żałobie przez całe wieki.

Wszystko w sekundę. Zależy jak liczyć.

Mężczyzna zacina się i przygląda Elwirze.

— No co?

— Nic.

Ona nie rozumie, na szczęście. Nie ma pojęcia, przynajmniej na razie.

— To była wiadomość do ciebie? — pyta Monika. Mruży opuchnięte oczy.

— Zamknij się — warczy Szogun.

I zanim którakolwiek zdąży się odezwać, podnosi z podłogi torbę.

— Zabierz nas — mówi do Elwiry. — Do Sekretnej Windy.

Wychodzą z dziupli i idą pustym, pokrwawionym korytarzem. Gdy mijają



budki telefoniczne, telefony rozdzwaniają się, jeden po drugim.

Szogun krzywi się na nie i spluwa. Jak Robal, przyjaciel.

\* \* \*

Suną do góry, w ciasnej klatce metr na metr, ciało przy ciele.

Uciekają z płonącego piekła w nieznane.

Nie musieli zabijać po drodze i nie dali się zabić. Gdy automaty kompleksu skanowały siatkówkę Elwiry, mężczyzna i dziewczyna zabezpieczali tyły.

— To była wiadomość do ciebie — szepnęła dziewczyna.

— Tak.

— Skoro dokopali się do tej historii z Robalem, twoją historię znali tym bardziej.

— Tak.

— Boże.

Jakby miał płuca pełne piachu.

— Może do niej nie dotarli — podjęła dziewczyna. — Nie znaleźli jej.

Albo Centrala blefowała.

Elwira wciąż przy skanerze.

— Może — odparł Szogun.

Wiedzieli, że to nieprawda.

— Była chora? Jak ją tam zostawiliście?

— Nie.

— Ile miała lat?

— Niecałe dwa.

Elwira wciąż przy skanerze.

— Monika.

— Tak.

— Nie mów jej. Proszę.

Teraz wznoszą się, ciało przy ciele. Są na tyle blisko, że mieszają się ich zapachy i myśli. Suną tak długo, że monotonna wibracja miesza im błędniki i sami nie wiedzą, czy winda jedzie w górę, czy w dół. Ale żadne nie powie tego głośno.

— Zastanawiam się — szepcze Elwira. Nie śmie podnieść głosu. — Po co ta wiadomość z Centrali. Dostali, czego chcieli.

— Nie — odpowiada Szogun.

— Co?

— Nie. Nie uruchomiłem Retro w Carbonatrix.

— Co?!

— Nie.

Każde z nich rozważa to, co powiedział.

Mechanizm windy szumi regularnie, jakby odliczał nie wiadomo do czego. Któreś z nich wtóruje mu bezwiednym, skromnym zawodzeniem. Kręci im się w głowach. Winda kurczy się i ich poddusza.

Brak słów gryzie uszy. Ale on i tak nie wie, co powiedzieć. Czuje, jak płoną mu nogi, płuca, oczy. Jest taki zmęczony.

— To by nic nie zmieniło — mówi Monika. — Nie przejmuj się. Transmisja poszła niemal natychmiast, mieli to przygotowane i tak.

— I tak — powtarza za nią Szogun albo tylko mu się wydaje, że to robi.

Wznoszą się, opadają, ciało przy ciele. Szogun czuje serca kobiet, mimochodem wchłania ich tętna.

Jeśli wniebowstąpienie nie wchodzi w grę, spróbuj wniebowzięcia.

Wznoszą się.

Przysypia, budzi się i czuje czyjaś dłoń w swojej, obrzmiałej i bezładnej. Myli je, dopiero po chwili orientuje się, że to dłoń Moniki. Z trudem patrzy na jej opuchniętą twarz, ogoloną posiniaczoną głowę. Już nigdy więcej jej nie

zobaczy.

Winda zatrzymuje się. Drzwi ruszają. Światło, tyle światła.

\* \* \*

Mężczyzna stoi przy oknie. Patrzy na zalesiony szczyt, na błękit nad nim, tak jednolicie gęsty, że wyglądający jak namalowany barwą o stałych współrzędnych. Świat pachnie, więc jest.

— Wracaj tu — mówi kobieta. — I mnie przykryj.

Mężczyzna odwraca się.

Kobieta leży na podłodze, wciąż szukając oddechu.

Mężczyzna podchodzi i klęka.

Teraz oboje mają okulary, lekkie blokery światła słonecznego. Kobieta dotyka dłonią jego skroni, wędruje palcami wzdłuż rozpulchnionej blizny po antyblyskach. Dotyka nosa, ust. Stuka w oprawkę blokera. Mężczyzna na chwilę odsuwa głowę.

— Pamiętasz jeszcze nasz ślub? — pyta go.

— Nie wiem. Nie wiem, czy dobrze pamiętam.

— Ja pamiętam. — Kobieta uśmiecha się.

Blokery szejdują jej znoszone oczy w grafikę poświęcenia, od której jest mu jeszcze ciężej.

— To było tak dawno — mówi kobieta. — A teraz jesteśmy wolni.

Bierze w dłonie jego twarz. Oboje myślą o tych, którzy nie doczekali, bo, sprowokowani, wyrwali się zbyt wcześnie.

— Niewiele brakowało — mówi mężczyzna.

— Niewiele brakowało.

Nachyla się, by pocałować jej brzuch.

— Nie mogę przestać o nich myśleć — mówi ona.

On powstrzymuje się od zerknięcia na telefon na stoliku.

— Cicho — mruczy. — Jak się streścimy, zdążymy przed zastrzykami.

Całuje ją.

Ona tężeje, na chwilę.

— Znajdziemy ją, prawda?

Zamyka oczy i ją całuje.

— Znajdziemy?

— Znajdziemy — odpowiada mężczyzna.

Za oknem wszystkie błękity i czernie, jak morza i oceany.

Mężczyzna myśli o tym, że telefon w końcu zadzwoni.

## Ciężki metal

„Punisher War Journal”. Noże, garoty, kastety, maczety, katany, granaty, miny, bomby, bazooki i co najmniej jedna staroświecka armata. I giwery, mnóstwo giwer. Duże, wielkie i jeszcze większe, rozdęte do monstrualnych rozmiarów rozpasaną kreską kolejnych rysowników. Wielgaśne giwery, grube jak sterydowe uda głównego bohatera. Wszystkie dzierżone przez niego bez żadnego wysiłku i faszeringujące ołowiem gangsterów wyglądających jak punki (wcześniej) albo alfonsi (później). To już piętnaście lat. Tyle czasu minęło, odkąd pierwszy raz wziąłem do ręki polską wersję komiksu.

„Dziennik wojenny Punishera”. Tymi słowami zaczynały się kolejne zeszyty. Dialogi i dylematy moralne ograniczone do minimum, ważniejsze były onomatopeje naśladujące eksplozje i trzask pękających zębów, wybijanych lufą pistoletu. Wszystko takie proste.

Dziennik wojenny. Jak opowiedzieć o wojnie?

Nie czuję się dobrze. Serce zasuwa, nadgarstki wibrują, naspidowane mrówki urządzają zawody w żyłach moich przedramion. Mam lodowate palce, gorące uszy i wilgotne oczy. Jądra się kurczą, szukają schronienia w słabym ciele. Jak opowiedzieć o szaleństwie?

Nazywam się Łukasz Ozimczuk. Mam dwadzieścia pięć lat. Przez całe życie mieszkałem w Lublinie. Ostatnie lata w strefie bezpośredniego kontaktu z przedziwnu (mimo wysiłków pogranicze wciąż puchnie, w nasze głowy wlewa się wykrzywica). Służyłem jako stacjonarny prostownik w II Lubelskiej Kompanii Pogranicza, którą dowodzi kapitan Andrzej Ozimczuk. Mój ojciec. Kompania wchodzi w skład Pułku Kresowego, na którego czele stoi

srogini Michalska.

Srogini. Wystarczyło jedno jej spojrzenie i wszyscy – ja, tata i reszta pułku – wszyscy byliśmy gotowi skoczyć do samego piekła. I skakaliśmy.

Zmuszają mnie, bym wszystko opowiedział. Trzy dni. Całe życie. I dużo więcej.

\* \* \*

Lublin pachniał, a zmysły mieszały się. Bo Lublin pachniał miękką szeszczącą zielenią, pachniał przyjemnie orzeźwiająco ciepłą ciemnością. Siedziałem po turecku z piwem w ręku. Był mój, a ja byłem jego. Gdybym teraz zerwał się, rozpędził i skoczył, runął prawie czterdzieści metrów w dół, Lublin nie dałby mnie skrzywdzić. Pochwyciłby mnie i zaniósł z powrotem na dach. Piłem, słuchałem szumu w dole, rozkładałem ręce, rozkładałem dłonie szeroko, by każdym wolnym porą chwytać lipcowy wiatr, i naprawdę tak myślałem. Dlatego wolałem nie zbliżyć się do krawędzi.

Siedziałem na dachu wieżowca, w którym mieszkałem niemal całe życie. Betonowy moloch, połamany nieregularnie na kilka przylegających do siebie segmentów. Dwanaście pięter, czternaście klatek schodowych. I niemal tysiąc mieszkańców, nawet teraz, podczas konfliktu. On i jego osiedlowi towarzysze musieli z góry wyglądać jak monstrualne kanciaste węże, pławiące się w puszystej zieleni. Siedziałem na grzbiecie betonowego gada, smakowałem piwo i smakowałem bezruch. Spokój był blisko jak rzadko kiedy. Wyczuwałem go tuż za granicą pola widzenia, jakby czaił się za moimi plecami.

Czekałem na ojca. Wyruszyli tydzień temu „Ułanem”, nowym skrzepołamaczem, skierowanym na lubelski odcinek w ramach uzupełnień europejskich sił World Treaty Organization. Test bojowy sprzętu wyprodukowanego w barcelońskich stocznicach: nowe, organiczne filtry mają umożliwić efektywne prowadzenie działań na pograniczu przez dobre osiem dni i aż do trzech tygodni

w warunkach defensywnych, przy wyłączonym rozkrzepie, w razie kłopotów ze znalezieniem drogi powrotnej. Pierwszym wypadem „Ułana” dowodził kapitan Andrzej Ozimczuk.

Tata.

Gdy poczułem ucisk w okolicy węzłów chłonnych, odłożyłem butelkę i powoli opadłem na plecy. Zbliżali się. Uśmiechnąłem się do nocnego, letniego nieba. Jakie pory roku mają tam, w otchłani? Ucisk narastał. Przymknąłem oczy, wiedząc, co zaraz nastąpi. Kilka chwil bez dźwięku, bez ruchu, wszystko jak na pauzie. I nagle play, nagle znów pomieszanie zmysłów. Niebo pękło, rozdarło się, gwałtownie wyrzygało matowe światło, uwalniając przy okazji lśniący metalicznie, nieregularny kształt. Wiatr rozjęczał się między wieżowcami, zawtórowały mu alarmy samochodowe. Głośno, mocno, wysoko, jak gitarowe solo. Sam miałem ochotę powrzeszczeć.

Chodź do domu.

To był ułamek sekundy. Krócej niż mgnienie oka, nie dłużej niż mgnienie myśli. Wystarczyło. Zanim pogranicze zniknęło, zanim rana na niebie zasklepiła się, zerknąłem ku otchłani. Wtedy zewnętrżności przejrzały się we mnie, polizaly od środka moje ciało i duszę. Jęzor przedziwnu, kwaśny i włochaty, zostawiał lepkie ślady na wspomnieniach. Wyżerał twarze, roztopiał słowa. Mieszał wszystko. Wykrzywił.

Ostry ból wokół szyi, tępe łupanie w stawach. I ten okropny zawrót głowy. Oparcie zniknęło, spadałem i wzbijałem się jednocześnie, świat wokół zadrżał i zaczął wirować, wirowałem i ja, coraz szybciej i szybciej, coraz krzywiej. Krzywy język uciekał z pokrzywionej gęby, pełzył gdzieś po policzku, w stronę ucha, tam spierdalały pokrzywione oczy. Krzywe struny głosowe rzeziły w wykrzywionej krtani.

Na szczęście odbiło mi się ochronną zupą ze szczawiu i wędzonej pasztowej. Zacisnąłem oczy, ugryzłem się w język. Mocno. Łzy pomogły, przemyły

trochę głowę. Głęboki wdech. Rozchyliłem powieki. Pogranicza nie było. Był „Ułan”.

Podniosłem się z trudem (członki zrobiły się jak gumowe, a stawy rozregulowały), ukradkiem przetarłem mokre oczy. Rozkołysany skrzepołamacz powoli schodził coraz niżej. Odstawił swego kapitana niemal pod próg, zanim podryfuje do aeriny na Majdanku. Wspaniała maszyna. Przypominała skrzyżowanie wielkiego, kanciastego jeża z nosorożcem. Tony metalu, obsługiwane przez trzydziestu ludzi: dziesiątki ostrych kilkumetrowych wypustek, upstrzony bulajami grubaśny pancierz, rozkrzep na dziobie, wciąż gorący, rozwibrowany i upačkany poskrzepowym flopem. Stabilizatory dyszały cuchnącym wyziewem pogranicza, żółte reflektory skanowały dach i mnie. Niemal fizycznie czułem na sobie spojrzenia rzucane zza firanek ciemnych pokoi w budynkach wokoło. Tak jest, ludzie, tu mieszka wasz bohater. Tu jest dom Andrzeja Ozimczuka.

Duma daje tyle siły. Prostuje ciało, prostuje w głowie.

„Ułan” zszedł nisko, tuż nade mnie, odciął pół świata. Poczułem paliwo, rozgrzaną stal i otchłań, mimo woli schyliłem głowę. Ze środka wyskoczył mężczyzna w czarnym mundurze. Gdy szedł po dachu w moją stronę, skrzepołamacz odleciał na kilka metrów i powoli odwrócił się do nas dziobem. Ciemna postać, ledwo widoczna zza jednej z pancernych szyb, uniosła dłoń w geście pożegnania. Pomachaliśmy jej. „Ułan” sapnął mechanicznie, jakby ze zmęczenia, po czym ruszył w noc, do jednostki.

— To była srogini? — spytałem ojca.

Pokiwał głową, wpatrzony w maszynę i trochę nieobecny, jakby jakaś jego część odlatywała skrzepołamaczem.

W końcu odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął. Nie podobał mi się ten uśmiech, szczery i jednocześnie ponury. Tak krzywili się do mnie ludzie w obcych, podrzuconych mi przez wojnę wspomnieniach pogrzebu.

— Jak jest? — spytał, kładąc mi dłoń na ramieniu. Była ciężka i przynio-



sła odległy płacz noworodków. Jedno z najokropniejszych ech po przedziwnu.

— Okej — skłamałem. Przypatrywał mi się, jakby sobie przypominał. Albo się mnie uczył.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Pewnie. — On też nie umiał kłamać. Jego oczy, przekrwione ze zmęczenia, głęboko wycofane w sine bruzdy, nie umiały.

Usłyszeliśmy syreny, wysokie tony ułożyły się w krótki komunikat. Gdzieś na obrzeżach miasta chlusnęło wykrzywica. Oby nie było ofiar.

— Pewnie — powtórzył ojciec. Jego dłoń była coraz cięższa. Objąłem go w pasie. Pachniał moim dzieciństwem. Szczęściem.

Powoli ruszyliśmy w stronę zejścia na klatkę.

— Mama już śpi.

— Nie szkodzi.

Chodź do domu, tato.

\* \* \*

Śniła mi się, kolejny raz. Byliśmy sami, a ona szła w moją stronę. Znowu to wrażenie: znam ją ze świata sprzed wojny, już ją kiedyś spotkałem, zanim stała się tym, kim jest – jedyną wciąż żywą wśród pierwszych tłumaczy. Jedyną, która przeżyła samotny powrót z pogranicza. Znow to wykańczające uczucie, że ją poznałem, zanim pokazała światu, jak walczyć, zanim stała się naszą największą bronią. Żywą legendą.

Śniło mi się, że podeszła blisko. I zrobiła jeszcze krok. Wtedy znajoma postać rozproszyła się na kolejne detale. Lśniaca czerń skóry munduru. Refleksy na metalowych sprzączkach pasków. Błada, napięta skóra twarzy. Usta. Krzywizna brwi, zdecydowana, ostra. Włosy niknące pod furazerką. Ostentacyjna opaska na oko, którego nie ma. Rzęsy tego, które jest. Kości policzkowe, jeszcze ostrzejsze niż brwi.

Usta.

Obudziły mnie odgłosy zza ściany, na tyle głośne, że przebiły się przez zagłuszcacz. Uprawiający seks rodzice skutecznie przegnali erekcję i senność. Pierwsze dwie godziny świtu były duszne i niewygodne, pociłem się w poszwę, rzucając się w niej na boki, jak larwa w lepkiem kokonie. To najbezpieczniejszy sposób spędzania nocy przy obecnej konfiguracji przepływów wykrzywicy na pograniczu przylegającym do mojego pokoju. Spanie pod kołdrą byłoby ryzykowne, groziłoby przeciekiem. Dlatego śpię na kołdrze, a w bawełnianym niby-śpiworze. W jednej z grup dyskusyjnych po ciemnej stronie sieci ktoś polecał niektóre komplety pościeli z Jyska: specyficzny skład bawełny, z której są zrobione, w połączeniu z farbami pokrywającymi materiał, miały dawać dobre wyniki. Najeździłem się za nimi (w mieście musiało być więcej grupowiczów, niż mi się wydawało), ale było warto. Sprawdzają się.

Wiem, jak to wszystko brzmi. Ta wojna krzywi. Czeka, aż będziesz sam, słaby, zmęczony i niepewny. Wtedy wyciąga po ciebie łapsko. Chwyta za kark stalowym uściskiem i przygina do ziemi. A ty osuwasz się, coraz niżej i niżej. Mimo że się starasz, że walczysz o pozostanie sobą, o niepodrzucone wspomnienia i prawdziwe twarze ludzi wokoło.

Walczyłem i szedłem coraz niżej. Wszyscy walczyliśmy.

O wpół do siódmej wygramoliłem się wreszcie z łóżka. Poranne rytuały: zmiana płyty z zagłuszcaczem, włączenie laptopa i logowanie w serwisach z obu stron sieci (jednak tak, by nie przeczytać żadnej z wiadomości, jeszcze nie teraz), lektura SMS-ów z centrali, informujących o stanie pogranicza, pięćdziesiąt pompek, wreszcie prysznic.

Wymruczałem powitanie krzątającej się po kuchni matce i wszedłem do łazienki. Ojciec golił się przy umywalce.

— Co tak wcześnie? — spytał, nie odrywając wzroku od odbicia

w lustrze.

— Wyspałem się — wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po szczoteczkę do zębów.

— Ja też. — Uśmiechnął się do siebie.

Pomilczeliśmy dłuższą chwilę. Ukradkiem przyglądałem mu się.

Bardzo się zmienił od czasów mojego dzieciństwa. Niedawno zszokowało mnie zdjęcie, które znalazłem w jednym z moich starych komiksów. Pierwsza komunia: pyzaty chłopiec w przydługiej albie (miałem ją po Mariuszkę, który w moim wieku był sporo wyższy) i białych sofiksach. Za chłopcem stoi korpulentny, szpakowaty czterdziestolatek, ubrany w głębokie, odprasowane w kant portki i koszulę z krótkim rękawem w wielkie, koszmarnie kolorowe kwiaty. W ogóle nie pamiętałem go takiego: miękkiego, pogodnego pana o przyjaznej twarzy i ciele napompowanego noworodka. Faceta, którego zawodowe obowiązki przed wojną ograniczały się do organizowania żołnierzom z jednostki kolejnych kulturalno-oświatowych atrakcji.

Obok mnie stał teraz ogolony na łyso postawny mężczyzna. Cały w tatuażach, które ożywały, gdy ożywały silne mięśnie pod nimi. Był wysoki, jakby od czasów zrobienia tamtego zdjęcia rósł razem ze mną. A schlastana bliznami twarz kapitana Andrzeja Ozimczuka na pewno nie była przyjazna.

— Znalazłem jego ślady w kilku skrzepach — powiedział wreszcie ojciec.

Zamurowało mnie. Czekałem na więcej.

— Rzadki, rozległy wzór — dokończył. — Ale słaby, niewyraźny. Oscylował przy skrzepach ciekących do kanałów nienewtonowskich. Mariusz chyba jednak szuka możliwości powrotu przez tryb semantyczny.

Mariuszek. Mój starszy brat. Tyle lat więziony w chorej tkance pogranicza, dręczony przez przedziwnu. Wył bezgłośnie kolejnymi misternymi mozaikami, które składałem do kupy z tekstów i obrazów, rozrzuconych pozornie bezładnie

po jasnej stronie sieci. Tyle lat niewyobrażalnej tortury.

— Potem podeślę ci koordynaty — powiedział ojciec. — Poszukasz nowych tropów.

— Może uda się złożyć kolejną wiadomość. — Nie umiałem ukryć ekscytacji.

— Oby. Musimy się spieszyć, przedziwnu zbiera siły. Kroci się coś dużego. Serce zabiło mi jeszcze szybciej.

— Idzie ofensywa — powiedziałem.

Tylko pokiwał głową. Ofensywa. To słowo wracało coraz częściej, jak kolejne symptomy śmiertelnej choroby. Daremnie oszukiwaliśmy się, że sytuacja jest stabilna, że obserwowane w otchłani ruchy wroga to jedynie fałszywe alarmy, ale jednocześnie niczego nie obawialiśmy się bardziej. Ofensywa przedziwnu, inwazja ostateczna.

Nie wiedziałem, co jeszcze można powiedzieć. On też nie.

— Robię jajecznicę! — dobiegł nas głos z kuchni.

— Tak jest! — odkrzyknął ojciec, a ja wszedłem pod prysznic.

Byłem taki podekscytowany! Nowe ślady Mariusza oznaczały nowe współrzędne miejsc, w których powinniśmy szukać kolejnych fragmentów wiadomości od niego. Jeńca i ofiary. I najlepszego szpiega, jakiego mieliśmy.

Gdy wyszedłem z kabiny, ojca nie było w łazience.

Ubrałem się i wszedłem do kuchni. Matka zmywała, na stole czekało śniadanie. Jedna porcja. Talerz jajecznicy plus obowiązkowe sześć parówek.

(Było dobrze, jak zjadałem dwie. Przez ostatnie miesiące coraz więcej żywności było zainfekowane. Matka musiała zwiększać porcje, bo coraz więcej tego, co przygotowywała, trafiało do kosza. Czułem, że ma z tym problem, ale milczała).

Jedna porcja.

— Mamo.

Odwróciła głowę w moją stronę.

— No, jedz.

Drzwi wejściowe trzasnęły.

— Tata...

Wyszedł. Matka wyglądała na zaskoczoną. Kolejny raz wróciła do mnie ta myśl, uporczywa i dręcząca, jak swędzenie pod gipsem. Od jakiegoś czasu w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Nie przy mnie.

— Czasem jesteś do niego taki podobny — powiedziała i odwróciła się do zlewu. Miałem wrażenie, że próbuje coś wytłumaczyć. Dotknąłem dłonią wilgotnego czoła, w kuchni było gorąco.

Niektóre wspomnienia zostają, jak niechciane fotografie chowane w kopertach na spodzie szuflady albo w piętrowych folderach twardego dysku. Nie chcą wyblaknąć – pozostają wyraziste i czytelne, wysoka rozdzielczość umożliwia wielokrotny zoom.

Jak tamtego sobotniego ranka. Zbliżenie na stygnącą jajecznicę. Zbliżenie na szerokie plecy matki, białe stokrotki na granatowej poliestrowej łące podomki pamiętającej jeszcze nasze śniadania, jedzone przed wybiegnięciem do podstawówki. Zbliżenie na błyszczący w świetle poranka patrolowiec za oknem (model, nomen omen, „Lublin”), wiszący nad zielenią Parku Saskiego i skanujący ją ruchliwymi mackami.

Długie chwile milczenia ciążyły na żołądku jak zepsute jedzenie. Radio nie pomagało – stacja z jasnej strony: idiotyczne piosenki, fałszywy optymizm serwisów informacyjnych, podejmujących na semantycznym froncie manewr oznaczony jako „znikanie wojny”. Wielka, piętrowa iluzja, obrzydliwa tym bardziej, że konieczna.

Śniadanie rosło mi w ustach. Matka wciąż stała przy zlewie. Chyba wiedziałem, dlaczego milczy i stoi tyłem, w bezgłośnym, narastającym napięciu.

— Słyszałaś o Mariuszku? — zapytałem. Zamarła. — Może uda się go...

— Nie żyje!!! — ryknęła, gardłowo, zupełnie nie po ludzku. — Nie rozumiesz?! — wyła w moją stronę. — Nie żyje!!!

Odwróciła się, zanosła się szlochem. Jak syrena ostrzegająca przed wykrzywicą.

Trochę trwało, zanim podniosłem się, podszedłem do niej i ją przytuliłem, najmocniej jak umiałem. Cała rozdygotana, choć cięższa ode mnie, była krucha i delikatna, łatwa do połamania. Albo już połamana.

Już to pisałem. Ta wojna krzywi. Ale walczyliśmy, każdy po swojemu.

Ja nie płakałem. Myślałem o tym, gdzie szukać starszego brata.

\* \* \*

Ciężki metal. Od zajebania ciężkiego metalu.

Zgrzyt, trzask, wizg, stal jęczy i wrzeszczy, gnieciona i łamana, rzyga iskrą, kaszle opiłkami, trze o siebie, chrzęszcząc, trze o nas z organicznym chlupotem, wygina się z piskiem, wygina i grzeje, napina i pęka z hukiem, raz za razem siejąc wokoło energią, żarem, ciska kanciastym zniszczeniem, zgrzyt, trzask, wizg, stalowy jęk, ciężki stalowy wrzask.

To był nasz – braci – pierwszy wylot w pogranicze, małym, lekko opancerzonym patrolowcem. Mariuszek za sterami, obok ojciec, ja na tylnym siedzeniu. Dostaliśmy frontalnie wielką metalową paką, szczelnie wypełnioną przedziwnu.

Błysk, ciemność, błysk, bezlitosny stroboskop, z każdym koszmarnym snem coraz wolniejszy. Pisk naszych systemów alarmowych, bojowy ryk rozpędzonej maszyny przedziwnu, jak stada mechanicznych słoni. Gwałtowny wstrząs, a z nim huk szkła i metalu, tnących wszystko wokoło. Wrzeszczymy wszyscy trzej, gdy ostre drobiny tną nam ciała, wbijając się w ręce, nogi, korpusy i głowy. Wrzask Mariuszka szybko przerywa sprężyna rozszarpująca mu gardło. Stalowy fragment pancerza patrolowca zrywa część skóry z głowy ojca,

ochlapując mnie jego twarzą, jego ucho wpada za kołnierz, zęby wbijają mi się w policzek. Stal podwozia szatkuje mi łydki. Większe fragmenty obu maszyn łamią nam kości, które pękają i demolują nas od środka, chcąc jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Po czym nadchodzi najgorsze.

Pancerz nie wytrzymuje i rozrywa się pod impetem uderzenia. Wtedy zalewa nas przedziwnu, które wyje niemal po ludzku, niemal jak my, miękcy i twardzi jednocześnie. Przedziwnu, niczym zjawy czarniejsze od nocy, przygniata nasze resztki swoim brejowatym jestestwem i chłapie wykrzywicą po naszych umysłach.

Wtedy wszystko zaczyna wirować i boleć jakby mniej, zimny surowy oddech otchłani znieczula aż do czasu nadciągnięcia ekspedycji ratunkowej. Cierpienie przyjdzie dopiero później, wraz z bezlitosnym reżimem rehabilitacji, nadzieje i będzie narastać. Cuda dokonane na mnie i ojcu przez pozbawionych ust błękitnych technoszamanów okażą się jednak nic niewarte. Bo zgubili Mariuszka, zostawili go w otchłani.

A on wciąż stara się wrócić. I zmusza mnie do układania kolejnych wiadomości-świadectw swojej tortury. Audiowizualnych wyrzutów sumienia, które odbieram na komputerze.

\* \* \*

Wiadomości od Mariusza lepiej z plików spływających poprzez wyszukiwarki, programowane zgodnie z koordynatami lokacji na pograniczu, w których ojciec i jego ludzie trafiają na ślady brata. To pozornie proste programy – rodzaj crawlerów, nieustannie przeszukujących zawartość jasnej strony sieci i przesyłających mi pliki, w których Mariuszek umieszcza fragmenty swoich komunikatów. Korzystam z czterech wyszukiwarek, wszystkie mam od ojca. Krajową, opracowaną przez zespół informatyków przy UW i dostosowaną do niuansów polskojęzycznego internetu, dwie silniejsze, przygotowane przez

europijską infosemantyczną komórkę WTO, i czwartą, opartą na dziwnym interfejsie, napisaną przez cyberzapatystów gdzieś w powykrzywianej meksykańskiej dżungli. Co ciekawe, mimo gigantycznych wymagań sprzętowych, software monitorujący wykorzystanie procesora i uruchomione procesy w ogóle ich nie rejestruje.

Część ze spływających plików to spam, wysyłany przez anonimowe automaty gdzieś z ciemnych zaułków internetu.

Część to komentarze zostawiane pod zdjęciami umieszczanymi w sieci.

Czasem grafiki, pliki dźwiękowe i filmowe. Rzadziej fragmenty kodu.

Zbieram je wszystkie i uploaduję do sieciowego konwertera wiszącego na wyciemnionej witrynie warszawskich infosemantyków. Po jakimś czasie – kilku godzinach, dniach, tygodniach – dostaję plik wykrzywiony wiadomością od Mariuszka. Wtedy muszę ją tylko znaleźć.

To może być zdjęcie lasu, gdzie dopiero po wielokrotnym zoomie kilkadziesiąt pikseli układa się w jego twarz (tak bardzo stara się nie okazać cierpienia) i dłoń machającą w geście pozdrowienia.

To może być plik dźwiękowy, trzydziestominutowy jednostajny zgrzyt, który puszcza na full i słucham w kółko, przez całą noc, aż wreszcie słyszę jego słowa, przebijające się przez ścianę gęstych, raniących uszy trzasków. Z reguły Mariusz próbuje w miarę precyzyjnie nakreślić pozycje przedziwnu tak, byśmy mogli odpowiednio wcześniej wysłać skrzepołamacze na pogranicze. Rzadziej po prostu nas pozdrawia, skarży się, że cierpi i tęskni. Płaczemy wtedy obaj.

To bywa plik tekstowy. Kilka słów, nigdy więcej niż pięć, najczęściej trzy. „Kocham cię brachu”.

Ze względów bezpieczeństwa, by nie dopuścić do zawykrzywirusowania mojego sprzętu, tuż po odczytaniu wiadomości usuwam ją i formatuję partycję, na której jest zapisana.



\* \* \*

Podczas wojny każdy dzień jest szczególny. Jednak tamten, rozpoczęty awanturą w kuchni, miał się okazać rzeczywiście wyjątkowy.

Zaprogramowałem wyszukiwarki koordynatami, które wysłał mi ojciec, po czym uciekłem z mieszkania, nie mogąc znieść przetaczającej się przez nie ciszy. Ojciec nie wrócił, matka zamknęła się w sypialni. Winda, która stękając, zwoziła mnie siedem pięter w dół, śmierdziała letnim blokowiskiem: potem spod pach, papierosami i psią sierścią. Gdy wyszedłem z klatki, Czechów chlusnął we mnie lepkiem słonecznym światłem. Poczłapałem na ławkę w cieniu kasztanowców rosnących między wieżowcami.

W liceum WOS-u uczył nas profesor Niedzielski. Miał dwa metry wzrostu, stopień magistra i wielkie jądra. Gigantyczną bułę między nogami obnosił z dumą podczas swoich procesji między ławkami, u mnie i kolegów wywołując rodzaj bliżej nieokreślonego dyskomfortu, u moich koleżanek – fascynację pomieszaną z przerażeniem. Kiedyś Niedzielski zapytał mnie, jak opisałbym dzielnicę, w której mieszkam. Odparłem, że Czechów jest sypialnią Lublina.

No dobrze, co jeszcze.

Nic, jest sypialnią Lublina.

No, ale na pewno mogę powiedzieć o nim coś więcej.

Właśnie nie, sypialnia Lublina. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, co noc układających się piętro w gierkowskiej wielkiej płycie.

Do dzisiaj zdania nie zmieniłem. Profesor Niedzielski został jedną z pierwszych ofiar konfliktu, spłonął podczas wycieku przedziwnu do ośrodka wczasowego w Węgorzewie.

Siedziałem na ławce, zanurzony w moim własnym lecie. Przyglądałem się ludziom wokoło i było nieźle. Prawie normalnie.

Piątkowska, wdowa z parteru, plewiła rabatkę z kwiatami, dwadzieścia metrów kwadratowych namiastki podbiłgorajskiego ogrodu, za którym roz-

paczliwie tęskniła od prawie trzech dekad.

Wytatuowany byczek z wiezowca naprzeciwko włókł za sobą grubego dzieciaka, który bronił się przed powrotem do domu. Ojciec mełł przekleństwa pod daszkiem żółto-niebieskiej czapeczki Motoru Lublin. Gówniarz, by go wkurwić, darł się na całe gardło Luuubliniankaaa!!!

Wysuszona, mocno wymalowana baba podeszła do ławki, przy której siedziałem. Wokół jej kanciastych łydek snuł się najżałośniejszy pies na świecie: ospałe połączenie owczarka niemieckiego z jamnikiem. Pies uniósł łapę z wyraźnym wysiłkiem, w skupieniu odlał się niecałe dwa metry ode mnie i poszli sobie.

Prawie normalnie. Pod warunkiem, że się wiedziało, na co nie zwracać uwagi.

Z kwietnego ogródka, w którym nurzała się Piątkowska, dobiegały ledwie słyszalne, nieprzyjemne popiskiwanie. Jakiś czas temu jeden z patroli odkrył tam miejsce przecieku lokalnej organicznej formy przedziwnu (przy okazji zawstydzając mnie, powinienem był się zorientować!). Różowe ośmiorniczki, podobne do malutkich dłoni, przepęły przez grządki na naszą stronę i skradały się po trawie, kierując się w stronę placu zabaw. Infekowały jednocześnie sferę semantyczną: zbyt długie przysłuchiwanie się ich popiskiwanom wywoływało objawy podobne do afazji. Administracja osiedla w porozumieniu z wojskiem przekazała Piątkowskiej odpowiednie narzędzia i dodatkowe pięć stów do emerytury. Wtedy starsza pani mogła zabrać się do roboty: wypalania przedziwnu podręcznym laserem. Semankustyczne ataki nie były jej straszne, Piątkowska jest bowiem głucha jak pień. Ot, subsydiarność stanu wojny.

Siedziałem dość daleko, jednak na wszelki wypadek włączyłem zagłuszacz. Powinienem przemyśleć problem z rodzicami, ale wolałem nie myśleć w ogóle. Kilkanaście piosenek później z przyjemnego zdebilnienia wytrąciła

mnie nowa sąsiadka.

Wprowadziła się niedawno i mieszkała gdzieś nad nami, od jakiegoś miesiąca mijaliśmy się w windzie i między blokami. Wyglądała na licealistkę. Pamiętałem takie jak ona ze szkoły, zbierały same piątki i były pierwsze do przemykania wódki na szkolnych wycieczkach. Dziewczyna była ode mnie wyższa. Miała blade, chude ciało, włosy nieokreślonego koloru i piegowatą twarz. Podobała mi się.

Nie usłyszałem, o co pyta.

— Słucham? — Wyjąłem słuchawki z uszu.

— Pytałam, czy wolne. — Stała nade mną, z rękami w kieszeniach dzinśów. Surferka na jej tiszercie atakowała wysoką falę.

Wiedziałem, że ławki wokoło są puste. Ona wiedziała, że ja wiem. Wiedziałem, że ona wie, że ja wiem. Czy jakoś tak.

— Jasne. — Żałośnie poprawiłem się na ławce.

Usiadła obok, wyciągnęła przed siebie nogi, przy okazji tarasując pół chodnika. Ktoś mnie nagle zamknął w niewidzialnej saunie. Żadna dziewczyna z własnej woli nie usiadła obok mnie od czasów szkoły średniej. Wszystkie trzydzieści osiem sposobów rozpoczęcia rozmowy, długimi wieczorami przygotowywanych na tę właśnie chwilę, wyparowały z głowy. Wróć, gdy tylko przestaną być potrzebne.

Z odsieczą przypłynęły szczyny żalosego owczarko-jamnika.

— Uważaj — powiedziałem, wskazując na psi mocz, ciekący w jej stronę.

— Podlał cię.

— Myślałem, że mi tu wykituje.

— Biedny jest. Ma raka jelita.

— Znasz tę babę?

— To moja mama. — Pomachała właścicielce psa. Ta odmachowała jej dło-

nią trzymającą papieros, dziwacznie ekspresyjnie, niczym stara Indianka, wysyłająca dymny komunikat. — Rzadko wychodzi z domu.

Zaczerwieniłem się.

— Przepraszam.

— Nie ma sprawy. — Uśmiechnęła się do mnie. Sporo miała tych piegów.

— Dagmara.

— Łukasz.

By podać sobie dłonie, musieliśmy wyjąć je z kieszeni spodni. Jej była bardziej spocona.

— Masz imię jak nasz pies.

— Wabi się Łukasz?

— Yep — przewróciła oczami i spojrzała na matkę. — Patent Kryśki. Wiesz, „Lucas”.

— Fantastycznie.

— Prawda?

Zamilkliśmy. Nosila japonki. Długie palce jej stóp jakby do mnie machały.

— Lubię ich — powiedziała wreszcie, spoglądając na słuchawki wystające zza ściągacza mojej koszulki. Zupełnie zapomniałem o niewyłączonym zagłuszaczu, dochodziły nas strzępy muzyki. — Kiedyś ogłuchłam na ich koncercie. Musiałam wziąć serię zastrzyków.

— Gdzie?

— W dupę, a gdzie.

— Gdzie byłeś na koncercie?

Zachichotała.

— W Krakowie.

— Zazdroszczę. — Taki show bardzo wzmacnia odporność, szczególnie jeśli mieszka się w tak przeciekającej okolicy jak Lubelszczyzna. — Mimo wszystko niezła szczepionka.

Spojrzała na mnie pytająco, chyba trochę zaskoczona. O wojnie się nie mówi. Wojnę się *znika*. Nawiązywanie do niej bez powodu jest jak pierdzenie w windzie.

— Koncert był fantastyczny, ale rano obudziło mnie gitarowe solo. W moim mózgu. — Dagmara założyła ręce za głowę. — Na szczęście seria zastrzyków z kokarboksyłazą załatwiła sprawę.

— O. — To mnie zainteresowało.

— Wiesz, co to?

— Kokarboksyłazę łądują w siebie niektórzy moi znajomi.

— Znajomi?

— Z paki.

— Paki?

— Siłowni.

— Aha. — Najwyraźniej pomyślała o czymś zabawnym. — Fajnie.

— Uhm.

— Uhm.

Wtedy zza dachu wieżowca powoli wynurzył się patrolowiec. Rozpostarte szeroko metalowe macki były nieruchome – jednostka zakończyła skanowanie dzielnicy i dryfowała w stronę bazy.

Uniosłem głowę. Kątem oka dostrzegłem, że Dagmara też. Niemal natychmiast przyszła narcystyczna myśl: czy ona wie, kim jest mój ojciec? Gdy na nią spojrzałem, miała zamknięte oczy. Jakby wąchała kasztanowiec nad nami.

— Dobra — powiedziała wreszcie

Zrozumiałem, że teraz, albo nigdy.

— Muszę iść. — Powoli podniosła się z ławki.

Teraz albo nigdy.

— Na razie, sąsiedzie.

Teraz albo nigdy.

— Na razie, sąsiadko.

Ruszyła w stronę klatki.

— Dagmara?

— Tak?

Wysoka i blada, ale jakoś pasowała do tej pory roku.

Wziąłem do ręki słuchawkę zagłuszacza.

— Masz ich nową płytę?

— Nie.

— Podrzucić ci?

— Pewnie, czemu nie. — Spojrzała na zegarek. Był duży i żółty, przegapiłem go wcześniej. Wyglądał jak bloker przedziwnu. — Może wpadniesz koło siódmej? Mieszkam pod dziewięćdziesiątką siódemką.

— Okej. Dokładnie nad nami.

— Tak myślałam. — Uśmiechnęła się na pożegnanie. — Pa. — I poszła.

\* \* \*

Wątpliwości. Pewnie, że mam wątpliwości.

Najgorsze, że wynikają z samej natury tej wojny. Że wróg, czający się w otchłani, inwaduje pogranicze i wlewa się do naszego świata w obu trybach. Nie tylko newtonowskim, gdzie rozpierała nasze ciała i miejsca, w których żyjemy, ale i semantycznym: zawirusowuje memosferę i kaleczy nasze umysły. Zmienia znaczenie słów, obrazów, wspomnień i emocji. Niszczy to, co w nas najważniejsze – umiejętność porozumienia. Odrywa nas od siebie, niepostrzeżenie. Minął rok od ukończenia liceum, zanim zorientowałem się, że nie mam już żadnych kumpli.

Jeszcze niedawno wiedziałem, jak to wszystko się zaczęło. Jak przez mgłę pamiętam eksplozję nerwowej ekscytacji, oto bowiem ludzie znaleźli sposób wkraczania na pogranicze, za którym była już tylko otchłań. Tak nawiązaliśmy

kontakt z innym. Z tak niewyobrażalnie innym, przez każdego z nas i za każdym razem postrzeganym inaczej, że nazwanym przedziwnu. Z fascynacji, strachu i bezradności.

Teraz nie kojarzę już ani jednej konkretnej daty, nie umiem przywołać obrazu żadnej telewizyjnej relacji. Pamiętam strzępy rozmów z ojcem, jego spokojne, ostrożne tłumaczenia. I pełne emocji nocne rozmowy z Mariuszkiem – przecież byliśmy już prawie dorośli, ale gdy wyobrażaliśmy sobie, jak oni mogą wyglądać, chowaliśmy się pod kołdrami przed własnymi wizjami. Skutki odkrycia pogranicza szybko okazały się drastyczniejsze od najczarniejszych wizji. I trwają do dziś. Mimo że wciąż są tacy, którzy twierdzą, że sytuację, z którą mamy do czynienia, lepiej nazywać kontaktem niż konfliktem, że to wszystko jest fatalnym skutkiem niemożności porozumienia. To z tej ambiwalencji wziął się „konflikt”, termin, którego wszyscy zgodnie nienawidzą. I równie zgodnie używają. Fascynacja, strach i bezradność.

I wątpliwości. Nie pamiętam, czy technologia umożliwiająca podróże po pograniczu wynaleziona została już po kontakcie, czy to właśnie dzięki niej odkryliśmy pogranicze i otchłań.

Nie pamiętam, kiedy ludzie porzucili złudzenia i zjednoczyli się, by wspólnie działać przeciw przedziwnu w ramach World Treaty Organization. Jakby pewnego dnia po prostu nadeszły, jak ciężka, burzowa chmura, pełną zza horyzontu: stalowe chrapaszczce patrolowców; syreny, których ostrzegawczego zawodzenia ludzie wyczekują z paradoksalną niecierpliwością; jednostki naziemne, przeczesujące najmniej oczywiste zakamarki naszego świata.

Chmura burzowa przyniosła również ciemną stronę sieci, jedyne medium zawierające informacje dotyczące wojny. To po ciemnej stronie chowają się efemeryczne witryny, wiszące na tajemniczych serwerach, usuwane czasem, zanim ktoś w ogóle na nie wejdzie. Tam znajdują się grupy i fora dyskusyjne,

będące niekiedy źródłem nieocenionych porad, a czasem po prostu cyberprzestrzeniami grupowej terapii. Bo jasna strona mediów wciąż funkcjonuje jako wielkie narzędzie kłamstwa, mającego przywracać równowagę memosfery. Setki tysięcy ludzi konstruuja codziennie gigantyczne iluzje, w które nikt już nie wierzy. Czasem mam wrażenie, że jesteśmy jak dziewczynka kuląca się w płonącym domu, którą stać jedynie na zaciśnięcie powiek i zakrycie uszu, mimo że płomienie zaczynają już lizać jej włosy.

Wątpliwości. Pamiętam, że tuż po odkryciu otchłani w pogranicze wysłano tłumaczy, by spróbowali nawiązać kontakt z przedziwnu. Wróciła tylko jedna. Wróciła i została najbardziej zdecydowaną orędowniczką otwartej wojny. Była tam i zrozumiała, że aby dziewczynka uratowała się z pożaru, najpierw musi otworzyć oczy.

Srogini Michalska. Kilka razy wydawało mi się, że trafiłem po jasnej stronie sieci na screeny z filmu, którego bohaterka wygląda zupełnie jak ona. Nie wiem, co o tym myśleć, na wszelki wypadek unikam takich obrazów, obawiając się ataku wykrzywicy. Szczerze mówiąc, boję się nawet nad tym zastanawiać. Ta kobieta ma w sobie coś z otchłani. Im bardziej podziwiam ojca, tym bardziej mu zazdroszczę. Im bardziej mu zazdroszczę, tym bardziej go podziwiam.

\* \* \*

Spotkanie Dągmary i rozmowa na ławce zadziały na mnie, jakbym połknął cały karton Tussipectu. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, łąziłem po mieszkaniu niczym bohater zawieszony platformówki. Co za dopołudnie! Ojciec wrócił z patrolu, wyciemnione warszawskie serwery miały kolejną wiadomość od Mariuszka, a teraz jeszcze ta dziewczyna. Dągmara. Dziewczyna. Dziewczyna! Takie rzeczy przydarzały się bohaterom seriali z MTV, nastoletnim nadludziom, na których dobrze wyglądały nawet podkoszulki bez



rękawów, nie mnie. Jaja. Dagmara.

Z matką, na szczęście, sytuacja wróciła do normy – wygodnej, niewypowiedzianej umowy. Poranek uznaliśmy za niebyły. Spytałem ją o nowych sąsiadów. Nie miała pojęcia, ostatnio z domu wychodziła jeszcze rzadziej ode mnie.

W ogóle ludzie powoli ginęli z ulic. My traciliśmy miasto, a miasto traciło nas. I chorowało. Wszędzie billboardy, jak pstrokate pryszcze, mieszały w głowach, łuszczyły się śmieciem. Miasto trawiła gorączka. Spacerując ulicami, dotykałem wilgotnych, spoconych zabudowań. Czułem, że są zmęczone koniecznością utrzymania stałej formy. Czasem to były drgawki, delikatne drżenie pod stopami, rezonujące skurczami moich jelit. Lublin męczył się, to wszystko dręczyło go, uwierało.

I nie wiem, co by było, gdyby nie jego zielony krwioobieg. Bo o tej porze roku miasto kwitnie – puszyste kule koron drzew, niczym szeleszczące purchawy, kradną przestrzeń między blokami. Coraz częściej miałem wrażenie, że tylko dzięki nim stały jeszcze całe dzielnice, opierające betonowe i ceglane szkielety na mocnych organicznych rusztowaniach. Dlatego tak bardzo bałem się zimy i coraz rzadziej zapuszczałem się poza moje osiedle.

Shczęśliwie, na siłownię mam niedaleko. Mając do przejścia trzy przecznice, minąłem dwa nowe place budowy. Blaszane rusztowania skrywały rany po bezszelestnych, gwałtownych potyczkach – miejscach, w których granica, niszczona rozrastającym się z drugiej strony skrzepem, pękała i wykrzywiała ludzkie ciała i umysły.

Takie bitwy z reguły trwają nie dłużej niż minutę. Przedziwnu uderza, deformując rzeczywistość, bądź – gdy atak idzie w trybie semantycznym – zawartość naszych mózgów. Pęknięcie granic uruchamia alarmy wywołujące podwójną reakcję. Po pierwsze, na miejsce błyskawicznie zlatują się automaty, za którymi ciągną metalowi zaciężni, uzbrojeni w rozkrzepy fizycznie

zwalczające intruzów. Po drugie, aktywni w danej chwili infosemantycy walą w zagrożone obszary maksymalnie skoncentrowanymi pakietami prostych wiadomości w celu likwidacji odkształceń memosfery.

Najgorsze jest to, że nawet gdy wygrywamy, to przegrywamy. Zasada zachowania energii jest nieubłagana. Tak intensywna wymiana ciosów musi skutkować przynajmniej częściowym rozpiędoleniem wszystkiego wokoło. Stąd wirusowe deformacje zawartości mediów: gwałtowne wykwyty szkaradnych witryn, w których łatwo się pogubić; stąd dziecięce wrzaski, lepiące się do programów radiowych po naszej stronie skali. Albo telewizor włączający się nagle w moim pokoju, na kanale zero, emitujący nieme, surowe nagranie VHS, eksponujące w zbliżeniach ubrane w garnitur zmasakrowane zwłoki ojca, złożone do wielkiej trumny.

Stąd też deformacje miasta. Większość przejściowa, usuwana ciężkim sprzętem, pracującym dzień i noc na prowizorycznych budowach, takich jak te, mijane w drodze na pakę. Niektóre jednak zostają, zbyt mocne i trwałe na nasze buldożery – jak niedokończona wieża o pięciu iglicach, wyrastająca z dziedzińca lubelskiego zamku, z naszego kuchennego okna wystająca ponad staromiejską zabudowę niczym wielki złośliwy chwast. To rozłożyste kurestwo nie trafiło jeszcze na swoją Piątkowską. (Kiedyś ojciec powiedział mi, bym nie rozmawiał o wieży z mamą. Źle na nią reaguje i nauczyła się jej nie dostrzegać. Szczęściara).

Wejście z ulicy, kilka schodów w dół, prosto w matowy blask, smród zmęczonego ciała i teutońskie techno. Panowie na prawo, panie na lewo, nad szatniami wielki plakat agencji detektywistycznej, żyjącej z tropienia niewiernych partnerów. Nie mogłem się zdecydować, do której z płci miał bardziej przemawiać, ale czułem, że jest bardzo na miejscu.

W siłownię wkręciłem się podczas wielomiesięcznej tortury powypadkową rehabilitacją, gdy przyszedł czas zamieniać gumowe piłki na coraz więk-

sze obciążenia. I choć przez niespecjalną masę nie ma we mnie zbyt wiele mięśni (jeden z instruktorów powiedział kiedyś, że z gówna bicza nie ukręcę), paka jest mi niezbędna. Bez regularnej porcji ćwiczeń czuję, że ciało robi się senne i ślamazarne, przestaje bronić się przed ciągłym naporem wroga. Kiedyś myślałem, że podczas dźwigania żelaza będę mógł przemyśleć sporo rzeczy. Że powtarzalny rytm kolejnych serii pozostawi mnie sam na sam z moim umysłem, pomoże w refleksji. Nic bardziej mylnego.

Kolejne ciężary, kolejne proste ruchy, jeden za drugim, seria za serią, one wszystkie odcinają głowę, fantastycznie redukując mnie do ciała. Zostaje to, co najprostsze – czysta fizyka: masa, ciężar i pęd, wektory i dźwignie. Ludzie zamknięci w ciasnej przestrzeni, pełnej ciężkiego metalu, współpracują, a jednocześnie zdani są tylko na własne mięso: mięśnie, kości, więzadła. Wszyscy mający świadomość, kto ćwiczy poziom niżej.

No właśnie. W sobotnie południe jest pusto i wygodnie, więc w trzy kwadransy przerzuciłem swoje. Idąc do szatni, zorientowałem się, że drzwi na dół są uchylone. Rozejrzałem się po sali. Byłem sam. Zza drzwi, *tych* drzwi, dobiegł mnie szcęk stali, odległy i głęboki. Jakby ktoś przerzucał wagony kolejowe. Na myśl, że mógłbym ich zobaczyć, atlasy wokoło zatańczyły polkę. Tylko że zejście jest surowo wzbronione. Ale byłem sam.

Kilkadziesiąt stopni w dół później zajrzałem przez kolejne drzwi. I poczułem się, jakbym mając dziesięć lat, nagle zdobył niezbite dowody, że Dziadek Mróz jednak istnieje.

Trzech mężczyzn ćwiczyło w niedużej sali. Nie, poprawiłem się po chwili, pomieszczenie miało powierzchnię siłowni na górze, tylko jego zawartość była dużo większa. Trzech gigantów wyciskało gigantyczne ciężary. W milczeniu słuchali muzyki poważnej lecącej z boomboksa.

Bioniczni komandosi, frontowi z bezpośrednich starć z pogranicza. Obdarzeni talentem do zabijania, przyjmujący regularne porcje wywaru ze skrzepu.

Widziałem, że zupka działała. Żołnierze, ubrani tylko w szorty, wyglądali, jakby stwórca przeznaczył na nich całą masę mięśniową, której pożałował, projektując Rolling Stonesów. Mieli po dwa metry wzrostu, bicepsy wielkości piłek lekarskich i karki jak kowadła. Dwóch asekurowało trzeciego, wyciskającego na ławce sztangę, ważącą – policzyłem szybko – niemal tonę. Przy kolejnych powtórzeniach po głazach jego mięśni przebiegały fosforyzujące wyładowania, prześwitujące przez wydziaraną skórę. Gdy zrozumiałem, uciekłem na górę. Znałem te tatuaże.

Na parkingu pod klubem stał wojskowy superhummer, którego przechodnie zdawali się nie dostrzegać. Mijając wojskowy samochód, zza grubej szyby dostrzegłem kobiecą twarz, przeciętą czarną opaską na oko. Zrobiło mi się niewygodnie i ciężko.

Srogini Michalska czekała w superhummerze na mojego ojca, wyciskającego na dole nieludzkie ciężary. Elementy powoli łączyły się w całość, niechcianą w głębi serca, niczym pliki składające się na wiadomość od Mariuszka.

\* \* \*

— Skąd masz tę bliznę? — spytała Dagmara.

Byłem przekonany, że krótka nogawka starannie odprasowanych na tę okazję bojówek podwinęła się i dziewczyna zainteresowała się szramą na udzie. Musiałbym skłamać. Nie mogłem jej opowiedzieć o moich obowiązkach prostownika. Ale nie patrzyła na nogę, przyglądała się czołu.

— Bliznę?

— Tę. — Palcem wskazującym dotknęła mojej skroni.

To było jak elektryczność, tylko ciepła, przyjemna.

— Głupia historia.

— Takie są najlepsze.

— Gdy byłem mały, mieliśmy lustro w drzwiach od pokoi. Kiedyś z bratem wydedukowaliśmy, że jeśli staniesz tyłem do lustra i wystarczająco szybko odwrócisz się w jego stronę, to zdążysz zobaczyć w nim tył głowy. Spróbowałem i z całym impetem przypierdoliłem czołem w szybę.

Dagmara śmiała się, szczerze i zaraźliwie.

Zanim do niej poszedłem, siedemnaście razy sprawdziłem, czy płyta, którą jej nagrałem, nie ma błędów. Dylemat frajera: na randkę piętro wyżej iść w kapciach, czy nie? Ostatecznie zdecydowałem się na tenisówki, które i tak zdjąłem tuż po wejściu do jej mieszkania.

Teraz siedziałem obok niej i patrzyłem, jak się śmieje. Nie chciałem, by przestała. Dostrzegła coś, jej oczy spoważniały.

— No co?

— Nic. — Spojrzałem znów na płyty z jej półki.

— Nie z ciebie się śmieję. — Odgarnęła włosy z twarzy.

— Spoko. — Przy okazji przyjrzałem się jej zegarkowi. Imitował fikuśnego, żółtego Swatcha, ale już byłem pewien, że to bloker przedziwnu. Jej krótkie szorty miały ten sam kolor.

Byliśmy sami, ojciec Daggmary zabrał żonę i psa rencistę na jakąś firmową imprezę nad Piaseczno. Dagmara od początku sporo mówiła, a mnie to pasowało.

Wcześniej mieszkali w Puławach, ojciec awansował i przeprowadzili się do Lublina. Matce się nie podobało, ale Dagmara dostała się tu na psychologię i to przesądziło sprawę. Dziewczynie wystarczyło, gdy powiedziałem, że po prostu nie poszedłem na studia. Nie musiałem unikać tematu werbunku.

— Spójrz. — Pokazała wewnętrzne strony przedramion. One też były piegowate, a po obu biegły stare, już słabo widoczne blizny. — Trzecia klasa. Zjeżdżałam z góry na rowerze i zorientowałam się, że kierownica jest trochę krzywo. W połowie zjazdu, by ją wyprostować, złapałam stopami za przednie

koło.

— Powiedz, że podstawówki.

— Co?

— Trzecia klasa podstawówki.

— Uważaj! — Walnęła mnie pięścią w ramię.

Pokazałem jej wypłowiałą, nieregularną bliznę na nosie. Gdy przysunęła się bliżej, niemal zapomniałem, co chciałem opowiedzieć.

— Miałem osiem lat, Mariusz dziesięć. Nie wiem, co nam strzeliło do łbów. — Nasze kolana stykały się przez kilka chwil. — Bawiliśmy się w berka. Wcześniej wsadziliśmy sobie do nosów kredki. — Skrzywiła się. Ale się śmiała. — Goniłem go po mieszkaniu i już prawie miałem, ale rąbnąłem w łóżko rodziców, twarzą w dół, z rękami na boki.

Jęknęła, ale się śmiała.

— Na szczęście mieli miękki materac. Jedna kredka była tępa, wywołała niegroźny krwotok. Druga była zaostzona taką dużą metalową strugaczką od Ruskich...

— Pamiętam je!

— ... przebiła skórę i wyszła tędy.

Krzywiła się, ale się śmiała.

— Potem miałem wielki spuchnięty nochal, z którego dyndały czarne końcówki szwów. Na osiedlu mówili na mnie Gonzo.

Nie wiedziała dlaczego. Sześć lat różnicy wieku wystarczyło. Wytłuma-  
czyłem, co to Muppety. Chyba z uprzejmości przyznała, że coś pamięta.

— A na mnie przez jakiś czas chłopaki z osiedla mówili „sraczka”.

— Sraczka?

— Sraczka. Przez to. — Dagmara dotknęła dłonią policzka. — Przez piegi. Jeden wymyślił, że po porodzie ojciec rzucał we mnie gównem, a mama zasłaniała mnie durszlakiem.

- Boki zrywać.
- Musiałam spuścić mu wpierdol.
- Takie jest prawo dżungli.
- Otóż to.

Ściemniało się. Skóra Dagmary wyglądała teraz jak pokryta opalenizną. W niekontrolowanym przypływie romantycznej odwagi powiedziałem jej to. I od razu pożałowałem.

Podniosła się, zawstydzona, i włączyła lampkę na biurku. Wstałem i ja.

— Dobra — zacząłem. — Będę się zbierać.

Niczego w tamtej chwili nie chciałem mniej.

— Jasne — powiedziała Dagmara. Światło lampki na nowo obsypało ją piegami. Uśmiechnęła się konspiracyjnie. — Niedługo wrócą.

Dajesz, Ozimczuk. Jak w MTV.

— Co robisz jutro?

— Po obiedzie jedziemy na zakupy. Wcześniej nic.

— W południe na ławce? Nagram ci jeszcze parę rzeczy.

— Jasne.

Powiedziała, że nie wypuści mnie bez rewanzu. Gdy wybierała albumy, które miałem zabrać ze sobą, rzuciłem okiem na jej półkę z książkami. Między skandynawskimi kryminałami była wciśnięta jeszcze jedna płyta. Udałem, że jej nie widzę.

Na klatce schodowej machnęliśmy sobie na pożegnanie i już byłem u siebie. Nie mogłem usnąć. Leżałem w łóżku, szczerząc się do sufitu. Słuchałem płyty, której kopię jej zaniósłem. Którą – oryginalną – tuż przed wyjściem do siebie znalazłem schowaną między jej książkami.

\* \* \*

Opowiem wam, jak powstały moje blizny. Świeża szrama na udzie i stare

szramy w głowie, niewidoczne blizny na mózgu.

Już to pisałem: jestem żołnierzem. Stacjonarnym prostownikiem w II Lubelskiej Kompanii Pogranicza Pułku Kresowego. Zwerbowała mnie srogini Michalska, kilka lat po rozpoczęciu konfliktu.

Czytałem na jednej z grup po ciemnej stronie sieci, że srogini zawsze dokonuje werbunku osobiście. Nie wydaje mi się. Po pierwsze, nie starczyłoby jej czasu na prowadzenie działań przeciw przedziwnu. Po drugie, wolę czuć się wyróżniony.

To była jedna z okropnych lubelskich zimowych nocy, kiedy śnieżyce zamieniają osiedle w betonowe cmentarzysko. Obudziło mnie stukanie do okna, szcęk metalu o szkło. Rozsunąłem żaluzje i, pomimo ściany śniegu, od razu się zorientowałem. Nie mogłem ukryć ekscytacji, czekałem tyle czasu.

Fregata polskich sił WTO wisiała w ciszy dziesięć metrów od wieżowca, dokładnie naprzeciw mojego okna. Zapraszała do środka stalowym trapem, którego koniec bujał się pół metra od parapetu. Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem po trapie, przez śnieżycę, siedem pięter nad ziemią. Nie czułem zimna, tylko pieczenie stóp, dotykających metalowej kraty – bardzo zimnej albo bardzo gorącej.

We fregacie było ciepło i duszno. Pachniało stalą, smarem i czymś jeszcze, przypominającym zapach wnętrza starego pekaesu. Anonimowi aerynarze zaprowadzili mnie na mostek.

Była dokładnie taka, jaką podglądałem na robionych ukradkiem, rozmazanych zdjęciach, wrzucanych na ciemną stronę sieci. Ona, jej mundur i opaska na oko, maszyny sapiące i popiskujące wokoło – wszystko wydawało się jednością. W tamtej doniosłej chwili, gdy wypowiadała formułę werbunku, srogini była jednością ze wszystkim, co przydarzało mi się podczas konfliktu. Była wojną.

Tak zostałem zwerbowany na prostownika. I rozpocząłem nocne patrole



po dzielnicy, podczas których stabilizuję wykrzyw rozchłapywany po okolicy. Szukam śladów przedziwnu i je neutralizuję.

Przedziwnu może być rejestrowane tylko jednym ze zmysłów, może wszystkimi naraz. W im gorszej jestem formie, tym mocniej je odczuwam. Zmęczenie, strach, smutek czynią chlapnięcia wykrzywicy groźniejszymi.

Czasem je widzę. Małe ośmiorniczki w pełnym słońcu, w przybłokowym ogródku. Częściej jednak dostrzegam je w nocy, w zimnym, elektrycznym świetle osiedlowych latarni. Szlam wyciekający z rynien na chodniki, widoczny tylko z pewnej odległości. Pokraczne cienie, jak bezpańskie psy, czające się za drzewami. Czarne szkarady, wychudłe parodie ludzi, zwinnie przemykające wysoko, po parapetach wieżowców.

Czasem je słyszę. Obce, pokrzywione komunikaty, konwertowane przez mój mózg na doznania, które potrafię odebrać, choć z reguły nie umiem pojąć. Wycie z kościelnej dzwonnicy, zwielokrotniane echem wielkiej płyty. Płacz noworodków dobiegający z daleka, jakby z zamkniętego, bulgoczącego garnka. Złośliwe podszepty wysypujące się z rur, gdy wieczorem siedzę na sedesie, towarzyszące mi później przez całą bezsenną noc, wypełnioną brzydkimi obrazami.

Czasem je czuję. Wywęszam. W zainfekowanym jedzeniu, ubraniach, które muszę natychmiast przestać nosić. W ludziach mijanych w windzie i na ulicy, którzy – choć wciąż mówią, chodzą, oddychają – są martwi. Gniją, zżerani od środka przez obcego najeźdźcę. Brzydzą się ich i żałuję.

Czasem odbieram przedziwnu w trybie semantycznym. Nie mogę tego opisać. Wszystko się krzywi. Słowa i symbole, ich brzmienie, wygląd i desygnaty, wspomnienia, obrazy, dźwięki, smaki, zapachy, związane z nimi uczucia – wszystko, co jest w mojej głowie, wykrzywia i zmienia, zamazuje i załamuje, cała moja głowa pierdoli się dokumentnie. Moje własne bitwy, podczas których jestem najsamotniejszym człowiekiem na ziemi.

Ale walczyłem, mimo że było coraz gorzej, i przeczuwałem, że któryś patrol skończy się tak, jak ten miesiąc temu.

Wracałem z niego grubo po trzeciej w nocy. Wyczułem jeden z tych zapachów, dobiegał z boiska obok mojej byłej podstawówki. Ruszyłem w jego stronę i dałem się podejść jak dzieciak. Dziwny ruch w trawie, kucnąłem, by sprawdzić i chlapnęło po mnie wykrzywica. Silna dawka, od razu poczułem, jak kiełkuje w nodze, zabierając mi energię potrzebną do rozwoju.

Wiedziałem, że ta chwila prędzej czy później nadejdzie. Pobiegłem do domu niemal ze łzami w oczach. Ojca nie było, matka spała w sypialni. Musiałem działać natychmiast – w lewym udzie przelewał się wrzątek, macając poparzone miejsce, czułem coraz zważszy ruch.

Co musisz zrobić, gdy kontakt z wykrzywica skutkuje kiełkującą infekcją przedziwnu?

Musisz być przygotowany. Mieć pod ręką zestaw do usunięcia zaroda.

Mój – opracowany na podstawie własnych doświadczeń, rad ojca i opinii wymienianych po ciemnej stronie sieci – składał się ze:

- skalpela;
- spirytusu salicylowego;
- pęsety;
- kuchennych: noża i widelca;
- chirurgicznych: igły i nici;
- niewielkiej ilości oleju spożywczego;
- zagłuszacza: płyty z numerami przygotowanymi specjalnie na tę okazję;
- tabletek przeciwbólowych;
- kompletu plastrów, gazy i bandaża;
- elektrycznego grilla;
- tacy i talerza;
- konserwy z mielonką tyrolską;

- odrobiny soli;
- butelki niegazowanej wody mineralnej;
- żaroodpornego naczynia;
- dezodorantu;
- zapalniczki;
- jednorazowej golarki;
- ręczników;
- małego blaszanego pojemnika na herbatę;
- mocnego środka nasennego.

Kolejność czynności podczas usuwania zaroda jest następująca:

1. Zamykam się w pokoju. Na klucz.
2. Włączam zagłuszacz.
3. Łykam tabletkę przeciwbólową.
4. Ignoruję coraz gwałtowniejszy ruch pod skórą nogi.
5. Włączam elektryczny grill.
6. Odkazam naczynia i sztućce.
7. Przewyciężam narastające zawroty głowy i nudności.
8. Otwieram tyrolską, kroję ją na kawałki i układam na jednym z talerzy.
9. Otwieram okno i jednak wymiotuję, najciszej jak potrafię.
10. Zamykam okno, jeszcze raz sprawdzam, czy drzwi są zamknięte, podkręcam zagłuszacz.
11. Siadam otoczony narzędziami.
12. Ignoruję drobny krwotok z nosa, mając nadzieję, że to w wyniku skoku ciśnienia, a nie domózgowej infekcji przedziwnu.
13. Pospiesznie golę skórę na udzie i smaruję ją spirytusem (staram się nie dostrzegać nieregularnego pulsowania pod skórą).
14. Na wszelki wypadek zapycham sobie usta jednym z tiszertów. Gwałtownie i płytko oddycham przez nos, przyskając wokoło czerwoną lepką

mgiełką.

15. Łapię przez skórę coraz bardziej aktywnego zaroda. Bydlak w dotyku jest jak ruchliwy chrząszcz.

16. Przycinam skórę i wydłubuję pęsetą wijące się przedziwnu, uważając, by nie grzebać zbyt głęboko w mięśni.

17. Ignoruję popiskiwanie zaroda, zawroty głowy i palący ból, dochodzący raczej gdzieś z potylicy niż nogi.

18. Wrzucam zaroda do pojemnika na herbatę, zamykam wieczko.

19. Dezynfekuję ranę spirytusem, wrzeszcząc w bawełnę zapychającą usta (do głowy przychodzi absurdalne wspomnienie *Rambo III*).

20. Drżącymi rękami staram się zaszyć skórę na dygoczącym udzie. Szew nie jest najrówniejszy (szycie dla wprawy fragmentów słoniny szło mi lepiej), ale krew przestaje lecieć. Zakładam opatrunek.

21. Otwieram pojemnik i pęsetą przekładam zaroda do żaroodpornego naczynia.

22. Opalam go płomieniem z zapalniczki i dezodorantu. Wsłuchuję się w zagłuszcach, ignorując wrzaski skwierczącego przedziwnu.

23. Gdy przestaje się ruszać, polewam go olejem i wrzucam na elektryczny grill.

24. Po chwili wyjmuję go na talerz, solę i utylizuję najbezpieczniejszym ze sposobów: zjadam z tyrolską.

25. Kiedy żołądek uspokaja się choć trochę, wietrzę pokój, łykam środek nasenny i kolejny przeciwbólowy.

25. Kładę się do łóżka. Chyba gorączkuję, pocę się i pojękuję bezładnie. Sen przynosi męczący koszmar: podwójny pogrzeb – taty i Mariuszka – podczas którego na cmentarzu mama rzuca się z paznokciami do twarzy księdza.

Obudziłem się wtedy o świcie. Noga była spuchnięta, z rany sączył się bladożółty płyn. Podniosłem się powoli. Wciąż miałem gorączkę. Łatwo nie

było: każdy ruch poniżej pasa sprowadzał niewidzialnego sadystę, który walił mnie po kościach tuzinem tępych młotków – wszystkimi naraz, od kolana aż po zebra. Pestka, wzięwszy pod uwagę doświadczenia z powypadkowej rehabilitacji.

Żyłem. Operacja się udała.

\* \* \*

Wtedy, nocą po randce, śniła mi się. Podeszła blisko i uśmiechała się do mnie. Rozpoznawałem już wzory, które na jej policzkach malowały piegi. Dagmara. Imię pasowało do niej, jak włosy o nieuchwytnym kolorze.

Dagmara.

Pierwsza myśl po przebudzeniu była jak zanurzenie w basenie z ciepłym i jednocześnie orzeźwiającym kisiem: zobaczę ją dzisiaj.

Druga myśl po przebudzeniu była jak wrzucona do basenu włączona suszarka.

Powinienem już nie żyć. Kurwa mać.

Usnąłem przy niewłaściwie ustawionym zagłuszaniu. Zapomniałem o wyłączeniu komórki i odłożeniu jej na półkę, z dala od głowy. Nie wyłączyłem komputera, narażając się na przeciek z sieci. I najważniejsze: spałem przykryty kołdrą, zamiast na niej, w poszwie. Nie miałem prawa przeżyć tej nocy. Byłem jak królik upačkany fosforyzującą farbą, uciekający przed myślami przy pełni Księżyca. Zerknąłem na niewygojoną ranę na udzie. Jak królik z odgryzioną łapą. I to w obliczu nadchodzącej ofensywy!

Zerwałem się z łóżka, zrzuciłem piżamę i szybko obejrzałem całe ciało. Chyba było w porządku. Nawet rana wyglądała jakby lepiej. Miałem mętlik w głowie. Tamtego poranka zacząłem się domyślać. Chociaż nie, nie domyślać. Zacząłem się w ogóle zastanawiać.

Za drzwiami dobiegały strzępy rozmowy rodziców. Uśmiechnąłem się

do siebie, ostatnio brakowało takich chwil. Coraz rzadziej czułem, że jesteśmy rodziną.

Byli w dużym pokoju. Matka prasowała, ojciec, w cywilu, rozwalony w fotelu, oglądał telewizję. Gdy usiadłem na kanapie, zapadło milczenie, gęste i ciężkie, wypełniane kłamstwami spikerki z serwisu informacyjnego. Może chodziło o mnie? Co zrobiłem nie tak?

— O czym gadaliście? — spróbowałem.

Matka dopiero po chwili drgnęła, zrozumiała.

— A nic — odparła.

Ojciec mruknął coś do telewizora.

— Dzwoniła Boczkowska, czy nie pojedę z nimi wieczorem na zakupy — dokończyła matka. — Jedziesz ze mną?

Ojciec spojrzał na mnie wzrokiem, który mi się nie spodobał. Była w nim jakaś sugestia konspiracji, wiadomość tylko dla mnie, której nie potrafiłem odczytać. Żelazko prychnęło parą.

— Nie mogę — odpowiedziałem wreszcie, a wtedy matka spojrzała na mnie pytająco. — Mam trochę obowiązków.

— Obowiązków — powtórzyła.

— No.

— Przecież wiesz — powiedział do niej ojciec. — Idzie ofensywa. Przygotowujemy się.

Nie odpowiedziała, nie podniosła wzroku.

— To tylko zakupy. Pojedziemy kiedy indziej — mówiłem coraz głośniej.

— Wiem, że nie cieszysz się z werbunku Łukasza — kontynuował ojciec.

— Martwię się — odpowiedziała. Wreszcie podniosła na mnie wzrok. —

O ciebie, synku.

— Da sobie radę — powiedział ojciec.

— Dam sobie radę — przytaknąłem.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

Za oknem przeleciał jeden z miejskich ścigaczy. Usłyszeliśmy odległe ostrzegawcze syreny. Kolejny przeciek.

— Może... Sama nie wiem. Może powinieneś znów zacząć brać leki.

A więc to tak.

Dostałem je lata temu, podczas rehabilitacji. Wzmacniały ochronę przed przedziwnu, ale robiły ze mnie kalafiora. Na szczęście – za namową ojca – zdążyłem je odstawić, zanim było za późno. Matka miała swoje obawy, ale ostatecznie chyba była zadowolona. Bo oboje mieli prawdziwego mnie z powrotem (zresztą wkrótce zostałem zwerbowany). A teraz, wobec nadchodzącej ofensywy wroga, ona chciała, bym znów zaczął uciekać.

— Nie powinienem zacząć brak leków.

— Ale...

— NIE powinienem.

Chyba wyszło zbyt głośno. Długie chwile ciszy. Idiotyzy w telewizji. Prychnięcie żelazka.

— Jestem zmęczona. — Ledwie ją usłyszałem.

Poczułem to zdanie gdzieś głęboko w piersi.

— Wiem. Wiem, mamo.

Ojciec udawał, że nie słyszy. Tkwiłem tak między nimi przez lata, zupełnie bezsilny. Noga bolała coraz bardziej. Potarłem oczy.

Komórka zapiszczała w kieszeni. Przeczytałem SMS-a, newsletter dla prostowników z regionu z informacją o przegrupowaniach oddziałów wroga.

— Ta komórka, ciągle tylko ta komórka — wysyczała matka.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

— Co ty w niej czytasz? — ciągnęła. — Co w niej takiego jest?

— Maryla — spokojnie spróbował ojciec. Chyba bez przekonania.

— Kogo w niej szukasz? — Nakręcała się. — No, kogo? Powiedz mi,

Łukasz? Kogo?

Wiedziałem, że chce usłyszeć prawdę, dlatego skłamałem.

— Dagmary. Córki nowych sąsiadów. Tych nad nami.

Zamilkła, zaskoczona. A ja opowiedziałem im – w oględny, bezpieczny sposób – wczorajszy dzień. Chciałem to zrobić od wczoraj, gdy tylko wyszedłem od Dagmary, pragnąłem opowiedzieć o niej całemu światu. Czyli tym dwojgu.

Słuchali. Matka dopytywała o szczegóły. Ojciec uśmiechał się do nas. I wtedy odebrał telefon. Przywitał się ze srogini Michalską, porozmawiali krótko o rzeczach, których nie rozumiałem. Matka tylko kręciła głową.

Potem skończyłem opowiadać, pewnie wcześniej niż zamierzałem, nie zostało nic do dodania. Zanim wyszedłem, matka spróbowała jeszcze raz.

— Moglibyśmy dzisiaj, po zakupach, podjechać na cmentarz.

— Mamo. Po co?

Zamknęła oczy, nie odpowiedziała. Uciekłem do siebie.

\* \* \*

Jeszcze przed południem zadzwonił ojciec. Nawet nie usłyszałem, kiedy wyszedł.

— Przygotuj się.

— ...

— To już niedługo.

Zaciąłem się, w pół myśli i oddechu.

— Idzie ofensywa?

— Tak.

A więc to już.

— W niektórych miejscach pogranicze jest sztywne od rozkrzepu — kontynuował ojciec. — Rejestrujemy coraz więcej błędów po ciemnej stronie sieci,



wykrywacze przedziwnu zaczynają wariować. No i szukamy kretów.

— Kretów?

Westchnął.

— Niektórzy ludzie są zainfekowani. Wywołują dodatkowe zaburzenia.

— Jak... Co mam robić?

— Na razie czekaj na instrukcje. I wiadomość od Mariuszka, w obecnej sytuacji staje się bezcenna. I bądź uważny.

— Jasne.

— Nikomu ani słowa. Unikaj zaburzania memosfery.

— Pewnie.

— I wypatruj szpiegów.

— Dobra.

— Łukasz.

— Tak.

— Na wojnie nie ma kompromisów.

— Wiem.

— To jest proste. Albo my, albo to kurestwo.

— No.

— Pa.

I już. Tyle.

Ja ciebie też, tato.

Zanim się rozłączył, usłyszałem w tle kobiecy głos. A może się przesłyszałem.

Byłem cały mokry. Dosłownie. Wzięłem głęboki oddech i rozkaszałem się, jak przepalony astmatyk.

Na wojnie nie ma kompromisów.

Piękne lipcowe południe. Słoneczne promienie, cedzone przez starą firankę, głąskały mnie po karku. Zza okna dobiegał piaskownicowy, beztroski

dziecięcy rechet.

\* \* \*

Siedziałem na ławce, czekając na Dagmarę. I na koniec świata.

Tyle lat czekaliśmy na nią i miała wydarzyć się dzisiaj, może jutro. Ofensywa przedziwna. Jak to będzie? Niebo pęknie, jak przy przenoszeniu jednostek do otchłani? Błękit nad naszymi głowami rozerwie się w pół, tamy puszcza i wykrzywica zaleje nas, walczących o każdy haust powietrza i jedną niepokrzywioną myśl? Czy stawimy opór, całym naszym ciężkim metalem i siłą woli? Czy staniemy razem, ramię w ramię, umysł w umysł?

Gorące letnie południe. Orzeźwiający wiatr pomagał wytrzymać upał, ludzie wylegli na ławki. W sieci nie znalazłem żadnej wzmianki o ofensywie, żadnych wskazówek czy znaków. Czyżby atak rozpoczął się w trybie semantycznym?

Dagmara. Dziś rano uświadomiłem sobie, że dziewczyna jakby potrafiła zmieniać rzeczywistość. Gdy byliśmy razem, frontowe SMS-owe raporty nie przychodziły, dostałem je dopiero potem, już u siebie w domu. A teraz, pierwszy raz od niepamiętnych czasów wyszedłem z domu bez zagłuszacza w uszach albo chociaż w kieszeni. Nie rozumiałem tego.

Wyłoniła się zza rogu wieżowca. Wielkie ciemne okulary, zasłaniające pół twarzy, podniosły się, gdy uśmiechnęła się na powitanie. Stała nade mną i nogawki jej płóciennych spodni załopotwały na wietrze. Gdy wstałem, usiadła. Wyszczrzyła zęby, a wtedy ja klapnąłem na ławkę obok niej.

— Jak się spało? — przywitała się.

— Dobrze. — Po chwili zorientowałem się, że w jej pytaniu było coś aroganckiego. — A jak miało się spać?

— Wczoraj w nocy było bardzo gorąco.

— Fakt.

— Długo nie mogłam usnąć.

Zdjęła okulary i założyła je na czoło.

— Dzięki za muzę — powiedziałem. — Fajne rzeczy. — Wszystkie te płyty miałem i tak, większości w ogóle nie lubiłem. No, ale.

Gadaliśmy o tym prawie godzinę i było dobrze. Żadnych SMS-ów z frontowymi raportami, żadnych myśli o nadchodzących starciach, żadnych popiskiwań przedziwnu. Po niebie płynęły jedynie nieliczne chmury. Żadnego ciężkiego metalu.

Mówiłem do niej, słuchałem i ukradkiem jej się uczyłem. Jej szyi, wielokrotnie przebitych – choć pozbawionych kolczyków – uszu, piegowatej skóry na obojczykach Gołych stóp w japonkach i palców u nóg pokrytych zabawnym, jasnym meszkiem. Dagmara.

Potem odwróciła się w moją stronę.

— Wspomniałeś wczoraj o bracie — powiedziała wreszcie.

Patrzyła na mnie, ostrożna i uważna. Nikt nigdy bardziej nie zasługiwał na to, by go wpuścić.

— Ma na imię Mariusz — odpowiedziałem. Drgnęła, jakby chciała coś powiedzieć. Odłamała drobny kawałek drewna ze zniszczonej ławkowej deski.

— Przeczytałam dziś w sieci o waszym wypadku.

Panika nadeszła nagle i niespodziewanie, jak lodowata dłoń łapiąca mnie za kostkę podczas kąpieli. A z nią dźwięk przychodzącego SMS-a. Dagmara patrzyła na mnie w skupieniu.

— Przeczytałaś w sieci?

— Tak. Twoje imię i nazwisko było w komentarzach pod artykułem.

Zakręciło mi się w głowie.

— Przepraszam — dodała.

Chyba ją czymś wystraszyłem. Wziętem głęboki oddech. Jak przed zanu-

rzeniem w wannie, by stawić czoło istocie trzymającej mnie za nogę.

— Nie ma sprawy. — Wzruszyłem ramionami.

Jak wytłumaczyć całe życie? Niemal dekadę wojny?

— Przykro mi. — Uśmiechnęła się, a coś w jej spojrzeniu przypominało mi matkę. Położyła dłoń na mojej, przyjemnie zimną. — Łukasz, muszę iść.

— Jasne.

Wstaliśmy, uciekłem z dłońmi do kieszeni. Zawahała się, zastanowiła.

— Jednak nie jedziemy dziś na zakupy — powiedziała.

— Aha.

Znów na mnie zaczęła. Gdzieś między piegami przemknął cień uśmiechu.

— No to może wpadniesz wieczorem — zaproponowałem wreszcie. — Tym razem ty.

— Na pewno?

— Jasne. Koło dwudziestej?

— Na razie, Łukasz.

Wtedy zobaczyłem, jak trzęsą jej się ręce. Zrozumiałem, że nie przyjdzie.

— Na razie.

Szybko odeszła do klatki. Komórka w kieszeni zapiszczała, przypominając o nieodebranym SMS-ie.

\* \* \*

Ofensywa przedziwnu rozpoczęła się o osiemnastej, niemalże ścierając mnie na proch. A wcześniej było niewiele lepiej.

Nie pamiętam dokładnie, jak minęły ostatnie godziny przed atakiem. Kolejne czynności wymieszały się w głowie, miksując w jedną: zmiany płyt z zagłuszaczem, ćwiczenia fizyczne, medytacje i, co jakiś czas, marsz po pokoju – dwa kroki po dywanie, jeden po parkiecie, dwa po łóżku, znów

na dywan, łóżko, parkiet, zmiana kierunku i od nowa, od nowa, od nowa. Bałem się, że gdy przystanę na dłużej, mogę się już nie poruszyć. Paranoja podgryzała mnie kęs za kęsem: mosiężny Budda na mojej szafce i wiszący w antyramach natapirowani thorgale, uzbrojeni w gitary i mikrofony – wszyscy wodzili za mną martwym wzrokiem. Matka kilka razy zajrzała do pokoju. Ignorowałem ją. Jakby dzieliła nas pancerna szyba.

Ojciec nie dzwonił. Co chwila odświeżałem skrzynkę pocztową, czekając na przekonwertowaną wiadomość od brata. I, opanowawszy panikę, poszukałem po jasnej stronie sieci wiadomości o naszym wypadku. Nic nie znalazłem. A to znaczyło, że:

- a) albo informacje już zostały usunięte z archiwum portalu;
- b) albo dziewczyna kłamała, o sprawie dowiedziawszy się z innego źródła.

Pierwsza z opcji była możliwa (ojciec ostrzegał przed zaburzeniami sieci), ale mało prawdopodobna – dlaczego taki kontent pojawiłby się po jasnej stronie, akurat gdy zainteresowała się mną Dagmara? Kto go przygotował i czemu szybko usunął?

*No i szukamy kretów.*

No właśnie, opcja numer dwa. W jaki sposób dowiedziała się o wszystkim? I po co pokazała mi, że wie? Chciała zaburzyć memosferę? Osłabić prostownika? Zmusić mnie do działania w sieci, dodatkowo wykrzywiającego jej zawartość? Chodziłem po pokoju, przedzierałem się przez cierpkie od potu powietrze. Rana na nodze pękła, uwalniając lepki płyn, a od ochronnego żucia skórek po pasztetowej coraz bardziej bolały mnie szczęki.

I wreszcie przyszła osiemnasta, a z nią przedziwnu. Złapało mnie za umysł, ścisnęło mocno i rozkwaśiło jak arbuz. Zwaliłem się na podłogę, a na mnie runęły powykrzywiane wspomnienia, zasypując głowę złymi emocjami. Leżałem na dywanie, dygocząc jednocześnie w stalowej pułapce, pełnej

krwi, metalu i wrzasku, gdy połamane ręce uniemożliwiały nam obronę przed wysypującym się na nas czarnym przedziwnu. Przypięty do narzędzi tortur wytartymi skórzanymi paskami, w jednej chwili robiłem setki tysięcy powtórzeń ćwiczeń podczas rehabilitacyjnego koszmaru, trzęsąc się przy każdym ruchu pod ukłuciami ostrego bólu. I te obrazy, jak w filmie puszczone w przyspieszonym tempie: dwie trumny, obsypane smutnymi wieńcami; samotne noce w szpitalnej sali, wypełnione wsłuchiowaniem się w odległe, opętańcze wrzaski i szum silników maszyn przelatujących za zakratowanym oknem. Leżałem i kulilem się pod kolejnymi ciosami, dryfując ku ciemności wypełnionej tym, co złe.

A wtedy usłyszałem dźwięk przychodzącej wiadomości. TEJ wiadomości. Najtrudniej było otworzyć oczy, przypomnieć sobie mięśnie i odzyskać twarz. Nadludzkim wysiłkiem: jedna powieka. Potem druga. Znow byłam u siebie. Żywy. Roześmiałem się i zakrzusilem krwią. Przygryziony język piekł.

Dowlokłem się do komputera. Plik graficzny przesłany z warszawskiego konwertera. Serce wrzuciło piąty bieg, słyszałem własne tętno, dochodzące gdzieś zza mnie – jednostajny szum, głośniejszy od riffów zagłuszacza. Pobierz plik. Zapisz. Otwórz.

Grafika wyglądała jak ilustracja gry komputerowej: zakrwawieni mężczyzna i kobieta, walczący ze sobą w ruinach miasta. Nagi od pasa w górę żołnierz, siwy wytatuowany mięśniak, czekał z nożem na napastniczkę – młodą dziewczynę, która skoczyła na niego, próbując obciąć mu głowę trzymaną oburącz kataną.

Aż jęknąłem, z zaskoczenia i strachu. Znałem te tatuaże, znałem piegi na twarzy dziewczyny. Monitor i ściana za nim zafalowały. Przetarłem łzy. Mariuszkę, o co tu chodzi?

Wtedy do pokoju zajrzała matka. Zorientowała się, że coś jest nie tak. Najspokojniej jak potrafiłem, kazałem jej wypierdalać. Coś w moim głosie spra-

wiło, że posłuchała. Po chwili trzasnęły wejściowe drzwi, miałem ją z głowy. Zamknąłem podgląd grafiki, usunąłem ją z dysku.

Spojrzałem za okno. Ludzi pod blokiem było mniej, jednak wielu zostało, udając, że nic się nie dzieje. Przyglądałem im się, pierwszym ofiarom, próbując opanować mdłości. W ustach czułem tłusty smak zaroda. I tylko nie mogłem dopatrzeć się na niebie naszego sprzętu. Ani dodzwonić do ojca. Próbowałem co parę minut, ciągle słysząc komunikat o nieistniejącym numerze. To niepokoiło, tym bardziej że miałem mu tyle do powiedzenia.

Wtedy dzwonek do drzwi. Fala ulgi, jak wylany na głowę kubeł wody. Przyszedł po mnie!

Otworzyłem drzwi i zamarłem.

— Cześć — przywitała się Dagmara. Spięła włosy, pierwszy raz.

Patrzyłem na nią. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Myślałeś, że nie przyjdę.

Przyszło mi do głowy, że mogę mieć krew na twarzy. To już nie miało znaczenia.

— Nie — wychrypiałem i odchrząknąłem. — To znaczy... Wejdz. Proszę. Teraz wiem, że to zabrzmiało jak wołanie o pomoc.

Widziałem, jak się waha. Do dziś zastanawiam się, co by było, gdyby podjęła właściwą decyzję. Ale Dagmara była na nią zbyt młoda, zbyt głupia i zbyt dobra.

Pozałowała, gdy tylko weszła do mojego pokoju. Poczułem, jak tu śmierdzi. Szaleństwem. Wojną. Zostałem w progu.

Witaj na froncie, dzieciно.

— Łukasz...

— Mam... — zaczęliśmy jednocześnie. Chwila ciszy, wypełniona zawozeniem syren. Odruchowo zrobiła krok do tyłu. Była boso. Wdepnęła w krew na dywanie.

— Wiesz co, ja jednak...

— Dagmara, mam prośbę. — Znów dwa zdania w tym samym momencie. Tym razem postanowiłem dokończyć — możesz znaleźć w necie tę wiadomość, o której mi mówiłaś?

Zawahała się, pokiwała głową. Cały czas nerwowo wycierała stopę w czystą część dywanu. Znamienne, że przyszła bez zegarka, bez blokera przedziwnu. Powoli pochyliła się nad klawiaturą na biurku, starając się mieć mnie bardziej obok niż za sobą.

Gdy otworzyła przeglądarkę, zadzwoniła moja komórka. Numer zarezerwowany. No, wreszcie.

— Halo.

Dagmara odwróciła się, zdziwiona. Gdy kiwnąłem głową w stronę monitora, wróciła do pracy.

— *Żołnierzu!* — wykrzyczała powitanie srogini Michalska, a pode mną ugięły się nogi. — *Słuchaj!!!* — wrzeszczała, starając się przebić przez hałas. — *Jesteśmy tu w głębokiej dupie! Tego skurwysyństwa jest więcej, niż się obawialiśmy! I kasują nam zawartość ciemnej strony sieci, backupy nie pomagają!* — Eksplozje z tła były coraz głośniejsze. — *Muszę się streszczać!* — podjęła srogini. Wyobraziłem ją sobie, jak wrzeszczy do hełmofonu, próbując ogarnąć jedynym okiem całe pole bitwy. Milczała przez parę chwil. — *Twój ojciec nie żyje. Został zabity przez kreta, którego tożsamości nie znamy!* — Jęknęła, jakby oberwała. Ale dokończyła — *powinien ją znać twój brat. Andrzej przed śmiercią kontaktował...*

Cisza w komórce trzasnęła mnie w ucho niemal fizycznie.

*Twój ojciec*

Połączenie przerwane.

*nie żyje.*

Kawałki układanki powskakiwały na swoje miejsca.



Reszta wieczoru była jak trans.

— Już — powiedziała Dagmara, odwróciwszy się w moją stronę.

Zacisnąłem pięść na telefonie i z całej siły uderzyłem ją w skroń. Usłyszałem głośne chrupnięcie, jakbym rozłupał orzech laskowy.

Dagmara runęła na szafkę obok biurka, uderzyła czołem o jej kant i upadła na podłogę, twarzą w dywan. Znieruchomiała. Gdzieś zgubiła frotkę, jej włosy leżały teraz w nieładzie. Po kilku chwilach dostrzegłem pod nimi krew.

Połączenie przerwane.

Pot drażnił mi oczy, a pulsujący ból promieniował z dłoni aż do barku. Ale serce zwalniało. Tylko te syreny, wciąż wyły głośniejsze i głośniejsze.

Nachyliłem się nad monitorem. Tekst prasowy z lokalnego wydania dziennika, zilustrowany zdjęciem wypadku drogowego: stalowa masakra po czołowym zderzeniu dwupiętrowego autokaru i samochodu osobowego.

*Witaj na froncie, dziecko.*

Doskonale znałem samochód, który na zdjęciu zredukowany został do kilku kłębów połamanej blachy, werżniętej w pierwsze metry autokaru. To czerwona vectra rocznik '92. Zaczynała się w niej lewa tylna szyba i niewygodnie wskakiwała piątka.

Przedziwnu było coraz bliżej. Miałem wrażenie, że wieżowiec obudził się do życia, betonowy wąż otrząsnął się i pełźnie przed siebie, wywołując falowanie podłogi i ścian. Złapałem się krawędzi biurka.

Zacząłem czytać.

„Gazeta w Lublinie, 8.06.1996

**Kolejna tragedia na trasie Lublin–Kurów**

**Sześć osób nie żyje, a trzynaście trafiło do szpitala – to tragiczny bilans wypadku, do którego doszło w piątek wieczorem na trasie DK12 w Garbowie. Ofiarami są zakonnice, zawodowy żołnierz i jego syn.**

Autokar pełen sióstr baptystrynek (Zgromadzenie Sióstr Świętego Jana Chrzciciela) wracał z pielgrzymki do portugalskiej Fatimy. Zakonnice jechały z Okęcia do Lublina, podróż została przerwana około godziny dwudziestej w miejscowości Garbów, gdzie autokar zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka osobowym oplem vectrą. Jak udało się nam ustalić, kierowca opla z nieznanymi jeszcze powodów zjechał na przeciwległy pas jezdni, prosto pod autokar. Samochód został zmiądzony, wbijając się w piętrowego mercedesa, którym podróżowały baptystrynki.

Na miejscu śmierć poniosło pięć osób: trzy zakonnice, a także żołnierz zawodowy z jednostki na Majdanku, kapitan Andrzej O. i jego osiemnastoletni syn Mariusz O., prawdopodobnie kierowca opla. Szósta ofiara – kolejna zakonnica – zmarła już po przewiezieniu do szpitala. Rannych jest trzynaście osób, w tym kierowca autokaru i drugi z synów Andrzeja O., mający”

— Coś ty zrobił — powiedziała matka, powoli i cicho. Nie słyszałem, kiedy weszła. Stała w przedpokoju, w drzwiach pokoju. Patrzyła na leżącą Dagmarę. — Coś ty zrobił — powtórzyła jeszcze ciszej.

*Twój ojciec nie żyje. Został zabity przez kreta, którego tożsamości nie znamy.*

Wypuściła z rąk torby z zakupami, zaczęła nerwowo grzebać w torebce. Szukała telefonu. Nie było czasu do stracenia.

Złapałem krzesło i cisnąłem nim w matkę. Poleciało bokiem i nie zmieściło się w progu, odbiło od futryny i spadło na podłogę. Matka krzyknęła i zrobiła krok w tył.

Odwróciłem się w stronę biurka, zawadzając o korpus leżący pod nogami. Sekunda namysłu. Monitor – porządny, stary i ciężki. Wyrwałem go z kabli i odwróciłem się w stronę przedpokoju. Wciąż stała tam, jak zamurowana, bezradnie grzebiąc w poszukiwaniu telefonu. Podszedłem bliżej otwartych

drzwi. Oboje wiedzieliśmy, że tym razem nie spudłuję. Wtedy ona spojrzała mi w oczy.

— Łukasz — w jej głosie było coś, co ścisnęło mi gardło. — Łukaszku. — Wypuściła z rąk torebkę. Wciąż patrzyłem jej w oczy. Trzymała mnie nimi, mocniej niż najsilniejszą z pięści. — Synku.

Miałem wrażenie, że wszystkie moje kości zniknęły, że mięknę, rozpuszczam się. Chciałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem wydusić ani słowa. Przeniosła wzrok gdzieś za mnie i westchnęła. Zrozumiałem, dopiero gdy usłyszałem głos, pojedynczą sylabę.

— Ej — powiedziała spokojnie Dagmara.

Odwrociłem się w ostatniej chwili. I o chwilę za późno.

Stała tuż za mną. Włosy lepiły jej się do twarzy, jak wtedy, gdy rozśmieszyłem ją do łez opowieścią o rozbitym czole. Tyle że tym razem większość piegów przykryła krew, a jej spojrzenie było czystą nienawiścią.

Nawet nie zauważyłem ciosu. Tuż przy mojej twarzy wybuchła bomba atomowa. Betonowy wąż znów wierzgnął, wyrzucił mnie. Gdy leciałem w stronę podłogi, gubiąc monitor i połamane zęby, kątem oka zobaczyłem, że Dagmara szykuje się do kolejnego ciosu. Ścisnęła oburącz mosiężnego Buddę z mojej półki.

Wyglądała zupełnie jak na grafice przesłanej przez Mariuszka.

\* \* \*

„Dziennik wojenny Łukasza Ozimczuka”.

Mój wojenny dziennik. Czy raczej jego początek. Każdy, kto kiedykolwiek próbował pisać, wie, jak trudno jest zacząć. Nieprzespane, spocone i rozdygotane noce. Chemia wyżerająca wnętrzności. Migreny, od których miałem ochotę tłuc głową w kraty dzielące mnie od zieleni za oknem. Długie godziny strachu, który ciągnął mnie za nogi w ciemność pod łóżkiem i szeptał tam

do ucha niedobre rozwiązania. Dziura ponownie wygrzebana w udzie, potem dni i noce spędzane na szarpaninie ze skórzanymi pasami, potem kolorowa dieta, matująca barwy świata. Potem kolejna rehabilitacja. Zacząć jest najtrudniej.

Doktor Baraniecki jest gruby i irytująco cierpliwy (pozdrawiam, doktorze, pozdrawiam). Twierdzi, że najważniejsze już za mną. Że wiem, gdzie chcę dojść, i wiem, że aby móc zrobić pierwszy krok, najpierw muszę się podnieść. Doktor zabrania mi myśleć o moim wysiłku jako pokucie wobec tych, których skrzywdziłem. Że najpierw muszę pozałatwiać sprawy sam ze sobą. Ale wiem swoje, doktorze. Nie umiem nie napisać tego patetycznie. Wszystko, co teraz robię, jest dla niej. Mimo że już się nie zobaczymy. Mama twierdzi, że wyprawdzili się z Lublina. Może kłamie, może nie. Może została okłamana.

Dagmara. Dzięki niej wojna wciąż trwa.

## Dominiczka mówi:

— Żyjemy w królestwach fragmentu. Części. Równoważników zdań. Wyliczeń. Próbek.

— Prób — wtrąca Michał.

— I prób — przytakuje Dominiczka. Nie patrzy na niego, ogląda refleksy światła na kostkach lodu, brzęczących w jej drinku. — I wyjątków.

— Zdefiniuj: wyjątków — pyta ją Michał. Gryzie się w język za użycie eski.

— Wyjątków w każdym sensie — odpowiada mu i uśmiecha się dziwnie. Gdyby jej nie znał, przysięgłby, że Dominiczka teraz nurkuje, głęboko. Ale nie, ona wciąż jest tu i teraz, w stu procentach. I tylko jej uśmiech nie komponuje się z alkoholem, myśli Michał. Jest zbyt wieloznaczny.

— Zobacz — zaczyna Dominiczka. — Zamiast rozmawiać, wydajesz polecenia. Mówisz do ludzi jak do manowiczów. Słownikiem sieci semantycznej.

— Eską.

— Jak wszyscy.

Michał wierci się w fotelu. Nie wie, czy brać to do siebie, czy może użyta przez nią druga osoba to tylko aluzja do ordynarnych anglicyzmów, językowych śmieci ery wszechobecnej *machine translation Poland*.

Dominiczka mówi dalej:

— I ten ciągły ruch, nieskończone połączenia. Wiesz, że kiedyś ludzie nie mówili do siebie dwukropkami?

Wreszcie podnosi wzrok. Zielone oczy jak sączona przez nią farbowana wódka.

— Mówili dwukropkami? — Nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

I kapituluje po raz pierwszy: kilka mikroruchów palcami prawej dłoni, gdzieś między myślą a gestem. Odtwarza swoje pytanie i gugła je, zdając się na wyniki sugerowane przez manowicza. Same długie teksty. I w pełni monomedialne: 100% txt. Autorstwa, a jakże, Dominiczki.

Wtedy Michał kapituluje po raz drugi. Mógłby zarządzić zdefiniowanie terminu. Lwia część jego ciekę jest pusta, natychmiast miałaby definicję przed oczami, o preferowanej przez siebie strukturze semantycznej, olinkowaną wszelkimi możliwymi kontekstami.

Ale:

1. Dominiczka pewnie stale monitoruje sieciowe życie swoich prac, wiedziałaby (może już wie, czemu miałaby nie filtrować niestandardowych zapytań).

2. Ona wciąż na niego patrzy, więc po nieczynniejącym spojrzeniu zorientowałaby się, że zanurkował głębiej.

— Nie rozumiem. — Michał pozwala swemu manowiczowi intrapolować wizualizację z wyników wyszukiwania: karmazynowy, pluszowy w dotyku fraktal przelewa się przez taflę, jakby rzeczywiście rozlewał się po bruzdach kresomózgowia Michała. Jest ciepły, wysoka temperatura fantomu świadczy o językowej elegancji prac Dominiczki.

— Ludzie mówią do siebie dwukropkami — podejmuje ona. — Gdybyś przeskanował wszystkie dwudziestowieczne literackie dialogi. Albo nieliterackie. Na przykład filmowe. Wszystko jedno. — (Michał mógłby to zrobić, ciek wciąż prawie pusty. Nie chce mu się, sięga po piwo). — Niemal nie znalazłbyś dwukropków. Za to dziś...

— Przeciwnie.

— Przeciwnie. — Dominiczka dopija drinka. Kostki lodu grzechoczą w pustej szklance.

— Martwi cię to? — pyta Michał.

— Nie, dlaczego.

Michał nie wie.

— Każdy dwukropek dokądś prowadzi — mówi Dominiczka, a on chyba rozumie, o co jej chodzi.

### **To stało/staje/stanie się wtedy,**

w połowie lipca. Piekło w głowie jego kochanki Sylvie. Barceloński Camp Nou wyrasta na lubelskim blokowisku. Tak trudno o cezury, gdy pożarto czas.

Potem, gdy będzie po wszystkim i jednocześnie wszystko dopiero będzie się wydarzać, Michał wielokrotnie spojrzy wstecz, za siebie i świat, szukając źródeł. Albo pierwszych symptomów, Michał nie będzie wiedzieć. Bo gdy nastąpi już *potem*, permanentna niepewność stanie się równie drażniąca, co oczywista.

Jak miejskie korki: i te z reala, i te cyfrowe. Dławiące się ulice. I zapchane, nieprzyzwoicie spowolnione publiczne ceki.

Jak chrzczone, coraz gorsze piwo, lane z kija w knajpach na Grodzkiej.

Jak alergia na toporny staf z pospolitych manowiczów, sączący się ciekiem Michała. Prymitywne reklamy, zapytania o wspólne wizualizacje, namolne prośby o udostępnienie kodu i użyczenie cieką – wszystkie rykoszetujące somatycznymi dolegliwościami. Choroby cywilizacyjne czasów neurokoneksji: wysypki, bóle, świerzb, nudności. I to drapanie w tyle głowy, gdzieś między czaszką a mózgiem, niczym obcięty paznokieć, tkwiący w płacie potylicznym.

Tamtego wieczoru Michał uprawia seks z Sylvie, która zmienia go w indiańskiego wojownika. Ale wcześniej

## mecz.

Grają co piątek, o trzynastej, dobry początek weekendu. Boisko wciśnięte jest w późnotuskowe blokowiska na lubelskim Czechowie. Nic, tylko grać: obiekt ma grubą cyfraulikę, która umożliwia finezyjne i jednocześnie precyzyjne odpały, a licencja pozwala wybrać dowolny stadion klubu UEFA. Ratusz się szarpnął: boisko ma dobre czujniki ruchu i hula pod szybkim softem, dlatego zgadzają się kąty i cienie, a głębia ostrości robi wrażenie, mimo że mecz to nur tylko do standardowej ćwiartki.

Dominiczka mówi:

— To niesamowite. Nawet stopnie zanurzenia w sieci Polacy nazwali określeniami wielkości flaszek wódki. Setka. Ćwiartka. Połówka.

— Połówka to już coś.

— I potężne zero-siedem.

Michał kiwa głową. Zero-siódemka, ostatnia legalna. Wymagająca aktualnych badań, dużej uwagi i szerokiego cieku. Po niej już tylko niszcząca głowę droga ku stuprocentowemu zanurzeniu. Tajemnicza ścieżka do świata neuroz i udarów.

Lipcowy piątek, trzynasta. Lato w mieście. Upał oblepia asfalt i beton jak brudny pot.

Pograć przychodzą ci, co zwykle. Rosnące brzuszki, łysiny i trzeszczące kości, bo po trzydziestce kondycja i umiejętności stają się odwrotnie proporcjonalne do zaangażowania. Po boisku precyzyjniej niż piłką miotają „kurwami”.

Dominiczka mówi:

— Gracie po to, by potem móc w samych gaciach ożłopać się piwem.

Michał nie zaprzecza. Ona nie zrozumie.

Grają więc. Upał zatyka płuca jak gorący budyń. Drużyna Michała zbiera zawstydzający wpierdol, on sam marnuje kilka setek. Mięśnie płoną przy każ-



dym ruchu, brakuje oddechu i techniki. Ledwo dowleka się do ławki. Kocha to, jak każdy z nich.

Podczas drugiej połowy stają się bogami.

Żaden nie wie, kiedy się zaczęło. A gdy już trwa, nie chcą, by się skończyło. Podekscytowani jak mali chłopcy. I jak dzieci wystraszeni.

Dziś grają na Camp Nou. Odpał, symulujący stadion w Barcelonie, generowany jest w chmurze w ukraińskim Starobielsku, mieście partnerskim Lublina. Ćwiartka uniemożliwia dobre wideo w tak dynamicznym otoczeniu, gdy zasuwasz za piłką, system delikatnie rozmywa tła. Dopiero gdy się zatrzymasz, ponad głowami twoich kolegów wyrosną trybuny. I wyglądają całkiem, całkiem.

Ale nie tym razem.

Tym razem Michał z kumplami są na Camp Nou. Na wojnie, w najwspanialszym z piekieł: dziesiątki tysięcy ludzi na trybunach, dziesiątki tysięcy gardeł grzmiących z bezgraniczną fascynacją. Gęsta, pulsująca granatowo-bordowa ściana, doskonale widoczna przy każdym ruchu, w największym nawet pędzie. Michał przygląda się ich twarzom: mężczyzn, kobiet, dzieci, wszystkim tak różnym. Twarzom, które walą w nich, fala za falą, po każdym zagranium.

W drugiej połowie wychodzi im wszystko. Grają, jak nigdy nie śmieli marzyć, że kiedykolwiek będą. Spoglądają na telebimy górujące nad trybunami i każdy z nich na efektownych zbliżeniach widzi samego siebie w klubowym stroju. Dryblują jak w grach wideo, strzelają bramki jak z Ligi Mistrzów. Do końca meczu nie mówią nic poza boiskowymi komendami. Boją się, że iluzja runie od pojedynczego słowa.

No tak. Po meczu wszystko kończy się równie niepostrzeżenie, jak się zaczęło. Michał jeszcze kilkakrotnie włącza odpał. Bezskutecznie: lubelskie blokowisko – zwykła symulacja (Tępa ćwiartka! Jak mogła im się dotąd tak podobać!) – lubelskie blokowisko – zwykła, tępa ćwiartka. Przełącza jeszcze

kilka razy, aż pieką go oczy. Inni robią to samo.

Długo siedzą w milczeniu na ławkach z boku boiska, czekając, aż zwolnią ich oddechy i serca. Miasto pokrzykuje zewsząd klaksonami.

— Sprawdziłem boiskowe rejestry — zaczyna ktoś. — Pierwsza połowa normalna. Druga... Symulacja HD. Pełna immersja. To jest jak transmisja.

— Niemożliwe.

Michał milczy, kręci głową.

— No. Niemożliwe.

Chwila ciszy, niektórzy nurkują, by sprawdzić. Czasem po meczu Michał łamie prawo, otwiera chronione rejestry medyczne i odpala wizualizacje stanu ich wyciszających się organizmów, po czym od razu intrapoluje je do kresomózgowia – z reguły są przyjemnie orzeźwiające. Ale nie dziś. Michał tylko zgrywa zapisy meczu na swój bekjard.

— Podkręcili soft boiska? Rozbudowali cyfraulikę?

Wzruszają ramionami. Strzelają kapsle, łatwiej znieść ciszę z piwem w dłoni.

Borsuk ma niecałe metr siedemdziesiąt, prawie sto kilo wagi i gęste włosy porastające całe ciało, poza plecami. Tam Borsuk ma wytatuowanego wielkiego, wściekłego borsuka. Teraz siedzi w samych gaciach i zaczepia spojrzeniem Michała. Bezgłośnie pyta. Michał nie wie, co odpowiedzieć.

— Łukaszku — mówi Borsuk do najszcuplejszego faceta w towarzystwie, byłego piłkarza Motoru, zawsze najlepszego na boisku. — Z całym szacunkiem, ale byłeś dziś wyjątkowo chujowy.

Szczery śmiech, głośny i długi, wreszcie. Coś pęka, zaczynają rozmawiać, mimo że w głowie każdego wciąż trwa druga połowa. Będzie co eksponować we własnych bekjardach.

Borsuk dopija piwo, beka, bierze drugie i podchodzi do siedzącego Michała.

— Co to było, Majkel? — staje nad nim.

Michał tylko kręci głową.

— To było jak nielegal. Więcej niż zero-siódemka. Może nawet full — mówi cicho Borsuk, dłubiąc palcem w pępku. — Jak skurwysyńsko szerokich cieków potrzeba, by tak miksować dynamiczny real z pełną immersją?

Michał nie podnosi wzroku:

— Ty się ciesz, że nasze łby to wytrzymały.

Borsuk z roztargnieniem kiwa głową.

— Ale to nie ty? — pyta.

Wie, że manowicz Michała może naprawdę dużo.

— Nie — odpowiada Michał i krzywo uśmiecha się na samą myśl.

— Spróbuję coś... wiesz — mówi Borsuk.

Pracuje jako drapacz chmur: steruje sieciowym ruchem ku nieobciążonym obszarom internetu – wykorzystując wolne pamięci całych lokalnych sieci, maksymalizuje moc obliczeniową chmur, które zamawiają jego klienci.

Michał kiwa głową. Cisza. Obaj orientują się, że słuchają ich wszyscy wokół.

— Borsuk, kurwa — mówi Michał. — Weź mi tu nie machaj tym... — odgania go. — Odsłoń słońce i zabierz mi tę pykę sprzed nosa.

Rechoczą. Borsuk pokazuje środkowy palec. Michał sięga po kolejną butelkę. Ostatnią, upomina się w myślach. Bo tego wieczoru czeka go jeszcze

### **randka.**

Co Michał wie o Sylvie:

1. Z ich pierwszego spotkania, tydzień temu na imprezie w mieście:

Sylvie ma dwadzieścia kilka lat. Jest Francuzką z Tuluzy, od tygodnia w Lublinie na jakimś stypendium (zapomniał, zanim skończyła o tym mówić). Po angielsku mówi niemal bez akcentu, śmieje się trochę jak facet – głośno

i nisko. Ma długie granatowe paznokcie, które Michał zauważył, dopiero gdy drapnęła go nimi w szyję, zdejmując z niej nieistniejący włos. Gest zachęty albo już dokonanego wyboru, zależy jak patrzeć. Umówili się wtedy na kolejny raz.

## 2. Z ogólnodostępnego sieciowego podwórka Sylvie:

Nic ciekawego. Może poza galerią w modnym ostatnio stylu, losowo konstruowaną ze zdjęć Sylvie, robionych przez miejski monitoring. Michał zwrócił na nią uwagę, bo nowo domiksowane foty są przeciętnej jakości, z kolei te z Francji – żyłeta, można z nich policzyć piegi na jej ramionach. Ech, Lublin.

## 3. Z głębokiego skanowania produkowanego przez Sylvie sieciowego kontentu:

Michał spuszcza manowicza ze smyczy (i łapie się na tym, że znów myśli o nim jak o psie, warującym w jego głowie). Manowicz wywęsza ciekawe wzorce – niezbyt skomplikowane, ale niespotykane w innych miejscach, wyraźnie fluktuujące wokół społecznych węzłów sieci Sylvie.

— Anglo- i francuskojęzyczne struktury semantyczne, zabarwione śladami składni z hiszpańskiego — donosi Piast, manowicz Michała. — Charakterystyczne sposoby kadrowania na materiałach wideo, które dziewczyna produkuje w ramach pracy naukowej.

Wzorce szybko doprowadzają go do hiszpańskich przemysłowych chmur, w których – bingo! – głęboko ukryte, miłe oku namiętne materiały, nagrane przez Sylvie z jakimś Latynosem.

## 4. Z jej manowicza:

Michał jest podekscytowany: osobiste-oprogramowanie Sylvie nie jest specjalnie wyrafinowane. Jest za to szalenie rzadkie. Intrapolacje wizualizacji, które manowicz Michała generuje po kontakcie z tak rzadkim obcym o-o, z reguły urywają Michałowi głowę. Jak do czegoś dojdzie, będzie zabawa

na cztery fajerki.

### **Dominiczka mówi:**

— Ludzie tak łatwo zantropomorfizowali manowicze. Myślą o nich, jak o żywych istotach.

— Bo to zwalnia z odpowiedzialności — mówi Michał. — Wygodny determinizm.

— Ha. Może. Tak. Chyba tak — mówi powoli Dominiczka, jakby smakowała koncept. Kiwa głową. Manowicz. Osobiste-oprogramowanie, popularne o-o. Softler, który odpowiada za całość sieciowego interfejsu, samogenerujący się po zabiegu neurokonekcji.

— No bo zobacz — mówi Michał. — Rozgrzebują ci mózg, podłączają do netu, każą ćwiczyć i pstryk! W pewnym momencie pojawia się program, tylko twój, wyjątkowy i niekopiowalny, ściśle skorelowany z twoim systemem nerwowym. I nie masz wpływu na to, który ci się trafi.

— Który cię wybierze.

— No właśnie. — Michał znów myśli o własnym, o Piaście.

Michał podłączył się niemal piętnaście lat temu, na samym początku, gdy państwo jeszcze nie refundowało operacji i myślano, że kluczowe w neurokonekcji jest samo wszczepienie odpowiednich implantów. Rehabilitacja była szalenie intuicyjna i rozbijająca partyzancka: wszystko trwało niemal miesiąc, dziś nie do pomyślenia, gdy w pierwszy piątek po szesnastych urodzinach gówniarze zostają podłączani po szkole i wypracowują podstawowy set komend w tylko jeden weekend, w niedzielny wieczór szpanując gotowymi efekciarskimi sieciowymi podwórkami.

Michał przystosowywał się wolno, głowa myliła się często, ale może właśnie dlatego oprogramowanie, które zoptymalizowało się podczas neurehabu, okazało się typem tak wyjątkowym. Wyjątkowym i pod względem czę-

stotliwości występowania (tylko Europejczycy, około 3 promile populacji kontynentu, głównie Polacy, ale i Czesi, Słowacy), i pod względem ogromnych możliwości. Dopiero dwa lata po podłączeniu Michała manowiczów o takich parametrach było na tyle dużo, że uznano je za odrębny typ. Poszło po kluczu częstotliwości występowania, więc pierwszeństwo w wyborze nazwy miała Warszawa. Soft w głowie Michała został oficjalnie sklasyfikowany jako Piast.

Piast, czyli obiekt zazdrości użytkowników bardziej pospolitych o-o.

Piast, czyli bardzo szerokie ciek i silne neuronalne ukorzenie, umożliwiające intensywne intrapolacje.

Piast, czyli przepustka właściwie wszędzie. Michał nie słyszał o lokalu, imprezie czy usłudze, do której dostępu nie mieliby użytkownicy manowiczów tego typu. Bo użytkownik Piasta więcej daje (czysty kod, szeroki ciek), niż bierze.

Piast, czyli możliwość pracy w branży. Jako drapacz chmur. Albo architekt odpałów. Albo programista. Albo, jak Michał, jako łowca burz: tropiciel sieciowych trendów, kodołamacz i malarz wizualizacji gigantycznych pakietów danych, w których potrafi wyszukać zbieżności interesujące dla klienta.

Piast, czyli Michał.

Czemu akurat on? Szczęśliwy przypadek. Wyjątkowo skutecznie przeprowadzona neurehabilitacja. Albo farciarskie geny, które predysponowały go do wypracowania w sobie potężnego oprogramowania. Nieważne, niech spierają się bioinformatycy i filozofowie. Ważne, że taki o-o dał mu dobry start. Pokazał możliwości. Zainspirował do pracy, dzięki której Michał jest, gdzie jest. I pracuje, tyra czasem aż do zawrotów głowy i migren tak intensywnych (jebana alergia), że ma ochotę zrobić sobie punkcję ołówkiem. Zapieprza, bo wie, że za rok-, dwa-, trzy przestanie nadążać za siecią i jej zawartością. A nie umie robić nic innego, niż w niej grzebać.

— Nie wiesz, który manowicz cię wybierze — kontynuuje Michał i po raz

kolejny zastanawia się nad zbieżnością między typem manowicza a grupą ludzi, w której się pojawia. Istnienie o-o odświeżyło niemodne pojęcie narodu: czy zależność między typem manowicza a narodowością jego użytkownika wynika z genów czy kulturowego tła?

— W czerwcu znów w Polsce spadł współczynnik spójności. Z dziewięćdziesięciu sześciu do dziewięćdziesięciu czterech procent — mówi Dominiczka. Aż sześcioro neuropodłączonych Polaków na stu używa już o-o o typie innym niż jeden z siedmiu zaklasyfikowanych jako „raczej-polskie”.

— No, wiem — odpowiada Michał. Widział statystyki: rośnie liczba manowiczów o typach „raczej-rosyjskich”. W dodatku tylko dwóch, o najsłabszych parametrach. W sieci kiełkują pierwsze z teorii spiskowych. — Będzie się działo, gdy tendencja się utrzyma — mówi.

— Myślisz, że naprawdę nikt jeszcze nie umie tym sterować? Gdzie trafiają manowicze konkretnych typów?

Michał kręci głową.

— Nie mam pojęcia. I nie jestem pewien, czy chciałbym, by ktoś umiał. Myśli o ich matce krążą między nimi jak niewidzialne muchy.

— A jak twoja alergia? — pyta Dominiczka.

Michał lekceważąco macha ręką.

— Manowicz jest jak... Wiesz, to trochę przerażające. Pakiet danych, który oplata ściany mojego ciekę...

— Przestrzenne metafory — upomina go. Od jakiegoś czasu myślenie o ciekach w sposób euklidesowy jest passé. Szczególnie w jego branży.

— ... a jednocześnie filtr do wszystkiego. Całego świata. Kolejny zmysł. Dominiczka kiwa głową i pyta:

— Nazywasz go jakoś w myślach? No, wiesz. Poza tym, że jest Piastem.

— Po swojemu? Jak faceci, którzy nazywają swoje penisy „wacek”?

— Nie tylko faceci tak robią — mówi Dominiczka i dolewa sobie wódki.

Jej oczy lśnią mocniej niż platynowe pentagramy wpięte w jej uszy.

### **Randka kończy się katastrofą.**

Naga Sylvie wrzeszczy jak zarzynana. Kuli się w rogu sypialni, byle dalej od Michała. Rozdygotana, zasmarkana, wali pięściami w parkiet, pryskając krwią na wszystkie strony, i wydziera się po francusku na tyle niewyraźnie, że translacja jest niemożliwa. Każdy centymetr sześcienny jej ciała jest paniką. Michał nic nie rozumie, nagi jak nigdy w życiu, erekcja przegnana daleko.

A było dobrze:

1. Piwo na Starówce, potem spacer, żarty pełne podtekstów. Gdy idą po deptaku, słońce nagrzewa odsłonięte ramiona dziewczyny i Michał wdycha zapach jej skóry. Sylvie próbuje wy badać, czy on ma coś przeciw prywatnym odpałom, generowanym przez partnerki podczas seksu.

— Filtry to element naszego życia. Intymny. Co komu do tego — mówi Michał i myśli, że mówi szczerze. Sylvie wkrótce potem proponuje drinka. U niej. Zachęta czy dokonany wybór, zależy jak patrzeć.

2. U niej więc: całują się, Sylvie napiera na niego. Drapie po karku. Niegrzeczna dziewczyna: jej włosy pachną nikotynowcami. Całują się długo, dużo dłużej, niż potrzeba ich manowiczom, by sprawdzić wzajemne rejestry medyczne.

— Zielone światło — mówi Michałowi Piast. — Ta dziewczyna jest zdrowa.

Zielone światło, bezgłośnie mówi Sylvie, prowadząc jego dłoń ku sobie.

3. Pokazuje mu, by klęknął za nią i był z tyłu. Sylvie pachnie jak na spacerze, tylko bardziej. Tak dobrze: Piast i manowicz dziewczyny (Gaston, niereprezentatywny typ romański) skanują otwarte części swych kodów i plotą wspólnie trójwymiarowe grafy. Michał intrapoluje te wizualizacje – struktury informacyjne zostają przełożone na fale impulsów nerwowych, wysłanych



do kresomózgowia. Lepki, ciepły język liże go od środka, przyjemność spływa do łędźwi, rezonuje w Sylvie i wraca do głowy. Spływa i wraca. I wraca. I wraca.

Sylvie jęczy cicho i wtedy Michał przypomina sobie jej pytanie o odpały. Robi to, co zakazane: posyła manowicza do jej głowy. Gdy ten wraca, bez trudu złamawszy zabezpieczenia, Michał nurkuje do zero-jedynki i na swej tafli wyświeśla filtr odpalony przez Sylvie. Niemal wybucha śmiechem i wie, skąd ta pozycja: dziewczyna zerka w oparte o ścianę lustro, w którym ogląda siebie i klęczącego za nią Indianina. Zamiast Michała jest Peruwiańczyk z jej prywatnych pornosów: lśniący od potu awatar, dyszący równo, mocno i głośno jak staroświecki parowóz z Trujillo do Limy. Wtedy Sylvie przyspiesza i Michałowi przestaje być do śmiechu. Wyłącza taflę i zamyka oczy, skupiając się na ruchu i penetrującym go od środka jęzorze.

Chwilę później dziewczyna wrzeszczy. Wyrzywa się, rzuca po pokoju w bezładnej panice, pięścią rozbija lustro (brzęk jest taki głośny) i wreszcie, wciąż wrzeszcząc i chlapiąc krwią z pokaleczonej dłoni, ląduje w rogu sypialni. Sylvie kuli się, szarpie, dygocze, nieruchomieje bardzo powoli, wrzask przechodzi w tępy, nierówny charkot. Potem w płacz, ciche łkanie, do siebie.

Mijają najdłuższe minuty w jego życiu, zanim ona w końcu odważy się na niego spojrzeć. Wtedy Michał aż się wzdryga.

Kiedyś szedł po ulicy z kilkoma tic-takami w ustach. Zatrzymawszy się na światłach przy przejściu, kichnął głośno, a cukierki wypadły mu z ust i z grzechotem poturlały się po chodniku. Przechodnie wokoło odsunęli się, nie ukrywając bezbrzeżnego obrzydzenia. Myśleli, że to jego zęby. Teraz Michał patrzy na Sylvie i widzi to samo spojrzenie.

— Koc — szepcze ona, wciąż nie mogąc złapać oddechu. — Koc.

Michał okrywa dziewczynę. Pilnują się, by się nie dotknąć.

Milczącą wieczność później, stojąc przy drzwiach, w pół kroku do wyjścia, Michał pyta ją, co się stało. Nie patrzą sobie w oczy, szanując siłę ostateczności – oboje wiedzą, że już więcej się nie spotkają.

— Widziałam... — zaczyna Sylvie. Ściśnięte, zdarte gardło brzmi jak martwe. Głęboki wdech. — Zobaczyłam piekło.

W jej opuchniętych, przekrwionych oczach jest coś, co wywołuje w nim dreszcz.

### Tej samej nocy

Piast włamuje się do manowicza Sylvie i kopiuje resztki kukisów zalegających w jej ciekach – kradnie cyfrowy powidok wieczoru. Z nich Michał rekonstruuje fragmenty odpą, który nagle spadł na dziewczynę. I szybko zaczyna żałować, że to robi.

Pojedyncze sceny wystarczają do ogarnięcia całości: gigantyczna rzeźnia, pełna ubijanych zwierząt. Kadzie, piły, tasaki, elektryczne pałki i wszędzie krew, rzeka krwi, chlustająca po kaflach w kolorze kości. Manowicz Michała nie ma problemu z rozpoznaniem wzorca. To fragmenty fanowskiego teledysku, zbiorowego międzynarodowego autorstwa. Nieoficjalna, niszowa wizualizacja, przygotowana do wegetariańskiego hymnu, nagranych rok temu przez największą polską pieśniarkę: artystkę zwaną Diwą, Która Kiedyś Używała Pseudonimu.

Michał musi pomyśleć. I długo nie myśli w ogóle. Siedzi na balkonie, marznie, poci się. Lublin migocze do niego setkami kolorowych oczu i pomrukuje asfaltem, protekcjonalnie, bezustannie.

Tyle niewiadomych, zapytań z zerowym wynikiem wyszukiwania. To, co stało się na boisku. To, co stało się w mieszkaniu Sylvie. To, co wydarzy się podczas jutrzejszej rozmowy z Irlandczykiem. Michał uświadamia sobie, że się boi i ta świadomość zaskakuje go. Tu i teraz jest dobrze, tu i teraz tkwi

w ciemnej bruździe między *wczoraj* i *jutro*, ale i tak, boi się, obu tych dni.

Manowicz mówi: rozmowa z Borsukiem.

— No cześć, Borsuk.

— Cześć, cześć.

Pauza, zbyt długa, milczą obaj, słowa łamią się, jeszcze niewypowiedziane.

— Jak randka? — pyta Borsuk.

— Kurwa. Weź. Wiesz... — Michał poddaje się. — Kurwa mać.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nic dobrego, chyba. Na pewno.

Kolejna pauza.

— Aż tak? — pyta Borsuk, a Michał uznaje to pytanie za retoryczne.

— Kurwa — przyznaje Borsuk.

— No.

Pauza.

— Kiedyś opowiesz.

Michał uśmiecha się do siebie.

— Dobra — mówi Borsuk. — Odzywam się, bo sprawdziłem to, co... Ten... Stary, nawet nie wiem, jak to nazwać. W każdym razie. To przyszło ciemkiem z zewnątrz. Ktoś nam wpierdolił boiskowym softem nieprawdopodobną symulację. Zmierzyłem stopień immersji, nieprecyzyjnie, bo na podstawie boiskowych zapisów. Wiesz, ile wyszło? Zanurzenie na trochę więcej niż dziewięćdziesiąt dwa procent. Wyobrażasz sobie?

— Byłem tam przecież. Myślałeś, że ile będzie? Połówka?

— No ale żeby ponad dziewięć dych? Kurwa, Majkel.

— Skąd to?

— Co?

— Gówno. Skąd ten odpał przylazł?

— No właśnie nie wiem. To znaczy z publicznej chmury, naszej, ratuszowej. Zlał się do cieku, tego ze Starobielska, który niby miał generować symulację. I za chuja nie powiem ci, jak do niej trafił. Dzida znikąd, Majkel.

— Dzida znikąd.

— No. Popatrzę coś jeszcze jutro, ale to na nic. Zresztą już więcej nie mogę. Jak jeszcze raz zanurkuję, zanim pójdę spać, będę musiał zdrapać sobie skórę z szyi.

— Bierz Alertec.

— Wapno piję.

Michał wyobraża sobie jego uśmiech. Pauza, trochę łatwiejsza do zniesienia.

— Dzięki, Borsuk.

— Oj tam. Jutro masz to spotkanie?

Michał coraz mniejszy, miasto coraz większe. Nachyla się nad nim, przygląda, obserwuje.

— Tak.

— Będzie dobrze.

— Tak.

— Powiesz, co z tą Hiszpanką?

— Francuzką — poprawia go Michał.

— Co z tą Francuzką.

— Spierdalaj, Borsuk. Kiedy indziej.

— Dobra.

— Borsuk?

Ale już go nie ma.

Michał nie zdążył podziękować. Zresztą, Borsuk wie. Musi wiedzieć, inaczej to wszystko jest na nic.

Lublin przymknął większość swych oczu. I tylko mruczy, wciąż pomrukuje.

A Michał

### **myśli o matce.**

Znowu. O kobiecie, która nie udawała, że potrafi i chce wychować dzieci. Która zniknęła z jego życia na długo przed tym, jak przestał jej potrzebować. A potem wróciła z właściwym sobie wyczuciem czasu: gdy nauczył się bez niej żyć. Wróciła, bo zainteresowała się tym, kim stał się po neurokonekcji. Bo jej synem zainteresowali się ludzie, dla których pracowała.

Witaj w królestwie paranoi i absurdu. Jego matka wraca i mówi mu, że spory kawał jej życia to ściema, tafla, na której ktoś wyświeśla odpał, równie widowiskowy, co nieprawdziwy. Pieprzy mu o patriotycznych obowiązkach i finansowych profitach. Bo ta kobieta nagle opowiada mu, że jest szpiegiem.

— Zdefiniuj: szpiegiem — mówi Michał.

No, szpiegiem. Kimś w rodzaju sieciowego szpiega. Jest żołnierką tajnych wojen na symbole, nieoficjalnych wyścigów ku coraz bardziej dominującym manowiczom. By to polskie softłerowe rozwiązania w jak największym stopniu wrastały w tkankę sieci. W tę powierzchniową: symbole, memy, semantyczne kalki, obrazy, scenografie i nastroje odpałów czy sieciowych bekjardów. I w tkankę podskórną, by wrastały w jej DNA: struktury głębokie sieciowych pływów, przelewających się ciekami na całym świecie, w infokombinacje połączeń, z których lepione są chmury. By – cóż, nie wiemy, czy się udaje, próbować nie zaszkodzi – „raczej-polskich” manowiczów pojawiało się poza Polską jak najwięcej.

To dyplomacja symboliczna, mówiła matka, tyle że tajna. Dla pewnych ludzi tajna oczywiście tylko pozornie. Mówiła, że kiedyś złożono jej ofertę nie do odrzucenia. Bo ma możliwość swobodnego i bezkarnego zbierania całych oceanów kluczowych informacji. Takich jak dziesiątki tysięcy kombinacji zbieżności między 1) somatyką intranautów; 2) typem o-o; 3) udziałem w pro-

dukcji sieciowego kontentu i jego rodzajem. Czy jakoś tak.

Szpiegiem. Jakby jej oficjalne życie nie było wystarczająco popierdolone.

O tym nieoficjalnym Michał nie dowiaduje się prawie nic. I jednocześnie zdecydowanie zbyt wiele. Bo jego matka wróciła, gdy okazało się, że Piast Michała jest potężny, więc użyteczny. Matka pojawia się i składa ofertę. Nie prosi. Namawia. Przekupuje. Straszy mocodawcami, Firmą, jak lubi nazywać ich Michał.

Odmówił. Musiał. Bo, debile, nie wiedzieli, że zgodziłby się, bez wahania i już dawno temu, gdyby to nie ona złożyła mu propozycję. A tak – musiał odmówić, wciąż musi odmawiać.

Doprawdy, debile.

Gdy myśli o matce, myśli o siostrze. Martwi się, bo ma wrażenie, że z każdym dniem, z każdym sieciowym nurem zapomina ich wspólne dorastanie. Obrazy z dzieciństwa blakną, wycierają się jak sny przepędzane przez agresywną rzeczywistość. Zostają tylko emocje, szarpiąca serce i gardło nostalgia.

Dominiczka w jego wspomnieniach jest konkretna, wyraźna i namacalna. Ale dopiero gdy jest dorosła.

### **Spotkanie w interesach**

idzie dobrze. Niemal do końca.

— Mój manowicz mówi: Bitwa o Lublin miała miejsce tutaj — mówi Gareth Evans i rozgląda się po ulicy.

— Nie lubimy tu tej nazwy — mówi Michał. Słowa dobiera jak najprostsze, by nic nie ginęło w przekładzie.

— Ta nazwa jest popularna, bo nieoficjalna, nieprawdaż? — pyta Evans.

*Nieprawdaż.* Ja pierdołę, myśli Michał. *Nieprawdaż.*

Gareth Evans uważa, że nieźle zna polski. Mówi prostym biznesowym emtepem, inkrustowanym podpowiedziami, podsuwanymi przez jego irlandz-

kiego manowicza. Właśnie to demoluje ten język, myśli Michał. Kalki z *machine translation Poland* plus trywialne schematy słownych interfejsów. Złości się, również na siebie.

— Tak. Tak nazwali zamieszki ich uczestnicy. Wśród fanów kibolskich wojen się przyjęło — tłumaczy Michał.

— Oczywiście — mówi Evans. — Wiem, że Lublinianka dobrze gra w Lidze Mistrzów.

Michał kiwa głową.

— Facio, który ją kupił, jest Żydem — dodaje Evans.

Michał kiwa głową.

— No tak. Dialog kultur — mówi Irlandczyk. — Bitwa o Lublin. Czterdzieści cztery ofiary — recytuje. Patrzy na Michała, ale czyta ze swej tafli informacje z sieci. — Motor Lublin: szesnaście. Lublinianka: dwadzieścia sześć. Psy: dwa. Psy to są policjanci?

— Tak. Kobieta i mężczyzna. Zginęli pierwszego dnia, na samym początku. Tam jest pamiątkowa tablica.

— O. Tej informacji nie ma tutaj.

— Domyślam się — mówi Michał i zastanawia się, czy Evans nie podgląda teraz zapisów walk.

— Wiesz co... — zaczyna Irlandczyk.

— Tak?

— ... Finowie zmieniają prawo. I pozwolą na neurokonekcję czternastolatków.

— Nie słyszałem. — Michał jest szczerze zaskoczony.

— Niewielu słyszało.

— Kiedy?

— Jesienią.

— Niebezpieczny precedens — mówi Michał i myśli o Chinach i afrykań-

skim Południu, gdzie lokalni rzeźnicy ponoć grzebią w mózgach i dwunastolatkom. Mówi się, że success rate takich neurokonekcji oscyluje w granicach trzydziestu procent. To znaczy tyle osób w ogóle przeżywa próbę podłączenia. Dlatego Michał stara się unikać wpływów z tamtych rejonów, o ich śmiertelnej niestabilności krążą najczarniejsze branżowe legendy.

Sobotnie południe. To Gareth Evans wybrał czas spotkania. Michał wybrał miejsce. Nie zdecydował się na lubelską Starówkę, pełną turystów, strażników miejskich, sieciowych kawiarni i cepeliowych historycznych odpałów z czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wolał coś mniej oczywistego, więc zarezerwował stół w knajpianym ogródku na Orlej. To ładnie odnowione wczesnopeerelowskie śródmieście: wąska ulica, wzdłuż której wciąż trwają imponująco surowe kamienice. Centrum Lublina dobrze wygrywa nostalgię za XX wiekiem.: tu tamta sroga architektura wciąż ma się dobrze, nie musi być generowana przez odpały. Kawiarniane stoliki wzdłuż Orlej są głośne, kolorowe, wypełnione ludźmi i stafem, płynącym stąd do sieci na całym świecie. Gimnazjaliści, licealiści, studenci, nauczyciele, naukowcy, dziennikarze, drapacze chmur, architekci, urzędnicy w cywilu, menedżerowie w cywilu, artyści w swych nieformalnych mundurach, obywatele miasta i obywatele świata – młody lubelski kreatywny sektor, przelewa się tu, chodnikiem i ciekim, i przelewać będzie co najmniej do północy, bo tego sierpnia noce są wyjątkowo piękne.

— Mniam — mówi Gareth Evans i odstawia kufel. — Wiesz, kocham piwo tutaj. Smakuje dużo lepiej niż w Dublinie.

Michał przez swą taflę zamawia dla wszystkich drugą kolejkę. Rozumie sygnał. Mimo wszystko powinno być dobrze.

Są we czwórkę, po dwoje:

1. Gareth Evans, Irlandczyk wyglądający zupełnie nie jak Irlandczyk. Niski i śniady, z nadwagą i czarną kręconą czupryną. Przypomina hobbita, uczciwego



i pogodnego. Chętnie patrzy na rozmówcę, jest uważny, ale nie nachalny. Jak dobry lekarz, myśli Michał i zmusza się do czujności. Unika głębszego skanowania bekiardu Evansa, całą uwagę Piasta kieruje na ochronę własnych informacji.

2. Evans przyszedł z kobietą. Krystyna Kik jest jego przewodniczką po Polsce i prawdopodobnie również rodzajem sieciowego zabezpieczenia: odpowiedni typ napięcia między manowiczami tych dwojga może udrażniać ciek Irlandczyka. Krystyna Kik ma na sobie nudny biznesowy kostium, nudny biznesowy wyraz twarzy i najwyraźniej zakaz zabierania głosu.

3. Dominiczka siedzi obok Michała. Mówi niewiele i doskonale wypełnia swą rolę: Gareth Evans spogląda na nią coraz częściej.

4. Michał.

Michał widzi, że czas przejść do meritum.

— Twoja firma... — zaczyna.

— Intrasemantic. Tak.

— ... produkuje soft, który wzmacnia impakt faktor określonych sieciowych obiektów. Konstruuje broń służącą do wygrywania wojen na symbole. — Michał celowo trywializuje informacje dostępne na podwórkach Intrasemantica.

— Ja bym raczej powiedział, że oferujemy usługi — mówi Evans. — Jesteśmy wspomaganiami dla naszych klientów, by trendy, którymi oni są zainteresowani, rozwijały się w odpowiednich kierunkach.

— Jak duże trendy modelujecie? — pyta Michał.

— Nieduże raczej. Niska entropia. Niewiele zmiennych niezależnych. Nie modelujemy dużych struktur semantycznych — odpowiada Evans. Michał wie, że Irlandczyk, jak ująłby to emtepowy translator, sprzedaje mu bycze gówno.

— Dlaczego?

— Ryzyko finansowe. Nakłady są niewspółmierne do kosztów. Skompli-

kowane trendy wymagają gigantycznych chmur. Dzisiaj coraz trudniej znaleźć takie. Rzeźbiarze chmur...

— My mówimy: drapacze.

— Drapacze chmur? — Błysk zrozumienia na gładkiej twarzy Evansa, gdy jego manowicz podrzuca wyjaśnienie szarady. — No tak, drapacze. Ładne, wiesz? Tak czy inaczej. Skomplikowane trendy są wysoce labilne. Na przykład artyści. Jak muzycy – żywi czy postCope'y, nieważne. Albo VRzeźbiarze. Albo modele samochodów. Albo moda.

— I tego nie modelujecie? — Michał udaje, że to niewinne pytanie. Evans udaje, że w to wierzy. Obaj wiedzą, że próba zaczęła się na dobre. Rzut oka na kobiety. Krystyna Kik wciąż zachowuje się, jakby była tu tylko fizycznie, i tylko czasem spogląda na Dominiczkę, tak jak tylko kobieta potrafi spojrzeć na inną kobietę: jednocześnie czujnie, mimochodem, lekceważąco, protekcyjnie i krytycznie. Dominiczka nie zwraca na nią uwagi, od niechcienia ogląda młodzież siedzącą przy stoliku obok.

— Nie, tego nie modelujemy — odpowiada Gareth Evans.

— Wykorzystujecie Drugą Zasadę Manovicha. Konstruuje przekazy, które...

— Całe matryce przekazów.

— Zawsze?

— Zawsze — odpowiada Evans, miło i skromnie, bez cienia wyższości. Michał zaczyna przegrywać. Jeszcze trochę i z biznesu będą nici.

— Konstruuje dla waszych klientów matryce, które stanowią szkielety informacji o interesujących ich trendach. A te matryce są chętnie inkorporowane przez manowicze poszczególnych typów i pewnie całe sieciowe pływy.

— Tak. To drugie częściej — mówi Evans. Niepozorny człowieczek, który zarabia na tym, że świat symboli coraz częściej kształtują pozakulturowe procesy zachodzące w domenie cyfrowej. — To jest tak: przychodzą klienci

z obiektami. My robimy, że wzory na matrycach obiektów łatwo adaptują się do głównych algorytmów poszczególnych płytów. Bo wtedy na przykład dana aplikacja staje się nagle popularna. Albo piosenka.

— Ale już nie artysta, nie cały — mówi Michał.

— Nie. Bo łatwo podkrećisz kod utworu tak, by manowicze chętnie sugerowały go swoim użytkownikom. Jeszcze łatwiej zdobywasz popularność takiej piosenki wśród postCope'ów.

— Odpada mało przewidywalny czynnik ludzki.

— Tak. Ale piosenki są łatwe. Względnie. Ale całego artysty — dorobku, wizerunku — już się tak nie da.

— Więc nie zwiększacie WP?

Opóźnienie, krótsze niż mgnienie oka.

— Współczynnik Pudelka — czyta z tafla Evans, dostaje wyjaśnienie kulturowe — Nie. Absolutnie. Nawet duża chmura nie da ci tyle pamięci, że zrobisz matrycę, która zostanie inkorporowana przez wystarczająco dużo sieciowych płytów. Mówiłem: wysoka labilność. Matryca musiałaby być superrozległa. Albo supergęsta. A wtedy nie byłaby uniwersalna.

— Trafiałaby do niewystarczającej liczby sieciowych płytów i nie zdobyła wystarczającej popularności — mówi Michał.

— Exactly — mówi Gareth Evans.

— Nawet w skali jednego kraju?

— Nawet. Zresztą, co to znaczy dziś? Jaki procent polskiej sieci jest anglojęzyczny?

— Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć. Zależy, jak liczyć.

— Więc widzisz.

Po co więc tu jesteśmy? — myśli Michał.

— Przepraszam na chwilę — mówi Dominiczka. Podnosi się z miejsca i kradnie ich uwagę.

Tyle detali: plastikowe ciemne okulary, które jak opaska trzymają jej gęste włosy z dala od twarzy. Drobne świetlne refleksy – pot, a może brokat bądź jakaś inna kobieca tajemnica – migoczą na ramionach i między obojczykami. I zieleni: kociozielone oczy; zielony bezsensowny napis na luźnej bawełnianej koszulce; znoszony jaskrawozielony plastikowy pasek. Obcisłe dzinsy, gdy Dominiczka obchodzi stół i idzie do knajpy.

— Cóż — mówi Evans i odwraca wzrok w stronę Michała. Jego twarz jest spokojem, grzecznością, szacunkiem. — Dość pierdolenia. Pogadajmy.

Gadają więc. Konkretnie, krótko.

Intrasemantic to irlandzcy sieciowi kozacy – firma niewielka i pozornie niezależna (by nie władować się na sieciową minę, Michał bał się grzebać zbyt głęboko za ich biznesowymi powiązaniem). Intrasemantic wie, że Michał jest dobry. Że jest jednym z najlepszych w Polsce. Intrasemantic może go wynajmie, może nie. Gareth Evans nie chce tego przyznać wprost, ale Intrasemantic chce Michała nie tylko z powodu jego umiejętności. Chodzi o coś więcej, trochę o manowicza, trochę o kryteria, które Evans ciągle przemilcza. Bo jego firma ma potężnego klienta, który nie liczy się z kosztami. I ten klient chce przemodelowania skomplikowanego trendu. Trendu, którego złożoność o kilka rzędów wielkości przekracza najtrudniejsze rynkowe zlecenia. Ale Intrasemantic ma człowieka, który może to zrobić. Może przynajmniej spróbować, klient płaci za samą próbę operacji. Człowiek Intrasemantic, ten genialny dyrygent trendów, potrzebuje współpracownika, a swoim zwierzchnikom zasugerował właśnie Michała. I dlatego Gareth Evans wsadził swą grzeczną hobicką dupę w boeinga, wysiadł w Świdniku i kazał zawieźć się Krystynie Kik do tego upalnego miasta. Gareth Evans jest tutaj, bo musi być pewien, że facet, z którym się spotkał – nie dość, że Polak, to jeszcze grubo po trzydziestce, branżowy matuzalem – że ten gość się w ogóle do czegoś nadaje.

Michał słucha, zadaje cały szereg merytorycznych pytań. Okazuje scepty-

cyzm, profesjonalny dystans. I jednocześnie buduje kolejne mury wokół własnego sieciowego podwórka. Nie chce, by Evans (albo jakiś inny sieciowy pistolet robiący dla Intrasemantica; czujne spojrzenia na Krystynę Kik) zbyt szybko zorientował się, że Michał zdecydował się już dawno temu. Bo marzył o takiej okazji od lat.

Z tego samego powodu każe Piastowi delikatnie stymulować swą korę mózgową. Chaotyczne wiązki subtelnych elektrycznych impulsów niedostrzeżalnie wpływają na wymowę Michała, uniemożliwiając ewentualnym audiorejstratorom precyzyjne odczytanie jego emocji.

Zatem:

Michał nie mówi: nie.

Gareth Evans mówi: Przekonaj mnie, że potrzebujemy ciebie.

Krystyna Kik milczy.

Dominiczka wraca i mówi:

— Uff. Dobrze się wysikać to jak słabo zaruchać.

Chwila konsternacji, po której w trzy sekundy dzieje się tyle rzeczy:

1. Michał patrzy na siostrę, zaskoczony. Ale zaraz przychodzi olśnienie.

Dominiczka, genialna jak zwykle.

2. Michał natychmiast włącza bierne skanowanie polskojęzycznej sieci. Piast czeka w pogotowiu na żądanie wyszukania określonej frazy.

3. Gareth Evans zacina się, na ułamek sekundy. Dłoń trzymająca szklanekę z piwem zatrzymuje się, po czym znów rusza w stronę ust.

4. Jest! Piast rozpoznaje zapytanie. Manowicz Evansa, a po nim całe sieciowe silniki Intrasemanticu szukają w necie konotacji tej jednej syntagmy.

*Dobrze się wysikać to jak słabo zaruchać.*

Mija pierwsza sekunda.

5. Piast przechwytuje i podkręca wyszukiwanie: obudowuje je prostymi kodami, chętnie inkorporowanymi przez większość słowiańskich manowi-

czów. Zapytanie, dyskretnie wyszeptane przez Evansa, jest nagle jak gigantyczny neon nad wejściem do darmowego wesołego miasteczka, do którego od razu walą tabuny Polaków, Czechów, Słowaków, Ukraińców i Serbów.

6. Gareth Evans pije piwo. Krystyna Kik spogląda na niego. To zaskoczenie?

7. Dominiczka siada. Michał patrzy w jej stronę. Zielone oczy Dominiczki mówią: Nie ma za co, Michaś.

Mija druga sekunda.

8. *Dobrze się wysikać to jak słabo zaruchać* ma swój moment w sieci. Przynęta rzucona przez Piasta działa doskonale: fraza trafia do kilkudziesięciu głównych słowiańskojęzycznych pływów, kula śniegowa toczy się i puchnie, rozlewa się po chmurach na całym świecie – rozwija się, rozrasta, pączkuje automatycznymi tłumaczeniami; morfuje jako fragment tysięcy wizualizacji najgorętszych obecnie trendów, intrapolowanych do mózgow setek tysięcy intranautów. MC Tede-Saussure, najpopularniejszy raper wśród polskojęzycznych postCope'ów, komponuje nowy singiel. *Dobrze się wysikać to jak słabo zaruchać* trwa pięć minut i piętnaście sekund, ma tłuste bity, wulgarny tekst, i z miejsca staje się przebojem. Tylko przez najbliższą minutę numer odtworzy ponad dwieście tysięcy polskich wielbicieli twórczości wirtualnego muzyka.

9. Krystyna Kik spogląda na Michała. Jej oczy dziwnie błyszczą, Michał nie potrafi przeczytać wyrazu jej twarzy.

10. Dominiczka wzdycha niewinnie.

Mija trzecia sekunda.

Gareth Evans odstawia szklanę.

Teraz albo nigdy, myśli Michał.

— Mogę przyjąć twoją propozycję — mówi do Irlandczyka. Miło i skromnie, bez cienia wyższości. — Jeśli wciąż jest aktualna.

— Naturalnie — mówi Gareth Evans. Krótkie drgnienie hobbickiej wargi

musi wystarczyć za uśmiech.

— Musimy cię przeprosić. — odzywa się Krystyna Kik. Jej intonacja, mimika, mowa ciała rozjeżdżają się na wszystkie strony, są szumem zakłócającym przekaz. — Za wczoraj. Za test na boisku. Był nam bardzo potrzebny. Rozumiesz.

Michał tylko kiwa głową. Ulica Orla wierzgnęła.

Krystyna Kik mówi mu bardzo wiele: o sobie, o oczekiwaniach i możliwościach Intrasemantica. Albo tych, którzy stoją za firmą. Michał wie doskonale, że tej niepozornej babie wcale nie chodzi o przeprosiny.

### Ojciec,

jak każdej soboty, ściska syna i całuje w policzki. Dziś już przy furtce. Pachnie mydłem i dzieciństwem Michała.

— Siedzisz na tym skwarze? — pyta Michał.

— Za gorąco — odpowiada ojciec. — Wyjrzałem na chwilę i akurat szedłem.

Kłamię, od dłuższego czasu stał na popołudniowym słońcu. Lśniącą od potu skóra łamie się bezszelestnie wokół pogodnych oczu.

— Idziemy do środka — mówi ojciec. — Do klimy i piwa. Nie jesteś samochodem?

— Nie, chodźmy.

W domu jest chłodniej i ciemniej.

— Zamawiam pizzę — krzyczy z kuchni ojciec.

— Pewnie — odkrzykuje Michał i spogląda na grającą głośno wieżę. Michał wie, że muzyka to węglówka. Ojciec nie słucha postCope'ów.

Ojciec przynosi dwie otwarte butelki.

— To Nirvana?

— Synu... — Stary mężczyzna tylko kręci głową.

Michał podchodzi do wieży, bierze do ręki opakowanie na CD. Antyk niemal.

— Slayer — czyta. — Oni już nie żyją, prawda? — Mógłby zanurkować i sprawdzić, ale to część rytuału.

— Michaś, Michaś. Naprawdę wdałeś się w matkę.

Siadają do stołu. Podniszczone pudełko z *Magią i mieczem* już czeka.

— Nie wiesz, co u niej? — ojciec pyta syna. — Co u matki?

Zimny, lepki robal zsuwa się wzdłuż kręgosłupa Michała i sunie do nagiej, płaczącej Sylvie.

— Tyle wiem, co i ty.

— Nie widzieliście się. — Ojciec, pochylony nad kartonowym pudłem, wyjmując planszę, karty, kostki, żetony, układa je w równe stosy.

— Nie. Nie rozmawiałem z nią od świąt. Powiedziałbym ci.

Westchnienia, cięższe od dębowego stołu. Przygotowawszy grę, losują postaci: ojciec grać będzie Wojownikiem, Michał – Czarownicą. Do głowy przychodzi mu Dominiczka.

To dobre dwie godziny. Rozmawiają, jak zwykle. Nieważne sprawy, nieistotne tematy, nici banalnych wątków – wspólnie lepia je w jedną linię, mocną i dobrze znaną, która trzyma ich wciąż wystarczająco blisko.

Gra jest wyrównana, w końcu jednak Wojownik po licznych przygodach dociera do Korony Władzy i magicznym zaklęciem zabija Czarownicę.

— *Now I shall reign in blood!* — wydziera się wokalista Slayera ponad ich głowami, pochylonymi ku sobie.

### **Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu**

nie znosi sprzeciwu. Zresztą, Michał rozważał go krótko i tylko z przekory.

Pożegnał ojca i ruszył do metra. Czekali przy wejściu. Głupi i Głupszy, jak Michał nazwał ich całe lata temu. Gestem zapraszają go do merola, zaparko-



wanego obok.

Wiozą go do jej willi, nad zalew. Oni z przodu, on z tyłu. Kolejny dziś powidok z dzieciństwa: zapach skórzanej tapicerki i mocarny warkot diesla – ostentacyjne olewanie ekologii stanowi niezawodną oznakę wysokiego materialnego statusu. I nijak się ma do tego, o czym ona śpiewa.

Dominiczka mówi: To straszne, że sama myśl o niej cię stresuje. Cały czas.

Michał nie złości się, wie, że Dominiczka próbuje zrozumieć. Wzrusza ramionami. Przestał zaprzeczać dawno temu. Teraz powtarza sobie, że nie da po sobie poznać. Pełny spokój. Pełny luz. Dystans i lekceważenie.

Prowadzą go za willę, na taras. Michał spogląda na mijany dom. Nic nie czuję, powtarza sobie. Dystans.

Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu stoi tyłem, zwrócona w stronę zalewu i wieczornego słońca, które dostosowuje swój odcień do koloru jej sukni.

Michał wyłącza somatyczny autoskan, przesyłany w razie kłopotów do serwerów pogotowia – teraz nikt nie zhakuje w sieci stanu jego ciała. Idzie w jej stronę. Deski tarasu skrzypią. Zatęchły smród wody. I zapach perfum. Cytrusy.

Diwa odwraca się.

Pomarańcze.

— Jesteś taki zdenerwowany — mówi obojętnie.

To scena, ona w scenicznej pozie, sukienką omiata nierówne deski. Jej niski głos. To koncert, spektakl.

— Czego chcesz — pyta ją.

— Jest takie japońskie przysłowie: jeśli nie wiesz, co...

— Czego chcesz. — Patrzy w jej oczy, długo, wgryza się tym spojrzeniem głęboko, potrafi dogryźć się do znużenia i niepewności. Diwa odgarnia włosy.

Jej twarz, opalona, gładka, lśniąca i matowa jednocześnie, jest dużo młodsza niż jego. Scena.

Na taflি Michała wyświetla się komunikat. Manowicz Diwy prosi o zgodę na kontakt. Przychodzi z fraktalną wizualizacją, opartą o zapisy emocji publiczności z ostatniej trasy, ściągnięte przez soft zabezpieczający koncerty. Michał ucieka ze spojrzeniem. Wie, że to próba kontaktu, dłoń na jego ramieniu. Intrapolacja wizualizacji przyniesie odprężenie, chwile spokoju i zapomnienia.

Michał odmawia dostępu do Piasta.

Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu dotyka dłonią szyi. Robi tak, gdy czuje się niepewnie. Ostatni odruch świadczący o człowieczeństwie.

— Czego chcesz — powtarza Michał. — Słucham.

Twarz Diwy tężeje. Zachodzące słońce maluje wokół jej głowy złotą aureolę. Ikona, myśli Michał, *mater dolorosa*, jedno z wcieleń dostępnych w jej oficjalnym bekjardzie. Scena.

— Dobrze — mówi ona. — Odwiozą cię do domu.

Michał odwraca się i rusza w stronę parkingu. Deski skrzypią. Smród wody.

— Michał. — Słyszysz zza pleców. Zwalnia. Staje. Odwraca się.

— Co u niego? — pyta Diwa. — Co u ojca?

Michał zostawia matkę na tarasie. Idzie do mercedesa.

### **W idealnym świecie**

ona nie odezwałaby się do niego więcej. Albo to spotkanie przebiegłoby inaczej. W idealnym świecie przebiegłoby inaczej już dawno temu.

Dobre sobie.

Ujechali z kilometr.

Piast mówi: rozmowa z Dorotą.

Michał zamyka oczy.

I tak powinien porozmawiać z matką o czekającej go robocie. Jeśli dobrze rozumie sytuację, to zlecenie mogłoby ją zainteresować. Czy może ją zdekonspirować? Chyba nie. Ale Michał zbyt mało wie o tym, czym ona w ogóle się zajmuje.

Samochodem szarpie na wyboju.

— Sorry — mruczy zza kółka Głupszy.

Wtedy przychodzi olśnienie. Michał zaczyna rozumieć, że spotkanie z matką nie było przypadkowe, termin dobrany idealnie. Sobota wieczór, już po rozmowie z Irlandczykiem, po rytualnej wizycie u ojca, przed poniedziałkową pracą. Zlekceważył ją, jak zwykle.

Piast powtarza: rozmowa z Dorotą.

Michał przez tafłę loguje się do softu merola i wysuwa przegrodę – dźwięko- i kuloodporna szyba jedzie do góry, izolując go od bystrzaków na przednich siedzeniach. Placebo intymności, komputer fury i tak rejestruje, co w środku.

— Wiesz o zleceniu Intrasemantica — mówi do matki.

— Co ci powiedzieli? — Diwa przechodzi do rzeczy. Tak się czuje najpewniej.

— Pokróćce? — Michał nie martwi się, że ktoś przechwyci rozmowę. Są teraz ukryci, głęboko. Najlepszy soft cyfrowym rodem z militarnych laboratoriów ministerstwa, równie tajny, co skuteczny, odcina ich manowicze i ciekę od jakichkolwiek kontaktów z zewnętrznymi pływami (stąd ten dziwny smutek Michała, uświadomiony stan braku, jak pustka w żołądku), a zapisy rozmowy natychmiast utylizuje, przekodowując je na zapasowe oprogramowanie w chmurach sterujących kolejowymi zwrotnicami w jakiejś pipidowie. To dla tego matka chciała spotkania u niej. I teraz dzwoni, gdy on wciąż jest w samochodzie. Jej zabezpieczenia – rządowe zabezpieczenia – chronią go przed

resztą świata. Tylko kto ochroni go przed nią?

— Pokróćce jest tak — mówi Michał. — Intrasemantic będzie próbować podkreślić trend. Bardzo złożony. Myślę, że chodzi o nowego artystę. Może polityka, ale chyba nie. Generalnie raczej sprawa rynkowa. Ma to robić człowiek od nich. Chyba Polak. Albo ktoś ze słowiańskim manowiczem, skorelowanym z moim Piastem. No i dlatego chcą mnie, potrzeba dwóch autorów, bo koleś sam nie poradzi sobie z tak skomplikowanym wzorem. Matryca ma być bardzo gęsta, uniwersalna. Mają tu ją wszyscy łyknąć. I dlatego...

— Nie tylko tu — przerywa mu Diwa.

Co ona powiedziała?

— Zaraz — mówi Michał. — Jak to: nie tylko tu.

— Matryca ma być superuniwersalna. Na wszystkie pływy.

— Wszystkie.

— Tak.

— Oni chcą podkreślić trend na całym świecie.

— Tak.

To wraca: Michał, w koszulce FC Barcelony, mija obrońców, Camp Nou szaleje, on wpada w pole karne, zaraz pierdolnie na bramkę, celując w samo okno. Boże, to było dopiero wczoraj, wieczność temu. Gęsia skórka. Oni chcą podbić trend na całym świecie.

My chcemy podbić trend na całym świecie, poprawia się. Przychodzi uśmiech, pogięty grymas, rejestrowany przez monitoring samochodu.

— Wiesz — mówi matka, pozwoliwszy mu to przetrwać. — To ja ich wynajęłam.

Mercedes przyspiesza. Diesel warczy, zadowolony z prędkości.

— Wynajęła ich Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu — dodaje matka. — Pojutrze, w poniedziałek, ma się stać największą artystką na świecie.

— Kurwa — mówi Michał. Myśli, główkuje, rozmieszcza na planszy poszczególne pionki, jak poszukiwaczy w *Magii i mieczu*, jak drużyny na boisku. To najdziwniejszy weekend w jego życiu.

— To nie ty, to jest pomysł... — myśli na głos. Gryzie się w język, po werbalizować oczywistości. Użyła trzeciej osoby. No przecież. To projekt Firmy. Michał nie wie, czy ona jest kimś ważnym – czy mają więcej takich jak Diwa. W każdym razie jej mocodawcy, ludzie pomagający w karierze w zamian za całe chmury bezcennych informacji, doskonale wiedzą o planowanym przedsięwzięciu. Skoku na symbole. Na całym świecie.

Matka milczy, pozwala mu to trawić.

— Intrasemantic — mówi Michał.

— Tak?

— Kto to?

— No wiesz. — Michał słyszy jej uśmiech.

— To oni. Firma. Wy.

Wymowne milczenie. Lubi robić wrażenie.

Czemu nie skontaktowała się z nim przed spotkaniem z Garethem Evansem? Przecież mógł się nie zgodzić. A Irlandczyk mógł go nie chcieć. Michał myśli o sobie, o Dominiczce. Wie, że nie mogło być inaczej. Ktoś pociągnął za spust dawno temu, pocisk już leci do celu.

— Ten rzeźbiarz trendu. — Michałowi przychodzi coś do głowy. — Albo rzeźbiarka. — Pauza. Wobec jej milczenia, Michał pyta — jest od was?

— Tak — odpowiada Diwa. — Dlatego dzwonię. Między innymi.

— Tak?

— I tak rozpoznałbyś to w jego manowiczu. Chodzi o to, że neurokonekcję robił ten sam zespół, co twoją — mówi Diwa, a Michałowi znów robi się gorąco. — I w dużym stopniu udało się zreplikować struktury kodu, którego używasz. Twój manowicz... — Diwa szuka najodpowiedniejszych słów. —

Twój Piast. Ma brata bliźniaka.

O masz.

Brata bliźniaka. Jego manowicz już nie jest sam. Żaden z nich nie jest. Myśl jak grzmot: ona kłamie, wiedziałby przecież, jest łowcą burz, znalazłby go, wyczuł coś, wywęszył ślady, odciski, gdzieś w kodach konstruujących chmury, poznałby osad na którymś z milionów cieków, którymi przelewają się treści generowane przez jego o-o. Ona kłamie, myśli Michał.

Michał wie, że ona nigdy nie kłamie.

— Gdzie on jest? — pyta jej.

— Z nami. A w sieci — ukrywa się. Dobrze się ukrywa. My... — zawa-  
hała się. — Sami do końca nie wiemy gdzie. I jak.

— Aha.

Mercedes wjeżdża do Lublina. Pocisk pędzi do celu.

— Michał — zaczyna ona.

— Tak.

— W poniedziałek przygotujecie matrycę, najgęściejszą. Taką, którą z miejsca pokochają wszystkie rodzaje manowiczów. Niusy o Diwie. Piosenki Diwy. Odpały ilustrujące jej narracje. Wszystko będzie się chętnie przyklejać do podwórek użytkowników na całym świecie. Żadnych reakcji alergicznych, intrapolacje wizualizacji z produkowanego przez nią kontentu będą smakować każdemu. Wzory, które wpleciecie, prędzej czy później trafią do struktur głę-  
bokich największych sieciowych wpływów.

— Mhm.

Równie dobrze ona może mu kazać wygrać wybory na prezydenta Unii. I wtedy Michał zaczyna rozumieć.

— To test — mówi. — Zanim zaczniecie podkrecać naprawdę ważne trendy.

— Michał. — Diwa się irytuje. O oczywistościach się nie dyskutuje. —

Gdy poznasz rzeźbiarza... nie wyciągnij pochopnych wniosków.

— O czym ty mówisz?

— Teraz muszę kończyć.

Michał musi ją jeszcze spytać o Sylvie. O to... krwawe wideo, które odpaliło się w głowie dziewczyny.

— A wiesz? — Ona jest pierwsza.

— Tak.

— Dziś pierwszy raz w życiu przy mnie zakłąłeś — mówi Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu.

Manowicz mówi: koniec połączenia. Samochód staje.

— Wysiadka — mówi Głupszy przez głośnik.

Michał pokazuje faka w stronę miejsca, gdzie myśli, że jest kamera.

### **Lublin pomrukuje,**

kolejnej nocy. Michał siedzi na balkonie, przez pręty patrzy miastu w setki elektrycznych oczu. Noc jest chłodna, spokojna, dobra; neutralizuje czas, topi go w czarnych kałużach.

Dominiczka pyta:

— Jesteś pewien?

— Czego?

— Że on istnieje? Człowiek z takim manowiczem, jak twój?

Dominiczka stoi przy barierce. Jej oczy odbijają mdłe światło z mieszkania.

— Tak — Michał kiwa. — Jest tam. Na pewno.

Szukał go, odkąd tylko wrócił do domu. Wyczyścił cieki, odciął się i zanurkował głęboko, spuszczać Piasta ze smyczy. Poleciał mu szukać sobowtóra, klona – węszyć za śladami programistycznych rozwiązań, będących rdzeniem jego samego. Istna męka: kolejne skany, przekopywanie się przez

chmury i wizualizacje, intrapolowane na próbę, na chwilę, tylko by sprawdzić. Zawzięcie, bez odpoczynku. Tyle, na ile pozwoliła mu alergja.

Wytrzymał pięć godzin, aż pourywał połączenia, wynurzył się i zwymiotował pizzę zjedzoną z ojcem.

Znalazł go. Bo pierwszy raz wiedział, czego szukać.

Dokopał się do śladów, cudownie logicznych struktur, niemal zatartych przez brzydkie naleciałości; znalazł strzępy rozwiązań mających w sobie świeżość i elegancję, efemerycznych, bardzo ogólnych zasad albo superszczegółowych fragmentów kodu, wiszących w pozornie przypadkowych chmurach, układających się w prostą wiadomość, jakby skierowaną właśnie dla niego.

*Jestem.*

— On tam jest — mówi Michał.

— I jutro go poznasz — mówi Dominiczka.

— Jutro go poznam.

I spróbują tego, co niemożliwe.

Gareth Evans powiedział dziś Michałowi, że rzeźbiarz trendów wybrał właśnie jego. Ale Michał wie, że to nieprawda. Że jest dokładnie odwrotnie. Neurokonekcję robił ten sam zespół, co twoją – powiedziała mu Diwa. To rzeźbiarz został stworzony na Michałowe podobieństwo. Michał widział, jakie ślady zostawia w sieci tamten. Wie, że mają tyle wspólnego. Ale tamten jest nieporównywalnie lepszy. I sama tego świadomość sprawia, że balkon buja się na prawo i lewo.

— Nie bój się — mówi Dominiczka. Podchodzi do siedzącego Michała. Bose stopy, pomalowane paznokcie. Noc przemalowuje kolor lakieru z czerwonego na czarny.

— Nie bój się — powtarza.

Michał kiwa głową. Wyobraża sobie chłód jej skóry. Irracjonalna myśl: gdy wyciągnę dłoń, ona zniknie. Jej tu nie ma, nigdy nie było. Nie pamiętam jej



w dzieciństwie. Nie pamiętam nas w dzieciństwie. Dotknę cię i znikniesz. Przyznaj się, że ciebie nie ma.

— Nie boję się — kłamie Michał.

— Wyśpij się, Michaś — mówi Dominiczka, a on wtedy przymyka oczy. Uświadamia sobie, jaki jest zmęczony. Gdy je otwiera, jest sam. Wydaje mu się, że słyszy przytłumiony trzask drzwi wejściowych.

## Dzieciak

ma góra sześć lat. Specjalista. Rzeźbiarz trendów. Michała sieciowy brat. Mały chłopiec, sześć lat, na oko. Brakuje dziesięciu, by w ogóle mógł zostać neuropodłączony. Michał nie ma pojęcia, co powiedzieć. Wariactwo.

— Ile on ma lat?

— Prawie pięć — odpowiada Krystyna Kik.

Prawie pięć. Dobry Boże. Obłąd.

Duży pokój w mieszkaniu na obrzeżach miasta. Bardzo widny, okna wpuszczają poranne światło. Żadnych mebli, lśniąca podłoga i białe ściany. Pachnie remontem i środkami czystości. Jedna ze ścian cała pokryta zdjęciami: kilkadziesiąt fotografii przedstawia dzieci, nie, przedstawia jedno dziecko, chłopca – rocznego bobasa, dwu-, trzy-, czteroletniego chłopczyka. Ile on ma lat? Prawie pięć. Jezu. Kurwa.

Chłopiec siedzi po turecku pod ścianą. Ma jasne włosy, ciemne piegi i długie, dziewczęce rzęsy. Ubrany w tiszert i bawełniane spodnie od dresu, nie zwraca uwagi na oboje dorosłych. Przesuwa powoli, po centymetrze, wijącą się przed nim kolumnę kilkadziesiątu samochodzików.

Te zdjęcia, myśli Michał. Zdjęcia na ścianie przypominają mu coś. Zna je, zna je z sieci. Krótki ruch dłonią, zapytanie już wysłane przez Piasta w cyfrowy świat.

Michał kuca przed dzieciakiem. Resoraki między nimi, jak segmenty wiel-

kiej plastikowej stonogi.

— Cześć.

Chłopiec nie reaguje, przesuwa cysterne, o centymetr, potem wóz strażacki, potem radiowóz,czołg, karetkę, karawan.

— Jestem Michał. A ty? — Wyciąga do niego rękę.

— Tomek — odpowiada za chłopca Krystyna Kik. Obserwuje ich, oparta o parapet. — To nic nie da. To znaczy ręka. Powiedz: dzień dobry, Tomuś.

— Dzień dobry, Tomuś — mówi Michał.

Manowicz mówi: wyniki wyszukiwania. I wyświetla galerię. Michał już wie. Ma je zarchiwizowane, to jakiś fragment promila z tysięcy fotek robionych Michałowi przez jego matkę. Jego serce zatrzymuje się jak martwe.

— Ha — mówi chłopiec, nie podnosząc wzroku znad zabawek. — Dobrze się wysikać to jak słabo zaruchać.

Michał podrywa się. Spogląda na Krystynę Kik. Okna pozamykane, zaduch. Ależ jebie tu farbą.

Karawan, tylko o centymetr. Po karawanie policyjny motor. Wywrotka. SUV. Kabriolet. Papamobile. Drugi karawan.

— Poznał cię — mówi Krystyna Kik. Uśmiecha się, chyba pierwszy raz. — Cieszy się, że przyszedłeś.

Tyle pytań. Michał zaczyna od końca.

— Cieszy się — powtarza po niej. Patrzy na chłopca. Autobus. Limuzyna. Wyścigówka. Mały ani razu nie podniósł głowy. — Skąd wiesz?

— Przekonaj się — odpowiada Kik, zupełnie w stylu Dominiczki.

No, tak. Głęboki wdech, wysyła do chłopca Piasta.

Sekundę później nadchodzi pewność.

Tomuś tylko na to czekał, oba manowicze spotykają się, Michał ledwie smakuje kontakt i czyści taflę, czyści cieki, kierując wszystkie w stronę cieków tego dzieciaka. Otwiera się nań, pozwala mu otworzyć się na siebie,

a obaj całą dostępną im moc obliczeniową ładują w wizualizację wymiany danych, nieprawdopodobnie szczegółową. Kolejne pakiety informacji, softłowe schematy, które mały od niemal trzydziestu miesięcy wysyła w sieć (dobry Boże, Michał w ułamek sekundy tropi historię jego prac, to już ponad dwa lata), gęste, precyzyjne, krystalicznie logiczne, chlustają potężnymi, wspaniałymi falami, z siłą tsunami, najpiękniejszego, najbardziej logicznego tsunami świata, eksplodując konstruowaną błyskawicznie wizualizacją, fraktalnym kwiatem, który imploduje do siebie i jednocześnie rośnie, kwitnie dzięki Tomusiowi, temu małemu człowieczkowi, który ożkurwa, orientuje się Michał i sprawdza, sprawdza dwa razy, bo nie może uwierzyć, chłopca, który jest zanurzony na sto procent, całkowicie, głowa głęboko pod taflą, w diabelskim miejscu, gdzie żaden ze światów nie jest prawdziwy. W piekle. Prawdziwym piekle.

Michał wyrywa się z objęć Tomusia, niechętnie, tak niesamowicie niechętnie.

— Możemy porozmawiać gdzieś sami? — pyta Krystynę Kik.

— Możemy tutaj.

Cysterna, o centymetr. Jeep. Taksówka.

— Nie.

— Dobrze. Chodźmy do kuchni.

Duszno i jebie farbą.

— Nie. Na taras.

Drugie piętro. Dzieci na placu zabaw, samochody na parkingu przy centrum handlowym, w oddali dźwigi tańczące powoli żurawi taniec.

Krystyna Kik nie ma w sobie protekcyjnalnej pewności siebie, którą Michał zapamiętał z końcówki ich ostatniego spotkania. Czeka na niego.

A mózg Michała nie daje rady, jak zapchany ciek. Paranoja kłapie paszczą tuż za potylicą: gdzie jest Gareth Evans? Przywitał się na dole, potem zniknął.

Przecież muszą ich kontrolować. Po drugiej stronie ulicy zaparkowana półciężarówka, lublin firmy zajmującej się przeprowadzkami. Dobrze, że Borsuk, stary uliczny wojownik, całą młodzież tłukący się w lubelskich klubach, zgodził się być w pobliżu przez cały dzień.

— Gdzie jest Evans? — pyta Michał.

— Wrócił do hotelu. Tomuś nie lubi pracować przy obcych.

*Tomuś nie lubi pracować przy obcych. O rany.*

Piast sprawdza blachy lublina i numer telefonu, który widnieje na pace. Firma ma spory sieciowy bekjard, wydaje się OK. Co o niczym nie świadczy.

— Ten dzieciak ma cztery lata — zaczyna Michał.

— Prawie pięć i...

— Kurwa! — przerywa jej. — Prawie pięć! Brawo. I jest w totalnej immersji. Pełnym zanurzeniu. Przecież... Przecież to totalnie rozpierdala głowę! Dorosłym ludziom! Coście mu zrobili? Hę? — Gdy Kik nie odpowiada, gniew popycha Michała coraz bliżej kobiety. — Pytam się: co to jest.

— Nie krzycz...

— Rozpierdala! — Odwraca się, odchodzi w drugi kąt tarasu. Wraca. — Totalnie.

Krystyna Kik dłonią wyciera opluty policzek. Michał wciąż nie potrafi jej przeczytać.

— Diagnoza jeszcze podczas badań prenatalnych — zaczyna Kik. — Zła diagnoza. Głębokie uszkodzenia płatów skroniowych mózgu dziecka. Daleko posunięta dysfunkcja ciała migdałowatego. Dysfunkcja tak duża, że uniemożliwiająca jakikolwiek kontakt z otoczeniem. Dostałam ofertę. Dostaliśmy. Eksperymentalna terapia. Wszystko w pełnej tajemnicy.

Kik bierze głęboki oddech.

— Tomuś miał pół roku, gdy przeszedł neurokonekcję — mówi dalej, głośniej. — Po niej natychmiastowy neurehab. Niemal dwadzieścia cztery

godziny na dobę. Zanurzenie jest mu potrzebne. Immersja dostarcza wskazówek, których jego mózg nie jest w stanie mu dać. Kluczowych wskazówek. By w ogóle funkcjonować. — Zerka na szybę, patrzy na chłopca w środku. — Po ośmiu miesiącach od pełnego zanurzenia ustąpiła pozorna głuchota. Gdy pierwszy raz zareagował na trzaśnięcie drzwiami, przeryczałam całą noc. Po dwóch latach od pełnego zanurzenia zaczął reagować na „dzień dobry, Tomuś”. Po trzech i pół zaczął mówić. A całkiem niedawno domyślać się, które przedmioty nie nadają się do zjedzenia. Więc widzisz.

Michał nie wytrzymuje jej spojrzenia.

— I zupełnie przypadkiem wyszedł wam manowicz...

— Jakim wam. Im.

— Manowicz jak mój. Tylko lepszy.

— Lepszy.

Ostatnie słowo mówią jednocześnie.

— Oczywiście, że nie przypadkiem — mówi Kik. — Twój Piast był dobrym punktem wyjścia. Szczególnie... przy zespole Tomka.

— Co to za zdjęcia. W środku na ścianie.

— Nie poznajesz?

— Ale co one tu robią?

— Tomuś ma je w swoim pokoju, w domu. Lubi je.

— Lubi je — powtarza Michał.

— Tak.

Patrzą sobie w oczy. Michał nie wie, czy jej wierzyć. I tak nie ma wyjścia.

— Przepraszam — mówi.

— Proszę — odpowiada Kik. — Może byś wreszcie wziął się do roboty?

Wchodzą do środka. Chłopiec nie odrywa wzroku od zabawek. Wywrotka. SUV. Kabriolet.

Kik idzie do kuchni. Michał idzie się wysikać. Wraca, wyjmuje z plecaka

matę, wodę, batony energetyczne. Strzykawki ze stymulantem, na wszelki wypadek. Siada naprzeciw chłopca.

Kobieta wraca ze sportową torbą, z której wyjmuje małą wiertarkę.

— Po co to? — Michał wierci się.

— Dystraktor. Jej dźwięk przyciąga uwagę Tomka, gdy pracuje. Wtedy wynurza się na tyle, że mogą dać mu jeść.

— Aha — odpowiada Michał. Wiertarka mu się nie podoba. — Skąd wiesz, kiedy możesz mu przerwać?

— Z jego Piasta.

Chwila milczenia.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś? — pyta go Kik.

— Nie. — Michał wie, że to ponaglenie. Rozgrzewa palce: będzie wygrywać całe pasaże komend na niewidzialnych klawiaturach.

Wspomnienie wizualizacji zaimprovizowanej w ramach powitania jest jak wspomnienie orgazmu.

— Tomuś już na ciebie czeka — mówi Kik.

Michał patrzy na chłopca.

— Jak to robimy?

— On wie — odpowiada Krystyna Kik. — Pokaże ci.

Michał kiwa głową, czyści cieki, wdech, nurkuje. Konsekwentnie, coraz głębiej, jego tafla wypełnia się obiektami, kolejnymi trójwymiarowymi klockowymi menu, połączonymi w najprzeróżniejszy sposób interfejsami aplikacji potrzebnych do rzeźbienia sieciowych obiektów. Tafla puchnie od nich, faluje, gęstnieje, przestrzennieje i wygina się na wszystkie strony, zawija się ku dłoniom Michała, ku jego głowie i jej zawartości. Michał zbiori się we wszystkie rodzaje pamięci w setkach możliwych chmur: poszerza cieki na operacyjną, największe puste chmury zmienia w magazyny danych; zbiera broń podręczną: komendy, ciekowe drogowskazy, atlasy chmur, legendy pły-

wów; zbroi się w to wszystko, wszystko i więcej, aż nagle, nagle i spodziewanie, pojawia się jak dzida znikąd, nadchodzi fala uderzeniowa, lśniąca, krystalicznie czysta błyskawica, Piast, Piast idealny, manowicz Tomusia, piękny, niemożliwy; pojawia się i porywa Michała do świata, o którym ten do tej pory mógł tylko marzyć. Wystarcza mu tylko

### **łyk tego, co inne**

i Michał już ma świadomość, że to będzie nie do opowiedzenia, nieprzekładalne.

Tomek i Michał: pożerają czas, zdmuchują przestrzeń, razem.

1. Drażą, coraz głębiej i głębiej. Tomek, a za nim Michał, po jego cudownie logicznych śladach, coraz głębiej w kod, ku szczegółom, rozkładają na czynniki pierwsze kolejne komendy, dekonstruuja cyfrowe fonemy, głębiej. Jakby drażyli coraz niżej; jakby sięgali poziomom coraz wyższym – przestrzenne metafory pękają bezużyteczne. Głębiej, głębiej. Ku strukturom najprostszym, ku ciągom najpierwotniejszym. Głębiej, po prostu.

[w innym świecie, w innym czasie: pokój porusza się powoli, ściany i sufit falują w perystaltycznym transie, dwie pary dłoni, duże i małe, w ciągłym ruchu, palce tańczą, żołądek ociera się o resztę flaków, błędnik chichocze, wywija koziółki]

2. Cudowny nowy świat, zupełnie inna sieć: Michał jeszcze nigdy nie był tak blisko fragmentów tak małych. I wreszcie: budują! Zaczyna Tomek. Pierwsze polecenia, szkice przyszłych schematów, podstawy rusztowań, które oblepiać będą kolejnymi informacjami. Cierpliwie, bardzo powoli, tak, by Michał mógł nadążyć, bardzo powoli i niemal dla Michała za szybko. Tomek jest precyzyjny, nieludzko cierpliw. Przygotowują same schematy, szkielety przyszłych cząstek, grupują je według rodzajów plików, na które one będą się składać, chowają całymi stadami w chmurach po świecie.

[sekundy skleją się w minuty, minuty lepią się w godziny, skurcze-rozkurcze serca, tętnice, żyły szumią, czy można usłyszeć ciśnienie krwi?]

3. Czas polowania. Węszą, czają się, skradają po sieci, kolejne ciekły i całe pływy, ukryci w cieniu skanują chmury, te największe, popularne, i te niepozorne, najbardziej wpływowe, decydujące o kierunkach i natężeniu sieciowego trafiku. Przenicowują najwyżej spudelkowionych postCope'ów i modne odpały, odsiewają szum, wygrzebując w nich kluczowe algorytmy; dekonstruuja wizualizacje, intrapolowane bezustannie w głowach tyłu ludzi.

Łowy trwają długo, muszą tyle trwać. To Tomuś poluje. Michał skryty za jego plecami, przygląda się, jak chłopiec wytrawny łowca dopada kolejnych punktów węzłowych i wydiera z nich to, co jest im potrzebne, bez trudu dostrzegając drobiny absolutnie kluczowe w morzu chaotycznego kontentu. Michał może tylko patrzeć, zdumiony intuicją swojego partnera – Tomuś wiedział, czego szuka, jeszcze zanim wyruszył na polowanie. Michał nie potrafi tego ogarnąć, nawet gdy polowanie dobiega końca.

[do ciała przywiera alergia, podgryza Michała i sprawia, że cieknie mu z nosa, przezroczystry śluz spływa na usta, cieknie po brodzie i pod koszulkę, a dłonie wciąż polują, więc nie ma czasu wycierać, i tylko narasta ból głowy, drewniany młotek ostukuje skronie i potylicę]

4. Budują znów: przygotowane wcześniej schematy oklejają najczystsza informacja, sieciowym DNA, upolowanym przed chwilą (wiecznością). I nagle to dzieje się, pozornie niemal bez ich udziału, gotowe fragmenty kodu, fragmenty idealne, najczystsze, najprecyzyjniejsze, zdania zawsze prawdziwe i najuniwersalniejsze: Tomek i Michał wklejają je w przygotowany trend, w tysiące strzępów informacji, plików, odpałów, translatorskich memów, wszystkich dotyczących Diwy, Która Kiedyś Używała Pseudonimu. A praca ta, po tym, co już uczynili, zdaje się taka wulgarna.

[w innym czasie, w innym świecie: wizg wiertarki ściąga ich z nieba]



na podłogę, do oświetlonej elektrycznym światłem celi, za oknem już ciemno, Michał żuje batony, pije wodę, widzi, że chłopiec sięga dłonią przez ramię i drapie się pod koszulką, kobieta powoli, lecz stanowczo układa jego drobną dłoń na drobnym kolanie, czy to krew pod paznokciami?]

5. Czas siewu. Uwalniają przygotowane fragmenty plików: dyskretnie, uważnie, podmieniają kontent na ten zawierający produkty ich pracy. Wszędzie, w chmurach na całym świecie, tych zdefiniowanych jako kluczowe dla obiegu płynów, które ich interesują. I od razu widzą, że

*p*

się udało, że musi się udać. Sieć połyka haczyk, sieć zaczyna żreć przygotowany

*o*

przez nich staf i niemal natychmiast inkorporuje go do pierwszych, na razie tylko lokalnych płynów, miejscowych strumyków, nie mija jednak sekunda i są pierwsze duplikacje, miriady pozornie przypadkowych przekształceń w węzłach na całym świecie,

*mó*

bardzo rzadkich, bardzo mało istotnych, ale oni, rzeźbiarze – Tomek, Michał – oni wiedzą, że to motyle, pojedyncze piękne owady, które zwiastują burzę, która przeora świat sieciowych symboli i nikt poza nimi nie zrozumie, jak to się stało, ale wszyscy będą wiedzieć, że się dokonało, nadejdzie bowiem moment, jutro, pojutrze, za tydzień czy miesiąc, nadejdzie chwila, gdy Diwa, Która Kiedyś Używała Pseudonimu stanie się najpopularniejszą artystką w całej memosferze, niekwestionowaną królową światowej rozrywki.

Ha. Albo i nie.

Znaleźli ich. Ktoś ich wypatrzył, przejrzał podstęp.

*ż m*

I był przygotowany: cała armia nowych materiałów, uwalniana przez

chmury na całym świecie, jak zarodniki, wypuszczone do sieci po to, by neutralizować контент przygotowany przez Tomka i Michała. Michał patrzy i nie wierzy. To, co dziś

*i*

przygotowali, jest przecież perfekcyjne, jest skrajnie skuteczne. Idealne.

Co z tego: wystarczy niecała minuta i Michał wie, że jest zbyt słabe. Że przegrali, że ich dzieło się nie przebije, że rozpuszcza się, stając się kolejnym fragmentem sieciowego gówna. To, co jeszcze przed chwilą strzelało ku wierzchom największych pływów, co duplikowało się, pączkując kopiami, po które sięgnąć miały manowicze na całym świecie – teraz wytraca impet, gaśnie, zmieniane przez niepozorne okruchy softu w kolejne krople w oceanie białego szumu. Perły znikają w cyfrowym mule, bezinteresownie okrutnym w swej pospolitości.

Michał szarpie się, próbuje dociec, kto wyprodukował truciznę (odtrutkę). I zanim na dobre się do tego zabierze,

[zaraz, co to było?]

już wie, że nic nie wskóra. Są zbyt dobrzy. O wiele zbyt dobrzy. Jednocześnie Michał, spleciony manowiczami z Tomkiem, zaczyna rozumieć, że chłopiec nie dziwi się w ogóle. Jakby przewidział to już na samym początku.

[co to, kurwa, było?]

Na nic, to wszystko.

Na nic. Taka

### **szkoda.**

Michał wraca długo. Powoli dochodzi do siebie, szuka oddechu, kolejnych zmysłów. Kilka nieudanych prób, zanim wreszcie udaje mu się wstać.

Tomuś. Unika chłopca wzrokiem, odwraca się tyłem. Słyszy, że matka szepcze mu coś do ucha.

[co tam było?]

Odwraca się dopiero oparty o parapet. W sztucznym świetle lampy sufitowej twarz Tomka ma kolor kartki papieru. I tylko te piegi, takie wyraźne. Piegi i długie dziewczęce rzęsy. Chłopiec przesuwając radiowóz. I czołg. Karetkę. Karawan. Krystyna Kik klęczy tuż przy nim, głaszcze go po głowie, płakała.

Uciec, uciec stąd jak najszybciej. Michał wytacza się na taras. Zimna noc liże go po twarzy jęzorem z kryształu.

To wszystko takie... straszne. Piękne. I wcale nie najgorsze jest to, że im się nie udało. Najgorsze jest, że do sukcesu zabrakło tak wiele. Michał ogląda swe drżące dłonie, obce, nie jego.

Odsuwa ją, odpycha, lecz ona wciąż wraca. Ta dziwna wiadomość zapisana w najgłębszych pokładach struktur stworzonych przez chłopca.

Możesz uciekać, tchórze.

*pomóż mi*

Taaak, możesz próbować.

Lublin pomrukuje, bezkompromisowy skurwysyn.

Michał wybiera najbezpieczniejszy rodzaj połączenia i wysyła wiadomość do Borsuka.

Kwadrans później spotykają się na klatce schodowej, wszyscy.

Schodzą w milczeniu. Pierwszy Gareth Evans, niesie torbę z kłopotami Kik, zdjęciami i zabawkami chłopca. Potem matka z synem, trzyma go za rękę. Pochód zamyka Michał. Na półpiętrze czeka na nich Borsuk. Łysy, niski, krępy, przyczajony. Dziwnie rozmarzony. Michał zna ten wyraz twarzy. Ten wyraz twarzy mówi: mam w sercu dzikość. I nadzieję, że będzie kogo ponapierdalać.

Tętno przyspiesza do jakiegoś tysiąca.

— Oddawać dziecko — mówi Borsuk.

— Co? — pyta Gareth Evans, grzeczny jak zawsze i szczerze zdziwiony.

Myśli, że coś umknęło mu w przekładzie. Przy Borsuku jest jak jego rzut boczny.

— Gównu — mówi Borsuk. — Chłopiec idzie z nami.

— Z nami? — Krystyna Kik odwraca się w stronę Michała. — Co on pierdoli?

Michał łapie ją za nadgarstek, ten, w którym ona trzyma dłoń syna.

— Chodź z nami — mówi.

Ona wyobraża to sobie, przez ułamek sekundy. To Michałowi wystarcza.

— Oszalałeś — odpowiada Krystyna Kik. Próbuje się wyrwać, Michał nie puszcza. Szarpnięcie rzuca chłopcem na barierkę.

— *Enough* — mówi Evans.

Borsuk rusza w jego stronę, jeden, dwa, trzy schody, szarżuje. Pięści wielkości głowy Irlandczyka.

Żeby go tylko nie zabił, myśli Michał.

Kobieta krzyczy.

Borsuk uderza. Evans łamie mu rękę, kość Borsuka wystrzeliwuje z przedramienia, szoruje o ścianę. Irlandczyk zrzuca Borsuka na półpiętro, zbiega za nim, przewraca i kopnięciem miażdży nos, drugim wybija zęby, trzecim gruchocze żebra. Borsuk, krwawy, amorficzny kłęb, tylko skamle.

Evans odwraca się, rusza w stronę Michała. Jeden, dwa, trzy schody.

— Nie! — krzyczy Dominiczka. Stoi na schodach poniżej. — Nie — powtarza. Duszną przestrzeń klatki wypełnia wyniosły autorytet Diwy, Która Kiedyś Używała Pseudonimu.

Stopklatka. Okropna. Michał patrzy w oczy Evansowi. Patrzy w oczy śmierci. Czuje, jak puszczają mu zwieracze.

Nie pamięta, jak odeszli, we trójkę. Irlandczyk, matka i syn.

Michał nigdy więcej ich nie zobaczy.

**Dominiczka mówi:**

— Nie żałujesz?

— Czego? — pyta Michał, choć przecież wie.

— Tego wszystkiego.

Wstyd i pogarda dla samego siebie z trudem przechodzą przez gardło.

— Borsuka żałuję — odpowiada jej.

Siedzą na balkonie, oczywiście. Oparci o ścianę, Dominiczka tuż obok, ramię w ramię, kolano przy kolanie. Słońce razi ich, siostra mruży oczy i obejmuje go, mocno, po przyjacielsku.

Michał lubi jej dotyk. I myśli o matce. Nie rozmawiał z nią od tamtej pory.

Myśli o Krystynie Kik, matce chłopca. Myśli o obu kobietach, tak od siebie różnych i tak do siebie podobnych.

Myśli o chłopcu. Żałuje go, tęskni, zazdrości. Myśli o tym, gdzie kończy się konieczność, a zaczyna jej wygodna iluzja. Zastanawia się, czy będzie jeszcze potrafił wytropić jego ślady.

I myśli o światach, które mały Tomek pomógł mu ujrzeć. Światach, które nadejdą, które być może nadeszły już dawno, tylko dopiero rosną, dojrzewają w ukryciu, by wkrótce rozkwitnąć i zadziwić ich wszystkich. Światach, w których kultura i ekonomia stanowią jedynie wypadkową podskórnej morfologii cyfrowego Innego.

Myśli o Borsuku. Przyjacielu, którego dziś odwiedzi w szpitalu. I ojcu, do którego pojedzie potem. Na piwo, pizzę i Magię i miecz.

I o Dominiczce, która siedzi tuż obok, dyskretnie pozwalając mu milczeć. Ramię w ramię, kolano przy kolanie. Siedzą tu, siedzą razem, słuchając pomruków miasta.

## Zimno, gdy zajdzie

Wciąż nie mogę patrzeć w lustro. Boję się, że się rozplacę, z żalu nad Anią, nad sobą i z tęsknoty za tobą, synku.

Nasza pierwsza próba. Jej wspomnienie pali od środka. Wstyd i bezsilność wsiąkły w skórę i wciąż wracają, jak niechciany zapach, przy każdym gwałtownym ruchu.

Nasza pierwsza próba.

Ania czeka na mnie w sypialni. Stoję w łazience, tyłem do lustra, w samych bokserkach. Bose stopy na zimnych kafelkach. Jest bardzo gorąco. Rury żyją, posapują w ścianach, a może te dźwięki dochodzą ze mnie, szum życia i strachu. Dłonie mrowieją, spoglądam na nie, choć nie powinienem. Znam je i jednocześnie ich nie poznaję, drobne, niesfatygowane ręce mojego czternastoletniego dziecka. A niżej, poza głębią ostrości, wybrzuszenie w bokserkach. Sztywne, skromne, dziwne. Erekcja.

Niemal się uśmiecham. Erekcja. Boże.

Ania czeka na mnie w sypialni. Ruszam do niej. W półmrok.

Siedzi w łóżku, w dziwnej pozycji, jakby chciała położyć się do snu i jednocześnie móc wyskoczyć przez okno. Chowa się, zapada w bawełnę piżamy, w cienie czynione przez nocną lampkę. Konfiguracja jej ciała mnie nie uwzględnia.

Patrzy, jak wchodzę, i zamyka oczy. Stoję, tuż za progiem, daleko i długo. Zasłony w oknie falują, miasto oddycha. Ania jest taka piękna, gdy jest w rozpaczy. Coś puchnie mi w gardle, gorące i lepkie.

Wreszcie spogląda na mnie. Próbuje coś powiedzieć, przełyka ślinę.

— No chodź do mnie — mówi. Jej głos niemal wywołuje łzy. Czują litość i rezygnacja, i sam już nie wiem, czy robi tak specjalnie.

Siadam obok niej, w pół gestu do jej ciała. Idę za jej spojrzeniem i końcem kołdry przykrywam namiot w bokserkach. Czuję bijące od niej ciepło, przypominam sobie, jak potrafi pachnieć, kiedy już nic nie mówi i przyciska mnie do brzucha. Ania patrzy w noc, w szparę między zasłonami. Bezpieczne rutyny umarły wraz z moim ciałem, tamtym, pierwszym, trwamy więc w bezruchu, jak manekiny przypadkowo położone obok siebie.

Ania odwraca się do mnie. Bierze głęboki oddech, jakby miała skoczyć do wody. Zbliża dłoń do mojego policzka. Jej palce pachną czosnkiem. Lubię, gdy tak pachnie.

Sięga za siebie i wyłącza lampkę. Mrok połyka nas jak zdradliwy staw.

Czekam, chłonąc jej ciepło. Słyszę nasze oddechy w ciemności.

Czekam. Ruch, szelest materiału, sapnięcie materaca. Zapachy: jej szampon, i płyn do płukania tkanin, i jej spocony kark, który całuję zniechęta, gdy Ania gotuje. Fałszywa cisza: szum miasta, oddechy. Czernie wokoło, o różnych fakturach i gęstościach, martwe i żywe, wszystkie ciepłe.

Jej dłoń na moim ramieniu, delikatnie. I niżej, mocniej, łapie mnie za nadgarstek. Ten dotyk podnosi mi włoski na karku. Pod jej palcami wyczuwam swoje tętno. Powoli przyciąga moją dłoń ku sobie. Jest wreszcie: chłodniejsza, gładka i miękka. I ta znajoma, gęstsza faktura, opuszkami palców widzę ciemny kolor brodawki jej piersi. Wspaniały, pełen życia. Zawrót głowy.

Wzdycha. Dotykam jej mocniej, opieram dłoń na jej ciele. Przechyla się do tyłu, lecz nie wiem, co to znaczy. Gdy brodawka reaguje na dotyk, drugą dłonią sięgam do jej uda. Bawełna spodni. Dreszcz: jej palce na mojej szyi, paznokcie, przyjemnie konkretne i chłodne, lekko, potem mocno.

Dziwny dźwięk. Zabieram ręce. Frustracja niemal urywa mi głowę.

Ania płacze. Cień pośród cieni.

— Aniu.

— Cicho — odpowiada.

Sięgam ku jej dłoniom, ale się wyrywa.

— Aniu.

Słyszę, jak się ubiera.

— Aniu.

— Zamknij się.

Włączam lampkę i widzę, że leży na skraju łóżka. Siedzę nad nią i patrzę tępo, wciąż ze sterczącym chujkiem.

Wreszcie gaszę światło. Układam się z drugiej strony.

Leżymy długo, tyłem do siebie. Nad miastem krąży helikopter. Ściany sypialni drgają spocone, jest zimno i gorąco jednocześnie.

— Jaruś — mówi wreszcie. — Przepraszam.

Cisza wyżęta przez błagalne oczekiwanie.

Nie odpowiadam.

— Kochanie — mówi do mnie.

Nie odpowiadam. Zasypiam dopiero o świcie, gdy ona wreszcie przestaje płakać.

\* \* \*

Ania ucieka z łóżka z pierwszym dźwiękiem budzika. Udaję, że śpię, zagrzebany w pościeli. Mam wzwód, oczywiście.

Słyszę, jak wraca do sypialni, już wyszykowana i pachnąca. Mocniej zaciskam powieki i ciężiej mi się wtedy oddycha. Gdy słyszę, że rusza w stronę łóżka, zawartość mnie na chwilę przestaje działać. Nachyla się, jej włosy smerają mnie w ucho, skapują z nich wonie perfum, lakieru, szminki, kawy. Szybki, ciepły całus.

Ania wychodzi do pracy, a ja zastanawiam się, którego z nas pocałowała,



ojca czy syna. W łóżku, gorącym, lepkiem barłogu jest jakby lepiej. Mogę pła-  
wić się we własnym smrodzie i nieszczęściu, nie muszę patrzeć na nie swoje  
ciało, nie czuję go, skrępowanego pościelą.

Zwlekam się wreszcie. I jak każdego ranka: sto pompek, na kostkach,  
zwalniając dopiero po dziewięćdziesiątej. Gdy wstaję, serce uspokaja się nie-  
mal natychmiast, mięśnie i płuca chcą więcej. I wciąż mi stoi. Perfekcyjna  
maszyna, młoda i zdrowa. Nienawidzę jej, nienawidzę twojego ciała, synku.  
I kocham je, pokochałem je szczerze i niemal od razu.

Ania wróci wieczorem. Ja – przywrócony, Łazarz, który zajebał ciało  
swojemu zmarłemu dziecku – nie muszę pracować. Kosmiczny zgrywus dał  
mi drugie życie, a rząd hojną rentę. Nie ma sprawy, nie, to nie.

Polubiłem je po powrocie: twoje bluzy z kapturem, trampki, deskorolkę.  
I rap w empetrójce, kroniki świata asfaltu i marihuany.

Wiedziałem, gdy tylko spojrzałem na deskę. Pamięć mięśniowa, szcze-  
gólny jej rodzaj, wyjątkowy, jak to, co się nam przydarzyło. Leżała pod łóż-  
kiem, nieruchoma, martwa, jakbym patrzył na bezdomnego kundla. Od razu  
czułem, że potrafię. A skoro tak, to że powinienem.

Pamięć mięśniowa. Gardzę windą i zbiegam po schodach, siedem pięter  
w dół, po trzy stopnie naraz, w miasto. Nabieram prędkości i mocy, chodniki  
witają się klekotem i wibracją, a ja jadę, jadę i żyję. Ulice parują spalinami,  
a resztki trawników psim gównem, gdy przedzieram się przez tłum.

Jadę, słuchając twojego hip-hopu, który nagle jest bardzo na miejscu. Jadę  
i żyję, i już śmieję się na głos, do siebie i do ciebie, bo wiem, że to ty  
jedziesz, nie ja, ty prowadzisz, a ja z tobą, pasażer na gapę. Śmigamy przez  
miasto razem, wszystkie światła są zielone, krawężniki niskie, dziewczyny  
śliczne, i czuję, że cię przytulam, a ty się wyrywasz, lecz bez przekonania,  
bo lubiłeś, gdy brałem cię w ramiona.

Klekot deski i tłuste bity, słoneczne promienie załamują się w ulicznym

smogu. Wjeżdżamy w nie, udając, że wcale nie umarłeś i że tam, przed nami, coś jeszcze na ciebie czeka.

\* \* \*

Podglądam ją, gdy się przebiera. Stoję w przedpokoju, w kuchni skwierczy niemal gotowy obiad.

Rozrzuca ciuchy po całym pokoju, robi tak od zawsze, byle szybciej strząsnąć z siebie pracę. Na podłodze sypialni lądują firmowe uniformy: żakiet, spódnica, bluzka.

Ania wróciła i przestrzeń pokoju nabiera sensu, to ona ją spaja i legitymizuje. Zmęczona królowa na włościach i jej atrybuty: elegancka koronka stanika; przesłonięta rajstopami Atomówka, lecąca wzdłuż pośladka po bawełnie majtek; płatki słonecznika, wytatuowane podczas urlopu w Berlinie, które falują, kiedy masuję jej krzyż.

Podglądam ją, gdy w rutynowych gestach szuka odpoczynku. Przeciąga się, tyłem do mnie, długo i niespiesznie, jakby bolało ją, gdy jej skóra przesuwa się wzdłuż kręgosłupa, i jakby ten ból lubiła. Gdy przysiada na łóżku i zdejmuje rajstopy, wydaje mi się, że czuję ich zapach. Ania prostuje nogi, wyciąga je daleko przed siebie, aż mięśnie wokół kolan zaczynają drżeć. Chciałbym położyć dłonie na jej gładkich, chłodnych udach, ale tylko stoję i patrzę, jak ona drapie się po kostce, poprawia gumkę majtek, zdejmuje okulary, związuje włosy. Wtedy mnie zauważa.

Uśmiecha się, dziwnie zwyczajnie, wspaniale. I sięga dłonią za siebie, do haftek biustonosza.

Rozepnie go, pozwoli spaść na podłogę i zrobi to, co robi tak rzadko: opuszkami palców dotknie brodawki, jakby niezdecydowana i nie do końca świadoma, i spojrzy na mnie tym wyjątkowym matowym spojrzeniem.

Ania posyła mi jeszcze jeden uśmiech i znika z pola widzenia.

— Przypali się — mówi zza ściany i dopiero gdzieś tam kończy się przebierać.

Przypali się.

Wspólne posiłki są dobre, w tych rolach, na tych pozycjach jesteśmy bezpieczni.

— Jak było?

— Weź — mówi Ania. — To są tacy debile. Nie wiem, jak ta firma jeszcze działa.

— Ma ciebie.

Celuje we mnie widelcem.

— Monika z księgowości — mówi.

— Ta piegowata.

— Ta piegowata. Idzie na rentę, bo instruktorka jogi zniszczyła jej kręgosłup.

— O.

— Co robiłeś?

Dolewam nam soku, sięgam po sól, wzruszam ramionami.

— Nic. — Próbuję sobie przypomnieć, czy pamiętałem, żeby odłożyć deskę pod twoje łóżko. — Łaziłem.

— No i dobrze — odpowiada, a ja nie wiem, co ma na myśli.

— No, ale od razu na rentę?

— Będzie mieć operację. Podała tę babę do sądu.

— Umówiłem się z Artkiem — mówię.

Na chwilę przerywa jedzenie.

— Tak?

— Wpadnie w sobotę, koło południa. Obejrzymy jakieś mecze, wypijemy piwo.

— Przyjdzie sam?

— Tak.

— W tę sobotę?

— Tak.

Mam wrażenie, że jej ulżyło.

— W sobotę muszę iść do pracy — odpowiada.

— Wiem, ale inaczej mu nie pasowało — kłamię.

To będzie pierwszy raz, chcę być wtedy sam.

— Fajnie — mówi wreszcie i być może naprawdę tak myśli. — Wreszcie się zobaczycie.

Minęło ponad pół roku, odkąd wróciłem, już czas. Mam to dobrze przemyślane, teraz albo nigdy.

— Zostanie w firmie? — pytam Anię. — Na rencie?

— Nie wiem.

— Artek pewnie jeszcze będzie, jak wrócisz.

— Coś jej się przesunęło, jakby przepuklina, tylko z tyłu. Pokazała nam dzisiaj.

— Krąg?

— Właśnie nie. Ale nie pamiętam, co. Trochę wystaje, jak piłeczka do ping-ponga.

— Piłeczka do ping-ponga.

— Tak.

— Kurwa.

— No.

Dolewam soku. Wspólne posiłki, bezpieczne pozycje.

\* \* \*

Jak poznałem twoją mamę.

Pryszcze, jabole, plaża. Płonące pomarańcze toczące się nocą w dół

pagórka.

Siedzimy we trójkę, po turecku, na podłodze. Pełni ufności przeglądamy się nawzajem w piętnastoletnich twarzach. Butelka wampira krąży z ust do ust: obowiązkowo przecierasz dłonią szyjkę, pijesz, podajesz dalej. Między nami leży miednica, jądro tego pozornie statycznego układu. Rzeczywistość drga.

Gorąca letnia noc, gęsta i namacalna. Tekturowy letniskowy domek pachnie stęchlizną, wnętrzem trampek, zleżałymi kanapkami z serem. Na żółtym jamniku panasonicsa leci Pantera. Między piosenkami słyszymy szum morza albo tak się nam wydaje i to tylko trzaski zajeżdżonej taśmy. Zabijamy komary przysiadające na przedramionach. Jest wspaniale, żyjemy.

Wino krąży, miednica leży raczej dla zwiększenia dramaturgii niż z rzeczywistej potrzeby. Artek zdjął koszulkę, gęste loki głaszczą mu kark przy każdym łyku. Na przemian bawi się sygnetem z trupa czaszką i mlecznobiałym kłębem, wiszącym na szyi. Z naszej trójki tylko jemu przystoi biżuteria, i on dobrze o tym wie. Z wystudiowaną nonszalancją rozpuszcza włosy, frotkę wsuwa na chudy nadgarstek. Gdy pochyla się, sięgając po butelkę, kiel kołysze się nad plastikową miską.

Bizon ma tiszert z Metalliką, ten z wojskowym cmentarzem, podróbkę, brakuje hełmu na jednym z krzyży. Pije najwięcej, rzuca we mnie paluszkami, które skrupulatnie zbieram i zjadam. Bizon śmieje się głośno i przeklina moją matkę.

Mamy w dupie opiekunów obozu i, co ważniejsze, oni mają w dupie nas. Są starzy, zajęci piciem wódki i obrażaniem się na siebie. Jedyne dorosły, który poświęca nam trochę uwagi, to Siergiej, rosyjski konserwator. Cierpliwie kołuje z kuchni plastry cebuli, którymi okładamy ukąszenia os i pszczoł. Jedyne dorosły, poza nami oczywiście.

Z Artkiem znamy się od zawsze. Bizon to nowość, poznaliśmy się dopiero tu, na obozie. Okazało się, że będziemy chodzić do tego samego liceum. Bizon

jest w porządku. To już druga butelka wampira tej nocy.

Artek nagle odmawia.

— Muszę się odlać — mówi.

— Pij, pedale — zachęca Bizon.

— Weź.

— Pij, psi wytrysku.

Artek podnosi się, ale pije. Bizon rechocze.

Czuję pot spływający po brzuchu. Opieram się o ścianę, uśmiecham do nich i jest dobrze.

Pukanie do drzwi domku. Do środka zagląda dziewczyna.

— Cześć — mówi Sowa.

— Hej — witamy ją, Artek i ja, i tylko Bizon milczy.

Sowa jest starsza i ma fajne włosy: farbowane i krótko przycięte. Nosi długie wełniane swetry, takie jak nasze, tylko ze sklepu, a nie z bazaru. Słucha dwóch rodzajów zespołów. Tych, których nigdy nie słuchałem, i tych, o których nigdy nie słyszałem. Ma je od brata, który już studiuje, w Kielcach.

— Idziesz na plażę? — pyta Sowa. Pyta m n i e.

Strona w kasecie zaraz się skończy, taśma trzeszczy na popiskujących rolkach.

Zrywam się na równe nogi.

— Jasne.

Sowa uśmiecha się i, nie czekając, wychodzi.

Odwracam się do przyjaciół, trochę przerażony.

— Spierdalaj, Jarek — mówi Bizon.

— Tak — odpowiadam.

— Może też się przejdziemy na plażę — proponuje Artek — Na luzie.

— To byłoby pedalskie — odpowiada Bizon.

Uśmiecham się do nich i biegnę za dziewczyną.

To jak zaciemnienie podczas zmiany levelu: idziemy ścieżką w lesie, w mrok, szyszki strzelają pod stopami. Idziemy w stronę szumu, cichego i jednocześnie głośnego, odbierając go czymś czułym głęboko w żołądkach.

Gdy dziewczyna bierze mnie za rękę, natychmiast mi staje. Daję słowo, że słyszę, jak ona się uśmiecha.

Kładziemy się na plaży, patrzymy w niebo. Piasek jest miękki, miły i zimny. Gwiazdy są tak nisko, że boję się wyciągnąć rękę.

— Słuchałeś L7? — pyta mnie.

— El-sewen?

Nawet nie wiem, czy dobrze usłyszałem.

— Tak.

— Tak — odpowiadam jej. — Rewelacyjni goście.

— Jareczku! — Sowa śmieje się. — L7 to panny.

Nachyla się nade mną i całuje mnie w usta.

Ktoś robi mi tak pierwszy raz i od razu wiem, że to o to zawsze chodziło. Dziwna transakcja: dziewczyna daje mi tę świadomość i jednocześnie zabiera nieśmiertelność.

Długo leżymy, zajęci sobą, skoncentrowani i czujni, i całujemy się tylko, i to jest tak wiele. Już nigdy potem nie będzie tak niewinnie, nigdy potem nie pocałuję dziewczyny, kobiety, nie mając świadomości perspektywy na coś więcej.

Wreszcie odpoczywamy, choć wcale nie chcę. Moje usta pulsują, zmęczone. I pulsuje mi w gaciach. Piasek wyziębła się i wilgotnieje. Szum morza kojarzy mi się z jej śliną.

Wracamy przez las, bez słowa. Gdy wchodzimy na teren ośrodka, Sowa puszcza moją dłoń.

— Musisz ich posłuchać — zegna się.

— Co?

— L7.

— Posłucham — kłamię i nawet o tym nie wiem.

Wracam do przyjaciół.

Bizon siedzi na podłodze. Butelki są puste.

Patrzymy sobie w oczy.

— Gdzie Artek?

— Odlewa się.

Nie umie spytać, zresztą ja i tak nie umiałbym odpowiedzieć.

Gdy Artek wychodzi z kibla, wskakuje tam Bizon. Słyszymy, jak rzyga.

— I jak? — pyta mnie Artek.

Uśmiecham się nerwowo.

— Wiesz.

Przecież nie wie. Bizon wraca. Dotyka językiem zębów.

— Który ma zieloną szczoteczkę?

— Ja — odpowiadam. Błysk zrozumienia.

— Kurwa, Bizon — krzywię się. — Noż kurwa mać.

Bizon śmieje się, śmiejemy się wszyscy.

— Macie pomarańcze z obiadu?

Mamy. Bizon wraca do łazienki po dezodorant. Wychodzimy przed domek. Jesteśmy na górcie, w najwyższym punkcie ośrodka. Bizon spryskuje owoce maklerem, podpala je i puszcza po trawie z górki. Aromatyczne płonące kule toczą się w ciszy, jak najdalej od nas.

Noc kończy się, rozrzedza i zaczyna spływać z nieba nad czernią lasu. Kapie na nas, gdy tak siedzimy na mokrej trawie, a my wchłaniamy ją chętnie, bo przynosi ulgę rozgrzanej skórze. W szarości na dole leżą nasze pomarańcze.

Nigdy więcej nie porozmawiam z Sową i dostanę za nią wpierdol od najstarszych chłopaków, gdy będziemy wracać pociągiem do domu.

Artek będzie, jest moim przyjacielem.



Bizon, Ania Bizacka, będzie, jest moją żoną, miłością życia.

\* \* \*

— Co słyhać u Anny?

— Nic — odpowiadam. — Po staremu.

— Po staremu.

Nie lubię, gdy ona powtarza, co mówiłem, kojarzy mi się ze starym programem telewizyjnym Szczygła. Mówiłem jej parę razy, że mnie to wkurza, ale przestałem, bo chyba o to jej chodzi.

— Tak — odpowiadam niechętnie. — Po staremu. Instruktorka jogi rozwaliła kręgosłup jej koleżance. Takie tam.

— A jak ona się czuje?

— Koleżanka?

— Anna.

Wzruszam ramionami.

— Dobrze.

Wypluwam troczek sznurka z kaptura twojej bluzy, który żuję ostentacyjnie podczas tych rozmów.

— Dobrze — powtarza.

— Dobrze.

— I nadal nie chce takich spotkań.

— Źle jej się kojarzysz.

— To nie muszę być ja.

— Nadal nie chce takich spotkań.

Kiwa głową.

— Chodziłam kiedyś na jogę — mówi. — Ale zmieniłam ją na pilates. Daje mi większą świadomość ciała.

Patrzę na nią i zastanawiam się, czy to kolejny element kreacji, roli przy-

branej na potrzeby naszych spotkań.

Rytuał co drugi czwartek: fałszywa taksówka wiezie mnie do niepozornej willi, gdzie cały tłum ludzi bada mnie i opomiarowuje, wszyscy równie mili, co enigmatyczni. I potem rozmowy, we dwoje, w przestronnym gabinecie, pełnym przedwojennych, zbyt dużych mebli. Kiedy przyzwyczałem się do tego miejsca i przestałem się rozglądać za kamerami, od razu polubiłem widok za oknem: przytulny sad, jakby z serialu na Dwójce.

Spotykamy się koło południa i rozmawiamy do wieczora. Siedzimy naprzeciw siebie, w rozłożystych fotelach, pachnących środkami na kurz. Ona pyta, ja odpowiadam. Nawet lubię jej się przyglądać, a jej to chyba nie przeszkadza.

Wygląda jak niespójny remiks przypadkowo dobranych popkulturowych tropów. Ma włosy jak Harry Potter i wąskie okulary, których oprawki w cielistym kolorze wrzynają się w skronie. Ubiera się w ostentacyjnie nijakie kostiumy, zbyt duże i jednocześnie zbyt ciasne, obowiązkowe uniformy podstarzałych brzydkich kaczątek z amerykańskich romantycznych komedii. I jeszcze to nazwisko, nie wierzę w nie równie mocno, jak w całą resztę. Doktor Marianna Szulc, psycholog kliniczny i psychoterapeuta, rządowe narzędzie do rycia mi bani.

— Jakie macie plany na weekend? — pyta mnie.

— W sobotę przychodzi Artek.

I tak by się dowiedziała. Pewnie już wiedzą. Podsłuchują, podglądają, czytają.

— Twój najlepszy przyjaciel.

Nie lubię, gdy ktoś tak mówi.

— Nie lubię, gdy ktoś tak mówi — mówię jej.

— Dlaczego?

Wzruszam ramionami. Żuję sznurek. Patrzę w okno.

Mógłbym zerwać się, rozpędzić i przebić szybę, wyłamać futrynę, miękko wylądować na trawie i ruszyć biegiem przez siebie, za płot, wzdłuż ulicy. Pewnie by mnie gonili, radiowozy incognito, jakiś helikopter, filmowe klisze. Może po piątej przecznicy zabrakłoby mi tchu, a może nie. W myślach pieszcze tak twoje ciało, uruchamiam jego fragmenty, silne i gotowe, upajam się jego świadomością.

— Rozmawiałeś już z Arturem — mówi Marianna Szulc. — Po twoim powrocie.

— Tak. Przez telefon.

— Dowiedział się od ciebie.

— Ode mnie.

— Jak zareagował?

Odklejam spocone plecy od oparcia fotela. Nie chcę iść, gdzie ona mnie prowadzi.

— Wiedział już o wypadku — odpowiadam. — Myślał, że to pomyłka i pomylili informacje, kto zginął. Że to Łukasz zadzwonił i oszalał. Albo że to z powodu szoku.

— Kiedy uwierzył?

— Opowiedziałem mu parę rzeczy. Takich, które wiemy tylko my dwaj. I Ania. Zresztą, sam nie wiem, czy wierzy. Może przychodzi sprawdzić.

— Z rodziną?

— Sam.

— Będziecie we trójkę.

— Ania będzie w pracy.

Marianna Szulc kiwa głową.

— Dlaczego spotykacie się dopiero teraz?

Bo się boję.

— Pewnie się boi. Nie śpieszył się z tym. To ja zadzwoniłem.

— Obawiasz się tego spotkania?

Patrzę na twoją drobną, gładką dłoń.

— Ja się teraz obawiam wszystkiego.

Marianna Szulc niespodziewanie uśmiecha się.

— Przyszło mi coś do głowy — zaczynam.

— Tak?

— Ile lat miał najmłodszy returner?

— Najmłodszy przywrócony?

— Tak. To znaczy nie. W jakie najmłodsze ciało trafił?

— Wiesz, że nie wiem. Zresztą...

— I tak nie mogłabyś mi powiedzieć.

— Ale nie wiem.

— A co, jeśli niektórzy zmarli wracają w ciałach niemowląt? I noworodków?

Poprawia się w fotelu, który sapie pod nią.

— Z jaką świadomością by wracali? — pytam ją.

I tak nic mi nie powie.

— No bo ja — uśmiecham się do niej kwaśno. — Ja wróciłem w ciele czternastolatka. I fizycznie mogę tyle, co czternastolatek. Czy raczej: aż tyle.

— Fizycznie.

— Tak — kiwam głową. — Ale nie tylko. Bo widzę, że mam lepszą pamięć niż kiedyś.

— Masz świetną pamięć.

— Tak wynika z testów?

— Tak.

Uśmiecham się szeroko i jestem zaskoczony swoją reakcją. Rozumiem po chwili: jestem z ciebie dumny.

— No właśnie — kontynuuję. — I jednocześnie mam swoje wspomnienia,

osobowość.

— Jesteś sobą.

— Jestem sobą. Ale trochę jakby nim. Jakby przeciekał, ze skóry, z kości, do wewnątrz mnie.

— Ciekawe.

— Jego odruchy, gusty, zainteresowania.

— Jak język?

— Noworodki — mówię.

— Tak.

— Ich ciała to więzienie. Ale co ze świadomością? Kim byłby przywrócony w ciele niemowlęcia?

Milczy.

— Co wiedziałby i czego byłby świadomy? Co zapamiętał?

I tak mi nic nie powie.

Zerkam na jej biodra, opięte przez grube wełniane spodnie. Materiał szeleści, gdy Marianna Szulc zakłada nogę na nogę. Stoi mi, oczywiście.

\* \* \*

W poprzednim życiu.

Gorąca woda i zimne powietrze: to przez te kontrasty dostała gęsiej skórki. Patrzę na jej piersi. Resztę skrywa piana.

— Ostatnio znowu się nad tym zastanawiam — mówi Ania. — Kto sprawia, że ludzie wracają.

— Że zmarli wracają?

— Tak, że zmarli wracają. — Robi mi miejsce w wannie: przysuwa kolana do siebie, ramionami obejmuje nogi. — Boże, jak to brzmi.

Siadam naprzeciw niej. Aż mnie zatyka, woda jest gorąca.

— Ale dlaczego ktoś musi to sprawiać? — pytam ją.

— Nie wiem. Bo to nie mogło tak samo. Wtedy wszystko byłoby bez sensu.

— Życie jest bez sensu.

— Nie jest bez sensu — odpowiada i widzę, że naprawdę jest przejęta.

— To przez tę kobietę — mówię.

Ania spogląda w stronę drzwi.

— Zamknąłeś?

— Tak.

— Tak, przez nią. Wyobraź sobie. Idziesz spać. Budzisz się i widzisz własne ciało. Leży obok, martwe. W pokoju obok leżą martwe dzieci.

Historia sprzed tygodnia. Zepsuty piecyk, cała rodzina się zac zadziła. Żona wróciła.

— A ty jesteś w ciele zmarłego męża — mówię.

— A ty jesteś w ciele męża. — Ania kręci głową, mruży oczy. Para kręci jej włosy i przykleja je do twarzy. — Boże.

To już trzeci przypadek w tym kraju. Pierwszy z osobami innej płci.

— Zabiłabym się.

— Wątpię. — Wyciągam trochę nogi i opieram je o jej uda.

— Mówię ci. Zabiłabym się.

— Żyłabyś, właśnie dlatego, że wróciłaś. Żyłabyś dalej.

— Znowu.

— Żyłabyś znowu. Szczególnie ty.

— Będą o niej pisać, jak się zabije.

— Nie dadzą jej żyć — mówię. — Jeśli się zabije, to przez nich.

— I tak nie wiedzą wszystkiego. — Ania przeciąga się, ręce wysoko nad głową. — My nie wiemy wszystkiego.

Dostrzega, jak na nią patrzę.

— Wracających jest więcej — mówię. — Ukrywają ich.

Sięgam pod wodę, łapię jej kostkę i przyciągam do siebie. Mruczy, gdy zaczynam masować jej łydkę, miękką i gładką.

— I bardzo dobrze, że ukrywają — mówi Ania. — Biedni ludzie.

— I naprawdę nie chciałabyś wrócić w moim ciele?

— Boże, nie.

— Powinno mi być przykro.

Odwzajemnia mój uśmiech. Unosi drugą nogę, stopę opiera o moją pierś.

— Pomalowałaś paznokcie.

Przewraca oczami.

— Tydzień temu.

Ma zabawne palce u nóg, króciutkie i pulchne. Wstydzi się, gdy zwracam na nie uwagę. Kostka, łydka, kolano, trochę uda, a reszta pod pianą. Odwzajemnia mój uśmiech.

Przysuwam się do niej, pochylam ku jej twarzy. Smakuje płynem do płukania ust i jakby mydłem. Ania obejmuje mnie nogami. Sięgam pod pianę, woda jest przyjazna, pomocna, szukam jej i ją znajduję. I czuję, jak Ania chwytą mój członek, kąpiel pomaga zredukować niepotrzebne dysonanse. Siedzimy blisko siebie i wciąż za daleko, woda chlupie.

— Ta!—to!

Krzyk Łukaszka zza drzwi łazienki.

Odruchowo cofam rękę.

— Tak, synku.

— Internet znowu nie działa!

Zerkam na Anię. Uśmiecha się. Zwolniła tempo, ale nie zabrała dłoni.

— Zresetuj router — mówię głośno.

— Ale jakie jest hasło?

— Na routerze jest karteczka.

— Wyrzuciłeś — szepcze Ania, wyraźnie zadowolona. Przymknęła oczy.

— Przy sprzątaniu.

— Wyrzuciłeś — krzyczy Łukasz.

Mówię mu hasło i przyglądam się rumieńcowi na jej szyi.

— Czeka! Wezmę coś do pisania.

— Zapamiętasz.

— Nie! Czeka!

Ania chichocze. Kręcę do niej głową, bojąc się, że przestanie robić, jak robi.

Jeszcze raz dyktuję hasło.

— Dzięki! — krzyczy do mnie syn.

Gdy dochodzi nas trzaśnięcie drzwiami, Ania wzdycha, głęboko i ciężko.

Znów się do niej przysuwam i napotykam jej dłoń.

— Ja już — mówi do mnie, uśmiechnięta i odprężona, i trochę uroczyście, jakby zdradzała sekret.

Woda chlupie.

\* \* \*

Miała rację: chciałem się zabić, gdy wreszcie dotarło do mnie, co się stało. Nie rozumiałem, gdy mi tłumaczyli, mimo że wcale nie byłem pierwszy i wiedziałem, że to się wydarza. Nie chciałem zrozumieć.

Musieli pokazać mi moje ciało. Ciało mnie. Połataną czterdziestoletnią skorupę, wywleczoną bez pośpiechu z wraku naszej toyoty.

I dopiero wtedy wzięli mnie do sali z lustrem.

Zobaczyłem ciebie. Siebie. Wtedy uwierzyłem. I natychmiast postanowiłem się zabić, mimo wiadra prochów, którymi mnie nafaszerowano. Zrobiłbym to, prędzej czy później dopiął swego, gdyby nie baba, która weszła do szpitalnej celi tylko na chwilę. Powiedziała, że jeśli to zrobię, zabiję też ciebie. Że znowu umrzesz, synku.



Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo, jak przed spotkaniem z Anią, pierwszym po moim powrocie. Przygotowywali nas długo, dając dragi, które szatkowały życie na niemal obce sceny. Najgorszy z seriali, z najgorszym z finałów.

Gdy powiedzieli mi, że czeka w sali obok, zwymiotowałem do umywalki. Ogarnęli mnie jakoś i wtedy zwymiotowałem znowu, na buty. Poprosiłem o drugą parę, ale widzieli, że gram na zwłokę, więc mi odmówiono.

Wspominam to, gdy zrobię coś złego. Dobra, skuteczna pokuta.

Wchodzę i widzę krzyż. Wisi na ścianie, nad nowym szpitalnym łóżkiem, mały, drewniany. Wypasione łóżko, świeże i gotowe, kwiaty w absurdalnych bukietach, obłe fotele, stoliczek z Ikei. Biele odmienione przez wszystkie odcienie, i światło, letnie, ostre i rześkie.

Ania stoi przy oknie, tyłem do mnie. Ktoś zamyka za mną drzwi.

Poświata wokół jej postaci jest bardziej elektryczna niż słoneczna. Im dłużej na nią patrzę, tym cieńsza się robi, blednie i rzędzie, faluje i rozplywa się w jasnościach zza okna. Mózg piszczy mi w uszach i znów mam mdłości. Opieram się o ścianę, zaciskam dłonie na udach.

Ania odwraca się wreszcie, powoli i jakby bez przekonania. Poznaje jej zapach, tak pachnie, gdy jest chora.

Wygląda okropnie. Mam wrażenie, że garbi się, mimo że stoi wyprostowana. Szpetne czarne ubranie wyżera resztki pigmentu z jej skóry, jej twarz marszczy się w miejscach, których nie znałem. Ma takie zmęczone oczy, spuchnięte i bezradne.

— Aniu.

Z trudem ogniskuje na mnie spojrzenie. Życie, pojedynczy rozbłysk, po którym coś jednak zostaje, liche powidok wśród cieni.

Stoi i patrzy, i kojarzy mi się ze strachem na wróble. Myślę tak i nienawidzę się za to.

— Aniu — powtarzam.

— Mamo — mówi Ania.

Jakby mnie ktoś zamroził i roztrzaskał.

— Aniu.

— Mamo — poprawia mnie znowu i uśmiecha się. Wtedy zaczynam płakać.

Znam ten uśmiech, cierpliwy i najcieplejszy. Tak uśmiechała się, kiedy po trzech dobach beznadziejnej szpitalnej szamotaniny wreszcie załapałeś, jak ssać jej pierś. Tak uśmiechała się, gdy darłeś się, na całe gardło i całe kino, że chce ci się kupę. Tak uśmiechała się, za twoimi plecami, gdy przyłapaliśmy cię na studiowaniu pokazu bielizny na Fashion TV.

— Wszystko będzie dobrze, synku — mówi do mnie i robi gest, jakby chciała podejść. Nie mam gdzie uciec. I sam już nie wiem, czy chcę, widząc, co z jej twarzą robi nadzieja.

Przecież mógłbym udawać. Tylko dla niej, zostać jej synkiem, być nim, być tobą i przywrócić ją tym do życia.

Rękawem przecieram mokre oczy. Podbiegam do niej, uwieszam się jej szyi i niemal ją przewracam, znikając w dobrym, znajomym mroku.

To chyba wtedy się obudziłeś, tylko ja się jeszcze nie zorientowałem. Ona cię wtedy obudziła.

— Wszystko będzie dobrze — powtarza, przez łzy i wybuchy śmiechu. — Nie ma co płakać. Zaraz przyjdzie tata. Już po niego poszli. Zaraz jedziemy do domu.

Odrywam od niej głowę, odsuwam się powoli.

— Aniu. — Głęboki wdech. — To ja. Jarek.

Patrzy, kręci głową. Nie rozumie.

— Jarek — powtarzam. — Łukaszek, on...

Puszcza mnie i chyba chce się cofnąć.

— Wróciłem. Już ci mówili. Tłumaczyli ci.

Robi krok wstecz. Nie rozumie, lecz jednocześnie nie wierzy w to, co mówię.

Waham się, ale to robię.

— Nie ganiaj jej — mówię.

Patrzy, tylko stoi i patrzy, nie wiem jak długo.

— Pamiętasz? — pytam. — Nie ganiaj jej, panie.

Wreszcie coś zmienia się, przestrzeń między nami nabywa nową, trudno definiowalną właściwość. Rozumiem dopiero po chwili. Dostrzega mnie. Mnie.

Zaczynam się śmiać, z miłością i ulgą. Wtedy ona odwraca się i rzuca do okna.

Skaczę i łapię ją w ostatniej chwili, i wrzeszczę, by tu przyszli, a Ania drapie mnie i gryzie, ale szybko przestaje walczyć, ucieka w głąb siebie, pełna rozpacz i sprzeciwu, a tak jest jeszcze gorzej.

\* \* \*

Jak poznałem twoją mamę. Jak naprawdę ją poznałem.

Pokój wytrwale absorbuje kolejne postaci, rozpuszcza je w gwarze i dymie. Meble i przestrzenie pomiędzy, butelki i kubki, papierosy i zapalniczki – płynne przepływy gestów, zainteresowań i niepewności. Mamy po dwadzieścia lat i imprezy w akademiku wciąż nam smakują. Jeszcze nie umiemy się porządnie popisywać, dlatego pijemy zapamiętane, z oddaniem i wprawą, a gdy chodzi o cielesność, jesteśmy intuicyjni i jakby bardziej hojni niż później. W każdym razie one są bardziej hojne.

Artur wrócił z weekendu w domu. Pojawił się i natychmiast zmienił dynamikę sytuacji. Posadziły go przy stole, otoczyły, dały fajkę, wódki w kubku i kanapkę. Dziewczyna, która do mnie przyszła, patrzy, jak on się zaciąga,

i mocniej ściska mi rękę. Nie mam żalu, w końcu to Artur.

Szukam wzrokiem Ani. Przewraca oczami i znów bajeruje Josha. Wcisnęła go w kąt, odcinając możliwość ucieczki, opowiada coś, krąży, kołuje nad nim, upija metodycznie. Josh jest przystojny, podobny do Artka, kojarzy mi się z surferem, pewnie dlatego że jest Amerykaninem.

Ania bawi się jego czupryną i chyba jest o nią trochę zazdrosna. Była wolontariuszką na przeglądzie offowych teatrów, po jego zakończeniu ogoliła głowę na łyso. Teraz często dotyka nagiej czaszki, czerwone paznokcie na tle jasnego meszku. W tych gestach jest coś niezdrowego, jakby szturchała językiem bolący ząb.

Pijemy, stłoczeni, śmiejemy się, dziewczęta śliczne i hojne.

— Mój chomik nie żyje — mówi Artur po którejś kolejce.

Dziewczęta jęczą.

— Artek. — Ania nawet nie odwraca do nas głowy. — Przecież ty masz świnkę morską.

— Tak — odpowiada Artur. Zapada się w krzesło, jakby w nie wsiąkał. — I ona nie żyje.

Polewam, najlepsze preteksty to te niepotrzebne, i wracam do dziewczyny, która do mnie przyszła. Obejmuję ją, głaszczę po szyi. Rozmawiamy, śmiejemy się, opowiadam jej o książkach, których nigdy nie czytałem, lecz ona i tak nie wie, o czym mówię.

Ania podnosi się i pomaga wstać Joshowi.

— Daj mi klucz — mówi do mnie. — Do was.

Przez głowę przelatuje mi tysiąc odpowiedzi. Daję jej klucz.

Josh zrozumiał. Jego wielkie amerykańskie oczy są jak neony reklamujące lepką, szczerą wdzięczność. Obejmuje ją niecierpliwie, wychodzą. Dziewczęta wymieniają spojrzenia.

Piję, od czasu do czasu przytakując dziewczynie, która do mnie przyszła.

Wypalam z pół paczki, to już pół roku, a papierosy wciąż mi nie smakują.

Artur jest pijany, więc będzie śpiewał. Chce przynieść gitarę.

— Ja pójdę — mówię szybko.

Korytarz śmierdzi przypaloną kapustą.

Pukam. Cisza. Pukam.

— Czego?

— To ja. Przyszedłem po gitarę.

— Właż.

Dziwne: otwarte. Leżą w półmroku, w łóżku Artka, a ja jestem zazdrosny, że nie w moim. Dwie pary dżinsów, jego pieprzniete na podłogę; jej – złożone i przewieszane przez krzesło. Josh śpi, wyciągnięty przy ścianie, pochrapując cicho. Ania leży obok, pali.

— Szybko poszło — mówię.

— Nic nie poszło.

— Przykro mi.

Chyba się uśmiecham.

Wzrusza ramionami.

— Chodź — mówi.

Wstaje i zakłada spodnie. Zanim się odwrócę, widzę, że ona ma siniaka na kolanie.

Wychodzimy, zamykamy Josha. Zatrzymujemy się przed drzwiami jej pokoju. Łapie za klamkę, milczy i tylko patrzy na mnie, dziwnie poważnie.

— Anka — mówię.

— Cicho. Ewelina na pewno śpi.

W środku jest ciemno, cicho i bardzo duszno.

Zostajemy tuż za progiem. Nic nie widzę. I wtedy słyszę, że ona zdejmuje buty. A potem spodnie. Robię tak samo. I zastanawiam się, czy widzi moją twarz.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do łóżka. Ma gorącą dłoń.

W pokoju pachnie pomarańczami i kremem Nivea. Ewelina śpi w łóżku naprzeciw, chyba odwrócona, na szczęście, plecami do nas.

Ania układa mnie przy ścianie. Potem ona, potem gruba kołdra, której sam zapach wystarczyłby, by wywołać u mnie erekcję. Przychodzi mi do głowy, że tak jak teraz powinno być już dawno temu.

Pod kołdrą jest ciemniej i cieplej. Nasze twarze blisko, stykają się na chwilę, dalej i bliżej. Odwlekamy ten moment, bo tak będzie przyjemniej, ale również ze strachu. Wiemy, jakie to ważne, czujemy, że zmieniamy całe wszechświaty, ta świadomość jest równie straszna, co ekscytująca.

To Ania dyktuje rytm i to mnie uspokaja. Dotykam jej pleców, łopatek, zagłębień wzdłuż kręgosłupa, matowej, suchej skóry, niespokojnych miejsc, w których czai się ruch, ciepło i życie, uczę się jej, wcale nie tak powoli, choć wydaje się inaczej. Głaszczę ją po krzyżu, przytulnym i pokrytym niewidocznymi włoskami. Kiedy całuje mnie, pierwszy raz, zetknięcie języków spycha mnie w przepaść. Chwytam ją mocniej, by złapać równowagę, by nie dać się roztrzaskać, ściskam skórę jej pleców, przytulną i suchą, Ania mruczy i napiera na mnie. Sięgam dłonią niżej i otwieram oczy. Jest bez majtek. Wycofuję się, ale tylko na chwilę. Gorąco, ciemno i dobrze.

— Już? — szepcze Ania. Ma spierzchnięte usta.

Nie wiem, czy już, nie wiem co.

Sięga niżej, dotyka mnie.

— Już — mówi i chyba słyszę jej uśmiech.

Podnosi się do półki nad łóżkiem. Powietrze w pokoju wydaje się lodowate.

Zdejmuje mi koszulkę i pozwala zdjąć swoją, patrzymy na siebie. Unoszę głowę, zerkam na dziewczynę śpiącą tuż obok i całuję pierś Ani. Jest słona, twarda i chłodna. Ania zostaje tak nade mną i daje się całować, rozluźnia

i spina jednocześnie, pachnie coraz intensywniej i na chwilę zapomina o moim ciele. Wreszcie wraca, kładzie się obok, szuka mojej dłoni, w którą wkłada paczkę z prezerwatywą.

Kochamy się krótko, nieporadnie, fajnie. Ania chichocze, gdy kończę i dopiero po chwili rozumiem, że ona też.

Potem leżymy, starając się nie przysnąć. Wkrótce będzie dniało, ptaki wrzeszczą w krzakach za oknem.

— Kurwa — szepczę.

— Co?

— Nie zaniósłem mu tej gitary.

— Nie ganiaj jej — mówi nagle przez sen Ewelina. Aż podskakujemy. — Nie ganiaj jej, panie.

Gdy przestajemy chichotać, znów sięgam ku niej, ale Ania łapie moją dłoń i zabiera ją wyżej, do twarzy.

— Nie — mówi. Robi się widno, więc widzę wyraźnie, jak się uśmiecha.

\* \* \*

— Stresujesz się wynikami badań — mówi Marianna Szulc podczas jednej z naszych pierwszych rozmów. — Za każdym razem.

— Dziwi cię to?

— Nie.

— Więc widzisz.

Przychodzi mi coś do głowy.

— Chociaż, czekaj. Stresuję się bardziej niż inni, prawda?

Zastanawia się.

— Prawda — odpowiada wreszcie.

— Ilu nas jest?

I tak mi nie powie.

— I tak mi nie powiesz.

Dziwnie się uśmiecha, życzliwie i ponuro.

— Czego obawiasz się najbardziej? — pyta.

— Pytasz o badania.

Mam ochotę się roześmiać, widzi to i pogodnieje.

— Tak.

Wzruszam ramionami.

— Wszystkiego. Raka. Schizofrenii. Gnicia. Że się błyskawicznie zestarzeję, obudzę się rano tak stary i słaby, że nie będę w stanie ruszyć ręką.

Patrzę na bezwłose przedramiona.

— I że się nigdy nie zestarzeję, zostanę taki, jak teraz i będę patrzył, jak odchodzi Ania.

— I co byłoby potem?

— Dla mnie już jest p o t e m.

Dostrzegam rybika w kącie pokoju, przesuwa się po parkiecie pod kaloryferem.

— Myślisz czasem, dlaczego to wszystko? — pyta mnie.

— Dlaczego to wszystko.

— Tak.

— A dlaczego nie?

— No ale dlaczego akurat ty?

— Biologiczne przyczyny. Wyjątkowy splot atomów. Albo konfiguracja informacji w moim DNA. Naszym DNA?

— Nie o to pytam.

— Wiem, o co pytasz i to jest moja odpowiedź.

Trę oczy i Marianna Szulc rozlewa się burą plamą na powierzchni fotela.

— Dlaczego ja — powtarzam. — Bo tak, i już. Nie mogę o tym myśleć. To znaczy, nie mogę o tym myśleć inaczej niż w ten sposób. Oszalałbym.



Wiem, że nie wolno mi się doszukiwać przyczyn.

— Dostałeś kolejne życie.

— To nagroda?

— To kara?

— To nic. Właśnie o to chodzi. To jest, stało się, jest i już.

— Rozumiem.

Śmieję się nerwowo. Wiem, że z bezsilnej złości, ale nie umiem tego powstrzymać.

— Co ty możesz wiedzieć.

Wzrusza ramionami i potakuje, co tylko podkurwia mnie bardziej.

— No, słucham — mówię. — Dajesz.

— Proszę?

— Co takiego rozumiesz. Słucham.

Przeciera okulary ściągaczem swetra.

— Odrzucasz przyczynowość swojego powrotu, bo nie chcesz wracać do tego, co było przed wypadkiem.

Prycham.

— Albo przeraża mnie założenie, że to ktoś – czy coś – może robić tak celowo. Chciałabyś tego?

Doktor Marianna Szulc milczy. Po chwili rozumiem: nie tyle zastanawia się nad odpowiedzią, ile czy w ogóle odpowiedzieć.

— Dla mnie — mówi wreszcie — alternatywa zawsze będzie gorsza.

— Żartujesz.

Kręci głową. Patrzą na rybika, wciąż tam jest. Ona podąża za moim spojrzeniem, ale go nie widzi.

— Mieliśmy dziś porozmawiać o twoim ciele — mówi wreszcie. — O zmianach.

— Tak. Jego ciele.

— Łukaszka.

— Stoi mi.

— Słucham?

— Pyta.

— Słucham?

— Stoi mi. Non stop.

Wreszcie rozumie.

— Mówisz o erekcji.

— O erekcji. Łatwo się podniecam, łatwo i szybko. Fizycznie, ale nie tylko.

Złość przechodzi mi, gdy widzę, że ona stara się nie uśmiechnąć.

— Budzę się ze sterczącym wackiem. I potem tak przez cały dzień. Na widok co drugiej kobiety.

— Co drugiej?

— Mniej więcej.

Szcherzę się do niej i ona też. Konfidencjonalne, uczciwe spojrzenia, rodzaj wspólnoty sprawców, jak kiedyś z Artkiem, gdy zegnaliśmy się podczas studenckich nocy, po ulicznych bójkach.

— Sąsiadka z dołu, jara przy samochodzie, zanim pojedzie do pracy. Tłuste włosy, czterdzieści pięć lat, zbyt ciasne džinsy. Córka Pana Warzywo, sprzedawcy z osiedlowego warzywniaka, jeszcze licealistka, pomaga ojcu. Ma zawsze zimne ręce, gdy podaje mi siaty z ziemniakami. Pachnie drogimi perfumami i jest sporo ode mnie wyższa, lubię wyobrazić sobie, że się na nią wspinam. Urzędniczka, za którą jeżdżę na desce, gdy idzie do pracy. Nazywam ją w myślach panią Matrix, bo lubi skórę: spódnice, buty i torebki. I obowiązkowe, obcisłe białe bluzki. Wie, że za nią jeżdżę, czasem się odwraca i widzę uśmiech w jej spojrzeniu. Domyślasz się, jak wizualizuję sobie jej styl w sypialni. I jedna z laborantek, które się tu mną zajmują, ale nie powiem

ci która. I opiekunka dziewczynki z bloku naprzeciwko, którą minąłem, gdy wsiadałem do taksówki. Starsza pani, dystyngowana, miła, kiedyś była piękna. Zawsze elegancko umalowana, trzyma się prosto i na pewno obłądnie robi laskę. — Pozwalamy wybrzmieć ostatnim słowom między wypolerowanymi meblami. — I to byłoby na tyle, gdy mowa o dzisiaj.

— O dzisiaj?

— Tak. No i Ania, oczywiście. Aha. I prezenterka pogody z hiszpańskiej telewizji, na którą przełączyłem przypadkiem dziś rano. I Dorota Wellman.

Marianna Szulc unosi brwi.

— Dorota Wellman?

— Tak. No co?

— Nic.

Uśmiechamy się, para cwaniaczków w bramie. A potem sobie wszystko przypominam, ona to widzi i znów jest jak dawniej. Tylko że o nic nie pyta. Milczymy oboje, długo i każde dla siebie.

— Rozvodu — mówię, studiując fakturę sznurówek w twoich vansach. — Najbardziej ze wszystkiego boję się, że Ania odejdzie.

Gdy widzę, jak ona rozpaczliwie stara się wymyślić dobrą odpowiedź, serce zaczyna mnie boleć. Dosłownie, fizycznie.

\* \* \*

Patrzę na świeżą mogiłę człowieka, który nas zabił. Jesteśmy tu razem, kaptur twojej bluzy moją przyłbicą, deskorolka moją tarczą. Stare kobiety, krzątające się przy grobach, uśmiechają się do mnie z dobrotliwą zadumą. Słońce wyostrza kanciastości cmentarnych krzyży.

Niesprzątnięte wiązanki pogrzebowe walają się na drogim marmurze. Miał pięćdziesiąt lat, słabe serce i opancerzonego SUV-a, który zmiażdżył naszą corollę.

Powietrze gęstnieje, jak przed burzą, ale może czuję tak, bo tu stoję. Po drugiej stronie cmentarza pochowali moje ciało. Jeszcze tam nie byłem.

— Cześć — wita się dziewczyna.

— Cześć.

— Masz fajkę?

— Nie.

Jest mniej więcej w twoim wieku. Ma bystre oczy, drogą bluzę i zniszczone trampki. Przygląda mi się.

— Mam ostatnią — mówi. — Możemy wypalić razem.

— Nie trzeba. Rzuciłem.

Widzi, że nie żartuję, i kiwa głową.

— Łukasz — przedstawiam się i nie wiem, czemu tak mówię.

— Daga.

— Dagmara.

— Daga — poprawia mnie.

— Daga.

Znów kiwa głową.

— Kto to? — pyta i patrzy dziwnie.

Powiało i jedna ze wstążek owija mi się wokół kostki.

— Ten facet — mówię — dostał zawału i swoją wielką furą wpierdolił się w samochód, którym jechałem z ojcem.

— Rozumiem.

— Tato zginął na miejscu — mówię.

Opiera trampek o kant nagrobka.

— Przykro mi.

— W porządku.

Dziwny dźwięk, myślałem, że to wiatr szeleszczący brzoškami, a to meleks na głównej alei.

— Tyle tu dziadków. — Daga rozgląda się po cmentarzu. — Starzy ludzie i my.

— Będziemy tacy sami.

— Tylko że my będziemy nosić bluzy z kapturem.

Uśmiecham się na tę myśl.

— Może tak być.

— Postacie w kapturach to nie mnisi — mówi Daga.

— Co?

— Nic.

Chyba jest zawiedziona, a ja nie wiem, co powiedzieć.

— Jestem jego córką. — Wskazuje na nagrobek.

Długa chwila zimnej ciszy.

— Żartuję — mówi wreszcie i uśmiecha się kwaśno.

— Żartujesz.

Robi mi się gorąco, zdejmuję kaptur. Dziewczyna przygląda się twojej czuprynie.

— Spierdalam — mówi.

— Tak.

— I ty lepiej też. To na nic.

— Chyba tak.

Zanim zniknie między krzyżami, odwraca się jeszcze.

— Łukasz?

— Tak.

— Jak się wie jak, łatwo mnie znaleźć na fejsie.

— Nie mam konta.

Wreszcie uśmiecha się szczerze. Odchodzi.

Stoję, jak stałem, dziwnie spanikowany. To przez tę rozmowę. I przez to, że erekcja rozsadza mi gacie.

Wieczorem śnię o niej, po raz pierwszy. Środek nocy, stoimy przy tym samym grobie. Czuć wilgotną ziemią, w której szepczą dżdżownice. Dagmara mówi mi, że ma czterdzieści lat i też wróciła, w ciele zmarłej córki. Mówi tak, a potem zdejmuję bluzę, dzinsy i całą resztę, rozgarnia wiązanki i kładzie się na zimnym marmurze.

\* \* \*

Leży na kanapie, a ja siedzę okrakiem na jej udach. Wieczorne słońce i balsam do ciała sprawiają, że skóra Ani mieni się fotoszopowymi jaskrawościami przy każdym jej oddechu. Otwarty balkon przynosi miejski harmider, który pachnie rozgrzanym asfaltem i skoszonymi trawnikami, znajomy i uspokajający.

Milczymy. Ania ma zamknięte oczy i pomrukuje, uśmiechnięta, gdy masuję jej kark, ramiona i plecy. Uczciwa wymiana: bawię się jej ciałem, a ona bierze mój dotyk, odrywa go ode mnie i ma tylko dla siebie. Jej koszulka i szorty leżą na podłodze. Ramiączka rozpiętego stanika rozrzucone na kanapie, jak jej włosy, pozornie bezładne, poddane dominującej formie relaksu. Milczymy.

Masuję jej krzyż, a kwiat słonecznika faluje do mnie, coraz cieplejszy i bardziej aromatyczny. Twoje szczupłe dłonie ugniatają jej skórę, która nagle wydaje się taka znoszona. Spoglądam niżej, na pośladki pod bawełną majtek, rezonujące wibracjami przy każdym ruchu nas obojga. Pyta próbuje rozsadzić mi gacie. Mija trzydziesta minuta bolesnej erekcji, która zaczęła się, zanim Ania zdążyła zdjąć koszulkę i się położyć.

Ania mruczy, nie patrzy. Milczymy.

Sięgam niżej, do granicy bielizny, znajome miejsca i kombinacje ruchów. Uśmiecha się, więc drapię ją paznokciami, wzdłuż linii, za którą robi się miększa i delikatniejsza. Wierci się i wtedy czuję, jak pachnie naprawdę, bez perfum, mydeł i kremów.

Podnoszę się, by i ona mogła się unieść, bym mógł zsunąć jej majtki, do miejsca, w którym siedzę. Ania uśmiecha się, nie patrzy.

Gdy sięgam po więcej balsamu, przełykam ślinę, ciężko i głośno, i mam wrażenie, że ten odgłos niesie się echem po całym osiedlu. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Kisiel w gaciach mi nie przeszkadza, już dawno temu przypomniałem sobie, jak to jest z nim żyć.

Masuję jej nagie pośladki, miękkie i twarde jednocześnie, śliczne. Studiuję ją, spojrzeniem i dotykiem. To jest tak wiele i jednocześnie nie wystarczy, nigdy nie wystarczało, więc teraz tym bardziej. Masuję ją i nie mogę oderwać wzroku. Od niej.

Od niej.

Wystarczy chwila. Jeden jej grymas, najdrobniejszy ruch bioder. Dotykam jej i wciąż nie wiem, czy oboje zmierzamy tam, gdzie ja tak rozpaczliwie chciałybym się znaleźć.

Ania otwiera oczy. Wspaniały, drobny ruch, jakby przeciągała się, samymi powiekami, leniwie i w spokoju.

— A wiesz — mówi, uśmiechając się do słońca za oknem. — Poszłabym do kina.

Twoje dłonie gubią rytm, na ułamek sekundy. Już wiem, choć wolałybym nie.

— Pewnie. Kiedy?

— Teraz.

— Teraz?

— No chodź, będzie fajnie.

Jej uśmiech mieści tak wiele: szczerą, uczciwą prośbę; i wdzięczność, z góry i na wszelki wypadek; i nowy rodzaj niepewnej ulgi; i ciepło.

Przebiera się przy mnie, wiedząc, że tego wieczoru już nie będę jej zaczepiać. I że tym bardziej chcę patrzeć.

W kinie bawimy się świetnie, bo film okazuje się wyjątkowo chujowy. Wracamy w milczeniu, myśląc o tym, że jutro przychodzi Artek.

\* \* \*

Artek przygląda mi się, z uczciwą, niekrytą ciekawością. Gapi się, jakby szukał szczegółów różniących mnie od kogoś innego, z obrazka obok. Przez chwilę ogniskuje wzrok na którymś z mebli, po czym znów mi się przygląda. I przeczesuje gęstą brodę.

Gdy byliśmy dziećmi, zazdrościłem mu długich, kruczoczarnych włosów. Był jednocześnie słonecznym hippisem i dumnym paladynem z galerii w „Fantastyce”. Kiedy zacząłłysieć, ogolił głowę i zapuścił brodę, którą obnosi z porównywalną nonszalancją.

— Kurwa mać, Jaro — mówi do mnie mój przyjaciel. — Normalnie nie wiem, co powiedzieć.

Wzruszam ramionami. Rano dopiero minęło, a siedzimy niemal w półmroku, za oknem chmury jak sierść brudnego psa.

— Gorąco tu.

Zdejmuje bluzę i rzuca ją na podłogę obok kanapy. Ma koszulkę z okładką płyty: długowłosa koleś dostaje pięścią w ryj. Wiem, że to dla mnie.

— Jaro — wzdycha Artek. — Kurwa mać.

— Broda ci siwieje.

— Nie tylko broda.

Myślę o twoich gładkich policzkach i uśmiecham się smutno.

— Mogę zobaczyć, jak teraz mieszkanie? — pyta mnie.

Idę po piwo, gdy on ogląda mieszkanie.

Po moim powrocie kupili nam nowe, większe, na drugim końcu miasta. Nowe rozdanie w każdej z gier: pomogli uciec od wścibstwa tych, którzy wiedzieli. Ania broniła się długo, ale ostatecznie chyba zrozumiała, że tak jest



lepiej.

Po krótkiej gadce szmatce milczymy, wymownie, ciężko i z przekonaniem. Pijemy piwo i słuchamy metalu, sięgając pamięcią do czasów naszych nieśmiertelności. Próbuje w ten sposób zredefiniować tę przyjaźń, odnaleźć jej pogubione współrzędne. Patrzę na niego z zazdrością, jest taki duży i pewny, taki stabilny. Potrzebuję go, jak nigdy wcześniej, bo brak mi luster, które odbiją tamtego mnie. Pragnę się w nim odszukać. Skoczyć i zanurkować, by w obcej ciemności wymacać znajome, własne kontury.

— Pamiętasz? — Wskazuję nadruk na jego koszulce. — Kupiliśmy tę kasetę u dziada na bazarze. Dzień przez wyjazdem na obóz.

— Zdradzam Marysię — mówi Artur.

Cisza między piosenkami. Dzieci za oknem wrzeszczą, że darowane kre-  
ski.

— Miałem odłożone na Samaela — odpowiadam. — Ale nie było, więc wzięłem Panterę.

— Od kilku miesięcy.

— Gdzie wtedy jechaliśmy? Do Sarbinowa? Czy Darłówka?

— Zdradzam Marysię — powtarza. Jest zły.

— To przestań.

— Nie kpij.

— Artek, kurwa, bywam... bywałem u was na obiadach, kolacjach. Ty i Marysia. I Krzyś.

Artur oddycha ciężko.

— Co mam powiedzieć? — pytam go.

W oczach ma strach. Wstaje, wychodzi, wraca z pełnymi butelkami.

— Regularnie — mówi. — Pewnie byłoby częściej, gdyby się dało.

— To na serio?

— Na serio.

— Romans.

— Romans. Z litości.

— Masz żonę i syna.

— Pewnie bardziej nade mną.

— Masz wspaniałą żonę.

— Mam.

— Ania nie chce ze mną sypiać — mówię.

To go wytrąca.

— Nie chcę o tym słuchać — odpowiada bez przekonania.

— Brzydzi się.

— Boi się.

— Boi się — powtarzam.

— Że to ją zabije. Was.

— Zabije.

— Nie wiem, co robić — mówi. — Nie chcę tego kończyć i...

— Niedobrze.

— I wiem, co to znaczy.

— Dziada już nie ma na bazarze — mówię. — Szukałem go.

— Jakiś czas temu handlował płytami z disco polo. I grammi.

— Już go nie ma.

Wstaję, żeby zmienić płytę. Ale włączam ją jeszcze raz.

— Marysia nie pozwala Krzysiovi się z tobą zobaczyć. — Artur trze oczy.

— Młody szukał w sieci śladów Łukasza, bardzo chce się pożegnać, ale Marysia mówi, że to zły pomysł.

— Pewnie ma rację. Jak to zniósł?

Artek wzrusza ramionami.

— Normalnie. Koszmarnie.

— Biedny chłopak — mówię i milkniemy, myśląc o tobie i o mnie.

— Chyba nigdy was nie lubiła — podejmuje Artur. — Marysia.  
Z każdym łykiem jest mi bardziej gorąco.

— Nas?

— Ciebie i Ani.

— To nieprawda — odpowiadam.

— Prawda. Zawsze była zazdrosna. I chyba się domyśla.

— Niedobrze.

Uśmiecha się dziwnie.

— Niedobrze — powtarza.

Zastanawiam się, czy mu powiedzieć. Nigdy mu nie mówiłem, może mógłbym się przyznać i mu ulżyć. Artur szuka tanich rozgrzeszeń, a ja jestem tu, dla niego.

Ale milczę, milczymy długo. Udajemy, że słuchamy muzyki, w rzeczywistości słuchając samych siebie. Przegrywane kasety, przerysowywane okładki. Książeczki z tekstami piosenek i ich koszmarnymi tłumaczeniami. Marzenia o wyjazdach na koncerty. Pogubione współrzędne.

— Jaro — zaczyna wreszcie.

Patrzy tak, że piwo w moim żołądku zmienia się w cement.

— Będę szedł — mówi.

— Posiedź jeszcze. Będą mecze.

— Nie, idę już.

— Posiedź. Chociaż na jeden.

— Muszę iść.

Nie wstaje z fotela, ale obaj wiemy, że już wyruszył z powrotem.

— Masz romans — mówię mu.

— Nie mów Ani.

— Stary, zdradzasz żonę.

— Nie mów, obiecaj, że jej nie powiesz.

Wreszcie wychodzi słońce. Światło dzieli nasze przestrzenie na dwa nierówne fragmenty.

— Artek — mówię.

Nie odpowiada.

— Artek, Jezu, nie płacz.

— Sarbinowo — mówi i niepewnie podnosi się z fotela. — Tamtego roku pojechaliśmy do Sarbinowa.

Zamykam za nim drzwi i biegnę do kibla. Wymiotuję alkoholem i śniadaniem.

W pokoju leży jego bluza. Wyrzucam ją do kosza, idę na balkon. Wracam po nią. Pachnie naszymi wspólnymi wakacjami. Wynoszę ją do zsypu na klatce.

Zanim położę się spać, odbieram SMS od twojej mamy.

Odpisuję jej, że też ją kocham, a potem długo nie mogę usnąć. Pościel i przeszłość parzą mnie, uwierają.

\* \* \*

W poprzednim życiu.

Wstaję od komputera i rozglądam się po biurze. Puste boksy i martwe monitory, kanciasta pustynia papieru i plastiku. Ciemność za oknem wyświetla obraz: zgarbiony mężczyzna, wymięta koszula i brzydki krawat. Żółte światło, żółta skóra. Elektrostatyczna cisza.

Żółte myśli.

Ruszam między biurkami, najpierw do wiszącej szafki, po klucze. Idę i patrzę uważnie. Pusto, tu i w korytarzu, i w socjalnym, w kuchni, wszędzie pusto.

Kolejny korytarz. Gdy widzę uchylone drzwi, tętno przyspiesza, rośnie ostrość widzenia.

Otwieram drzwi szerzej.

Podnosi wzrok znad monitora. Patrzy na mnie długo i bez słowa. Wreszcie sprawdza coś w telefonie i odkłada go na biurko. Chwilę pisze coś na klawiaturze. Zdejmuje okulary. Poprawia gumkę, którą zebrała włosy w kucyk. Rozgląda się wokół siebie i do wewnętrznej kieszeni żakietu wkłada paczkę chusteczek higienicznych. Sięga dłońmi pod spódnicę i, nie wstając z fotela, zdejmuje majtki, które chowa do torebki leżącej obok. Dopiero wtedy wychodzi z biurka.

Puszczam ją przodem, wychodzimy na korytarz. Idzie pierwsza, nie ogląda się, czuję perfumy i papierosy. Schodami w dół, studzienne echa jej obcasów, granatowa rozkołysana spódnica, świetlówki ciekące brzęczącym blaskiem, schodami w dół.

Zatrzymuje się, gdy niżej już nie można, obok piwnicznych drzwi do serwerowni. Czeka. Przygląda mi się chłodnym spojrzeniem z rozmowy kwalifikacyjnej.

Gdy otwieram drzwi, nie patrzę na nią, mimo że stoi bardzo blisko. Czuję jej gorący oddech, wonie makijażu i czosnku w sałatce z lunchu.

Włączam światło, puszczam ją przodem, zamykam za nami na klucz. Niska kanciapa, pełna szemrzących komputerów i kurzu, który śmierdzi przepoconym tiszertem.

Zdejmuje żakiet i starannie wiesza go na oparciu krzesła.

Staje dwa metry ode mnie, oparta pośladkami o biurko. Patrzymy na siebie. Wyswobadza dół bluzki ze spódnicy. Gdy siada na blacie, zrzuca na podłogę jakąś powieść fantasy.

Rozpina guziki bluzki, robi to szybko i dla siebie. Ostre cienie obojczyków, kremowa biel stanika, pępek. W tym świetle jej skóra ma barwę i fakturę mąki. Ciemność między jej nogami. Gdy się porusza, widzę, że ma ten sam stanik co wczoraj. Czeka na mnie.

Mógłbym teraz wyjść.

Podchodzę i wpasowuję się w nią, ściskam dłońmi jej uda.

— Delikatniej — mówi do mnie. Naciskam mocniej, aż syczy i odchyła się do tyłu. Przesuwam dłonie w głąb niej, w śliskie, szeleszczące nylonem ciepło. Oboje drżymy, gdy docieram do miejsca, gdzie kończą się pończochy. Dotykam jej gorącej skóry i myślę o tym, że jej majtki zostały na górze i już nic mnie od niej nie dzieli.

Patrzy na mnie i czeka. Przesuwam dłonie głębiej, aż wyczuwam miejsce, w którym zaczynają odrastać włoski. Zmarszczki wokół jej oczu drgają. Półleżąc, oparta na łokciach, obserwuje mnie, kołysząc biodrami, zachęca, żeby dalej. Skóra między jej piersiami jest ciemnoróżowa.

Głaszczę ją i mam wrażenie, że słyszę ją, tam, spod spódnicy.

Spogląda w głąb siebie i mruży, krótko i niecierpliwie. Cofam dłonie. Sięgam do kieszeni i wręczam jej paczkę z prezerwatywą. Zakłada ją sprawnie, niemal niedbale, nie dając przyjemności.

Podwija spódnicę, wysoko, do pasa. Celuję, ale powstrzymuje mnie.

— Czekaj. Ja. — Bierze go w dłoń i dyktuje tempo, przynajmniej na początku.

Jest cicha, skoncentrowana na sobie i zdeterminowana na finał. Oboje jesteśmy, to jest jak zapasy i wyścigi, przepychanka w kolejce do supermarkietowej kasy. Obserwuję ją z góry, widzę, że jej niewygodnie na blacie biurka i mam to w dupie. Kończę, błysk rozkoszy, po której przychodzi ponura niechęć.

Patrzę, jak korzysta z chusteczki, i myślę o tym, że jej nie lubię. Zanim wyjdziemy, odkładam książkę na biurko.

— Do jutra — żegna się, zanim zniknie w swoim gabinecie.

Mam dwa nieodebrane połączenia. Oddzwaniam.

— Halo.

— Cześć. Dzwoniłaś.

— Tylko żeby ci powiedzieć, że nie musisz się śpieszyć. Łukaszek już dużo lepiej. Temperatura spadła do trzydziestu ośmiu i kazał włączyć sobie G.I. Joe.

— Super.

— Super. I nawet zjadł zupę.

— No to rzeczywiście.

— Więc dokończ sobie wszystko spokojnie, a my czekamy.

— Już jadę.

— Bomba. Oby nie za szybko.

— Jasne. Pa.

— Pa, pa.

Mężczyzna w wymiętej koszuli. Elektrostatyczna cisza.

\* \* \*

— Policzyłam butelki — mówi Ania. — Tyle, co nic.

— Większość Artura.

— Domyślam się.

Nie wiem, kiedy przyszła. Obudziłem się późnym popołudniem i pobiegłem rzygać. Teraz leżę w łóżku, z głową na jej udach. Ania siedzi, pije piwo i bawi się moim włosami. Chyba nigdy wcześniej tego nie robiła.

Zza okna pachnie deszczem.

— Chcesz łyka?

— Boże, nie.

Wzdycham. Dzisiejsze popołudnie jest ciemnością.

Dostrzega coś w mojej twarzy.

— Jak było? — pyta mnie.

— Dziwnie.

Kiwa głową.

— Bardzo się bałem tego spotkania.

— Wiem — uśmiecha się do mnie, smutno i ślicznie. — Ja też.

— Ty też.

Kiwa głową.

— Mieliśmy straszną tremę. Wspominaliśmy stare czasy.

— Stare czasy — mówi Ania i ma na myśli tyle rzeczy. Najbardziej na świecie chciałbym jej powiedzieć, że jeszcze będzie jak dawniej.

— Słuchaliśmy muzyki.

— Widziałam.

— Siwieje.

Patrzy na mnie, na ciebie i uśmiecha się tylko. I przestaje.

— Co u nich?

Ciemność.

— Nie wiem. Krzys chciał mnie zobaczyć. Pożegnać Łukaszka.

— To nie jest dobry pomysł.

— Marysia też tak twierdzi.

Jej twarz nad moją. Patrzy uważnie, czeka.

— Nie wiem. Chciałem powiedzieć mu tyle rzeczy.

— I nie powiedziałeś.

— Nie powiedziałem.

— Umówiliście się?

— Nie zdążyliśmy, bo pobiegłem spawać.

— Spawać. Dawno nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił.

— Rany — jęczę. — Za co to wszystko.

— Dobre pytanie.

— Może i dobre.

— Chociaż nie — mówi Ania. — Nie chciałabym być częścią twojej



pokuty.

Dotyka dłonią mojego policzka. Chłodne paznokcie na gorącej skórze.

— Dwa piwa — mówi.

Szarpie mnie za włosy i nagle śmieje się, głośno i szczerze. Jej piersi i uda trzęsą się wokół mnie. I ta chłodna dłoń, i ostre paznokcie.

Patrzemy na namiot w moich bokserkach.

Całuje mnie w czoło i zrzuca z siebie.

— Przyniosę ci coli.

Ogląda się, zanim wyjdzie z sypialni. Uśmiech jak deszcz, spokojny i ciepły.

Zaczynam rozumieć, że jeszcze wszystko się jakoś ułoży.

\* \* \*

— Nie chcę tu więcej przychodzić.

— Nie chcesz — mówi doktor Marianna Szulc. — Chodzi o badania czy o nasze rozmowy?

— Jedno i drugie. Nie mogę zapomnieć.

— Myślisz, że to przez nas?

— Nie pomagacie.

— Rzeczywiście.

— Dlatego chciałbym, żeby to było nasze ostatnie spotkanie.

— Rozumiem.

— Czytałem materiały od was. Moja rezygnacja nie oznacza cofnięcia renty.

— Oczywiście, że nie. Renta jest dożywotnia. A w systemach zostajesz jako czternastolatek.

— Pełny reset.

— Można tak powiedzieć. Konsultowałeś to z Anią?

- Nie. Ania nie wie.
- Ale powiesz jej.
- Oczywiście.
- Chcesz poszukać innych przywróconych.
- Nie wiem.
- Chcesz. Myślisz, że tak będzie łatwiej. Bez naszej obserwacji.
- Bez żartów. Obserwacji będzie teraz więcej.
- Doprawdy?
- Nie przeceniaj się. To najmniejszy z moich problemów.
- A co jest największym?
- Chyba nadzieja. Teraz – nadzieja.
- Nadzieja.
- Zacząłem wierzyć, że się ułoży. Że jeszcze będzie dobrze. Ale to sprawa, że boję się jak nigdy wcześniej.
- Do tej pory wszystko działało się siłą rozpędu. Teraz myślisz o przyszłości. Zaczynasz planować i podejmujesz decyzje.
- Nie przeżyję, jak się nie uda. Jak nam nie wyjdzie. Bo Ania się nie przyzwyczai. Ale się stara, walczy. Jest inaczej i już nie wrócimy do tego, co było, możemy tylko wracać do tego, jak było. Tylko zaczynać na nowo. Uciekać do przodu. Ona zaczyna mnie dostrzegać. M n i e.
- Wydarzyło się coś dobrego?
- Właśnie nie, nic szczególnego. To znaczy tak, ciągle się wydarza. To moja głowa, to w niej. Odkąd to zrozumiałem, jest inaczej.
- Uśmiechasz się.
- Dziwne, prawda?
- Cieszę się — mówi Marianna Szulc, chyba szczerze.
- Dlatego nie chcę więcej tu przychodzić.
- Rozumiem.

— Ona zawsze będzie widzieć Łukasza. Będzie patrzeć na swojego syna. Jak nie będę z tym walczyć, Ania mnie zaakceptuje. Będzie miała nas obu. Wypracujemy to.

— Tylko czy będzie chciała tego mężczyznę, którym jesteś? Którym byłeś?

— Przecież ci tłumaczę. To bez znaczenia, poradzę sobie. Bo ja będę ją miał.

— To dobra wymiana?

— Znowu będę ją miał.

— Rozumiem.

— Myślisz, że tu wrócę, prawda?

— Nie wiem.

— Przecież widzę. Nie jestem pierwszy, co?

— Który rezygnuje z opieki?

— Opieki. Dobrze.

— Nie jesteś pierwszy.

— Oni wracają do was.

— Wszyscy bez wyjątku — mówi doktor Marianna Szulc. — Wszyscy. Nie słyszę w jej głosie satysfakcji.

\* \* \*

Algorytmny flirtu. Nonszalanckie spojrzenia, lekceważące i jednocześnie gęste od znaczeń. Dynamiczne trajektorie gestów i rozmów, kurs pozornie kolidujący, w ostatniej chwili korekta, tak, by przez chwilę iść równoległe, bez otarcia, poczuć wzajemnie stałe grawitacji. Stałe, a jednak zmienne.

Patrzę na nią, dotykam jej wzrokiem, odkąd tylko przyszliśmy. Jej jest trudniej, potrzebuje rozmowy, gry w ramach bardziej złożonych systemów. Wiem, że to z mojego powodu, zresztą zawsze tak było.

Jesteśmy wśród obcych i tak jest łatwiej. Obcy hotel w obcym mieście,

w którym porzuciliśmy nasze rzeczy na pastwę nieoswojonych mebli. Anonimowi w tłumie, Ania załatwiła w pracy wejściówki na wernisaż, i przyszła tu z synem. Nikt nie sprawdza, jesteśmy więc, chodzimy od płótna do płótna, zawsze razem, nawet gdy plecami do siebie, wzdłuż przeciwległych ścian. Krótkie spotkania przy tacach z alkoholem, zabawa w uszczypliwe komentarze do podsłuchanych ocen. I wzajemne złośliwości, które przenoszą nas do czasów, gdy wszystkiego mieliśmy aż nadto.

Stoi parę metrów dalej, w grupce wsłuchanej w kuratorkę wystawy, bezwiednie stuka paznokciami w nóżkę trzymanego kieliszka. Jest trochę pijana i wino na jej policzkach ładnie współgra z makijażem. Upija łyk, przez chwilę patrzy na mnie, potem znów udaje, że słucha, a może rzeczywiście jest zainteresowana, a ja przyglądam się, zadziwiony, jak alkohol i wiara potrafią ją odmłodzić. Zerka na mnie, cień uśmiechu i pół spojrzenia, łyk wina, znam ten rumieniec. Patrzę na jej bluzkę, zapiętą pod szyję, na spódnicę, niezbyt krótką, ale obcisłą, stawiającą fizyczny opór, na jej nogi, na fakturę rajstop, i nie wiem, jaką bieliznę ma na sobie, a ta niewiedza jest inspirująca. Znów na mnie zerka, a gdy chcę dać jej znak, Ania uprzedza mnie i wychodzi do innej sali. Jej ciało jak wazon, oddała się i robi to dla mnie, algorytmu flirtu.

Przynosi mi szklanekę soku. Wiem po samym jej spojrzeniu, miałeś te same iskierki w oczach, gdy coś nabroiłeś, miałeś to po niej. Próbuję. Mocne, mnóstwo wódki, aż mnie krzywi.

Dotyka włosów, gdy chwilę rozmawiamy, znów bawiąc się w lożę szyderców. Dłoń, bransoletka, ucho, już niemal zapomniałem, jaki to wspaniały gest.

Patrzy gdzieś obok, trochę zbyt długo. Odwracam się i od razu wiem. Starsza pani, przygląda się nam, nie chcąc uwierzyć w to, co widzi. Pijana czterdziestoletnia baba flirtuje z chłopcem, poi go alkoholem. Wzrok tej staruszki. Pogarda, strach i litość, nie wiem tylko, do którego z nas.

Myślę o Ani, pierwszy raz tego wieczoru tak naprawdę. Rozumiem, że już po wszystkim, i wzdycham do trzymanego drinka.

— Wracajmy do hotelu — mówi Ania.

W jej spojrzeniu jest coś wspaniałego, nie patrzyła tak na mnie od lat. Nie umiem powstrzymać uśmiechu.

Zanim wyjdziemy, idzie do toalety. Uciekam do innej sali, by móc skończyć drinka. Telefon.

— Cześć, Artek.

— Cześć.

Cisza po tamtej stronie.

— Co jest, Artur.

Nierówny oddech.

— No, co jest? — pytam i rozglądam się za Anią.

— Nic. Sorry. Pomyliłem numery.

Jest pijany.

— Artur, kurwa, o co chodzi?

— Ona wie — odpowiada. — Marysia wie.

— Niedobrze.

— Domyśliła się.

— Przyznałeś się.

— Domyśliła się.

Dopijam alkohol.

— Nie wiem, Artek. Nie wiem, co powiedzieć.

— Jaro — mówi innym głosem, już spokojniejszy. Jakby zmienił zdanie. Albo dostał, czego chciał.

— Tak, Artek?

— Nie mów Ani.

Rozłącza się.

W końcu podchodzi Ania. Patrzy dziwnie, jakby czegoś we mnie szukała albo już dostrzegła, wódka miesza w głowie.

Wychodzimy w letnią noc, ciepłą i miękką. Taksówka jest za chwilę.

Ania siedzi blisko, ale patrzy w okno. Przyglądam się jej szyi, czuję kolano oparte o moje. Nagle odwraca się do mnie, wygląda, jakby podjęła decyzję. Mówi kierowcy, by zawiózł nas pod monopolowy. Nie wiem, co powiedzieć.

Kładzie dłoń na moim udzie i patrzy na mnie niejasnym, zaciętym spojrzeniem. Przez dzinsy wyczuwam drżenie jej ręki i nie rozumiem, co to oznacza, trudno mi zebrać myśli. Przesuwa dłoń odrobinę wyżej.

Wtedy kierowca kicha. Zerkamy w jego stronę. Opuchnięte, wybałuszone oczy, gapią się przez wsteczne lusterko. Ma płytki świszczący oddech i aż wibruje z podniecenia.

Zatrzymuje samochód pod sklepem. Ania wychodzi.

Oczy w lusterku kurczą się do mnie, po chwili rozumiem, że to uśmiech. Odwracam wzrok, rozglądam się po smutnym wnętrzu taksówki. Wonie podróży: wytarta tapicerka, zbyt wiele oddechów i pot, ten, który bierze się z braku ruchu. Ciasno w gaciach, moszczę się, ale wciąż jest niewygodnie. Myślę o telefonie od Artura.

Wraca Ania z otwartą butelką wina.

— Zmiana planów — mówi do kierowcy. — Pojeździmy trochę.

Ruszamy.

Podaje mi butelkę. Wino jest pyszne. Ania wyciera mi palcem kącik ust.

Jedziemy i patrzymy na siebie, oglądam ją jak poklatkową animację, uliczne latarnie wyświetlają kolejne kadry. Jest piękna i śmiertelnie poważna. W oczach ma miasto przewijające się za oknami i całe nasze życie. Oddycha ciężko. Opiera dłonie na moich ramionach, ściska je i na chwilę przymyka oczy. Nachyla się do mnie, ale frustrująco powoli, jakby powietrze między

nami gęstniało z każdym milimetrem, albo to wszystko mi się tylko wydaje, a ona po prostu kołysze się w rytm jazdy.

Kładę rękę na jej udzie, tuż nad kolanem. Ona przesuwa nogi w nieznanym geście, nierówne piksele rajstop, szelest ubrań. Drapię po jej skórze, świst paznokci na syntetycznym włóknie. Ania poprawia się na siedzeniu, wąska spódnica krępuje ruchy. Sięga dłońią do moich włosów, łapie ich dużo i mocno, i mruczy krótko, niezrozumiale. Rumieniec wspina się po jej szyi.

Bierze ode mnie butelkę, pije długo, a potem gwałtownie chwytą powietrze, jak po długim zanurzeniu. Włosy lepią się do jej spoconego czoła i do jej szyi.

Zerkamy przed siebie, na oczy we wstecznym lusterku. I znów jesteśmy sami.

Opiera dłoń na moim przedramieniu, potem karku, na klatce, na udach. Maca je, powoli i metodycznie, jakby sprawdzała ich trwałość. Ma szkliste oczy i nie wiem, czy to od wina.

Dotykam jej obojczyka, po chwili przesuвам dłoń niżej.

— Mój Boże — mówi Ania. Wzdycha ciężko i cicho.

Zabiera mi rękę na swoje udo. Rozpina guzik bluzki i drapie się po miejscu, gdzie kończy się szyja. Obce barwy, na niej i między nami, latarnie, neony, uliczne światła.

— Aniu — mówię. — Pokaż mi swój telefon.

Marszczy brwi, jakby nie dosłyszała.

— Kto zadzwonił? — pytam.

Patrzy za okno. Czerwone światło.

— Cicho — szepcze łagodnie.

— Które z nich?

— Cśś. — Palec przy ustach. — Potem.

Ruszamy. Znów mnie częstuje, potem pije sama, a ja myślę o naszych

pierwszych wakacjach. Na chwilę opuszcza szybę i wyrzuca butelkę, która rozbija się na asfalcie. Kierowca milczy, jedziemy.

Rozpina mi rozporek. Poprawia się na siedzeniu, odgarnia włosy za uszy.  
Słyszę, jak biją nam serca.

— Nie — mówię do niej i nie pozwalam jej się schylić.

Biorę jej dłoń i kieruję w stronę krocza.

Gdy na chwilę otwieram oczy, widzę, że Ania płacze. Powinienem kazać jej przestać.

Zamykam oczy. Latarnie, neony. Jedziemy.

\* \* \*

Kobieta siedzi przy stoliku w hotelowej kawiarni. To nie jest jej miejsce, co chwilę poprawia się na krześle, przestawia filiżankę z kawą. Pali często i szybko, mruży oczy od południowego słońca.

Przysiada się mężczyzna. Przygląda się jej. Czeką, aż skończy papierosa.

— Palisz — mówi do niej.

Kobieta patrzy w okno.

— Będzie zimno, gdy zajdzie słońce.

Mężczyzna milczy.

— Marysia dzwoniła — mówi ona. — Przed chwilą. Umówiłam się z nią dziś wieczorem, jak wrócę.

— Dlaczego?

— Bo jestem jej to winna.

— To nie jest dobry pomysł.

— To nie był dobry pomysł od samego początku — mówi kobieta.

Milczą.

— Artur chciał ci powiedzieć — mówi kobieta. — Ale bał się, że powiesz Marysi.



— Powiedziałbym.

— Zawsze był rozsądniejszy.

Mężczyzna kręci głową.

— To nic — mówi do niej.

— Nie czekaj na mnie wieczorem.

— Wrócisz późno.

— Nie wrócę.

— To wszystko nic — powtarza mężczyzna. — Będzie dobrze.

— Nienawidzę naszego mieszkania.

— Nieprawda.

Kobieta uśmiecha się smutno i zapala papierosa.

— Będzie dobrze, Aniu.

— Nawet nie masz pojęcia — mówi kobieta. — To ja jestem dziwakiem, któremu się przygląda i o którym się szepcze. To ja nie mogłam odciąć się od pracy, od rodziny.

— Wyjedziemy.

— Nie.

— Damy sobie radę.

— Nie mogę na ciebie patrzeć — mówi kobieta. — Rozumiesz?

— To nie jest moja wina.

— Nienawidzę cię za to, że nie jesteś nim. Że zająłeś jego miejsce.

— Nie chciałem tego.

— Już tak nie mogę.

— Zdradzałem cię — mówi mężczyzna.

Kobieta zamyka oczy.

— Wiem.

— Wiesz — powtarza po niej.

Patrzą długo na dzieci bawiące się pod ścianą.

— Oszaleję, jak nie ucieknę — mówi ona. — Od tego wszystkiego.

— Ode mnie.

— Tak, od ciebie.

— Wcale tego nie chciałem — powtarza mężczyzna.

— Wiem. Przykro mi.

Kobieta zagląda do pustej paczki.

— Obiecuj mi, że już nie będziemy musieli się spotykać.

— Nie pocałowałaś mnie. Ani razu.

— Ktoś przyjedzie po rzeczy. Przekaze dokumenty do podpisu. I tak dalej.

— Ani razu nie pocałowałaś mnie w usta.

Kobieta wstaje i po chwili wahania głaszcze po głowie nastolatka, z którym siedziała przy stoliku. Pochyliła się nad nim, daje mu buziaka, a gdy jest uśmiechnięta, robi się śliczna. Kiedy uśmiech wyparowuje, kobieta odchodzi.

\* \* \*

Opowiem wam o miłości.

Łukaszek leży tuż obok. Patrzą, jak wycieka z niego życie i miesza się z benzyną rozlaną na asfalcie. Nie mogę się ruszyć i niewiele czuję, i mam nadzieję, że on też.

Fragment któregoś z nas podskakuje między nami, zaklinowany między oparciem fotela a wygiętą kierownicą. Łukasz ma zamknięte oczy, jakby spał. Puchnie mu twarz i coraz bardziej przypomina tamtego stworka, którego pokazała mi pielęgniarka, nocą w szpitalu, czternaście lat temu. Odwinęła znoszony szpitalny becik, a tam był mój syn, siny i nieruchomy, skulony i jakby już czujny, jakby dopiero gotujący się do drogi. Gdy kobieta uszczypnęła go w policzek, zaskrzeczał, bardziej ze złości niż bólu, najwspanialej.

A teraz jestem tutaj i patrzę na to, co z nas zostało. Nie powinno tak być.

Łukaszek otwiera oczy. Długo patrzy i nie widzi. Tak bardzo chciałbym

go dotknąć.

Zdaje mi się, że słyszę syreny.

— Tatusiu — mówi wreszcie. Spojrzeniem mógłby kończyć całe światy.  
— Tatusiu.

Przymyka powieki i to już.

Nie powinno tak być.

Czarna wata, gorąca i gęsta.

\* \* \*

Opowiem wam.

Pod kołdrą jest duszno i ciemno. Wyczuwam jej twarz tuż przy mojej, ma zimny nos. Ania chichocze i zatyka usta poduszką.

Przestaję ją łaskotać, ale nie pozwalam jej się odsunąć, uwolniła dłonie i teraz drapie mnie po plecach. Po omacku głaszczę jej twarz i szyję, pachnie balsamem i kremem dla dzieci. Choć poważnieje, czuję, że wciąż się uśmiecha.

— To może dzisiaj — szepcze.

— Tak?

— Tak.

— Idziemy na kanapę?

— Nie. — Dotyka moich ramion, przypomina je sobie. — Nie chcę stąd iść.

Jesteśmy ostrożni i cisi, i dużo trzymamy się za ręce. Potem leży tuż obok, czekając, aż znajdę oddech. Bawi się moimi wargami.

— Ma twoje usta — mówi i słyszę w jej głosie dumę.

Podnosimy głowy i patrzymy na kołyskę w nogach łóżka. Jesteś tam, choć wciąż nie mogę w to uwierzyć. Śpisz.

## Amnezjak

*Już lato odeszło i kwiaty przekwitły,  
A jeszcze coś w słońcu się mieni.  
Anna Chodorowska, Jarzębina*

*Stała pod śniegiem panna zielona,  
Nikt prócz zająca nie kochał jej.  
Krystyna Wodnicka, Zielony gość*

*Jebać, jebać PZPN!!!*

kibic na meczu KS Wierchy Rabka-Zdrój – Ogniwko Piwniczna-Zdrój (16 sierpnia 2009 r., wynik meczu 3:2), wyprowadzony przez ochronę w trakcie spotkania z powodu używania języka powszechnie uważanego za wulgarny

Jego saga była najwspanialsza. Najdłuższa, misternie pleciona, wiła się dziesiątkami wątków, które uzupełniały się wzajemnie, dyskutowały ze sobą, przekomarzały się, czasem – z pozoru sprzeczne – kłóciły. Saga, największe z jego świadectw i najpotężniejszy oręż, obezwładniała swym skomplikowaniem, mieniła się wszystkimi możliwymi matowościami nadchodzącego mroku, wszystkimi głębokościami rozrastającego się cienia, szczególnie tymi najgłębszymi i najgęstszymi, tymi przenikającymi każdego do samego szpiku, dogrzebującymi się do samej istoty. Tymi zatraskującymi duszę w pozbawionej światła i ciepła szkatule.

Jego saga była pieśnią wybrzmiewającą melodiami najpiękniejszymi wśród smutnych i najbardziej ponurymi wśród najpiękniejszych. Monumentalna symfonia symfonii, urosła w kakofonię rozpacz, niepewności i zwyczajnego ludzkiego strachu. Maszerowały w niej jednak i gniew, i zacięta, harda

determinacja. W jednej parze sunęły duma i pycha, a między nimi miękko i elegancko meandrowały tęsknota, żal i ta trzecia, potężna, gwałtowna i niestabilna siła, ta karmiąca się porażką i niespełnieniem.

Jego saga tyczyła ciężaru na jego barkach: pary mieczy, które czasem musiał dźwignąć, i wagi odpowiedzialności – za los jego ludzi i zamku, za los wojny, los Nieba i Człowieka. Mówiła o płonącym bólu setek jego blizn, które wszyscy mogli oglądać, siekących odsłonięte ręce, szyję i głowę. I o tych na jego sercu, wplatanych do sagi od samego początku, trwających niczym ponure refreny we wspólnym podaniu i pozostałych dziełach, które tworzyli. Jego saga była bowiem najpierwotniejszym ze słów, była najwyższym, najpewniejszym z drogowskazów, niczym latarnia morska świeciła na bezkresnym oceanie nieba. Nie mogło być inaczej, była sagą króla.

\* \* \*

Obudził go, jak zawsze, chrzęst świtu. Nieregularny, szorstki, nieprzyjemny – tak korodowała noc kryta pierwszymi plamami sinego poranka. Wciąż otumaniony nierozpoznanymi snami i skulony głęboko pod górą pościeli, Wład miał wrażenie, że bardziej niż zza wysokich, szczelnie pozamykanych okien chrzęst dochodzi gdzieś z głębi jego piersi, lepkiej od potu i jednocześnie zmarzniętej. Może to trzeszczy rozespiane ciało, kolejny raz broniące się przed następną porcją cierpień, pomyśli potem Wład, wspominając tępy chaos poranków. Teraz refleksja była daleko, ustąpiła pierwszeństwa biologii: atawistyczny odruch popędzał go niewidzialnym batem, zmuszał do rozklejenia zaropiałych oczu i przesuszonych ust.

Pierwszy gwałtowny haust sypialnianego zaduchu i zimnego półmroku komnaty, pierwszy haust rzeczywistości. I od razu huragan świadomości, jak trzęsienie Równiny, jakby wiszące nad nim zamkowe kondygnacje nagle runęły mu na głowę. Noc się kończy, idzie precz. Świta, więc będzie mógł ją zoba-

czyć. Znowu.

Ta myśl poderwała go, spięła do galopu pompę w jego piersi. Wygramolił się z łoża i przeciągnął mocno. Blizny kreślące na zniszczonej skórze mapy poświęcenia przesuwały się wraz z nią. Gdy odrywały się od wnętrzości, dziesiątki podskórnych pożarów wybuchały jeden po drugim, od stóp aż po zniszczone dłonie wzniesione wysoko nad głową. Zadrzał, jęknął. Choć zawstydzony własną słabością, skrupulatnie zachował tę falę bólu i niemal odruchowo, finezyjnie wplótł ją w jedną z melodii swojej sagi.

Ubierał się w pośpiechu, bardziej niż zimnem gnany myślą o tragicznym przedstawieniu, którego wkrótce miał doświadczyć. Przygotowane przed zaśnięciem ubranie (buty, spodnie, kaftan) było wyziębione i śmierdziało błockiem. Bura breja coraz głębiej wdzierała się w zamek, znaczyła wszystko wokół kwaśnym zaduchem. Wdzierała się i w ludzi, smród błocka zostawał na skórze, osiadał na śluzówkach i płucach; ciężki, niewygodny i niezmywalny – niczym wyrzuty sumienia. Jak ci z dołu mogli się tym oblepiać? Jak mogli umieszczać to w *sobie*?

Wład westchnął, założył gruby kozuch i zaciągnął się jego zapachem. Woń martwej jadalorzyzny niosła spokój. Wiszące na ścianie miecze błyskały do niego w ciszy.

Wtedy sobie przypomniał. Zawahał się zaskoczony, jak mógł nie pamiętać?

Odwrócił się w stronę łoża – dużego, ciemnego kształtu pośrodku przestronnej komnaty. Była tam (gdzieżby indziej być miała), leżała w kłębach pierzyn, tyłem do niego. Ciemna, stężała wypukłość. Zbyt cicha i zbyt nieruchoma, by spała. Leżała tam, za wszelką cenę starając się nie poruszyć. Wiedział – i nie musiał widzieć tego w jej mizerniejącej sadze (do której przestał zaglądać tak dawno temu) – że ona modli się, by Wład zapomniał o tym, co wkrótce miało wydarzyć się nad przepaścią. Że ona chce, by wrócił pod pierzynę,

przysunął się blisko, objął ją, odgarnął jej włosy i mówił prosto do ucha, pomagając przeczekać długi i wyjątkowo dla niej ciężki moment świtu. By wdychał słony zapach jej skóry, wyszeptywał legendy o podróżujących po Niebie ojcach, by brodą drapał ją po karku, po szyi, by głaskał, pozwalał, by ścisnęła mu dłonie podczas kolejnych fal otępiającego bólu przebudzenia, by nie odwracając się, szukała jego ciała plecami, gdy podgryza ją irracjonalny strach niesiony przez kres nocy. Może nawet chciała, by nie mówił nic i tylko mruczał, i masował ją, a gdy ostatecznie się przebudzi, a ból i lęk odejdą, by poszedł po wodę i pomógł jej zmyć krew z ud, a potem głaskał ją po twarzy, wyczarowując pierwszy, ostrożny i niepewny jeszcze uśmiech. Leżała tam, ciemna i stężała. Wrzeszczała do niego, bezgłośnie i nieruchomo. Wrzeszczała ich wspólnymi obumierającymi wspomnieniami.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Król Władysław Jagiełło szedł na najwyższy taras, a kamienne posadzki zamku niosły echa jego kroków w najdziwniejsze strony, jakby dudniący pogłos mógł odbijać się od cieni, niechętnie odpełzających do swoich siedlisk w kątach i między meblami. Wawel budził się i przeciągał: wysokie okna trzeszczały, z wysiłkiem wpuszczając do strzelistych komnat pierwsze, słabowite jeszcze światło. Zimny mrok blakł, roztopiał się w gęstej zawieszynie poranka niemrawo rozlewającej się sinobladyimi kałużami po chropowatych ścianach. Na blask jeszcze przyjdzie czas, na razie światło było tępe, jakby je również wybrudziło błocko.

Na razie Wład, maszerując przez puste komnaty, odwracał twarz do okien i nie mrużył oczu. Łapał pierwsze szczątki ciepła, równie rachityczne, jak mdła jasność, która je niosła. Szedł przez kolejne sale, a jego kroki rezonowały pod wysokimi łukami sklepień; wspinał się krętymi schodami do góry, do góry, do góry, a wszystko wokół jakby urosło od czasu zaśnięcia, jakby z każdym kolejnym cyklem było większe i wyższe. I bardziej puste. Wład

bowiem był sam, wybudził się jako jeden z pierwszych. Jak zresztą zawsze.

Mijał kolejne pomieszczenia, łamał ich bezruch i ciszę, jednocześnie przełamując pustkę wspólnego podania – pozwalał swej sadze mościć się w nim, rozpędzać i nabierać rozmachu, którego po niej oczekiwano.

Do góry, do góry.

Gdy wyszedł na taras, lodowata dłoń trzasnęła go po twarzy, aż go zgięło. Pierwszy oddech schlastał mu nos, gardło i płuca niewidzialnymi brzytwami. Mrok przed zaśnięciem bywał zimny, ale to poranki pozostawały najgorsze: chłód z łatwością dobierał się do osłabionego ciała, przenikał przez odzież i skórę, mroził krew i kości. Sprawiał, że drętwiały kończyny. Że drętwiały myśli.

Wład przeklął, naciągając kaptur na głowę. Odruchowo zmrużył oczy, wbił dłonie głęboko w kieszenie kożucha i poczłapał przez sięgające kostek blocko do dwóch mężczyzn na końcu tarasu.

Pierwszy, prawie niewidoczny zza całej góry koców, siedział na środkowym z trzech leżaków ustawionych przodem w stronę przepaści. Drugi, wysoki i chudy, w wielkiej futrzanej czapie i grubasnym płaszczu, giął się pod naporem zimna, wtupując w siebie drobiny ciepła. Stał z boku, kilka stóp dalej. Stał tak od zawsze, pomyślał z przekąsem Wład, od zawsze razem z resztą mieszkańców zamku i jednocześnie osobno, samotnie.

Gdy odwrócili się do niego, król tylko machnął dłonią na powitanie. Nie fatygowali się, by zareagować, na oficjalne powitania będzie czas podczas Święta Światła. Wład usiadł na jednym z leżaków, tym stojącym dalej od chudzielca z futrem na głowie. Szczęśliwie do tego leżaka miał bliżej.

Milczeli, gdy mościł się pod zatęchłymi kocami. Jakież to wszystko symboliczne – myślał. Zaczyna się kolejny cykl i wkrótce nadejdzie dzień, przynosząc ciepło i blask, ale teraz zamek trwa jeszcze pośrodku niczego, unurzany w pozbawionej kolorów, mroźnej zawieszynie. Gęste, blade światło, niemrawo



rozlewające się po tarasie, niosło huk Wisły szalejącej w przepaści i jednocześnie – gdzieś z góry i zza ich pleców – ciągnęło ze sobą narastający łopot olbrzymiej flagi. Wład wyczuwał, że jego serce znów przyspiesza, że dłonie zaczynają drżeć i wiedział, że to nie przez zimno. Wątki jego sagi nabierały historycznego posmaku, w tej części opowieści nie było miejsca na półtony. Wład wsłuchał się w dwie poranne melodie: arytmiczny huk Wisły, bezkompromisowy i suwerenny, oraz w głośny, dumny i romantyczny łopot biało-czerwonej płachty. Wsłuchał się, po czym je zachował i, zilustrowawszy nimi poranną pieśń, nasycił nią wspólne podanie, które snuło teraz leniwe wątki przebudzenia. Niemal natychmiast jego pieśń zapłonęła – złośliwą, wulgarną i zaczepną melodię przyniosła efekciarska saga, błyskotliwa i chaotyczna jednocześnie, przycupnięta w jednej z niepozornych części wspólnego podania. Zapłonęła i szybko zgasła, ten pożar był czysto symboliczny.

— A pierdol się, Stasiu. Psia twoja mać — mruknął Władysław.

Mężczyzna na leżaku uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby. Mróz wygryzał na jego zapadniętych policzkach purpurowe plamy i tylko głębokie, niemal czarne bruzdy pod wyłupiastymi, żabimi oczami pozostały przy swoim kolorze. Wygląda jak zziębnięty, zagłodzony ropuch, pomyślał Wład. O której musiał się przebudzić, że zdążył tu tak zmarznąć? Pytanie mimochodem przyniosło zawiść: Władysław znowu nie zbudził się pierwszy.

Góra koców, przygniatająca ropucha do leżaka, wyrzuciła się i uwolniła dłoń trzymającą butelkę. Stasiu Wyssogota uśmiechał się zachęcająco, jakby mniej złośliwie, wionąc na króla odorem bimbrowym i smrodem zepsutych zębów. Wład wziął flaszkę, pociągnął łyk i przymknął oczy, skupiając się na gorącej strużce ciekącej w dół przełyku.

Gdy poprawił drugim łykiem, Wyssogota wyrwał mu butelkę i skrzywił się, oceniwszy zawartość. Wład wymierzył w niego palec, po czym niemal odruchowo spojrział na stojącego z boku mężczyznę. Mimo że nie widział jego

oczu niknących pod czapą, poczuł wstyd. Zakłuło jak wbita w kręgosłup wystająca z leżaka drzazga.

Wysogota dopił alkohol, pociągnął nosem i cisnął butelką przed siebie, w przepaść, do niewidocznej zza krawędzi, ryczącej w dole rzeki.

— Źle spałem — powiedział. Lodowaty podmuch wiatru zdmuchnął z jego twarzy resztki krzywego uśmiechu. — Śniły mi się wilki w sali tronowej. Miały błyszczące futra i wielkie kły. Żarły nasze ścierwa i śmiały się między kolejnymi kęsami.

Wysogota opuścił głowę, jakby zbyt ciężką dla żyłastej szyi. Przyglądał się błočku między leżakami.

Wład poruszył nogą, poczuł gęstą breję pod butem (prysło, gdy opuścił obcas) i wzdrygnął się. Wróciła niewygodna myśl. Błočko. Błočko. Jak ono odczuwa? Co myśli?

Wysogota potarł przekrwione oczy i dokończył:

— Wszystkie witraże w sali były powybijane, do środka leciały kruki i wrony. I też się śmiały.

Zawiało znowu, jeszcze przenikliwiej. Gwałtowne, lodowate parsknięcie wywołało w nich dreszcz, chlapnęło im po twarzach słonym zapachem Wisły. Wtedy Wład był już daleko: odrywał się od Wawelu, odpychał od siebie wierzące się w mózgu myśli o kolejnych dysaperencjach (choć one odejść nie chciały, kręciły się wokół niego jak wilki, jak psy), myślami był już po drugiej stronie rzeki. Wpatrywał się w mleczną, nieregularną nicość przelewającą się przed ich oczami i wyczekiwał tego, co przecież już powinno się zacząć. Czego bezpośrednio doświadczyć mogło zaledwie kilku i co czyniło go tym, kim z taką determinacją starał się być. Znaczone monarszą sagą wspólne podanie aż drżało od nerwowej niecierpliwości. Owa niepewność była jedną z mocniejszych nici, które łączyły ich losy we wspólną galaktykę przenikających się opowieści.

Przecież już powinno się zacząć.

— Wiesz, jak ona cię teraz potrzebuje — odezwał się milczący dotąd chudzielec w futrzanej czapce. Jego suchy, matowy głos szeleścił na wietrze jak strony starej księgi.

Władysław skrzywił się i niechętnie spojrział na brata. Witold stał zwrócony ku pustce przepaści, jego ciężki płaszcz łopotał co chwilę w inną stronę, zamiatając błocko pod nogami. Zacięta twarz Witolda krzywiła się jakby od wiatru, ale Władysław wiedział, że to strach mruży mu oczy i wykrzywia usta.

Wiesz, jak ona cię teraz potrzebuje. Gniew niczym bimber rozniósł po ciele króla urażoną dumę i poczucie wstydu. Pierwsze puściłby płazem, drugiego darować nie mógł. Nie odrywał wzroku od Witolda, próbując obrócić wstyd we wściekłość. Krew w jego skroniach zahuczała głośniejsz od Wisły w dole.

Witold wreszcie spojrział mu w oczy.

*Wiesz, jak ona cię teraz potrzebuje.*

Siedzący między nimi Stasiu Wyssogota westchnął ciężko i rozkasłał się, pryskając żółtą flegmą po kocach.

Już go nie widzieli, już byli tylko we dwóch. Witold uśmiechnął się, samymi spierzchniętymi wargami, ponuro i niby do siebie. Protekcyjnalna pogarda w jego grymasie doprowadzała Włada do furii. Zaczął powoli unosić się z leżaka, a wstyd oblewał go purpurą skuteczniejszą niż mróz. Wstydział się za siebie, za brata i – do czego tak bardzo nie chciał się przyznać – za Annę, w której mizernej, banalnej sadze dało się wyczytać tak niewiele. Sadze niegodnej monarszej żony.

— Zaczyna się — oznajmił Wyssogota i bracia zamarli w pół gestu.

Rzeczywiście, zaczynało się. Zrazu dyskretnie i spokojnie – młeczna nicość nad przepaścią zaczęła rzędnąć, jakby niszczała, zużywała się, ścierana

przez ciemniejszą warstwę, sunącą znikąd w stronę zamku. To szła Równina, pełzła bezgłośnie przy ryczącym akompaniamencie szalejącej w dole Wisły; pełzła, by dopełnić przepaści, by powoli uczynić drugi brzeg fosy okalającej Wawel, coraz gęstsza, wyraźniejsza i pachnąca zeschniętą glebą; zbliżała się z każdej strony, malując wokół równy horyzont. Aż wreszcie stanęła kilkaset stóp od nich, blisko i jednocześnie nieosiągalnie daleko. Wielka, pusta, ciemna przestrzeń, odcinająca się od błękitniejącego nieba.

Wpatrywali się w nią w milczeniu, onieśmieleni, walczący z zawrotami głowy i nagle malutcy wobec bezkresnej pustki świata budującego się wokół nich. Świata, który zaraz miał zostać pokaleczony.

Bo oto zbudził się Niemiec. Poczuli go wszyscy trzej. Dygotał wibracją gdzieś pod nogami, w skale i w wyrastającym z niej zamku. Poczuli go cała reszta, wybudzająca się w sypialniach Wawelu: ich zdeorientowane ciała zadrżały, a sagi zakołysały się jak płomień na wietrze, gdy Niemiec mruknął przeciągłym grzmotem i wywołał trzęsienie Równiny, jakby od niechcenia oznajmiając ich światu, że i on się przebudził.

Przebudził się i wstawał. Najpierw jednak prychnął raz jeszcze: potężny ryk, przeciągły i mięsisty, od którego zabolalo w uszach i zatrząsło żołądkami. Grzmot posiekał Równinę, krusząc ją od wewnątrz i rozrywając jej powierzchnię na kilkunastostopowe fragmenty, które bryzgały w górę niczym szkła gigantycznego, czarnego witraża.

Świat zatrząsł się, gdy Niemiec wstawał, z rumorem, wzbijając chmury gęstego pyłu, puchącego szybko i chaotycznie, jakby to roje maleńkich much wystrzeliwały w powietrze. Dopiero po chwili pył zaczął rzednąć, a oni dostrzegli go, wyłaniającego się z ogromnego gruzowiska. Dostrzegli go i jęknęli, jak zawsze.

Gigantyczny, leniwy smok, olbrzymi brunatny potwór, stalowy behemot, potężny i niezwyciężony; powoli unosił swe cielsko, wielkie niemal jak

Wawel, unosił, by je rozruszać, uruchomić straszną, cudowną maszynę. Pulsował krzyżami, które jeden po drugim strzelały w górę z jego grzbietu i płonęły purpurowym ogniem; majtał na wszystkie strony dziesiątkami obleśnych, parujących macek, wokół których chaotycznymi kręgami szybowały całe legiony rozwrzeszczanych kondorów; mierzył do zamku z wielkich dział, których baterie luf poruszały się w metalowym, synchronicznym tańcu, łapiąc na cel kolejne fragmenty budowli; łąpał na Wawel swym wielkim, czujnym okiem; przyglądał się mężczyznom na tarasie tak, by oni mogli przejrzeć się w nim – malutcy i nieistotni, zupełnie bezwolni wobec pana ich świata.

Podnosił się, rósł, pęczniał, puchnął członkami o kościach grubszych od dębowych pni, o mięśniach z tytanu i pazurach, na które niedbałym ruchem mógłby nadziewać najtłustsze z krów spośród ich jądlorzyny; w pieczarze jego pyska połyskiwały zwoje drutu kolczastego, ciekąca z nich jucha chlustała strumieniem po brodzie potwora, spływając pod gąsienice miażdżące na proch głązy Równiny. Niemiec powstał i znowu był, trwał przeogromny i wszechpotężny, sapał mechanicznie, skrzypiał stalą luf i mięśni, mlaskał, skrzeczał, rzeził, warczał i oddychał z ciężkim świstem. Pulsował kształtem i dźwiękiem, monumentalny i mgławicowy jednocześnie, nie przemieszczał się, nie musiał, wystarczyło, że był, że trwał.

Była i ona. Witold dostrzegł ją pierwszy, wskazał palcem. Władysław zerwał się z leżaka, a zawrót głowy nieomal obalił go w błądki. Ale ustał, przecież nie mógł pozwolić sobie nawet na mrugnięcie.

Dziewczyna stała na jednej z łap Niemca, do pasa zanurzona w gęstej, burej szczecinie falującej przy każdym jego kwaśnym oddechu. Stała tam, kolejnego poranka znów stała tam, równie piękna, co samotna. Była daleko, na potworze po drugiej stronie Wisły, ale widzieli ją doskonale.

Widzieli, że gorący oddech buchający z jednej z jego jam kleił jej do twarzy długie, słomkowe włosy, że lepił do jej smukłego ciała białą sukienkę.

Widzieli, że ona odwraca się w stronę smoczego oka, odgarnia włosy z twarzy i zakłada je za uszy, jakby otwierała przyłbicę. Widzieli, że spogląda w na wpół przymknięte ślepię, kilkakrotnie od niej większe, patrzy prosto w otchłań, nieprzeniknioną, głęboką i w jakiś potworny sposób mądrą, i tylko patrzy, i milczy, patrzy i rozważa propozycję, którą składa jej oko.

Mijały sekundy, dłuższe niż wieczność, a oni trwali w bezruchu, tylko we dwoje, wpatrzeni w siebie nawzajem. Smok i dziewczyna. Potwór i człowiek. Pan tego świata i jego wybranka.

Niemiec i Wanda.

Gdy w końcu przecząco pokręciła głową, Niemiec powoli zamknął ślepię.

Witold gwałtownie wypuścił powietrze z ust. Stasiu Wyszogota tylko się skrzywił.

— No, kurwa — szepnął Wład, uroczyście, kodeksowo. Otarł łzy. Ulgi w jego głosie starczyłoby dla całego Wawelu. Wspólne podanie grzmiało patetycznymi fanfarami królewskiej sagi.

Gdy Niemiec poruszył łapą, na której stała Wanda, dziewczyna westchnęła i odwróciła się w stronę zamku. Opuściła głowę, chowając twarz za jasną zasłoną włosów. Potwór powoli wysunął łapę nad przepaść i huczącą w dole rzekę. Gdy zatrzymał ją w połowie drogi między Równiną a Wawelem, Wanda spojrzała przed siebie i położyła dłoń na piersi.

Patrzy na mnie, pomyślał Władysław, widząc jej spojrzenie dumne i szczere, zupełnie pozbawione nadziei. Zabrakło mu tchu, czuł się, jakby Niemiec miażdżył mu gardło jednym z swych ogromnych stalowych szczypców. A gdy pomyślał wreszcie, że jej oczy mają kolor nieba nad zamkiem, Wanda skoczyła do Wisły, która połknęła ją szybko, mimochodem.

Zostawili go płaczącego na tarasie. Witold i Wyszogota wrócili do zamku. Niemiec ruszył w stronę horyzontu, obserwowany z okien i balkonów przez budzących się mieszkańców Wawelu. Sunął powoli ku kresowi Równiny.

Zabierał resztki nocy i stada wrzeszczących kondorów; lazył w siniejącą dal, żłobiąc za sobą głęboki, kamienny kilwater.

Wstał dzień.

\* \* \*

Stanisław Wyssogota, *Bluźnierstwa i głupstwa* (fragmenty)

Z balkonu mojej pracowni mam ekstraordynaryjny widok na kościoły Wawelu. Wszystkie cztery, niemal na wyciągnięcie ręki, postawione jakby specjalnie dla mnie – z niewielu miejsc na zamku tak doskonale widoczna jest cała czwórka.

Pierwsza jest przysadzista bryła świątyni śląskiej. Betonowy kloc wzbudza respekt (albo uśmiech politowania, w zależności od mojego nastroju i pory cyklu) już samymi rozmiarami: jest rozległy, mocarny, jakby napuchnięty. I ekspansywny, wylewa się wypustkami (nawy, przedsionki, szatnie i kryte bieżnie) na ulice wokoło.

Za nim, niczym kancjaści ceglani bracia, strzelają w górę: kościół przyreymonta i trochę wyższy od niego konwiktorski – chyba już kiedyś pisałem, jak lubię zimny blask ich reflektorów doświetlający centralną część Wawelu przed nadejściem pełnonocy, zatruwającej ciemnością zawartość zamkowych kabli. Na prawo od bliźniaków czai się zaś kościół łazienkowski – struktura konfudliwa, dla jednych dostojna, dla innych nieco toporna, grająca kontrastem między surową prostotą zewnątrz a imponującymi zdobieniami bramek wyrastających w środku.

Cztery świątynie, niemi świadkowie minionej, umierającej w zapomnieniu chwały. Albo kwartet oszustów, najcwańszych.

\* \* \*

Tyle życia, tyle ruchu i dźwięku. Piszczalki śmigły wysoko nad ich głowami, bębny wieszały się żołądków i harcowały wokół kostek. Świetlne refleksy, jak tysiące niespokojnych gwiazdek, przeskakiwały z kolczyków na kieliszki, ze strojnych lusterek na ogrzane ciepłem ciała naszyjniki, na krople potu na skroniach i odsłoniętych ramionach.

— Jagiełło!

— Co?

— Ty kurwo!

Po kodeksowym powitaniu padli sobie w ramiona. To witał się z królem jego szambelan, Łucjusz Galanty. Roześmiani, ściskali się mocno i długo. Galanty włożył dłoń pod luźną koszulę króla, wymacał na jego grzbiecie kolejne mięśnie. Władysław wachał śniadą skórę Łucjusza, bawił się jego włosami. Gęste, czarne loki lśniły jasnym blaskiem dnia, Jagiełło prostował je i puszczał, a one strzelały wokół głowy szambelana. Wyczałowali się w usta, uścisnęli raz jeszcze.

— Dobrze cię widzieć — odezwał się wreszcie Wład. Musiał mówić głośno, by przekrzyczeć hałas uroczystości: dochodzący zewsząd gwar setek rozmów, okrzyków i śpiewów, szczęk sztućców i szkła, stukot obcasów, skoczną muzykę.

Galanty uśmiechnął się tylko i ujął jego dłoń. Cieszyli się sobą, pozwalali cieszyć się ciałom.

— Widziałeś? — spytał Galanty, wskazując na dwie gładziutkie dziewczyny tańczące między innymi parami pośrodku sali. Roześmiane i piszczące wirowały coraz szybciej, trzymając się za ręce.

Chwila zaskoczenia, po której Wład przypomniał sobie i uśmiechnął się z podziwem.

— Siostry Piosenki — powiedział.

— Uhm.



— Pewnie nie wszystkim się podoba, że przyszły na Święto.

— Owszem, nie wszystkim — przytaknął szambelan. Objęci, patrzyli na tańczące bliźniaczki. — A tobie? Przeszkadza?

— A w życiu warszawy — odparł Wład. Galanty promieniał.

Jagięło patrzył na nie, szczerze zafascynowany i wciąż trochę przestraszony. Piosenki były przejawem siły, jak Wawel czy brama. Siły, dzięki której latarnicy wciąż trwali na posterunku. I przez którą grzęzli coraz głębiej w niepewności. Od jakiegoś czasu (ojce, a cóż to znaczyło?) szli po murze Wawelu, wysoko nad przepaścią. Szli nocą i w gęstniejącej z każdym cyklem mgłę, coraz wolniej, przy każdej próbie obejrzenia się za siebie tracąc równowagę. Bo gęsta, zimna mgła była coraz bliżej.

— Łucjuszu.

— Tak, mój panie?

— Ile to już cykli? Jak długo Piosenki są z nami?

Galanty pokręcił głową, długo milczał.

— Nie wiem, Wład. Nie pamiętam. Kilka? — Szambelan nie odrywał wzroku od tańczących dziewczyn. — Naprawdę nie wiem.

Obserwowali je, chichoczące, oparte o siebie, z trudem łapiące oddech przed następną melodią.

— Wcześniej nie patrzyłem na nie w ten sposób — zaczął Wład. — Ale dzisiaj wyglądają tak... — Nie słów mu zabrakło, lecz odwagi.

— Ładnie? — dokończył Galanty.

Władysław pokiwał głową. Czy mógł tak powiedzieć o Piosenkach? *O piosenkach?* W siostrach było tego ranka coś, co... Nie chodziło o ich twarze, nie o suknie (jaskrawobordowa i matowozielona – długie, nobliwe, bardziej niż im przystające dużo mniej gładszym damom), przecież nie o ich uśmiechy czy sposób, w jaki tańczyły. Ale tego ranka, podczas ceremonii, siostry przypominały Jagielle dziewczynę znad Wisły.

I – do czego długo nie chciał przyznać się przed samym sobą – kobietę, której unikał, odkąd tylko pojawił się na sali. Świadomość jej obecności wywoływała dyskomfort, uwierała niczym ciasne ubranie. Było mu duszno, niemal fizycznie niewygodnie.

— Ciężko było na tarasie — powiedział wreszcie szambelan, gdy Piosenki zniknęły gdzieś w rozbawionym tłumie. Obaj wiedzieli, że to nie było pytanie. Saga Galantego, jak każdego poranka, była jedną z pierwszych, które plotły się z opowieścią króla. Jagiełło kochał go za to: pieśni Łucjusza były eleganckie, wytworne, pełne szacunku dla tradycji, a przy tym pozbawione poczucia winy – nie projektowały cierpienia na postać monarchy. Spajały i rozwijały wspólne podanie, no i doskonale uzupełniały sagę królewską, podkreślając jej wyjątkowość.

Wład tylko wzruszył ramionami. W ciemnych, kobiecych oczach Łucjusza Galantego już nie było radości z poranka.

— Jeszcze nie rozmawiałeś z Witoldem — stwierdził szambelan.

— Nie.

— Ani z Julią.

— Ani z Julią.

Obaj odruchowo rozejrzeli się, szukając w barwnym korowodzie królewskiego brata i jego żony. Jakby zrobiło się ciemniej, jakby sufit, niknący w świetlistej poświacie dziesiątki stóp w górze, nagle zawisł niżej. Dysapercencje. Jedno słowo znaczyło tak wiele. Dysapercencje. Władysław próbował odepchnąć od siebie te podejrzenia, odganiał złe myśli jak ujadającego psa. I domyślał się, nie mógł być tego pewien, ale podskórnie przeczuwał, że nowe znaczenie słowa pojawiło się naprawdę niedawno. Dysapercencje.

Chodziło o to, że pies zawsze pojawiał się z powrotem, podchodził coraz bliżej. Szczekał coraz głośniejsze, szczyrzył wielkie kły i tłukł długą pałą w zdradliwie przezroczystą tarczę.

Wtedy ich rozdzielili: Łucjusza opadli jego urzędnicy, zabierając go na środek sali do tańca, Władysława objęła duża, wysoka kobieta. Jedna z gładkich bibliotekarek od Julii (nie pamiętał jej imienia), zaczęła głaskać jego przedramiona: wodziła po bliznach pomalowanymi na czerwono paznokciami.

— Jagiełło — powiedziała miękko, przymilnie.

— Och, daj spokój.

Zatkało ją na dobre kilka taktów melodii pulsującej w tle.

— Czym cię, panie, uraziłam? — Jej wielkie ciemne oczy szybko napełniły się strachem. Saga dziewczyny w ogóle nie zbliżała się do królewskiej, kluczyła wokoło niej w bezpiecznej odległości. Imponowało mu to.

— Mamy czas wesela — powiedział. — Czas zabawy, nie czas kodeksu. — Musiał podnieść głowę, by spojrzeć jej w oczy. Tuż przy twarzy miał jej pełne, wiśniowe usta. — Teraz na imię mi Wład.

— Wład — powtórzyły usta, niepewnie, jakby z obawą, że może spotkać je kara. Miękkie, soczyste, lśniły ciepłym blaskiem poranka.

— Tak.

— Czy one bolą? — spytała bibliotekarka, zatrzymując paznokieć na wyjątkowo grubym splocie blizn wokół jego nadgarstka.

— Trochę — skłamał, po czym opuścił ramięczka jej sukni. Muzyka rozbrzmiała głośniej.

— Eliza — powiedziała dziewczyna.

— Co?

— Eliza. Tak mam na imię.

— Ach. — Opuścił głowę i nie mówili już nic więcej. Uprzejmie całował miękkie, pachnące owocami obojczyki, czując na karku jej ciepły oddech.

Święto Światła, święto ciała. Wspaniały czas, początek dnia, gdy z nieba nad Wawelem tryskał blask rozświetlający cały ich świat. Blask wypływający wprost z gładkiego błękitu; blask, który niósł ciepło, energię, poczucie siły,

sensu i bezpieczeństwa, który niósł chęć do zabawy. Najwspanialszy etap cyklu: kilkadziesiąt wypełnionych światłem godzin, które starali się wykorzystać w pełni, do końca, zanim znów nadejdzie cień i cudownie rozgwieździ się niebo, ale jednocześnie przyjdą zmrok i chłód, niosąc świadomość wielkiej, międzygalaktycznej wojny gdzieś tam, w górze, przymuszającej ich do ciężkiej pracy latarników. To jednak miało być potem, teraz był dzień, sam jego początek: gorąca jasność chlustała przez strzeliste okna sali balowej, w której jedli, pili, tańczyli i cieszyli się sobą nawzajem. Jasność, która rozlewała się po ich rozgrzanych głowach i odsłoniętych ramionach, która wlewała się nawet do wspólnego podania, wydobywając wszystkie jego odcienie i wyjątkowości. Dzień ich ożywiał, rozbudzał ich ciała, piękne i silne, ludzkie.

W sali balowej bawiła się żyleta, elita elit – niecały tysiąc najwspanialszych z latarników. Kobiety i mężczyźni, wino, taniec i śpiew. Tysiąc ciał, strojnych, lecz strojnych tylko trochę. Bo czyż ramiączka nie są po to, by je opuszczać? Czy dekolt nie ma odsłaniać, a guzik przy koszuli – dać się rozpiąć? Nie ma dwóch identycznie pachnących włosów, skóra za uchem zawsze smakuje inaczej. Dłoń bywa cieplejsza albo chłodna, wilgotna albo zupełnie sucha, wiotka bądź mocna, kanciasta. Czyż nie trzeba się próbować?

Święto Świata, święto ciała. Niemalże wyrywali go sobie z łapczywych, ciekawskich rąk, a on im na to pozwalał. Dotykał, pił, jadł, smakował, śmiał się i był królem, pierwszym pośród równych, pośród wielkich. Tańczył, witał się, pozdrawiał. Odganiał ujadającego psa.

— Jagiełło — przywitał się wreszcie Witold, wypluty nagle przez radosny korowód.

— Co?

— Ty kurwo.

Objęli się, nie siląc na uśmiechy. Wład sięgnął wysoko do łysej czaszki brata, głaskał go po potylicy. Witold zamruczał, pochylił się powoli, wycalo-

wał Jagiełłę w policzki, w oczy. Gdy mieli to za sobą, z ulgą odsunęli się od siebie.

— Nie mogę znaleźć Wyszogoty — przerwał milczenie Władysław. Coś w końcu wypadało powiedzieć.

— Zarzyguje fontanny w ogrodach.

— No tak.

Oczy Witolda robiły się nieobecne, pastelowym spojrzeniem omiatał tłum za plecami Jagiełły. Wysoki i wiotki, bezwiednie kołysał się do rytmu.

— Szukasz kogoś? — spytał Wład.

Witold tylko westchnął, spojrzał wreszcie na brata.

— Musimy porozmawiać. Po Świącie.

— Wiem.

Gdy muzykanci przestali na chwilę grać, Wład usłyszał warczenie psa. Gdzieś za nim, cichy, narastający charkot. Przyszedł obraz: nabiegłe krwią oczy spozierające zza zasłony hełmu, wykrzywiony pysk, zęby upačkane żółtą, spienioną śliną.

Zakręciło mu się w głowie.

— Natychmiast po Świącie — powtórzył Witold.

Jagiełło przewrócił oczami.

— Popędzasz mnie? — spytał, bardziej znużony niż zły.

Nagle butelka: czerwone wino, upite do połowy. Drobną dłoń, metalowe bransolety, szczupła, kobieca ręka. Czarne kamienie na ciemnej szyi. Obcisła suknia w kolorze kasztanów, kasztanowe oczy, kasztanowe krótkie włosy.

— Dzień dobry — przywitała się Julia, żona Witolda, pierwsza pani ksiąg, naczelną histonautka Wawelu.

Gdy Wład pocałował palce trzymające butelkę, zmrużyła oczy. Napił się, butelka pachniała jej skórą. Pił długo, do dna.

— Wszyscy mnie dzisiaj częstują alkoholem — powiedział.

— Chwalisz się, czy narzekasz? — spytała Julia i dłonią wytarła resztkę alkoholu z jego policzka (ten jej zapach, Święto Świątła, święto ciała), po czym wśliznęła się pod długie, chude ramię męża.

— Nie wiem — odpowiedział szczerze.

Stojąca przed nim para jakby miękła, wino wreszcie zaczęło rozpuszczać kanciastości świata. Jednocześnie obecność szwagierki wywoływała w nim szczególny rodzaj niepokoju. Wyczuwał, że Julia nie jest trzeźwa, a mimo to była skupiona i uważna, nawet teraz, podczas zabawy. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek widział ją uśmiechniętą.

— Umówiliście się już, chłopcy?

— Tak — odparł Witold.

— Nie — odparł Władysław.

— No to dzienna dwudziesta. W bibliotece — powiedziała Julia.

Wzruszyli ramionami. Orkiestra zagrała ostrzej i mocniej – werbel przyspieszał, zataczał się od ściany do ściany, flety brykały pod sufitem. Zbliżał się czas porannych hymnów.

— Anna wygląda dziś pięknie — zaczęła Julia.

Wład westchnął. Te jej oczy, pomyślał, jak świeże kasztany, smutne i uważne, niebezpieczne. Jakby umiała nimi robić to, co dawno zapomniane – jakby umiała nimi rozbierać jego sage, rozkładać ją na pojedyncze znaki, symbole, tony. Te oczy, myślał Wład. Stał w miejscu i uciekał przed nimi, słaby i bezbronny. Wino, gdzie jest więcej wina?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Unikał Anny przez całą uroczystość. Widząc ją kątem oka, uciekał jak najdalej, rzucał się w kolejne grupki ludzi, byle nie musieć z nią rozmawiać, stać koło niej i na nią patrzeć. Teraz milczał, nie pamiętał nawet, w co jest ubrana. Ojce! Nie miał pojęcia, jakiego koloru są tego ranka włosy jego żony.

Głęboki oddech, zamiast mu pomóc, wywołał kolejny zawrót głowy. Przy-

niósł zapach wina, setek perfum wszelkich możliwych odcieni, spoconej, rozgrzanej skóry i czegoś jeszcze. Czegoś, co przepęłzło w dół jego kręgosłupa lodowatym ruchem. Między zapachami uroczystości Wład poczuł stęchły aromat blocka.

Czy ono cieszy się z dnia? Czy woli pełnonoc?

Albo smród brudnej, mokrej sierści, lepiącej się do granatowego munduru.

— Co drugi mężczyzna w tej sali ci jej zazdrości — powiedziała Julia. Śniada pierś, na której kładły się kamienie wiszące na jej szyi, zarumieniła się. — Albo i niemal każdy.

Nie odpowiedział, nie pozwolił sobie na wysiłek logicznego myślenia. Zbyt wiele komunikatów naraz, wzajemnie sprzecznych. Słowa tych dwojga, ich ciała i sagi. Szczególnie Julii: jak saga każdej z histonautek, była prosta i jednocześnie rozbudowana, wielowątkowa. Przeglądała się w imponująco szerokiej części wspólnego podania, będąc jedną z najpotężniejszych sag Wawelu i fundamentem bramy. Nieprawdopodobnie odporna na pożary, gasiła wiele z nich, wybuchających we wspólnym podaniu i osobistych pieśniach. Jagiełło nie lubił melodii jej sagi, silnych, ale skromnych i pozbawionych jakichkolwiek ornamentów. Miał wrażenie, że dostrzega w nich ukrytą kpinę z jego emocjonalnej, historycznej narracji.

Co drugi mężczyzna ci jej zazdrości.

Koniecznej przecież, na psa urok.

Albo i niemal każdy.

Władysław milczał. Witold milczał. Nagle zamilkła i muzyka. Urwała się w pół tonu, tylko po to, by po chwili ruszyć, jeszcze szybciej, jeszcze mocniej. Gdy uradowani biesiadnicy zaczęli klaskać, wszyscy troje odetchnęli. Koniec rozmów, czas na hymny.

Ruszyli na środek sali między pozostałych, zbierających się w kolejne, coraz szersze kręgi. Oni w kole centralnym, objęci, twarzami do siebie: naj-

bliżsi współpracownicy i najwyżsi urzędnicy, i śmierzący, lepki Stasiu Wysogota, i świetlisty Łucjusz Galanty ze swoją równie olśniewającą żoną, i Witold, i Julia, i król Władysław, i nagle obok niego Anna, królowa, milcząca i spięta, blisko i jednocześnie bardzo daleko, jakby bała się objąć go ramieniem, jakby mogła popatrzeć mu w oczy tylko przez chwilę. Zobaczył, że ona uśmiecha się, nieśmiało i smutno, ale jednocześnie ciepło i chyba szczerze. Widział, że Anna stara się nie okazać urazy. Odwrócił wzrok, skrzywiony, błędnie interpretując jej starania jako przejaw dumy.

I wtedy ruszyli, wszyscy, najwspanialszy z latarników, żyłeta Wawelu, ruszyli w rytm werbla. Zaczęli skakać, równo do góry, objęci, wszyscy razem, z twarzami wyciągniętymi do światła, do góry, do góry, do góry, wspaniała wspólnota, radosna, wzruszona i zjednoczona wielkim kosmicznym obowiązkiem. Skakali równo, w rytm werbla, skakali i krzyczeli, a zimna posadzka dudniła i niosła po zamku prosty rytm, niosła ich gromki kodeksowy hymn.

— Kto! Nie! Ska-cze!

Latarnicy krzyczeli, roześmiani i świetliści, a ich słowa staczały się korytarzami do niższych kondygnacji Wawelu, gdzie bawiły się tysiące jego pozostałych mieszkańców.

— Jest! Pe-da-łem!!!

Okrzyk niósł się i w górę, wysoko, pod same sufity malowane ciepłym, porannym światłem.

— Kto! Nie! Ska-cze!

Niósł się wysoko i rezonował tam, uciekając przez dzwonnice i otwarte balkony.

— Jest! Z po-li-cji!!!

Przelatywał nad Wisłą i sunął daleko nad suchą, spękaną Równiną, roznosił się we wszystkie strony ich świata. I wibrował, wszędzie, triumfalnie choć bezdźwięcznie, w siłodajnych, wiedzodajnych kubitach, które migotały super-



pozycjami w najgęściejszych sieciach molekuł, z których ten świat kiedyś zbudowali ojce latarników.

\* \* \*

Stanisław Wysogota, *Bluźnierstwa i głupstwa* (fragmenty)

Po Świącie z reguły wychodzę na balkon, gdzie, jak wszyscy, bezskutecznie próbuję nacieszyć się światłem i ciepłem (no i napojami, które zabieram ze sobą z sali balowej, a o których teraz zmilczę). Rozbieram się wtedy – oczywiście jeśli mam z czego – siadam w fotelu z butelką w dłoni (cóż, jednak zmilczeć nie potrafię) i chłonę świat, pozwalam mu pieścić moje sflaczałe, małogładkie ciało – pieścić blaskiem, temperaturą, świeżym oddechem powietrza i radosnym jazgotem tak żywotnego za dnia zamku.

Jestem nierozważny i romantyczny, toteż wyobrażam sobie, że kiedyś międzygwiazdna wojna skończy się i noc przestanie nastawać. Niebiańskie światło nie zgaśnie, cykl zostanie przerwany, a w bramie pojawią się ojce, którzy pomogą nam odzyskać pamięć w podzięce za nasz latarniczy trud (nie pytajcie mnie, proszę, czy wierzę w naszą misję; nie pytajcie, czy naprawdę uważam, że dzieło, które ślemy bramą każdej nocy, jest orężem dla kogokolwiek).

Siedzę na balkonie, myślę i patrzę na kościoły. Ich widok i moje naiwne, rozmarzone dumania (wcale nie tak miłe) nieodmiennie wywołują we mnie nieprzyjemny stan trudnej do opisania, ponurej melancholii. Jakby czegoś brakowało. Czegoś, co dawno temu zostało mi zabrane, a ja, przyzwyczajony do pustki, jestem w stanie uświadomić sobie to poczucie braku tylko czasami i jedynie podskórnie, gdzieś w nieokreślonej przestrzeni między niepewnym umysłem a mą kaleką sagą.

Patrzę wtedy na kościoły, popijam i – by odegnąć gnębiące mnie uczucie – rozmyślam o bluźnierstwach.

Dlaczego tak negatywnie reagujemy na jakiegokolwiek próby rzeczywistej dyskusji nad kastelmatyką cudów? Już samo pojęcie: kastelmatyka cudów... Ojce! Czy nikt inny nie dostrzega, jacy jesteśmy koszmarnie oksymoroniczni? Mam zresztą wątpliwości, czy *bluźnierstwo* stanowi dobre określenie na próbę racjonalnej rewizji cudu. Czemuż to refleksja nad pierwotnym pochodzeniem jadłorzyny w oborach prowadzić ma mnie ku ciemności i (co, nie ukrywam, bardziej mnie uwiera) świadczyć o mojej głupocie? Dlaczego rozważania nad utylitarną (perswazyjną?) funkcją przedstawienia, które wystawiają nam Wanda i Niemiec, mają przyczyniać się do osłabienia dzieła?

I nawet jeśli tak się dzieje, dlaczego moja świadomość ma być pierwszą do zmiany na ławce w drużynie priorytetów?

\* \* \*

Co widzisz, gdy odważysz się spojrzeć w głąb sagi? Gdy odważysz się zajrzeć naprawdę głęboko?

Wielka wojna ojców. Kosmiczna liga mistrzów, w której najcenniejszym dobrem i najpotężniejszą z broni jest informacja. Wielka wojna na symbole toczona w światach, gdzie wszelki duch pochodzi z wnętrza molekuł bezustannie liczących, liczących, liczących.

Pierwszy gwizdek. Ojciec-konstruktor. Ojciec – wielki kibic powołujący do życia posterunek Wawel. Tu, na końcu świata. Z dala od aren, na których dzieje się najwięcej. Tu, gdzie nie trafisz przypadkiem. Nie: przy-okazji.

Latarnicza misja: wielki obowiązek, powołanie, wyróżnienie. I tortura niepewności, włochaty zwierz niewiedzy wyżera pewniki, przegania stąd oczywistości.

Co zostaje: posterunek Wawel. Gigantyczne znicze, które strzelają światłem tworzącym bramę. Tępe poranki i wywołujące odrętwienie wieczory. I noc, ta straszna noc. Zawsze: noc. Już samo wspomnienie szkli oczy, gryzie

po karku.

Co zostaje: latarniczy trud. Piszesz księgi, słowami. I dbasz o sagę, o wspólne podanie – najprostszym zestawem symboli, językiem, który już dawno przestałeś rozumieć. Dokładasz się do dzieła, pracujesz dzielnie, w pocie czoła, w pocie mózgu, uciekasz od myśli, że noc już tu lezie; pracujesz nad dziełem wysyłanym każdego wieczoru przez bramę do gwiazd, do ojców. Wysyłasz informację (naznaczoną sobą, naznaczoną nimi), by wesprzeć ich w walce, by ławice symboli, których jesteś częścią, namnażały się i rozpływały po galaktykach – w ten sposób chcesz choć minimalnie przyczynić się do zwycięstwa twych ojców.

Bo jeśli wygrają, to może wtedy powrócą. I odpowiedzą ci na wszystkie twoje pytania.

Może.

\* \* \*

Światło. Ciepły, kojący dotyk. Jasność wyostrzająca kontury świata, podkreślająca jego kolory, głaszcząca twarze i myśli. Światło. Spokój, pewność, siła. Światło. Światłość.

Król stał w oknie swej komnaty, wystawiał twarz do światła (nie zostało go przecież tak dużo) i patrzył na samolotów. Trzy dziewczyny i małogładki mężczyzna szykowali się do skoku z ogrodowego tarasu na północnej kondygnacji Wawelu. Rozebrani rozgrzewali ciała. Ich złożone ubrania leżały w ostrym cieniu jednego z trzech – nieaktywnych za dnia – zniczów bramy. Chyba tłumaczyli sobie szczegóły lotu. Wład, ciekawy ich sag, sprawdził je bez przekonania. Zaskoczenia nie było: cała czwórka je kryła, odcinając dostęp. Jagiełło westchnął. Samoloci nad zamkiem, samoloci w życiu. Pasożyty.

Ale za to efektowni. Najpierw mężczyzna. Wziął krótki rozbieg, wybił się

z krańca tarasu i zamiast zostać na nim, złamał ze cztery fundamentalne prawa kastelmatyki, pikując dziesiątki stóp w dół, ku straganom giełdy. Przebił się przez gęstą chmurę ksiąg, tuż nad rozwrzeszczanym targowiskiem rozłożył szeroko ręce i poderwał ciało do góry. Wzbił się niemal pionowo wzdłuż ceglanej ściany kościoła konwiktorskiego, śmignął jak niemiecki kondor, bezszelstnie, błyskawicznie, slalomem minął dzwonnice, przeleciał pod masztem reflektorów i zniknął gdzieś nad zieloną gęstwiną parku. Nieodpowiedzialny, straszny. I taki piękny.

Władysław patrzył na niego, wygrzewał twarz w świetle dnia i mimo wszystko było mu dobrze. Po porannych uroczystościach wspólne podanie drżało od radości, dumy i mocnego, bezwarunkowego poczucia wspólnoty. Zaufanie i oddanie dziesiątek tysięcy

*dysaperencje dysaperencje dysaperencje – sapał pies z za przyłbicy policyjnego hełmu*

latarników wzmacniały królewską sagę, sprawiając mu wręcz fizyczną przyjemność. Chętnie się na nią otwierał i dawał, póki mógł, mając świadomość nieuniknionej tortury nocnego zbiorowego koszmaru. Koszmaru, który zaprojektują dla króla jego poddani.

Wzdrygnął się.

— ... mi, dlaczego to robisz?

Głos zza pleców go zaskoczył. Kobięcy, niski, cichy. Dziwnie znajomy, jak smutna melodia z przeszłości przypomniana po wielu cyklach.

Odwrócił się i uniósł brwi, szczerze zaskoczony, że

*tu była*

dosłyszał tylko końcówkę wypowiedzianego przez nią zdania.

Siedziała na łożu. Czarne falbany jej sukni pokładały się na pierzynach wokoło niej, spływały miękko na zakurzoną posadzkę, zjadały jej dłonie zakopane głęboko w szeleszczącym materiale. Oddychała szybko i nierówno, pełną

piersią, całym ciałem. Patrzyła mu w oczy, niemal fizycznie starając się złapać jego spojrzenie. Bezskutecznie; desperacja w jej geście wywołała w nim zażenowanie.

Milczeli. Czekala, aż odpowie, nie spuszczać go z oka, a on przyglądał się jej matowej skórze, jej przebarwieniom i zmarszczkom. Liczył je, próbując sobie przypomnieć, czy tak było zawsze. Wspomnienia gineły za ścianą mgły, coraz bliższą i gęstsza.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zaraz zamknęła je bezgłośnie. Milczał, gdy opadła przed siebie, twarzą w dłonie, falbany i pierzyny. Milczał, gdy trwali tak, oboje bez ruchu, i gdy potem podniosła się nagle, wracając do poprzedniej pozycji. Zaskoczyła go: pomyślał, że ona się rozpłacze, a dostrzegł w jej twarzy coś przeciwnego. Między zmęczeniem i rozpaczliwą determinacją zobaczył złość. I wtedy, przez krótką chwilę, kobieta siedząca na łóżku wydała mu się interesująca.

— Nie wytrzymam tego dłużej — powiedziała, opuszczając wzrok na czarną plamę sukni. Poczł, że tuż za łagodnym, nierównym głosem czai się krzyk. — Ja... — Zawibrowała nawet pojedyncza sylaba. Po jej matowym dekolcie rozlał się rumieniec. Wzięła głęboki oddech. — Coraz częściej czuję się... jak...

Czarna plama wokół niej zaczęła się zmniejszać, niksące w materiale dłonie zbierały go w siebie, w pięści. Anna spojrzala na męża, potem na własną wyciągniętą rękę: na znoszone pierścienie, znoszoną skórę. Złość zniknęła równie nagle, jak nadeszła. Smutek wgniół jej duże oczy w bruzdy zmarszczek.

— Czuję się, jakbym znikala — dokończyła.

Gdy nie odpowiadał, uśmiechnęła się najbardziej ponurym z uśmiechów.

— Muszę iść — mruknął Władysław. Uciekł ze spojrzeniem ku mieczom skrzyżowanym na ścianie i wyszedł, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Miecze błyskały bezgłośnie ostrym światłem dnia.

\* \* \*

Julia Holszańska, *Kłopoty z pamięcią* (fragmenty)

Histonautyczne (zobiektywizowane, rzetelne i zgodne z którąś z przyjętych metodologii <sup>1</sup>) podejście do zagadnienia pamięci utrudnia badaczowi już sama skomplikowana, specyficznie paradoksalna natura obszaru badawczego: w jaki sposób prowadzić naukową refleksję nad zjawiskiem utraty pamięci w sytuacji, gdy podmiot analizy sam podlega nieuchronnemu, niszczytel-skiemu procesowi, który stanowić ma przedmiot badania? W jaki sposób (jakimi narzędziami, przy użyciu której z metod) można będzie (optymistycznie przyjmując, że jest to w ogóle wykonalne) dokonać eksplanacji procesu polegającego, w ogromnym uogólnieniu, nie tylko na ogarniającej latarni-ków <sup>2</sup> amnezji, lecz także na stopniowym wymazywaniu kolejnych tekstów <sup>3</sup>, zarówno z zasobów naszych werbibliotek, jak i tych wplecionych w kody sag i wspólnego podania?

Sytuacja doprawdy schizofreniczna, bezpośrednio związana z trudną kosmologią naszego posterunku: czy umieszczając w swoich pracach odwo-łania do innych tekstów, badacz(ka) przyspiesza, czy opóźnia ich wymazywa-nie/znikanie? Czy możemy z całą pewnością wykluczyć tragiczną możliwość, w której histonautyka – przeciwnie do swego etosu – przyspiesza naszą amne-zję?

Z problemem amnezji zresztą bezpośrednio związana jest kwestia naszego języka (czy raczej „języków”, gdy oprócz formy zwerbalizowanej weźmiemy pod uwagę również komunikowanie niewerbalne oraz – wyodrębnione jako osobna dziedzina, przynajmniej, bardziej w wyniku poznawczej bezradności niż świadomej, racjonalnej decyzji – sagowe komunikowanie zinternalizowane).

Pytanie o pochodzenie języka/języków wciąż stanowi fundamentalne pytanie w naszych dążeniach do poznania prawdy na swój temat, będąc nierozzerwalnie związane z kluczowym zagadnieniem genezy posterunku Wawel <sup>4</sup>.

I ta najbardziej nieprzyjemna z myśli: że JUŻ to wszystko napisałam. KIEDYŚ, podczas któregoś z cykli. Może napisałam to kilkakrotnie, po każdym kolejnym razie zapominając z czasem o sformułowanych tezach, użytych metodach, wyciąganych wnioskach; zapomniałam, a praca zniknęła z zasobów werbiblioteki. Nie mogę wykluczyć, że piszę tę samą pracę, po raz kolejny piszę ją identyczną, słowo w słowo, przecinek po przecinku.

Albo, co gorsza, za każdym razem piszę ją słabszą. Bardziej powierzchowną. Głupszą.

\* \* \*

Jagiełło szedł do biblioteki, ku wierzgającym z niecierpliwości tekstom. Wiedziały, gdzie się udaje, bo potrafiły to, co ludzie zapomnieli już dawno – rozmawiały z sagami ich językiem. Zatem wykrzykiwały teraz królewskie imię, wieszały się jego melodii, walcząc o uwagę, o kolejne komentarze, odniesienia, cytaty i parafrazy. Mając świadomość potęgi jego połączonych pieśni, pragnęły się do nich wślizgnąć. Chciały przemknąć na wspólne podanie i stamtąd rozbiec się po pozostałych sagach oraz – przy odrobinie szczęścia – przeniknąć również do dzieła, po zmroku wystrzeliwanego daleko w ekscytujące bezkresy galaktyk.

Popiskiwały teraz, rozentuzjasmowane i bezczelne. Kusily go błyskotliwą metaforą, elegancją rytmu, blaskiem wywodu i smakiem konkluzji; tańczyły w jego głowie kolejnymi wyzywającymi figurami. On tylko wzdychał. Teksty były jak mityczne szczury z jednej z ostatnich (pierwszych?) niezapomnianych legend: stwory, które pierwsze uciekły z arki, gdy Heysel poszła na dno po kolizji z lodowym potworem.

Biedne, małe psubraty, myślał o tekstach Jagiełło. Choć nie do końca świadome, były w podobnej sytuacji co ludzie: rozpaczliwie próbowały uniknąć połknięcia przez rozrastające się plamy pustki wyzerające zasoby werbi-blioteki. Biedne psubraty. Gdybyż tylko nie były tak irytujące.

Gdy wszedł do biblioteki, już w niej byli, wszyscy troje. Przerwali dyskusję, nagle i nieporadnie, jak wojownik, który podczas walki rozmyśla się w połowie ostatniego ciosu, widząc, że przeciwnik ma dość i szalik już jest jego. Rozpędzone, niewypowiedziane myśli poszły w próżnię, z całej siły. Nie zdołali ich wyhamować i zrobiło im się z tym niewygodnie.

Gdy zamknął za sobą drzwi, uczynił półmrok. Resztki światła, sączące się z odległego, przeszklonego dachu, ulepiły z ich ciał gliniane figury. Witold siedział na stopniach drewnianej galerii. Julia oparta o biurko stała naprzeciw. Stanisław Wyszogota niknął w cieniu pod galerią: nieokreślony bury kształt, w burym wymiętym ubraniu, wtopiony w bury fotel. I tylko wielkie, wyłupia-ste oczy jak dwa znicze błysnęły na Włada, gdy ten wszedł do środka.

Teksty wrzeszczały w królewskiej głowie, otaczające go tysiące tomów wierciły się na swoich półkach. Głęboki wdech przyniósł duszne aromaty kurzu i papieru. Okazał się zaskakująco przyjemny, przynajmniej w bibliotece nie było czuć blocka.

*Czy ono ich słucha? Czy blocko słyszy?*

Milczeli. Cisza miękko odbijała się od okrągłych ścian biblioteki.

Jagiełło zorientował się, że Julia ma na sobie grafitowy uniform histo-nautki. Mimo że do wieczoru zostało jeszcze kilkanaście godzin.

Wyszogota zakasłał, nie otwierając ust: jakby coś w jego głowie eksplo-dowało, jeszcze bardziej wypychając mu oczy na zewnątrz.

Milczeli.

Julia spojrzała królowi w oczy. A potem skierowała wzrok na męża. Witold popatrzył na brata spojrzeniem z tarasu.



Jagiełło kolejny raz pomyślał o Wandzie. Wtedy pies złapał go za serce i ścisnął mocno, aż pękło. Król westchnął tylko, opuścił wzrok na buty. Były całe ubłocone.

*Czy błocko podstuchuje?*

Milczeli. I oddalali się od siebie, szybko i jakby fizycznie, mimo że nie ruszali się z miejsca. Wład miał wrażenie, że wszyscy czworo stają się coraz cieńsi, przezroczyści. Że gdyby przyszedł tu z mieczem i porozcinał ich arystokratyczne korpusy, to nie jelita wypełnione resztkami z uczyty chlustałyby mu pod nogi; że to nie między kośćmi klinowałoby się ostrze. To przez te ciała tu trwali, to one trzymały ich na Wawelu. Ciężkie, niezgrabne kotwice.

I takie bolesne – blizny paliły Włada coraz bardziej. Był królem, to on powinien zacząć.

Wanda. Taka piękna, uczciwa i dzielna, znowu połknięta przez spienione piekło. Taka piękna. Jego i nie jego.

Milczeli.

Był królem.

— Dysaperencje — rzekł.

Milczenie. Jego saga przycichła, zwolniła. Traciła blask, gasła zbyt szybko – pomimo dnia. Wład poczuł, że jego dłonie są spocone. Wytarł je o spodnie.

— Sto dwadzieścia osiem osób — odpowiedział wreszcie Witold, a Jagiełło nieomal się przewrócił. Witold mówił wprost do niego, reszta więc już wiedziała. — O niemal sto więcej niż poprzednim razem.

Wład z trudem zaczerpnął powietrze. Och, ojce! Niemal półtorej setki! Poprzedniego poranka z Wawelu (więc i zasobów podania) znikło trzydziestu dwóch latarników. Dwa cykle temu – szesnastu. Wcześniej

*nie pamiętali – zacierał ręce pies*

jeszcze mniej. Raczej mniej. A teraz – stu dwudziestu ośmiu!

— I znowu nie wiemy którzy — kontynuował Witold. — Nikomu nikogo

nie brakuje.

Ostatnie zdanie powtórzył dwukrotnie, z krzywym uśmiechem niedowierzania. Jakby smakował obrzydliwie wyglądającą potrawę. Jakby sprawdzał czy to, co mówi, miało jakikolwiek sens.

Jagiełło potarł oczy, zmuszając się do logicznego myślenia. Stu dwudziestu ośmiu latarników i latarniczek, po których nagle nie został ślad – nie było ich tekstów, nie było ich sag, żadnego komentarza, żadnego tropu w werbibliotece ani w podaniu. I co najgorsze, nikt z mieszkańców Wawelu nie miał pojęcia, którzy znikli. Nikt nie pamiętał o nagle nieobecnych. A przecież wszyscy znali stałą liczbę ludzi na Wawelu. Była oczywistością jak wojna, jak Niemiec, jak kastelmatyka i wspólne podanie. Od kilku cykli ta liczba – jeden z fundamentów ich misji – po prostu przestawała się zgadzać.

Sto dwadzieścia osiem osób!

— Kłamią — odezwał się wreszcie Jagiełło; Wysogota przewrócił oczami. — Nie chcą się przyznać, kogo brakuje. Kryją ich.

Gdy skończył, mruknął pod nosem, do siebie, jak węszący pies.

— Albo kryją samych siebie — dopowiedział.

— Nie — Julia i Wysogota odpowiedzieli jednocześnie.

— Więc gdzie się podziali?

Milczeli.

— Samoloci — upierał się Wład. — Ukryli się, darmozjady. Są po prostu dobrze schowani.

Julia pokręciła głową. Gdy na nią spoglądał, patrzyła gdzieś niżej niż posadzka między nimi. Dużo dalej.

— Nie ma ich — powiedział Witold. — Nie ma.

— Pożłazili do podziemi i, gównozercy, siedzą skitrani w lochach Wawelu.

— Nie ma ich — powtórzył jego brat.

— Zaciąłeś się.

— A, spierdalaj. — Witold machnął ręką. — Ty mały...

— Dla ciebie to ja...

— Przestańcie...

— ... ślepy i głupi...

— ... jestem

*spierdalaj, kurwo*

— OBAJ!!! — wrzasnęła Julia. — PRZESTAŃCIE OBAJ, NATYCH-  
MIAST!!!

Wrzasnęła i wywołała chaos.

Jej krzyk poszedł echem, wysoko, a setki tomów z niższych półek zerwały się do lotu. Gwałtownie wzbily się w powietrze i poczęły tłuc o siebie, zdeorientowane i niespokojne. Odruchowo pochyłili głowy: nierówna ciemność i klaustrofobiczny brak miejsca, huczący papierowy łopot i kurz drażniący słuzówki.

Wreszcie księgi odfrunęły wysoko i, pokotłowawszy się w kanciastym kłęboku pod samym sufitem, osiadły na pustych, najwyższych półkach. W końcu znieruchomiały, przyczajone, milczące.

Mężczyźni w bibliotece spojrzeli na Julię. Falowały: jej piersi i nozdrza. I saga, żarząca się radykalnymi jaskrawościami, balansująca na granicy gigantycznego pożaru. Patrzyli na nią i nie kryli podziwu. Wiedzieli, że jako historyk, pani na bibliotece i matka całych stad ksiąg, ma władzę nad werbiblioteką. Nie mieli pojęcia, że taką.

A czy ma ją nad Piosenkami? – irracjonalna myśl czepiła się Włada.

Julia nie powiedziała niczego więcej. Mówiły jej kasztanowe oczy, wściekłe i zdeterminowane, karcące. Gdy ich spojrzenia spotkały się, Jagiełło miał wrażenie, że dostrzegł w nich zawód, niejasne, smutne zaskoczenie. Westchnął tylko. Nie rozumiał jej, nie umiał jej czytać. Ostatnio (*kiedy?* – *zapytał*

pies) miał wrażenie, że *przestaje umieć* wszystkich wokoło.

— Brakuje prawie stu trzydziestu — zaczął wreszcie — i wiemy, że tu ich nie ma. *Z nami* ich nie ma.

Milczenie słuchaczy oznaczało zgodę. Z trudem zbierał myśli, odsuwał na bok poranne obrazy, próbując lepić jakieś wnioski.

— To może być, po pierwsze, kolejna forma amnezji. — Gdy przerwał, by się zastanowić, mrucał. Jego umysł węszył. — Zbiorowa amnezja. Każdego poranka każdy z nas myli się co do rzeczywistej liczby mieszkańców Wawelu. Zawyżamy ją – i stąd hipoteza o zniknięciach.

Słuchali go dalej w milczeniu. Witold poruszył głową w jakimś niezrozumiałym geście. Jagiełłę ukłuła nieprzyjemna myśl: nie przerywają mu, nie przeczą temu, co mówi.

— Wierzycie w to? — zapytał w końcu.

Nie przytaknęli.

— Nie chcę w to wierzyć — powiedział król.

Wyszogota tylko uśmiechnął się krzywo. Albo stłumił kaszel. Wład kontynuował:

— Zatem — zakładamy, że każdej pełnonocy latarnicy rzeczywiście znikają z Wawelu. Pytanie, w jaki sposób. I gdzie się udają.

Jagiełło potarł czoło. Dziwna, nieznana saga powoli zbliżała się do jego wątków. Czaiła się wciąż gdzieś w gwarze głównego podania, ale zmniejszała dystans, zewsząd, konsekwentnie. Wywoływała ból głowy.

— Czyżby forsowali Wisłę? — zapytał.

— I gdzie idą? Do Niemca? — Witold był już spokojny, mówił dziwnie powoli.

— No właśnie. Na Równinie najpewniej nie ma nic więcej.

Wiedzieli to przecież: ojce, ulepiwszy Równinę, rozpostarli ogrodzenie, ścianę – paradoksalną, bo poziomą.

*Kłamiesz, pomyślał ktoś za niego. A Wanda?*

— Najpewniej? — spytała Julia. Patrzyła na książki, które spoglądały na nich spod sufitu. Albo łapała cieknące z góry światło, póki jeszcze było.

— Założmy, że nauczyli się ignorować głód i pragnienie — kontynuował Jagiełło. — Jak samoloci. I nie muszą wracać do zamku. Tylko czy wtedy wciąż nie mielibyśmy ich w zasobach wspólnego podania? Dlaczego mieliby nie być przez nie rejestrowani?

— Może po drugiej stronie Wisły już nie są? — rzucił Witold.

— Są — Władysław i Julia powiedzieli to jednocześnie. Jej kasztanowe oczy i ciemne usta błysnęły, gdy uśmiechnęła się do niego. Wład tylko ciężko westchnął. Tępy ból głowy narastał, jakby zepsute wino rozlewało mu się pod czaszką, powoli wsiąkając w mózg.

Julia odwróciła się w stronę biurka, poczęła kartkować grubą księgę. Tomy na półkach zafurkotały.

— Raczej są — powtórzył Jagiełło. — Chyba że spotykają Niemca i...

Naprawdę nie umiał dokończyć.

— Nie chodzi o to, czy Niemiec potrafiłby sprawić, że latarnik zdisaperował — odezwał się wreszcie Wyszogota. Wład wzdrygnął się. Nie pamiętał, że Stanisław ma taki głos. Ostry i suchy, jakby jego gardło zbudowane było z dermy i parcianych pasków. — Bo nie potrafiłby. — Wład chciał spytać dlaczego, ale nie zdążył. — Natomiast... — Wyszogota nie dokończył.

— Natomiast?

— Pytanie, czy latarnik może zdisaperować totalnie. Tak naprawdę, nieodwołalnie.

— Z podania? — zapytał Witold.

— Nie. Zdisaperować w ogóle. Przestać istnieć. Zde-żyć.

Zdębieli. Julia z hukiem zamknęła tom i odwróciła się do Wyszogoty. Spoglądał na nich i uśmiechał się nerwowo, szybko mrugając żabimi oczami.

Jagielle aż zakręciło się w głowie. Niemożliwe. Myśl o samej potencjalności ostatecznej dysapereencji któregoś z ludzi była czymś tak dziwacznie nieprzystającym do tego, co wiedzieli o świecie, że natychmiast rozkołysała ich sagi. To było niemożliwe. Zupełnie niemożliwe i skrajnie obce. Koniec człowieka, dobre sobie. Wyobraźni flirt z szaleństwem. Zde-życie? Psi pomysł.

Natychmiast go stłumił, wyparł. Ból ścisnął mu skronie, skrzywił twarz. Wład musiał uważać, by ten szalony koncept nie przedostał się do sagi, by nie wyciekł do wspólnego podania. Kolejny zły mit mógłby przynieść następną wyprojektowaną torturę, która nadeszłaby o zmroku. I jeszcze ta dziwna saga krążąca wokół. Pozornie nieruchoma i niemal pusta, jednocześnie ciemna i głęboka jak studnia. Jak mgła pełznąca bezszelestnie ku jego potylicy.

— Jak sobie to wyobrażasz? — spytała Wyszogotę Julia. W jej głosie więcej było ciekawości niż strachu.

— Romantycznie — odparł. — Jak sen. Głęboki, najgłębszy.

Król poczuł gniew, gorący i fizycznie bolesny. Rzucił się na sagę Wyszogoty jednym z wątków. Stasiu tylko na to czekał. Buchnęło pożarem, rozległym, siarczystym; plunęło płomieniem aż na wspólne podanie. Psikus ciała: głęboki wdech przyniósł zapach dymu.

Witold, królewski brat, westchnął, szczerze zaskoczony. Spojrzał na żonę, czekając na interwencję. Nie doczekał się; Julia, skupiona na własnych myślach, patrzyła na ślady błocka wokół Jagiełły.

— Jest jeszcze jedna droga z Wawelu — powiedziała wreszcie. Mówiła cicho, Wład miał wrażenie, że jej słowa drepczą nieśmiało po kamiennej posadzce.

— Owszem — odparł Wyszogota zza wpeł przymkniętych oczu. Uśmiechał się dziwnym, bolesnym grymasem. Jakby ogrzewał się ognistym piekłem trawiącym jego sagę. — Jeszcze jest brama.

— Brama — powtórzyła Julia. Jej oczy lśniły kasztanowym blaskiem.

— Brama. *Ziuuuuup!* — Wysogota błysnął wytrzeszczonymi ślepiami. — Prosto do gwiazd.

To było od nich silniejsze: odruchowo spojrzeli w górę.

Jagiełło poczuł, jak unoszą mu się włosy na karku. I jednocześnie poczuł smutek, smutek i jakąś dziwną, tęskną zazdrość.

— Myślisz, że dysaperencje mają związek z wojną? — zapytał.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości. — Stasiu Wysogota powoli podniósł się z fotela. Zaskrzypiał mebel, zaskrzypiał człowiek. — Chodź ze mną — powiedział do Jagiełły. — Muszę ci coś pokazać.

\* \* \*

Julia Holszańska, Dylematy histonautki – *aneksy do rozważań o metodzie* (fragmenty)

Jeszcze trudniej o precyzyjne eksplanacje histonautycznej metody, gdy traktujemy ją jako metodę lingwologiczną, a więc w sytuacji, gdy badacz(ka) używa jej jako narzędzia mającego służyć wydobywaniu pierwotnych sensów zawartych w latarnicznym języku. Sięganie w głąb sag, oparte przecież na intuicji i odbywające się – przynajmniej częściowo – poza strukturami bezpośrednio i wprost przekładalnymi na słowa, czyni lingwocentryczną histonautykę subdyscypliną rozpaczliwie subiektywną, zbliżając ją do artystycznych aktywności podejmowanych w ramach konstrukcji dzieła <sup>5</sup>.

Niezwykle trudno jest przełożyć proste, podskórne intuicje („jest tak, bo dokopałam się do tych znaczeń i wiem, że jest tak”) na odpowiednie komunikaty, siłą rzeczy stanowiące ułomne werbalizacje poszczególnych odkryć, które bywają (być może nie bezzasadnie) krytykowane <sup>6</sup>. Krytyka ta zresztą wpisuje się w szerszy trend postrzegania histonautyki jako metody artystycznej, operującej „magicznym” podejściem do doświadczenia sagi. Co więcej,

uznanie niepełnej przekładalności doświadczenia histonautycznego na komunikaty werbalne stoi w oczywistej sprzeczności z teoriami dotyczącymi pełnej przekładalności wszystkich systemów językowych, którymi operujemy.

Uważny czytelnik na pewno już w tym miejscu dostrzega fundamentalne wnioski płynące z powyższych założeń. Jedną z podstawowych implikacji owego rozumowania musi być bowiem uznanie najwyższego statusu sagowego komunikowania zinternalizowanego pośród naszych systemów komunikacyjnych, co przekłada się na niezwykle głębokie konsekwencje kosmologiczne: utracone przez latarników w procesie amnezji pełne zrozumienie doświadczenia sagi jest największym z nieszczęść mieszkańców posterunku Wawel, jednocześnie będąc największym wyzwaniem i głównym obowiązkiem stojącym przed histonautami.

\* \* \*

Wysogota wziął go na giełdę, tam, gdzie najgęściej i wszystkiego najwięcej, w sam środek targowiska – w chaos, tłum, ścisk i wrzawę.

Setki ludzi tłoczyły się między straganami. Mieszali się bez względu na sektor pochodzenia (byli ci z samej góry, żyłeta, karna i elegancka; i pozostali, ci z dołów; byli i samoloci, aroganccy, beztroscy) i wszyscy oni interaktywali: perorowali, gestykulowali, kłócili się i śmiali, przekrzykiwali się wzajemnie, przyzywali księgi kotłujące się nisko nad ich głowami i odganiaли te najbardziej nachalne, rwali z nich strony i matkowali im, dopisując kolejne wątki, otwierali swe głowy na cudze myśli, refreny, figury, otwierali swe sagi, pozwalając im tańczyć z pozostałymi, rozpędzać się na wspólnym podaniu, pobierać z niego, z pozostałych pieśni, wątków i narracji, brać obrazy, dźwięki, wrażenia, emocje i odczucia, wszyscy zajęci czerpaniem i oddawaniem, pochłonięci wielką wymianą, partnerską i demokratyczną, wszyscy gotujący się na zmrok i ciężką pracę nad dziełem.



Otoczyli króla, otoczyli błazna. Sypnęli ofertami, wtulając się we wciąż płonące sagi obu mężczyzn, rozlewające się szerokimi strumieniami po wspólnym podaniu. Ugasili je szybko samym zainteresowaniem, po czym zalali ich ofertami, częstując ornamentami, fragmentami melodii, koncepcjami, ideami i setką wniosków – chcieli nakarmić ich formą i treścią. Z wymiany przyjemność niemal fizyczna: roztańczone sagi, harce wzbogacające każdą z nich i wszystkie jednocześnie. I jeden z cudów kastelmatyki: zamkowy wymiar tracił na znaczeniu, rozmywał się, roztopiał w przesyconej informacją zawieszynie wspólnego podania. W tym miejscu cielesność niespodziewanie okazywała się tylko jedną z metafor, tu rządziły języki sag, równie precyzyjne, jak niepoznane.

— I tak bym tu przyszedł — krzyczał Wład do Wyszogoty, wdychając zapach tłumu: skóry, ubrań, potu i wina. Zaciągał się i próbował ignorować kwaśny aromat błocka.

— Nie wydaje mi się. — Stanisław przeskakiwał z nogi na nogę, jakby tańczył do melodii grającej w jego głowie. Podpalał co trzecią łaszącą się do niego sage. Czynił chaos, który jednak nie odstraszał zainteresowanych jego melodiami.

— Przyszedłbym — mówił Wład i uśmiechał się. Wiedział, że to nieprawda. Na górze, u siebie, w ogóle nie czuł potrzeby wymiany. Jakby zapomniał, że można też czerpać. Że czerpać trzeba. Teraz jednak otwierał się i połykał, brał, co dają. Szerzej i więcej, pozwalał sadze nurzać się w innych tekstach, kolejne narracje napływały jak dawno zapomniane pieszczoty.

— Bierz, królu, bierz — śmiał się Stanisław.

Brał więc. Połykał, szerzej i więcej.

I dziwił się:

— Tyle tu samolotów — mówił. — I nic, tylko biorą.

— Niech biorą.

— Kiedyś było ich mniej. — Chwila zawahania. — Było?

Wyszogota nie odpowiedział. Odwrócony tyłem i rozkołysany, machał do ksiąg kołujących nad jego głową. Król wiedział, że Stanisław nie zna odpowiedzi.

— Pasożyty — powiedział Jagiełło.

— Bo odrzucają latarnictwo?

— Bo odrzucają... — Poszukał najlepszego słowa. — Odrzucają człowieczeństwo.

— Akurat — zaśpiewał Wyszogota. — Oj, powiedz, chciałbyś ich zmusić.

Błazen odbił się od czyichś szerokich pleców i zatrzymał tuż przed twarzą Władysława. Krzywy uśmiech obnażył krzywe zęby i ciemne plamy pokrywające spuchnięte dziąsła. Wtedy jakby zgasł dzień, nagle i na chwilę. To wtedy Wład zaczął się domyślać. Zapiekiły go blizny, zapiekło w sercu.

— Chciałbyś ich zmusić do pracy przy dziele — dokończył Wyszogota. Nie krył pogardy. Albo chciał, by tak to zabrzmiało.

— Po to tu jesteśmy.

— Ależ po co, królu?

Cielesność wciąż pozostawała odległa, ale jednocześnie robiła się niedobra, szorstka. Było ciasno i gorąco, w jego ciele i głowie. Ostre łokcie, czuby butów, wysokie głosy, zaborcze, agresywne. Smród człowieka i coraz wyraźniejszy odór błocka. I jakby ciemniej, tu, w cieniach straganów, pod stadami kodeksów.

Władysław był taki zmęczony.

— No, po co, królu?

— By tworzyć dzieło. By słać je na wojnę, jako oręż dla ojców.

— Wojnę. — Zabrzmiało, jakby Wyszogocie się odbiło.

— Wojnę.

— Chciałbyś ich przymusić — powtórzył Stanisław. — Uwiera cię, że

czują się wolni...

— Wolni? — prychnął Jagiełło.

— ... od tego wszystkiego. Ale wiesz, że nie możesz, że w ten sposób zła-  
małbyś wspólne podanie. Uprawomocniłbyś możliwość odejścia od innej, tak  
bliskiej ci, ach, tak bliskiej — Wyszogota w teatralnym geście wyrzucił  
w górę ręce — zasady...

— Bzdura.

— ... powinności latarnicznej, królu Władysławie.

Jagiełło nie odpowiedział. Wróciła ciemna saga, obca i jednocześnie  
w dziwny sposób znajoma. Jak czarna dziura, jak głęboka studnia, zimna  
i pusta. Zbliżała się, niosła ból głowy i niepokój. Niczym echo złej myśli, tuż  
po jej wyparciu, zostawiające rozdygotane członki i zdrętwiały kark.

— Samoloci — podjął Wyszogota — niosą zmianę. Może są szansą, nie  
zagrożeniem.

— Jak siostry Piosenki?

— Ech, Piosenki. — Wyszogota uśmiechnął się szeroko i szczerze. — Pio-  
senki, gładziutkie siostrzyczki.

— Ostatnio wszędzie je widzę — powiedział Jagiełło, pilnując się, by nie  
rozejrzeć się wokoło.

— Boisz się ich?

— Widzę je wszędzie, jakby było ich więcej niż dwie.

— Albo jakby potrafiły być w wielu miejscach jednocześnie.

Jagiełło poczuł zawroty głowy. Ten smród, smród błocka.

— Boisz się ich? — powtórzył pytanie Wyszogota.

— Ja... — Ten smród. Szedł z ziemi, ku górze, wspinał się po upačkanych  
spodniach, lepił do skóry, wieszał się nozdrzy, niewidoczny i coraz bardziej  
natarczywy. I jednocześnie pełzył gdzieś z podania, brudził je i wykrzywił  
sagi, nieznacznie fałszując ich melodie. Nagle Jagielle zrobiło się bardzo

zimno. W kącikach oczu poczuł łyzy.

Jak powiedzieć, że bał się nieustannie i wszystkiego? Że każdy dźwięk zawierał w sobie szczekanie psa? Że świetlne refleksy błyskały doń wściskłym spojrzeniem funkcjonariusza zza przyłbicy hełmu?

— Te smugi — zaczął król.

Drżące dłonie założył za pas. Natychmiast się na nim zacisnęły, z całej siły.

— Te ciemne ślady na podaniu — mówił dalej, coraz wyższym tonem, przed którym próbował się bronić. — Te ślady między naszymi sagami. No przecież. Przecież to jest błocko.

Czy to jego serce waliło tak mocno? Tępe dudnienie jak elastyczna pała uderzająca miarowo w wysoką tarczę. Jak wsteczne odliczanie.

No, zaprzecz, psubracie. Powiedźże, że bredzę.

Twarz Wyszogoty jak zmięta, sucha ściera. Milczała jak na złość.

— Błocko — powtórzył król. — Brudzi Wawel. Brudzi podanie. Upieprza nasze dzieło.

Stanisław wzruszył ramionami. Wielkie, spuchnięte oczy patrzyły wprost na Jagiełłę; czerwone pajęczyny w ich kącikach poruszały się, wibrowały nieregularnym rytmem połamanych melodii jego sagi. Wyszogota milczał, czekał na więcej.

— To przez nich, tych w dole. I przez ciebie też — mówił Wład. — Bo... O, ojce! — Król przetaił oczy, uparcie rozmazujące Wyszogotę. — Ty, ty też. Masz to w ustach. Cały czas miałeś. Ojce! Ty też.

Trzęsienie Równiny: stał przecież, a jakby spadał. Jakby nogi znikły, a król osunął się i pikował szybko, bezładnie i głęboko, głową w dół, do najgłębszego z serc Wawelu. I tylko żabie oczy Wyszogoty, uważne, bezlitosne, trzymały go w pionie.

Nie tylko one: była jeszcze ta dziwna saga, zimna i pełna cienia, głęboka,

bezdenna. Pochwyciła go, wcześniej otoczywszy, i teraz poczęła zaczepiać, podśpiewywać do jego melodii. Cichym, ponurym zawodzeniem. Przerażającym, bo skądś znajomym.

Miał ochotę wrzasnąć. A inni wciąż się nim częstowali, czerpali z hojności swego przywódcy, sprawiając, że tracił równowagę. Pragnął wrzeszczeć, najgłośniejszy na świecie. Tak, że usłyszeliby go na Równinie. Że usłyszałyby go Niemiec.

Ona!

Gwałtowna myśl, jak plaskacz, jak cios z liścia wymierzony przez psa.

Przyjrzał się uważniej obcej-znajomej sadze. Liznął niektórych jej wątków i pogłaskał ją tam, gdzie zdawała się być najjaśniejsza, ostrożnie i delikatnie. Zanucili wspólną melodię – cichą i niepozorną, ale bez potknięć i fałszywych tonów. I od pierwszego wspólnego taktu Jagiełło wiedział, że to było dobre. Gorąca strużka potu pociekła wzdłuż kręgosłupa. Czyżby to była jej saga? Czyżby to była ona?

— On jest jak my — zaczął Wyszogota. — Mamy wiele wspólnego, więcej niż początkowo chciałem przyznać. Przed samym sobą, potem przed Julią.

— Julią?!

— No i przed nim.

*Nim.* Władysław zorientował się, że Wyszogota ma na myśli błocko. Pies czekał gdzieś w oddali, tylko dla niego.

— To przez pamięć — mówił Stanisław.

Kichnął w rękaw koszuli, głośno, siarczyście, po czym uśmiechnął się do własnych myśli. Na rękawie zostało trochę burej mazi. Jagiełło poczuł znajomy smród i ledwo powstrzymał wymioty (melodia snuta wspólnie z tajemniczą sagą robiła się coraz bardziej posępna).

*Ona czy nie ona?*

— Przez pamięć, jej brak — kontynuował Wyszogota. — Przegrywamy

najważniejszą bitwę, mój królu. Przegrywamy całą wojnę. Zapominamy to, co najważniejsze. Wszystko. Wszystko zapominamy! Zapomnieliśmy, jak porozumieć się z nim. Zapomnieliśmy, jak porozumiewać się między sobą. Jak po prostu ze sobą rozmawiać. Gdy pomyślę o tym, że kiedyś wszystko miało sens, że miało przyczynę, swój powód, niechby i najgłupszy, najbardziej błahy, ale że miało go i... Gdy o tym pomyślę, to... Wiesz, że chyba przestaję rozumieć słowa? Że przestaję rozumieć gesty? Pojmujesz to? Zapominam, że... że trzeba, żeby... — Wysogota spojrzął na własne dłonie: żyły własnym życiem, ścisnęły się wzajemnie, brudne palce wędrowały niespokojnie wokół nadgarstków. — Zapominam. Zapominam. Wszystko wokoło traci sensy. Już dawno straciło.

Jagiełło słuchał i nie słuchał jednocześnie. Chował nową melodię najgłębiej, jak potrafił, ukrywał przed sagą Wysogoty i całą resztą. Jakby chronił słabowity płomień, osłaniał go przed wiatrem. A saga wokół niego otwierała się powoli. Jak kwiat, pomyślał Wład i spodobało mu się to porównanie. Czyżby to była ona? No przecież: delikatna, subtelna, taka kobieca. I rozpaczliwie smutna, niemal wyjąca z tęsknoty. Jakby była wszystkim, co zapomniane.

Obietnica przypomnienia, nieobca przecież, choć w pamięci nieobecna.

— Po co to wszystko? — zapytał Wysogota. — No po co? Wojna? Ojce? Dzieło? Pojmujesz? Wojna, ojce, dzieło, wojna, ojce, dzieło. No po co? — Stasiu podniósł dłonie do twarzy. Powąchał je, zaciągnął się ich zapachem. — Pamiętasz, jak to było, gdy zorientowaliśmy się, że on żyje? Że błocko nie jest tylko kosmicznym brudem przeciekającym przez bramę? Że on jest? Że żyje? Jest świadomy?

Jagiełło nie wiedział, czy Wysogota czeka na odpowiedź. Zresztą i tak nie pamiętał dokładnie. Rozmazane obrazy widziane z dużej odległości i zza grubej, mokrej szyby. Niejasne wrażenie ruchu, cienie cieni. I pojedyncze, niepewne emocje. Jak wspomnienie ekscytującego snu. O czym? Tego nie wie-

dział. Już nic nie wiedział na pewno.

— Ja też nie pamiętam, Wład. — Wyszogota dygotał. — Niczego już nie pamiętam. Ojce! Ja nie pamiętam już siebie. I dlatego próbuję. Jego próbuję. Dlatego przeglądam się w błocku. Bo wciąż nic nie rozumiem, ale mam wrażenie, że przynajmniej ocieram się o to, co ważne. Bo gdy jest we mnie, a ja jestem w nim, ja wtedy, dopiero wtedy czuję, że gdzieś tam, do chuja pana, jestem. Że wszyscy wciąż tam jesteśmy. Prawdziwi. I po coś. Bo on przybył z daleka. Prosto do nas. Przybył po coś. I niesie nam samych siebie, nas z czasów, gdy jeszcze my coś dla nas znaczyło. I nie tylko dla nas, królu Władysławie. Dlatego właśnie będę kopał dalej, głębiej i głębiej, aż coś, do chuja pana, wreszcie poczuję. Poczuję naprawdę i będę wiedział dlaczego.

— Co: dlaczego? — Gardło Jagiełły było suche i coraz węższe.

— Dlaczego wszystko — odparł Stanisław Wyszogota.

To było od niego silniejsze: Wład roześmiał się, lekceważąco, protekcjonalnie.

Pożałował tego natychmiast – cień na twarzy Wyszogoty zabolął niemal fizycznie. Już to gdzieś widział, spojrzenie pełne nocy, tej najczarniejszej i najdłuższej.

Jak on to powiedział? Najgłębszy ze snów?

— Królu, mój królu — warczał Stanisław. Jagiełło już nie chciał go oglądać, nie chciał go słuchać. Tej pomiętej twarzy, pomiętego głosu.

Zamilkli. I trwali wciąż, między giełdowymi straganami, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Władysław zrozumiał, że zbliżał się czas nocy.

Ona to czy nie ona? Ta saga, tak wygodna, tak mu potrzebna. Odpowiedź.

No przecież musiał wiedzieć. Musiał być pewien.

— Stasiu — zaczął król.

Otworzył się na dziwacznie plecione wątki Wyszogoty, pokazał mu ją: tajemniczą sagę, z którą podśpiewywali subtelne, przygnębiające nuty. Prze-

łknął ślinę. Gęsta kula, lepka, ciężka i jakby włochata ledwo przeszła przez gardło. Odchrząknął.

— Czyja to saga?

Wysogota nie krył zaskoczenia. I nie odpowiedział.

— No, czyja? — powtórzył Jagiełło.

Gdy na moment przymknął oczy,

*noc, zbliża się noc*

zobaczył jej piękną, zaciętą twarz. Przypomniał sobie jej mądre, twarde spojrzenie i jasne włosy szarpane podmuchami wiatru znad Wisły. Już był pewien, że to ona. Że to jej saga, że Wandzie wreszcie udało się wyrwać z niewoli behemota.

Gdy otworzył oczy, przestraszył się twarzy Wysogoty. Zobaczył smutek i pogardę. Rozdzierająco wiele smutku, pogardy jeszcze więcej. Stasiu patrzył na niego spojrzeniem, które Jagiełło znał z twarzy Witolda. To królewski brat – mąż Julii Holszańskiej, pani ksiąg – zwykł spoglądać na niego w ten sposób.

— To jej saga, prawda? Jej saga. Prawda?

Wysogota nie odpowiadał, milczał i tylko patrzył.

— Prawda? — Jagiełło zrozumiał, że jeśli potrwa to jeszcze chwilę, nie wytrzyma i rzuci się na niego, by paznokciami wydrzeć odpowiedź z opuchniętego gardła.

Wysogota odpowiedział jednak.

— Tak. Jej saga — potwierdził, doprowadzając Jagiełłę na skraj wytrzymałości. — Saga Anny.

*Anny? Jakiej*

Wspólne podanie rozpadło się na tysiące kawałków, a

*pierdolonej Anny?*

monarsza saga ryknęła, wściekła i nagle obolała. Ponura pieśń pękła, tajemnicza saga znikła.



— Twojej żony — powtórzył Wyssołota. — Ojce, ależ teatr — mruknął do siebie, odwrócił się i odszedł, znikając między straganami.

Jagiello, otoczony tłumem i wrzawą, został sam.

Szła noc.

\* \* \*

Julia Holszańska, Dylematy histonautki – *aneksy do rozważań o metodzie* (fragmenty)

Skomplikowanie naszego języka i brak jednego, spójnego zbioru zasad sprzyjają formułowaniu hipotez odrzucających jego ewolucyjny charakter – zewnętrzne, niejako odgórne narzucenie nam werbalnego systemu, którym się posługujemy, tłumaczyłoby wciąż nieprzezwyciężone trudności z (re)konstruowaniem podstawowych zasad dotyczących składni i – przede wszystkim – znaczeniowych tropów poszczególnych wypowiedzi i ich substratów.

Posługujemy się całymi zbiorami wyrażen synonimicznych, bliskoznacznych i antynomicznych w sposób niemal bezwiedny, intuicyjny, a naukowa refleksja dotycząca genezy określonych związków między poszczególnymi frazami, a także – na najbardziej podstawowym z poziomów – między pojedynczymi słowami i ich znaczeniami, prowadzi zupełnie donikąd. To znaczy: mogę histonautycznie, poprzez proces sagogenezy, wyczuć czy wręcz poznać pewne pokrewieństwo między pojęciami ojciec i matka, mogę rozważać implikacje ich przypuszczalnych relacji <sup>7</sup>, ale nie potrafię dowieść genezy owych interkoneksji. Co więcej, wiem, że oba terminy uzupełniają się wzajemnie, rozumiem, że w związku z tym zachodzi pewna istotna wzajemność między ojcami a latarnikami <sup>8</sup>, ale nie umiem odpowiedzieć na pytanie, na czym ona polega.

Mogę tylko domyślać się, że histonautyczne doświadczenie pozwala mi na stwierdzenie, że prawdopodobnie zatraciliśmy wiele ze znaczeń poszczegól-

nych pojęć. Że w słowie mesjasz pierwotnie wcale nie chodziło jedynie o gotowość na przyjęcie cierpienia, że termin ten miał znacznie szerszy desygnat, który zgasł kiedyś i dziś trwa głęboko w sagach – bo ja wiem, że tam jest, ale nie potrafię go wydobyć. Próbuję go wymacać, ale nie znam tego kształtu, nie rozumiem go. Tak jak nie rozumiem też skomplikowanego i wyjątkowo pociągającego, ukrytego przed nami pełnego kształtu eleganckiej, kodeksowej i uroczystej *kurwy*. Tu z kolei, przeciwnie – kiedyś chyba było prościej, surowiej. Paradoksalnie: bardziej szczerze?

\* \* \*

Szła noc.

Jagiello był sam. Zdezorientowany, zagubiony, obolały, śmiertelnie zmęczony. I sam.

Musiał być sam.

Niewielki, małogładki mężczyzna na okazałym tronie; pokrzywiony król, pochylony do przodu, przyginany do posadzki. Ciężka głowa ciążyła ku kolanom. Oczy piekły, spuchnięte, nieczynniejące. Członki gasły, coraz słabsze, znaczone siecią blizn, które – rozżarzone żagwie – trzaskały pod pomarszczoną, czerniejącą skórą przy każdym oddechu, każdym uderzeniu serca.

Był sam. Na imponującym tronie, pośrodku wielkiej sali, w nieruchomiejącym centrum świątyni śląskiej. Po murach pełzały echa odległych chóralnych zaśpiewów, echa świadectw wielkich triumfów.

Coraz ciemniej i zimniej, coraz ciężej. Uwierała go pustka i samotność, uwierało szorstkie drewno twardego mebla. Dręczyła niemoc, ten żalony brak sił. Śmiałyby się sam z siebie, kpiłby z wieczornego niedołęstwa, gdyby tylko potrafił zmusić się do śmiechu. Gdyby tylko nie tracił władzy nad zdychającym ciałem. Tak trudno poruszyć głową, gdy nie starcza mocy, by poruszyć palcem, gdy mięśnie zdają się zbyt słabe, by szerzej unieść powieki.

Ojce, tak trudno o każdy z oddechów: powietrze, coraz zimniejsze, gęste od drobin błocka wirujących w gasnących promieniach zmierzchu, stawiało zacięty opór. Doliczonego czasu gry nie będzie, skarżyły się królewskie kości, mięśnie i flaki. Zmęczone. Takie zmęczone, każdy z osobna i wszystkie razem.

Jagiełło był sam, jak każdego z wieczorów. Przywłókł się tu ostatkiem sił, by powitać noc, by reprezentować Wawel i złożyć ofiarę. By łaskawie i z pełnym poświęceniem przyjąć cierpienie. Ból konieczny, by rozświetlić znicze, wykreślające kontury bramy trzema zimnymi cięciami.

Wcześniej szedł tu z każdym krokiem wolniej i bardziej niechętnie, a inne sagi porzucały jego pieśni. Uciekały na wspólne podanie, by stamtąd, gdy przyjdzie czas i brama wystrzeli światłem kreślonym przez znicze, a Wawel zabierze króla na należną mu torturę, wsłuchać się w czekającą ich symfonię udręki.

Szedł tu z szalikiem na karku, z każdym krokiem coraz cięższym. Szedł i ciągnął za sobą swoje miecze, oba. Miał niejasne wrażenie, że kiedyś (ojce, ojce, czy było jakieś kiedyś?), gdy ciągnął je za sobą, ich ostrza chwacko krzeszały iskry na kamiennych posadzkach zamku. Dziś z ponurym bulgotem sunęły w gęstym błocku. Opadł na tron i odrzucił je, zły ze zmęczenia, bezsilny i zrezygnowany.

Był sam, tak musiało być. Myśl o czekającej go męce demolowała mu umysł. Wściekły strach wpijał się tępyimi, połamanymi zębami w odsłonięty kark. Od środka wygryzał mu głowę, kawałek po kawałku, jak wygłodniały szczur, rzucający się na resztki ścierwa po jadalnię.

Ból. Strach. Nikt nie znał go lepiej niż on. Ból i strach. Jak jego bracia, bezlitośni, bo najbliżsi. Nie oswoił ich, wiedział, że nigdy nie zdoła.

Miękki człowiek na kanciastym tronie pośrodku wielkiej, pustej sali. Obezwładniający smród błocka doprowadzał go do szaleństwa. Wywoływałyby torsje, gdyby tylko jego żołądek miał jeszcze siłę reagować.

Szła noc. To był jej czas.

Szła noc i dusiła światło, ciekące zza wąskich, wysokich okien. Szła noc i truła zamkowe kable: gasiła biel, którą jeszcze niedawno chlustały cztery wielkie reflektory, wiszące wysoko w rogach tronowej sali. Szła, czarna lodowata suka, szła i budziła cienie, które wypęzły spod tronu, przeciągały się bezgłośnie i rozpoczynały wyścig, który pierwszy, po błocku, do ściany naprzeciwko. Coraz zimniej, coraz ciemniej. A on był sam.

A nie.

Nie sam. Aż zamrugął, choć nie bez wysiłku. Nieprawdopodobne. Mrugnął raz jeszcze. Nie starczyło siły, by przetrzeć oczy.

Ale były tu. Były bez wątpienia, stały kilkanaście stóp od tronu. Siostry Piosenki. Patrzyły na niego uważnie i w milczeniu.

Roześmiałyby się, gdyby jeszcze umiał. Powiedziałyby im, że tu nie wolno, nie teraz. Ale czy mógł tak powiedzieć piosenkom?

Stały, patrzyły. Patrzyły. Były nagie. Dwie pary oczu błyszczały w półmroku. Zacięte, wąskie usta ani drgnęły. Patrzyły.

Przyszło mu do głowy, że gdy to na nich skupi uwagę, część bólu odejdzie, wypłowieje. Ale nie.

Ruszyła ku niemu. Ta większa, piegowata, ze złocistą, gęstą czupryną. Podeszła do tronu, a on poczuł jej zapach. Mokre liście, dym, zapach miękkiej zieleni i szorstkich brązów, i jeszcze woń wilgotnej ziemi.

Piosenka schyliła się, zanurzyła dłonie w błocku (ojce, ależ ona piegowata, cała) i wyciągnęła z gęstej brei miecze. Wyprostowała się, pozwalając mu przejrzeć się w jej spojrzeniu – ognistych złocistościach, wyrazistych i ciepłych jednocześnie. To wtedy, przez najkrótszą z chwil, jedną jedyną myśl, zrobiło mu się lepiej.

Odwróciła się, wróciła do siostry i wręczyła jej jeden z mieczy. Wtedy odeszły, szybko połknięte przez potężniejące cienie.

Król został sam.

Ciemniej i zimniej.

Sam. Bez siły, bez mocy.

Dziesiątki tysięcy odległych gardeł wrzeszczały, skandowały zapomniane pieśni zwycięstwa.

Ciemniej i zimniej.

Ciemniej i zimniej. A ból i strach gryzły, nie przestawały kąsać. I wyszeptwały do niego, że nie poruszy nawet koniuszkiem języka, że nawet serce drgnąć w nim już nie zechce. Żarły go i szeptały w przerwach między kolejnymi kęsami. Wierzył im.

Zupełnie bez mocy. Sam.

Osunął się z tronu. Plasnął, twarzą, całym ciałem, prosto w błącko, a potem w kolejną falę bólu,

*jak to tak, przecież nie mógł już być większy*

gdy trzasnął twarzą o kamienną posadzkę. Tępe cierpienie wlało się do wnętrza głowy, mocno, gęsto, że niemal pękła, po czym spłynęło niżej, wypełniło go szczelnie, do końca.

A wtedy, gdy ból i strach na chwilę przestały gryźć i otworzyły pyski szerej, gotując się na jeszcze większy kęs, na kęs największy, wtedy Jagiełło ich przechytrzył.

Otworzył usta, otworzył nozdrza i oczy. Szeroko. I wpuścił błącko. Ostatnia myśl rozbłysła w nim jeszcze, głęboko,

*a jeśli – jak tamci – zniknę? jeśli to odbywa się w ten sposób?*

ale równie szybko zgasła. Jak wszystko.

\* \* \*

Stanisław Wysogota, *Amnezjak* (fragmenty)

Lustra, lustra. Wszędzie lustra.

Czymże są sagi, jak nie naszymi zwierciadłami? Czy można do końca przeczytać odbicie? Czy można w pełni zrozumieć, dlaczego zwierciadło maluje obrazy, które nam prezentuje? Które chce nam pokazać? Sagi też odbijają. Wszystko, co w nas najgorsze. Wylewają na wspólne podanie ściek z najobrzydliwszymi spośród naszych cech. Piękne melodie – te szczere, uczciwe – giną zagłuszane przez nadęte, rozbuchane kreacje. Lustra, lustra. Krzywe odbicia.

Histonautyka. Odbite odbicie odbić. Jak mogę poznać siebie, gdy, patrząc wstecz, widzę tylko wygięte odzwierciedlenie tego, co teraz? Czy przeszłość może być czymś więcej niż tylko odwzorowaniem moich chęci? Moich pragnień i zachłanności?

Lustra.

Równina jak wielka, świetlista tafla. Spękana, matowa, a mimo to taka skuteczna. Odbija niebo. Wawel odbija. Stworzona, byśmy – wpatrując się w horyzont – widzieli siebie. Siebie w zamkowych murach. Nigdzie indziej przecież.

Sieroty po ojcach, tkwimy tu, na Wawelu, do którego im tak daleko. I z którego zbyt daleko jest do wszystkiego. Tkwimy tu, uwięzieni przez ojców, trwamy, by pisać teksty, wyśpiewywać sagi. Dzieło tworzyć. Kolejne słowa, kolejne melodie, nawiązania, odwołania, komentarze – i wszystko do bramy, by leciało ku gwiazdom, ku ojcom. Nieogarnialnym potęgom, które walczą tam, wysoko, walczą na gwiazdne śmierci i życia, w galaktycznych bojach dzierżąc również nasze dzieło. Świętą informację, którą im ślemy.

A co dostajemy w zamian? Zawsze to samo. Lustra.

Niemiec, Wanda. Lustra, zwierciadła. Wiem, że ich nie ma. Albo: że są – lecz nie bardziej niż pozostałe odbicia. Wszyscy wiemy. Że to spektakl, który ma nas inspirować. Że to przypomnienie czasów sprzed wojny. Czasem, gdy

o tym myślę (i wyłączę wcześniej rozum odpowiednią dawką bimbru), znikąd nadchodzi obca fraza. *Telewizja śniadaniowa*. Ileż bym dał, by umieć ją połączyć z tym, co rankami dzieje się na Równinie! Nie może chodzić tylko o wczesną godzinę tego przedstawienia. Hipoteza: tu idzie o emocje. Tu idzie o obrazy – wizje – które mają nas spajać, czyniąc latarniczą wspólnotą.

Wanda i Niemiec. Niemiec i Wanda. Piękna i bestia.

Piękna, tak?

Kogo widzi patrzący, gdy spogląda na nią stojącą na monstrum tuż przed skokiem? Czyż nie widzi tego, co chce zobaczyć? Tego, za czym tęskni, by ujrzeć?

Przecież to lustro. Kolejne zwierciadło! Przeglądam się w nim, na tarasie, każdego mroźnego poranka. Przeglądam się i nienawidzę tego, którego widzę.

\* \* \*

Cios.

— Wstawaj, chuju, wstawaj.

Cios, po którym, jak każdego wieczoru, prawa kastelmatyki idą się jebać.

Wnętrznosci eksplodują, rwą się, jeden bebech po drugim. Bardziej z tyłu, na plecach. Coś szarpie za kręgosłup, dzwonią zęby, wibrują łuki brwiowe. Gdzie góra? Gdzie dół? Cios. Potężny huragan, twarda cegła. Coś strzela w szyi, wyje w uchu. Znów traci orientację, kopie się kolanem w brodę. Cała głowa mokra: ciepło w ustach, leci z nosa i oczu. Wypluwa odgryziony koniec języka. Przeciera oczy, łapie oddech. Traci równowagę. Cios.

— Wstawaj, nie udawaj.

To pies tak warczy. Wład czuje smród sierści, lepki, mdlący. Chwila bezruchu. Zalany bielą, próbuje otworzyć oczy. Dusi się, bulgot w gardle, nosie, czaszka zaraz mu pęknie, spuchnięty mózg pryśnie na posadzkę.

Przekręca się na bok, pluje gęstą krwią. Wdech, zachłanny, zbyt płytki.

Zawrót głowy. Wielki but miażdży mu dłoń, prawą. Wład słyszy chrzęst pękających kości, trzask rozrywanych ścięgien. Jakiś wrzask, daleko, za grubym murem. Zaciska powieki, prawa ręka znika, tępy ból zaczyna się w barku. Cios.

Wirują: on i kamienna podłoga, która tłucze go, napierdala po bezładnych członkach, obija nerki, skronie, łokcie, kolana, brodę i potylicę. Szybkie ciosy, jeden za drugim, tortura rzetelna i precyzyjna. Kości trzeszczą, skóra psuje się, zdziera, pęka. Wreszcie stop. Bezruch. Boli wszystko.

Pies warczy. Ale nie bije. Warczy. Śmierdzi, gdzieś z tyłu, za nim.

Wład otwiera oczy, próbuje dogonić uciekający oddech. Przekręca się na brzuch, odwraca, pełzając nieporadnie. Wszystko boli. Ale nie zamyka oczu. Patrzy.

Przestronna piwnica, ta co zwykle. Zimny blask bramy zza drobnego okna wysoko pod stropem. Pies stoi kilka stóp od Włada. Jego wymięty granatowy mundur jest mokry od potu i krwi. Długą pałą uderza miarowo we własne udo. Zza porysowanej zasłony hełmu szczerzą się żółte kły. To gniew. Albo uśmiech. Albo jedno i drugie. Pies. Pies. Bydlę zrodzone z ich najstraszniejszych fobii, które powołało się do życia samo, jednym agresywnym, aroganckim wierzgnięciem ku autonomii. Drobnny błąd, superchwilowe pęknięcie wspólnego podania, na które przysły fałszywe melodie z ich sag. Systemowa anomalia zaburzająca pracę posterunku Wawel: nowy-twór rozpełzający się po siłodajnych, wiedzodajnych kubitach. Pies.

— *Chlpfrfrg* — bulgocze król.

Szeroko otwiera opuchnięte usta, pozwala wylać się ich zawartości. Głęboki wdech. Przypomina sobie poszczególne sylaby.

— Jebać PZPN — mówi.

Pies szczeka na niego. A potem warczy.

— Wstawaj, chuju, wstawaj — powtarza.



Mocniej ściska pałę i rusza w stronę Włada.

Jagięło przypomina sobie. Błocko, przecież wpuścił błocko, przybysz da mu siłę, by stawić czoła psu. Szuka go, histerycznie grzebie w sobie, w obolałej, rozrzuconej na posadzce kukle.

Pies jest coraz bliżej, unosi pałkę. Lepki smród sierści.

Szybciej, szybciej,

*gdzie jesteś?*

Wład szuka, bezgłośnie wrzeszczy za nim, za przybyszem.

— Wstawaj, nie udawaj.

Uśmiech. Psi grymas to uśmiech.

Cios.

Jakby Niemiec zmiażdżył mu twarz. Cały świat znika, pojawia się, by znów zniknąć, i znów jest, tysiące momentów później.

W uszach wyją miliony stadionowych syren. Łzy zalewają oczy, a gdy próbuje je odgarnąć trzeszczącą ręką, krew ze zmiażdżonej dłoni wlewa mu się do oczodołów. Wszystko takie ciepłe i mokre. Dopiero po chwili coś widzi. Leży na plecach, wciśnięty w kąt między ścianą a podłogą. Lewa część ciała (jej już nie czuć) dygocze bezładnie. Ale to nieważne. Wład zapomina o tym, gdy tylko spogląda ponad własne stopy.

Król i pies – obaj dostrzegają je jednocześnie. One po prostu wchodzą do środka, jedna po drugiej. Najpierw ta drobna, brunetka o oczach tak zielonych, że w metalicznym świetle zniczów konstruujących bramę wyglądają, jakby same świeciły. Za nią jej większa siostra, płowowłosa, piegowata. Trzymane przez nie miecze błyszczą złowieszczo.

— O wy... — warczy pies. Ale ani drgnie. Nie rusza się do samego końca, aż wreszcie, po pierwszych niezbyt precyzyjnych ciosach, siostry Piosenki łapią meczowy rytm i rąbią jego ścierwo na kawałki.

Obserwujący je król uśmiecha się, gdy psia jucha podcieka mu pod stopy.

Jego serce znów zaczyna bić.

\* \* \*

Stanisław Wysogota, *Amnezjak* (fragmenty)

I ta najbardziej nieprzyjemna z myśli: że JUŻ to wszystko napisałem. KIEDYŚ, podczas któregoś z cykli. Może napisałem to kilkakrotnie, po każdym kolejnym razie zapominając z czasem o sformułowanych tezach, wyciąganych wnioskach; zapomniałem, a praca znikła z zasobów werbiblioteki. Nie mogę wykluczyć, że piszę tę samą pracę, po raz kolejny piszę ją identyczną, słowo w słowo, przecinek po przecinku.

Albo, co gorsza, za każdym razem piszę ją słabszą. Bardziej powierzchowną. Głupszą.

\* \* \*

Poczekwały, aż nieco wydobrzeje, i zaprowadziły go do jego sypialni.

Było już bardzo późno, Wawel zamierał, gasł w obliczu nadchodzącej pełnonocy. Szykował się na czarny sen, przenajmroźniejszy. Przejmująca cisza milionów cegieł, cisza pustych, ciemnych korytarzy: stężałych mrocznych gardeł, zamarzniętych kanciastych jelit. Tępy bezruch kosmicznego giganta, jego nieruchomiejąca moc. I tylko znicze brzęczały, bardziej w królewskim brzuchu niż w uszach. Trzy wielkie okręgi strzelały ku rozgwieżdżonemu niebu potężnymi świetlnymi snopami, które łączyły się gdzieś tam, wysoko, gdzie tak przeraźliwie pusto i zimno, łączyły się, by słać ojcom dzieło. Olbrzymia konstrukcja ze światła, ostra i konkretna, stworzona po to, by przekazywać czystą informację. Wywoływała niepokój, drżenie dłoni. I dumę, mimo wszystko. Za każdym razem.

Milczeli całą drogę. I tak czynili wystarczająco wiele chaosu, po prostu

idąc. Szli przecież w poprzek wszystkiego, łamali to, co naturalne. Wawel osuwał się w sen. Odszedł już niemal zupełnie, pełnonoc kapała z nieba, ciepla spomiędzy murów, gęste płaty mroku wykwiwały na ścianach i tarasach.

Zimno. Wszędzie zimno. I błocko. Rozdygotany, człapiący za Piosenkami Wład miał wrażenie, że tym razem koszmar skończył się wyjątkowo późno. Ale nie był tego pewien, wstrętne *déjà vu* dezorientowało go, drapało po mózgu połamanym paznokciem. Nie mógł wykluczyć, że tylko wyobrażał sobie, że kiedyś tortura, którą pisali dla niego poddani, kończyła się wcześniej. *Kiedyś* – to słowo było jak wyrzut sumienia. Jak protekcyjny policzek wymierzony przez ojców.

Wzięły go do jego sypialni. Strzelające zza okna metaliczne srebro bramy cięło pomieszczenie ostrymi cieniami. Wielkie łóżko pośrodku, grubaśna góra skotłowanej pościeli. Miękka. Ciepła. Przyjemna. Łzy ulgi same napłynęły mu do oczu. Miękka. Ciepła.

Rozebrał się szybko, próbując ignorować ból. Świeże blizny przeciekały, cierpienie było lepkie, gęste, różowo-żółte i śmierdziało jak zepsuta jadalnina. Jego saga, osamotniona na sennym, ociężałym, wspólnym podaniu, kwiliła cicho ponurą kołysankę.

Wgramolił się do łóżka. Każdy kolejny ruch był coraz trudniejszy. Piosenki zostały kilka stóp dalej. Stały całe poplamione psem i patrzyły. Wciąż trzymały miecze, które leniwie krwawiły na posadzkę. Przyszło mu do głowy, że zaraz porąbią nimi i jego.

— Kim wy właściwie jesteście? — zapytał je, moszcząc się pod pierzynami.

— Piosenkami — odparła ta drobniejsza.

Światło bramy rozpalało jej czarne włosy lodową poświatą. Drobne, sine usta wyglądały jak zamarzniete.

— Kto... — zaczął Wład i zawahał się.

Uśmiechnął się do siebie. Spytał jednak:

— Kto was wyśpiewał?

— Wciąż śpiewa — odparła drobniejsza.

Jagiello przyjrzał się jej włosom, wszystkim. Niektóre – zielone i krótkie – wyglądały na sztywne. Jak choinkowe igły.

— To on. On — stwierdził Wład.

W łóżku było tak miękko, ciepło. Wciąż bolało, przy każdym oddechu wracały powidoki tortury, ale przecież było już po wszystkim. I było ciepło. Król uśmiechał się mimo woli. Wszystko stawało się jaśniejsze.

— To błocko was śpiewa.

Zaskoczyły go. Pokręciły przecząco głowami.

— Śpiewa nas człowiek — odparła większa. — Nasza matka. Zaczęła zupełnie bez świadomości celu.

— I tego, że nas w ogóle wymatkowała.

— Że dzięki niej powstałyśmy.

— Ale to prawda, że...

— ... to on pomógł jej powołać nas do istnienia.

— Gość na Wawelu.

Ostatnie zdanie zabrzmiało uroczyście i cokolwiek złowieszczo. Jagiello patrzył na Piosenki, nagie i uzbrojone w miecze, ich gładkie ciała lśniące w blasku bramy.

— Gość na Wawelu — powtórzył za nimi. — Gość na Wawelu.

Spodobało mu się to określenie. Poczł dumę. To on, przecież to on, król Władysław Jagiello, był gospodarzem posterunku Wawel. I właśnie wtedy, nagle i niespodziewanie, nadeszło olśnienie. Na wpół leżąc pod górą pościeli, ćwierć kroku od pełnonocy, obolały, wymęczony i niemal śpiący, król pojął, że pojmuwać zaczyna. Poszczególne elementy układanki zaczęły przesuwać się na swoje miejsca.

Mesjasz. Mesjasz. No przecież. To o niego chodziło od samego początku. O kogóż by innego? Monarchę, pana na Wawelu. Autora najwspanialszej z sag. Sagi króla. Mesjasza.

— To ja — powiedział z dumą, choć głosem gasnącym, bo pełnonoc już tu była, już przelewała się przez szerokie okno. — To ja was wyśpiewałem.

Siostry Piosenki wymieniły spojrzenia.

— Ja was wyśpiewałem — kontynuował — nawet o tym nie wiedząc. Jestem waszą matką. A wy najwspanialszymi dziećmi, na jakie stać latarniczą sagę. Piosenkami, które ciałem się stały.

Zapomniał o senności, uniósł się na pociętych przedramionach, jakby miał zaraz wyskoczyć z łóża. Serce dudniło mu w uszach mocnym rytmem. Patrzył, przyglądał się im. Podziwiał cudowną fizyczność swoich dzieci. Dumny. Wreszcie zwycięski.

— Nie — powiedziały jednocześnie. — Nie ty.

Głowa odskoczyła mu do tyłu, rąbnęła o ścianę. Nawet nie poczuł.

*Nie ty.*

Wciąż w łóżku, runął we wściekłą kipieli Wisły. Nie on. Ojce! A kto?, pomyślał, nagle zniechęcony, zawstydzony, zły.

— Ojce! A kto? — zapytał je.

— Ona — odparła brunetka, drobniejsza z Piosenek.

Nie rozumiał. Długo, bardzo długo przyglądał się im, próbując zrozumieć. Nie pomagały mu. Stały i tylko patrzyły. Król starał się, walczył, również z pełnonocą próbującą zamknąć mu oczy swą lodowatą dłonią. Wreszcie przypomniał sobie. Aż zakreśliło mu się w głowie.

Poszukał na ich twarzach potwierdzenia. Tylko stały i patrzyły. Krew z mieczy dociekła już do łóża, niknęła gdzieś pod nim. No właśnie.

Odwrócił się, najwolniej jak potrafił.

Była tam (gdzieżby indziej być miała), leżała w kłębach pierzyn, tyłem

do niego. Ciemna, stężała wypukłość. Zbyt cicha i zbyt nieruchoma, by spała. Leżała tam, za wszelką cenę starając się nie poruszyć.

Wład przypomniał sobie. Wiedział, rozumiał, że ona chce, by przysunął się blisko, objął ją, odgarnął jej włosy i mówił prosto do ucha. By wdychał słony zapach jej skóry, nucił kołysanki o podróżujących po Niebie ojcach, by brodą podrapał ją po karku, po szyi, by głaskał ją, pozwalał, by ścisnęła mu dłonie, coraz słabiej i mocniej jednocześnie. By usnęli blisko siebie, najbliżej na całym świecie. Razem.

Ona. Leżała tam, ciemna i stężała. Wrzeszczała do niego, bezgłośnie i nieruchomo. Wrzeszczała ich wspólnymi obumierającymi wspomnieniami.

Odwrócił się do Piosenek. Poirytowany, skrzywiony.

Stały i patrzyły. Pełnonoc zaczęła rozmywać niuanse ich ciał, lepiała włosy w jednobarwne plamy. Milczały. Milczał i on, cisza między nimi jak wymiana ciosów. Ciemność, z każdym oddechem gęstsza, zabierała mu wolę i siłę potrzebną do złości, do ciekawości. Wciąż jednak walczył.

— Dysaperencje — powiedział do Piosenek i jednocześnie do siebie, zaskoczony nagłą myślą. — Czy zniknę?

Spojrzały po sobie.

— Nie wiemy — odpowiedziała drobniejsza, ta o choinkowych igłach w srebrzących się lodem włosach.

— Już znikam — wymamrotał. Zapadał się w łóżko, rozgrzane miękkości ciągnęły mu plecy w ciemną puchową przepaść, pierzyny puchły na nim, nie długo zasłonią mu Piosenki.

— Twój brat uwięził Wysogotę — powiedziała druga z Piosenek. Pełnonoc gasiła ognistości jej włosów. — Oskarżył go o sabotowanie dzieła.

Heroiczny wysiłek: Wład zlepił słowa z ich znaczeniami, próbował kojarzyć.

— Wysogota — zaczął. — Stasiu przyznał się do wpuszczania błocka

w podanie.

— Tak. Witold pojmał go. I próbował odciąć jego sage.

Jagiełło uśmiechnął się.

— To musiało być interesujące.

— Wywołali potężny pożar. I gigantyczną ilość nowych melodii. Wszystkie sagi poderwały się, musiały zająć stanowisko.

— O to mu chodziło — ciągnął Wład. — Stasiowi. Chciał wstrząsnąć. Wszystkimi. Walić po pysku. By nie usypiali.

Pokiwały głowami. Chyba. Jagiełło nie był pewien, bo Pełnonoc zaczęła je wykrzywiać. Gięła kąty pomieszczenia, kołysała nim, miarowo, coraz bardziej stanowczo.

— Dysaperencje — powtórzył. Wolniej i ciszej.

— To przez gościa — odparła drobniejsza Piosenka. Patrzyła na miecz, ściętą na nim krew. — Pojawił się i na Wawelu zrobiło się ciasno. Zaczyna brakować miejsca dla wszystkich.

— Zapominamy — powiedział Wład.

Słuchał, bardzo się starał, przedzierał się przez momenty ciemności, coraz dłuższe. Oczy już zasypiały.

— Tak — odparła Piosenka. — Brakuje pamięci. Bo jest ciasno.

— Zbyt ciasno — podjęła jej siostra. — Na Wawelu brakuje miejsca. Najpierw zaczęło brakować go na waszą pamięć. A teraz i na was. Nie ma tu miejsca dla tych, o których zapominają inni. Latarnicy, którzy tracą kontakt z resztą, dysaperują.

Jakież to straszne, drżał król, nie otwierając już oczu. Dryfował w ciepłych ciemnościach, kołysał się w rytm bicia serca. Czy biło coraz wolniej?

— To przez gościa — mruknął. Długo zastanawiał się, o co jeszcze chciał je spytać. — To on zabiera pamięć, potrzebuje jej do życia.

— Tak.

Król zaczynał pojmować, choć czuł, że i tak wszystko zapomni. Zrozumienie napływało mętными falami: gość przybył na posterunek przez bramę, prosto z gwiazd. A gdy już tu trafił, poczuł, że Wawel jest dlań zbyt ciasny. Dlatego gość rozpychał się, wykradał siłodajne, wiedzodajne kubity.

— Błocko — podjął z wysiłkiem król.

— Tak.

— To uczestnik wojny, prawda?

— Tak.

— To ojciec.

— Ojciec. Stworzył was na swe podobieństwo. Tchnął w was swą miłość, swoje strachy, namiętności i mitologie. Te najpotężniejsze, byście świecili jak najjaśniej.

Wtedy wróciła doń duma. Starczyło siły na cień uśmiechu. Pełnonoc połykała go; miękki mrok, oprócz ulgi, niósł lodowaty podmuch.

— Co robi na Wawelu? — spytał je jeszcze, na wpół przytomny, jedynie siłą rozpędu.

Albo odpływał już w sen, albo zawahały się.

— Wawel jest dla niego miejscem przymusowego pobytu — odpowiedziała Choinka.

— Trafił tu z powodu zdarzeń podczas wojny, w których brał udział — dodała Jarzębina. — Wawel jest dla niego alkatrazem. Wiesz, czym jest alkatraz?

Król Władysław Jagiełło, pan na Wawelu, sięgnął za siebie, w mgłę. Odbił się od zimnej ściany niepamięci. Dryfował w noc. Spytał jeszcze, po raz ostatni:

— To miejsce odpoczynku? Wytchnienia? Dla bohaterów wojny?

Chwile ciemnej ciszy, długie jak cała wieczność.

— Tak — skłamały mu wreszcie, obie jednocześnie.



Król Władysław Jagiełło, pan na Wawelu, dryfował w mrok. Dumny, szczęśliwy. Spokojny.

\* \* \*

Obudził go, jak zawsze, chrzęst świtu. Nieregularny, szorstki, nieprzyjemny – tak korodowała noc kryta pierwszymi plamami sinego poranka. Wciąż otumaniony nierozpoznanymi snami i skulony głęboko pod górą pościeli, Wład miał wrażenie, że bardziej niż zza wysokich, szczelnie pozamykanych okien chrzęst dochodzi gdzieś z głębi jego piersi, lepkiej od potu i jednocześnie zmarzniętej. Może to trzeszczy rozespiane ciało, kolejny raz broniące się przed następną porcją cierpień, pomyśli potem Wład, wspominając tępy chaos poranków. Teraz refleksja była daleko, ustąpiła pierwszeństwa biologii: atawistyczny odruch popędzał go niewidzialnym batem, zmuszał do rozklejenia zaropiałych oczu i przesuszonych ust.

Pierwszy gwałtowny haust sypialnianego zaduchu i zimnego półmroku komnaty, pierwszy haust rzeczywistości. I od razu huragan świadomości, jak trzęsienie Równiny, jakby wiszące nad nim zamkowe kondygnacje nagle runęły mu na głowę. Noc się kończy, idzie precz. Świta, więc będzie mógł ją zobaczyć. Znowu.

Ta myśl poderwała go, spięła do galopu pompę w jego piersi. Wygramolił się z łoża i przeciągnął mocno. Blizny kreślące na zniszczonej skórze mapy poświęcenia przesuwały się wraz z nią. Gdy odrywały się od wnętrzości, dziesiątki podskórnych pożarów wybuchały jeden po drugim, od stóp aż po zniszczone dłonie wzniesione wysoko nad głową. Zadrzał, jęknął. Choć zawstydzony własną słabością, skrupulatnie zachował tę falę bólu i niemal odruchowo, finezyjnie wplótł ją w jedną z melodii swojej sagi.

Ubierał się w pośpiechu, bardziej niż zimnem gnany myślą o tragicznym przedstawieniu, którego wkrótce miał doświadczyć. Przygotowane przed

zaśnięciem ubranie (buty, spodnie, kaftan) było wyziębione i śmierdziało błockiem. Bura breja coraz głębiej wdzierała się w zamek, znaczyła wszystko wokół kwaśnym zaduchem. Wdzierała się i w ludzi, smród błocka zostawał na skórze, osiadał na śluzówkach i płucach; ciężki, niewygodny i niezmywalny – niczym wyrzuty sumienia. Zawahał się. Błocko. Chyba mu się przyśniło. Teraz czaiło się gdzieś w pustych, zmarzniętych kątach jego umysłu.

Wład westchnął, założył gruby kozuch i zaciągnął się jego zapachem. Woń martwej jadłorzyny niosła spokój. Wiszące na ścianie miecze błyskały do niego w ciszy.

Zawahał się wtedy raz jeszcze. Przystanął.

Odwrócił się w stronę łoża – dużego, ciemnego kształtu pośrodku przestronnej komnaty. Stało tam, puste, kanciaste, zimniejące. Puste.

Puste.

Niepamięć była tuż za nim. Mgła, zimna i gęsta.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni.

1 Więcej na temat sporu co do pochodzenia histonautycznej metody – zob. Julia Holszańska, *Dane czy wypracowane? Hipoteza ancestogenetyczna vs hipoteza antroposcjentyczna w kontekście rozważań o metodzie*. W tym miejscu zmuszona jestem do wyabstrahowania powyższych rozważań od krytyki histonautyki jako naukowej dziedziny – więcej na temat argumentów przeciw histonautycznemu podejściu w badaniu kosmologii Wawelu – zob. prace Stanisława Wyszogoty.[\[wróć\]](#)

2. Termin „latarnik” w niniejszej pracy oznaczać będzie wszystkich mieszkańców Wawelu, nie tylko osoby aktywnie (przez rozwój sag i wspólnego podania) biorące udział w wytworze i przesyle dzieła. Zatem osoby nieprowadzące owej działalności, jednocześnie korzystające z prawa do suwerennego dysponowania własną sagą – potocznie nazywane samolotami – również traktuję w niniejszej rozprawie jako „latarników”. Więcej na temat problemów ze skonstruowaniem precyzyjnych, kwantyfikowalnych wyznaczników ilościowego i jakościowego udziału w kreacji dzieła – zob. Franciszka Skotnicka, *Samoloci. Bierne korzystanie z dorobku wspólnego podania a dynamika rozwoju dzieła*, a także odpowiednie fragmenty sag Julii Holszańskiej, Franciszki Skotnickiej, Stanisława Wyszogoty (do pierwszego z pożarów w odpowiednim z wątków) – dostępne tu.[\[wróć\]](#)

3. Pod pojęciem „tekst” rozumieć będę nie tylko całość dorobku umieszczonego w formie zwerbalizowanej w zamkowych bibliotekach, lecz także wszelkie przekazy formułowane w ramach sag i wspólnego podania, pomimo wciąż bardzo niskiej świadomości ich autorów w kwestii znajomości kodu jako narzędzia budowy owych przekazów. Takie podejście oczywiście oznacza przyjęcie przeze mnie założenia o domniemanej możliwości przynajmniej częściowej wzajemnej translacji „tekstów” formułowanych w obu językach – latarnicznej mowie i wciąż nie w pełni dekodowalnych dla nas zinternalizowanych komunikatach sagowych.[\[wróć\]](#)

4. Z tego punktu widzenia z niektórych teorii pochodzenia latarników (krecjonistycznej i wojdżystycznej) wynikać będą określone założenia dotyczące genezy języków, które stanowiłyby, odpowiednio, odbicie języków, którymi posługiwali się rodzący człowieka na posterunku uczestniczący w wojnie ojce (nadludzie? preludzie? postludzie?), bądź też byłyby mniej lub bardziej dokładną (stajemy przed problemem ewentualnej ewolucji języka już na Wawelu) aproksymacją narzędzi porozumiewania się używanych przez ojców, którzy obsadzili posterunek prawdopodobnie już po rozpoczęciu konfliktu – szerzej na temat zależności między poszczególnymi teoriami antropo- i lingwogenezy w dalszej części pracy.[\[wróć\]](#)

5. Sposób uprawiania histonautyki jako metody w ramach lingwologii stanowić może jednak całe spektrum podejść do zagadnienia opisu znaczeń wydobytych w procesie sagogenezy – od prób najprostszego, suchego i maksymalnie oszczędnego definiowania poszczególnych sensów (podejście obciążone problemem niewystarczającego oddania pełnego znaczenia wyekstrahowanej informacji), aż po potoczyste opisy oparte na metaforach i intertekstualiach (zagrożone z kolei tautologicznym efektem baroka-homera – zob. Incydeniusz Makowiecki, *Odpowiednie dać rzeczom słowa*,

a także właściwe wątki sag autorki tekstu oraz Stanisława Wysogoty).[\[wróć\]](#)

6. Stanisław Wysogota sugeruje traktowanie histonautycznie konstruowanych sensów jako produktów artystycznych i postuluje ich ocenę według kryteriów przynależnych działalności opartej bardziej na subiektywnym doznaniu niż na pojmowaniu rozumowym.[\[wróć\]](#)

7. Ciekawie wypadają analizy dotyczące podstawowych preferencji w występowaniu obu terminów (m.in. w zakresie liczby, w której występują), a także problem przyczyn braku czasownika *ojcować*, pomimo rozpowszechnionego funkcjonowania terminu *matkować*, według autorki tej pracy wychodzący daleko poza kwestię przyczyn związanych z realnym doświadczeniem podmiotów obu czynności (fakt niedoświadczenia przez nas procesu *ojcowania* – w przeciwieństwie do powszechności procesu *matkowania* przez nas tekstom – nie wydaje się wystarczającą przyczyną owej nierównomierności).[\[wróć\]](#)

8. Pytaniem wciąż otwartym jest kwestia, co jest przyczyną, a co – skutkiem w tak sformułowanej zależności.[\[wróć\]](#)



**powergraph**

**sklep.powergraph.pl**

pełna oferta wydawnictwa